



**T R Z E C I
P O Z I O M**

ULRICH HEFNER

TRZECI POZIOM

ULRICH HEFNER

Z niemieckiego przełożył
PAWEŁ WIECZOREK



Tytuł oryginału: DIE DRITTE EBENE

Copyright © Ulrich Hefner 2008 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Paweł Wieczorek 2010

Redakcja: Jacek Ring

Zdjęcia na okładce: Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kun/łowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-236-7

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne, Łódź

*Pokój nie istnieje, istnieje jedynie czas
między wojnami...*

Główne postacie

Dr Brian Saint-Claire, parapsycholog i dziennikarz z Long Point View w Kanadzie

Dr Suzannah Shane, psycholog i badacz snu na Uniwersytecie Chicagowskim

Profesor dr Wayne Chang, meteorolog i geofizyk Amerykańskiej Służby Meteorologicznej

Szeryf Dwain Hamilton, szeryf w hrabstwie Socorro w Nowym Meksyku

Profesor James Paul, kierownik programu promu kosmicznego NASA na przylądku Canaveral

Profesor Cliff Sebastian, kierownik działu meteorologii Krajowego Urzędu do spraw Oceanów i Atmosfery w Boulder w stanie Kolorado

Dr Anthony Schneider, kolega Wayne'a Changa z Amerykańskiej Służby Meteorologicznej

Dr Allan Clark, kierownik Krajowego Centrum Huraganów w Miami na Florydzie
Gerad Pokarev, zwany Porky, redaktor naczelny pisma „ESO-Terra” w Cleveland

PROLOG

Październik 2003

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Kobieta ledwo poruszała nogami, zataczała się, ale próbowała biec. Świt dopiero się zbliżał, więc poruszała się praktycznie na ślepo. Jej stopy pokrywały krwawiące rany, na czole perliły się grube krople potu. Klatka piersiowa wznosiła się i opadała w szaleńczym rytmie wyznaczanym przez strach i zmęczenie. Płuca paliły, po alabastrowych policzkach spływały łzy. Z twarzy kobiety odpłynęła cała krew, przez co była biała jak papier.

Kobieta uciekała, ale bez planu – nie wiedziała dokładnie, gdzie jest i dokąd biegnie. Była ubrana jedynie w koszulę nocną i szlafrok, krzewy porastające zagajnik, przez który się przedzierała, smagały jej bosc stopy i gołe nogi. Jedno wiedziała jednak na pewno: z każdym krokiem oddala się od miejsca, w którym przeżyła tak straszliwe rzeczy. Nie czuła chłodu październikowej nocy, gnała ją jedna myśl: uciec!

Ubrani na czarno strażnicy na pewno ją ścigali. Piaszczystą dolinę musiała przecinać droga, kobieta nie miała jednak pojęcia, w którym miejscu. Bez względu na to, jak się starała skupić, raz za razem jej myśli przerywały wybuchające w głowie jaskrawe eksplozje. Być może najlepszym wyjściem byłoby położyć się na ziemi i zaczekać na śmierć, która przyniosłaby wyzwolenie. Z całej siły starała się jednak opierać zmęczeniu. Musiała wytrzymać – tylko dzięki temu świat dowie się o okrucieństwach, jakie jej wyrządzono.

Zatrzymała się na chwilę i popatrzyła w dolinę. Miała cichą nadzieję, że kłębiącą się mgłą przebijie światło samochodowego reflektora i wskaże jej drogę. Nadzieja ta jednak się nie spełniała. Kłęby mgły przelatowały jak szalone, nadchodzący dzień wypełniał świergot ptaków, który jednak wkrótce zaczął

zagłuszać inny dźwięk – groźny, nieustannie zbliżający się pomruk.

Głowę kobiety wypełniła fala bólu. Przycisnęła dłonie do skroni. Po chwili ból zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. Pomacała krótko ostrzyżone włosy. Wargi zapiekły od słonych łez. Najchętniej zaczęłaby krzyczeć, ale głos uwiązł jej w gardle. Sfalowane loki sięgały jej zawsze do ramion, była dumna z bujnych i pięknych włosów, lecz teraz pozostały z nich centymetrowe kikuty. Mężczyźni powiedzieli, że włosy są niepraktyczne i bez dalszych dyskusji obcięli loki nożyczkami. Od tamtej chwili ani razu nie spojrzała w lustro.

Buczenie się oddaliło. Kobieta z ulgą odetchnęła. Pobiegła niezgrabnie w dół zbocza, przebiegła kawałek po piasku, po czym zagłębiła się w kolejny zagajnik i złała z kłębamii mgły.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Przygotowania zostały zakończone. Stojąca na rampie startowej w Centrum Lotów Kosmicznych imienia Johna F. Kennedy'ego rakieta nośna typu Delta IV była gotowa do startu. Wielki cyfrowy zegar, wiszący nad ekranem w ośrodku kontroli, informował, że do startu pozostały jeszcze trzy minuty, wszyscy pracownicy jak urzeczeni wpatrywali się w monitory. Komendant lotu włączył zielone światło. Systemy pracowały w granicach normy.

Dowódca Nicolas Leach podejrzliwie obserwował pulpity sterownicze i po cichu po raz ostatni żarliwie się pomodlił. Masa startowa rakiety znajdowała się w przedziale granicznym, ale odpowiedzialny inżynier zbył jego wątpliwości machnięciem ręki.

– Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy wystrzelić panu w niebo cały wieżowiec – oznajmił, zanim usiadł za swoim pulpitem kontrolnym.

W zabezpieczonym i osłoniętym od zewnętrznych wpływów zasobniku frachtowym pierwszego stopnia rakiety znajdował się bardzo cenny ładunek. Ważący dwa tysiące siedemset kilogramów satelita o tajemniczej nazwie „Prophet 1” był cięższy prawie o czterysta kilogramów, niż pierwotnie planowano. Powodem było niezwykle wydajne źródło zasilania zamontowane w obiekcie już po jego wyprodukowaniu. Satelita, należący do całej serii, która miała zostać wystrzelona w najbliższych tygodniach po numerze jeden, stanowił element projektu marynarki wojennej, którego celem była poprawa nadzoru regionu południowo-wschodniego Pacyfiku.

„Prophet 1” miał zostać zawieszony na pozycji geostacjonarnej na północ od dwudziestego równoleżnika, mniej więcej dwieście kilometrów od wybrzeży kontynentu. Dla doświadczonych i rutynowanych techników na przyłładku Canaveral start tej rakiety nie był niczym więcej niż kolejną misją w ich wypełnionym po brzegi kalendarzu, ale dla komandora Nicolasa Leacha to ukoronowanie dzieła życia. Na szali leżały prawie miliard dolarów oraz dwadzieścia lat intensywnych badań, a biorąc pod uwagę narzucone im oszczędności, każdy błąd mógł oznaczać nagły i gwałtowny koniec jego wysiłków. Ale nie tylko dlatego Nicolas Leach czuł, że śwędzą go palce. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu.

Droga stanowa numer 60, hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Pędzący drogą stanową numer 60 z Magdaleny do Socorro Gene Morgan czuł się świetnie. Zjechał z międzystanowej numer 40 niedaleko Chambers, ponieważ tuż przed Gallup wydarzył się poważny wypadek, po czym zjechał na południe, minął Saint Jones i skręcił na Quemado. Oszczędził sobie w ten sposób wiele kilometrów objazdu, gdyż policja z powodu wypadku urządziła objazd przez boczne drogi na północy, co powodowało kilometrowe korki.

Diesel jego peterbilta freewheelera mruczał radośnie, a z radia dolatywała ścisza muzyka country. Gene był kierowcą ciężarówki z krwi i kości. Kupił wóz na kredyt, ale w ostatnich miesiącach nie brakowało zleceń. Naczepę, którą ciągnął, wypełniały po brzegi telewizory, odtwarzacze DVD i cyfrowe kamery dla wielkiego sklepu z elektroniką, który wkrótce miał otworzyć swe podwoje. Zlecenie było dobrze płatne, a na powrót do Houston Gene już miał już zarezerwowany następny ładunek. Zdawał sobie sprawę, że sukces w tej branży zawdzięcza żonie, ponieważ odkąd to ona zajęła się zarządzaniem, zyski stale rosły. Było mu obojętne, co wiezie za plecami – grunt, żeby nie śmierdziało i powodowało wpłynięcie na konto w banku należytej zapłaty.

Cieszył się, że zaraz zacznie się weekend, zamierzał bowiem jechać z Ritą do Del Rio, aby na wielkim zjeździe kierowców ciężarówek spotkać starych znajomych. Zapowiadało się kilka długich, obficie zakrapianych wieczorów. Palcami wystukiwał rytm na kierownicy. Zdawało mu się, że dawniej muzyka była lepsza, bardziej emocjonalna i harmonijna, no tak, także odrobinę

uczciwsza, niż cały ten chłam łomoczący od góry do dołu list przebojów.

Dojeżdżał do Socorro, kiedy nie wiadomo skąd, z kłębow mgły pośrodku jego pasa drogi wynurzyła się kobieta. Z całej siły wdepnął hamulec. Opony peterbilta zapiszczały i ciężarówka zaczęła sunąć po wilgotnym asfalcie. Poślizg zdawał się nie mieć końca. Jęki i westchnienia pojazdu wwierały się w uszy Gene'a, sprawiając fizyczny ból. Po sekundzie ciężarówka podskoczyła na poboczu i zsunęła się z niskiego nasypu. Jazdę zakończyło uderzenie, które wstrząsnęło pojazdem i kierowcą – ciężarówka huknęła w drzewo i znieruchomiała.

Gene przeciągnął dłonią po czole. Potrwało sporą chwilę, zanim dotarło do niego, co właściwie się stało. Wsiadł, miał miękkie kolana. Był błąd jak kreda. W porannym półmroku nikogo nie było widać. Czyżby to tylko wyobraźnia spletała mu figła? Był gotów przysiąc, że widział stojącą na jezdni kobietę w jasnym szlafroku. Zrobiło mu się niedobrze. Chyba jej nie przejechał?

Poszedł na przód ciężarówki. Choć drzewo było niemal wyrwane z korzeniami, orurowanie przodu uchroniło ciężarówkę przed większymi uszkodzeniami. Gene martwił się jednak w tej chwili czymś innym. Szukał krwi, strzępka materiału, jakiejś wskazówki świadczącej o istnieniu kobiety, niczego jednak nie dostrzegał. Chrom pałaków z grubych rur błyszczał niczym nieskalany. Gene odetchnął z ulgą. Kiedy obchodził samochód, głośno zaklął, ponieważ koła wbiły się głęboko w piaszczyste podłoże i było jasne, że nie uda mu się uwolnić auta z wilgotnej ziemi. Gene powoli wrócił na szosę i poszedł świeżymi śladami, jakie zrobiły ślizgające się opony. Przez mleczne pasma mgły doszedł do miejsca, w którym ujrzał kobietę. Nagle usłyszał ciche pojękiwanie i przeszył go dreszcz. To nie był sen ani figiel zmęczonego umysłu. Kobieta przykucnęła na poboczu, chowając twarz w dłoniach. Kiedy Gene się zbliżył, pojękiwanie ucichło. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Proszę pani, czy coś się pani stało?

Kobieta wyglądała jak przybysz z zaświatów.

– Mogę pani jakoś pomóc?

Spróbowała wstać, ale nogi się pod nią ugięły. Gene doskoczył i ją podtrzymał. Pozwolił jej powoli osunąć się z powrotem na ziemię. Coś mu nie pasowało. Co robiła na środku szosy stanowej kobieta w szlafroku i bez butów, do tego daleko od jakiegokolwiek miasta? Gene zlustrował ją od stóp do głów,

ale poza kilkoma powierzchownymi ranami na rękach i nogach nie dostrzegł żadnych obrażeń.

– Niech pani nie wstaje. Przyniosę koc.

Kiedy Gene się odwrócił, aby pójść do samochodu, kobieta złapała go za rękę. Wpiła się w niego jak tonąca.

– Proszę mi pomóc! Niech pan nie odchodzi!

Jej słowa były jednym wielkim błaganiem.

– Pójdę tylko po koc i telefon – odparł Gene. – Musi być pani zimno. Poza tym potrzebujemy pomocy. Ciężarówka utkwiała w piachu.

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, z mgły wychynął ciemny samochód terenowy i zatrzymał się na ich wysokości, po drugiej stronie szosy. Gene Morgan odetchnął. Z jeeпа wysiadło dwóch mężczyzn i przebiegło przez jezdnię. Mieli na sobie ciemne garnitury i na pierwszy rzut oka sprawiali wrażenie biznesmenów, którzy właśnie wyszli z jasno oświetlonego biura któregoś z miast Wschodniego Wybrzeża. Kobieta mocniej ścisnęła rękę Gene'a. Uważniej przyjrzał się przybyszom.

– Doszło do wypadku... – wymamrotał. – Ni stąd, ni zowąd znalazła się przede mną na jezdni...

Pierwszy z mężczyzn – miał ciemne falujące włosy – krótko skinął głową i dał swojemu towarzyszowi znak, na co ten złapał kobietę. Gene zmarszczył czoło ze zdziwienia. Kobieta zadrżała na całym ciele i boleśnie wbiła mu paznokcie w przedramię. Zauważył, jak spanikowane ma spojrzenie.

– Co to ma znaczyć? – spytał Gene. – Co pan zamierza z nią zrobić?

Ciemnowłosy sięgnął do kieszeni i przez chwilę Gene bał się, że wybiła jego ostatnia godzina, mężczyzna wyciągnął jednak tylko portfelik ze służbową odznaką. Na widok orła w godle Gene się rozluźnił, zanim jednak zdążył przeczytać, co jest napisane na tkwiącej obok legitymacji, portfelik został zatrzaśnięty.

– Szukamy jej już od wielu godzin – powiedział ciemnowłosy. – Tym razem zrobiła naprawdę kawał drogi. Bardzo nam pan pomoże!

Gene zmarszczył czoło.

– Co z nią jest?

Pomocnik ciemnowłosego silnym szarpnięciem oderwał dłoń kobiety od przedramienia Gene'a i chociaż się opierała poprowadził ją do samochodu. Ciemnowłosy wykonali przy skroni jednoznaczny gest.

– Ma nie całkiem po kolei. Uciekła ze szpitala psychiatrycznego w Socorro. Cierpi na manię prześladowczą i wszędzie widzi duchy.

Gene nieco się rozluźnił. Z ulgą pokręcił głową. Zanim towarzysz ciemnowłosego wpełchnął kobietę do jeepa, ta jeszcze raz spróbowała zwrócić się do Gene'a.

– Niech mi pan pomoże! – zawołała, po czym zniknęła we wnętrzu samochodu za przyciemnianymi szybami.

– Jeśli się nie mylę, Socorro jest pięć kilometrów stąd – powiedział Gene.
– Nie powinniśmy wezwać szeryfa? W końcu ta kobieta spowodowała wypadek, a sam nie wyciągnę ciężarówki z rowu. Wiozę ładunek. A jeśli coś zostało uszkodzone?

Ciemnowłosy spojrział w kierunku ciężarówki.

– Szeryf też jej szuka. Zawiadomimy go przez radio i wezwiemy samochód holowniczy. Niech się pan nie martwi o uszkodzenia – szeryf zna tę kobietę. To nie jest jej pierwsza próba ucieczki.

Ciemnowłosy uśmiechnął się krzywo i poszedł do swojego samochodu.

Gene skinął głową.

– W takim razie poczekam.

– A cóż innego panu pozostaje? To może jednak potrwać z pół godzinki, bo szeryf jest akurat pod Bernardo.

Mężczyzna wszedł i jeep pomknął w kierunku Magdaleny. Gene spróbował rzucić okiem na tablicę rejestracyjną, nie udało mu się jednak dostrzec nic poza początkowymi literami: REI. Wrócił do ciężarówki, wszedł do kabiny i zaczął czekać. Ciemnowłosy miał rację – cóż innego mu pozostało?

□ □ □

Kiedy po dwóch godzinach nic się nie wydarzyło, Gene sięgnął po telefon i zadzwonił pod numer ratunkowy. Na pytanie, gdzie jest szeryf, telefonistka zareagowała zdziwieniem. Nie wiedziała nic ani o jakimkolwiek wypadku, ani o zaginionej kobiecie, ale obiecała zawiadomić szeryfa.

Godzinę później pojawił się biało-niebieski ford maverick z obracającym się na dachu niebiesko-czerwonym kogutem. Na drzwiach miał namalowane godło wydziału szeryfa miasta Socorro. Z samochodu wysiadł dwumetrowy olbrzym o posturze zapaśnika i podszedł do ciężarówki. Brązowy mundur i złota gwiazda na lewej piersi identyfikowały go jako strażnika prawa.

Gene czekał cierpliwie, aż szeryf obejdzie ciężarówkę.

– Jeszcze nie do końca wyspany z samego rana? – wyburczał szeryf i zlustrował Gene'a.

– Musiałem ominąć tę kobietę, tę wariatkę, której pan cały czas szukał – odparł Gene. – Nagle pojawiła się na jezdni. Zabrali ją pańscy koledzy i obiecali, że wezwą holowanie.

– Nie szukamy żadnej wariatki, a moi koledzy na pewno nie jeżdżą sobie po okolicy na spacerki. Mamy co innego do roboty.

Gene'owi na chwilę odebrało mowę. Mina szeryfa nie uległa zmianie nawet po tym, jak Gene opowiedział historię do końca.

– Chyba wezwę panu holownik, wyciągnie stąd pana, poza tym zapłaci pan trzydzieści dolarów mandatu – odparł szeryf. – A następnym razem, chłopcze, zanim usiądziesz za kierownicą i zaczniesz mi opowiadać wysrane z palca bajki, dobrze się wyśpij.

– Nie opowiadam panu bzdur – zaprotestował Gene Morgan. – Ta kobieta siedziała tu w trawie. Była bosa i ubrana tylko w szlafrok. Musi mi pan uwierzyć.

– Bardzo bym się zdziwił, gdyby kobieta w szlafroku i na bosaka doszła tu aż z Albuquerque – odparł szeryf Hamilton.

– Dlaczego z Albuquerque?

– Mój chłopcze, najbliższy psychiatryk jest w Albuquerque. Tutaj w promieniu sześciu kilometrów są tylko kamienie, wzgórza, drzewa i piach. Kilka chat, ale na pewno nie szpital psychiatryczny. Tak więc płaci pan trzydzieści dolarów czy mam zadzwonić do sędziego?

Zniechęcony Gene sięgnął po portfel.

KSIĘGA PIERWSZA

Wizje
Wiosna 2004

1.

Cumaná, Wenezuela

Lot jednosilnikowego pipera firmy Linea Turistica Aerotuy z Cumaná do Ciudad Guayana odbywał się pod gęstą pokrywą chmur, przebiegał hałaśliwie i niespokojnie. Brian Saint-Claire patrzył przez okienko na rozległy las. Nieprzerwana zielona płaszczyzna ciągnęła się po horyzont.

Pilot, smagły, brodaty Wenezuelczyk z Apure, rzucał od czasu do czasu zaniepokojone spojrzenie na czarne chmury deszczowe, które wznosiły się na zachodzie w gigantycznym froncie burzowym. Brian dumiał w milczeniu. Analizował ostrą kłótnię z Cindy i jej teatralne odejście sprzed niespełna tygodnia. Od tamtej chwili nie miał od niej żadnej wiadomości. Wyjazd do Ameryki Południowej wypadł w najlepszym momencie i być może sprawi, że odwróci jego uwagę od Cindy. Miał napisać dla pisma o tajemniczym tytule „ESO-Terra” artykuł o szamance z plemienia Warao, która mieszkała w małej wiosce gdzieś w delcie Orinoko. Z relacji naocznych świadków wynikało, że kobieta ma inne zdumiewające nadnaturalne zdolności, na przykład lewituje. Należało odkryć, ile prawdy kryje się w tych opowieściach. Często jego wyprawy śladami zjawisk nadprzyrodzonych prowadziły do oszustów, fantastów i hochsztaplerów, których jedyną niezwykłą umiejętnością było wyprowadzanie w pole naiwniaków.

Dla Briana, który studiował na uniwersytecie w Chicago psychologię i filozofię, a potem zdobył wykształcenie z zakresu parapsychologii, nie była to żadna nowość. Jako parapsycholog umiał odróżnić oszustwa i magiczne sztuczki od prawdziwych zjawisk metafizycznych, przy czym te drugie były w porównaniu z pierwszymi bardzo rzadkie. Brian był ciekaw, co czeka go tym razem. Ale nawet gdyby znów miało się okazać, że udał się w daleką podróż

na darmo, była to znakomita okazja do odpoczęcia po awanturze z Cindy. Poza tym dobrze mu płacono.

Dzięki falującym ciemnoblond włosom i aparycji gwiazdora Hollywood Brian Saint-Claire nie wyglądał na faceta po czterdziestce.

Życie było dla niego jedną niepojętą przygodą, a jego rytm sprawiał, że nie było w nim miejsca na monotonię, stałe przyzwyczajenia i głębokie związki. Sama myśl o małżeństwie i wychowywaniu dzieci – jak chciałaby Cindy – napawała go strachem.

Piper podskakiwał w podmuchach narastającego wiatru. Front burzowy pędził w ich kierunku. Z chmur wystrzeliwały ku ziemi błyskawice i pilot głośno kłął.

– Co za potworny rok! – zawołał po hiszpańsku. – Ciągłe burze i burze! To kara boska za to, że ludzie żyją w grzechu!

Brian skinął głową i popatrzył na zegarek. Wkrótce powinni dolecieć do celu. Wyjrzał przez okno, ale gdziekolwiek spojrział, widział jedynie zieloną dżunglę.

– Przedwczoraj u wybrzeży La Guaira zatonał prom – ciągnął pilot, najwyraźniej nieporuszony coraz bliższymi chmurami. – Podobno fale były wysokie jak drapacze chmur w Caracas. Po prostu połknęły statek. Na pokładzie było sto osób. Płynęli z Curaçao. Nikogo nie udało się uratować.

Pilot z rozbawieniem czekał na to, jakie wrażenie wywrą jego słowa.

Brian zaczynał odczuwać lekki niepokój. Nie był strachliwy – wręcz przeciwnie, przeżył w życiu niejedną przygodę, ale zawsze umiał kalkulować swoje szanse. W obliczu gigantycznego frontu burzowego szanse w tym maleńkim i rozklekotanym samoloczku spadały jednak niemal do zera.

– Ile jeszcze potrwa lot?! – zawołał do pilota po hiszpańsku.

Pilot wskazał na północ i Brian powiódł spojrzeniem za jego kciukiem. Musiał mocno wyciągnąć szyję, aby coś zobaczyć przez boczne okienko od strony pilota. Krajobraz po tamtej stronie się zmieniał: las zniknął, na horyzoncie pojawiły się dachy.

– Ciudad Guayana – powiedział pilot. – Za dziesięć minut wylądujemy. Trochę nas potrząsie, ale wyprzedzimy burzę.

Okazało się, że pilot miał rację. Kilka minut później piper kołował po asfaltowym pasie małego lotniska. Briana zdrowo wytrzęsło, powodem były jednak nie tyle podmuchy wiatru, ile nierówności i dziury pasa startowego, który z daleka wyglądał na całkiem równy.

Brian wysiadł z ciasnego kokpitu i przeciągnął się. Bolały go plecy i czuł się, jakby go łamano kołem. Pilot wyciągnął zza foteli plecak i torbę pasażera. Najwyraźniej mu się spieszyło, ponieważ zaczęło się chmurzyć także nad miastem. Porywisty wiatr zwiewał wilgotne gorąco. Obok znajdującego się w pobliżu pasa startowego drewnianego baraku stał piaskowy land-rover, o który opierał się wysoki mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Nieznajomy pozornie obojętnie obserwował okolicę. Kiedy Brian dziękował pilotowi i dał mu kilka dolarów ekstra, gaucho w czarnych kowbojkach ruszył powoli w jego kierunku. Przy pasie miał kaburę z coltem dużego kalibru. Mężczyzna wyglądał jak bohater z Dzikiego Zachodu z dawno minionych czasów.

– Doktor Saint-Claire? – zapytał, przekrzykując hałas silnika startującego pipera.

Brian skinął głową.

– Nazywam się Juan Andreas Casquero – przedstawił się przybysz i wskazał na niebo. – Miał pan szczęście.

Wziął torbę Briana i ruszyli w kierunku land-rovera. Kiedy bagaże znalazły się w aucie, Juan otworzył Brianowi drzwi od strony pasażera.

– Co robi lekarz gringo w Ciudad Guayana? – spytał Juan, siadając za kierownicą.

Brian się uśmiechnął.

– Nie jestem lekarzem. Jestem psychologiem.

– Naprawiacz dusz... jeszcze lepiej.

– Dokąd teraz? – spytał Brian, żeby zmienić temat.

– Nie należy jechać do dżungli w czasie deszczu – wyjaśnił Juan. – Do Tucupita jest daleko, a drogi nawet bez burzy są niebezpieczne. Pojedziemy do miasta, zarezerwowałem pokój w niedużym pensjonacie. Jutro rano zobaczymy, co dalej. U Warao pewnie szaleje piekło.

Brian Saint-Claire westchnął. Polecono mu Juana jako kompetentnego przewodnika, poza tym był od niego uzależniony, gdyż Juan znał perfekcyjnie dialekt Warao.

Wyspa Devon, Cieśnina Barrowa

Kanadyjski frachtowiec polarny „Island Queen” wypłynął wczesnym rankiem z pełnymi ładowniami z portu Churchill w Zatoce Hudsona i przy umiarkowanym wietrze oraz bezchmurnym niebie nabrał niezłej prędkości. Przy

niecałych dwunastu węzłach płynął przez Basen Foksa w kierunku Cieśniny Barrowa. Ładownie pękały w szwach od pszenicy dla Jokohamy. Marynarze mieli przed sobą siedem tysięcy mil morskich i przejście przez niezamarzniętą Cieśninę Beringa. Przy maksymalnej prędkości statek byłby w drodze osiemnaście dni, ale już na południe od wyspy Devon jak grom z jasnego nieba zwała się na nich apokalipsa.

Nieszczęście zostało zapowiedziane przez szybki wzrost prędkości wiatru. Nad Zatoką Baffina zebrały się chmury, tworząc gigantyczną czarną górę. Wiatr szarpał fale i przesuwiał front burzowy z dużą prędkością na zachód. Kapitan „Island Queen” z niedowierzaniem obserwował instrumenty. Wskazówka barometru spadała tak samo szybko jak termometru, wiatr o sile orkanu uderzał w duże okna mostka. Sztorm pchał przed sobą wielkie jak góra fale, które z gwałtownym łoskotem uderzały w kadłub. Służba meteorologiczna w dalszym ciągu informowała o „suchym i ciepłym wiosennym dniu z umiarkowanym wiatrem z południowego wschodu”, w rzeczywistości wiatr skręcił na północny-wschód. Statek płynął w poprzek fal i kapitan polecił sternikowi ustawić jednostkę pod wiatr.

Kolejna fala uderzyła w „Island Queen” i sprawiła, że cała jednostka zadrzęta. Masywny kadłub przechylił się groźnie na burtę.

– Stawać w dryf, na Boga, niech pan kręci! – zawołał kapitan do sternika, kiedy kolejny grzywacz trafił w kadłub. Nagle wszystkie instrumenty zwariowały – nawet elektroniczny żyrokompas zaczął się kręcić jak szalony, jakby i on stracił orientację. Z głośnika radia dolatywał jedynie szum. Wszelki kontakt ze światem został utracony.

Kłębowisko chmur zdążyło w tym czasie dotrzeć do Cieśniny Barrowa, a statek spowiły niemal nieprzeniknione ciemności rozjaśniane regularnie przez błyskawice. Kolejny bałwan przewalił się przez pokład i porwał w lodowatą otchłań kilku zaskoczonych marynarzy. Pozostałym udało się resztką sił chwycić relingu. Kapitan trzymał się pulpitu z instrumentami, a sternika impet uderzenia rzucił w kąt sterówki. Kiedy statek się wyprostował, udało mu się wstać, był jednak mocno oszołomiony. Z czoła spływała mu krew. Znajdujący się także na mostku radiotelegrafista i drugi oficer próbowali się utrzymać na nogach, chwytając się przymocowanych na stałe elementów wyposażenia. Ścisłane przez potop stalowe burty jęczały i wzdychały.

– Szybciej! – zawołał kapitan. – Musimy odwrócić go na wiatr, inaczej...

Z niewiarą patrzył na ścianę wody i piany pędzącą na jego statek od sterburty. Monstrualną falę gigantycznych rozmiarów. Fale idące przed główną falą przechyliły jednostkę na bakburtę. Kapitan odwrócił głowę. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest za późno na manewr ratunkowy. Już tylko kilka sekund brakowało do zalania statku przez gigantyczną falę i wciągnięcia go pod wodę. Kapitan słyszał o tego typu monstrualnych falach i ich niszczycielskim działaniu i nie miał żadnych złudzeń. Ostatnią rzeczą, jaka dotarła do jego świadomości, był piskliwy śmiech sternika. Jeszcze tego brakowało, żeby zwariował, pomyślał kapitan i w tym samym momencie ściana wody uderzyła w mostek z siłą bomby. Hartowane szkło pękło i do środka wlała się lodowata woda. Kapitan został przyciśnięty do ściany i stracił przytomność. „Island Queen” położyła się na burtę i ostatni marynarze, którzy jeszcze znajdowali się na dziobie statku, zniknęli w odmętach.

Kiedy woda spłynęła, statek wrócił do pionu, ale było już za późno. Masy wody dostały się pod pokład i zalały ładownie. Silniki zamilkły, ponieważ także w maszynowni woda stała na wysokość człowieka. W dziobie ziała ogromna dziura. Statek był stracony.

Siedem minut po tym, jak „Island Queen” zatonięła w wodach Cieśniny Barrowa dziesięć mil morskich na południe od wyspy Devon, stacja terenowa służby meteorologicznej w Coppermine nadała do statków znajdujących się w regionie Morza Labradorskiego komunikat o sztormie i ostrzegła je przed wiatrami o sile zbliżonej do orkanu oraz wysoką falą. Okazało się to spóźnione dla „Island Queen” i dwóch innych statków, które wpływały do Cieśniny Hudsona.

Ciudad Guayana, Wenezuela

Spędzili dzień w mieście, w niewielkiej *bodega* obok pensjonatu Margarita i wieczorem poszli zmęczeni – i lekko podpici – spać. Burza spadła na miasto, potop deszczu wylał się na ulice i zamienił je w błotniste rzeki. Juan zamówił butelkę tequili i przysiadł się do stolika Briana. Zaczęli rozmawiać i Juan opowiedział, że już od lat oprowadza turystów po delcie Orinoko. Co prawda w ciągu roku nie ma ich zbyt wielu, ale interes jest dochodowy, ponieważ większość przybyszy to ludzie zamożni i gdy są zadowoleni, nie żałują pieniędzy. Tak więc praca, którą wykonuje, pozwala mu dobrze żyć. Pochodzi z Cabimas na wschodzie, gdzie pracował jako rybak, jednak już wiele lat temu porzucił dawne życie.

Juan sprawiał wrażenie równego chłopca. Spalona słońcem skóra i ciemna broda powodowały, że wyglądał nieco zuchwale, ale z każdym kieliszkiem wydawał się Brianowi sympatyczniejszy. Kiedy Juan zapytał o powód wizyty Briana u Indian Warao, ten się zawahał i spróbował odpowiedzieć wymijająco. Co miał powiedzieć? Że zamierza odwiedzić kobietę, która zna się na czarach i umie unosić się w powietrze? Odpowiedź taka na pewno spotkałaby się ze śmiechem i drwiną. Juan jednak nie odpuszczał, więc Brian wymyślił odpowiedź, która zbliżała się do prawdy, ale nie rzucała na niego podejrzenia, że zwariował albo jest oszołomem. Nie spodziewał się reakcji Juana.

– Gringo, tutaj istnieją rzeczy, które by was, Amerykanów, nieźle zdziwiły – odparł Juan i nalał kolejne porcje tequili. – Wiem, o czym mówię. Warao to ludzie z wielkimi tradycjami, a kiedy potrzebuję pomocy, bo się zraniłem albo jestem chory, okrążam szpitale szerokim łukiem. Znam mieszkającą całkiem niedaleko stąd szamankę, która robi cuda. Wiem, że w czasach, gdy cywilizacja coraz bardziej oddala nas od naszych korzeni, może to brzmieć śmiesznie, ale my, ludzie, mamy duszę, a kiedy ona choruje, cała wasza nowoczesna medycyna nic nie pomoże. Wiem, o czym mówię.

Brian wypił. Juan powiedział to z takim przekonaniem, że nie można mu było nie wierzyć, Brian był mocno zaskoczony, początkowo bowiem uznał go za niewykształconego gaucha, którego poza garścią dolarów niewiele interesuje.

– Ale obaj jesteśmy zdrowi – dodał Juan i kolejny raz dołał. – Teraz wypijemy, a jutro pojedziemy do Tucupity. Czeka tam łódź, którą popłyniemy Orinoko. Zaprowadzę cię do twojej latającej kobiety. Nie ma obaw, gringo.

Brian wziął do ręki kieliszek.

– Kiedy startujemy?

– Po wschodzie słońca.

– A deszcz?

– Do jutra słońce wysuszy drogi – odparł Juan i zamówił kolejną butelkę. – W tym kraju ciągle jesteś mokry. Albo pada, albo pot spływa ci strumieniami po plecach.

□ □ □

Okazało się, że Juan się nie mylił. Kiedy następnego dnia wyruszyli tuż po szóstej rano, drogi wokół Ciudad Guayana znowu nadawały się do jazdy

samochodem. Powietrze było chłodne i świeże. Wsiedli do land-rovera i po opuszczeniu miasta jechali rozległą sawanną na zachód, w kierunku Orinoko. Brian sięgnął do kieszeni i wyjął pudełko tabletek. Połknął jedną pigułkę i popił ją wodą z manierki.

Juan z uśmiechem na niego popatrzył.

– Tequila nie była dobra?

Brian skinął głową.

– Dobra, ale było jej trochę za dużo.

– Ech, wy *Americanos*... tacy jesteście dumni ze swojej whiskey, ale ledwie dostaniecie coś porządnego, od razu chorujecie.

– Nie jestem Amerykaninem. Jestem Kanadyjczykiem.

Brian opadł na oparcie fotela i zamknął oczy. Nie miał ochoty na pogawędki.

2.

Amerykańska Służba Meteorologiczna, Camp Springs, Maryland

Teleks terkotał bez przerwy i wyrzucał masy papieru, który lądował w niebieskim koszu na pranie. Profesor Wayne Chang, meteorolog i geofizyk, siedział przy komputerze i wpatrywał się z niedowierzaniem w dane na ekranie. Mapa pokazywała południowe wybrzeże Florydy aż po Antyle. Jaskrawożółte izobary – linie łączące miejsca o tym samym ciśnieniu atmosferycznym – dzieliły teren na różne strefy, ale w ogólnym obrazie coś było nie tak jak należy. Ciśnienie na wysokości Portoryko spadło w ciągu ostatnich trzech godzin o ponad trzydzieści hektopaskali, prędkość wiatru wynosiła sto pięć kilometrów na godzinę, a prąd powietrza oddalonej o dwieście pięćdziesiąt kilometrów subtropikalnej strefy wyżu nieustannie zasilął powstały niż.

– Dostajemy dziwne dane także z kanadyjskiego północnego wybrzeża – powiedział kolega Changa, Schneider, który pobieżnie przejrzał papier z kosza. – Wypustka niżej islandzkiego idzie tam na Zatokę Hudsona. Jak na tę porę roku, to dość dziwne.

– A co jest tej wiosny takie jak powinno? – mruknął Chang. – Tam na dole coś się szykuje. Musimy ogłosić ostrzeżenie o sztormie. To nie wygląda dobrze.

– Huragan?

– Obawiam się, że tak. Ogromny i o cały miesiąc za wcześniej. Powstał przed Barbados. Z moich obliczeń wynika, że sunie z ogromną prędkością ku południowemu wybrzeżu Florydy. Trzy razy sprawdzałem kurs. Jeżeli parametry się nie zmieniają, uderzy we Florydę i wyspy Bahama.

– I dokładnie tu znów mamy problem – odparł Schneider. – Rok temu

trafnych było osiemdziesiąt procent naszych prognoz, a jeżeli w tym roku uda nam się pół na pół, będziemy mogli mówić o szczęściu. To już nie jest prognozowanie, tylko wróżbiarstwo.

Chang wcisnął klawisz ENTER i po ekranie popłynęły kolumny cyfr.

– Może zdezaktualizował się rozmiar naszego rastra? Rok w każdym razie zaczyna się nieźle. Huragan w połowie wiosny. To niemożliwe...

Powiększył mapę regionu, w którym zbierał się sztorm. Na mapę nałożono siatkę czarnych kwadratów. Każdy z nich był opisany kombinacją liter i cyfr. Front burzowy zajmował już ponad dwie trzecie powierzchni.

– Spójrzmy, co tam się dzieje... – mruknął pod nosem Chang. – Pamiętasz, co mamy w kwadracie DSQ trzysta dwadzieścia siedem?

Schneider przejrzał niekończącą się taśmę papieru i w końcu znalazł to, czego szukał.

– To boja na zatoce. Z radiem.

– Ściągnę dane – powiedział Chang i kliknął na link schowany pod literami w kwadracie. – Prędkość wiatru sto trzynaście kilometrów na godzinę, południowo-południowy zachodni, osiemset dziewięćdziesiąt hektopaskali, temperatura dwadzieścia jeden i trzy dziesiąte stopnia Celsjusza i niecałe osiemdziesiąt dwa procent wilgotności powietrza.

Schneider rzucił okiem na monitor i porównał dane z prognozą.

– Spójne.

Chang kliknął na sąsiedni kwadrat. Dane były niemal identyczne z DSQ 327. Zaczął sprawdzać dalsze miejsca na siatce. W każdym znajdowała się stacja pomiarowa: na boi, w satelicie, na balonie meteorologicznym, w czymś ogródku albo na publicznym budynku, a zbierane przez nie dane przekazywano do Internetu. Dochodziły do tego tysiące tradycyjnych stacji pogodowych, w których wolontariusz, zazwyczaj emeryt, cztery razy na dobę odczytywał dane i przekazywał je dalej przez telefon lub za pośrednictwem faksu. Pracownicy instytutu natychmiast wprowadzali te dane do centralnego komputera, aby powstał pełny obraz i można było sporządzić prognozę. Kiedy Chang kliknął na link na kwadracie DSQ 334, ze zdziwienia zmarszczył czoło. Prędkość wiatru sto trzydzieści kilometrów na godzinę z zachodu, ciśnienie tysiąc dwadzieścia hektopaskali, trzynaście i osiem dziesiątych stopnia Celsjusza i prawdopodobieństwo deszczu siedemdziesiąt dwa procent. Wynik znacznie odbiegał od normy.

– Co mamy w trzysta trzydzieści cztery? – spytał Chang i wskazał palcem na ekran. Kwadrat nakładał się na region na zachód od West Palm Beach.

Schneider grzebał w papierach.

– Mam! – zawołał po chwili. – Sygnał radiowy, schodzi przez sieć i od razu idzie do komputera.

– Coś tu nie gra – doszedł do wniosku Chang. – Tak duże odchylenie na dystansie pięciu kilometrów daleko wykracza poza zakres zmienności.

Schneider sięgnął po słuchawkę.

– Poślę tam ekipę serwisową. Niech rzucą na to okiem i sprawdzą czujniki.

– Jeśli już przy tym jesteś, to zadzwoń do Key West i powiedz, żeby wypuścili balon! Potrzebuję danych z górnych warstw atmosfery.

Nim Schneider zdążył podnieść słuchawkę, otworzono gwałtownie drzwi i do pokoju wpadł jak bomba Vargas. Z wysiłku był czerwony jak burak.

– Mamy na ekranie coś wielkiego! – zawołał. – Coś naprawdę gigantycznego. Trzysta kilometrów pod Baja. Szybko się zbliża.

Chang przełączył na mapę ogólną i powiększył zachodnie wybrzeże kontynentu.

– O cholera! – Niecałe sto kilometrów od Baja California znajdowało się kłębowisko chmur o średnicy mniej więcej trzystu kilometrów. Zdjęcie satelitarne było aktualizowane co dziesięć sekund. Bez najmniejszej wątpliwości zjawisko przesunęło się w stronę lądu.

– A niech mnie cholera! Kolejny gigantyczny cyklon – powiedział Schneider.

– Natychmiast wydajcie ostrzeżenie! – polecił Chang. – Dla całej żeglugi na Pacyfiku na południe od Baja i dla całego południowo-zachodniego wybrzeża. Najlepiej aż po Los Angeles. Jeżeli tu dotrze, niech Bóg ma nas w swojej opiece. Obliczyliście schemat przejścia?

– Zlokalizowaliśmy ten cyklon przed pięćdziesięcioma minutami u wybrzeży Meksyku, był wtedy niewielkim kłębowiskiem chmur. Teraz prędkość jego rotacji wynosi grubo ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jeżeli nie zmieni kierunku ruchu, dotrze do lądu za czterdzieści godzin.

– Prawdopodobieństwo? – spytał Schneider.

Vargas wziął głęboki wdech.

- Kierunek północny, mamy tam rynnę niżową, która sięga do San Francisco.
 - Cholera, będzie na styk.
- Wayne Chang złapał się za głowę.
- Czysty koszmar... a sezon sztormów jeszcze się nie zaczął. Moim zdaniem powinni to obejrzeć chłopcy z Miami. Coś tu jest nie tak...

Prom kosmiczny Discovery, 500 kilometrów od Baja California

Godzina 8.23 GMT. Po czterech dniach w kosmosie prom kosmiczny Discovery wracał ze stacji kosmicznej ISS i przed niespełna dwiema minutami zszedł z jej orbity. Silniki manewrowe zostały odpalone zgodnie z planem, a prędkość opadania zredukowana do dokładnie trzystu trzydziestu sześciu kilometrów na godzinę. Statek czekało wejście w stratosferę, wszystkie systemy pracowały w trybie automatycznym. Rozpoczęty został rutynowy lot opadający i drugi pilot Sanders oraz gość misji, Helmut Ziegler z Austriackiej Agencji Kosmicznej, udali się na polecenie dowódcy lotu na spoczynek. Automaty sterujące nadzorowali inżynierowie z kontroli naziemnej w Houston. Don Gibson, doświadczony pilot promu, uważnie obserwował instrumenty. To był jego czwarty lot w kosmos i gdyby wszystko poszło po jego myśli, przypuszczalnie nie ostatni. Patrzył przez małe trójkątne okienko na migoczącą niebieską kulę, która z tak wielkiej wysokości sprawiała wrażenie kruchej i maleńkiej. Już jako chłopak marzył o lataniu wielkimi raketami w kosmos, aby badać planety. Teraz wiedział doskonale, jak naiwne było jego wyobrażenie kosmosu, przestrzeni oraz czasu. Nawet do tego, aby udało się lądowanie na Księżycu, trzeba było ogromnych nakładów oraz armii naukowców, inżynierów i techników. Z astronomicznego punktu widzenia Księżyc był przy tym oddalony jedynie o rzut beretem. Mars, też „bliski” na tle rozmiarów kosmosu, ciągle jeszcze pozostawał poza zasięgiem lotów załogowych. Biorąc pod uwagę ogrom wszechświata, dotychczasowe osiągnięcia kosmonautyki nie były niczym innym jak postawieniem stopy za progiem, ale Don Gibson za nic nie chciałby stracić możliwości oglądania widoku, jaki miał właśnie przed sobą. Ziemia była zanurzona w głębokim granacie, w którym unosiły się białe, puszyste kłęбки wełny, za nią rozlewała się nieprzenikniona czerń kosmosu.

Gibson popatrzył na swoich towarzyszy, którzy na jego polecenie powkładali skafandry i mieli przespacerować najciekawszą fazę misji. Jeszcze niecałą godzinę temu ci dwaj unosili się nad stacją kosmiczną, aby ustawić uszkodzoną antenę satelitarną. Zadanie na zewnątrz stacji wiązało się z wieloma komplikacjami i aby zakończyć pracę sukcesem, Sanders z Zieglerem musieli dać z siebie wszystko. Prom musiał przebywać w kosmosie dłużej, niż planowano, zapasy tlenu zostały niemal całkowicie zużyte i obaj astronauty wrócili na pokład kompletnie wycieńczeni.

– Dowódca/NTO: G/S Zero! – rozległ się w słuchawkach głos szefa z ośrodka kontroli lotów z Houston.

– Słyszę cię – odparł Gibson.

– Lecisz na gigantyczny front burzowy. Skoryguj kurs i skręć na trzysta dwadzieścia pięć... trzy... dwa... pięć. Ominiesz dzięki temu centrum cyklonu i muśniesz tylko jego brzegi.

Gibson wyjrzał przez okno. Dokładnie przed dziobem Discovery widniało wielkie pole chmur.

– Zrozumiałem – odparł. – Przechodzę na sterowanie ręczne.

Ręczna korekta kursu była możliwa w każdej chwili. Prędkość oraz kąt opadania pozostawały cały czas w bezpiecznej strefie. Po korekcie kursu należało jedynie obliczyć inny kąt podejścia do lądowania i wpisać uzyskany wynik do automatycznego systemu lądowania. Potem Gibson będzie mógł znowu wygodnie się oprzeć i obserwować, jak Discovery sunie w kierunku szerokiego pasa w bazie sił powietrznych Edwards w Kalifornii. Wykonał delikatny manewr, aż uzyskał podany kurs, po czym ponownie wypoziomował maszynę. Prędkość spadła do trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Korekta wykonana – przekazał krótko do ośrodka kontroli.

– Mamy was jeszcze na ekranie, wygląda to dobrze – usłyszał w odpowiedzi. – Nowe wektory lądowania zostały wpisane do komputera. Discovery, przejdź ponownie na sterowanie automatyczne. Zgłosimy się.

Na twarzy Gibsona pojawił się uśmiech zadowolenia. Opadanie przebiegało spokojnie. Przy wejściu w troposferę promem mocno zatrzęsło, ale Gibson nie tracił spokoju. Gęstość atmosfery wyraźnie rosła i prędkość stale spadała. Nagle ze słuchawek zaczął dolatywać jedynie jednolity szum i statek zaczął się kołysać na boki. Gibson pociągnął za stery i wyłączył automaty. Przez statek przebiegł gwałtowny wstrząs i rozległo się głośne dudnienie. Powłokę statku bombardowały grudki lodu. Gibson zaklął.

Zamarł na chwilę i zastanowił się. W chmurach coś było. Kiełkujący strach sprawił, że dostał gęsiej skórki. Czuł się, jakby ścigał go własny cień, który próbował sięgnąć po jego duszę. Ogłuszający huk sprawił, że Gibson cały się wzdrygnął. W kokpicie rozbłysła oślepiająca błyskawica i instrumenty zaczęły wariować.

– Houston! Houston, mamy problemy!

Czekał, ale ze słuchawek dolatywał jedynie szum i trzaski. Gibson wyjrzał na zewnątrz i zobaczył, że znajdują się w kłębowisku chmur. Prom znowu się zatrzęsł od silnego grzmotu. Blask błyskawicy oślepił Gibsona. Na kilka sekund zacisnął powieki.

– Cholera jasna, Houston! – zawołał ponownie i znowu mu nie odpowiedziano. Odwrócił się do Sandersa i zawołał do niego po nazwisku przez radio pokładowe, ale Sanders się nie poruszył, a jego oczy pozostały zamknięte. Także Ziegler, który siedział w fotelu za Gibsonem, spał w najlepsze. Coś musiało być z nimi nie tak, ale Gibson nie miał czasu zajmować się kolegami, ponieważ statkiem znowu wstrząsnęło od uderzenia pioruna. Wyglądało na to, że prom spada przez chmury jak kamień.

– Cholera jasna, spadamy!

– Discovery... zgłoś... kursem...

Docierały do niego jedynie strzępki słów, niezrozumiałe fragmenty. Trzymał ster w stalowym uścisku i próbował przeciwstawiać się szarpnięciom cyklonu. Atakowany ze wszystkich stron statek wzdychał i jęczał, ale Gibsonowi udało się go ustabilizować. Prędkość spadła do dwustu siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę – jak tak dalej pójdzie, nie dolecą do pasa w Edwards. Gibson przeanalizował możliwości i wpadł mu do głowy awanturniczy pomysł. Metylohydrazyna w zbiornikach jeszcze nie została całkiem zużyta. Powinno jej wystarczyć na krótkie uruchomienie silników. Przełączył zielony przełącznik dźwignikowy, który regulował dopływ tetratlenku diazotu, po czym uderzył dłonią w czerwony przełącznik pod sterem. Sztuczny horyzont informował o tym, że spadają ku Ziemi pod ostrym kątem. Zanim pociągnął ster do tyłu, szybko się pomodlił. Oba silniki do manewrów orbitalnych odpaliły, statkiem szarpnęło i wystrzelił do przodu. Szybko zyskiwał wysokość i prędkość. Plan Gibsona chyba się sprawdzał. Rysunek promu na sztucznym horyzoncie coraz bardziej podnosił dziób do poziomu. Nagle statek przebił powłokę chmur i przez mleczną mgłę dało się dostrzec Ziemię. Kilka sekund później silniki zamilkły. Prędkość znowu wynosiła trzysta dwadzieścia cztery kilometry na

godzinę przy wysokości siedmiu tysięcy dziewięćset metrów. Do Edwards pozostawało dziewięćdziesiąt kilometrów.

– Houston, do jasnej cholery, zgłóście się! – Pot sływał Gibsonowi po czole.

– Discovery, dzięki Bogu... – odpowiedział dowódca lotu. – Co się z wami działo?

– Co się działo? Ta cholerna burza była bliżej, niż sądziliście. Przetrzepało nas jak diabli. Prawie runęliśmy. Moim zdaniem w chmurach coś było...

– Co to znaczy? Jak się czujecie?

Gibson obejrzał się za siebie i głośno westchnął.

– Dowódcu/O: G/S Zero – powiedział poważnie szef kontroli lotu. – Jaki jest wasz status?

Gibson wziął się w garść i odsunął przygnębiającą myśl.

– Nie uwierzycie. Podczas gdy prawie spadliśmy do oceanu, moi koledzy spali jak suszy. Nie można ich dobudzić.

– Podaj swój status!

Głos z kontroli lotów był w dalszym ciągu zaniepokojony. Najwyraźniej szef lotu miał wrażenie, że pilot Discovery postradał zmysły. Gibson popatrzył na instrumenty. Chyba wszystko było w porządku. Włączył terminal autotestu i spróbował przeprowadzić szybką analizę, na ekranie migał jednak tylko prostokąt ze słowem: OFFLINE.

– Mam problem – powiedział cicho. – Obawiam się, że z ptakiem coś jest nie w porządku. Nie dostaję danych do sprawdzianu statusu.

Przez chwilę panowało milczenie. Gibson ponownie wcisnął klawisz ENTER, ale obraz się nie zmienił.

– Discovery! – przerwał ciszę dowódca lotu. – Mamy ten sam problem. Nie mamy kontroli nad twoją automatyką sterowania. Powtarzam: też jesteśmy offline. Musisz wylądować na sterowaniu ręcznym. Jaka jest twoja obecna pozycja?

Gibson popatrzył na elektroniczny kompas i podał współrzędne, prędkość oraz wysokość. Znowu przez chwilę panowała cisza.

– Lecisz za szybko. Wejdź na osiem tysięcy pięćset metrów, zmniejszysz w ten sposób prędkość. Skręć na sto dwadzieścia cztery, powtarzam: skręć na jeden... dwa... cztery.

Gibson potwierdził i wykonał instrukcje. Uruchomienie silników manewrujących sprawiło, że poleciał kilka kilometrów za daleko na północ.

– Mam jeden dwa cztery na ośmiu tysiącach pięćset. Prędkość dwieście

osiemdziesiąt – zameldował po kilku minutach.

– Wyjrzyj na zewnątrz. Zobaczysz na horyzoncie Edwards. Przekazujemy cię kontroli lądowania. Wykonuj polecenia. Wszystko jest przygotowane. Życzymy szczęścia.

Kilka sekund później do Discovery zgłosiła się wieża bazy Edwards.

– Wypełniaj dokładnie moje instrukcje, sprowadzę cię – obiecał kierownik lotów bazy. – Otwórz klapy i zwolnij do dwustu pięćdziesięciu. Wejź w lot opadający! Potrzebujesz sześciuset metrów!

Kiedy wkrótce potem Don Gibson dostał polecenie wysunięcia podwozia, wbijał wzrok w lotnisko. Teraz wszystko było już kwestią minut. Gibson z napięciem przyglądał się wskaźnikom informującym o stanie podwozia. Podwozia skrzydeł poinformowały za pomocą piśnięcia, że zostały wysunięte i zablokowane. Umieszczone nad pilotem dwa zielone światełka potwierdziły komunikat. Zaterkotał sygnał ostrzegawczy – zablokowało się koło pod ogonem. Czerwone światło sygnalizowało awarię.

– Cholera jasna, Edwards! – zaklął Gibson. – Tylne koło się nie wysuwa! Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem!

– Co mam robić?

Pas błyskawicznie się zbliżał. Prędkość spadła do dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę, wysokość wynosiła niecałe czterysta pięćdziesiąt metrów.

– Do cholery, Edwards, co mam robić?!

– Chodź do domu – odparł kierownik lotów. – Ląduj, pilocie. Ląduj i módl się.



Niecałe trzy minuty po ostatnim kontakcie radiowym koła Discovery dotknęły ziemi – najpierw te pod skrzydłami. Przez jakiś czas prom mknął po asfalcie z zadartym nosem. Im bardziej zwalniał, tym bardziej siła ciężkości ściągała nos w dół. Koło z tyłu dotknęło ziemi, wyrzucając w powietrze chmurę dymu i pyłu, ale się nie złamało. Przynajmniej nie od razu. Gibson hamował i uruchomił spadochrony hamujące. W końcu koło pod ogonem nie wytrzymało i kadłub zaczął trzeć po pasie. Trysnął snop iskier i oderwało się kilka ognioodpornych płytek. Statek kołował na podwoziach skrzydeł i zatrzymał się tuż przed końcem pasa. Natychmiast w jego kierunku popędziły samochody służb ratowniczych.

– Boże, niewiele brakowało – powiedział dowódca ekipy ratunkowej po wyciągnięciu astronautów na zewnątrz. – Udało ci się, szatanie! Jak ci się to udało?

– Modliłem się – odparł Don Gibson ochryple.

Caragueta, delta Orinoko, Wenezuela

Choć jazda zapyłonymi drogami była mało komfortowa, Brian zasnął. Okolica wkrótce się zmieniła: czerwony pył został zastąpiony połaciami trawy przerośniętej szerokim pasem krzaków. Choć było jeszcze wcześniej, w samochodzie wkrótce zrobiło się nieznośnie gorąco. Subtropikalna wilgotność powietrza sprawiła, że koszula i spodnie przykleiły się Brianowi do ciała. Granica lasu stopniowo się przybliżała i po jakimś czasie tuż obok drogi pojawiły się pierwsze drzewa. Brian dałby sporo za klimatyzację, ale land-rover najlepsze lata miał już za sobą. Kiedy wjeżdżali na wzniesienie, którego jezdnia składała się z gołej skały, silnik zaparował, a z rury wydechowej buchnęły kłęby czarnego dymu. Tuż przed południem, kiedy temperatura stała się nieznośna, droga skończyła się przy rwącej rzece.

– *Maldita sea!* – zaklął Juan.

– I co teraz? – spytał Brian, ale Juan nie sprawiał wrażenia przygnębionego.

– *Me cago en diez!* – odparł z uśmiechem i przestawił znajdujący się tuż obok kierownicy przełącznik. – Teraz umyjemy samochód.

Wysiadł z samochodu i dał Brianowi znak, żeby zajął miejsce za kierownicą.

– Gaz! – zawołał Juan, kiedy stanął tuż przed maską samochodu.

Brian wzruszył ramionami.

– Wysprzęglj i dodaj gazu, *Canadiense!* Nawet Eskimos z zimnej północy powinien sobie z tym poradzić.

Brian zaklął i zrobił, co mu kazano – silnik zawył. Dopiero po chwili zrozumiał, co Juan zamierza. Wenezuelczyk trzymał w ręku karabinek wyciągarki i ciągnął za sobą stalową linę. Rzeka nie była zbyt głęboka – woda sięgała Juanowi do kolan – ale pokonanie zdradliwego i szybkiego nurtu szerokości dziesięciu metrów wymagało sporego wysiłku. Po przejściu na drugą stronę Juan owinął linę wokół grubego drzewa. Kilka minut później wyciągarka przeciągnęła samochód na drugi brzeg.

– Na drogach delty trzeba być przygotowanym na wszystko – rzekł Juan. – Ale jak powiedziałem, znam tę okolicę.

Brian z uznaniem skinął głową i klepnął się dłonią na płask w szyję. Przekłęte komary były plagą, a przecież przed wyjazdem nasmarował się dużą ilością środka do ich odstraszania. Godzinę później, trzy godziny drogi przed Tucupita, po bokach pojawiły się pierwsze chaty. Juan skręcił w kierunku dżungli. Brianowi pot spływał strumieniem po plecach. Dziesięć minut później dostrzegł przebijające się przez drzewa migotanie. Mieli przed sobą odnogę Orinoko. Rzeka była potężna, miała nie mniej niż pół kilometra szerokości. Na brzegu stały dwie proste chaty na palach ze ścianami z liści palmowych. Juan zatrzymał się i z jednej z chat wyszedł półnagi tubylec. Przyjaźnie przywitał się z Juanem. W gęstym lesie odbiło się echo małego wrzasku.

Juan zaczął rozmawiać z Indianinem gardłowym dialektem, a Brian zszedł na brzeg rzeki. Przy drewnianym pomoście cumowały dwie długie łodzie z silnikami zaburtowymi. Brian znowu klepnął się, tym razem w rękę. Kolejny komar.

– A większość z nich jeszcze śpi – rozległ się za jego plecami głos Juana. Brian odwrócił się i zobaczył, że Juan idzie do samochodu. Po chwili wrócił ze srebrną puszką w dłoniach. – Jeśli nie chce pan zostać do wieczora zjedzony, proszę się tym nasmarować.

Brian sceptycznie otworzył puszkę i powąchał zawartość. Szybko cofnął głowę i skrzywił się.

– Co to jest?

– Kerozyna, limonka i olejek dla niemowląt. Jedyna rzecz, która odstrasza te wampiry.

Brian niechętnie wsadził palec w śmierdzącą maź.

– Dwieście ukąszeń w ciągu dnia nie jest rzadkością – wyjaśnił Juan. – Zwłaszcza nad rzeką.

– Jak jedziemy dalej? – Brian zaczął smarować ramiona obrzydliwą emulsją.

– Yakuna zawiezie nas łodzią do Caragueli. To jakieś dwie godziny na północ stąd. Zjemy coś i za dwadzieścia minut wyruszymy. I proszę nie zapominać – to działa tylko wtedy, gdy wetrze się wszędzie, ale to już pańska sprawa, doktorze.

– Może przynajmniej odstraszy piranie... – Brian westchnął.

Wyruszyli zgodnie z planem. Rzeka była spokojna, a prąd umiarkowany.

Spowodowany przez ruch łodzi prąd powietrza chłodził ich rozgrzane ciała i czynił dzień nieco znośniejszym. Brian wyciągnął ręce w górę i rozkoszował się lekkim powiewem. Obserwował przepływające od czasu do czasu obok łodzi gałęzie i pnie.

– Wczorajsza burza wyrwała trochę drzew – wyjaśnił Juan. – Była naprawdę gwałtowna.

Skręcili w prowadzącą na wschód boczną odnogę. Przez chwilę towarzyszyła im para inii. Brian wyjął aparat i zrobił delfinom kilka zdjęć. Za kolejnym zakrętem ukazały się stojące na brzegu chaty. Przed nimi znajdowała się Caraguela.

3.

Droga międzystanowa numer 25, San Antonio, Nowy Meksyk

W White Sands był chłodny poranek, a nad lasem państwowym Cibola snuły się w porannej szarówce pasma mgły. Szeryf Dwain Hamilton podniósł futrzany kołnierz kurtki i popatrzył w kierunku drogi międzystanowej numer 25. Na szosie panował jeszcze spokój, wkrótce jednak tysiące dojeżdżających do pracy ludzi wyruszy w kierunku Albuquerque. Otoczona drzewami przydrożna restauracja stała przy niedużym strumieniu, który kilka kilometrów dalej na wschód wpadał do Rio Grande. Czerwone światła na dachu radiowozu wirowały energicznie, a żółta taśma rozciągnięta za pojemnikami na śmieci łopotała na wietrze.

Godzinę wcześniej zadzwonił zastępca szeryfa Lazard, siostrzeniec Hamiltona, i wyrwał go z niespokojnego snu. Odkąd w Boże Narodzenie Margo wyprowadziła się z dziećmi, potrzebował kilku drinków, żeby zasnąć. W głowie Hamiltona waliła młotami chmara robotników kolejowych, kiedy jednak Lazard powiedział o tym, że na parkingu pod San Antonio znaleziono zwłoki, natychmiast się obudził. Przez trzy lata, czyli dokładnie od chwili, gdy został szeryfem, w jego regionie popełniono tylko jedno morderstwo. Hamilton był dumny z tego, że mocno trzyma w garści podległą mu, składającą się z dziewięciu tysięcy dusz społeczność i otaczające miasto hrabstwo. Miał do czynienia z kradzieżami, przepychał się z pijanymi rozrabiakami i od czasu do czasu musiał interweniować, gdy zdarzały się bójki, teraz jednak nad Coward Creek, między dwoma wielkimi kontenerami na śmieci, leżał trup. Młody mężczyzna, mniej więcej trzydziestoletni, zdumiewająco blady, rudy, ubrany jedynie w spodnie od pidżamy i żółtą bawełnianą bluzę, na której widniał napis POW*.

Nie miał butów, kurtki, plecaka – niczego, co pozwalałoby domyślić się, kim jest albo skąd przybył.

* POW (ang.): *Prisoner of War*, jeńiec wojenny.

– Jeśli mnie pan pyta, szeryfie, to leży tu od wczoraj – powiedział doktor Roberts, miejscowy lekarz. – Sztynność pośmiertna już się cofnęła, ale te kropkowane zmatowienia są bardzo dziwne. Niech pan rzuci okiem.

Wskazał na jasne plamki pokrywające głowę i tułów trupa.

– Jeśli się nie mylę, są to lekkie ślady uciskowe po czujnikach, jakie stosuje się w szpitalach w trakcie EKG albo EEG. – Doktor ukląkł i podniósł prawą rękę zwłok. – Poza tym te wklucia w zgięciu łokcia. Albo był ćpunem, albo uciekł ze szpitala.

Szeryf Hamilton zapisał w małym skórzanym notesie to, co zauważył doktor.

– Co mogło być przyczyną zgonu?

Doktor chwilę się zastanowił. Ponownie podniósł powieki nieboszczyka i badawczo zajrzał w źrenice. Na koniec wstał.

– Przyczyną zgonu może być zatrucie, ale nie chciałbym wyrokować. Musimy poczekać na badania laboratoryjne tkanek. Na pierwszy rzut oka wygląda mi to na przedawkowanie.

Szeryf Hamilton zaklął.

– Czyli zrobił sobie „złoty strzał”?

Doktor Roberts się roześmiał.

– Albo zrobił mu go ktoś inny.

– Morderstwo?

– Dowiedzenie się tego to pańska robota.

Na parking wjechał czarny buick. Stojący przy wjeździe zastępca szeryfa próbował zatrzymać samochód, ale buick go minął i zahamował przed autem Hamiltona. Otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadł mężczyzna w szarym garniturze i beżowym trenczu. Ruszył w kierunku szeryfa, szeroko rozstawiając stopy.

– Witam szeryfie! Tak wcześnie już na nogach?

– Howard... co pana sprowadza do tej opuszczonej przez Boga okolicy?

Nie zatrzymując się, Howard podszedł do kontenerów i rzucił okiem na zwłoki. Kierowca buicka też już wysiadł i czekał przy otwartych drzwiach.

– Tex, niech pan wezwie ekipę do zabezpieczania śladów i poinformuje Albuquerque! – zawołał Howard do swojego kierowcy. – Niech przyślą też

karawan. Poza tym chcę mieć ekipę z psami. Musimy przeszukać teren!

Tex skinął głową i zniknął w samochodzie.

Szeryf Hamilton się skrzywił.

– Jeśli się nie mylę, parking znajduje się na terenie hrabstwa Socorro. Tak więc sprawa jest nasza.

Howard szeroko się uśmiechnął i wskazał na szosę.

– Pomyłka, Hamilton. Za szosę odpowiada policja stanowa, czyli my.

– Za szosę może tak, ale biegnie ona nieco dalej.

Howard wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer. Chwilę potem zamienił kilka słów z osobą, która odebrała. Dave Lazard popatrzył pytająco na szeryfa. Howard podszedł do nich i podał Hamiltonowi komórkę. Po krótkiej rozmowie z biurem prokuratora okręgowego sprawa kompetencji została wyjaśniona. Hamilton zamknął telefon i oddał go Howardowi, który cały czas szczerzył zęby.

– Dave, pakuj wszystko – powiedział Hamilton do swojego zastępcy. – Wycofujemy się.

– Kto znalazł zwłoki?! – zawołał za nim Howard, kiedy szeryf ruszył do samochodu.

– Crow. Kiedy opróżniał kontenery.

– Gdzie on teraz jest?

– Pojechał dalej. Może w rezerwacie?

– To niech go pan tu sprowadzi!

Hamilton pokręcił głową i usiadł za kierownicą.

– Pańska sprawa, kapitanie Howard!

Caragueta, delta Orinoko, Wenezuela

Wzdłuż brzegu stały proste drewniane chaty na palach ze ścianami z liści palmowych. W małej zatoczce wybudowano prymitywny drewniany pomost wrzynający się w rzekę. Juan zacamował łódź i wszedł na kiwające się deski. Z brzegu, nieruchomym wzrokiem, nieufnie obserwowało przybyszy czterech Indian z plemienia Warao ubranych jedynie w przepaski na biodrach. W dłoniach trzymali siekiery i nie wyglądali na zachwyconych nieoczekiwanym zakłóceniem codziennej rutyny.

Yakuna wołał zostać w łodzi, aż Juan zakończy rytuał powitalny. Kiedy Brian chciał wstać, Yakuna położył mu dłoń na udzie, dając znak, że lepiej

będzie, jeśli zostaną w łodzi do powrotu Juana. W dżungli nieproszeni goście nie zawsze są mile witani. Juan niespiesznie ruszył w stronę tubylców z odwróconymi w ich kierunku wnętrzami dłoni. Gest ten miał powiedzieć Indianom, że nie mają się czego obawiać.

Zbliżył się jeszcze jeden Warao. Mógł mieć około sześćdziesięciu lat, był chudy, a na głowie nosił zniszczony słomkowy kapelusz. W jego chodzie i gestach było coś arystokratycznego. Juan stanął i czekał, aż stary podejdzie. Ukłonił mu się i pozdrowił go. Do łodzi dolatywały strzępki słów, ale Brian nie rozumiał ich sensu. Rozmowa trwała dłuższą chwilę, ale stary najwyraźniej nie zamierzał jej kończyć. Brian czekał cierpliwie w upale kończącego się dnia i miał nadzieję, że wkrótce będzie mógł wysiąść z bujającej się jak łupina orzecha łódki. Na brzegu zbierało się coraz więcej mieszkańców wioski. Pokazały się także kobiety i dzieci. Brian odetchnął, ponieważ widok dzieci w tej bez dwóch zdań wrogiej ciszy uznał za dobry znak. Prawie dwadzieścia minut później Juan odwrócił się do łodzi i dał znak, że można wysiadać.

Briana bolały ręce i nogi, więc się przeciągnął. Kiedy długim krokiem wysiadał, łódź groźnie się zabujała. Yakuna wyskoczył na pomost i podążył za nim. Powoli ruszyli w kierunku starego i Juana.

– To naczelnik wioski – wyjaśnił Juan. – Pozwala nam do niej wejść i wita nas. Jest jednak mały problem z pańską latającą kobietą...

– Nie żyje?

Juan pokręcił głową.

– Naczelnik mówi, że udała się do bogów w bardzo długą podróż, ale jej ciało cały czas żyje.

Brian przełknął ślinę.

– Oznajmiłem mu, że jest pan białym szamanem – powiedział Juan. – Mimo to zgadza się, żeby pan do niej poszedł.

– Co się stało?

– To było w trakcie wielkiej burzy. Mieszkańcy wioski zebrali się w głównym domu i szamanka starała się przebłagać boga chmur. Modliła się i wleciała do niego. Nagle otoczyło ją jaskrawe światło. Zadymiło się i chata się rozpadła.

– Zniszczył ją piorun?

– Moim zdaniem tak. W każdym razie od tego czasu kobieta nie wróciła od boga chmur. Mieszkańcy wioski uważają, że w chmurach tkwiło zło i wyciągnęło rękę po wioskę, ale ona się poświęciła i dzięki temu ochroniła zarówno wioskę, jak i jej mieszkańców.

Stary odwrócił się i wskazał ręką ścieżkę biegnącą między drzewami i znikającą w dżungli. Brian wrócił do łodzi i wziął plecak, potem grupka ruszyła w drogę.

Wydeptana ścieżka biegła łagodnie pod górę. Po bokach rosły tropikalne drzewa i paprocie i im dalej oddalali się od rzeki, tym robiło się goręcej. Powietrze drżało od gorąca i nawet cień nie dawał chłodu.

– Niech to cholera weźmie... – mruknął pod nosem Brian. – Muszę oddać artykuł przed weekendem... Ostatnio naprawdę wszystko idzie jak po grudzie...

Kiedy weszli na szczyt, ujrzeli rozległą polanę. Stały na niej biedne, niczym niezdobione chaty. Kiedy podeszli bliżej, Brian zauważył jednak, że wszystkie domy mają wyjścia skierowane na duży dom stojący pośrodku polany. Dom wspólnoty wiejskiej.

Stary wymamrotał kilka słów i Juan przetłumaczył.

– Kobieta nazywa się Ka-Yanou. Leży w dużym domu. Mamy być cicho, w jej pobliżu nie wolno rozmawiać, aby nie odwracać uwagi jej ducha, by mógł powrócić do ciała.

Brian skinął głową. Już z daleka dostrzegał tył zniszczonej chaty plemienia. Dookoła leżały ciemne, zwęglone belki, a liście palmowe, z których zrobiono ściany, były brązowe i pomarszczone.

– Tak jak myślałem – piorun – oznajmił Brian.

Kiedy doszli do dużego domu, stary kazał im zaczekać. Mieszkańcy wioski, którzy zebrali się wokół dziwnych przybyszy, też stanęli. Naczelnik sam wszedł do zasłoniętego dywanami wejścia. Brian poczuł się dziwnie. Słysząc było wyłącznie odgłosy dżungli: śpiew ptaków, od czasu do czasu wrzask wyjca. Ludzie milczeli. Nawet dzieci stały nieruchomo wśród dorosłych i przyglądały się obcym z zatroskanymi minami.

– Dlaczego jest tak cicho? – szepnął Brian.

Juan odchrząknął.

– Uważają, że walka z bogiem chmur zdezorientowała ducha szamanki, który błądzi on teraz nad wsią i szuka swojego ciała. Dlatego milczą. Nie chcą przeszkadzać duchowi w poszukiwaniach.

Brian skinął głową.

Po kilku minutach starzec pojawił się w wejściu i dał Brianowi i Juanowi znak. Powoli weszli na prowadzącą do wejścia schodki. Yakuna został na zewnątrz. Kiedy znaleźli się w środku, puls Briana przyspieszył. Wzdrygnął się i mimo gorąca dostał gęsiej skórki. Na ziemi paliły się niezliczone świece.

Pośrodku wielkiego pomieszczenia na kilku kocach leżało nieruchome ciało kobiety. Brian podszedł bliżej. Łoże szamanki otaczały kobiety z wioski. Jedna z Indianek zwilżała czoło i wargi śpiącej. Kiedy Brian zrobił kolejny krok, ujrzał otwarte oczy szamanki, nieruchomo i tępo patrzące przez niego na wylot. Żyła.

Stary szepnął kilka słów Juanowi.

– Może pan podejść, doktorze Saint-Claire.

Brian podszedł jeszcze bliżej i ukląkł z lewej strony kobiety.

– Mogę ją zbadać? – spytał stłumionym głosem.

Juan przetłumaczył i stary skinął głową. Brian przyłożył ucho do ust śpiącej. Policzek musnęło mu wydychane powietrze. Wymacał puls. Był wolny, ale regularny. Kiedy zajrzał w oczy, zauważył lekkie, prawie niezauważalne drżenie źrenic.

– Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem, sędzę jednak, że jest tak daleko od życia jak od śmierci – szepnął Brian. – Najwyraźniej z powodu uderzenia pioruna zapadła w coś w rodzaju trwałego stanu wegetatywnego*. Obawiam się, że jeżeli nie zawieziemy jej do szpitala, to umrze. Musi dostawać płyny i pożywienie, bo za kilka dni się odwodni.

* Choroba ta nazywana jest także mutyzmem akinetycznym lub zespołem apalicznym: chore pozostają stale z otwartymi oczami, nie wykonują żadnych ruchów (mogą wodzić oczami) i nie nawiązują kontaktu z otoczeniem. Jest to efekt bardzo rozległych uszkodzeń półkul mózgowych lub zaburzeń komunikacji pomiędzy półkulami a pniem mózgu.

– Nie ma szansy, doktorze – odparł Juan. – Jej miejsce jest w tej wiosce.

– W takim razie umrze!

– Nie rozumie pan tutejszych ludzi. Ochroniła wioskę przed wielkim nieszczęściem. Mieszkańcy cały czas czują jej obecność. Jej duch czuwa nad wioską. Gdyby odeszła, tutejsi ludzie byłiby narażeni na wszelkie niebezpieczeństwa grożące ze strony dżungli i bezbronni wobec nich, a jej duch nigdy nie odnalazłby ciała. Rozumie pan?

– To zwykle zabobony.

– Dla pana to zabobony, ale Warao wierzą w to i tylko to się liczy. Nigdy nie pozwolą panu zabrać stąd tej kobiety.

– Ale tutaj nie można nic dla niej zrobić.

Juan zwrócił się do naczelnika wsi i szepnął mu do ucha kilka słów. Stary skinął głową i wyprowadził obu gości z chaty. Cała trójka – dołączył do nich

czekający na zewnątrz Yakuna – poszła potem za starym do kunsztownie zbudowanego domu, nad którego szczytem górował bogato ustrojony łeb pumy. Usiedli wokół paleniska znajdującego się obok wejścia. Stary kazał kobietom przygotować jedzenie i zaczął opowiadać Juanowi – który następnie wszystko tłumaczył – o Warao, o polowaniu i o życiu, jakie wie dzie jego lud. Od czasu do czasu dochodzi do krwawych starć z sąsiednimi plemionami, które plądrują tereny rybackie Warao albo przemierzają ich ziemie w poszukiwaniu łupów. Szamanka zawsze dobrze chroniła wieś i leczyła chorych oraz rannych. Ma dar drugiej twarzy i umie okiełznywać duchy. W ostatnim czasie zmarło niewielu ludzi z jego rodu. Odkąd Ka-Yanou rozmawia z duchami, nikt także nie zginął w walce. Kiedy z nimi rozmawiała, zdarzało się, że duchy unosiły ją w powietrzu. Aby podkreślić słowa gestem, stary przeciągnął płaską dłońią mniej więcej pół metra nad ziemią. Potem Indianin wstał i wszedł do chaty.

– No to ma pan swój artykuł – rzekł Juan.

– Co mu pan powiedział w tamtej chacie?

Juan się uśmiechnął.

– Niech pan zrobi kilka ślicznych zdjęć tej dzikiej okolicy i napisze o Warao. Niech pan napisze, że istnieją jeszcze ludzie szczęśliwi i zadowoleni z życia na łonie natury i do tego, aby prowadzić wypełnione zajęciami życie, nie potrzebują naszej cywilizacji.

– Co mu pan powiedział w tamtej chacie?

Juan zmarszczył czoło.

– Że pana zdaniem jej duch wkrótce powróci do ciała.

– Jeżeli nie zawieziemy jej do szpitala, ona umrze. To nasz chrześcijański obowiązek!

– Nie sądzę. Też jestem chrześcijaninem i ochrzczono mnie w imię Boga, ale gdy patrzę, na co Bóg pozwala w stosunku do tych, którzy mu służą, mam wątpliwości, czy On naprawdę istnieje. Tutejsi ludzie wierzą, że wszystko, co ich otacza, wypełnia wiele duchów i że te wszystkie duchy z początku nie są nastawione do ludzi przyjaźnie. Dlatego potrzebują szamanki. Wierzą w to, że mieszka w niej siła, której udaje się ugłaskać albo przepędzić złe duchy. Gdybyśmy im ją zabrali, odebralibyśmy im wielką moc. Sprowadzając jej stan do diagnozy medycznej, narażamy na szwank wiarę i ufność tych ludzi. Chce pan tego?

Brian przetknął ślinę.

– Jeśli tu zostanie, odwodni się i wygłodzi – spróbował po raz ostatni przekonać Juana o konieczności przetransportowania szamanki do szpitala.

– Jeżeli przeznaczone jest jej umrzeć, to umrze. To jest dla tych ludzi znacznie łatwiejsze do zaakceptowania, niż odebranie im kontaktu z bogami i ochrony przed nimi.

Brian westchnął. W głębi serca wiedział, że Juan ma rację. Kobieta należała do swego ludu – zarówno żywa, jak i umierająca, a przede wszystkim po śmierci. Zrozumiał jeszcze jedno: Juan nie był tępym i niewykształconym kowbojem, za jakiego go początkowo brał, a delikatnym i inteligentnym człowiekiem. Rozumiał znacznie więcej, niż Brian sądził jeszcze poprzedniego dnia.

Wkrótce kobiety przyniosły jedzenie. Brian nie był głodny, ale stary, który wrócił na posiłek, byłby obrażony, gdyby gość nie jadł. Wbrew woli Brian zaczął więc naśladować obecnych i sięgnął zakrzywionymi palcami do drewnianej miski. Kiedy spróbował, uniósł ze zdumienia brwi. Papka smakowała znakomicie.

– Co to jest?

Juan mlasnął i oblizał palce.

– Papka z korzeni, warzyw i ryby. Bardzo pożywne.

– Z ryby?

– Z piranii – odparł Juan ze śmiechem.

Przylądek Canaveral, Floryda

Dyrektor Traverston z nietęgą miną patrzył nad brzegiem okularów na profesora Jamesa Paula, kierownika misji promu kosmicznego, który skończył raport.

– A dlaczego meteorologowie nie potrafili przewidzieć cyklonu?

– Nieco się pomylili. Po prostu się pomylili. Mieliśmy go na ekranie, ale nagle przyspieszył i z nieoczekiwanie dużą prędkością zaczął się przesuwać w kierunku Bąja. Nie dało się tego przewidzieć.

– Mimo wszystko burza nie mogła czegoś takiego spowodować – rzekł Traverston. – Jeszcze nie słyszałem o tym, aby uderzenie pioruna powodowało u astronautów stan śpiączki. Oparzenia, śmierć, to są znane skutki, poza tym dlaczego coś dzieje się z dwoma, a z trzecim nic, choć znajdował się w tym samym pomieszczeniu, metr, dwa od pozostałych? Coś tu nie pasuje, James.

– Wiem – odparł profesor. – To właśnie mnie dziwi. Proponuję z tego powodu wstrzymać wszystkie loty promu, do czasu aż dokładnie zbadamy i wyjaśnimy incydent. Nie możemy wykluczyć, że zawiodły nasze systemy. Traverston machnął dłonią.

– Nie możemy ot tak, po prostu, ignorować umów podpisanych z innymi krajami. Rozbudowa jednostki zaopatrzeniowej ISS ma zostać zakończona do października. To oznacza, że musimy wykonać jeszcze przynajmniej dwa loty.

– A co powiemy Austriakom?

Traverston się zastanawiał.

– Głupio, że mieliśmy właśnie jako gościa człowieka z ALR*. Nie da się z tego powodu utrzymać sprawy w tajemnicy. Jaki jest stan Zieglera?

* Agentur für Luft und Raumfahrt, Austriacka Agencja Kosmiczna.

– Ziegler i Sanders leżą w naszej klinice, tutaj, w ośrodku kosmicznym. Ich stan nie uległ zmianie. Tylko Gibson wrócił z kosmosu obudzony. Nabił sobie przy lądowaniu awaryjnym kilka siniaków, ale lada dzień opuści klinikę.

Zapukano do drzwi i Paul ze złością podniósł wzrok. Wyraźnie powiedział, że nie chce, aby mu przeszkadzano.

– Tak?! – zawołał szorstko.

Drzwi się otworzyły i do środka zajrzała sekretarka. Obok niej stała doktor Lisa White Eagle, Indianka Navaho. Była fizykiem i od kilku lat odpowiadała za technikę na pokładzie promu kosmicznego. Wyglądała na zmartwioną.

– Co się stało? – burknął Paul.

Lisa White Eagle podeszła i bez słowa skinęła głową dyrektorowi Traverstonowi.

– Niech pani mówi! Co się stało?

– Skończyliśmy wstępne badania promu. Uszkodzenia podwozia i powłoki zewnętrznej są niewielkie, ale trzeba wymienić całą elektronikę sterującą. Widocznie z powodu silnej jonizacji powietrza ten system Discovery mimo izolacji doznał poważnych uszkodzeń.

– Ile to potrwa?

– Cztery, może pięć tygodni.

– No dobrze, w takim razie zabierajcie się natychmiast do pracy!

– Jest jeszcze coś – powiedziała White Eagle i rzuciła Traverstonowi pytające spojrzenie.

Paul się wyprostował.

– To znaczy?

– Jest pewna niezwykła sprawa, o której muszę panu powiedzieć. Nie mamy jakiegokolwiek fizycznego wyjaśnienia tego zjawiska.

– Proszę mówić!

– Element sterujący w promie stracił synchronizację z elementem kontrolnym bazy.

– Co to dokładnie znaczy? – spytał Traverston.

– Mamy odchylenie sześćset sześćdziesiąt siedem tysięcznych sekundy. Normalnie system sterujący promu jest zsynchronizowany z automatycznym sterowaniem kontroli naziemnej na czas żułu z uwzględnieniem względnej dylatacji czasu*. Wszystkie polecenia dotyczące sterowania, które przekazalibyśmy teraz online do promu, zostałyby wykonane albo zbyt wcześnie, albo w strumieniu danych byłyby odchylenia mogące prowadzić do zignorowania poleceń. Krótko mówiąc, nie jest możliwa automatyczna kontrola lotu promu.

* Uniwersalny czas koordynowany – wzorcowy czas ustalany na podstawie międzynarodowego czasu atomowego uwzględniający nieregularność ruchu obrotowego Ziemi i koordynowany względem czasu słonecznego. Czas ten jest wyrażany za pomocą 24-godzinnego zegara i jest używany w nawigacji lotniczej i morskiej, gdzie jest znany pod swoją wojskową nazwą „zulu time”. Dylatacja czasu jest to zjawisko różnic w pomiarze czasu dokonywanym równolegle w dwóch różnych układach współrzędnych, z których jeden przemieszcza się względem drugiego.

– Co w tym niezwykłego? W końcu ptak przeleciał przez orkan – powiedział Traverston.

– Jest tam wbudowany zegar atomowy, który nie dopuszcza do odchyień – wyjaśnił profesor Paul.

White Eagle potwierdziła skinieniem głowy.

– Jak na razie brak logicznego wyjaśnienia.

Traverston rzucił okiem na swój zegarek.

– Dobrze, James. – Nagle zaczęło mu się spieszyć. – Zbadajcie to. Macie ode mnie zielone światło. Jeśli i tak musimy na parę tygodni zrezygnować Discovery, to przesuniemy kilka lotów. Postaram się wyjaśnić Austriakom, co się stało, ale oszczędźcie mi nadmiaru szczegółów technicznych. Powiem im, że zawiniła burza, i wyrażę swoje ubolewanie.

– A co z zakazem startów? – spytał Paul. – Mam na myśli także Endeavour i Atlantis. Latają z tym samym wyposażeniem.

Traverston się wahał.

– Do zaplanowanego startu Atlantis mamy sześć tygodni. Jeżeli do tego momentu nie znajdziecie logicznego wyjaśnienia awarii, to zwalamy wszystko

na burzę. Czy to jasne, James? Jak dotychczas, zawsze ponosiliśmy w astronautyce ofiary i nie możemy z powodu takiego incydentu opóźnić projektu ISS. Tym razem to znowu my, a nie Rosjanie, jesteśmy numerem jeden w kosmosie. Stanę za tobą wtedy i tylko wtedy, gdy zdecydowanie mi powiesz, że katastrofa na pewno się powtórzy. Ja też jeszcze nie zapomniałem katastrofy Columbi. Rozumiemy się, James?

Profesor Paul skinął głową.

4.

Zatoka Missisipi, Alabama

Huragan, który Wayne Chang zauważył na Morzu Karaibskim, sunął wzdłuż rynny niskiego ciśnienia w kierunku zatoki Missisipi, ku delcie rzeki i z całą siłą trafił wybrzeże w okolicy miasta Mobile. Ludzie z zagrożonych miejscowości zabili okna deskami i zabarykadowali się w domach, ale niewiele to dało. Wiatrowi o prędkości dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę nie oparły się ani deski, ani grube belki. Huragan zabierał ze sobą wszystko, co stało mu na drodze. Część ludzi uciekła z najpotrzebniejszym dobytkiem w głąb ładu, ale ci, którzy postanowili zostać w domu, modlili się o życie.

Pastor z Marlow, miasteczka znajdującego się na południowy wschód od Mobile, musiał się bezsilnie przyglądać, jak wiatr unosi dach jego kościoła i porywa go w ciemne chmury. Była to ostatnia rzecz, jaką ujrział w życiu, gdyż chwilę później, zraniony śmiertelnie przez ciężką belkę kościelnej nawy, osunął się bez tchu na ziemię.

Na zachodzie miasta niczym zapalki złamały się stalowe filary mostu i zwały na budynek fabryki, w którym znajdowało się kilkunastu robotników. Żaden z nich nie przeżył.

Za miastem, przy drodze do Summerdale, wichur szarpał farmę Richardsonów – szwedzkiej rodziny, która sprowadziła się do Stanów Zjednoczonych dwadzieścia lat wcześniej i potem oraz łzami stworzyła sobie nowe życie. Melissa Richardson siedziała z szóstką dzieci w piwnicy, a mąż z kilkoma sąsiadami próbował ratować to, czego nie dało się nijak uratować. Ciasno ściśnięci kulili się na podłodze. Pani Richardson obejmowała dzieci ramionami, jakby to mogło je ochronić. Wycie wiatru narosło do przerażającego huku, a niezwykle głośny łoskot zdradzał, że wiatr rzuca swoimi łupami o ich dom: tablicami

reklamowymi, belkami i deskami. Matka mamrotała pod nosem modlitwę, dzieciom po twarzach spływały łzy. Gdyby sprawy poszły po jej myśli, bladym świtem wsiedliby wszyscy do samochodu i uciekli, pojechali aż do Jackson. Nie udało jej się jednak przekonać męża.

– Zbudowałem to wszystko własnymi rękami – powiedział. – Nie dam sobie tego ot tak zabrać.

Kiedy burza uderzyła, intuicja Melissy powiedziała jej od razu, że ustąpienie mężowi było błędem. Gdyby zawiozła dzieci w bezpieczne miejsce, on prawdopodobnie tu by został.

Odgłosy z zewnątrz zaczęły sugerować, że wiatr osłabł. Przynajmniej wycie nieco ścichło i skończyły się uderzenia o ściany. W duszy pani Richardson zakiełkowała nadzieja, przez sekundę sądziła, że najgorsze minęło, niestety, myliła się – najgorsze dopiero miało nadejść.

Dom został dosłownie zdmuchnięty znad ich głów. Potem wiatr uniósł belki parteru, stanowiące ich jedyną osłonę przed wirującymi masami powietrza, i jedna po drugiej zaczęły odfruwać, aż szalejący żywioł wdarł się do piwnicy. Tom, czterolatek, pierwszy został porwany przez szalejący żywioł. Melissa z całej siły obejmowała pozostałe dzieci, ale na próżno. Zawyla, gdy zwałił się im na głowy niesiony wirem powietrza świeżo kupiony traktor. Kilka sekund później rodzina Richardsonów – wraz z całym dobytkiem: domem, stajnią i zwierzętami – została zmieciona z powierzchni ziemi. Część zginęła przywalona różnymi ciężkimi rzeczami, część została porwana przez huragan.

Wydawało się, że nieposkromiona siła huraganu jest niewyczerpana. W pasie szerokości mniej więcej dwustu kilometrów Amy – jak nazwali meteorologowie tropikalny cyklon – zniszczyła gospodarstwa, wsie i całe dzielnice miast. Pozostawiła po sobie pas śmierci i zniszczenia. Dopiero po dotarciu do Mobile cyklon osłabł i zamienił we front deszczowo-burzowy. Duże połacie ziemi zostały zalane przez ulewę i woda zniszczyła marne resztki tego, czego nie zniszczył wiatr. Wszędzie na południowym wybrzeżu Alabamy i zatoki Missisipi słychać było tego dnia wycie syren wozów ratunkowych i służb do zwalczania skutków katastrof, a kiedy zapadła boć, te szpitale i kostnice, które przetrwały cyklon, przepełniły się ludźmi – zarówno żywymi, jak i martwymi. W godzinach wieczornych gubernator Alabamy ogłosił stan wyjątkowy, a Gwardia Narodowa została skierowana do wspierania służb ratunkowych. Rozmiar zniszczeń przerażał. Było jasne, że tygodnie, wręcz miesiące, potrwa usuwanie

głównych uszkodzeń – niektóre będą widoczne jeszcze długo. Amy spowodowała śmierć ponad stu tysięcy ludzi. Odetchnęli za to mieszkańcy Zachodniego Wybrzeża w okolicy Los Angeles. Co prawda cyklon Bert musnął wybrzeże w okolicy Baja, ale rymna niskiego ciśnienia przenosiła się coraz bardziej na północny zachód nad Pacyfik i cyklon rozpląnął się niecałe pięćset kilometrów od Zachodniego Wybrzeża. Porwanych lub przewróconych zostało jedynie kilka chat i koszy plażowych. Nikt nie zginął. Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych o włos uniknęło katastrofy.

Racine, Wisconsin

Suzannah Shane leżała obłożona książkami na balkonie swojego mieszkania przy Oakes Road, a kiedy wiatr zmienił się z południowego na zachodni, włożyła gruby wełniany sweter. Słońce schowało się za gęstymi chmurami, a nad jezioro Michigan nadciągnęły ciemne chmury, które sunęły w kierunku Racine.

Zakłęła w duchu, bo piękny słoneczny dzień miał się zakończyć deszczem. Był to pierwszy dzień jej urlopu i przysięgła sobie, że tym razem naprawdę wypocznie, poczyta i będzie się cieszyć czasem spędzanym nad jeziorem. Może pojedzie na kilka dni na Wschodnie Wybrzeże albo do Nowego Jorku, gdzie mieszkała jej siostra, ale prawdę mówiąc, nie miała na to najmniejszej ochoty. Po ostrej kłótni z matką nie chciała jechać do Baltimore.

– Wprawdzie robisz karierę zawodową, ale nie radzisz sobie w życiu prywatnym, ciągle ponosisz porażki – zarzuciła jej matka, kiedy przed dwoma tygodniami rozmawiały przez telefon.

Suzannah straciła panowanie nad sobą. Miała swoją dumę i nie pozwoli, aby mówiono jej, że jest nieudacznikiem. W zasadzie żałowała ostrych słów, jakimi przywołała matkę do porządku, ale nie była jeszcze gotowa przeproszać i jechać do niej z wizytą. Od tamtego dnia panowała między nimi cisza na linii. Tak więc Suzannah postanowiła, że w pierwszym tygodniu poleniuchuje.

Przez balkon przeleciał silny podmuch wiatru i przerzucił kartki książki, która leżała na jej kolanach. *Romeo i Julia*, tragedia o romantycznej, ale nie-szczęśliwej miłości dwojga ludzi, którym nie wolno było się ze sobą związać.

Miłość, wierność, namiętność – na te sprawy nie było już miejsca w jej życiu. Tylko raz naprawdę kochała, ale od tego czasu minęły lata. Tuż przed ślubem facet po prostu zniknął z jej życia. Złamało jej to serce i rana nigdy dobrze

się nie zagoiła. Miała potem jeszcze kilka romansów, ale uszczęśliwiające uczucie miłości już nigdy nie wróciło. Zbyt szybko zawarte małżeństwo z lekarzem też się nie udało.

Nie mógł dać jej tego, za czym tęskniła, i zdawała sobie sprawę, że mężczyzna, który był jej pierwszą wielką miłością, po prostu odebrał jej szczęście i miał gdzieś, co się stanie z Suzannah. Od tego czasu pochłaniała literaturę, w której była mowa o nieszczęśliwej miłości. Tylko to jej pozostało, choć trzeba dodać, iż brak szczęścia w miłości nie miał najmniejszego związku z jej wyglądem. Od rozwodu z Andrew, którego poznała w trakcie projektu badawczego w Memorial Hospital, przynajmniej dwa razy w tygodniu biegała. Nagrodą za wysiłek była idealna figura, której nadawała ostatniego szlifu codziennym treningiem z ciężarami na siłowni uniwersytetu. Połyskujące rudawo, gładkie włosy i smągła cera nadawały jej nieco zuchwały wygląd. Choć była w połowie drogi między trzydziestką a czterdziestką mężczyźni w dalszym ciągu się za nią oglądali. Z depresją walczyła za pomocą pracy, która obecnie stanowiła sedno jej życia. Była z wykształcenia neuropsychologiem, a wyrobiła sobie renomę jako jedna z najlepszych w Stanach Zjednoczonych badaczek snu. Droga do profesury była przed nią. Rzadko miewała miłostki – jeśli chodzi o mężczyzn, to w ostatnim roku była z kilkoma przelotnie, w zasadzie na jedną noc. Jej dzień pracy liczył nieraz szesnaście godzin, więc nie miała czasu ani na szukanie wielkiej miłości, ani na depresję. Na kolejne rozczarowania. Jej życiową dewizą stało się: „Potknąć się – tak, przewrócić – nigdy więcej”. Nie mogły tego zmienić nawet nieustanne narzekania matki.

Znowu na znajdujący się od strony jeziora balkon dmuchnął zimny podmuch. Trzypokojowe mieszkanie, które kupiła, leżało przy samym jeziorze Michigan, w jednej z najdroższych okolic. W zamkniętym osiedlu dla wyższych stref klasy średniej. W okolicy kupiła mieszkania nawet kilku aktorów z Hollywood, ponieważ dzięki temu mogli uciec od stresu Los Angeles i odpocząć kilka dni nad wodą. Trzy długie budynki łączyły się w otwarty od zachodu kwadrat. Pośrodku znajdowały się wielki basen i bar. Do ekskluzywnego osiedla wstęp mieli tylko mieszkańcy i ich goście. W podziemnym garażu stało żółte porsche Suzannah, które kupiła kilka miesięcy temu i którym jeździła do Chicago – z wyjątkiem dni, kiedy nocowała w pokoiku na uniwersytecie, jako że jazda wzdłuż jeziora Michigan się nie opłacała. Pieniądze nie stanowiły

problemu. Pensję miała dobrą, dodatkowe dochody przynosiły honoraria za publikacje w różnych czasopismach fachowych. Biorąc pod uwagę status społeczny, reputację zawodową i majątek, Suzannah mogłaby być całkiem szczęśliwa, wiedziała bowiem – i pogodziła się z tym – że już na zawsze zabraknie jej tego, co najważniejsze.

Z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. Pierwsze dni urlopu były najgorsze. Weszła do mieszkania i podniosła słuchawkę.

– Cześć, Suzi! – doleciał ze słuchawki głos jej siostry Peggy. – Chciałam tylko dać znać, że żyję. W związku z twoim urlopem i tak dalej.

Suzannah odetchnęła z ulgą. Obawiała się już, że przy aparacie jest ktoś z uniwersytetu i jej wakacje gwałtownie się zakończą.

– Nie mam pojęcia, kiedy przyjadę – powiedziała Suzannah. – Muszę się najpierw odnaleźć. Ten stres w ostatnim czasie...

– Kiedy byłaś u nas po raz ostatni? Przed rokiem? Nieraz obiecywałaś, a skończy się tym, że mała nie rozpozna chrzestnej. Coraz bardziej się izolujesz. Matka nie widziała cię z pół roku. Martwi się o ciebie.

– Martwi się o mnie?

– Masz w ogóle jeszcze przyjaciół?

Suzannah westchnęła.

– Tylko znowu nie zaczynaj. Wiedzie mi się dobrze. Dobrze zarabiam i stać mnie na wiele rzeczy, moje życie seksualne jest jak zawsze ekscytujące, a ostatnia wizyta u lekarza też wypadła dobrze.

– Jakby na tym kończyło się życie. Suzi, życie to coś więcej niż praca i sen. Co robisz między jednym a drugim?

Suzannah wzniosła oczy do sufitu.

– Zadzwoniłaś, żeby wygłosić kazanie czy matka cię o to poprosiła?

– Nie, ale martwię się o młodszą siostrę. Nie chcę raz na dwa miesiące do ciebie dzwonić – chcę cię znowu zobaczyć. To zbyt wielkie wymaganie?

– Dlaczego nie przyjedziesz do mnie?

– Doskonały pomysł. Wezmę ze sobą dzieci i Roberta, zagnieźdźmy się u ciebie i spędzimy razem kilka przemiłych dni. Może być pojutrze?

Suzannah głęboko wciągnęła powietrze. Taki najazd był ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała.

– Dobry pomysł? – spytała wyzywająco Peggy.

– Nie... jestem pewna...

– Chętnie zobaczyłabym teraz twoją minę – powiedziała Peggy ze śmiechem. – Ale żarty na bok. Jednostka Roberta została na cztery tygodnie przeniesiona do Mobile. Jadę z dziećmi na dwa tygodnie do mamy i cieszyłabym się, gdybyś i ty wpadła na kilka dni. Powiedzmy w następny weekend. Załatwisz w ten sposób za jednym zamachem wszystkie obowiązkowe wizyty i będziesz mogła się przez resztę urlopu skupić wyłącznie na sobie.

– Co robi Robert w Mobile? – spytała Suzannah, żeby zmienić temat.

– Pomaga przy porządkowaniu po huraganie. Wygląda tam jak po bombardowaniu. Jego jednostka pomaga usuwać skutki katastrofy i pomyślałam, że wykorzystam okazję i pojadę z dziećmi do Baltimore. Jeśli jednak wolisz, mogę zahaczyć o Racine.

Suzannah nienawidziła natarczywego sposobu bycia siostry, która zawsze dopięła swego. W sporach między nimi Peggy zawsze narzucała swoją wolę, Suzannah wiedziała więc doskonale, że to nie puste słowa – Peggy zazwyczaj robiła to, czym groziła. Poza tym Suzannah nie mogła wiecznie uciekać przed matką.

– No więc dobrze, w przyszły weekend – zgodziła się w końcu. – Ale w poniedziałek wracam do domu.

– To się okaże.

Suzannah położyła się na kanapie i zapatrzyła w jezioro. Kiedy kilka chwil myślała o rozmowie z siostrą, zawilgotniały jej oczy. Peggy miała rację. Tylko praca i sen to za mało, aby być szczęśliwym. Co miała jednak, do pioruna, robić? Przeciągnęła dłonią po czole. Wstała i poszła do łazienki. W dolnej szufladzie szafki leżały tabletki. Wzięła jedną i połknęła, popijając wodą. Kolejna mała dawka pozornego szczęścia. Wróciła do sypialni, usiadła na łóżku i pozwoliła popłynąć łzom. Po jakimś czasie się uspokoiła i wytarła oczy. W ostatnich latach każdy urlop zaczynał się tak samo. Potknąć się – tak, przewrócić – nigdy więcej.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych m. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Pokój był surowo urządzonej i sterylnej. W półmroku widać było jedynie łóżko i aparaturę. Rurki i przewody biegły od maszyn do ciała i głowy leżącego

nieruchomo mężczyzny przypiętego do lekko uniesionego łóżka. Okna były zamknięte, zielone zasłony zaciągnięte. W regularnych odstępach rozlegało się ciche piśnienie. Po zielonych ekranach stojących na ruchomych stolikach monitorów biegły różnokolorowe sfalowane linie. Astronauta Helmut Ziegler z Austriackiej Agencji Kosmicznej leżał już trzeci dzień nieruchomo i z zamkniętymi oczami na szpitalnym łóżku. Wszystkie funkcje życiowe – z wyjątkiem oddechu – były poniżej normy, co półtorej godziny linie elektroencefalogramu, elektrookulogramu i elektromiogramu zaczynały jednak skakać jak szalone. Dzięki obrazowaniu za pomocą rezonansu magnetycznego zapisywano równocześnie korespondującą z tym aktywność hipokampa i kory mózgu. Helmut Ziegler zdecydowanie spał. Spał snem przypominającym śpiączkę, z którego mimo wszelkich wysiłków lekarzy NASA nie dało się go obudzić. Był to całkowicie nienaturalny, wegetatywny stan, którego nie dało się wyjaśnić za pomocą dotychczasowego stanu wiedzy.

– Z Sandersem jest identycznie – oznajmił doktor Brown, ordynator szpitala, i popatrzył na zegarek.

Profesor Paul patrzył przez szklaną szybę do wnętrza pokoju i obserwował aparaturę.

– Zaraz się zacnie – ostrzegł Brown. – Można według tego nastawiać zegarek.

– A co się za tym kryje?

– Aktywność elektryczna mózgu, do tego szybkie ruchy gałek ocznych i napięcie mięśni. Ten człowiek śni. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Fazy REM pojawiają się na zmianę z fazami głębokiego snu. Wszystko jest jak najbardziej naturalne. Objawy można zdiagnozować jednoznacznie, nie umiemy jednak znaleźć przyczyny. No cóż, jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem, ale w końcu jestem internistą i bakteriologiem. Brakuje nam specjalistów. Neurologów, psychiatrów, kompetentnych psychologów, w tym wypadku badaczy snu, którzy zajmują się wyłącznie podobnymi sprawami. Nasz zespół nie jest przygotowany na tego typu przypadki.

– Co mi pan radzi?

Brown pokręcił głową.

– Bez fachowców nie posuniemy się dalej. Bezskutecznie przeszukaliśmy biblioteki wszystkich klinik specjalistycznych w poszukiwaniu opisów podobnych przypadków. Natknęliśmy się tylko na jedną publikację, która porusza się

– powiedzmy – w strefie granicznej. Niedawno temu pewien psycholog napisał artykuł o kobiecie z Amazonii, która po uderzeniu przez piorun najwyraźniej także zapadła w głęboki sen i śni.

– Radzi mi pan więc ściągnąć specjalistów z zewnątrz?

– Powiem wprost: jeżeli chcemy rozwiązać tajemnicę naszych astronautów, nie uda się to bez pomocy. Nie zdołamy.

5.

Socorro, Nowy Meksyk

Zastępcy szeryfa, Lazardowi, pot spływał po czole. Mundur miał brudny, czarne kowbojki pokryte warstwą kurzu. Kiedy zamknął drzwi prowadzące do cel, uciął głośny wrzask. Szeryf Hamilton stał za kontuarem i patrzył na zegar.

– Gdzieście go znaleźli?

Lazard strzepał kurz z kapelusza.

– Schował się pod Lopez w chacie. Jest pijany i zachowywał się jak oszalały muł. Musieliśmy mu założyć kajdanki.

– Dobra robota – skomentował Hamilton. – Zadzwoń do sędziego. Hollow niech się zajmie raportem. Kiedy nieco się odświeżysz, musimy porozmawiać.

Lazard skinął głową.

Hamilton odwrócił się i wszedł do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem i zamknął teczkę na akta. Zadowolony palił cygaretkę. Znowu udało się załatwić kolejną sprawę. Bearfoot się wyśpi, a jutro rano zostanie przekazany do Albuquerque. Był pijakiem i rozrabiaką. Dwa tygodnie temu uciekł z więzienia w Las Cruces i od tego czasu wążsał się po hrabstwie Socorro. W miniony wtorek przyszedł do leżącego za miastem baru U Elly i po tym, jak się zdrowo upił, zaczął awanturę z kierowcą ciężarówki. Z mebli w maleńkim barze niewiele zostało, a kierowca był tak pobity, że nadawał się tylko do szpitala. Poza oporem władzy, jaki dzisiaj stawiał podczas aresztowania, do listy jego przewinień doszło parę następnych. Dość, aby wykluczyć go z obiegu na następnych pięć lat. Przed czterema laty Bearfoot wyciągnął w trakcie awantury nóż i ciężko ranił Smitty'ego, pracownika firmy ogrodniczej z San Antonio. Także

wtedy był pijany. Dostał za to siedem lat, z których odsiedział dopiero trzy i pół. Skorzystał z okazji i uciekł z poczekalni po wizycie u dentysty.

Było jasne, że spróbuje się ukryć w swojej ojczyźnie – hrabstwie Socorro. Tutaj dorastał, tutaj znał każdy dom, każdą chatę i każdy kamień. Ludzie szeryfa Hamiltona szukali go od dnia, w którym zbiegł z więzienia. Teraz wreszcie znalazł się tam, gdzie jego miejsce.

Hamilton odłożył teczkę i strząsnął popiół do popielniczki. Sięgnął po plastikową torebkę, w której znajdowało się kilka włosów i z zadumą na nie popatrzył. Zapukano do drzwi.

– Wejź! – zawołał Hamilton i zgasił cygaretkę w popielniczce.

Wszedł Lazard i od razu ruszył do okna. Rzucił okiem na zewnątrz, gdzie przed budynkiem sądu zebrała się grupka ludzi. Mężczyźni mieli na sobie ciemne garnitury, a kobiety odświętne garsonki. Hamilton wstał i stanął obok Lazarda.

– Betty wygląda na szczęśliwą. – Szeryf patrzył przez zakurzoną szybę na młodą kobietę w białej sukience. W rękach trzymała bukiet kwiatów.

– Tak, sądzę, że jest szczęśliwa – potwierdził Lazard. Głos miał schrypnięty.

– Kochałeś ją?

Lazard pokręcił głową.

– Już po wszystkim. Mam nadzieję, że będzie szczęśliwa z Lennym.

– Lenny to dobry gość – podsumował Hamilton.

Lazard odwrócił się i podszedł do krzesła stojącego obok biurka. Usiadł z głośnym westchnieniem. Hamilton domyślał się, co działo się w nim w środku. Był z Betty prawie przez dwa lata, po czym pokłócili się, a ona wyprowadziła się do Vaughn. Teraz brała ślub akurat w Socorro, przed oczami jego siostrzeńca, który chyba jeszcze cierpiał z powodu rozpadu tego związku. Jaki ten świat jest zwariowany...

– Co u ciotki Margo? – zmienił temat Dave Lazard. – Zameldowała się?

Hamilton wzruszył ramionami.

– Nie słyszałem jej od tygodnia. Jest tak samo uparta jak twoja matka. – Tym razem to Hamilton miał schrypnięty głos.

– Prawdziwa z niej Grange.

– Masz rację...

– Co powiesz na to, żebyśmy się tak porządnie napili? – spytał Lazard. – Moglibyśmy wtedy nawzajem się sobie wypłakać.

Hamilton pokręcił głową. Margo kilka miesięcy temu spakowała walizki i bez słowa zniknęła z dziećmi. Przez jakiś czas milczeli.

– Po co mnie właściwie wezwałeś? – przerwał ciszę Lazard.

Hamilton wyciągnął z szuflady niebieską teczkę na akta i rzucił ją na biurko.

– Masz kontakty z zakładem medycyny sądowej w Albuquerque?

Lazard wziął teczkę i ją przejrzał.

– Ściągnąłeś raport na temat zwłok przy Coward Trail – ze zdumieniem powiedział zastępca szeryfa. – Choć to nie nasza jurysdykcja?

– Jeżeli w moim hrabstwie znalezione zostają zwłoki, chcę wiedzieć, o co chodzi. – Hamilton zapalił następną cygaretkę. – Pamiętasz sprawę sprzed paru miesięcy z Magdaleny z kierowcą ciężarówki i kobietą w szlafroku?

Lazard popatrzył na szeryfa i pokręcił głową.

– Kierowca zjechał z szosy, ponieważ ponoć próbował ominąć kobietę w szlafroku. Nie uwierzyłem mu, ale teraz zaczynam się zastanawiać.

– Dlatego że trup z międzystanowej miał na sobie spodnie od pidżamy?

Hamilton skinął głową.

– Nie tylko. Miał na sobie bluzę z nadrukiem POW.

– I co to znaczy?

– Zastanów się.

– Chcesz powiedzieć, że był jeńcem wojennym? To przecież jakiś nonsens. Dlaczego armia miałaby utrzymywać w Nowym Meksyku obóz dla jeńców wojennych?

– A co z bazą przy Magdalenie?

Lazard zbył to machnięciem ręki.

– To obóz szkoleniowy piechoty morskiej. Szkołą tam żołnierzy przed służbą w Afganistanie. Wie o tym każde dziecko.

– Właśnie dlatego.

– Chcesz powiedzieć, że to jeden z naszych chłopaków?

– Jak mogłeś przeczytać, mimo sprawdzenia w szpitalach, zwłoki jeszcze nie zostały zidentyfikowane – powiedział Hamilton i podniósł torebkę z włosami. – Mam informatora w ośrodku komputerowym piechoty morskiej w Fort Worth. Wszyscy nasi żołnierze, którzy biorą udział w akcjach, oddają próbkę krwi w celu sporządzenia jakby genetycznego „odcisku palca”. Dzięki temu można łatwiej identyfikować resztki ciał. Jeżeli gdzieś w wojskowych

bazach danych zapisany jest wzorzec DNA tego chłopaka, to chciałabym o tym wiedzieć.

– Chcesz więc, żebym pojechał do Albuquerque i kazał zbadać próbkę DNA? Dlaczego jednak zmarły miałby być żołnierzem armii albo piechoty morskiej? Takie bluzy można teraz kupić w każdym sklepie z odzieżą, są modne.

Hamilton z zadumą przeciągnął dłonią po czole.

– To tylko przeczucie.

Long Point View, Lakeland, Ontario

Brian Saint-Claire przed trzema dniami wrócił z podróży do Wenezueli. Przekazał tekst i zdjęcia e-mailem, więc czasopismo zdążyło opublikować jego artykuł o Warao w aktualnym, czerwcowym numerze. Redaktor naczelny wybrał go na czołowy temat numeru. Głównym wątkiem było pierwotne życie Indian wśród niegościnnej natury oraz ich świat duchów i demonów, ale Brian wspomniał w nim także o dziwnym losie szamanki, która po uderzeniu przez piorun wpadła w specyficznego rodzaju śpiączkę. Był zachwycony, że jego artykuł umieszczono w tak ważnym miejscu, teraz jednak – prawdopodobnie z powodu trudności z przestawieniem się na zimny klimat okolicy jeziora Erie – poważnie się przeziębził.

Kiedy rano wziął wędki i pojechał samochodem terenowym na wschodni cypel, postanowił, że najpierw odpocznie. Świeże i wilgotne morskie powietrze oraz zapierające dech w piersi piękno ojczyzny dotychczas zawsze okazywały się najlepszym lekarstwem. Ubrał się ciepło i włożył wysokie, ocieplane buty i tuż przed szóstą rano wyruszył w drogę. Do uporządkowania myśli potrzebował spokoju i wody. Kiedy po powrocie odsłuchał nagrane na sekretarce wiadomości, był nieco rozczarowany. Nie nagrał się nikt poza redaktorem naczelnym czasopisma, dla którego pracował, matką i właścicielką sklepu wielobranżowego w Port Rowan. Nie było znaku życia od Cindy. A spodziewał się, że zadzwoni...

Co prawda nie miał jej do powiedzenia nic innego poza tym, co powiedział przed wyjazdem do Wenezueli, ale bolała świadomość, że tak szybko skreśliła go ze swego życia. Rozum mu podpowiadał, że nie jest stworzony do stałego związku, ale jego ego nie zamierzało pogodzić się z tym, że można go odstawić

jak parasol po wielkim deszczu.

Splawik podskakiwał na wodzie, a on kartkował najnowsze wydanie „ESO-Terry”. Patrząc z perspektywy czasu, podjął dobrą decyzję, ustalając osiã artykułu życie Warao. Ogólnie biorąc, reportaż mu się udał – dostarczał informacji w przystępny sposób, zaciekał, smaczku dodawało mu nawiązanie do zjawisk nadprzyrodzonych. Brian się uśmiechnął. Po raz pierwszy od długiego czasu był zadowolony z tego, co napisał. Miał powoli dość wiecznych krótkich notatek o szarlatanach, którzy próbowali go nabrać. Tak jak dziwaczny „misjonarz nauki leczenia” sprzed dwóch miesięcy na przedmieściach Seattle, któremu w nieczynnym i rozpadającym się kościele regularnie i do tego dokładnie o północy ukazywała się Matka Boska. Trzeba było przyznać, że technicznie utalentowany pastor włożył wiele wysiłku w to, aby projekcja wyglądała prawdziwie. Z powodu zaawansowania technicznego zastosowanej instalacji niełatwo było przejrzeć szwindel, ale w końcu próba oszustwa się nie udała: kiedy Brian włączył telefon komórkowy, zjawisko zostało zakłócone na chwilę z powodu interferencji fal elektromagnetycznych.

Aby nie dopuścić do zburzenia kościoła, pastor zdecydował się na kłamstwo i oszustwo i Brian mógł mieć tylko nadzieję, że na Sądzie Ostatecznym zostanie mu wybaczone, że zbłądził. Napisał dwie strony o pastora i zastosowanej przez niego pomysłowej technice. Okazało się, że publikacja przyniosła pozytywny efekt: duchownemu przyszli na pomoc darczyńcy i sponsorzy. Brian nigdy się nie dowiedział, czy pieniędzy wystarczyło, aby zapobiec zburzeniu kościoła. Może powinien w najbliższych dniach pojechać do Seattle.

Z zadumy wyrwał go dźwięk dzwoneczka na wędce. Wędzisko zgięło się, ciągnięte przez dużą rybę. Żyłka rozwijała się błyskawicznie. Brian skoczył na równe nogi, chwycił wędkę i ostrożnie wyhamował kołowrotek. Zaparł się mocno, równoważąc siłę, z jaką ciągnęła ryba, i zamocował kabłąk. Powoli zaczynał przeważać, ale walka sprawiła, że na czoło wystąpił mu pot. Mniej więcej po dziesięciu minutach opór ryby został złamany. Brian ostrożnie zwiął żyłkę, zanim jednak wyciągnął rybę na brzeg, ta jeszcze raz z całą siłą stawiała opór. Briana tak to zaskoczyło, że trochę za mocno pociągnął i haczyk oderwał się od żyłki, a Brian poleciał do tyłu. Roześmiał się. Najwyraźniej istniały jeszcze inne istoty, które broniły się z całej siły przed niewolą. W jego głowie pojawiła się jeszcze jedna myśl: do diabła z Cindy!

Hotel Plaza, środkowy Manhattan, Nowy Jork

Profesor Wayne Chang czuł się nieswojo w czarnym garniturze. Stał przed lustrem i poprawiał krawat, który go uciskał. Oficjalne okazje były dla niego męczarnią i unikał ich jak ognia, ale na tym sympozjum, zorganizowanym przez Światową Organizację Meteorologiczną, nie mogło go zabraknąć. Najlepsi naukowcy z całego świata mieli dyskutować nad tym, czy na Ziemi zaczyna się katastrofa klimatyczna i jakie działania należy natychmiast podjąć, aby zatrzymać globalne ocieplenie.

Elegancką salę konferencyjną na drugim piętrze hotelu Plaza, znajdującym się przy Central Park South, zapełniało prawie dwieście osób.

– ...z powodu układu strumieni wiatrów wiejących na dużych wysokościach i efektu Coriolisa już od dziesięcioleci na biegunowe pokrywy lodowe spada drobny pył, wytwarzany przez przemysł i ruch kołowy – mówił w swoim referacie profesor Behring, znany klimatolog z kilońskiego Instytutu Środowiska i Badań Morskich. – Nie da się zignorować negatywnego wpływu na zachowanie refleksyjne powierzchni lodu. W wyniku przedstawianego zjawiska górne warstwy lodu przestają być odporne na energię słoneczną. Prowadzi to w nieunikniony sposób do ogrzania w górnych warstwach lodowców i lodu i w końcu spowoduje nieodwracalne topnienie.

– Pańskie wyniki robią wrażenie, profesorze, ale jak na razie ma pan jedynie sugestie, nie dowody – powiedział naukowiec z grupy australijskiej.

– Ogrzanie się atmosfery niemal o pół stopnia Celsjusza w ciągu minionych lat jest jednoznacznym dowodem na działanie efektu cieplarnianego! – zawołał inny uczestnik sympozjum do Behringa. – Z badań Instytutu Maksa Plancka w Monachium wynika, że w najbliższych pięćdziesięciu latach możliwe jest ocieplenie nawet o jedenaście stopni Celsjusza. Wyższe wartości średnie wpływają oczywiście na wszystkie układy przepływów na naszej planecie. Zarówno w powietrzu, jak i w wodzie. Także woda na biegunie północnym stale się z tego powodu ogrzewa.

– Kolejnym czynnikiem przyspieszonego procesu topnienia jest opad drobnego pyłu – kontynuował Behring. – Były okresy, w których atmosferę bardziej obciążały cząsteczki sadzy i znacznie więcej dwutlenku węgla, ale poza niekwestionowanym obecnie globalnym ociepleniem topnienie lodu biegunowego jest przyspieszane przez opad drobnego pyłu. W efekcie końcowym oznacza to, że katastrofa klimatyczna spadnie na nas kilka lat wcześniej.

– O ile pamiętam, to w czasach, gdy w atmosferze istniała znacznie większa koncentracja węgla i unoszących się cząsteczek, w wodzie powstało życie – wtrącił Australijczyk.

Profesor Behring nie odniósł się do tej uwagi i zebrał notatki. Ukłonił się i zszedł ze sceny. Wayne Chang spodziewał się żywej dyskusji, ale profesor Behring najwyraźniej nie miał na nią ochoty.

□ □ □

Wayne miał na ten temat własną opinię. Jego zdaniem niekorzystny wpływ na klimat miało wiele różnych czynników, które prowadziły do globalnego ocieplenia. Niestety, akurat w obecnej epoce historii ludzkości wszystko występowało równocześnie: drobny pył, dwutlenek węgla, freon, dziura ozonowa, wycinka lasu deszczowego i związany z tym negatywny wpływ na procesy wymiany powietrza, ocieplenie oceanów z powodu wylewania do nich wody z elektrociepłowni.

Katastrofę klimatyczną mogłyby zatrzymać jedynie wspólne działania wszystkich państw świata, ale kraje najbardziej rozwinięte nawet o tym nie myślały. W końcu wszelkie ograniczenia gospodarcze oznaczały utratę konkretnych sum. Globalizacja stworzyła jeden wielki ogólnoświatowy rynek, na którym toczy się nieustannie twarda bitwa. Jest to spirala, z której najwyraźniej nie ma ucieczki. Przynajmniej jak na razie nie było widać nikogo, kto zrobiłby pierwszy krok w odpowiednim kierunku – ku zakończeniu rabunkowej gospodarki przyrody.

– Zasadniczo, to wszystko jedno, czy gdzieś w Brazylii zaorze się tysiąc hektarów lasu, czy w Stanach Zjednoczonych na przepełnionych autostradach wydmuchane zostaną w powietrze szkodliwe substancje z tysięcy rur wydechowych – szepnęła sasiad Wayne'a, kanadyjski meteorolog. – Nikt na świecie nie odstawi samochodu, żeby do końca życia chodzić na piechotę, tylko dlatego, że drwał w lesie deszczowym oświadczył, że od jutra będzie szerokim łukiem okrążał drzewa.

– Ktoś musi jednak zacząć – odparł Wayne.

– Zrobi to pan?

Wayne pokręcił głową.

– Kiedy ludzie wreszcie pojmą, że są elementem niezwykle skomplikowanego i delikatnego ekosystemu, który może działać tylko wtedy, gdy jest traktowany łagodnie, może być za późno. Z pewnością słyszał pan o huraganie u naszych wybrzeży?

Kanadyjczyk skinął głową.

– Kaprys natury. Raz na jakiś czas pojawiają się anomalie – natura po prostu nie trzyma się zasad.

– Ale może wzrost częstości i rozmiarów burz jest pierwszym sygnałem nadchodzącej zmiany klimatu? Moim zdaniem, jeżeli wkrótce nic się nie zmieni, ludzkość w nieunikniony sposób zdryfuje w kierunku apokaliptycznej przyszłości.

Kanadyjczyk wstał.

– Jeżeli pan liczy na jakieś zmiany, jest pan niepoprawnym idealistą. A teraz proszę mi wybaczyć, jestem głodny jak wilk.

Wayne rozejrzał się i stwierdził, że już ponad połowa ludzi wyszła z sali. W końcu i on wstał.

– Dzień dobry, profesorze Chang – odezwał się za jego plecami miły kołbacz głośno.

Wayne odwrócił się i spojrzał na szczupłą ciemnowłosą kobietę, która się do niego uśmiechała. Jej ciemnobrązowe oczy błyszczały.

– Znamy się? – spytał Wayne Chang i poprawił okulary.

– Jennifer Oldham z „South Coast Magazine” – odparła kobieta i wyciągnęła rękę. – Przed trzema laty wydano mój artykuł o jednym z pańskich projektów. O oddziaływaniu zwiększonego promieniowania ciepłego w górnych warstwach atmosfery...

– ...i wynikającym z tego wpływie na wysokie wiatry równikowe oraz prądy strumieniowe – dokończył Wayne Chang zdanie. – Tak, pamiętam.

Pozostali słuchacze też już powstawali i podążali w kierunku czterech wyjść prowadzących do dużej sali z zimnym bufetem.

– Co pan sądzi o referacie profesora Behringa? – spytała dziennikarka. – Jego teza jest prawidłowa?

– Może się czegoś razem napijemy?

Dziennikarka skinęła głową.

– Bardzo chętnie.

Poszli do sali obok. Potworzyły się tam grupki, w których zawzięcie dyskutowano. Chang podszedł do okna i popatrzył na rozciągający się po drugiej stronie ulicy Central Park.

– Wie pani co? Chciałbym odpowiedzieć pani stosowną metaforą. Proszę sobie wyobrazić wagę, której szale znajdują się w idealnej równowadze. Na obydwu szalach znajduje się nie wiadomo ile ziaren soli, ale ciężar jest tak dobrany, że musimy zakładać, że po obu stronach jest ich tyle samo. Z każdym atakiem na naszą przyrodę – zepsutym filtrem pyłu w kominie odprowadzającym

spaliny, silnikiem, który swobodnie wydmuchuje spaliny w powietrze, każdym drzewem ściętym w lesie deszczowym – kilka ziaren wędruje z jednej szalki do drugiej. Ziarna soli przemieszcza także opad drobnego pyłu. Jeszcze nie wiemy, ile ziaren soli trzeba przenieść z szalki do szalki, aby straciły równowagę, wiemy jednak jedno: pewnego dnia równowaga zostanie nieodwołalnie zaburzona i mam nadzieję, że nie będę miał okazji doświadczyć tego dnia. Rozumie pani, co mam na myśli?

Dziennikarka skinęła głową.

– A więc nasz los jest zapisany w gwiazdach?

Chang się uśmiechnął.

– Tak poetycko bym tego nie wyrażał. Jest pewna drobna różnica: jeżeli będziemy się w dalszym ciągu zachowywać jak dotychczas, nasz koniec jest pewny.

– Co właściwie stało się z pańskim projektem badawczym?

Chang wziął z tacy przechodzącego kelnera dwa kieliszki i podał jeden swojej towarzyszce.

– Niestety, nie dokończyliśmy go. Jak zawsze, winny był brak funduszy.

– Nikt nie zainteresował się projektem? Zabrakło sponsora?

Chang serdecznie się roześmiał.

– A kogo mieliśmy zapytać? Przemysł samochodowy, producentów mebli czy elektrociepłownię?

– A rząd? ONZ? Nie mają budżetu na coś takiego?

– Oczywiście, a jakże, mają. W Departamencie Ochrony Środowiska istnieje komórka, która zajmuje się takimi rzeczami. Trzeba złożyć tam projekt, określić zakres badań i cel i urzędnicy decydują o jego sensie i korzyściach. Jeśli ma się szczęście, dostaje się grant.

– Gdzie jest haczyk?

– Przy blisko trzech tysiącach projektów wpływających rocznie ma się mniej więcej taką samą szansę jak na loterii.

W trakcie ich rozmowy nad Central Parkiem zapadł zmrok. Jennifer Oldham i Wayne Chang popijali szampana i patrzyli na zielone płuca miasta. Tego dnia skończyła się oficjalna część sympozjum.

– Mieszka pani w Płazie? – spytał Wayne, gdy skończył pić drugi kieliszek.

Jennifer pokręciła głową.

– Byłoby fantastycznie, ale moja redakcja jest skąpa. Mam pokój w Larchmoncie w Greenwich Village.

– W Greenwich Village... – powiedział z zadumą Chang. – A ja zaczynam być głodny. Już pani jadła?

– Niewiele, tylko kilka kęsów.

– Na co miałyby pani ochotę? Na hamburgera, chińszczyznę, coś francuskiego czy też coś bardziej egzotycznego – tajlandzkiego albo hinduskiego?

Kiedy Jennifer się uśmiechała, jej oczy migotały jak oświetlany księżycowym światłem ciemny staw.

– W zasadzie chętnie jadam kuchnię włoską.

– Świetnie, w takim razie zapraszam. W Greenwich Village są świetne włoskie restauracje. Może Il Mulino albo Da Babbo – oczywiście, jeżeli będą tam miejsca.

– Podobno jest na Manhattanie włoska restauracja rodzinna, w której szef kuchni robi dla gości to, na co akurat mają ochotę.

– Ma pani na myśli Po przy Cornelia Street. Jednak uwaga, kiedy szef kuchni jest w złym humorze, dania są głównie *arrabiata*.

– Co pan mówi, Włoch i zły humor! Coś takiego nie istnieje.

– Skąd pani to wie?

– Mój ojciec pochodził z Włoch.

– Oldham nie brzmi jednak szczególnie włosko.

– Dlatego że noszę nazwisko matki.

6.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Słońce pociemniało, a z czarnych chmur zaczął padać rozżarzony popiół. Powietrze rozrywały eksplozje. Na pierwszy szereg domów pędziła ściana ognia. Ludzie wpadli w panikę, wrzeszczeli jak opętani i próbowali się kryć za szklanymi fasadami budynków. Ziemia zadrżała i groźny pomruk zagłuszył krzyki kobiet i dzieci. Ziemia pękła i zaczęła wszystko połykać. Z ciemnej gardzieli wypłynęła rozżarzona lava, a nad miasto uniósł się gęsty, gryzący dym. Powietrze drżało z gorąca, a każdy oddech palił płuca. Zaczęła się apokalipsa i otulała ziemię czarnym całunem.

Helmut Ziegler otworzył oczy i spojrzał w jaskrawe światło. Bolały go oczy. Gorączkowo próbował coś sobie przypomnieć, ale przerażający obraz, nieprzenikniony strumień pojedynczych sekwencji, przysłonił wszystkie inne myśli, jakby stanowił jedyne wspomnienie. Zasłonił oczy dłońmi. Wrzasnął, a całe jego ciało zadrżało. Ostrożnie otworzył oczy i zamrugał. Leżał na łóżku w pomalowanym na biało pomieszczeniu. Na przewoźnym stelażu obok łóżka stały różne aparaty. Potrzebował dłuższej chwili, aby przyzwyczaić oczy do światła. Gdzie był? Rozejrzał się. Przez okno wpadało niewiele światła, dojrzał grubą ciemnozieloną zasłonę – nie mógł więc też wyjrzeć na zewnątrz. Bolała go głowa i był mokry od potu. Denerwował go nawracający bez przerwy pisk. Zamknął na kilka sekund oczy, próbował zrozumieć, co się stało, jak się tu dostał, a przede wszystkim, kim był, ale pamięć go zawodziła. Bez względu na to, jak mocno próbował sformułować jakąś jasną myśl, ciągle nawracały obrazy śmierci i zniszczenia. Znowu szeroko otworzył oczy. Jego oddech był szybki, a serce waliło jak oszalałe. Z ust znowu wydobył mu się gardłowy charkot.

W końcu drzwi się otworzyły i do pokoju wbiegły dwie kobiety w rozwianych białych fartuchach.

Ciało Zieglera drgało w niekontrolowany sposób, jak przy napadzie padaczki. Raz za razem tułowiem wstrząsał dygot. Spróbował wstać, ale mu się nie udało. Pielęgniarki podeszły bliżej. Nagle blokada mięśniowa u Zieglera zniknęła. Uniósł tułów. Chaotycznymi ruchami zaczął młócić rękami wokół siebie. Trafiał rudą pielęgniarkę w brzuch, na co zgięła się w pół i osunęła na podłogę. Dygocząc od gwałtownie kurczących się mięśni i machając wściekle rękami, Ziegler siedział na łóżku, z którego lada chwila mógł spaść. Ciemnowłosa pielęgniarka zrezygnowała z prób złapania go za ręce, ponieważ nie miała szans przeciwstawić się gwałtownie wyzwolonej sile mężczyzny. Kiedy dłoń Zieglera świsnęła jej koło głowy, odruchowo się odchyliła.

– Dwadzieścia miligramów tranxilium! – zawołała do pokoju obok. – Szybko!

Przybiegli pielęgniarze. Ruda pielęgniarka wstała z podłogi. Krzywiła się z bólu, ale dołączyła do koleżanki i kolegów próbujących opanować szaleńca. Raz za razem Zieglerowi udawało się kogoś uderzyć. Walka trwała jakiś czas, ale w końcu jednej z pielęgniarek udało się wbić igłę strzykawki w udo Zieglera. Zachowywał się jak wariat, ale powoli opadał z sił. Przed jego oczami pojawiła się twarz. Spróbował wyciągnąć ku niej rękę, ale głęboki bezwład wyzwolił go z ataku.

Na południe od Kajmanów, Karaiby

Gęsty parasol chmur na południe od Kajmanów osiągnął gigantyczne rozmiary. Od dwóch godzin meteorologowie Krajowego Centrum Huraganów w Miami oglądali chmurowy twór na monitorach i ich obawy zdawały się potwierdzać. Wszystko wskazywało na to, że na Morzu Karaibskim znowu tworzy się potężny cyklon, który powoli przesuwa się na północny wschód. Prędkość przesuwu liniowego wynosiła mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Jeszcze nie można było jednoznacznie określić, w jakim kierunku ostatecznie podąży. Kiedy zlokalizowano masę chmur, naczelny meteorolog kazał samolotowi NOAA* przeprowadzić bliższe badania na miejscu. Fairchild 328 wystartował zaraz potem z Corpus Christi i z maksymalną prędkością wziął kurs na huragan. Dla RONALDA C. COLDMANNA, pilota maszyny, i drugiego pilota, TREVORA WALTERSA, był to kolejny rutynowy lot. Już ponad czterdzieści

razy latali przez gęste chmury huraganów, docierali do ich spokojnych wnętrz i zbierali najróżniejsze możliwe dane o prędkości przesuwu liniowego, prędkości obrotu huraganu, możliwym kierunku, w jakim podąży, oraz o oczekiwanej sile niszczącej, po czym przekazywali wszystko do Krajowego Centrum Huraganów.

* National Oceanic and Atmospheric Administration (Krajowy Urząd do spraw Oceanów i Atmosfery). Jego jednostką podrzędną jest Amerykańska Służba Meteorologiczna.

– Wejdziemy na osiem i pół tysiąca metrów i obejrzymy sobie wszystko z góry – powiedział Coldmann, kiedy odkrył w oddali spiętrzone chmury.

Samolot meteorologiczny był wyposażony w skomplikowaną aparaturę do obserwacji i analizy chmurowych tworów: wiatro- i przepływomierze, barometry i higrometry, system kamer na podczerwień ze skomplikowanym podwójnym radarem, który umożliwiał dotarcie do środka mas chmur. Na pokładzie znajdowało się także dwóch doświadczonych meteorologów NOAA, którzy wielokrotnie badali huragany. Już z daleka można było potwierdzić rozmiary cyklonu. Twór z wody i pary wodnej rozciągał się na długości prawie pięciuset kilometrów. Był gigantyczny.

– Odległość? – spytał Walters.

– Jeszcze trzydzieści kilometrów – odparł Coldmann i przyciągnął do siebie kolumnę sterowniczą, aby podnieść dziób maszyny.

Resztę drogi – aż do osiągnięcia ośmiu i pół tysiąca metrów – pokonali lotem wznoszącym. Sztuczny horyzont wskazał, że maszyna została wypoziomowana i unosi się na warstwach powietrza. Fairchild był niezłym samolotem – górnopłatowcem z dwoma silnikami o mocy prawie tysiąca sześciuset pięćdziesięciu kilowatów umożliwiającymi rozwijanie prędkości w dolnym przedziale odrzutowych. Ronald C. Coldmann odbył na tym wprowadzonym do służby przed pięciu laty sprzęcie niezliczoną liczbę godzin lotu.

– Nie mogę uwierzyć – powiedział i rzucił okiem na prędkościomierz. – Jeszcze nigdy nie latałem do huraganu o tak wczesnej porze roku.

– Też wiosny jest niezwykle ciepło – odparł Walters. – Temperatura morza w tym regionie znacznie przekracza normę. W ostatnim raporcie była mowa o dwudziestu sześciu i czterech dziesiątych stopnia Celsjusza. „Portland” krąży u wybrzeży Meksyku i mierzy prądy morskie. Niektórzy uważają, że powrócił El Niño. To prawdopodobnie wynik narastającej zawartości dwutlenku węgla w atmosferze. Efekt cieplarniany się nasila. Nie sądziłem jednak, że nastąpi to tak szybko...

– Wlatujemy teraz, zaraz będzie trochę podrzucać – przerwał wykład drugiego pilota Coldmann.

Walters wyrzwał na zewnątrz. Kokpit zaczynały otaczać pierwsze chmury. Górna warstwa chmur robiła się coraz gęstsza i wkrótce pilot mógł kierować się już tylko instrumentami. Fairchild wspinał się na osiem tysięcy pięćset metrów przez mgłę z wilgotnego i gorącego powietrza oraz pary wodnej, a instrumenty pomiarowe na pokładzie nieustannie pracowały, mierząc prędkość wiatru, ciśnienie powietrza, wilgotność względną i gęstość chmury. Ciśnienie coraz bardziej spadało. Ten tropikalny niż w błyskawicznym tempie zamieniał się w gigantyczny cyklon. Już w tym momencie był dwa razy większy niż Amy i Bert – poprzednie dwa huragany. Meteorolodzy z Krajowego Centrum Huraganów nazwali go Cezar, a był największym tworem chmurowym, przez jaki Ronald Coldmann przelatywał w życiu. Gdyby ten huragan dotarł do wybrzeży Stanów Zjednoczonych, szkody byłyby niewyobrażalne.

– Za każdym razem robi to niesamowite wrażenie – powiedział Trevor Walters niemal melancholijnie. – Ta nieposkromiona potęga natury za każdym razem uzmysławia mi, jak mali i słabi są ludzie.

– Tylko mi nie zacznij filozofować – odparł Coldmann. – Na samą myśl o tym, co się stanie, kiedy on dotrze do lądu, mój szacunek zamienia się w dziką wściekłość.

Rozmowę zakończył głośny huk. Kabinę wypełnił terkot alarmu, a na twarzach pilotów odbiło się czerwone światło lampki migającej gwałtownie na pulpicie sterowniczym. Samolot zadrżał i przechylił się na skrzydło.

– Jasna cholera, co się stało?! – zawołał Coldmann i z całej siły zacisnął dłoń na sterach.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

– Obaj obudzili się niemal w tym samym momencie. Nagle po prostu powrócili do życia. Ziegler obudził się o ósmej dwadzieścia trzy a Sanders pięćdziesiąt trzy sekundy później. Dość upiorne, prawda? Nie wiem, co o tym sądzić.

James Paul oglądał wnętrze pokoju przez lustro weneckie. Sanders siedział z podciągniętymi nogami na łóżku i patrzył w przestrzeń przerażonym wzrokiem. Wyglądał jak skamieniały – był nieruchomy i nie kontaktował.

– Co mogło coś takiego spowodować? – spytał James Paul doktora Browna, naczelnego lekarza szpitala. – Musi istnieć jakieś wyjaśnienie tego stanu.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. – Doktor Brown przeciągnął dłonią po łysinie.

– Napady panicznego lęku, koszmary senne, zaburzenia snu, napady epilepsji i okresy jak przy afazji. Wszelka pamięć czasu sprzed lotu wymazana albo głęboko schowana w podświadomości. W ich głowach krążą jedynie obrazy ognia i katastrofy, a najbardziej zwariowane jest to, że obaj, niezależnie od siebie, opisują niemal ten sam koszmar. Mogłoby się wydawać, że faktycznie go przeżyli.

– Co pan zamierza?

– Zbadamy płyn mózgowo-rdzeniowy, ale jestem niemal pewien, że nie stwierdzimy żadnych odchyłeń od normy. Gdyby pan mnie spytał, powiedziałbym, że ich choroba jest raczej natury psychicznej. Doktor Phillips też nie ma żadnego wyjaśnienia. Oczywiście możemy mieć do czynienia ze stresem porazowym – w końcu ledwo wylądowali. To możliwe, nawet jeśli nie był on świadomy; nie tylko zdaniem pilota obaj spali, potwierdzają to ostatnie zdjęcia robione przez kontrolę naziemną.

Profesor James Paul z zadumą skinął głową. Ponownie zajrzał do przyciemnionego pokoju. Wygląd Sandersa był godny politowania. Zwinął się do pozycji płodowej.

– Podaliśmy mu środki uspokajające – powiedział doktor Brown. – Maksymalną dopuszczalną dawkę. Jeśli nie chcemy trwale im zaszkodzić, musimy je ograniczyć.

Paul pokręcił głową.

– Potrzebuję odpowiedzi, a dostaję tylko nowe pytania.

Doktor Brown zdjął okulary i zaczął je wycierać brzegiem lekarskiego kitla.

– Niestety, nie potrafię odpowiedzieć na tego typu pytania. To nie moja specjalizacja. Jestem lekarzem i moje umiejętności psychologiczne ograniczają się do powiedzenia pacjentowi: „wszystko wróci do normy” i to koniec. Szczerze mówiąc, moim zdaniem doktor Phillips też już nic więcej nie wymyśli. W tej chwili tylko spekuluje o stanie obu astronautów. Philips jest znakomitym behawiorystą, ale problem, jaki mamy, przekracza jego możliwości. Tu są potrzebni fachowcy. Nie mamy naprawiaczy dusz, bo i po co? Myślę o Brandonie, Benie Faluta albo o tej Shane z Chicago.

– Nie sędzę, aby Traverston chciał, aby media się tym zajęły – westchnął Paul. – W ostatnich latach entuzjazm naszego rządu i mieszkańców naszego kraju związany z lotami w kosmos znacznie osłabł. Musimy być ostrożni. Sprawa jest bardzo delikatna. Jesteśmy w NASA, a nie w jakiejś firmie. Mamy przepisy, których nie da się, ot tak, ominąć. Zwłaszcza w zakresie zatrudniania specjalistów niepracujących dla wojska ani marynarki.

Brown znowu założył okulary.

– Decyzja należy do pana. Pan musi ocenić, co jest ważniejsze: zachowanie tajemnicy czy życie dwóch astronautów. Mogę tylko radzić i zna pan moje zdanie. Podejmie pan decyzję i będzie musiał z tym żyć.

Profesor James Paul wzięął głęboki wdech.

– Nie ułatwia mi pan sprawy. Doktor Brown wskazał na szybę.

– Pod żadnym pozorem nie chciałbym być na ich miejscu.

– Zastanowię się nad pańską propozycją.

Na południe od Kajmanów, Karaiby

– Lód! – zawołał histerycznie Walters. – Grudy lodu wielkości piłek tenisowych!

Łomotanie w kadłub fairchilda trwało. Samolot bardzo szybko tracił ciąg, a potężny wznoszący wiatr go unosił. Kolejne uderzenie zagłuszyło dźwięk alarmu.

– Lewy silnik przestał działać! – przekrzyczał hałas Coldmann. – Nie mogę utrzymać maszyny. Zaraz spadniemy!

Fairchild położył się na lewe skrzydło i zaczął koziółkować. Coldmann szarpał ster i bezskutecznie próbował wyrównać lot. Wysokościomierz wskazywał dziewięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt metrów. Niestabilny samolot wirował i ciąg spadł niemal do zera.

Potężna siła wciskała Waltersa w fotel. Wyglądał z przerażeniem przez okno.

– Ogień! – zawołał. – Silnik się pali!

– Musimy się stąd wydostać! – krzyknął Coldmann, ale Walters się nie poruszył. Jak w transie wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w szarą masę wirujących chmur.

Coldmann potrząsnął go za ramię.

– Co ci się stało?!

– W chmurach jest cień... – wymamrotał Walters. – Czuję to, na zewnątrz coś jest... Zbliża się do nas. Idzie po nas.

– Otrząśnij się! Nie czas teraz na majaki! Spadamy!

O kadłub znowu załomotały grube kawały lodu. Boczna szybka kokpitu rozprysnęła się, do środka wpadły okruchy szkła i trafiły Waltersa w twarz. Całe wnętrze zostało spryskane krwią, a głośny okrzyk bólu drugiego pilota został natychmiast zagłuszony przez ogłuszający hałas, jaki wypełnił kokpit. Coldmann spróbował rozpiąć pas, ale mu się nie udało. Raz za razem samolot okręcał się wokół własnej osi jak lotka. Nagle fairchild wpadł w silny wiatr opadający i wirowanie zamieniło się w pikowanie. Coldmann całkowicie stracił orientację. Chmury nie pozwalały niczego dostrzec, a instrumenty oszalały. Wskaźnik wysokościomierza obracał się tak szybko, że cyfry się zacierały – samolot spadał coraz głębiej w gęstwinę chmur. Walters tracił przytomność. Głowa kiwała mu się na boki w rytm obrotów. Nagle maszyna przebiła powłokę ciemnych chmur i w dole ukazała się woda. Zbliżała się błyskawicznie. Coldmann zapał się w fotelu i próbował złapać ster oraz otrząsnąć się z paniki, jaka go ogarnęła. Znajdowali się mniej niż sześćset metrów nad lustrem oceanu. W końcu udało mu się chwycić ster. Z całej siły pociągnął go do siebie. Przez chwilę miał wrażenie, że nos maszyny się wyprostuje i zakiełkowała w nim nadzieja, niestety, niecałe pięć sekund później fairchild uderzył w wodę i złamał się na pół. Coldmann, Walters i dwaj meteorologowie utonęli w Morzu Karaibskim. Huragan kontynuował swój marsz w kierunku wybrzeża Ameryki.

7.

West Side, Nowy Jork

Wayne Chang i Jennifer Oldham zjedli kolację w Po, a potem poszli do klubu przy Leroy Street. Późnym wieczorem wypili drinka w barze hotelowym w Larchmont. Alkohol i wyrozumiały partner sprawiły, że Jennifer zrobiła się wylewna. Opowiedziała, jak kiedyś pracowała w „Washington Post”, ale po zerwaniu długoletniego związku poszukała nowego zajęcia daleko od poprzedniego miejsca zamieszkania. Wylądowała w „South Coast Magazine” w Beaumont – czasopiśmie, które w ostatnich latach bardzo chętnie czytano na Południu. Choć trudno je porównywać do „Washington Post”, praca sprawiała jej przyjemność i czuła się w niej spełniona. Wayne Chang słuchał i sprawiał wrażenie, że jej życie go interesuje. W luźnej atmosferze rozpoczynającej się nocy i po kilku drinkach zbliżyli się do siebie. Wayne nie wrócił do hotelu. Następnego dnia po śniadaniu pojechali taksówką do Plaży, gdzie rano miano wygłosić resztę referatów, a potem zakończyć sympozjum wspólnym obiadem. Godzinę później Jennifer i Wayne siedzieli w kawiarni w cieniu Metropolitan Opera i pili cappuccino.

Jennifer opowiadała o swoim dzieciństwie i trzech braciach, z którymi nieustannie się kłóciła. Wayne serdecznie się śmiał.

– Opowiedziałam ci niemal całe życie i chętnie dowiedziałabym się czegoś o twoim – rzekła w końcu i napiła się kawy.

– Nie ma zbyt wiele do opowiadania.

Jennifer odsunęła z twarzy kosmyk włosów i podparła podbródek dłonią. Uśmiechnęła się rozbijającą, a jej ciemne oczy zamigotały.

– Nie sądzę. Każdy ma przeszłość i dzieciństwo. O czym marzyłeś w dzieciństwie?

Wayne machnął ręką.

– Moje dzieciństwo nie przebiegało tak wesoło i ciekawie jak twoje. Jestem jedynakiem, a rodzice stale byli zapracowani i dużo podróżowali. Ojciec był profesorem astrofizyki i wykładał na wszelkich możliwych uniwersytetach świata, matka była historykiem. Dorastałem trzymany w ryzach przez staromodną piastunkę, potem umieszczono mnie w internacie. Ciągłe sprawiałem kłopoty – dla nauczycieli i opiekunów byłem strasznym dzieckiem. W końcu mnie przebadano i stwierdzono, że jestem wysoce utalentowany i stąd skłonność do przeszkadzania na lekcjach.

– Czy to nie fantastyczne przekonać się, że masz przewagę nad innymi, że się wyróżniasz z szarej masy i możesz dzięki temu osiągać szczyty?

Wayne pokręcił głową.

– Każdy medal ma dwie strony. Mądry człowiek w świecie przeciętniaków wciąż wpada w kłopoty. Dobrze pamiętam zazdrosne spojrzenia kolegów z powodu moich stopni. Nagle zostaje się outsiderem. Miałem przydomek Zulu – jak sternik ze *Star Treka*, przy czym koledzy nie używali go w przyjacielskim znaczeniu. Dorosły człowiek stara się nie zwracać na coś takiego uwagi, ale bezbronny dzieciak jest narażony na szyderstwo. Sytuacja poprawiła się dopiero wtedy, gdy rodzice posłali mnie do szkoły dla szczególnie utalentowanych dzieci i zacząłem przebywać z podobnymi do mnie ludźmi. Oznaczało to jednak nowy internat, jeszcze dalej od domu. Jak więc widzisz, nie miałem normalnego dzieciństwa. Mogę opowiedzieć o projektach badawczych, wynikach prac i pierwszych nagrodach, ale nie mogę się pochwalić psikusami robionymi z przyjaciółmi albo rodzeństwem. Kiedy patrzę wstecz, czuję się nieco okradziony z dzieciństwa.

Uśmiech zniknął z twarzy Jennifer.

– Bardzo mi przykro.

– Dlaczego? To przeszłość. Dziś mam dzięki temu dobrze płatną pracę, która na dodatek sprawia mi przyjemność.

– Kiedy się zastanawiam, dochodzę do wniosku, że chyba nie znam nikogo, kto zdobyłby tyle tytułów i dyplomów. Profesor geodezji, doktor meteorologii i geofizyki.

– Nie zapominaj o kartografii.

– Mimo wszystko wygląda na to, że zostałeś normalnym człowiekiem. Kiedyś wyobrażałam sobie profesorów jako starych, siwych dziadków w okularach z grubymi szklami. Nieco nieżyciowych i czasami zdezorientowanych. Do ciebie to nie pasuje.

– Bo noszę szkła kontaktowe.

Podszedł kelner i Wayne zamówił dwa martini.

– Huragany o tak wczesnej porze roku to dość niezwykle, prawda? – spytała Jennifer.

Wayne skinął głową.

– W zasadzie niewytłumaczalne. W naszym kosmosie wszystko kieruje się regułami przyrody, więc jestem pewien, że chłopcy z Centrum Huraganów znajdą wyjaśnienie.

– Jak może ono brzmieć?

– Powoli musimy pożegnać się z myślą, że wszystko pozostanie takie, jakie jest. Świat jest płynny. Nic nie jest statyczne, także klimat. Weźmy na przykład średnią temperaturę, czyli dziesięć stopni Celsjusza. Jest ona stabilna dopiero od mniej więcej dziesięciu tysięcy lat. Wcześniej dochodziło do znacznych wahań, a na naszej planecie było zazwyczaj zimniej.

– Dziesięć tysięcy lat to bardzo długo.

– W porównaniu z wiekiem wszechświata to sekunda.

– To znaczy, że klimat na pewno się zmieni?

– Niekoniecznie. Nikt nie potrafi przewidzieć, jaka będzie sytuacja na Ziemi za dziesięć tysięcy lat. Wypuszczanie do atmosfery dużych ilości gazów cieplarnianych powoduje, że już i bez tego niestabilny klimat stał się jeszcze bardziej niestabilny. W którymś momencie będziemy musieli za to zapłacić.

Jennifer się wyprostowała.

– Czy to znaczy, że te huragany są zwiastunami zmian?

– Nie chciałem tak się wyrazić. W każdym stuleciu istnieją niecodzienne zjawiska. Pomyśl o tak zwanych latach stulecia, okresach susz czy niezwykle kłych powodziach. Może obecne huragany są kolejnym naturalnym zjawiskiem. Aby się ostatecznie wypowiedzieć, potrzebne są bliższe badania.

Podszedł kelner i postawił kieliszki martini rosso z lodem i cytryną. Wayne upił łyk.

– Pięćdziesiąt lat temu badania huraganów i tornad były w powijakach, znaczącego postępu dokonaliśmy dopiero w ostatnich dwudziestu latach.

– Ciekawa jestem, dlaczego mimo tak zaawansowanej techniki jesteście bezsilni wobec tropikalnych cyklonów. Rok w rok niszczą nam wybrzeża, zabijają ludzi i powodują miliardowe szkody.

– Kiedyś sądzono, że można skutecznie zwalczać huragany. Wlatywano samolotem w chmury i rozpylano jodek srebra, efekty okazały się jednak mało

zachęcające. Dziś wiadomo, że tropikalne burze są niezbędne, aby na Ziemi mogło istnieć życie. Stanowią one element globalnej cyrkulacji mas powietrza. Bez nich ciepłe powietrze nie byłoby transportowane na bieguny. Potrzebujemy huraganów tak samo jak niewielkiego efektu cieplarnianego – inaczej średnia temperatura na naszej planecie wynosiłaby minus dziesięć stopni.

– Czyli musimy dalej żyć z huraganami... – westchnęła Jennifer i dopiła drinka.

– Sądzę, że jeżeli jeszcze bardziej zagęścimy system wczesnego ostrzegania, niedługo zdołamy dokładnie przewidywać ich trajektorie. Jeśli chodzi o tornada, problem jest bardziej skomplikowany. Obecnie więcej ludzi ginie od tornad niż od huraganów – choć huragany są znacznie większe.

– Dlaczego nie podejmuje się działań wobec tornad?

Wayne wskazał palcem w niebo. Po rozświetlonym słońcem niebie sunęła chmura.

– W którymś momencie ta chmura spotka inną i się z nią połączy. Pośrodku frontu powstanie silny prąd wznoszący ciepłe i wilgotne powietrze. Ściągnie to z zewnątrz do tej chmury burzowej – albo jak mówią meteorologowie: cumulonimbusa – kolejne masy powietrza. Chmura będzie rosła w górę i w końcu wznoszące się powietrze zderzy się z tropopauzą. Prąd wznoszący wewnątrz chmury wniknie głęboko w tropopauzę, czyli warstwę przejściową między troposferą a stratosferą. Ciepłe powietrze zakończy ruch w pionie i chmura burzowa się spłaszczy, tworząc przy granicy pogodowej płaski parasol. W górnej strefie będą kryształki lodu, niżej krople wody, które w którymś momencie staną się zbyt ciężkie dla prądów wznoszących i spadną na ziemię w postaci deszczu. Nie ma w tym nic złego i należy to do zwykłej rutyny pogodowej. Wymiana powietrza, schładzanie, transport wody – to zjawiska niezbędne do życia ludzi, flory i fauny. We front pogody może się oczywiście połączyć więcej chmur burzowych. Powstanie wtedy coś, co nazywamy superkomórką, a ta formacja bez trudu może się przemienić w tornado. W osiemdziesięciu procentach wypadków burza po jakimś czasie się rozchodzi, czyli prawdopodobieństwo powstania tornada jest dość małe. Jeśli jednak się utworzy, dzieje się to błyskawicznie.

Nie możemy wydawać ostrzeżeń o tornadzie za każdym razem, bo mielibyśmy nieustanny stan hysterii. Trzy lata temu pracowałem przy projekcie „Tornado Watch”, w którym chodziło o obserwację frontów burzowych ze wspomaganiami naziemnymi i satelitarnymi wzdłuż newralgicznych stref ich powstawania

na Środkowym Zachodzie. Niestety, dość szybko przekroczyliśmy budżet i choć ustawiliśmy dopiero połowę zaplanowanych punktów pomiarowych, projekt zawieszono. Czasami istnieją inne ograniczenia niż naturalne.

Kiedy Jennifer chciała odpowiedzieć, zadzwonił jej telefon. Mówiła krótkimi zdaniem, ale minę miała zaniepokojoną. Kiedy skończyła, Wayne popatrzył pytająco.

– Coś się stało?

Jennifer skinęła głową.

– Moja redakcja. Poniżej Barbadosu zbiera się gigantyczny huragan. Także u wybrzeży Meksyku. Zaginął samolot meteorologiczny z Corpus Christi. Mam tam polecieć i napisać reportaż. Samolot mam za godzinę.

– Samolot meteorologiczny z Corpus Christi... to musiała być maszyna NOAA. Znane są jakieś szczegóły?

Jennifer pokręciła głową.

– Statki nie mogą wypływać, w region lecą dwa samoloty straży wybrzeża.

– Zobaczymy się jeszcze? – spytał Wayne i popatrzył na zegarek.

– Między Beaumont i Waszyngtonem leżą dwa światy, ale chętnie bym się znowu z tobą spotkała.

– Ja z tobą też. Pozwól się odwieźć na lotnisko. Na pewno się do ciebie zgłoszę.

– Co zamierzasz?

– Polecę do Camp Springs, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja.

Wyszli razem z kawiarni i pojechali taksówką na lotnisko.

Long Point View, Lakeland, Ontario

Brian Saint-Claire siedział przed domem i palił papierosa. Słońce zabarwiało się na czerwono. W stojącym przy ławce wiadrze pływały dwa grube pstrągi, a Brian cieszył się na spokojny wieczór, podczas którego będzie mógł pomyśleć.

Cały dzień wędkował na jeziorze. Stojący na odludziu, kilka kilometrów od Port Rowan, dom kupił przed sześcioma laty. Czuł się w nim dobrze – w otoczeniu wody, wysokich drzew i soczystych, zielonych łąk. Tu nabierał energii, aby wyruszyć w świat, polować na niewyjaśnione zjawiska i pisać reportaże. W zasadzie pisanie było dla niego bardziej hobby niż zawodem, ponieważ nie studiował dziennikarstwa. Po studiach na uniwersytecie w Chicago przez długi

czas pracował tam jako wykładowca. Dziś był zadowolony, że zdecydował się odejść. Został łowcą przygód i wędrowcem prowadzącym nieustabilizowane życie. Jako jedyny syn bogatego kupca z Quebecu nie musiał zarabiać na chleb. Fundusz inwestycyjny, który założył dla niego ojciec, wypracował już poważną sumę. Brian zdusił papierosa w popielniczce. Powoli robił się głodny.

Z zapadającego mroku doleciał warkot silnika. Wyboistą polną drogą jechał biały mercedes kabrio. Zatrzymał się przy domu. Wysiadł z niego Porky.

– Za każdym razem, gdy do ciebie jadę, niszczę sobie lakier – powiedział rozdrażniony. – Kiedy wyasfaltujesz tę drogę albo zaczniesz odbierać telefony?

Porky nazywał się w rzeczywistości Gerad Pokarev i był redaktorem naczelnym „ESO-Terry”; jak zwykle miał na sobie jasny pomięty garnitur oraz – mimo zapadającego zmroku – obowiązkowe okulary przeciwsłoneczne.

– Co o tak późnej porze sprowadza człowieka z miasta do dziczy?

– Masz piwo? W gardle mi wyschło na wiór.

Brian wszedł do domu.

Porky z westchnieniem opadł na ławkę na werandzie.

– Cały dzień próbuję cię złapać! – zawołał za Brianem. – Już całkiem odwróciłeś się plecami do cywilizacji czy jeszcze rozmawiasz ze światem?

Brian wrócił z dwoma butelkami, otworzył je i usiadł, ale nie udzielił odpowiedzi.

– Boże drogi, ta cisza by mnie zabiła. Co ty tu robisz całymi dniami?

– Byłem na rybach. – Brian wskazał na wiadro. – Jesteś głodny?

– Broń Boże! Nie jem niczego, co się jeszcze porusza. Wolę mięso – zabite, zmielone, polane keczupem i włożone między dwie połówki bułki, rozumiesz?

Brian popatrzył na gościa.

– Trochę niskotłuszczowego jedzenia by ci nie zaszkodziło. Co cię sprowadza? Chyba nie chcesz spotkania się z przyjacielem.

Porky wziął duży łyk.

– Potrzebuję cię.

– Ty? Mnie?

Porky się wyprostował.

– Twój reportaż o Indianach spotkał się z życzliwym przyjęciem. Harbon jest bardzo zadowolony z naszej pracy. Uważa, że moglibyśmy zwiększyć nakład, gdybyśmy bardziej się kierowali zasadami nowoczesnego marketingu i wyspecjalizowali w najlepszych medialnych tematach.

– To znaczy?

Porky wyciągnął z kieszeni płytę DVD i rzucił ją na stół.

– Co to?

– Nowe zlecenie. Obejrzyj sobie. Masz odtwarzacz?

Brian wziął płytę i wszedł do domu. Porky dopił piwo i poszedł za nim.

Brian włożył płytę do odtwarzacza i włączył telewizor. Na ekranie pojawił się migotliwy obraz fasady kościoła. Nagranie było nieostre, podskakiwało i drżało, więc niewiele było widać. Po chwili wszystko pociemniało i kamera wjechała do wnętrza. Dało się rozpoznać otoczony kolumnami obraz na ołtarzu. Byli na nim Maria i klęczący Jezus. Kamerzysta zrobił zbliżenie na wizerunek Marii.

– Widzisz?! – zawołał Porky.

– Co mam widzieć?

Porky podszedł do telewizora i wskazał na twarz Matki Boskiej.

– Wciśnij pauzę!

Brian zrobił, co mu kazano, i podszedł do telewizora.

– Z oka Marii schodzi na dół ciemny pasek – to masz na myśli?

– Łzy Marii.

– Co ty gadasz? Przeszedłeś do tych, co wierzą w cuda?

– Dwa tygodnie temu modłące się w kościele dzieci miały objawienie maryjne. Matka Boska przemówiła do nich i oznajmiła, że na ludzkość spadnie wielka katastrofa. Kiedy objawienie się skończyło, z obrazu popłynęły krwawe łzy.

– Wierzysz w taką bzdurę? To nagranie nie wygląda mi na zbyt mocny dowód.

Porky podszedł do fotela i usiadł.

– Nie o to chodzi. Prawdopodobnie słyszałeś o pisarzu, który pisze o Kościele i wydaje jeden bestseller za drugim. Jego największym sukcesem był *Kod Leonarda da Vinci*. Ludzie oszaleli na punkcie tej książki. Harbon uważa, że reportaż o objawieniu powinniśmy dać na okładkę. Na pewno nie zaszkodziłoby to naszemu nakładowi.

– A gdzie jest ten kościół?

– W Wenecji, niedaleko placu Świętego Marka.

– Wiesz co? Kiedy siedem lat temu zacząłem pracować dla twojej gazety, miałem wrażenie, że najważniejsze jest wydobywanie na światło dzienne prawdy, do tego za pomocą rzetelnych badań, ostatnio jednak nie mogę się

pozbyć wrażenia, że liczy się tylko nakład. Nie jestem dziennikarzem od sensacji i nie piszę powieści. W dalszym ciągu uważam się za naukowca.

Porky zbył zastrzeżenie Briana machnięciem ręki.

– Wtedy wszystko było inaczej. Byliśmy niezależni i mieliśmy wydawcę, któremu chodziło o tło i szczegóły. Thomason jednak zmarł, a pismo należy do koncernu medialnego. Dla nich liczy się tylko nakład. Wtedy sprzedawaliśmy niecałe pięć tysięcy egzemplarzy dla ludzi zainteresowanych ezoteryką – nakład, który ledwie utrzymywał nas przy życiu. Teraz mamy nakład sto pięćdziesiąt tysięcy i można nas kupić niemal w każdym kiosku na Wschodzie. Czasy się zmieniły.

– Nie tylko czasy. Ty też się zmieniłeś.

– Dobrze ci mówić – odparł Porky. – Nie musisz się o nic martwić. Masz bogatą rodzinę i pełne konto. Ja mam tylko tę pracę, pismo to moje życie. Z pensji opłacam czynsz, jedzenie i garnitury, choć ci się nie podobają. Gdzie miałbym się podziać, gdyby Harbon mnie wywalił? On chce, żebyś poleciał do Wenecji z Giną i Leonem i napisał artykuł. Wszystko mu jedno, czy historia jest prawdziwa czy nie. Zależy mu tylko na tym, żeby pismo się sprzedawało, a w obliczu aktualnego boomu w mediach na temat Kościoła uważa, że da się na tym zarobić. Powiedziałem mu, że na pewno się nie zgodzisz, i wiesz, co odpowiedział?

Brian wzruszył ramionami.

– Że redaktor naczelny musi panować nad swoimi ludźmi, inaczej może próbować swoich sił jako sprzedawca łodów nad jeziorem. Potem wyrzucił mnie z gabinetu.

– Akurat Leon, ten popapraniec – mruknął Brian. – Z nim są tylko kłopoty.

– Ale jest świetnym chemikiem, jeśli akurat nie pije. Odkąd mu zagroziłem, że go wywalę, nie bierze alkoholu do ust.

Brian się zastanawiał.

– Zrób to dla mnie, partnerze – powiedział Porky. – Jesteś mi winien przysługę. Pamiętasz Toledo?

– Tylko nie zaczynaj znowu o Toledo.

– Gdyby nie ja, trzymałaby cię jeszcze w garści.

Brian się skrzywił.

– Ale potem jesteśmy kwita.

– Masz moje słowo. – Porky wyciągnął do Briana rękę.

– Kiedy zaczynamy?
– Wszystko przygotowane. Wylatujecie pojutrze z Detroit, z Rzymu lecicie rejssem krajowym do Wenecji. Zarezerwowałem ci pokój w hotelu Orion, który stoi obok kościoła. Masz dość pieniędzy na wydatki i znowu pojedziesz w wielki świat. Wenecja – miasto miłości, to brzmi chyba zachęcająco?

– Mam wybór?

– Jeśli chcesz uratować przyjaciela, nie.

Brian po raz ostatni popatrzył na ekran, na którym migotał wizerunek Matki Boskiej.

– No dobrze, polecę – powiedział w końcu i chwycił dłoń Porky'ego. – Ale potem chcę mieć spokój. Przynajmniej przez miesiąc. Jasne?

– Chętnie dam ci urlop. Choć jako wolny strzelec nie masz do tego prawa.

– Nabrałeś ochoty na rybę?

Porky pokręcił głową.

– Ale napiłbym się jeszcze piwa.

8.

Na południe od Wyspy Kokosowej, Pacyfik

Dzień po tym, jak dostrzeżono huragany Amy i Bert na Karaibach i u zachodnich wybrzeży Meksyku Krajowe Centrum Huraganów w Miami wysłało w okolice Wyspy Kokosowej statek badawczy „Portland”, należący do Krajowego Urzędu do spraw Oceanów i Atmosfery, czyli NOAA. Zespół naukowców miał na miejscu przeprowadzić szczegółowe badania dotyczące panujących warunków oceanicznych i atmosferycznych. Poza czterdziestoosobową załogą na pokładzie znajdowali się naukowcy z różnych dziedzin, pracujący dla Centrum Huraganów oraz NOAA.

Zespół oceanologów spuścił do wody streamera, aby zbadać kierunki prądów, ich siłę i gęstość wody oraz temperaturę na głębokości mniej więcej dziesięciu metrów. W tym celu „Portland” rzucił kotwicę około czterdziestu kilometrów na południe od Wyspy Kokosowej. Równocześnie meteorologowie zaczęli badać górne warstwy atmosfery za pomocą czułego urządzenia pomiarowego umieszczonego w balonie meteorologicznym.

Stali w tym samym miejscu piąty dzień. Wyniki pomiarów stanowiły jedną wielką zagadkę. Czyżby katastrofa klimatyczna, którą najlepsi klimatolodzy i meteorolodzy zapowiadali na najbliższe dziesięciolecia, miała spaść na ludzkość znacznie wcześniej? Ludzie z „Portlandu” szukali odpowiedzi, ale jak na razie natykali się jedynie na kolejne pytania.

– W sumie mamy w górnych warstwach wody prawie pięć stopni powyżej normy – powiedział Egon Taylor po porównaniu uzyskanych danych ze statystykami z lat poprzednich.

– To pokrywa się z tym, co stwierdziliśmy – powiedział Peter Holbroke z NOAA. – Jeśli mogę wierzyć naszym pomiarom, to wewnątrztropikalna strefa

konwergencji znajduje się kilka kilometrów za daleko na północ. Gdybym dziś rano nie spojrział na kalendarz, pomyślałbym, że mamy koniec czerwca.

– Mamy ciepły prąd morski ciągnący się od kontynentu australijskiego do wybrzeża Ameryki Południowej. Prąd Północnorównikowy i Równikowy Wsteczny prawie się odwróciły. Musimy zejść streamerem głębiej i zebrać dalsze dane. Wszystko wskazuje na niezwykle efekt El Niño.

Holbroke skinął głową.

– Jutro rano wypuścimy do sprawdzenia siły i kierunków wiatrów na dużych wysokościach balon z sondą, obawiam się jednak, że ma pan rację. Siła ruchu pasatów jest za mała, aby przepchnąć wodę w odpowiednim kierunku.

– W każdym razie do zweryfikowania danych powinniśmy przeprowadzić dalsze pomiary – rzekł Taylor. – Coś mi się tu nie podoba. W zeszłym miesiącu nie mieliśmy jeszcze żadnych wskazówek o niezwykle przebiegu prądów morskich.

Zanim Holbroke zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi do kabiny, wszedł radiotelegrafista i podał Taylorowi teleks. Taylor szybko go przeczytał.

– Co się stało? – spytał Holbroke.

Taylor podał mu papier.

– Ostrzeżenie o huraganie. Niecałe sto dziesięć kilometrów na południe. Wygląda na ogromny. Krajowe Centrum Huraganów uważa, że jeżeli będzie się rozwijał z dotychczasową prędkością, musimy się liczyć z kategorią czwartą lub piątą na skali Saffira-Simpsona. Proszą nas o zbieranie danych o prądach konwekcyjnych i prędkości cyrkulacji.

Holbroke uruchomił monitor kontrolny. Powiększył mapę transmitowaną bezpośrednio z satelity i znalazł region, w którym dostrzeżono huragan. Bez trudu dało się zobaczyć gigantyczny wir.

– Potężny... – mruknął Holbroke. – Ma już olbrzymi parasol chmur. Ciepła powierzchnia morza jeszcze go napędza.

– Ile mamy czasu?

– Moim zdaniem będzie tu za cztery, pięć godzin.

– W takim razie bierzemy się do roboty. Podpłyniemy bliżej, zrobimy kilka zdjęć radarowych i uciekamy.

Przez metalowe drzwi przebił się odgłos tępego uderzenia. Zawyla syrena alarmowa i światło zaczęło migać. Zanim całkiem zgasło, pogasty ekrany komputerów. Ochrona przeciwprzebieciowa uruchomiła wyłączenie awaryjne.

– Cholera jasna, co to było? – Taylor odwrócił się do drzwi.

Żarówki zamigotały po raz ostatni i wszystko spowiła ciemność.

Macając przed sobą w upiornej ciemności, Taylor doszedł do drzwi i je otworzył. Na międzypokładziu panowała przerażająca cisza – umilkło nawet wycie syreny alarmowej. Skądś dolatywały stłumione krzyki. Taylor ostrożnie podszedł do schodków. Holbroke szedł za nim. Czerń wydawała się nieprzenikniona, dało się dostrzec jedynie zarys białego T-shirtu Taylora.

– Co tu się dzieje? – spytał Holbroke.

Nie mógł zobaczyć wzruszenia ramion swojego towarzysza. W końcu dotarli do grodzi prowadzącej do schodków w górę. Była zamknięta. Macając zimną stal, Taylor znalazł rygiel. Pokręcił kołem blokady i pociągnął. Korytarz wypełniło przytłumione światło.

W pobliżu wejścia na górę Taylor dostrzegł marynarza przy gaśnicy.

– Co się stało?

Marynarz odwrócił się przestraszony.

– Mówże, człowieku! – krzyknął Taylor na niego.

– Pożar w pomieszczeniach generatorów! – zawołał histerycznie marynarz. – Przechodzi na główny silnik i maszynownię elektryczną!

Taylor zostawił marynarza i ruszył biegiem po schodach. Słychać było krzyki. Nad rufą unosił się gęsty czarny dym.

– Cholera, to nie może być prawda... – jęknął Holbroke, który wbiegł za Taylorem. Stał, nic nie rozumiejąc, i wpatrywał się w dym.

Plac Świętego Marka, Wenecja

Słońce stało wysoko nad Dzwonnicą Świętego Marka i z pełną siłą świeciło na Pałac Dożów oraz Bazylikę Świętego Marka. Zwieńczona wielkimi kopułami budowla ukazywała się licznym turystom w pełnej krasie i nawet Brian zatrzymał się na chwilę, aby oddać szacunek historycznemu budynkowi, zlepkowi stylów architektonicznych minionych stuleci. Harmonijnie zlewały się tu ze sobą elementy romańskie, bizantyjskie i gotyckie, tworząc zapierającą dech w piersiach całość. Złota Bazylika, jak się ją czasami nazywa, robi tak niesamowite wrażenie, że mimo otaczających mas ludzi Brian czuł się jak intruz.

– Dokąd teraz? – spytała, ciągnąc walizkę na kółkach Gina, która nie była odpowiednio ubrana na panujący upał.

Termometr na Piazzale Roma wskazywał trzydzieści dwa stopnie Celsjusza. Leon wzruszył ramionami. Brian wskazał na zaułek za północną fasadą bazyliki. Zarzucił na ramię torbę podróżną i ruszył dalej. Kiedy szli przez plac Świętego Marka, wlatywało przed nimi mnóstwo gołębi. Gdy dotarli do hotelu Orion przy San Marco Spadaria, tuż obok Campo San Zulian, Gina odetchnęła z ulgą. Co prawda prosty budynek nie był w jej guście, ale przynajmniej zdejmie tu sweter i dzinsy.

Leon powiódł wzrokiem po Campo San Zulian – ciasnym placu otoczonym domami, a od wschodu zamkniętym przez fasadę Chiesa San Zulian – i uśmiechnął się szyderczo.

– Typowe dla Porky'ego. Żebyśmy nawet na chwilę nie stracili z oczu postawionego przed nami zadania i nie wydali ani centa za dużo.

– Ja potrzebuję teraz spokoju i wody, zimnej wody – jęknęła Gina.

– A ja jestem głodny – oznajmił Brian. – Proponuję spotkać się za dwie godziny w holu i omówić dalsze działania.

– Możemy od razu rzucić okiem na cel – powiedział Leon na widok wchodzących do kościoła turystów. – Mam przy sobie wszystko, czego potrzebujemy. Może śledztwo od razu okaże się niepotrzebne?

– Nie, najpierw pozwolimy Ginie wziąć zimny prysznic – zdecydował Brian. – Spotykamy się o piątej w holu.

– Jak chcesz, jesteś szefem – odparł Leon, złapał walizkę i wszedł do budynku. Brian otworzył Ginie drzwi i pomógł jej wnieść bagaż. W środku panował przyjemny chłód. Wyposażenie i wnętrza mile ich zaskoczyło.

– Dzięki Bogu... – mruknęła Gina, idąc do recepcji. – Już się bałam, że to hotel studencki...

– Przede wszystkim tani, Porky takie lubi. – Leon w końcu zdjął zbyt dużą i niepasującą czapkę z daszkiem, bez której nie ruszał się z domu. Jego kruczoczarne i mocno nażelowane włosy leżały na głowie jak hełm. Wielki pentagram, który wytatuował sobie na ramieniu, i kolczyki w obu uszach i nosie sprawiały, że wyglądał jak alfons z włoskiej dzielnicy w wielkim amerykańskim mieście.

– Kiedy wybierzemy się z wizytą do kościoła, proponuję, żebyś włożył coś z długimi rękawami – powiedział Brian. – Poza tym twoje ozdoby nie pomogą nam w rozmowie z księdzem Franceskiem. Chyba lepiej, jeśli będziesz się trzymał nieco z tyłu.

- Nie wiedziałem, że bywasz aż tak kołtuński – zripostował Leon.
- To nie ma nic wspólnego z kołtuństwem. Chcę jedynie zapobiec wywołaniu złego wrażenia. Jesteśmy w Europie, do tego w mieście, które ma za sobą ponad tysiąc lat katolickiej tradycji. Tutaj ludzie są nieco inni niż w Nowym Jorku.
- W porządku, niech ci będzie. Nie będę się pokazywał i zajmę się analizą. Chłodną nauką, że tak powiem. Za przedstawienie odpowiadacie wy dwoje, poza tym i tak nie znam włoskiego.

9.

Camp Springs, Maryland

Jeszcze tego samego wieczoru, zaraz po odwiezieniu Jennifer Oldham na lotnisko, Wayne Chang wrócił do Domu Pogody w Camp Springs. Chciał za wszelką cenę poznać szczegóły związane z zaginionym w regionie Karaibów samolotem NOAA. Pojechał windą na szóste piętro. Na korytarzach i w gabinetach panowała gorączkowa krzątanina. Poszedł szybkim krokiem do centrali nadzoru, która z wyglądu przypominała salę kontroli lotów NASA: były tu niezliczone konsole z monitorami, przy każdym siedział pracownik i wpatrywał się w obraz. Schneider siedział przed dużym ekranem, na którym widać było wielki huragan. Dało się rozpoznać kontury Baja California.

– Sądziłem, że wrócisz jutro. – Schneider popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Słyszałem, że idzie nowy huragan i podobno zaginął samolot. Co się dzieje?

Schneider przełączył na mapę przeglądowną.

– Huragan, mówisz? Mamy u naszych wybrzeży aż dwa potężne huragany! Cezar zagnieździł się na Karaibach w okolicy Kajmanów, a Dave atakuje nas od Pacyfiku. Do tego dochodzi wielki front burzowy na północ od Zatoki Baffina, sunący na wybrzeże Kanady.

– Co to ma znaczyć? Atakują nas trzy huragany?

– A jak byś to nazwał? Kwiecień był za suchy, maj ciepły jak w lecie. Prąd morski odwrócił kierunek, a poza sezonem powstają huragany. Istniało już kiedyś coś podobnego? To znaki. W atmosferze dzieje się coś, co stanowi dla nas zagadkę.

Wayne pokręcił głową.

– Jesteśmy naukowcami, a ty gadasz jak rozhistryzowana praczka.

– Od roku pracujemy nad udoskonaleniem rastrów obserwacyjnych, aby poprawiła się trafność prognozowania. Urabiamy się po łokcie, nie śpimy po nocach i po co to wszystko?

– Daj spokój. – Wayne spróbował uspokoić kolegę. – Możemy jedynie obserwować pogodę, ale nie możemy nią sterować, i tak jest dobrze.

– Już od dawna zmieniamy pogodę – odparł Schneider. – Nie za pomocą aparatury i zdalnego sterowania, ale żyjąc tak, jak żyjemy. Przemysł i motoryzacja dają spaliny, wprowadzamy do rzek i mórz wodę z elektrowni, wycinamy lasy deszczowe. Zmieniamy klimat, a na dodatek nikogo to nie interesuje. Już od dawna podcinamy gałąź, na której siedzimy, i moim zdaniem już wkrótce spadniemy z wysokiego drzewa i skręcimy sobie kark. Planeta nie potrzebuje ludzi, to ludzie potrzebują planety.

Wayne usiadł na skraju biurka.

– Taką przemową wywarłbyś duże wrażenie na sympozjum w Nowym Jorku. Co się z tobą dzieje?

Schneider wzruszył ramionami i westchnął. Przełączył na poprzednią mapę.

– Pilotem zaginionej maszyny jest Coldmann.

Wayne gwałtownie wciągnął powietrze. Schneider i Coldmann przyjaźnili się od lat. Latali razem w siłach powietrznych podczas pierwszej wojny w Zatoce. Potem Schneider przeszedł do służby meteorologicznej i załatwił Coldmannowi pracę pilota w NOAA.

– Bardzo mi przykro. Nie wiedziałem.

Kilka minut później Wayne usiadł w swoim gabinecie przy telefonie i zadzwonił do profesora Cliffa Sebastiana, kolegi ze studiów, który zajmował kierownicze stanowisko w Krajowym Urzędzie do spraw Oceanów i Atmosfery w Boulder w Kolorado. Popatrzył na zegarek. Było tuż po północy, w Boulder była dziewiąta. Pod numerem prywatnym nikt nie odbierał, zadzwonił więc do biura. Po dłuższej chwili go przełączono.

– Halo, Wayne! – zgłosił się Cliff. – Przepraszam bardzo, ale nie mam wiele czasu. U nas jest piekło.

– Samolot?

– Ostatni kontakt radiowy mieliśmy w okolicy Kajmanów. Chcieli wlecieć w przedni kwadrant huraganu i od tego momentu straciliśmy łączność.

– Ktoś wyruszył na poszukiwania?

– Chyba żartujesz. Tam szaleje huragan klasy F-cztery, a jeszcze nie osiągnął maksymalnej intensywności. Ogłosiliśmy zakaz startu wszelkich maszyn.

Jest zbyt niebezpiecznie. Straż wybrzeża też zawiesiła poszukiwania. Z Norfolku wyruszyła flota poszukiwawcza, ale dotrze do regionu poszukiwań za tydzień – jeśli nie będzie musiała zawrócić.

– Kto był na pokładzie? Znam kogoś?

Cliff cicho westchnął.

– Lois i Bisky z Krajowego Centrum Huraganów. Coldmann leciał z Waltersem. Nie mamy nadziei.

– To katastrofa – przyznał Wayne. – Chciałbym wiedzieć, co się stało. Coldmann to stary wyga, który zbierał doświadczenia jako obserwator tornad już w siłach powietrznych.

– Tak, ale taki wypadek zawsze może się zdarzyć. Chłopcy mają świadomość ryzyka.

Wayne wiedział, co Cliff ma na myśli. Jeszcze trzy lata temu sam uczestniczył na zlecenie NOAA w lotach, których celem było zbieranie danych o wnętrzu tropikalnych cyklonów. Przed każdym lotem informowano go, jakie niebezpieczeństwa czyhają za gęstym parasolem chmur. Aż nazbyt szybko stało się to rutyną, czymś codziennym, aż... coś takiego jak incydent na Kajmanach przypominał człowiekowi, jak ryzykowne jest to przedsięwzięcie. Od czasu gdy Wayne postanowił przestać zajmować się badaniem huraganów i przeszedł do służby meteorologicznej w Camp Springs, zapomniał o tych lotach. Teraz zajmował się rozbudową i modernizacją stacji pogodowych na kontynencie i Karaibach i zagęszczaniem sieci informacyjnej w celu poprawy dokładności prognoz. Był to zakres działania, do którego dzięki studiom na wydziale geodezji znakomicie się nadawał. W pierwszych miesiącach brakowało mu nieco aktywnej pracy w pobliżu frontów burzowych, szybko jednak nowe zajęcie całkowicie go pochłonęło. Oczywiście jego praca oraz działania NOAA i polujących na huragany ludzi z Krajowego Centrum Huraganów miały trochę wspólnego, ale w teren już nie jeździł. Szczerze mówiąc – przestał już za tym tęsknić.

– Macie pojęcie, co powoduje te wczesne huragany?

– Najwyraźniej mamy niezwykle zjawisko El Niño, ale nie potrafimy tego wyjaśnić – odparł Sebastian. – Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. Właśnie próbujemy zbadać tło zjawiska, ale jak na razie znamy jedynie objawy – przyczyny jeszcze nie.

– Mieliśmy niezwykle suchy kwiecień, a maj był o siedemnaście procent za ciepły.

– Znam statystyki – odparł Sebastian. – Doszliśmy do tego samego wyniku, wzięliśmy jednak pod uwagę dane z minionych stu lat i okazało się, że były już lata z tego rodzaju wyjątkami. W roku tysiąc dziewięćset czwartym, trzydziestym czwartym i czterdziestym szóstym zanotowano podobne wartości. Poza tym, jeżeli możemy wierzyć archiwom, także w tysiąc siedemset siedemdziesiątym drugim pojawił się huragan na początku maja.

– Uwierz mi, wcale mnie to nie uspokaja – odpowiedział Wayne.

– Szczerze mówiąc, mnie też nie. Przykro mi, ale muszę niestety kończyć. Musimy się zająć jeszcze jednym problemem.

– Jakim?

Sebastian wahał się z odpowiedzią.

– Co się dzieje?

– Ale zachowaj to dla siebie, to jeszcze nieoficjalne.

– Przecież wiesz, że możesz na mnie polegać – powiedział Wayne.

– Dwie i pół godziny temu odebraliśmy sygnał SOS z „Portland”. Krąży u wybrzeży Meksyku. Najwyraźniej na pokładzie wybuchł pożar, kontakt został zerwany. Od tego czasu panuje cisza w eterze.

– U wybrzeży Meksyku? Przecież tam szaleje drugi cyklon.

– W tym właśnie problem. Z ostatniego zgłoszenia pozycji statku można wnioskować, że sztorm za godzinę do nich dotrze.

– Boże drogi! Jakie kroki podjęliście?

– A co mielibyśmy zrobić? Siedzimy i się za nich modlimy. Żaden kuter na świecie nie dotrze do nich przed frontem burzowym.

– A samoloty?

– Istnieje tylko jedna możliwość. Analizowaliśmy wszystko, aż mózgi nam się zagotowały. Jak sądzisz, dlaczego jeszcze tu jestem? W drodze jest okręt podwodny marynarki wojennej, który spróbuje ewakuować załogę. Mam nadzieję, że dotrze do „Portlandu” na czas.

– Ilu ludzi jest na pokładzie?

– Prawie stu.

Hotel Orion, Wenecja

Brian Saint-Claire siedział w znajdującym się naprzeciwko hotelu barze Edy i popijał martini. Gina zamówiła espresso. Miała na sobie czerwony top i prostą białą bluzkę. Kruczoczarne włosy zaczesiła do tyłu i zaplotła w warkocz. Okulary w metalowych oprawkach sprawiały, że wyglądała jak panna

Money Penny ze starszych filmów z Bondem. Poza angielskim Gina doskonale znała niemiecki, francuski i włoski, na dodatek w ciągu czterdziestu lat życia nauczyła się obchodzić z ludźmi i z nimi rozmawiać, aby czegoś się dowiedzieć. Miała dar: dostrzegała rzeczy niewidoczne dla innych. Rzeczy nieistniejące dla nauki akademickiej, niedające się obiektywnie udowodnić. Krótko mówiąc, Gina była medium: wyczuwała obecność energii psychokinetycznej i dysponowała niemal ponadmysłową zdolnością odróżniania kłamstwa od prawdy z dokładnością urządzenia technicznego najwyższej precyzji. Trafność jej ocen była zdumiewająca. Brian bardzo się cieszył, że przyjechała z nim do Europy.

Z Leonem sytuacja miała się całkiem inaczej. Był dziwadłem, często przesadzał i w magiczny sposób przyciągał kłopoty, więc Brian postanowił trzymać go na krótkiej smyczy. W końcu zlecenie było bardzo delikatnej natury i wymagało sporego wyczucia.

– *Le lacrime della madre di Gesù*. – Gina przeczytała tytuł artykułu. W Chiesa San Zulian, odległym o niecałe trzydzieści kroków od kawiarni, w której siedzieli, dwoje dzieci miało objawienie maryjne. Dwunastoletniemu chłopcu i jego dziesięcioletniej siostrze Matka Boska objawiła się przed głównym ołtarzem, kiedy dzieci przyszły wieczorem pomodlić się w kościele. Przepowiedziała, że podniosą się wichry, na kraj spadną burze, a nowy potop zmyje ze świata grzech. Zjawisko trwało nie dłużej niż minutę – potem Matka Boska się zdematerializowała. Na znak, że mówi prawdę, z oczu na obrazie Marii Panny, wiszącym nad ołtarzem, popłynęły łzy. Były czerwone jak krew.

Brian kilka razy czytał ten artykuł oraz komentarz redakcji. Z tego, co zdążyli się dowiedzieć, zarówno dzieci, jak i ksiądz – ojciec Francesco – mieszkali w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła.

– Gdy to czytam, po krzyżu przebiega mi lodowaty dreszcz – powiedziała Gina i podała gazetę Brianowi.

– Dziękuję, znam go już na pamięć.

– Słuchałeś wiadomości? – spytała Gina, kiedy kelner przyniósł jej espresso.

Brian pokręcił głową.

– Najwyraźniej na nasze wybrzeże suną znowu dwa huragany. A przecież jeszcze nie jest na nie sezon. Gdy to usłyszałam, natychmiast pomyślałam o przepowiedni Marii Panny.

Brian zmarszczył czoło.

– Sądzisz, że naprawdę mogło dojść do objawienia?

– Niewykluczone.

Brian się uśmiechnął.

– Widzisz między tymi zjawiskami jakiś związek? Gina upiła łyk espresso.

– Meteorolodzy i klimatolodzy są bezradni. Sama sprawa na pewno nie jest normalna, a wszystko, co wykracza poza normę, nas interesuje.

– Gdzie jest Leon? – Brian popatrzył na zegarek. Było już dwadzieścia po piątej.

– Znasz go przecież. Potrzebuje rozbiegu.

– On i rozbieg, nie rozśmieszaj mnie! Czasami potrzebuje kogoś, kto by go hamował, żeby nie przegiął.

– Nie bardzo go lubisz, prawda?

– Nie...

– Zły humor? – rozległ się głos Leona i Brian się odwrócił.

Leon stał za jego krzesłem i szczyrzył zęby w uśmiechu. W ciemnym garniturze wyglądał jak kierownik przedsiębiorstwa pogrzebowego. Zdjął kolczyki.

– Gdzie byłeś? – spytał Brian.

Leon oparł się nonszalancko o ścianę i wskazał palcem kościół.

– Tam. Rozejrzałem się w środku. Bardzo ciekawe. Jest tam klerykalny supermarket: pocztówki, świece, książki, obrazki świętych i krzyżyki z drewna na skórzanym pasku. Siwa eminencja obserwuje wszystkich bardziej nieufnie niż bramkarze z klubów przy Sunset Strip. Jego ponura mina rozpromienia się tylko wtedy, gdy słyszy brzęk monet.

– Do jasnej cholery, przecież powiedziałem: żadnych samodzielnych akcji!

– Nie podejmowałem żadnych akcji. Mówiłeś, że mam się trzymać z daleka, więc dokładnie to robiłem. Jedynie trochę się rozejrzałem i wykonałem pierwsze pomiary. Jak na razie, nie wykryłem nic niezwykłego – z wyjątkiem łez Matki Boskiej, które łatwo dostrzec. Widać ciemny ślad biegnący od oczu w dół.

– Coś jeszcze?

– Klecha jest kimś w rodzaju strażnika i prawdopodobnie jest obecny przez cały czas otwarcia kościoła. Zamykają o szóstej. Zastanawiam się, czy posiwiały sługa Kościoła choć na minutę spuszcza swój przybytek z oka. Usiądę więc tutaj, zaczekam na koniec dnia i popatrzę, co się dzieje po zamknięciu bramy. Wy przez ten czas możecie zwiedzić kościół.

– Doskonały pomysł – doszła do wniosku Gina i wstała.

– Nie tak szybko – wtrącił Brian. – Powinniśmy ustalić dalsze postępowanie.

– Czyżby mój pomysł nie był dla szefa wystarczająco dobry? – Leon westchnął.

– Nie ma to nic wspólnego z tobą. Mamy trudne zadanie i nie chcę przedwcześnie przyciągać uwagi. Trzeba się dowiedzieć, jak dostać się do dzieci i porozmawiać z nimi na osobności. Do oficjalnego spotkania z księdzem zostało nam jeszcze trochę czasu. Powinniśmy go wykorzystać.

– Przecież to całkiem proste – powiedziała Gina. – Ja wezmę na siebie dzieci, ty księdza. Leon zrobi kilka badań: z jakiego materiału jest ołtarz, jaki jest skład farby. To, co zwykle.

– Ale potrzebuję kogoś, kto odciągnie uwagę strażnika.

– Przecież zawsze jesteś taki kreatywny... – rzuciła ironicznie Gina. – Wymyśl coś.

Brian wstał.

– No dobrze, niech będzie, jak mówisz. Pójdziemy teraz do kościoła, ty obserwuj wejście. Ja zamawiałem martini, Gina piła espresso.

Leon opadł na krzesło, a Brian i Gina ruszyli wolnym krokiem w kierunku kościoła i wkrótce zniknęli w tłumie, który sunął wąską uliczką.

Wyspa Kokosowa, Pacyfik

Ogień rozprzestrzeniał się z maszynowni na pokłady. Pełznąc po pokrywanej metal farbie, płomienie bezlitośnie przenikały przez najmniejsze szpary grodzi. Z powodu braku prądu nie działała instalacja przeciwpożarowa. Akumulatory popękały w wysokiej temperaturze i w powietrzu rozchodziły się trujące, groźące eksplozją opary, które zmuszały załogę „Portlandu” do coraz dalszego wycofywania się.

Generator awaryjny dostarczał tyle prądu, aby dało się utrzymać działanie radiostacji i oświetlenia awaryjnego, z głośnika na mostku dolatywał jednak tylko monotony szum. Niesterowny „Portland” dryfował po Pacyfiku. Z minuty na minutę fale rosły. Wiatr się nasilił i wiał z południowego zachodu. Od czarnego nieba wyraźnie odcinały się kontury sunącej przed huraganem góry chmur. Załoga statku badawczego rozpaczliwie próbowała walczyć z ogniem za pomocą ręcznych sikawek, ale nic to nie dawało. Lakiery i farby pokrywające metal i drewno oraz mieszanka unoszących się w powietrzu gazów

podsycały płomienie. Kilku członków załogi ogień uwięził pod pokładem – dla nich nie było już nadziei. Kilkunastu ludzi leżało w okolicy dziobu i łapczywie chwyciło powietrze, aby oczyścić płuca z gryzącego dymu, którym musieli przez dłuższy czas oddychać. Wszędzie było widać krążących jak zombie ludzi z poparzeniami. Ich krzyki mieszały się z trzaskiem ognia. Sanitariusze nie nadawali z pomocą.

W rozświetlanej płomieniami nocy odbijały się echem okrzyki oficerów próbujących wydawać marynarzom polecenia. Sytuacja jednak z minuty na minutę się pogarszała; jeśli wkrótce nie nadejdzie pomoc, statek przepadnie.

– Huragan ciągle się zbliża! – zawołał Holbroke, przekrzykując hałas. – Musimy opuścić pokład! Walka z ogniem nie ma sensu!

Zsunął z pleców paski kanistra z wodą i rzucił go wraz z sikawką na pokład.

– Bez sensu... to wszystko nie ma sensu... statek jest stracony! – wrzasnął Taylor. – Szalupy! Musimy spuścić szalupy! To jedyna szansa!

Ledwie skończył zdanie, statkiem wstrząsnęła detonacja. Z zejściówki wystrzeliły płomienie, a temperatura na pokładzie zrobiła się nie do zniesienia.

Przybiegł jeden z oficerów.

– Do szalup! Wszyscy do szalup!

Z chmur wystrzeliły pierwsze błyskawice i po pokładzie przeleciał gwałtowny podmuch wiatru. Zanim spuszczone na wodę pierwszą szalupę, rozszałałe żywioty zbliżającego się huraganu rzuciły się z nową siłą na płonący statek.

10.

Chiesa San Zulian, Wenecja

Kiedy Brian i Gina weszli przez wielki portal do wnętrza kościoła, przywitał ich odświeżający chłód. Mimo dużej liczby turystów, zachwycających się w skupieniu ołtarzami i freskami, panowała cisza. Brian rozejrzał się wokół. Kościół zbudowano na początku XV wieku, na patrona wybrano świętego Juliana. Ołtarz główny otaczały cztery mniejsze ołtarze, które kształtem i wyposażeniem przypominały miniatury głównego. Na górze centralnego malowidła znajdowała się scena maryjna. Ubrany w purpurowy płaszcz siedzący Józef kładł prawą dłoń na głowie klęczącej obok Marii. W tle widać było muzykantów, którzy grali, pozornie obojętni na główną scenę. Brian doskonale znał symbolikę gestu Józefa z licznych kościelnych obrazów: położenie ręki na głowie było błogosławieństwem i wybaczeniem grzechów oraz pochwałą za bogobojne życie.

Brian wolnym krokiem podszedł do ołtarza, Gina została przy stoisku z pocztówkami i pamiątkami, ustawionym zaraz za wejściem. To tam siedział siwy starszy pan, o którym mówił Leon, i chmurnie lustrował zwiedzających. Brian zatrzymał się przed ołtarzem i popatrzył w górę. Obraz Marii znajdował się na wysokości trzech metrów. Zbyt wysoko, aby dostać się bez drabinki. Pod oczami Matki Boskiej dało się dostrzec niewyraźny ślad. Poza tym uwagi Briana nie zwróciło nic szczególnego.

Ołtarz zrobiono ze zwykłych materiałów – marmuru, wapnia i gipsu. Łączenie różnych materiałów tak, aby przetrwały stulecia, było dla budowniczych średniowiecza niełatwym wyzwaniem. Z czasem farby blakły, drewno gnęło, stiuki na ścianach pękały z powodu oddziaływania powietrza i wilgoci i konieczne stawały się naprawy. Także w tym kościele – mimo chłodu – czuć było wilgoć. Czegóż innego można oczekiwać w mieście zbudowanym na wodzie?

Brian szukał miejsc świadczących o restaurowaniu zabytku, ale niczego nie dostrzegł. Biorąc pod uwagę obecność ponurego strażnika w głębi kościoła, nie miał pomysłu, w jaki sposób Leon mógłby nieobserwowany przeprowadzić analizę śladu łez.

Zamyślony, odwrócił się i ruszył do wyjścia, gdzie czekała Gina. W dłoniach trzymała broszurki o kościele San Zulian. Brian na moment obejrzał się za siebie, po czym wyszli na zewnątrz. Znowu ogarnął ich upał mijającego dnia.

– Poczułaś coś? – spytał Brian.

Gina pokręciła głową.

– Nic niezwykłego. Kościoły często otacza specyficzna aura, ale niczego nie czułam.

Brian popatrzył na broszurki w jej rękach.

– Co wzięłaś?

– Mały wybór z klerykalnego supermarketu. – Gina podniosła wyżej plik papieru. – Szesnaście euro musiałam na to wywalić. No ale w końcu na dobry cel.

– Jaki?

– Remont kościoła.

Kiedy wrócili do baru Edy, nie zastali Leona. Brian rozglądał się, ale go nie widział. Gina od razu zauważyła jego zdenerwowanie.

– Nie zginie – powiedziała. – Znasz go przecież. Może wpadł mu do głowy pomysł, jak zdobyć próbkę materiału? Czasami idzie za czymś...

– ...a potem wszyscy siedzimy w bagnie.

– Nie mógł odejść daleko.

Rozbrzmiały dzwony Bazyliki Świętego Marka. Po chwili do wieczornego koncertu dołączyły dzwony kolejnych kościołów. Brian popatrzył na zegarek. Była osiemnasta.

– Zobaczmy, co stanie się teraz – powiedział Brian i usiedli.

Zamówili po cappuccino i Brian zaczął się wpatrywać w bramę

kościoła San Zulian. Ostatni turyści wyszli na plac i wrota zostały zamknięte. Minęło dwadzieścia minut, zanim na zewnątrz wyszedł siwy mężczyzna. Starannie zaniknął wrota wielkim, starodawnym kluczem. W końcu stary zniknął w bocznej uliczce. Brian wstał. Przez chwilę korciło go, aby pójść za służą Kościoła, dostrzegł jednak Leona, który najwyraźniej wpadł na ten sam pomysł i podążył za nim.

– Może masz rację – powiedział Brian i ponownie usiadł. – Może powinienem pozwolić Leonowi urwać się ze smyczy? Zobaczymy, co z tego wynika.

Gina popatrzyła na niego pytająco.

– Jeśli o mnie chodzi, to porozmawiam jutro z ojcem Franceskiem – oświadczył Brian. – A ty spróbujesz dotrzeć do dzieciaków.

Na południe od Wyspy Kokosowej, Pacyfik

SSN-28 „Clayton” był okrętem podwodnym klasy Ohio i kiedy wczesnym wieczorem odebrał depezę z centrali dowodzenia, już od kilku dni krążył po południowym Pacyfiku u wybrzeży Meksyku. Komandor porucznik Loison ruszył całą naprzód w kierunku Wyspy Kokosowej. Zadanie miało najwyższy priorytet. Każdy na pokładzie wiedział, że jeżeli nie znajdą w odpowiednim czasie statku, załoga „Portlandu” zginie. Od ostatniego zgłoszenia pozycji przez palący się statek, mniej więcej czterdzieści mil morskich na południe od wyspy, minęło ponad dwanaście godzin. Na powierzchni szalał gigantyczny sztorm, a pozbawiona zdolności manewrowania jednostka nie miała szans w starciu ze wzburzonym morzem i potężnym huraganowym wiatrem. Jednak jeszcze istniała nadzieja, gdyż odnogi sztormu nie dotarły do regionu, który nawigator określił na mapie morskiej jako możliwe miejsce pobytu „Portlandu”. Biorąc pod uwagę prędkość przemieszczania się cyklonu Dave i obecny kierunek jego ruchu, pozostawało mniej więcej pół godziny do dotarcia frontu burzowego do ostatniej pozycji „Portlandu”. Tak czy siak, czasu było niewiele.

Nerwy załogi były napięte jak postronki. Wszystkie stanowiska obsadzono, marynarze nie odrywali wzroku od monitorów radarów i sonarów. Jeszcze nie odebrano sygnału, który można by przyporządkować „Portlandowi”. Radiotelegrafista miał coraz większe problemy z odbiorem. Sztorm ograniczał łączność z centralą dowodzenia i po kilku kolejnych minutach z głośników dolatywały już tylko strzępki słów.

„Clayton” ciął ocean na głębokości niecałych czterdziestu metrów. Niespokojne morze utrudniało manewry i nawet na tej głębokości dało się wyraźnie wyczuć, jak bardzo jest wzburzone. Komandor porucznik siedział z pierwszym oficerem w mesie i omawiał postępowanie ewakuacyjne. Zmieszczenie na okręcie dodatkowych stu ludzi nie będzie łatwe. W końcu okręty podwodne Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych to nie statki pasażerskie i nawet w normalnych warunkach jest mało miejsca.

– Zakładając, że ich znajdziemy, przy huraganie o sile dwunastu stopni będziemy mieli poważne trudności w trakcie akcji ratowniczej – powiedział pierwszy oficer. – Fala ma siedem metrów i stale rośnie. Możemy jedynie liczyć na to, że zdążymy, a sztorm jeszcze przez jakiś czas oszczędzi „Portland”.

– Ile czasu zostanie na akcję?

– Z wyliczeń wynika, że nie więcej niż dziesięć minut. Ani sekundy dłużej, jeżeli nie chcemy się dostać pod góry wody. Wątpliwe, czy uda się nam w ogóle przycumować.

– Jeżeli statek płonie, utrzymamy bezpieczną odległość. Będą musieli podpłynąć szalupami.

Pierwszy oficer skinął głową.

– To jedyne wyjście.

– Dotarliśmy do regionu docelowego – rozległ się przez głośnik głos nawigatora. – Jeszcze bez kontaktu. Zaczynamy poszukiwania i wychodzimy na peryskopową.

Hotel Orion, Wenecja

Brian spał niespokojnie. Obraz na ołtarzu nie dawał mu spokoju. We śnie prześladowały go łyzy Matki Boskiej i obudził się zlany potem. Kiedy zadzwonił budzik, zanim wstał, kilka razy solidnie się przeciągnął. W pokoju było przyjemnie chłodno. Po odświeżającym prysznicu zszedł do sali śniadaniowej, gdzie już był Leon. Popijał cappuccino.

– Wystarczająco długo nawąchałeś się materaca? – przywitał Briana. – Już się bałem, że w ogóle nie wstaniesz.

Widok Leona i wredne powitanie nie mogły poprawić Brianowi humoru. Z westchnieniem opadł na krzesło i zasłonił dłońmi twarz.

– Gina już ruszyła do pracy – oznajmił Leon. – Próbuje znaleźć dzieci, zamierza obejść okoliczne szkoły. Mam nadzieję, że nie ma tu zbyt wielu lato-rośli, które zwą się Mancini.

Podszedł kelner i Brian zamówił kawę, sok pomarańczowy, bułki i dżem.

– Sądzę, że je znajdzie – powiedział Brian. – Przy jej wyczuciu na pewno się uda.

Leon skinął głową.

– A tak poza tym to stary mieszka uliczkę stąd, przy Via Merceria. Na drzwiach jest tylko jedno nazwisko. P. Parrotta. Przy czym „P” może oczywiście oznaczać kobietę, jeśli stary ma żonę.

– Widziałem, jak za nim poszedłeś – powiedział Brian. – Masz już plan, jak zdobyć próbki materiałów i farb obrazu z ołtarza?

Leon chytrze się uśmiechnął.

– Mam wiele planów, ale to nie będzie proste. Kościół otwiera podwoje o dziewiątej – to znaczy wtedy stary otworzy drzwi. Zobaczymy, co się stanie, gdy będzie musiał się wysikać. Może wtedy opuści posterunek?

– Rzuciłem wczoraj okiem na ołtarz. Składa się, najogólniej mówiąc, z trzech części, ale nie widziałem żadnych szwów ani naprawianych miejsc.

– Jesteśmy w Europie, do tego we Włoszech – odparł Leon. – Mają tu mistrzów konserwacji i renowacji. Bez lupy niczego nie zauważysz.

Kelner podał śniadanie. Brian rozciął bułkę i posmarował ją, dżemem. Leon aż się wzdrygnął.

– Jak można tak wcześniej jeść...

– Nie jadasz śniadań?

Leon wskazał na filiżankę przed sobą.

– Produkty stałe dopiero od dwunastej. Kiedy masz rozmawiać z klechą?

Brian napił się kawy.

– Za pół godziny. Oby okazał się chętny do współpracy.

– Dlaczego nie? W końcu nie co dzień ma okazję rozmawiać z dziennikarzem z Ameryki. Będzie dumny, że nasz wielki naród interesuje się jego skromnym kościółkiem.

Brian dopił kawę.

– Obyś się nie mylił. Europejczycy bywają w pewnych sprawach dość zamknięci.

Leon pochylił się do przodu i poklepał Briana po ramieniu.

– Poradzisz sobie – powiedział i podniósł z ziemi duży blok rysunkowy.

Brian popatrzył na niego pytająco.

– Co zamierzasz?

Leon szeroko się uśmiechnął.

– Jestem rokującym duże nadzieje malarzem z Akademii Sztuk Pięknych i wsunę staremu Parrotcie parę banknotów, aby pozwolił mi zrobić kilka szkiców wnętrza kościoła. Może dzięki temu wymyślę sposób, jak uniknąć stałej obserwacji. Każdy przecież musi się kiedyś wysikać.

– Ale nie znasz słowa po włosku.

Leon wyciągnął z kieszeni słownik.

– Na starego wystarczy.

Po śniadaniu Brian wyruszył do urzędu parafialnego tuż przy kościele. Ojciec Francesco nie miał pojęcia, dla jakiego pisma pracuje dziennikarz, który chciał zrobić z nim wywiad. Kiedy Porky za pośrednictwem biskupa diecezji ustalał termin, przemilczał, że chodzi o czasopismo ezoteryczne. Brian czuł się nieswojo na myśl, że może będzie musiał zwodzić księdza. Nie był wierzący w kościelnym rozumieniu tego pojęcia, ale wierzył w siłę nadprzyrodzonego, w to, że istnieje wyższa siła, która rządzi wszechświatem. Odrzucała go instytucjonalizacja wiary – kult osób i sztywna hierarchia. Będzie musiał się pilnować, aby nie zdradzić księdzu swoich poglądów.

Ojciec Francesco siedział w małym, ale wypełnionym słonecznym światłem pokoiku, za wielkim, zrobionym z czarnego drewna biurkiem, co sprawiało, że wyglądał jak karzelek. Ubrany w brązową sutannę ksiądz mógł mieć siedemdziesiąt lat i kiedy Brian wszedł, robił przyjazne wrażenie. Choć nie miał więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, emanował z niego wzbudzający szacunek autorytet.

Brian ukłonił się i grzecznie przywitał.

Ksiądz uśmiechnął się i wskazał na krzesło w rogu.

– Daleka droga prowadzi pana do mnie, ale w wielkich sprawach świat jest mały.

Brian spróbował znaleźć w swoim włoskim słowniku pasującą odpowiedź, musiał jednak skapitulować. Nie znał na tyle włoskiego, aby bez przygotowania prowadzić tak filozoficznie podbarwioną rozmowę. Jedynie uśmiechnął się i określił powód przybycia.

– Biskup zapowiedział pańską wizytę – odparł ksiądz. – W tym bezbożnym świecie konieczne jest od czasu do czasu, aby Bóg zademonstrował ludziom swoją siłę i wszechwładną obecność. Wiara jest jedynym zbawieniem, które uratuje nas przed wiecznym potępieniem, gdy zacznie się Dzień Sądu Ostatecznego. Chętnie służę, na ile będę mógł.

Myśląc o zupełnie innej, całkowicie ziemskiej potędze, Brian musiał uśmiechnąć się w duchu. Kiedy Porky tuż przed odlotem kolejny raz zapewniał go, że wszystko jest przygotowane, dał do zrozumienia, że wystarczył jeden telefon cara mediów Harbona, aby otworzyć wszystkie potrzebne drzwi.

– Chętnie porozmawiałbym z księdzem o objawieniu maryjnym – zaczął Brian. – Podobno dwoje dzieci...

– Nie ma nic niezwykłego w tym, że Wszechmogący objawia się tym spośród nas, którzy są niewinni – przerwał ojciec Francesco.

Brian spróbował na nowo.

– Z opisów wynika, że cud się zdarzył tuż po godzinie dwudziestej pierwszej. Ciekawi mnie, czy o tak późnej porze dzieci były w kościele same i co je skłoniło do wizyty.

– Kościół jest codziennie otwarty dla członków naszej społeczności – odparł duchowny. – Oczywiście musimy się bronić przed złodziejami, więc poza zwykłymi godzinami wrota są zamknięte. W każdym domu bożym w naszym mieście jest jednak kościelny, który mieszka niedaleko kościoła, i gdy któraś z naszych owieczek szuka bliskości z Panem, jest gotów go otworzyć. Już w Księdze Ksiąg napisano: „Kończcie, a otworzą wam”*.

* Mateusz 7;7, Biblia Tysiąclecia.

Brian przyjął to wyjaśnienie.

– Czy mógłbym porozmawiać z tymi dziećmi?

Uśmiech zniknął z ust duchownego.

– Nie będzie to możliwe. W tego typu sytuacjach Kościół ma za zadanie chronić dzieci. Na pewno pan to rozumie.

– Ale jeżeli wydarza się cud, to dlaczego opinia publiczna nie może w tym uczestniczyć?

– No, no – dopiero się okaże, czy to cud. Sprawę badają urzędnicy Watykanu. Sprawdzenie zajmie sporo czasu – w końcu przy podobnych zdarzeniach Kościół jest bardzo samokrytyczny. To dzieci i były same. Może pan oczywiście obejrzeć kościół i zasięgnąć języka na miejscu. Proszę porozmawiać z Paolo Parrottą, naszym kościelnym. Był pierwszą osobą, która rozmawiała z dziećmi. Zrobił zdjęcia łez Matki Boskiej, kiedy były świeże. Na pewno chętnie udzieli panu informacji.

Brian postarał się uśmiechnąć z wdzięcznością.

– Przeprowadzono jakieś badania?

– W przypadkach objawień takich jak to trzymamy się ściśle zasad wyznaczonych przez Watykan. Natychmiast poinformowałem biskupa, on zaś zawiadomił odpowiedniego oficjela w Watykanie. Wysłannicy kongregacji z pewnością podjęli wszelkie działania, które należy w podobnej sytuacji podjąć. Do chwili otrzymania wiadomości ze Stolicy Apostolskiej mamy związane ręce. Musi się pan, niestety, zadowolić informacją dla prasy, którą wydał biskup, gdy dziennikarze zasypali nas pytaniami.

Ojciec Francesco podał Brianowi dokument. Brian szybko go przejrzał. Było to oświadczenie dla prasy, które pokazał mu Porky, kiedy przyjechał do chaty nad jeziorem.

– Więcej nie mogę na ten temat nic powiedzieć. Obaj musimy uzbroić się w cierpliwość – powiedział ksiądz i wstał.

Rozmowa została zakończona.

Kiedy Brian wracał do hotelu przy Campo San Zulian, jego myśli krążyły wokół nielicznych odpowiedzi, jakich udzielił mu ojciec Francesco. Powoli coraz bardziej nasuwała mu się myśl, że duchowny próbował coś ukryć. Brian jeszcze raz podsumował to, co usłyszał. Zastanawiały go nie tylko słowa – nieufność wzbudzały także sztywne gesty księdza i jego mało plastyczna mimika.

Gina siedziała przy stoliku w barze po drugiej stronie ulicy.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytała, kiedy mijał ją zamyślony. Brian obrócił się na pięcie i podszedł do jej stolika.

– Sądziłem, że sprawdzasz szkoły. Nie znalazłaś dzieci?

Gina skinęła głową.

– Znalazłam, a nawet je widziałam. Dwie małe słodkie osobki, które wyglądają jak uosobienie niewinności. Nie udało mi się jednak do nich dotrzeć.

– Co to znaczy?

– W przerwie zapytałam dwójkę dzieciaków o rodzeństwo Mancini i okazało się, że są na podwórzu, ale w towarzystwie. Wokół nich kręciło się cały czas dwóch mężczyzn w czarnych sutannach. Jak ochroniarze.

Brian pokręcił głową.

– Cholera, tego się obawiałem. Ojciec Francesco dawał wymijające odpowiedzi. Sprawa jest badana w Watykanie, przez ten czas uczestnicy zdarzenia są izolowani, bla, bla.

– W takim razie musimy zastosować inną strategię – powiedziała Gina i napiła się kawy.

Brian się rozejrzał.

– Gdzie Leon?

Gina odstawiła filiżankę i kiwnęła głową w kierunku kościoła.

– Nasz student od kilku godzin ćwiczy rysunek.

11.

Na południe od Wyspy Kokosowej

SSN-28 „Clayton” krążył w okolicy, gdzie powinien się znajdować „Portland”, ale poszukiwania nie przynosiły skutku. Huragan szalał. Wicher smagał fale i pchał je na północ. Utrzymanie się na głębokości peryskopowej okazało się niemożliwe. Morze było wzburzone do głębokości trzydziestu metrów i mocno trzęsło okrętem podwodnym, więc kapitan kazał zejść na głębokość stu metrów. Na monitorach kontrolnych nie pokazały się żadne statki, a przy tak silnej burzy sonar był bezużyteczny.

– Jak pan sądzi, kiedy będziemy mogli się wynurzyć? – spytał komandor pierwszego oficera.

– Najwcześniej za godzinę – odparł pierwszy oficer i odłożył cyrkiel. – Nawet gdybyśmy zlokalizowali statek na powierzchni, nie możemy ryzykować wynurzenia. Za duża fala.

Na twarzy kapitana pojawiły się świadczące o niepokoju zmarszczki. Zdawał sobie sprawę z tego, że przybyli za późno. Sztorm albo zepchnął statek, albo jednostka już dawno zatонуła. Z ostatniego, bardzo fragmentarycznego komunikatu, jaki otrzymali z Los Angeles, wynikało, że kontakt radiowy z „Portlandem” urwał się trzynaście godzin temu.

– Zaczekamy, aż będzie można się wynurzyć – zdecydował komandor i odwrócił się.

– Tak jest!

Bar Edy, Wenecja

– *Avrebbe voglia di bere un caffè con noi?* – spytała Gina młodego kelnera w koszuli z falbankami.

Młodzieniec skinął głową, zrobił sobie espresso i przysiadł się do ich stolika. Przyjaźnie popatrzył na Briana, po czym odwrócił się do Giny.

– Signora? – spytał z typowo włoską uprzejmością.

Gina udawała łasą na komplementy turystkę i zapytała, czy to prawda, że niedawno w kościele obok wydarzył się cud. Pokrótce opowiedziała to, co można było przeczytać w notatce prasowej.

Kelner konspiracyjnie się do niej przysunął.

– Te dzieci mieszkają niedaleko stąd. Sprawa wydarzyła się w niedzielę, trzy tygodnie temu. Dobrze wszystko pamiętam. Stary Paolo wyszedł z kościoła, rozglądał się wokół mętnym wzrokiem i mamrotał pod nosem: „Cud się wydarzył... cud...”. Potem razem z kilkoma sąsiadami weszliśmy z nim do kościoła. Dzieci cały czas klęczały przed ołtarzem i modliły się, a – wierzy pani czy nie – z obrazu Madonny spływały krwawe łzy.

– Widział pan na własne oczy? – spytał Brian.

– *Sul mio onore* – zapewnił kelner.

– Co się działo potem?

– Przyszedł ojciec Francesco, kazał nam wyjść z kościoła i zaczął rozmawiać z dziećmi. Chyba zawiadomił biskupa.

– Czy następnego dnia kościół był otwarty? – spytał Brian.

Kelner energicznie pokręcił głową.

– Był zamknięty przez cały tydzień. Nawet msze się nie odbywały. Przyjechali różni ludzie, obcy, mówiono, że urzędnicy z Watykanu, którzy badają sprawę.

Brian rzucił Ginie znaczące spojrzenie. Było to standardowe działanie Watykanu w tego rodzaju sytuacjach. Zajmowała się nimi niezależna komisja. Prowadzono rozmowy z ludźmi i dopiero wtedy, gdy zakończono procedurę, decydowano, czy może chodzić o cud. Kościół katolicki, który jeszcze przed kilkudziesięcioma laty dość bezkrytycznie brał za dobrą monetę każde podobne zjawisko i używał ich jako faktu mającego dowodzić istnienia Boga, teraz stał się ostrożniejszy. Zbyt często okazywało się, że rzekome cuda są oszustwem.

– Dzieci chodzą regularnie do kościoła? – zainteresowała się Gina.

– Często pomagają dziadkowi, który jest kościelnym. Uzupełniają zapas świec, pomagają układać kwiaty i sprzątać.

– Ten siwy mężczyzna z kościoła to ich dziadek? – spytała zaskoczona Gina i kelner potaknął skinieniem głowy.

– Zwróciło moją uwagę, że w kościele można kupić bardzo dużo pamiątek, znacznie więcej niż w innych kościołach w Wenecji – powiedział Brian. Zauważył, jak bardzo Ginie wydało się podejrzane, że dzieci i kościelny są spokrewnieni.

– W każdym kościele można kupić pocztówki i broszurki o jego historii. To dodatkowy sposób na uzupełnienie kasy, a nasza parafia potrzebuje pilnie pieniędzy, ponieważ trzeba naprawić fundamenty. W Wenecji stale trzeba prowadzić prace konserwacyjne – rozumiecie państwo – przez wilgoć.

– Sądzi pan, że sprawa z objawieniem to prawda? – spytała Gina.

– Jestem dobrym chrześcijaninem i człowiekiem wierzącym, ale nie idiotą. Widziałem krwawe łzy na własne oczy. *Gesú è il mio testimone* – zdecydowanie oświadczył kelner. – Poza tym jeśli jesteście państwo z Ameryki, to sami powinniście najlepiej wiedzieć, że przyroda obecnie szaleje. Słyszałem wiadomości o tajemniczych huraganach, które pojawiły się w waszym kraju. To wystarczający dowód na to, że mamy do czynienia z przepowiednią.

Po tych słowach młody człowiek pożegnał się i wrócił do pracy.

– No to sprawa się wyjaśnia – szepnęła Gina. – Stary jest dziadkiem, kościół pilnie potrzebuje naprawy, a część kosztów jest pokrywana ze sprzedaży świec, pocztówek i broszurek. Wystarczy dodać dwa do dwóch i widać, co jest grane.

Brian pokręcił głową.

– Ostrożnie. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

Na południe od Wyspy Kokosowej, Pacyfik

Huragan przesunął się na północ z prędkością trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, aż na południe od Revilla Gígedo zderzył się z szeroką strefą wyżu, która zmusiła go do skrętu na zachód. SSN-28 „Clayton” sprawdzał kolejne kwadraty morza w poszukiwaniu niesterownego statku NOAA, wkrótce jednak ostatni członek załogi stracił nadzieję, że się na niego natknie. Pacyfik pochłonął stalowego kolosa, a cyklon usunął ślady dramatu.

Komandor porucznik Loison stał na szczycie kiosku wynurzonego okrętu i przykładał lornetkę do zmęczonych oczu. Świt przesunął się od wschodu nad ocean i barwił powierzchnię wody na kolor stali. Po grzbietach fal ciągle jeszcze wzburzonego oceanu pędziły spienione grzywacze. Choć mały czerwony kwadrat wydawał się w porównaniu z całą mapą maleńki, w rzeczywistości

obejmował kilkaset kilometrów kwadratowych wody. „Clayton” przeczesywał obszar zygzakiem, dzieląc go na kawałki, które dało się objąć wzrokiem. W ciągu ostatniej godziny przeczesali jedną czwartą obszaru. Nawet jeśli „Portland” zatonął, Loison miał nadzieję znaleźć jakiś jego fragment – choćby koło ratunkowe. Morze nie mogło zabrać wszystkiego, niestety, nie mieli szczęścia: w półmroku nie dało się niczego dostrzec. Jakby „Portland” nigdy nie istniał.

Loison odsunął lornetkę i potarł dłonią oczy. Fala uderzyła w kiosk i w górę wystrzelił gejzer piany.

– Przekłęta pogoda!

– Dotarliśmy do drugiego punktu zwrotnego i zawracamy na północ – powiedział oficer wachtowy, który z dwoma innymi oficerami stał tuż obok Loisona na kiosku.

Loison skinął głową i ponownie przystawił lornetkę do oczu. Okręt przez chwilę opierał się falom bokiem, aż przyjął nowy kurs. Słońce zdążyło już wzejść, fale powoli opadały. Niebo było zachmurzone, ale wiatr słabł. Dowódca przeglądał horyzont. Nagle zamarł. Jego uwagę przyciągnęła ciemna plama – z przodu od bakburty. Postukał palcem w ramię oficera wachtowego i wskazał w kierunku plamy.

– Proszę kazać zmienić kurs!

Oficer wachtowy skinął głową i włączył mikrofon. Po chwili dziób okrętu zaczął się przesuwac w bok. Ciemna plama rosła w oczach.

– Szalupa! – zawołał oficer wachtowy. – Wywrócona szalupa!

Loison skinął głową.

– Szalupa albo wywrócona łódź rybacka, którą prąd zniósł aż tutaj.

Im bliżej podpływali, tym wyraźniej ciemny kadłub odcinał się od szarej wody.

– To naprawdę szalupa ratunkowa – wymamrotał oficer wachtowy. – Widzę oznakowanie: N-trzydzieści pięć-sześćset trzydzieści cztery Portland.

Kiedy „Clayton” podpłynął wystarczająco blisko, kapitan wydał rozkaz, aby przechwycić szalupę. Marynarze przyciągnęli ją do okrętu bosakami, ale łódź tak przyssała się do powierzchni, że aby ją odwrócić, musiało zejść dwóch nurków. Ledwie weszli do wody, natychmiast pojawili się z powrotem. Wyciągnęli człowieka.

– Żyje – oświadczył lekarz pokładowy, kiedy pochylił się nad rozbitkiem.

Nurkowie wydobyli jeszcze dwie osoby, te jednak były martwe.

- Przywiązali się do szalupy – wyjaśnił jeden z nurków.
 - Zanieście go pod pokład! – rozkazał lekarz i zaczął pakować swoją walizkę.
 - W jakim jest stanie? – spytał kapitan.
 - Całkowicie wycieńczony, puls bardzo wolny, ale regularny – odpowiedział lekarz. – Wychłodzenie i wycieńczenie, ale sądzę, że z tego wyjdzie.
- Loison poklepał lekarza po ramieniu.
- Ważne, żebyśmy się jak najwcześniej dowiedzieli, co się stało ze statkiem. Może w pobliżu krążą kolejne szalupy.

Hotel Orion, Wenecja

Gdy zjawił się Leon, Gina i Brian siedzieli w hotelowej restauracji i jedli kolację. Po rozmowie z kelnerem resztę dnia wypytywali ludzi z sąsiedztwa o cud. Wysłuchali najróżniejszych wersji, w jednym wszyscy byli jednak zgodni: faktycznie doszło do objawienia, dzieci mówiły prawdę. Niejeden z sąsiadów – w tym biznesmeni i właściciele sklepów – po tym, jak Paolo Parrotta oznajmił o cudzie, spontanicznie przekazał kościołowi spore sumy pieniędzy. Gina i Brian dowiedzieli się także, że administracja kościelna co prawda uważała prace w kościele za niezbędne, ale ponieważ budowlę uznano za mniej ważną, ich rozpoczęcie zaplanowano na następny rok. Paola Parrottę, kościelnego i dozorcę Chiesa San Zulian w trzecim pokoleniu, wiadomość ta musiała głęboko dotknąć. Budynek kościoła był jego życiem. Dbał o niego, jakby na świecie nic innego nie istniało.

- Nauczył dzieci słowo po słowie – rzekła z przekonaniem Gina. – Sprawa śmierdzi na trzy kilometry. Na pewno sam namalował łyzy. Chce zebrać pieniądze na remont, i tyle. Jeden wielki szwindel, a ojciec Francesco o wszystkim wie.

- Prawdziwy idealista byłby do tego zdolny, ale musimy przeprowadzić analizę – odparł Brian. – Gdyby tylko dało się wejść niezauważenie do kościoła...

- Nawet gdy idzie się wysikać, nie odchodzi daleko – wtrącił Leon. – Coś jednak wymyśle. Dziś udało mi się przeprowadzić kilka badań ścian. W niektórych miejscach farba była kładziona bardzo niedawno.

- Bądź ostrożny, żeby stary nie nabrał podejrzeń – poradziła Gina.

– Nie bój się, uważa mnie za malarza o wielkiej przyszłości.

Brian przejrzał szkice Leona.

– Jeśli pytasz mnie o zdanie, to nie wiem, czy nie powinieneś zmienić branży.

Leon był mile połączony komplementem.

– Trzy lata studiowałem w Akademii Sztuk Pięknych. Są tam najpiękniejsze dziewczyny i można całe dni spędzać, nic nie robiąc, przed pustym płótnem i odpoczywać po trudach minionej nocy. Niestety, w którymś momencie ojciec zakręcił kurek z pieniędzmi. Uznał, że większość malarzy zdobyła sławę po śmierci, a za życia naciągali innych, żeby ich utrzymywali.

– Aż tak bardzo się nie mylił – powiedziała Gina.

– W naciąganiu już wtedy byłem mistrzem...

SSN-28 „Clayton”, południowy Pacyfik

Lekarz pokładowy się nie pomylił. Po ogrzaniu w dwóch kocach elektrycznych i podaniu mu ciepłej zupy rozbitek szybko ożył. Życie uratowały mu dwie rzeczy: powietrze, które zebrało się pod przewróconą łodzią, oraz sznur, który zaplątał się wokół ławki szalupy, a którego drugim końcem owinał się wcześniej wokół pasa. Człowiek z „Portlandu” leżał w lazarecie i wpatrywał się w metalowy sufit. Kiedy Loison wszedł do pokoiku, mężczyzna spojrzał w jego kierunku. Loison zasalutował na powitanie i przedstawił się.

– Czuje się pan na siłach, aby ze mną porozmawiać?

Rozbitek skinął głową.

– Nazywam się Peter Holbroke – odparł łamiącym się głosem. – Pamiętam tylko, że na „Portlandzie” doszło do silnej eksplozji i zaraz potem statek stał w płomieniach. Wsiedliśmy do szalupy, ale sztorm już do nas dotarł. Zrobiło się ciemno jak w nocy, wiatr zaczął nas coraz dalej znosić od statku. Wkrótce nie widzieliśmy już łuny pożaru. Wszystko działo się niezwykle szybko. Ktoś zawołał, żebyśmy się przywiązali i podano mi linę. Owinałem się nią i zaplątałem o dulkę. Zaraz potem uniosła nas gigantyczna fala. Wydaje mi się, że przez jakiś czas lecieliśmy w powietrzu. Do łodzi wlała się woda i wywróciliśmy się do góry dnem. Od tej pory pływałem w wodzie. Nieskończone godziny, podczas gdy wicher szalał nad moją głową.

– Pamięta pan, ile osób znajdowało się w łodzi?

Peter Holbroke pokręcił głową.

– Czy udało się zwodować inne szalupy?

– Nie mam pojęcia. Co z pozostałymi?

Loison popatrzył pytająco na lekarza i ten lekko pokręcił głową.

– Proszę teraz spróbować zasnąć – odparł Loison. – Musi pan odzyskać siły.

Odwrócił się i wyszedł.

– Wszyscy zginęli? – spytał Holbroke lekarza.

– Proszę się przespać, dowódca ma rację. Musi pan odzyskać siły.

12.

Chiesa San Zulian, Wenecja

Bezksiężycowa, czarna noc była tak ciemna, że nie dało się dostrzec dłoni przed oczami. Dawno minęła północ i barwna aktywność miasta na wodzie zgasła tak samo jak latarnie w zaułkach wokół Campo San Zulian. Tam, gdzie za dnia przez wąskie uliczki przeciskają się rzesze turystów, panowała cisza. Tylko od czasu do czasu zaszczeakał pies.

Skradał się po cichu, starając się przy każdym postawieniu nogi nie narobić hałasu. Drabinę zabrał z niedalekiej budowy. Była lekka, choć przy długości trzech metrów niełatwa do niesienia. Stale musiał uważać, aby nie potrącić czegoś w ciemności. Udało mu się bez narobienia rabanu dotrzeć do bocznego wejścia do kościoła. W czarnym kombinezonie i czarnej czapce, z zacernioną twarzą wyglądał jak cień, który oparł się o stare drzwi. W plecaku miał wszystko, czego potrzebował do nocnej wycieczki. Na moment zapalił latarkę. Włożył klucz w zamek i kiedy po przekręceniu w prawo rozległ się cichy, metaliczny trzask, odetchnął z ulgą. Zamarł na chwilę i słuchał, po czym pchnął drzwi i wniósł do środka drabinę. Znowu na moment zapalił latarkę. Przez małą zakrytą dotarł do nawy głównej, podszedł do ołtarza i oparł drabinę o podłogę. Ostrożnie ją rozłożył i sprawdził, czy pewnie stoi, po czym sięgnął do plecaka. Ołówkowa latarka rozświetliła wnętrze plecaka. Wziął ciemny futerał i wsadził go do wewnętrznej kieszeni kombinezonu. W kolejnej skrzyneczce znajdowały się buteleczki z różnymi płynami i związkami chemicznymi, które przebarwiały się w określony sposób po kontakcie z określonymi substancjami. Kiedy pochował potrzebne rzeczy w kieszeniach, wszedł na drabinę. Starł się robić jak najmniej hałasu, ale każdy krok po metalowych szczeblach odbijał się echem.

Kiedy dotarł na górę, wsadził latarkę między zęby i wyjął z kieszeni skalpel. W lateksowych rękawiczkach skóra wydawała się blada i martwa. Opierając się nogami, przyłożył do ściany złożoną w specjalny sposób kartkę papieru. Ostrożnie drapał skalpelem różne miejsca na ścianie – także na ołtarzu. Nikt nie zauważył jego roboty – chyba że znalazłby się na analizie materiałów powierzchniowych i przejrzał ścianę w poszukiwaniu zostawianych drobnych śladów. Zappełnił zdrapanym proszkiem dziesięć kopert. Zanim zszedł, obejrzał w świetle latarki szpary, które porobiły się między ołtarzem a zwieńczającym go łukiem. Kiwnął z zadowoleniem głową. Wszystko było tak, jak sądził. Łuk, który zwykłemu obserwatorowi mógł się wydawać marmurowy, zrobiony był z gipsu obłożonego dwucentymetrową warstwą marmuru. Dokładnie nad twarzą Marii na styku gipsu i marmuru znajdowała się ciemna plama. Schował skalpel do futerału i wyjął pudełko z buteleczkami. Zmoczył wacik w przezroczystym płynie i potarł nim plamę. Podzielił wacik na sześć części i każdą włożył do innej buteleczki, po czym schował pudełko do futerału. Zszedł z drabiny. Gdy znalazł się na dole, położył sprzęt na podłodze i złożył drabinę. Popatrzył na zegarek. Za trzy minuty czwarta. Najwyższy czas, aby zniknąć z kościoła, ale ciekawość nie pozwalała mu wyjść. Chciał się dowiedzieć, czy jego podejrzenie jest słuszne, i ponownie wyjął buteleczki z futerału. Sprawdził każdą w świetle latarki. Rzeczywiście, płyny w buteleczkach numer dwa i trzy się przebarwiły. W numerze dwa na ciemno, a w numerze trzy na jasny, niemal świecący fiolet. Z zadowoleniem wciągnął powietrze i w tym momencie usłyszał wyraźny hałas. Skulił się, ale nic to nie dało, ponieważ oświetlono go światłem mocnej latarki.

– *Polizia!* – rozległ się głośny okrzyk. – *Stia fermo!*

Leon cały się skulił. Ze strachu wypuścił z ręki futerał z buteleczkami.

– *E arrestato!* – krzyknięto ponownie.

Serce waliło mu jak szalone. Podniósł ręce. Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Baltimore, Maryland

Właściwie miała zamiar zostać w Baltimore tylko przez weekend, ale Peggy popsowała jej plany. Suzannah Shane powinna się tego od początku domyślić. W ten sposób z weekendu zrobił się tydzień. W sumie spędzała czas w domu rodziców w bardzo przyjemny sposób – z Peggy, jej córką Sarah i synem Tomem,

a nawet z matką – mimo że jeszcze się nie rozmówiły. Przede wszystkim Tom, który właśnie skończył sześć lat, oszalał na punkcie ciotki i nie opuszczał jej ani na chwilę. Dzieciaki dawały jej do wiwatu, ale Suzannah musiała przyznać sama przed sobą, że w sumie przeważa w niej radość z kontaktu z nimi. W ich obecności jakby budził się w niej blokowany instynkt macierzyński, który – choć nigdy jeszcze o tym poważnie nie myślała – głęboko w niej tkwił. Jako dziewczynka bawiła się oczywiście lalkami, gdy była nastolatką często wyobrażała sobie życie jako żona i matka. Z pięknym domem, dbającym o nią mężem i dwójką dzieci. Z biegiem lat wyparła ten pomysł podobnie jak wiele innych. Zdawała sobie sprawę z tego, dlaczego co chwilę dopada ją kryzys, znała bowiem objawy i skutki wyparcia – w końcu jednym z jej przedmiotów na uczelni była psychologia. Przez jakiś czas nawet praktykowała jako psycholog, zanim zajęła się badaniami. Niestety, samej sobie pomóc nie umiała. Od trzech dni zaburzenia snu Suzannah zniknęły jak ręką odjął i spała jak suseł. Także tego dnia Peggy musiała ją obudzić, aby zdążyły przed południem na cmentarz Baltimore East. Suzannah od pół roku nie była na grobie ojca. John William Shane zmarł przed czterema laty z powodu powikłań po zawale serca i kiedy stała przed jego grobem, do oczu napłynęły jej łzy. Suzannah bardzo kochała ojca.

– Całkiem już zapomniałam, jaki miał kolor oczu – powiedziała Suzannah i położyła na grobie ojca bukiet białych goździków.

– Też za nim tęsknię – odparła Peggy. – To niesprawiedliwe. Był w najlepszym wieku. Nie powinien jeszcze umierać.

Suzannah objęła siostrę ramieniem. Starła łzę z policzka. Peggy głęboko wciągnęła powietrze i wyprostowała się.

– Co tak naprawdę u ciebie słychać? – spytała siostrę.

Suzannah westchnęła.

– Kiedy pracuję, nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Tylko wieczorami albo w niektóre weekendy czuję się do kitu. Czasami ci zazdroszczę.

Peggy pogłaskała siostrę po ramieniu.

– To naprawdę dziwne... masz świetną pracę, dobrze zarabiasz, jeździsz drogim sportowym samochodem, a mimo to nie jesteś szczęśliwa. Ja stoję przy garach, zajmuję się dziećmi i domem i czekam, aż Robert wróci wieczorem. Czasami zazdroszczę ci wolności i chętnie bym się z tobą zamieniła... ale tylko czasami.

– Człowiekowi najbardziej brakuje tego, czego nie ma...

- Peggy domyślała się, co Suzannah ma na myśli. Popatrzyła z boku na siostrę.
- Miałaś od niego jakąś wiadomość?
 - Od Andrew?
 - Nie, nie od Andrew. Był niewielkim rozdziałem w twoim życiu. Mam na myśli faceta, o którym nie możesz przestać myśleć i którego najwyraźniej nie możesz zapomnieć.
- Suzannah pokręciła głową.
- Żadnej. Wiem tylko, że krąży po świecie jako dziennikarz dla okultystycznej gazetki.
 - Współczuję ci. Wiem, jak się czujesz.
 - Naprawdę?
 - W końcu jestem twoją starszą siostrą. Jedźmy do miasta. Pochodzimy po sklepach i napijemy się kawy w ulicznej kawiarni. I porozmawiaj z matką – nie zasłużyła na twoje milczenie.
 - Wiesz o naszej kłótni? Rozmawiałaś z nią o tym?
 - Bardzo z tego powodu cierpi. Wiem, jak jest z ciebie dumna.

Hotel Orion, Wenecja

Życie wróciło do wąskich uliczek. W porannej szarówce mały, krępy mężczyzna w jaskrawoczerwonej kamizelce pchał wózek przez Campo San Zulian. Wózek był pełen śmieci, które kilka minut temu mężczyzna zmiotł sprzed Merceria. Także tego dnia turyści zaleją plac Świętego Marka, tak jak przypływ zalewa plażę, a potem wleją się w wąskie uliczki, w których sklep sąsiaduje ze sklepem, porobią niezliczone zdjęcia Bazyliki Świętego Marka i Pałacu Dożów, po czym podążą w kierunku Piazzale Roma, gdzie kazano im zostawić samochody. Od maja Wenecja należy do świata.

Wydawało się, że miasto jeszcze śpi, ale policjanci w niebieskich mundurach już weszli do hotelu przy Spadaria, wpuszczeni przez nocnego portiera. Mężczyzna w cywilu zapytał o numery pokoiów dwojga gości z Kanady, którzy przyjechali przed kilkoma dniami. Portier posłał policjantów na trzecie piętro.



Brian Saint-Claire spał nago. Prześcieradło było pogniecione, leżał przykryty drugim prześcieradłem. Oddychał powoli i równomiernie. Nie usłyszał

skrzywienia drzwi. Spał spokojnie, kiedy policjanci weszli do pokoju. Obudził się dopiero, kiedy mężczyzna w cywilu położył mu dłoń na ramieniu i mocno potrząsnął. Zdezorientowany otworzył oczy i kiedy zobaczył mundury, gwałtownie usiadł.

– Brianie Saint-Claire, jest pan aresztowany – odezwał się cywil po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem.

Brian był przekonany, że to sen. Zaciśnął powieki i ponownie je otworzył, ale znajdujące się w pokoju postacie nie chciały zniknąć.

- Proszę się ubrać. Zabieramy pana na komisariat!
- Dlaczego... co się stało?
- Dowie się pan wszystkiego w swoim czasie.

Pacyfik u wybrzeży Kalifornii

SSN-28 „Clayton” płynął po niespokojnym oceanie. Okręt spędził cały dzień na przeczesywaniu morza przy Wyspie Kokosowej, załozde nie udało się jednak znaleźć innych rozbitków. Po „Portlandzie” nie został ślad. W powietrzu krążyły samoloty poszukiwawcze marynarki wojennej i straży wybrzeża, „Clayton” skierował się więc – z jedyną osobą, która przeżyła katastrofę – do portu w Los Angeles.

Huragan Dave przesunął się dalej. Mniej więcej na wysokości Kostaryki skręcił na północny zachód i przemieszczał się wzdłuż frontu niskiego ciśnienia w głąb Pacyfiku. Mieszkańcy Meksyku i południowo-wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych mogli odetchnąć. Po zachodniej stronie Ameryki Środkowej bliźniak Dave'a – Cezar – rozwinął się do kategorii czwartej. Przesunął się od strony Morza Karaibskiego wzdłuż Cieśniny Jukatańskiej do Zatoki Meksykańskiej i kolistym torem wrócił na wschód. Wszedł nad ląd w meksykańskiej prowincji Quintana Roo i narobił tam poważnych szkód. Rzeki wystąpiły z brzegów, wybrzeże zaatakowały wielometrowe fale. Wiatr wyrwał drzewa z korzeniami i niszczył rybackie chaty. Nie doszło do wielkiej katastrofy tylko dlatego, że region nie jest gęsto zamieszany, a meksykańska służba meteorologiczna została odpowiednio wcześniej poinformowana o prognozie przez Krajowe Centrum Huraganów. Niebezpieczeństwo jednak jeszcze nie minęło. Cezar wędrował dalej i skręcił na północ. Co prawda, zetknięcie z lądem osłabiło go, ale miał jeszcze tyle mocy, że mógł uczynić poważne szkody. Było za wcześnie na odwołanie alarmu. Równocześnie gwałtowny orkan szalał daleko na północy, nad Morzem Labradorским.

Komisariat policji Santa Chiara, Wenecja

Mała, ciasna cela w piwnicy komisariatu była ponura i nieprzyjemna. Przez maleńkie okienko w pomalowanej na ciemnożółty kolor ścianie wpadała jedynie odrobina światła. Szare stalowe drzwi były zamknięte. Brian siedział na zamocowanej w ścianie pryczy z podkurczonymi nogami. Śmierdziało pleśnią i zgnilizną. Kiedy na korytarzu rozległy się kroki, zaczął się przysłuchiwać. Hałaśliwie wsadzono klucz w zamek. Rozległ się głośny trzask, uchylono drzwi i pojawiła się w nich postać mężczyzny w granatowej kurtce mundurowej, pod którą miał białą koszulę.

– *Signore Saint-Claire, andiamo!* – powiedział i podkreślił słowa jednoznaczny gestem.

Kiedy Brian wyszedł na rozświetlony słońcem korytarz, musiał zmrużyć oczy. Dwóch policjantów zaprowadziło go długim korytarzem na drugie piętro. W gabinecie czekał na niego ten sam mężczyzna w cywilu, który był u niego rano w pokoju hotelowym.

– Wyspał się pan, *signore Saint-Claire*? – spytał cywil i wskazał na stojące przed biurkiem krzesło.

Brian usiadł, a obaj mundurowi ustawili się po obu stronach drzwi.

– Chciałbym wreszcie się dowiedzieć, dlaczego tu jestem – powiedział zdecydowanie Brian. – Dlaczego jestem przetrzymywany i gdzie są moi towarzysze?

Policjant w cywilu opadł na oparcie swojego fotela. Uśmiechnął się. Brian przyjrzał się uważnie ciemnowłosemu, żyłastemu mężczyźnie. Oceniał go na pięćdziesiąt lat. Zauważył stojącą na biurku plakietkę: *Commissario Di Salvio*.

– Miałem nadzieję, że dowiem się tego od pana – odparł komisarz. – Zaoszczędziłby mi pan w ten sposób mnóstwo pracy.

– Jeśli się nie mylę, Włochy są państwem prawa, więc czego pan ode mnie chce?

Uśmiech na ustach komisarza zamarł. Policjant wstał i pochylił się przez biurko.

– Zna pan Leona Raindersa?

– Oczywiście, że znam Leona. Przyjechaliśmy tu, żeby na zlecenie naszej redakcji napisać o objawieniu. Leon jest członkiem mojego zespołu.

– I dokładnie z tego powodu znalazł się pan tutaj. Około godziny czwartej rano przyłapaliśmy Leona Raindersa w Chiesa San Zulian, kiedy szykował się do kradzieży własności kościoła. A teraz pan twierdzi, że jest członkiem pańskiego zespołu.

Brian pokręcił głową.

– To jakiś nonsens.

– W ostatnich tygodniach mieliśmy w naszym mieście liczne włamania do kościołów i muzeów. Skradziono przedmioty warte miliony. Od początku byliśmy przekonani, że stoi za tym jedna i ta sama organizacja.

Brian szeroko otworzył oczy.

– Chyba pan nie sądzi, że my...

– Proszę podać mi sensowny powód, dlaczego miałbym sądzić inaczej. Czego szukał pański wspólnik o czwartej rano w kościele?

– Słyszał pan o łzach Matki Boskiej?

Komisarz pokręcił głową.

Brian opowiedział o objawieniu maryjnym, które rzekomo miało się przydarzyć dwojgu dzieciom. Komisarz siedział ze splecionymi na piersi ramionami i z ciekawością słuchał.

– Aby zbadać zjawisko, chcieliśmy przeprowadzić pomiary na miejscu, niestety, odpowiedzialny za kościół duchowny nie wyraził zgody. Prawdopodobnie dlatego Leon zakradł się do kościoła w nocy. Nic o tym nie wiedziałem, ponieważ Leon często stosuje niekonwencjonalne metody – zakończył Brian.

– Mam panu uwierzyć w tę awanturniczą wersję?

– Niech pan zadzwoni do naszej redakcji, telefon jest w moim notesie. Poza tym ojciec Francesco potwierdzi, że go w tej sprawie odwiedzałem. Była nawet o tym mowa w naszym piśmie. Mamy artykuł w bagażu. Na pewno już pan kazał go przeszukać.

– Można też oczywiście uznać, że bardzo dokładnie przygotowaliście skok, na wypadek gdyby coś miało się nie udać.

Brian powoli zaczynał się wściekać. Miał wrażenie, że bez względu na to, co powie, policjant nie zmieni zdania.

– Chcę rozmawiać z moim adwokatem! – zawołał zdenerwowany.

Policjant ponownie się uśmiechnął.

– Jesteśmy państwem prawa i dostanie pan okazję do przeprowadzenia jednej rozmowy telefonicznej, ale dopiero wtedy, gdy uda nam rzucić na sprawę nieco światła.

– Mam prawo do adwokata – trwał przy swoim Brian. – I to natychmiast! Poza tym chcę wiedzieć, dokąd zabraliście Leona i Ginę!

– Ponieważ istnieje ryzyko mataczenia, mogę pana przetrzymać w areszcie przez dwadzieścia cztery godziny. Muszę jedynie zawiadomić o tym sędziego śledczego, a to już zrobiłem. Jeśli chodzi o pańskich przyjaciół, też są u nas.

Brian z rezygnacją wbił wzrok w podłogę.

- Jak się nazywa pańskie pismo? – spytał komisarz. Brian podniósł wzrok.
- Należy do grupy Harbona i nazywa się „ESO-Terra”.
- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Jest wydawane tylko w Stanach Zjednoczonych.

Komisarz skinął głową.

- A czym pańskie pismo się zajmuje?

Mało brakowało, a Brian straciłby cierpliwość.

– Jestem z wykształcenia psychologiem i zajmuję się naukami z pogranicza nauk akademickich. Dokładnie mówiąc, chodzi o zjawiska nadprzyrodzone. Istnieje wiele zjawisk nadnaturalnych, których nie da się wyjaśnić naukowo. Moim zadaniem jest sprawdzanie prawdziwości tego typu zjawisk i pisanie o nich.

- I wierzy pan w takie bzdury?

Brian musiał powstrzymać się od uśmiechu. Mężczyzna po drugiej stronie biurka najwyraźniej wierzył tylko i wyłącznie samemu sobie.

– Nikt dotychczas nie widział atomów, a można udowodnić ich istnienie. Pięćset lat temu uważano, że Ziemia jest płaska, a naprawdę jest okrągła. Oczywiście istnieją szarlatani, którzy wymyślają różne historie, żeby ściągnąć na siebie uwagę, istnieją jednak także niezwykle zjawiska, które można udowodnić eksperymentalnie. Niestety, zaczynamy dopiero tworzyć naukowe metody ich badania.

- O jakie zjawiska chodzi?
- Słyszał pan o psychokinezie?

Komisarz pokręcił głową.

– W szeregu eksperymentów udowodniono, że można za pomocą psychiki wpływać na ruch materii. W przypadku, który badamy w tej chwili, chodzi o objawienie, innymi przykładami są *déjà vu*, prekognicja i jasnowidztwo.

Pytający wzrok komisarza mówił wszystko.

– Drugi wzrok – wyjaśnił Brian. – Prekognicja to zdolność przewidywania wydarzeń. Bardzo rozpowszechnione zjawisko.

Komisarz skrzywił lekko usta w uśmiechu.

– Wiem coś o tym. Kiedy moja żona zeszłej niedzieli robiła *panna cotta*, już z góry wiedziałem, że ją zepsuje.

Brian znowu poczuł, jak wzbiera w nim złość. Znowu miał do czynienia z ignorantem, który nie wierzył w nic, czego nie mógł zobaczyć i w prosty sposób wyjaśnić. Cóż miał mówić więcej?

Zadzwoił telefon. Komisarz podniósł słuchawkę, odwrócił się bokiem i zaczął rozmawiać szeptem. Kiedy odłożył słuchawkę, wbił w Briana świdrujące spojrzenie.

– Najwyraźniej to, co pan powiedział, jest zgodne z prawdą. – Sięgnął do szuflady i wyjął czarny futerał. Otworzył go i pokazał zawartość: sześć wypełnionych różnokolorowymi płynami buteleczek. – Mógłby mi pan wyjaśnić, co to jest?

Brian przyjrzał się futerałowi.

– Zakładam, że to należy do Leona. Jest chemikiem, a to najprawdopodobniej jest jego sprzęt analityczny.

– Miał to przy sobie, kiedy go aresztowaliśmy.

– W takim razie niech jego pan zapyta.

– Chciałem się dowiedzieć tego od pana – rzekł komisarz. – Pański przyjaciel dał mi taką samą odpowiedź. Wygląda na to, że dobrze ustaliliście wersję.

– Co z nami dalej będzie?

Komisarz zmarszczył czoło.

– Pozostaje jeszcze włamanie. Poza tym nie ufam panu.

Brian pochylił się do przodu.

– Leżałem w łóżku i spałem. Sam pan widział. Co chce mi pan zarzucić?

– Powiedziałem panu: uważamy was za złodziei dzieł sztuki, specjalizujących się w przedmiotach kultu.

– Nie interesuje mnie, za kogo nas pan uważa – powiedział Brian, który musiał się mocno pilnować, żeby nie zacząć krzyczeć. – Wyjaśniłem, w jakim celu przyjechaliśmy. Nie ma pan żadnych dowodów na poparcie swojej teorii. Nalegam, żeby natychmiast pozwolono mi zadzwonić, inaczej jeszcze długo będzie mnie pan pamiętał.

– Grozi mi pan?

– To nie groźba, to obietnica!

Komisarz się zastanowił.

– Zakładając, że pozwolę panu zadzwonić, to do kogo pan zadzwoni?

Brian sięgnął po leżący na stole długopis i oderwał z leżącego obok notatnika kartkę. Napisał na niej numer telefonu.

– To jest numer naszego redaktora naczelnego w Cleveland. Może pan to sprawdzić i być przy rozmowie, w niczym mi to nie przeszkadza. Oczywiście zapłacę za rozmowę.

Komisarz Di Salvio w milczeniu skinął głową i przysunął Brianowi telefon.

13.

Camp Springs, Maryland

Wayne Chang siedział w swoim gabinecie i przeglądał dokumenty, które otrzymał z Krajowego Centrum Huraganów w Miami.

– Co chwila dochodzi do jakiegoś nieszczęścia – powiedział Schneider i wyjrzał przez okno na zachmurzone niebo. – Ale to nie jest pechowy zbieg okoliczności.

Chang przekartkował notes.

– Tego typu zjawiska są znane, odkąd człowiek zajął się badaniem huraganów. „Portland” był solidnym statkiem, jeśli jednak dane przytoczone w raporcie są prawdziwe, ludzie na pokładzie nie mieli szans.

– Na zewnątrz dzieje się coś dziwnego – rzekł z zadumą Schneider. – Nie wiem co, jestem jednak stuprocentowo pewny, że nie powinno być tych przekłębionych sztormów. Nie tak wcześniej i nie tak gwałtowne. To tak, jakby... jakby klimat bronił się przed człowiekiem.

– Wmawiasz sobie coś, co nie istnieje. Oczywiście, że to niezwykle, może jest nawet zapowiedzią zmian klimatycznych, ale mówisz tak, jakbyś wierzył, że stoi za tym obca siła.

Schneider odwrócił się od okna.

– Czterech zaginionych z samolotem, ponad stu zaginionych po zatonięciu „Portlandu”. W obu wypadkach nasi koledzy próbowali zbadać przyczyny nienormalnych wiosennych burz. Nie gniewaj się, ale mam wrażenie, że nie może to być tylko przypadek.

Chang z niewiarą pokręcił głową.

– Dostajesz paranoi. Spójrz obiektywnie. To zjawisko jest niezwykle, ale musimy je zbadać i zrozumieć i cały czas pozostajemy naukowcami. Nie

opieramy się na przypuszczeniach, nie spekulujemy, tylko badamy i szukamy dowodów. Chodzi o meteorologię i klimatologię. To dziedziny, które kierują się możliwymi do matematycznego wyliczenia prawami. Nie ma tu miejsca na nic mistycznego ani nadprzyrodzonego.

Schneider skinął głową.

– Może masz rację. Prawdopodobnie to tylko przejściowa sytuacja, uzmysławia nam jednak, że jesteśmy znacznie bliżej skraj przepaści, niż sądzimy. A to dopiero początek. Kto wie, jak sprawa się rozwinie. W każdym razie musimy być czujni i mówić głośno, dokąd prowadzi igranie z siłami natury i nieustanne deptanie środowiska. Musimy zająć jednoznaczne stanowisko – to nasz obowiązek.

– Z tym muszę się zgodzić – powiedział Chang. – Niestety, ludzkość jeszcze do tego nie dorosła. Kiedy chodzi o zysk, wszystko inne staje się nieważne. Wracajmy jednak do pracy – musimy przeanalizować jeszcze sto rastrów. Pojutrze muszę przedstawić koncepcję i potrzebne mi będą liczby, czarno na białym.

Schneider westchnął.

– Na zewnątrz szaleją sztormy, a my katalogujemy temperaturę i wielkości opadów. Nie widzisz w tym paradoksu?

Chang się skrzywił.

– Nie widzę – odparł ponuro. – Nie jesteśmy łowcami huraganów, mamy inne zadania, które trzeba wykonać. Nowy podział na rastry pomoże odpowiednio wcześniej zauważyć te – jak to nazywasz – ataki i dzięki temu być może uratuje niejednej osobie życie. To nie błahostka.

– Masz rację, ale od wypadku Coldmanna mam depresję. – Schneider głęboko wciągnął powietrze. – Uważam, że nikt nie powinien ginąć bez sensu.

– Jego śmierć nie była pozbawiona sensu. Zginął, wypełniając zadanie. Był pilotem i znał zagrożenia. Mimo to poleciał w huragan. Zrobił to, ponieważ takie miał zadanie. Nie zawahał się i nie mówił o bezsensownym działaniu – zrobił, co do niego należało.

Schneider skinął głową. Wiedział, co Wayne Chang ma na myśli.

– Dobrze, starczy tego. Daj mi część kart z danymi i działajmy. Kiedy skończymy, pójdziemy do Joego i wypijemy kilka drinków.

Chang obronnie uniósł dłonie.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Jennifer ma dzwonić. Schneider się roześmiał.

– Zakochany?

Chang niby obojętnie sięgnął do kosza po kartę danych. Nie odpowiedział.

– Rozumiem... – mruknął Schneider i wyszedł z gabinetu Chang'a.

Baltimore, Maryland

Widok przez Lake Montebello Drive na jezioro przypominał Suzannah Shane jej dom w Racine. Siedziała na wygodnym leżaku i rozkoszowała się zachodem słońca. Na grillu piekły się soczyste steki, ich zapach budził w niej piękne wspomnienia. Było niemal jak wtedy, gdy żył ojciec. Ciepły wieczór był stworzony na towarzyskie spotkanie. Peggy zaprosiła na grilla przyjaciół i sąsiadów. Suzannah podążała wzrokiem za czerwoną kulą na niebie, która powoli zniżala się ku ziemi. Dumiała. Porozmawiała z gośćmi, teraz jednak chciała trochę posiedzieć w samotności.

Usłyszała za plecami kroki. Zbliżyła się Peggy. Miała współczującą minę.

– Za dużo jak na ciebie? – Peggy usiadła obok siostry na krześle.

Suzannah pokręciła głową, nie udało jej się jednak wyglądać przekonująco. Gest był za mało prawdziwy, siostry nie mogła oszukać.

– Zaraz będziemy mogli jeść: steki prawie się wysmażyły, kukurydza jest pysznie chrupiąca. Jeszcze trochę i będzie po wszystkim.

Suzannah opadła wygodnie na oparcie i z zadumą obserwowała zachodzące słońce.

– Czy ty też czasami myślisz o śmierci? – spytała.

Peggy szeroko otworzyła usta.

– Co się z tobą dzieje? Co to za bzdury?

– Nie bój się – szybko powiedziała Suzannah. – Moja depresja nie jest aż tak poważna. Po prostu zachodzące słońce sprawiło, że przyszło mi coś takiego do głowy. Sprawia wrażenie, jakby się wypalało i spadało na Ziemię. A następnego dnia znowu wschodzi i pokonuje drogę po niebie jakby nigdy nic.

– Słońce nie umiera, jedynie zachodzi.

– Wiem, ale myślę sobie... Sądzisz, że jeśli chodzi o ludzi, też wszystko się powtarza? Że kiedy umieramy, wchodzimy na wyższy poziom, aby zacząć od nowa?

Peggy głośno westchnęła.

– Nie mam pojęcia. Może po prostu wszystko się kończy i nie ma nic więcej?

– Na zawsze?

– Koniec i kropka. Wymazane, pogrzebane i zgniłe. I kiedyś zapomniane. Moim zdaniem nic więcej nie ma.

– Czytałam książkę napisaną przez autorkę o indiańskim nazwisku. Nie pamiętam, jak się nazywała, w każdym razie uważa, że duch jest zbyt silny, aby po prostu zniknąć. Tylko ciało jest słabe. Nazwała to bytami równoległymi: istnieją tysiące światów, w których nasze życie nieustannie się powtarza. Jak w perpetuum mobile. Człowiek umiera i wszystko zaczyna się od nowa.

– Wierzysz w podobne bzdury?

Suzannah rzuciła siostrze rozmarzone spojrzenie.

– Chciałabym. Podoba mi się myśl, że następnym razem można zrobić to i owo lepiej.

Peggy się roześmiała.

– I co byś zrobiła, gdybyś go jeszcze raz spotkała? No wiesz, w świecie równoległym, w tym samym wieku, przy takich samych założeniach?

Suzannah się wyprostowała. Jej spojrzenie spoważniało.

– Założyłabym mu kajdanki i wyrzuciła klucz.

Siostry wybuchły głośnym śmiechem. Suzannah poczuła, jak gruda w klatce piersiowej mięknie i zamienia się w przyjemną lekkość. Peggy wstała i podała jej dłoń.

– Chodź, steki na pewno są już gotowe.

– To świetnie, bo nagle zrobiłam się głodna.

Poszły na werandę, ale w chwili gdy zamierzały usiąść, matka wyszła z domu z telefonem w ręku.

– Suzi, telefon do ciebie. Chyba ważny.

– Kto dzwoni?

– Profesor Huxley.

Suzannah wzięła do ręki słuchawkę. Jeżeli szef dzwoni w trakcie urlopu, sprawa musi być poważna.

– Halo?

– Cześć, Suzannah, przepraszam, że przeszkadzam, ale miałem telefon od profesora Jamesa Paula z NASA. Mają problem. Najwyraźniej chodzi o zbadanie jakiejś choroby u astronautów. Nic z tego nie rozumiem, w każdym razie chcieliby skorzystać z pani usług. Nie chcą nikogo innego, tylko panią. Przepraszam, że psuję urlop.

- Mnie?
- Ma się pani zgłosić jutro u profesora Paula – potwierdzi! Huxley i podał jej numer.

Socorro, Nowy Meksyk

Kapitan Howard z policji stanowej był wściekły. Opierał się dłońmi o biurko szeryfa i wbijał w Hamiltona groźne spojrzenie.

– Raz na zawsze wypraszam sobie jakąkolwiek ingerencję w moją sprawę! – wrzasnął. – Sprawa z trupem z Coward Trail jest nasza! Zarządzenie prokuratora było jednoznaczne! Nie pozwolę, żeby prowincjonalny kowboj przeszkadzał mi w robocie! A jeśli pan sądzi, że może przekraczać uprawnienia, to mnie pan popamięta. Mówię jasno, Hamilton?

Tex, asystent Howarda, stał przy oknie.

Szeryf Hamilton siedział rozparty wygodnie w fotelu, nogi położył na biurku. Przyjmował na siebie burzę niemal w bezruchu. Na twarzy miał uśmiech.

– Mówi pan wystarczająco głośno – odparł spokojnie.

Obojętność szeryfa jeszcze bardziej rozjuszała kapitana Howarda.

– Sądzi pan, że jeżeli wujek jest senatorem, to wolno panu łamać wszystkie przepisy? Tu się pan myli. Zobacz pan, co to spowoduje. Tak pana wykończę, że przejdzie panu ta mania wielkości.

Szeryf Hamilton miał dość. Zdjął nogi w biurka i wstał. Był o dwie głowy wyższy od kapitana policji stanowej. Kiedy obchodził biurko, Howard nieufnie go obserwował.

– Nie posunął się pan jeszcze ani o milimetr – powiedział szeryf. – Nie wie pan, kim jest zmarły ani skąd się wziął. Jak mam przeszkadzać w śledztwie, jeśli nie ma śledztwa? I jeszcze jedno: w moim gabinecie wydiera się tylko jedna osoba. A teraz niech pan zabiera ze sobą tę swoją imitację Johna Wayne'a i spada stąd!

Głos szeryfa Hamiltona był spokojny, ale pobrzmiwał w nim groźny ton. Kapitan Howard odwrócił się i bez słowa przeszedł przez pokój. W progu na chwilę się odwrócił. Tex, który siedł tuż za nim, niemal się z nim zderzył.

– Ostrzegam pana! – wrzasnął kapitan ostatni raz i wypadł z biura.

Hamilton stał w szerokim rozkroku przy oknie. Wszyscy w biurze wbijali w niego wzrok. Zastępca szeryfa Lazard, siostrzeniec Hamiltona, wstał zza

biurka i wyrżał przez okno. Ciemny buick kapitana właśnie odjeżdżał z pi-
skiem opon.

- Co go ugryzło? – spytał Lazard.
- Zapomnij o tym – odpowiedział szeryf i wyszedł.

Komisariat policji Santa Chiara, Wenecja

Po nieprzespanej nocy Brian leżał na pryczy i wpatrywał się w brudny sufit
celi. Splótł ręce za głową i zastanawiał się, jak wyplątać się z sytuacji, w której
się znalazł. Od początku czuł, że Leon narobi kłopotów, ale nawet by mu się
nie przyśniło, że może zostać uznany za członka gangu złodziei dzieł sztuki i
wylądować we włoskim więzieniu. Co mógł jeszcze zrobić? Komisarz najwy-
raźniej nie uwierzył w jego wersję. Brian zadzwonił i pozostawało mu tylko
czekać i ufać, że Porky pociągnie za wszystkie sznurki, aby ich uwolnić. W
powietrzu unosiła się wilgoć i było duszno. Musiało być przynajmniej trzy-
dzieści stopni. W Kanadzie lepiej traktowano morderców. Czuł się w tej celi
jak żywcem pogrzebany. Czyżby komisarz chciał go zmiękczyć i zmusić do
przyznania, że jest złodziejem dzieł sztuki?

Kiedy za drzwiami zadudniły ciężkie kroki, Brian nastawił uszu. Wypro-
stował się, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich umundurowany policjant,
który dał znak, aby za nim poszedł. Brianowi spadł kamień z serca.

Kiedy wyszedł na korytarz, dwóch policjantów prowadziło Leona.

– Leon!

Leon odwrócił się i szeroko uśmiechnął.

– Cześć, szefie! Zastrana sytuacja, prawda? Obsługa też nie jest najlepsza.

– Nie mówiłem? Żadnych solowych akcji! – powiedział Brian ze złością.

Nie miał ochoty na żarciki.

Policjanci pociągnęli go w stronę celi, ale Leon się opierał.

– Ale przynajmniej się opłaciło! – zawołał przez ramię. – Częsteczki żela-
za i tlen, zardzewiała woda, rozumiesz? Zostaliśmy zrobieni w konia!

Policjant, który przyszedł po Briana, złapał go za ręce.

– *Silenzio!* – krzyknął na niego, ale Brian się oparł.

– Skąd pochodzi? – zapytał Brian, zanim wciągnięto Leona do celi.

Drzwi celi Leona zatrzasnęły się z hukiem, ale jego odpowiedź było wyraź-
nie słyhać. Policjant przycisnął Briana do ściany i uderzył go pałką po ple-
cach.

Brian skrzywił się z bólu i przystawił dłonie do ściany.

– Przestań! – zawołał do policjanta.

Podbiegł drugi policjant, we dwóch wykręcili mu ręce i po chwili trzasnęły kajdanki, wrzynając się boleśnie w przeguby. Brian opadł na kolana. Zaklął. Policjanci poderwali go w górę i pociągnęli za sobą. Bez słowa przeszli z nim korytarzem i kazali wejść na schody. W małym, skromnie urządzonej pokoiku posadzili go na krzesła i stanęli po obu stronach.

Minęło wiele minut, zanim zjawił się komisarz. Patrzył pytająco.

Brian przekręcił się nieco na bok i zademonstrował, że jest skuty.

– Twierdził pan, że Włochy to państwo prawa? Aresztowani są traktowani brutalnie i niezgodnie z przepisami.

Komisarz popatrzył na jednego z policjantów, który wyjaśnił, że Brian stawiał opór i musiał zostać skuty.

– Bzdura. Chciałem tylko porozmawiać ze współnikiem, żeby ustalić z nim zeznania. To przestępstwo?

Brian przeciągnął słowo „wspólnik”, tak że komisarz mimowolnie się uśmiechnął. Kazał zdjąć podejrzanemu kajdanki i usiadł na drugim krzesle. Brian z przyjemnością rozmasował bolące miejsca.

– Czasami moi koledzy są zbyt gorliwi – przeprosił komisarz. – Dałem im polecenie, żeby nie pozwalali aresztowanym ze sobą rozmawiać. Zwłaszcza że jeszcze istnieje groźba mataczenia. Sądziłem, że chce się pan uwolnić.

– Akurat. Chyba ciągle jeszcze próbuje pan uwierzyć, że jesteśmy złodziejami dzieł sztuki. Gdyby pan jednak przeprowadził gruntowne śledztwo, to...

– To, w co wierzę, niewiele znaczy – wpadł mu w słowo komisarz. – Już mówiłem, że nie ufam panu ani pańskim przyjaciółom. Dla mnie wasze słowa to jedynie tania wymówka.

Brian wyprostował się i natychmiast jeden z policjantów położył mu dłoń na ramieniu. Komisarz uspokajającym gestem podniósł dłoń.

– To nie wymówka! Rozmawiał pan z moją redakcją i z pewnością sprawdził nasze personalia. Gdyby porozmawiał pan z ojcem Franceskiem, wiedziałby, o czym mówię.

Komisarz się uśmiechnął.

– Jest tu ktoś, kto chciałby z panem porozmawiać.

Otworzyły się drzwi. Na korytarzu stał ojciec Francesco.

Brian popatrzył na duchownego szeroko otwartymi oczami.

– Ojciec Francesco! Musi pan wyjaśnić komisarzowi, w jakiej sprawie u ojca byłem!

Komisarz wstał i podszedł do drzwi.

– Ma ojciec pół godziny – powiedział, wychodząc.

Ksiądz skinął głową.

– Powiedziałem „w cztery oczy”. – Skinął w kierunku policjantów.

Brian obserwował scenę z napięciem. Komisarz i policjanci wyszli. Ojciec Francesco usiadł na krześle i splótł dłonie na okrągłym brzuchu.

– Wpadliście w niezłe kłopoty – powiedział przyjaźnie.

Brian się uśmiechnął.

– To nie tylko nasza wina. Gdyby ojciec pozwolił nam przeprowadzić badania, ta awanturnicza akcja nie byłaby potrzebna.

– Wyjaśniłem, że istnieją określone kościelne przepisy...

Brian uniósł dłonie w obronnym geście.

– Proszę posłuchać, czego się dowiedzieliśmy. Kościół wymaga renowacji, nie macie jednak pieniędzy, a wasz dział finansowy nie myśli o tym, by pomóc małej parafii. Wnuki kościelnego – wiernie oddane dziadkowi – powtórzą wszystko, co im każe. W którymś momencie każdy gwóźdź zaczyna rdzewieć, reszty w murach starego budynku dokona wilgoć. Wszystkie elementy składają się na wzruszającą historię San Zulian.

Ksiądz wbił wzrok w podłogę. Przez kilka minut nie drgnął.

– Wyjaśniłem panu, że Kościół niezwykle krytycznie podchodzi do tak zwanych cudów. Powołana została specjalna komisja, która bada sprawę.

– A ja przedstawiłem ojcu, czego się dowiedzieliśmy.

– I co pan napisze?

– O tym, co odkryliśmy. Z dziećmi, jak na razie, nie mogliśmy porozmawiać.

Ksiądz westchnął.

– Zapomina pan o ludziach. O dzieciach i Paolu, naszym kościelnym, który działał z nieegoistycznych pobudek. Oficjalnie zarzucono by im kłamstwo. Musieliby żyć z tą skazą, a stary straciłby w dzielnicy twarz. Chyba pan tego nie chce?

– Czyż Kościół nie oddaje się całkowicie prawdzie?

Ojciec Francesco się uśmiechnął.

– Prawda... istnieje wiele prawd. Prawda tkwi w oku obserwatora. Prawda

i wiara są fundamentami istnienia, ale nikt nie powinien zostać nimi przywalony. Przybył pan do Wenecji, aby zbadać święte objawienie i napisać o tym artykuł. Do pisma, które ma się sprzedać. Im więcej egzemplarzy zostanie sprzedanych, tym więcej zarobi pańskie wydawnictwo. To także prawda. Jest panu obojętne, co ludzie widzą w znaku, jaki pojawił się tutaj, oraz jakie wiążą z nim nadzieje. Myśli pan o sprzedaży. Nasz Kościół bada jednak wszelkie aspekty i któregoś dnia, kiedy minie odpowiedni czas, w jednej z naszych broszurek znajdzie się wyjaśnienie, w którym zjawisko z San Zulian zostanie określone jako niezwykle, ale na pewno nie zostanie uznane za cud. Nikt nie będzie mówił o ludziach, nikt nie wyda na nich wyroku ani ich nie obnaży. Uważam, że jest to prawda, z którą da się żyć. Pan nie?

Brian wciągnął głęboko powietrze.

– To prawda ojca, ale nie prawda, jaką chciałby odkryć dziennikarz.

Ksiądz złożył dłonie.

– O czymś panu teraz opowiem, ale to nie powinno się znaleźć w gazecie. Musi mi pan dać słowo honoru, że będzie na ten temat milczał. Słowo honoru.

Brian chwilę się zastanawiał, ale w końcu skinął głową. Ojciec Francesco przez chwilę wpatrywał się w sufit, jakby szukał zgody u Boga.

– Znam Paola od ponad trzydziestu lat – zaczął w końcu. – Zajmuje się on kościołem, odkąd jestem w Wenecji, tak jak przedtem jego ojciec i dziad, i prawdopodobnie pradziad. Trzy lata temu Paolo zagadnął mnie po mszy. Dokładnie pamiętam ten dzień, ponieważ jeszcze nigdy nie był tak wytrącony z równowagi. Wyglądał, jakby całą noc nie spał, był zdenerwowany i roztrzęsiony. Zapytał mnie, jak to jest, gdy człowiekowi objawi się święty. Wyjaśniłem mu stanowisko Kościoła w sprawie objawień, było jednak jasne, że chce znać moje zdanie. W końcu przyznał się, że poprzedniego wieczoru rozmawiał z Matką Boską. Ukazała mu się w kościele zaraz po zmroku i opowiedziała o wielkiej katastrofie. Na ludzkość środkowej Europy ma spaść potop, wielu ludzi straci dobytek w szalejących odmętach, liczni stracą życie. Przedstawił mi wizję z takimi szczegółami, że na chwilę straciłem sceptycyzm. Próbowałem go uspokoić, ale objawienie dręczyło go jeszcze przez wiele nocy w snach. Wizje minęły dopiero wtedy, gdy po dwóch tygodniach wschód Niemiec i część Polski zostały zniszczone przez silne deszcze i powódzie. Na pewno pan o tym słyszał. Zginęło wiele osób, straty liczone w miliardach. Po tych katastrofach Paolo odnalazł spokój. – Aż trzy tygodnie temu zjawił się u mnie ponownie i wyjawiał, że Maryja znowu mu się ukazała. Tym razem opowiedziała

o gwałtownych burzach tropikalnych, które dotkną kontynent amerykański. Całe miasta znajdują się pod wodą, ziemia się otworzy i zniszczy ogniem i gorącym pyłem wielkie obszary.

Brian pokręcił głową.

– Każdego roku huragany pędzą z Karaibów w kierunku Ameryki. Tornado i orkany są w Stanach takim samym elementem lata jak w ojca kraju upały i gwałtowne burze.

Ksiądz uniósł dłonie.

– Paolo mówił o katastrofie o niespotykanych rozmiarach. Od tamtego dnia wizja nie pozwala mu spać. Widział go pan. Jest cieniem dawnego Paola. Twardo wierzy w to, że musi ostrzec ludzi przed diabłem, otworzyć im oczy. Że taka jest wola boska. Ostrzegłem go przed konsekwencjami powiedzenia o objawieniu, które miał. Nikt by mu nie uwierzył, wszyscy uznaliby, że zwaśniował, i by go wyśmiali. W końcu straciłby posadę kościelnego. Przemawiałem do niego, zaklinałem go, prosiłem, żeby milczał, ale nie chciał słuchać. Nie wiem, co nim pokierowało, żeby wciągnąć w to dzieci. Prawdopodobnie to mój błąd, bo powiedziałem mu, że w przeszłości święci wybierali na media głównie dzieci. Może dlatego, że są niewinne i Jezus ma do nich szczególny stosunek.

– Wystawił na pierwszy plan dzieci, żeby zachować urząd i nie narażać się na ewentualne konsekwencje – skwitował Brian. – Własne wnuki. Jak mógł wmanewrować je w taką sytuację?

– Skłoniła go do tego troska o San Zulian, o kościół. To wszystko, co Paolo ma. Prawdopodobnie nie widział innego wyjścia, aby podążyć za swoim przeznaczeniem i równocześnie uszanować moją wolę.

– To kłamstwo.

– Ja bym powiedział, że półprawda.

Brian się uśmiechnął.

– Kolejna kościelna teza?

Ksiądz wstał.

– Proszę w imieniu dzieci i Paola – niech pan nie osądza ludzi, którzy próbują ratować coś, co stało się treścią ich życia. Proszę zrezygnować z napisania tego artykułu.

Brian wyglądał przez okno. Ksiądz wstał, przeszedł obok i zapukał w drzwi.

– Proszę w imieniu Jezusa Chrystusa – powiedział ksiądz, po czym wyszedł, a za Brianem znowu ustawili się policjanci.

14.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Grube krople deszczu uderzały o szyby trzeciego piętra kompleksu biurowego, gdzie mieści się administracja ośrodka. Profesor James Paul przez cały dzień przedstawiał dziennikarzom i przedstawicielom gospodarki oraz polityki dalsze postępowanie przy projekcie ISS. Był zmęczony i marzył tylko o powrocie do domu. Nienawidził kogokolwiek reprezentować. Choć dla kierownika programu kosmicznego tego typu występy były codziennością, pozostał technikiem. Najlepiej czuł się wśród swoich pracowników i w laboratoriach oraz warsztatach centrum. Za oknami zapadał zmrok, a burza, która przez trzy godziny szalała nad przylądkiem Canaveral, powoli słabła. Przez chwilę profesor zastanawiał się, czy powinien wziąć do domu dokumenty dotyczące nowego systemu napędu satelitów, odrzucił jednak tę myśl i postanowił wieczorem odpocząć. Kieliszek wina przy świecach z Amandą. Nie pamiętał, od ilu już dni nie widział żony. Amanda doskonale wiedziała, że w jego życiu bywają okresy, kiedy jest zavalony pracą i nie ma czasu dla rodziny. Przyzwyczała się do tego. Tak wysokiego stanowiska, odpowiedzialnego kierownika programu lotów promu kosmicznego NASA, nie dostaje się w prezencie. Trzeba na nie zapracować.

Profesor Paul odłożył akta na biurko i szedł w kierunku drzwi, kiedy nieoczekiwanie w nie zapukano. Popatrzył na zegarek. Zbliżała się dziesiąta i nie miał pojęcia, kto mógłby o tej porze chcieć z nim rozmawiać.

– Proszę wejść! – rzucił chrapliwie. Głos miał zdarty od mówienia przez cały dzień.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Donald Ringwood. Był dyrektorem

personalnym i jednym z zastępców Paula. Studiował na Harvardzie ekonomię i trafił do NASA nieco boczną drogą, dzięki koneksjom politycznym. Był o głowę niższy od Paula i łysy. Przez szare, monotonne garnitury i to, że nigdy nie rozpiął górnego guzika koszuli, wyglądał jak księgowy.

– Donaldzie – przywitał się Paul ze spóźnionym gościem. – Co tu robisz o tej porze?

– Rachunki i bilanse – odparł Ringwood.

James Paul spróbował się uśmiechnąć. W jego opinii Ringwood był biurokratą, złem koniecznym, który przypadkiem dzielił z nim ten sam budynek. Paul czuł do niego umiarkowaną sympatię. Wręcz bardzo ograniczoną.

– Jakież problemy? – spytał i sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy, dając jednoznacznie do zrozumienia, że zamierza opuścić pole bitwy.

Donald Ringwood zignorował to jednak i podał Paulowi pismo.

– Dziś na moim biurku wylądowało to pismo z uniwersytetu w Chicago. – Oświadczenie o zgodzie na pokrycie kosztów, które mamy kontrasygnować. – Ringwood założył wąskie okulary. – Chodzi o honorarium dla niejakiego profesora doktora Thomasa Brandona, psychiatry i psychologa. Nie wiedziałem, że zatrudniłszy kogoś z zewnątrz.

– Brandon... wszystko jest w porządku. Ja go zatrudniłem.

– Pan?

Paul oddał Ringwoodowi pismo.

– Tak, ja. Ma pan coś przeciwko temu?

– Chodzi o koszt podróży i wyrównanie dla niego w wysokości dwudziestu trzech tysięcy dolarów! Tak bez wyjaśnienia? W końcu to ja podpisuję, że wydatki są dokonywane w sposób prawidłowy.

– I ma pan z tym problem? – spytał James Paul. – Powiem więcej: w najbliższym czasie na pańskim biurku wyląduje jeszcze kilka podobnych pism. Proszę przekazywać rachunki prosto do mnie. Będę podpisywał osobiście.

– To niemożliwe! – wypalił Ringwood. – Przekracza pan swoje kompetencje. Nasz budżet na wydatki administracyjne jest ograniczony. Muszę najpierw mieć zielone światło od dyrektora Traverstona.

Profesor James Paul wbił w Ringwooda wściekłe spojrzenie.

– Nie wiem, czy pan o tym wie, ale jestem kierownikiem tego działu i sądzę, że dysponowanie pieniędzmi leży w moich kompetencjach. Poza tym dyrektor Traverston dawno mnie do tego upoważnił.

– A o co chodzi?

Paul wściekle rzucił płaszcz na oparcie fotela.

– Niech mnie pan uważnie posłucha! W naszym szpitalu leży dwóch astronautów, którzy wrócili z kosmosu z czymś, co przypomina psychozę. Zostali tam wysłani, ponieważ należą do najlepszych. Byli odważni, inteligentni i doskonale przygotowani. Teraz wyglądają jak kupka nieszczęścia. Kulą się po kątach jak przerażone zwierzęta. Codziennie dostają dwa zastrzyki z silnym środkiem uspokajającym. Tak być nie może. Z tego powodu wezwałem najlepsze umysły odpowiednich specjalności. Chcę wszystko dokładnie zbadać.

– Ale przecież mamy wystarczającą liczbę lekarzy i specjalistów...

– Mamy dział zajmujący się złamaniami kości i szkoleniem charakterów, ale nie mamy specjalistów potrzebnych do czegoś, z czym mamy obecnie do czynienia. Chcę mieć najlepszych fachowców, prowadzących badania w najlepszych uniwersytetach kraju. Doktor Brown poradził mi sięgnąć do pomocy fachową siłę. Długo się zastanawiałem i coś panu powiem, Ringwood, ci odważni młodzi ludzie ryzykowali dla nas tyłki, więc wypada udzielić im wszelkiej pomocy, jaką da się zdobyć. I coś jeszcze, sram na pańskie dolary. Zrobi pan to, co każe. Ja będę podpisywał rachunki, a pan wypłacał. Każdego centa. Dobranoc.

Profesor James Paul był wściekły. Sięgnął po płaszcz i wypadł biegiem na korytarz.

Drzwi zatrzasnęły się z głośnym hukiem. Donald Ringwood stał ogłupiały na środku pokoju z pismem z Chicago w dłoniach.

Redakcja „ESO-Terry”, Cleveland, Ohio

– Mówiłem ci przecież, że z Leonem są tylko kłopoty! – rzucił zdenerwowany Brian. – Ostatni raz wziąłem udział w takim syfie. Już się bałem, że zginię w tym lochu.

– Przynajmniej wyprawa się opłaciła – odparł Porky. – W końcu dzięki analizie Leon odkrył szwindel z łzami.

– Odkrył, ale za jaką cenę...

Brian, Gina i Leon trzy godziny wcześniej wylądowali w Detroit. Podczas lotu Brian nie zamienił słowa z Leonem. Gina opowiedziała, że Leon znalazł nad ołtarzem wąską szparkę na styku marmuru i stiuku, z której wylała się rdzawa woda. Budowniczo wie ołtarza wzmocnili łączenie dwóch różnych

materiałów małymi żelaznymi sztyftami, z powodu wysokiej w Wenecji wilgotności powietrza szparka z biegiem lat się powiększała, a na sztyftach zbierała się rosa. Gdy przestrzeń się wypełniła, kolejne krople wypchnęły wodę i w efekcie powstał ślad, który sprawiał wrażenie, jakby z oczu Matki Boskiej popłynęły łzy.

Dla Briana odkrycie oszustwa było słabym pocieszeniem, gdyż cała trójka została deportowana z Włoch. Zwolnienie z aresztu zawdzięczali ojcu Francescowi, który nie złożył zgłoszenia o dokonaniu przestępstwa i potwierdził zeznania Briana. Choć oskarżenie upadło, komisarz zlecił deportację przez Urząd do spraw Obcokrajowców. Nie umiał odmówić sobie tej drobnej satysfakcji i bardzo niechętnie wypuścił rzekomych złodziei dzieł sztuki.

Brian nie mógł zapomnieć słów duchownego.

– Pojutrze prześlę ci reportaż, ale nie spodziewaj się demaskatorskiej opowieści – powiedział Brian. – Napiszę to tak, żeby nikogo nie oskarżać i dodam nieco ogólnych informacji o niezliczonych niszczących kościołach w Europie. To będzie musiało wystarczyć.

– Nic z tego, przyjacielu – odparł Porcky. – Teraz, kiedy sprawa jest jasna, przybijemy ich do krzyża. Starego, księdza i cały jego kościół. To wymarzony łup dla naszych czytelników. Nie sądzisz?

Brian pokręcił głową.

– Nie, nie zrobimy tego.

– A dlaczego?

– Ponieważ to są ludzie. Stary, dzieciaki i ksiądz. Ludzie, którzy popełnili błąd. Popełnili go, ponieważ chcieli ratować swój kościół i ponieważ istnieją rzeczy, za których kulisy nigdy nie uda się nam zajrzeć.

Porcky poklepał płaską dłonią w blat biurka.

– Klecha nieźle cię omotał. Nie powiedziałaś mu, że pracujesz w naszym piśmie dlatego, że zależy ci na ujawnianiu prawdy? Że chcesz demaskować szarlatanów i oszustów? To nie twoje słowa?

– Poglądy czasem się zmienia.

– Ale zrozumienie okoliczności nie sprawia, że kłamstwo zamienia się w prawdę.

Brian wbił wzrok w podłogę.

– Nic demaskatorskiego, tylko ogólne bla, bla. Tym razem musi wystarczyć.

- To twoja historia, ale nie zapominaj, że ty jesteś dziennikarzem, a ja redaktorem.
 - Nic demaskatorskiego i basta – zakończył Brian i odwrócił się do drzwi.
 - Co zamierzasz zrobić?
 - Przecież powiedziałem, że po tej historii idę na urlop! – zawołał Brian przez ramię.
- Nie słyszał przekleństw Porky'ego.

Camp Springs, Maryland

Wayne Chang kartkował katalog Simpson Electronic Control Ltd. z San Diego i porównywał dane techniczne nowego sterowanego komputerowo urządzenia do pomiaru danych meteorologicznych z systemem przedsiębiorstwa konkurencyjnego – Data Control Systems Ltd, z New Heaven.

Znów tkwił po uszy w codziennej pracy. Ze Schneiderem i trzema innymi technikami pracował nad projektem Weatherboard II, współfinansowanym przez trzy duże międzykontynentalne amerykańskie linie lotnicze. Chodziło o zmniejszenie rastrów w tych okolicach, w których warunki pogodowe zmieniają się co kilka kilometrów, i poprawienie w ten sposób prognoz. Do regionów tych należały na przykład wybrzeże Zatoki Meksykańskiej oraz góry na Środkowym Zachodzie. Duża zmienność parametrów pogodowych jest tam spowodowana warunkami geograficznymi – górami, rzekami i jeziorami, dużymi lasami i kamienistą pustynią. Pomoc w prognozowaniu mogłoby przynieść podzielenie obejmujących mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych rastrów na mniejsze fragmenty – przy uwzględnieniu miejscowych warunków. Chang i jego ludzie drobiazgowo przeanalizowali dane meteorologiczne z ostatnich dwudziestu lat, starając się stwierdzić, gdzie odchylenia od prognoz były na tyle duże, że zamieniały się z poważnych wypowiedzi w spekulacje z rodzaju tych, którymi wymieniają się koniarze przed gonitwami. Mielili już gotową koncepcję i można było zacząć ją wdrażać. Konieczna była instalacja dodatkowych stacji pogodowych – częściowo w odludnych i opuszczonych przez Boga miejscach.

– Urządzenie z New Heaven jest sporo tańsze. Jeśli się na nie zdecydujemy, zaoszczędzimy jakieś czterdzieści tysięcy – oznajmił Chang i podał Schneiderowi karty charakterystyki technicznej. – Jeśli o mnie chodzi, powinniśmy zaryzykować. Chłopcy z New Heaven najwyraźniej pracują lepiej, ponieważ

poszczególne elementy są niemal identyczne.

- Rozmawiałeś z naszymi inżynierami? – spytał Schneider.
- Uważają, że oba urządzenia się nadają.
- W takim razie nie rozumiem twojego sceptycyzmu.

Chang się uśmiechnął.

– Parę lat temu kupowałem samochód. Miałem do wyboru dwa. Niemal identyczne. Wziąłem tańszy i po trzech miesiącach rozleciał się silnik. Może dlatego jestem ostrożny.

– Ma to być empiryczna kalkulacja czy czarnowidztwo? – odparł Schneider z uśmiechem.

Otworzyły się drzwi i wszedł kierownik działu, Norman Grey.

– Witam, panie profesorze i panie doktorze. Słyszałem, że jest pan gotów przejść do fazy realizacji. To znaczy, że wyprzedzamy plan o miesiąc. Bardzo dobrze...

Chang pytająco popatrzył na szefa.

– Wayne, miałem dziś telefon z NASA, z przyłądka Canaveral – kontynuował Grey. – Jak panowie wiecie, mieli niedawno problem w trakcie lądowania promu kosmicznego. Wpadł u wybrzeży Kalifornii w burzę i został trafiony przez piorun. Powołali komisję do zbadania sprawy i chcą mieć w niej specjalistę od nas. Pana.

– Dlaczego akurat mnie?

– Najwyraźniej czytali pański artykuł o naturze piorunów w „Science Magazin”. Ta komisja ma mieć pierwsze posiedzenie w najbliższy wtorek.

– Ale przecież mamy tu pełne ręce roboty! – odparł Chang. – Musimy jeszcze...

– Sądzę, że pan Schneider doskonale sobie poradzi – przerwał mu Grey. – Profesor Paul prosił, żebym pana puścił. Wygląda na to, że ma naprawdę twarde orzech do zgryzienia. Wie, że nie może pana zmusić, dał jednak jednoznacznie do zrozumienia, że chodzi o bezpieczeństwo astronautów mających lecieć w kolejne misje. Sądzę, że powinien pan przynajmniej go wysłuchać i dowiedzieć się dokładnie, o co chodzi. Znam profesora Paula i wiem, że jeżeli prosi o pomoc, to sprawa jest poważna.

Wayne chwilę się zastanawiał.

– Wtorek, mówi pan?

– Wtorek, jedenasta w Centrum Lotów Kosmicznych imienia Kennedy'ego. Przelot, odbiór z lotniska i zakwaterowanie są zorganizowane, bilet czeka. Musi

pan tylko spakować walizkę.

– W zasadzie chciałem w przyszłym tygodniu zacząć instalować stacje... – myślał głośno Chang.

– „Człowieku, Wayne! Praca w NASA! – zawołał Schneider. – Na twoim miejscu nie zastanawiałbym się ani sekundy. Do dziś mają znakomitą reputację, nawet jeśli ostatnio parę rzeczy im nie wyszło.

– Schneider ma rację. Ta misja na pewno nie zaszkodzi pańskiej reputacji. Wayne Chang wstał.

– Dobrze, już dobrze. Jeśli tak usilnie staracie się mnie pozbyć, to pójdę...

Socorro, Nowy Meksyk

Szeryfowi Dwainowi Hamiltonowi przeszła złość. Zapomniał o wizycie kapitana Howarda z policji stanowej. Hamilton nie miał o Howardzie zbyt dobrej opinii. Odkąd go wybrano – Howard był jego jedynym kontrkandydatem i w którymś momencie musiał zwinąć żagle – ich stosunki były napięte. O porażkę, którą poniósł, Howard obwiniał senatora, wuja Hamiltona. Choć była to ewidentna nieprawda Howard każdemu opowiadał, że przegrał nie z Dwainem Hamiltonem, ale z senatorem Josephem E. Hamiltonem.

Z pomocą funkcjonariusza policji stanowej szeryf zdobył akta człowieka, którego zwłoki znaleziono przy Coward Trail. Wściekało go, że na terenie jego hrabstwa znajduje się trupa, a on nie wie ani kto to był, ani w jakich okolicznościach zmarł lub zginął. Kilka centymetrów zdecydowało, że sprawa została objęta jurysdykcją policji stanowej, a nie jego. Nie mogło to oczywiście powstrzymać go od prowadzenia własnego nieoficjalnego śledztwa. Howard był debilem, który nawet nie wiedział o tym, że jego żona sypia z kimś innym, kiedy on siedzi w biurze i zarabia pieniądze. Zwłaszcza że sprawa była tajemnicą poliszynela.

Przez chwilę Hamilton myślał o żonie, która odeszła kilka miesięcy temu. Od początku czuła się nieszczęśliwa w małym miasteczku nad Rio Grande. Przed wyborem na szeryfa Dwain Hamilton zarządzał ranczem Cave Pearls pod Carlsbadem i Margo nie chciała opuszczać dobrze znanej okolicy, a przede wszystkim ukochanych koni. Ostro sprzeciwiała się jego kandydaturze na szeryfa hrabstwa Socorro, ale Dwain postawił na swoim i Margo przeprowadziła się z nim. Teraz jednak jej nie było – wyglądało, że na zawsze.

Szeryf wziął głęboki wdech i otworzył leżącą przed nim teczkę. Na okładce

było napisane: N.N. – COWARD TRAIL. Przewrócił pierwszą kartkę – z krótkim streszczeniem sprawy. W zwięzłych, rzeczowych słowach przedstawiony został koniec ludzkiego życia. Na następnych stronach powklejano zdjęcia z miejsca, gdzie znaleziono zwłoki, dalej wpięto raport techników, którzy zabezpieczali miejsce znalezienia zwłok, protokoły z przesłuchań świadków, raport koronera i sprawozdanie z sekcji w zakładzie medycyny sądowej. W sumie sto dwadzieścia dwie strony, ale bez nazwiska zmarłego, życiorysu, kontekstu, w którym żył. N.N. – bliższe okoliczności śmierci nieznane. Chaotyczne myśli szeryfa Dwaina Hamiltona powoli skupiały się na pytaniu: Kim był człowiek z Coward Trail?

Kiedy go znaleziono, miał na sobie spodnie od piżamy, a więc nie był włóczęgą. Gdyby był, w jednym z miasteczek, przez które wędrował, jego strój zostałby zauważony, a on sam ostrzeżony przez szeryfa z powodu gorszego zachowania. Miał bawełnianą bluzę z napisem POW. Dwain zdążył się już dowiedzieć, że w takie właśnie bluzy armia ubiera jeńców wojennych. Co prawda, można kupić podobne bluzy, ale jakość tej, którą miał na sobie N.N., była identyczna z jakością wojskowej.

Niezrozumiałe i tajemnicze były znaki na ciele zmarłego – z dużym prawdopodobieństwem wynik ingerencji medycznej. Wyraźne znaki na klatce piersiowej i głowie musiały pochodzić od elektrod. Z żadnej z okolicznych klinik nie uciekł jednak ani jeden pacjent.

Jeszcze bardziej tajemnicza była prawdopodobna przyczyna śmierci określona przez ekspertyzę toksykologiczną. Śmierć nieznanego została spowodowana przedawkowaniem leku produkowanego na bazie meskaliny. W tkankach zmarłego znaleziono także ślady LSD i pentotalu sodu. Dwain Hamilton zrobił krótkie śledztwo w miejskiej bibliotece i w Internecie: wszystkie te substancje wchodziły w skład bardzo określonych narkotyków rozszerzających świadomość, czasami zwanych narkotykami prawdy.

Czyżby N.N. faktycznie był jeńcem wojennym? Z jakiego kraju mógł pochodzić?

Z antropologicznego punktu widzenia należało jego pochodzenia szukać gdzieś w starej Europie, dokładnie – w Irlandii. Czyżby był bojownikiem IRA przygotowującym zamachy na znajdujące się w Stanach Zjednoczonych obiekty brytyjskie? Gdyby był terrorystą, powinien siedzieć nie w wojskowym obozie dla internowanych, a w więzieniu dla przestępców kryminalnych. Oczywiście prawo wojenne dawało państwu więcej możliwości restrykcji. Wykluczało

udział sędziów i zadających mnóstwo pytań adwokatów, odcinało od sprawy prasę i niezależnych obserwatorów. Stany Zjednoczone są wolnym krajem, respektującym prawa człowieka – przynajmniej tak mają uważać ludzie. Mają wierzyć, że incydenty podobne do tych, które zdarzały się w więzieniach w Iraku, to odosobnione przypadki spowodowane nadgorliwością garstki strażników. Dwain znał jednak system i doskonale wiedział, jak funkcjonuje. Przed dwoma dniami czytał w jakimś piśmie, że amerykańscy obywatele sympatyzujący z islamem muszą się liczyć z traktowaniem zgodnie z prawem wojennym. Może więc zmarły N.N. był amerykańskim sympatykiem islamu aresztowanym zgodnie z literą prawa wojkowego i w trakcie przesłuchania mającego ujawnić jego współników niechcący zabitym zbyt dużą dawką narkotyku prawdy? Czy to dlatego śledztwo policji stanowej było tak powierzchowne i nieskuteczne? Zdaniem Dwaina taka teoria nie była aż tak bardzo abstrakcyjna. Jak jednak mężczyzna dostał się na parking przy Coward Trail? Może coś się wyjaśni po przeprowadzeniu analizy DNA? Szeryf uznał, że najwyższy czas odwiedzić obóz szkoleniowy piechoty morskiej pod Magdaleną.

Szeryf kartkował akta dalej i po chwili natknął się na raport z przesłuchania starego Indianina z plemienia Crow, który znalazł zwłoki między pojemnikami na śmieci. Właśnie zamierzał przetrząsnąć kartkę, kiedy w oko wpadło mu ostatnie pytanie zadane przez funkcjonariusza: „Zauważył pan na parkingu coś niezwykłego – pojazdy, osoby, coś innego?”. Crow odpowiedział: „Właściwie wszystko było jak zawsze. Wjechałem na parking i zaparkowałem przy śmietnikach jak co dzień. Nie – chwileczkę – coś mi się przypomniało. Kiedy skręcałem w dojazd, z parkingu wyjeżdżał ciemny pick-up, taki starszy model. Pojechał w kierunku Albuquerque”.

Dwain Hamilton przeczytał te zdania jeszcze raz. Możliwe, że Crow zauważył coś ważnego. Niestety, nie umiał podać szczegółów. Starszy, ciemny pick-up. W hrabstwie Socorro było takich samochodów na pęczki. Może warto porozmawiać z Indianinem...

Long Point View, Kanada

Brian był wściekły. Rzucił szczotkę drukarską w kąt. Najchętniej pojechałby do Cleveland i dobrał się Porky'emu do skóry. Wiedział jedno: skończył pracować dla pisma „ESO-Terra”. Aby zwiększyć nakład, przerobili rzeczowo

napisany artykuł na brukową historię, w której kościelny, dzieci, ojciec Francesco, a nawet Kościół jako taki zostali oskarżeni o oszustwo. Mimo przyjaźni z Porkym i świadomości presji finansowej, przed jaką musiał się ugiąć redaktor naczelny, Brian uważał, że posunęli się za daleko. Nie zamierzał być idącym po trupach dziennikarzem śledczym. Jeżeli ktoś świadomie i z powodów komercyjnych wodził ludzi za nos, to zasłużył, żeby go publicznie zdemaskować, ale jeżeli ucierpieć miały dzieci, uważał, że jego dziennikarskim obowiązkiem jest je chronić.

Poza tym, kto wie? Może było coś w objawieniu – tym, które ujawnił stary ojciec Francesco. Brian spróbował przypomnieć sobie jak najdokładniej ich rozmowę. Szalejące tornada nie były iluzją, lecz rzeczywistością. Nawet meteorologowie i znakomici badacze klimatu nie mogli rozwiązać ich zagadki. Niektórzy naukowcy mówili wręcz – Brian przeczytał o tym w czasie lotu powrotnego w „Science Magazine” – o zwiastunach zbliżającej się katastrofy klimatycznej.

Czyżby wizje Paola Parrotty były prawdziwe? Czyżby Matka Boska rzeczywiście przesłała mu znak, by ostrzegł ludzi? Brian był pewien, że nigdy się tego nie dowie, a stary kościelny zostanie napiętnowany jako kłamca i oszust. Jednak artykuł będzie podpisany nazwiskiem Briana.

Popatrzył na zegarek. Właśnie minęła dziesiąta. Niecałe pół godziny temu wrócił z samotni na wysepce na wschód od Long Point i znalazł w skrzynce pocztowej kopertę z próbnym wydrukiem. Nie było na niej znaczka, czyli Porky osobiście zdeponował ją w skrzynce. Przyszedł porozmawiać? Teraz było już za późno – godzinę temu ruszyła drukarnia.

Przez dwa dni od powrotu z Wenecji Brian cierpiał z powodu aresztowania. Poczucie, że zaraz się udusi, prześladowało go do samej Kanady. Wieczorem, zaraz po powrocie, sklarował łódkę, złapał śpiwór, załadował prowiant i popłynął na wysepkę obok Bakers Whole. Spał pod gołym niebem, z dala od cywilizacji, i wdychał zapach wolności. Komary i muchy odstraszał skutecznie cudownym środkiem Juana Andreasa Casquero. Zapach wolności mieszał się więc czasami ze smrodem oleju napędowego i zapachem oliwki dla niemowląt, ale środek pomagał jak nad Orinoko.

Brian sięgnął po telefon. Czerwone światelko automatycznej sekretarki mięgało jak szalone. Wykręcił numer redakcji, ale nikt się nie zgłosił. Zaklął pod nosem, huknął słuchawką o widełki i wcisnął przycisk odtwarzania nagranych wiadomości, których zebrało się osiem. Cztery razy rozległo się jedynie

trzaśnięcie, oznaczające, że dzwoniący odkładał słuchawkę. Trzy razy dzwonił Porky – z prośbą o oddzwonienie. Ostatni telefon został nagrany w południe. Brian włączył głośnik.

– Dzień dobry, panie Saint-Claire. Nazywam się James Paul i pracuję w NASA na przylądku Canaveral. Czytałem pański artykuł o Indiance z Wenezueli. Potrzebujemy pańskiej pomocy w nietypowej sprawie. Doświadczenia, jakie zebrał pan w Wenezueli, mogą się okazać dla nas ważne. Proszę o jak najszybszy telefon. Mój numer to pięć, pięć, pięć, trzy, zero, zero, zero, osiem, siedem, osiem, dziewięć.

Brian jeszcze raz odsłuchiwał wiadomość. Przez chwilę myślał o szamance z plemienia Warao. Miał niejaki poczucie winy, ponieważ – choć obiecał Juanowi, że zadzwoni – nie dowiedział się o stan jej zdrowia.

No i co ty na to, Brianie? – zapytał sam siebie. Powinieneś zgłosić się do NASA? Sprawa wydała mu się ciekawa.

– A niech tam! – powiedział i sięgnął po słuchawkę.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Suzannah Shane przed godziną wylądowała na lotnisku w Orlando. Czekał na nią pilot NASA i zawiózł helikopterem do Centrum Lotów Kosmicznych. Na miejscu przywitała ją pracownica ośrodka i zaprowadziła do osiedla domków znajdującego się kawałek za terenem wystawowym, na którym modele raket w oryginalnej wielkości świadczyły o rozwoju astronautyki w minionych pięćdziesięciu latach. Dla Suzannah, która była po raz pierwszy na przylądku Canaveral, fakt, że stała przed lądownikiem, w którym ponad trzydzieści lat temu astronauta lądowali na Księżycu, był niezwykle podniecający.

– Czy ten model nie jest trochę za mały? – spytała prowadzącą ją kobietę.

– Model? To nie jest model. To wersja XA-dwa – identycznym lądownikiem nasi chłopcy lądowali na Księżycu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku.

– W czymś tak małym?

– Wielkość to masa, a masa to siła ciągu i energia – odparła pracownica NASA. – W kosmosie trzeba się poprzytulać.

Suzannah skinęła głową. Kobieta zaprowadziła ją do jednego z bungalów i otworzyła drzwi.

– Mam nadzieję, że będzie pani wygodnie. Sądzę, że najpierw zechce się pani odświeżyć. Ktoś przyniesie pani bagaż. Wyjaśnię tylko, jak ustawiać klimatyzację.

Suzannah minęła kobietę i rozejrzała się po apartamencie. Był luksusowo urządzony.

– Przyjdę za dwie godziny i zaprowadzę panią do kasyna w budynku administracyjnym. Będzie obecny profesor Paul, który chciałby panią osobiście powitać. W tej chwili jest zajęty sprawami organizacyjnymi. Mam nadzieję, że będzie pani u nas dobrze.

Suzannah przyjaźnie popatrzyła na urzędniczkę.

– Dziękuję. – Gorący prysznic i nieco spokoju dobrze jej zrobi po niespokojnym locie.

Pięć minut później kolejny pracownik przyniósł resztę bagażu. Mało brakowało, a dałaby mu napiwek, na szczęście nie palnęła głupstwa. W końcu – choć tak wyglądało – nie była w hotelu, tylko w sanktuarium NASA, i z przyjemnością chłonęła wspaniałą atmosferę.

15.

Hrabstwo Taylor, Floryda

Tak jak przewidywano Cezar pędził w kierunku wybrzeży Florydy. Osłabł minimalnie – prędkość wiatru w jego wnętrzu wynosiła dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę. Od wielu dni Krajowe Centrum Huraganów w Miami powtarzało ostrzeżenia.

Orkan uderzył w hrabstwo Taylor z całą siłą. Ludzie wokół Perry przygotowali się na piekło. Wielu mieszkańców – po zabezpieczeniu domów grubymi deskami – uciekło w głąb łądu, zabierając część rzeczy. Fala, która uderzyła w brzeg, była tak wysoka, że natychmiast zalała Keaton Beach.

Woda porwała stoiska, domki i opuszczone przyczepy kempingowe. Powyrywała drzewa z korzeniami. Wiatr nie kazał długo na siebie czekać. Burza zaczęła się po południu. Wkrótce zrobiło się ciemno jak w nocy. Huragan pozostawiał za sobą szeroki pas zniszczeń.

Kilku niepoprawnych optymistów, którzy chcieli oprzeć się nawałnicy i schowali się na farmie między Keaton Beach i Salem, odleciało razem z budynkiem. Niedaleko Hampton Springs wicher jak zapałki połamał gigantyczne słupy wysokiego napięcia, a niedaleko Atheny porwał dach tancbudy. Szaleństwo żywiołów nie chciało się skończyć. Błyskawice rozrywały czarne niebo, z ciężkich chmur lały się strumienie wody. Bagna zamieniły się w błyszczące jeziora, deszcz zalewał piwnice, w których chowali się ludzie.

Fala zniszczenia wkrótce dotarła do Perry i nic nie wskazywało na to, że zamierza się uspokoić. Krajowe Centrum Huraganów aktualizowało ostrzeżenia co minutę. Szacowano, że jeżeli nic nie złamie mocy orkanu, dotrze on w głąb Georgii.

Tuż po drugiej po południu Cezar przeszedł przez Perry, niszcząc całe połacie miasta. Prostej konstrukcji domy z przedmieść nie mogły oprzeć się wichrowi. Rozlatywały się jak domki z kart, grzebiąc ludzi żywcem. W dom towarowy przy głównej ulicy uderzył piorun, sprawiając, że zbiornik gazu obok hali eksplodował, a gigantyczny płomień wystrzelił w niebo i został błyskawicznie rozniesiony przez wiatr. Wszędzie wybuchały pożary. Ogień, wiatr i woda – trzy żywioły, nad którymi nikt nie panował, mogły sobie wreszcie poszaleć i niszczyć okolicę. Wioski i farmy, całe dzielnice miast znikwały w podmuchach wichru, ginęły pod wodą i padały ofiarą ognia. Piekło otworzyło swe podwoje i opluwało kraj śmiercią oraz zniszczeniem. Ludzie musieli się bezradnie przyglądać, jak huragan zabiera im dorobek życia.

Nie był to jeszcze koniec. Po minięciu Peny, orkan nagle skręcił i ruszył w kierunku Tallahassee. Oznaczało to, że śmierć i zniszczenie tak naprawdę dopiero się zaczęły.

Socorro, Nowy Meksyk

Nad hrabstwem Socorro zapadła niezwykle ciemna noc, która otuliła okolicę mrocznym kokonem. Zaczęło wiać i szyld na barze U Betty bujał się z piskiem. Szeryf Dwain Hamilton wpatrywał się jak urzeczony w ekran telewizorka migoczącego w centrali komunikacyjnej. Przy stole radiotelegrafisty siedziała Donna Rosenberg, a kiedy na ekranie pojawiły się obrazy z zniszczonego przez orkan Perry, jej oczy wypełniły się łzami. Jak na tę chwilę, straty wynosiły trzydziestu zabitych. Szkody materialne przekroczyły granicę miliarda dolarów, ale huragan w dalszym ciągu szalał. W hrabstwie Live Oak ogłoszono pierwszy stopień alarmu. Cezar miał tam przybyć za niecałe trzy godziny.

– Biedacy... – szepnęła Donna Rosenberg.

Szeryf wyjrzał przez okno. Wiatr coraz bardziej się nasilał.

– Kto jest w terenie? – spytał.

– Tonio i John są w San Antonio, Carlos jest na sześćdziesiątce – odparła Donna.

Hamilton włożył grubą kurtkę i wsadził kapelusz na głowę.

– Chcesz gdzieś jechać? – spytała Donna.

Szeryf skinął głową.

– Szykuje się huragan. Chcę dopilnować sytuacji w Ciboli. Wezmę mavericka.

Dwadzieścia minut później szeryf Hamilton skręcił w wąską drogę prowadzącą do lasu narodowego Cibola. Wiatr nieco się uspokoił, ale nad lasem piętrzyły się gęste chmury. Niedługo należało się spodziewać deszczu. Światła reflektorów z trudem przebijały się przez ciemność, drzewa jedno za drugim uciekały do tyłu, aż szeryf dotarł do rozwidlenia dróg. Popatrzył na zegarek. Zbliżała się północ. Zjechał na pobocze i opuścił szybę. W lesie panowała cisza. Można było odnieść wrażenie, że nawet zwierzęta pochowały się przed zagrażającą czernią. Gdzieś tutaj, u stóp góry Baldy, musiała znajdować się droga prowadząca do ośrodka szkoleniowego piechoty morskiej. Dwain otworzył drzwi. Nagle potężny huk przerwał ciszę, zaraz potem ciemność rozerwał tak jasny błysk, że oślepiony Hamilton musiał zamknąć oczy. Chmury się rozstały i z nieba poleciały grube krople. Szeryf zaklął, zatrzasnął drzwi i szybko podniósł szybę. Ulewa była tak gęsta, że na dwa metry nie dało się nic dostrzec. Nawet na najwyższej prędkości wycieraczki nie radziły sobie z wodą. Przy tej pogodzie mógł zapomnieć o wyprawie do ośrodka szkoleniowego.

Włączył silnik i zawrócił. Po kilku minutach z powrotem znalazł się na głównej drodze do Magdaleny. Zaraz za skrzyżowaniem ujrzał tylne światła samochodu, który wylądował w rowie. Hamilton włączył koguta na dachu i zatrzymał się. W świetle reflektorów widział tablicę rejestracyjną pick-upu – był z Nowego Meksyku. Dwain zapiął kurtkę, włożył kapelusz na głowę i sięgnął po latarkę. Zanim wysiadł, odpiął pasek zabezpieczający pistolet przed wysunięciem się z kabury. Czterdziestkapiątka była załadowana – na takim odludziu zalecane były odpowiednie środki ostrożności. Może powinien zawiadomić biuro? Sięgnął po mikrofon krótkofalówki, ale urządzenie nie działało. Odwiesił mikrofon i wyszedł na zewnątrz. Szedł powoli, przygarbiony, w kierunku pick-upu. Jedną ręką kierował silny promień latarki na kabinę kierowcy, drugą trzymał na kolbie pistoletu. Paka starego czerwonego dodge'a była pusta. Szeryf zaświecił do kabiny. Ujrzał kontur ludzkiej postaci. Siwy mężczyzna w kraciastej koszuli leżał w poprzek przedniej kanapy. Hamilton jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki od strony kierowcy i wycelował w leżącego mężczyznę. Kierowca gwałtownie uniósł tułów. Szeroko otwartymi oczami wpa-trywał się w światło latarki.

– Przybyli! – zawył. W jego oczach widać było przerażenie. – Spadli z chmur! Zło przybyło, aby mnie zabrać!

- Jack? – spytał Dwain Hamilton i opuścił latarkę. – Jack Silverwolfe?
 - Czerwone talerze latają po niebie! Mój Boże – nadlatują!
- Starzec skulił się i mało brakowało, a wypadłby z samochodu. Dwain złapał go, nim wylądował w mokrej trawie, i postawił go na nogi.
- Jack, uspokój się! To ja, szeryf Hamilton! Co się stało?
- Kiedy stary podniósł głowę i spojrzał mu w oczy, w nozdrza Hamiltona wwiercił się odór alkoholu.
- Nie przybyliście, żeby mnie zabrać?
 - Boże, Jack, jesteś pijany jak bela!
- Stary z trudem trzymał się na nogach. Wskazał palcem w niebo.
- Tam ich widziałem. Wróć, czuję to...
 - Wiem, jak się czujesz – powiedział szeryf ironicznie. – Czujesz mescal ciotki Gippy. Byłeś w Dusty czy piłeś księżycowe, siedząc w samochodzie?
- Dwain zaprowadził starego do radiowozu i ulokował na tylnym siedzeniu. Wrócił do pick-upu, wyłączył światła, zabrał kluczyki i zamknął samochód, po czym usiadł za kierownicą mavericka. Deszcz przesączył mu się przez kurtkę i szeryf czuł lekkie dreszcze.
- Jutro będę miał przez ciebie niezły katar – rzucił złośliwie do starego. – Zawiozę cię teraz w ciepłe miejsce, tylko nie zarzycaj mi samochodu.
- Uruchomił silnik i włączył ogrzewanie.
- Widziałem ich... – wymamrotał Jack Silverwolfe. – Widziałem ich. Powiedział mi, że przybywają z chmur i potem zamknął oczy na zawsze. Był taki młody, ale wiedział...
 - Co wiedział?
 - Wzięli go ze sobą i go zbadali. Potem go wyrzucili.
- Dwain Hamilton zahamował tak gwałtownie, że Jack Silverwolfe huknął czołem o dzielącą samochód siatkę bezpieczeństwa, zamocowaną na wypadek, gdyby aresztantowi zachciało się zaatakować siedzącego z przodu funkcjonariusza.
- O kim ty, do diabła, gadasz? – wrzasnął Dwain na starego. – Co wiesz o zmarłym?
 - Byli tu, bardzo blisko... na niebie. Mają oczy czerwone jak ognisty żar... przybędą, a świat spłonie...
 - Niech cię cholera! Weź się w garść! Mówiłeś o zmarłym, którego badano. Co o tym wiesz?

– Jestem... jest mi... kręci mi się w głowie... nie mogę...

Przez siatkę trysnęły wymioty i ochlapały kurtkę Dwaina Hamiltona. Szeryf zaklął. Stary z zadowoleniem westchnął, opadł na kanapę i zamknął oczy.

Szeryf głośno wołał go po imieniu, ale stary nie reagował. Ciszę w samochodzie przerywał jedynie jego charkotliwy oddech. Przystało padać, burza się oddaliła.

Dwain wrzucił bieg i pojechał mokrą szosą do Socorro. Tuż przed granicą miasta zatrzymał się i sięgnął po mikrofon krótkofalówki.

– Do jasnej cholery, Dwain! Gdzie byłeś? – odezwał się z wyrzutem głos Donny. – Telefon się urywał! Zanotowałam ponad siedemdziesiąt zgłoszeń!

– Z powodu burzy?

– Wszyscy tu poszaleli. Ludzie twierdzą, że widzieli nad Bosque UFO! Podobno latały tam rozżarzone czerwone talerze! W życiu czegoś podobnego nie przeżyłam.

– UFO, mówisz?

– No tak! Nie uwierzysz – dorośli ludzie też je widzieli. Dzwonił nawet doktor Strauss ze szpitala. Posłałam tam Carlosa, ale nie odkrył nic poza błyskawicami. Chyba wszyscy powoli wariują. Gdzie jesteś?

– Wracam z Magdaleny. Mam na pokładzie starego Jacka Silverwolfa. Jest pijany i wjechał samochodem do rowu. Będę u ciebie za dwadzieścia minut. W dalszym ciągu dzwonią ludzie w tej sprawie?

– Skończyli, kiedy zaczęła się burza.

– Postaram się być jak najszybciej – odparł Dwain i odwiesił mikrofon.

Przelotnie spojrzął na leżącego z tyłu Jacka. Czyżby to nie były jednak deliryczne zwidy? Czyżby rzeczywiście zaobserwował coś ważnego? O co chodziło z tym młodym zabitym chłopakiem, o którym bełkotał? Szeryf Hamilton znał Jacka od lat – stary uważał się za ostatniego szamana Nawachów i mieszkał poza rezerwatem, w chacie nad Rio Salado. W zimie rzeźbił figurki z drewna, które sprzedawał turystom, a w lecie zastawiał pułapki i żył z łowienia ryb. Lubił wypić kilka kieliszków za dużo – zwłaszcza wysokoprocentowego bimbru z kaktusa, który ciotka Gippy robiła według starego przepisu. Ponoć jest on tak mocny, że wyżera dziury w drzwiach samochodowych. Była to oczywiście przesada, ale Dwain nie spotkał się w życiu z mocniejszym alkoholem. Dodał gazu. W aucie tak ostro śmierdziało rzygowinami, że musiał otworzyć okno. Stary spał jak niewinne dziecko. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała

rytmicznie i spokojnie. Szeryfowi nie pozostawało nic innego, jak poczekać, aż Jack wytrzeźwieje, i wtedy go przepłukać. Co Jack Silverwolfe wiedział o martwym młodzieńcu z Coward Trail?

Socorro, Nowy Meksyk

Dwain Hamilton długo nie mógł zasnąć. Przyjechał na komisariat za późno, żeby opłacało się wracać do domu, więc umościł sobie posłanie w fotelu w gabinecie. Kiedy obudził się około siódmej rano, czuł się, jakby łamano go kołem. Jego myśli od razu powędrowały do Jacka Silverwolfa – chciał z nim porozmawiać, gdy tylko Jack będzie się nadawał do rozmowy. Co stary Indianin wiedział o zwłokach młodego człowieka, znalezionych przy Coward Trail? Dwain Hamilton podejrzewał, iż Jack był w miejscu, gdzie znaleziono trupa – w końcu jeździł starym czerwonym pick-upem. Oczywiście tego typu samochody były w okolicy bardzo popularne jako praktyczne i komfortowe. Nawet dwóch zastępców szeryfa jeździło pick-upami.

Szeryf umył się i włożył beżową służbową koszulę. Pod zmęczonymi oczami zrobiła mu się nowa zmarszczka. Gdy był niewyspany, wyglądał na chorego. Kiedy zadzwonił telefon, właśnie zakończył poranną toaletę i sięgnął po słuchawkę.

– Witaj, mój chłopcze – zadudnił basowy głos Josepha Hamiltona, wuja Dwaina. – Chciałem sprawdzić, co słyhać. W ostatnim czasie rzadko się pokazujesz.

Dwain się skrzywił. Wuj Joe miał rację – choć senator był dla niego kimś w rodzaju zastępczego ojca, w ostatnim czasie Dwain rzadko się z nim kontaktował. Poczucie winy spowodowało, że poczerwieniał. Przez chwilę próbował wymyślić jakąś wymówkę, ale uznał, że nie warto.

– Mam mnóstwo pracy – powiedział. – Ostatnio znaleźliśmy przy międzystanowej trupa i do dziś nie wiemy, kim była ofiara.

– Słyszałem. To nie policja stanowa zajmuje się tą sprawą?

Dwain pogardliwie parsknął.

– Chyba nie sądzisz, że Howard zrobił w tej sprawie jakiegokolwiek postępu.

– Nie o to chodzi.

– Podczas gdy Howard drapie się w swoim gabinecie po tyłku, ja mam już gorący trop. Rozmawiałem wczoraj ze starym Jackiem, możliwe, że coś wie o ofierze.

- Stary Jack?
- Indianin, który mieszka w chacie nad Rio Salto. Wygląda na to, że rozmawiał z ofiarą przed śmiercią. Dziś z nim pogadam.
- Tylko nie poparz sobie palców. Kapitanowi Howardowi nie spodoba się, że akurat ty mieszasz się w jego sprawy.
- Wszystko jest pod kontrolą, nie ma obaw – uspokoił wuja Dwain. – Jeśli coś w trawie piszczy, zawsze mogę Howarda poinformować.
- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, mój chłopcze – odparł senator. – W zasadzie chciałem spytać, czy zjadłbyś w niedzielę ze mną obiad. Mamy nową klacz rozplodową, którą chętnie bym ci pokazał. To co, w niedzielę o jedenastej?
- Dwain cicho westchnął.
- Niestety, muszę cię rozczarować, ale tonę w pracy. Może innym razem.
- No cóż, mus to mus, nie czekaj jednak następne sześć tygodni. Teraz, kiedy nie ma Margo, ktoś musi o ciebie zadbać.
- Zadzwoń niedługo, obiecuję. – Dwain odłożył słuchawkę i wyszedł z gabinetu.

W pokoju dyżurnych, za biurkiem oficera dyżurnego, siedział zastępca szeryfa Lazard.

Kiedy szeryf stanął przed biurkiem, młody człowiek podniósł głowę.

- Wyglądasz paskudnie. Musiała być ciężka noc.
- Wydarzyło się coś jeszcze?

Lazard uśmiechnął się.

– Burza zapędziła wariatów do łóżek. Donna odebrała ponad siedemdziesiąt telefonów. Wszyscy twierdzą, że widzieli UFO na niebie. Dzwonił nawet pastor Nash, ale ani Antonio, ani Carlos niczego nie odkryli. Prawdopodobnie burza pomieszała ludziom w głowach. Podejrzewam, że winę za wszystko ponoszą zorza polarna nad Bosque i odbicia światła w chmurach.

– Najprawdopodobniej masz rację. Jack już na nogach?

– O szóstej zaczął się drzeć. Powiedziałem mu, że chcesz go przesłuchać. Usiadł na pryczy i zaczął medytować. Pięć minut temu ten zapijaczony oszołom ciągle jeszcze siedział ze skrzyżowanymi nogami na pryczy.

Dwain Hamilton skinął głową. Wziął klucz do korytarza, w którym mieściły się cele.

- Iść z tobą?! – zawołał za nim Lazard.
- Poradzę sobie. – Jego słowa zagłuszyły stalowe drzwi, za którymi znajdowały się cele.

Jack Silverwolfe siedział w pierwszej celi – na pryczy, ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami. Dwain wiedział, że stary Indianin słyszał, iż wszedł do korytarza. Wsadził klucz w zamek drzwi celi i przekręcił.

– Dobrze się czujesz? – spytał cicho szeryf.

Indianin otworzył oczy.

– Byłem bardzo blisko mojego Stwórcy i powiedział, że mnie kocha. Jak może się czuć ktoś, kto wie, że jest kochany?

– W nocy twój Stwórca był bardzo daleko od ciebie – odparł Dwain. – Uśliczniłeś mi kurtkę i samochód swoją kolacją. Miłość twojego Stwórcy nie mogła być szczególnie silna.

Indianin gardłowo się zaśmiał.

– Białe człowieku, wielki białe człowieku... mówiłem ci, dlaczego się zatrzymałem. Oni przybyli. Są zwiastunami śmierci. Gnali przez noc na czerwonych skrzydłach. Przybyli, aby uwolnić żywioły. Wkrótce wszyscy udamy się do Stwórcy.

– Spotkałeś się ze zwiastunami mescalu z fabryczki ciotki Gippy, które zmały ci zmysły. Ognista woda białego człowieka nie robi dobrze takiemu staremu Indianinowi jak ty. Twój samochód tkwi w rowie i w zasadzie powinienem ci zabrać prawo jazdy.

Jack Silverwolfe z urazą wbił wzrok w podłogę.

– Co wiesz o zmarłym chłopaku z Coward Trail?

Silverwolfe się wahał.

– Mogę zarekwirować ci samochód i posłać go do laboratorium. Setki obcasów zadepcze teren wokół twojego domu. Zajrzemy pod każdy kamień w okolicy. Będziemy to robić tak długo, aż coś znajdziemy. Zastanów się.

– Ta ziemia jest święta – odparł po chwili Jack Silverwolfe. – To ziemia, na której mieszkają moi przodkowie. Na długo przedtem, zanim wyście się zjawili, grzebaliśmy naszych zmarłych przy zakręcie rzeki.

– Chłopak nie żyje, a ty coś na ten temat wiesz. Będziesz siedział w tej celi, dopóki nie dowiem się wszystkiego. Wszystko mi jedno, czyje kości gniją w ziemi obok twojej chaty. Przeszukamy każdy centymetr, a jeżeli duchy twoich przodków będą się skarżyć, zacznę głośno wołać twoje imię i powiem im, że to ty jesteś wszystkiemu winien.

Jack Silverwolfe zaczął się denerwować.

- Duchy zmarłych nie pozwolą na to, aby burzyć ich spokój.
- Twoje duchy nie powstrzymają mnie przed tym, co zamierzam. Powiem im, że Silverwolfe jest odpowiedzialny za naruszanie ich spokoju.

Jack Silverwolfe wyprostował nogi i wstał. Zmieszany wpatrywał się w podłogę.

– Biali widzą wszystko jedynie swoimi oczami, czują tylko własną ręką i wierzą tylko w to, co widzą – wymamrotał. – Nasz naród widzi duchem i czuje wszystkimi zmysłami, a wy jesteście ślepi, głusi i nieczuli. Nigdy nie pojmiecie głębszego sensu natury, ponieważ zamykacie swego ducha. Tak jak nie zauważacie, że duchy już dawno postanowiły o waszym końcu. Najpierw przysyłają wiatry, potem wodę, a na koniec ziemia się otworzy i świat zostanie pochłonięty przez ogień Wielkiego Ducha. Tak brzmi przekaz.

– A ty będziesz pierwszym, którego osobiście rzucę płomieniom na pożarcie. Co wiesz o zmarłym z Coward Trail?

Jack milczał, Dwain Hamilton czuł jednak, że jego opór powoli pęka.

Szeryf się odwrócił.

– Nie mam ochoty dłużej marnować czasu w twojej celi. Dzień jeszcze jest młody, a nad Rio jest widno.

– Siedział w kucki przy szosie – szybko powiedział Jack. – Był środek nocy. Wracałem z Magdaleny i zatrzymałem się. Marzył, był wychudzony, a nad jego głową już krążył wielki czarny cień.

– Gdzie go zobaczyłeś?

– W Ciboli, tuż za Magdaleną. Wziąłem go do samochodu. Próbowałem mu pomóc, ale duch go opuścił. Nie mogłem nic dla niego zrobić.

– Zmarł w twojej chacie?

– Zmarł tuż po północy.

– Dlaczego nie zakopałeś go w lesie?

Jack znowu usiadł na pryczy.

– Chciałem, żeby znalazł drogę do Wielkiego Ducha. Dlatego położyłem go przy Coward Trail, aby chłopak spoczywał na waszej świętej ziemi, aż zostanie wezwany.

– Coś mówił? Rozmawialiście?

Jack pokręcił głową.

– Nie było go już na tym świecie. Mówił, ale umysł spowijało mu szaleństwo i opowiadał o ognistym promieniu, po którym jego myśli gnają do nieba.

Mówił o śmierci. Nie potrafiłem mu pomóc.

Dwain wszedł ponownie do celi i usiadł obok Jacka na pryczy.

– Powiedział, jak się nazywa?

Jack ponownie pokręcił głową.

– Skąd pochodzi, dokąd chce się udać, co robi w środku nocy na pustkowiu? Boże, coś musiał powiedzieć!

– Nie pytałem – odparł Jack Silverwolfe. – Był chory, samotny i opuszczony. Chciałem mu pomóc, nic więcej.

– Miał coś przy sobie? Jakies papiery, dowód, prawo jazdy?

Stary chwilę się zastanawiał.

– Miał torbę.

– Gdzie ona jest? – spytał natarczywym tonem Dwain Hamilton.

– Chciałem położyć ją obok niego, ale przyjechał Crow, który czyści śmietniki dla białego człowieka, więc szybko odjechałem. Postanowiłem, że położę mu ją na grobie, ale nie znalazłem go na cmentarzu.

– Gdzie zostawiłeś torbę?

– W samochodzie. Cały czas leży w moim samochodzie. Chętnie bym mu ją oddał, ale nie znalazłem jego zwłok.

Dwain głęboko wciągnął powietrze. Wierzył staremu Indianinowi.

– Zajmę się tym, żeby chłopak dostał torbę – powiedział cicho.

– Przeszukasz moją ziemię?

Szeryf pokręcił głową.

– Spokój zmarłych jest święty. Niezależnie od tego, jaki mieli kolor skóry.

– Mogę iść do domu?

Dwain skinął głową i wyjął formularz.

– Musisz jeszcze podpisać to oświadczenie o rezygnacji z roszczeń, potem zawiozę cię do twojego samochodu i dasz mi wszystko, co należało do zmarłego.

Jack wziął do ręki formularz i pytająco nań popatrzył.

– Co to jest?

– Zwykła formalność. Oświadczenie, że z powodu aresztowania nie masz jakichkolwiek roszczeń względem miasta Socorro. Musisz tylko podpisać.

– Nie umiem pisać. Czytam z wiatru i śladów i piszę w drewnie, ale wasze znaki są mi obce.

– To zrób krzyżyk.

Dwadzieścia minut później szeryf Dwain Hamilton wrócił ze starym Indianinem na miejsce, gdzie pick-up tkwił w rowie. Z nadzieją otworzył małą białą torbę, którą Jack wyjął z samochodu. Niestety, w środku była tylko brudna chustka do nosa. Rozczarowany Dwain szukał dalej, aż odkrył wszytą po wewnętrznej stronie torby kieszonkę. Wsadził do niej dwa palce i wyciągnął plastikową kartę. Mniej więcej taką, jaką dostają goście w szpitalach. Na przedniej stronie karty znajdowało się coś na kształt kodu – kombinacja siedmiu cyfr zakończona NRC-C08. Dwain odwrócił kartę i wbił wzrok w napis. ALLAN MCNISH. W końcu poznał nazwisko.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

– Panie i panowie, cieszę się, że przyjęliście nasze zaproszenie i że mogę was przywitać na terenie Centrum Lotów Kosmicznych imienia Johna F. Kennedy'ego – powiedział profesor Paul do zebranych, którzy siedzieli w klimatyzowanej sali konferencyjnej na drugim piętrze budynku administracji NASA.

Za długim stołem zasiadło siedem osób, w tym dwie kobiety.

– Nasz zespół nie jest jeszcze w komplecie, ale ostami jego członek kilka minut temu wylądował w Orlando – dodał Paul. – Mam nadzieję, że zdąży dotrzeć, zanim zagłębimy się w meritum sprawy. Panie i panowie, jesteście najlepszymi specjalistami w naszym kraju z dziedziny psychologii, meteorologii, fizyki i astronautyki. Sądzę, że większość z państwa się zna, jeśli jednak nie, niedługo będzie okazja się poznać. Nie chciałbym dłużej wystawiać na próbę państwa cierpliwości, powiem więc od razu: zaprosiliśmy tu was, ponieważ NASA potrzebuje waszej pomocy.

Po sali przeszedł pomruk zdziwienia. Wymieniono się pytającymi spojrzeniami.

– Dwa tygodnie temu w trakcie podchodzenia do lądowania nasz prom kosmiczny Discovery wpadł w jedną z niezwykle gwałtownych wiosennych burz. Statek został poważnie uszkodzony, pilotowi udało się jednak wylądować w Edwards. Najprawdopodobniej uderzenie pioruna unieruchomiło wszystkie systemy statku – włącznie z telemetrią lądowania. Uszkodzona została nawet jednostka sterująca wyposażona w zegar cezowy. Dwóch z trzech astronautów pozostawało przez kilka dni w śpiączce, a gdy się przebudzili, okazało się, że cierpią na poważną psychozę lękową. Niezależnie od siebie mają praktycznie

ten sam koszmarny sen. Obrazy, które widzą w snach, są niemal identyczne: dotyczą głównie śmierci i zniszczenia. Kiedy nie śpią, milczą, jakby zapomnieli, jak się mówi. Ich stan można określić mianem afazji. Panie i panowie – mamy do czynienia z zagadką bez odpowiedzi. Wszystkie loty promów kosmicznych są jak na razie wstrzymane i żaden lot załogowy nie odbędzie się, dopóki nie dowiemy się, co spowodowało katastrofę i jakie możemy podjąć działania ochronne.

– Czy dobrze zrozumiałem, że chcecie poznać przyczynę tego zjawiska? – odezwał się profesor Thomas Brandon. Był psychiatrą i docentem uniwersytetu stanu Illinois w Chicago i sławą z zakresu działań terapeutycznych w schorzeniach psychotycznych.

Profesor Paul skinął głową.

– Nie jesteśmy przygotowani na tego typu sytuacje, ale zapewnimy państwu wszelkie potrzebne wsparcie.

– To znaczy, że dostarczycie nam wszystkich szczegółów dotyczących sprawy? – Pytanie zadał doktor Joseph Stone. – Także tych, które są tajne? – Stone był inżynierem astronautyki i pracował w prywatnej firmie z siedzibą na Long Island, która specjalizowała się w budowie systemów satelitarnych i sterowniczych dla astronautyki.

– Wszystkie szczegóły, wszystkie dane, bez ograniczeń – odpowiedział Paul. – Oczywiście dotyczy to także naszych zagranicznych gości. Mamy dwa rodzaje problemów. Jeden dotyczy podróży kosmicznych, drugi – być może poważniejszy – niezwyklej choroby, na którą cierpią obaj astronauty.

Głos zabrał profesor Helmut Haarmann, matematyk i sława z zakresu nowoczesnej technologii pomiaru czasu z uniwersytetu w Stuttgarcie.

– Mógłby pan to bliżej opisać?

Przez dźwiękoszczelne szyby przebił się do sali odgłos lądującego helikoptera. Głowy obecnych odwróciły się w kierunku okien, a ich spojrzenia podążyły za białym jet rangerem, który robił pętlę nad znajdującym się obok budynku pustym polem, po czym wylądował tuż obok wieżowca.

Paul czekał, aż helikopter wyląduje i łopaty wirnika się zatrzymają.

– Mówiąc krótko, chodzi o odpowiedzi na dwa pytania. Co spowodowało uszkodzenie promu kosmicznego oraz zakłócenie systemu sterowania? Co spowodowało chorobę psychiczną astronautów i jak możemy im pomóc? Uważam, że do zbadania tych zagadnień powinniśmy stworzyć dwie grupy – jeden zespół z przedstawicieli nauk ścisłych i jeden ze specjalistów z zakresu psychologii.

Oczywiście między obydwojma zespołami powinna cały czas trwać wymiana informacji. W tym celu proponowałbym, abyśmy na koniec każdego dnia spotykali się o wyznaczonej z góry porze i rozmawiali o odkryciach i postępach.

– Badanie przypadku, diagnostyka i terapia – rzekł profesor Brandon.

– Właśnie – potwierdził profesor Paul i w tym samym momencie zapukał do drzwi.

Paul podszedł do drzwi i je otworzył. Do sali wszedł Brian Saint-Claire. Był ubrany w dżinsy, tenisówki i biały T-shirt. Potargane włosy opadały mu na czoło.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział.

– Miło, że mógł pan przyjechać, doktorze Saint-Claire – przywitał go profesor Paul. – Proszę siadać!

Brian zajął wolne krzesło obok Wayne'a Changa. Kiedy ujrzał Suzannah Shane, która patrzyła na niego zaskoczona, poczuł lekkie ułknięcie w piersi.

– Zdawało mi się, że chodzi o poważne badania – powiedział profesor Brandon, zwracając się do profesora Paula.

– Zgadza się – odparł kierownik programu lotów promu kosmicznego NASA. – Co ma pan na myśli?

– Co tu w takim razie robi zaklinacz duchów? – spytał Brandon, wskazując na Briana.

Zaskoczone spojrzenia powędrowały w kierunku Briana. Suzannah Shane wbijała wzrok w stół. Miała nadzieję, że nikt nie zauważył, jak bardzo się zaczerwieniła, kiedy do sali wszedł Brian Saint-Claire.

– Profesorze... miło pana znów widzieć. – Brian skontrolował atak Brandona. – Praktykuje pan znowu czy w dalszym ciągu zanudza pan studentów na sali wykładowej?

Obecni z zażenowaniem śledzili wymianę ciosów. Rozległy się pomruki.

– Panowie, bardzo proszę! – spróbował załagodzić sytuację profesor Paul. – Chyba potrafimy komunikować się ze sobą jak dorośli! Zajmijmy się wspólnym celem i zapomnijmy o animozjach. Przynajmniej na czas, kiedy będziemy współpracować.

– Nie wyobrażam sobie, jaki on mógłby wnieść wkład w znalezienie odpowiedzi na wymienione przez pana pytania – nie odpuszczał Brandon. – Okultyzm jest tak daleki od poważnej nauki jak Ziemia od Słońca.

– Chciałbym, żeby doktor Saint-Claire należał do naszego zespołu – oświadczył Paul. – Uważam, że przypadek, z którym mamy tu do czynienia,

jest tak niezwykły, że poruszamy się na granicy nauki i metafizyki. Poza tym doktor Saint-Claire spotkał się już z podobnym zjawiskiem. Zależałoby mi na tym, aby z nami pracował. Czy to dla pana jakiś problem?

Brandon uniósł ugodowo ręce.

– Niech będzie, dopóki nie zacznie wyciągać krucyfiksów i wieszać war-koczy czosnku... w porządku.

Brian miał na końcu języka ostrą odpowiedź, ale się powstrzymał.

– Kierownikiem technicznym programu promu kosmicznego jest doktor Lisa White Eagle i proponuję, żeby ona państwa wprowadziła w zagadnienie – zaniknął dyskusję profesor Paul i przekazał głos koleżance.

16.

Tallahassee, Floryda

Podczas gdy huragan Dave pokonał Basen Środkowopacyficzny i stracił energię na północ od Wysp Karolińskich, w zimnych wypustkach niżu aleucyjskiego, to Cezar – będący czymś na kształt jego lustrzanego odbicia – zamienił tereny na południowy wschód od Tallahassee w pole bitwy. Szalał tam przez trzy godziny i niemal całkowicie zmiotł południowe przedmieścia z powierzchni ziemi, po czym skręcił na północ. Dla całego południa Georgii ogłoszono najwyższy stopień zagrożenia huraganowego. Ludzie masowo uciekali w głąb lądu. Los mieszkańców Tallahassee przekonał ich, czym grozi pozostanie w domach.

Jak na razie Cezar zabił tysiąc osób, ranił przynajmniej dwa razy tyle, a nie mniej jak tysiąc osób było uważanych za zaginione. Wszędzie skierowano do pomocy mieszkańcom straż pożarną, policję i wojsko. Do Tallahassee przyleciał gubernator Georgii, do strefy kryzysu zmierzał prezydent Stanów Zjednoczonych, który już zapowiedział udzielenie poszkodowanym pomocy.

Pracownicy Krajowego Centrum Huraganów siedzieli jak skamieniali przed monitorami i śledzili obrazy z satelity przekazywane im za pośrednictwem Internetu. Cezar stracił jedynie niewielki ułamek swej niszczycielskiej siły – w dalszym ciągu przesunął się z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Dotarł już do granicy Georgii i kierował się na miasto Cairo. Mieszkańcy mieli więcej czasu niż mieszkańcy Tallahassee, aby przenieść się w bezpieczne miejsce, ponieważ huragan znowu poruszał się po przewidywalnej trasie. Poza tym dzięki przekazowi telewizyjnemu wiedzieli, że w obliczu tak potężnej niszczycielskiej siły cyklonu byłoby szaleństwem pozostać w domu.

Meteorologowie i badacze huraganów z Krajowego Centrum Huraganów w

Miami przestali wierzyć w prawidłowość swoich obliczeń. O ile prognozy z minionych lat mniej więcej w dziewięćdziesięciu pięciu procentach zgadzały się z faktycznymi drogami, jakimi poruszały się potem huragany, o tyle już teraz było jasne, że te przedwczesne, wiosenne huragany były bardziej kapryśne, niebezpieczne i śmiertelne od wszystkich huraganów minionych dwudziestu lat.

Nie tylko meteorologowie amerykańscy stracili wiarę w swoje umiejętności. Na całym świecie pogoda oszalała. Niecałe sześć tysięcy kilometrów na północ od Tallahassee, nad Ziemią Baffina szalał orkan i w lodowatych wodach Cieśniny Lancastera skrajnie zagrożonych było wiele statków – w tym szwedzki tankowiec o pojemności pięciu tysięcy ton brutto. Podczas gdy niezliczone pary oczu śledziły w Miami marszrutę Cezara, w Zatoce Meksykańskiej, na zachód od Antyli, zbierała się kolejna groźna i niosąca śmierć armada chmur.

Socorro, Nowy Meksyk

– Allan McNish – mruknął Dwain Hamilton, obracając w palcach plastikową kartę. – Przynajmniej mamy nazwisko. To więcej, niż dowiedział się stary Howard.

– I jak chcesz mu to powiedzieć? – spytał zastępca szeryfa Lazard. – Będzie chciał wiedzieć, skąd masz kartę.

– Dałem Jackowi słowo. Jego historia jest prawdziwa, wierzę mu. Howard może stanąć na głowie i zacząć kiwać tyłkiem, a ode mnie i tak niczego się nie dowie.

– Zrobi wszystko, żeby cię wywalono – powiedział Lazard. – Kiedy przypomnę sobie, jak ostatnio wyprysnął z naszego biura, jestem pewien, że poruży niebo i ziemię, aby wyszarpać od ciebie informacje. Na dodatek pošlesz na bezrobocie siostrzeńca.

– Jestem szeryfem hrabstwa – odparł Dwain Hamilton. – Wybrało mnie ponad sześćdziesiąt procent wyborców.

– Ma to gdzieś. Wsadi cię do aresztu, każe zeznawać i stracisz robotę.

Dwain rzucił zastępcy plastikową kartę.

– Może wcale nie musi się o tym dowiadywać... Jak sądzisz, skąd jest ta karta?

Lazard zaczął się uważnie przyglądać prostokątowi plastiku.

– Nie ma paska magnetycznego. To zwykła plakietka z nazwiskiem. Używa

się takich wszędzie. W szpitalach, w fabrykach, w biurach, nawet każda sprzątaczką w małej gastronomii ma coś takiego na piersi. Sprawdziłeś nazwisko?

– Wiesz, jak nienawidzę tych terkoczących pudeł. Poza tym oficjalnie nic nie mogę w tej sprawie robić. Pomyślałem sobie poza tym, że może zajmie się tym mój zastępca... – Dwain chytrze się uśmiechnął.

Lazard szybko się zastanowił.

– Musiałbym pojechać do Los Angeles. Nasz komputer jest za słaby, żeby przeprowadzić poszukiwania zaginionej osoby. Może musiałbym nawet nocować...

– Dwa, góra trzy dni i dwieście na wydatki – odparł bez wahania Hamilton.

Lazard podał mu rękę.

– Załatwione! – Kiedy uśmiechnął się radośnie, dało się zauważyć, że z boku brakuje mu zęba.

– Mam nadzieję, że uda ci się czegoś konkretnego dowiedzieć – mruknął pod nosem Dwain Hamilton.

Lazard wstał.

– Niczego nie mogę obiecać.

Dwain skinął głową. Mcnish to popularne nazwisko. W Stanach Zjednoczonych musiały być setki ludzi o tym nazwisku. A jeżeli zmarły nie pochodził ze Stanów tylko z Europy. Był turystą z Irlandii, Anglii albo Szkocji? Nieważne, nie mieli innej możliwości. Szeryf już wiedział, że żaden Allan Mcnish nie jest poszukiwany ani nie zaginął – sprawdziła to Donna – ale przez policyjny komputer w ich biurze więcej nie można się było dowiedzieć. Dostęp do dużych baz danych był zastrzeżony dla dużych wydziałów policji. Nie mógł przecież prosić o pomoc Howarda...

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Sprawozdanie Lisy White Eagles zawierało mnóstwo znaków zapytania. Atmosferę niejasności nasilały robiące wstrząsające wrażenie zdjęcia uszkodzonego promu oraz dramatyczne nagrania rozmowy między Discovery a naziemną kontrolą lotów w Houston. W ciągu ostatnich trzech godzin naukowcy zostali zasypani informacjami, więc przerwę przyjęto z wdzięcznością.

– Spotkamy się w tej sali za pół godziny – powiedział profesor Paul, przerywając wykład Lisy. – Zaczerpnijcie państwo nieco świeżego powietrza. Możecie się swobodnie poruszać po terenie, proszę się jednak nie zgubić.

Suzannah Shane przeszła długim korytarzem i wyszła na balkon. Naprawdę potrzebowała świeżego powietrza, gdyż w nocy bardzo źle spała. Męczył ją stary sen, który powrócił po raz pierwszy od kilku lat: stała na dużej łące otoczona dzikimi zwierzętami – zdziczałymi psami, wilkami, lwami. Stworzenia groźnie pilnowały ofiary. Suzannah ruszała biegiem przed siebie. Chciała przebiec przez łąkę i schować się w lasku po drugiej stronie. Z początku miała wrażenie, że nie może ruszyć z miejsca, ale potem okazywało się, że otoczenie śmiga obok niej z wielką prędkością. Zanim udało jej się dobiec do lasu, wpadła w czarną przepaść, która ją połykała. Obudziła się w tym momencie zrana potem i przez godzinę leżała z otwartymi oczami w łóżku. Sen przyszedł do niej przed północą i Suzannah zadawała sobie pytanie, dlaczego powrócił akurat tej nocy. Musiało to być ostrzeżenie. Dokładnie wiedziała, co sen oznacza i co poradziłby Zygmunt Freud. W końcu sny stanowiły ważną treść jej życia. W laboratorium codziennie zajmowała się snami – choć nie swoimi, lecz innych ludzi.

– Cieszę się, że znów cię widzę – wyrwał ją z zadumy łagodny głos.

Odwróciła się przestraszona. Stał przed nią Brian Saint-Claire. Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Uśmiechnąć się, zapłakać czy uciec? Wzięła się w garść i spróbowała przybrać obojętną minę, co jednak zupełnie jej się nie udało.

– Zostawić cię samą?

Suzannah pokręciła głową.

– To już tyle lat... – powiedziała łamiącym się głosem.

– Pięć – odparł Brian i stanął obok przy balustradzie.

Pięć lat i trzy miesiące, pomyślała Suzannah, ale nic nie powiedziała. Targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony nienawidziła stojącego obok mężczyzny, z drugiej – w dalszym ciągu go kochała. Trudno jej było udawać obojętność.

Brian zapalił papierosa i wydmuchnął dym w bok.

– Wcale się nie zmieniłaś. Lata przeszły obok ciebie bez śladu. Słyszałem, że lada chwila masz dostać profesurę.

– A ty ciągle w pogoni za nadprzyrodzonym? – Jak to dobrze, że rany duszy są niewidoczne – pomyślała.

Brian uśmiechnął się i skinął głową.

– Właśnie rzuciłem profesję dziennikarza.

Suzannah popatrzyła na niego pytająco.

– Żeby – tak jak dawniej – porobić przez jakiś czas coś innego? Nie siedzieć za długo w jednym miejscu, nie zapuścić korzeni?

Brian bez trudu wychwytywał negatywny podtekst. Suzannah jednoznacznie robiła aluzje do ich nieudanego związku. Zaciągnął się.

– Dawniej... – powiedział i tym razem to jemu zadrżał głos.

Rozległy się kroki i Brian się obejrzał. Na balkon wyszedł Wayne Chang. Miał w ręku telefon komórkowy.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Muszę porozmawiać z moim biurem.

Brian pokręcił głową i odwrócił się ponownie w kierunku Suzannah.

– Chyba powinniśmy już wracać. Byłoby miło, gdybyś dotrzymała mi towarzystwa przy obiedzie. Moglibyśmy wtedy o wszystkim porozmawiać.

– Porozmawiać? O czym?

Tym razem w głosie Suzannah pojawił się ostry ton. Brian poczuł, jakby wokół piersi zacisnęła mu się metalowa obręcz.

– Oczywiście o sprawie, z którą mamy do czynienia – odparł jak skarcony, po czym odwrócił się i wrócił do środka.

Suzannah jeszcze przez chwilę stała na balkonie. Nie chciała, aby ktoś zobaczył jej łzy, zwłaszcza Brian Saint-Claire.

Po tym jak naukowcy ponownie zebrali się w sali konferencyjnej, profesor Paul udzielił głosu medycznemu dyrektorowi szpitala, doktorowi Eugene'owi Brownowi. Nie używając nadmiaru słów, Brown wyjaśnił stan obu astronautów znajdujących się w jego małym szpitaliku. Potem poprosił obecnych, aby udali się za nim.

Szpital znajdował się tuż obok budynku administracyjnego i po dziesięciu minutach grupa dotarła na miejsce. Stanęli przed salą, do której można było zajrzeć przez wielkie, grube szyby. Na łóżku leżał bez ruchu mężczyzna. Tułów i kończyny miał przypięte szerokimi pasami, głowę zabezpieczoną skórzanym kaskiem. Na półeczce na ścianie korytarza leżałateczka choroby. Na okładce dużymi czerwonymi literami napisano: HELMUT ZIEGLER.

– Ostre lub latentne zagrożenie dla siebie samego – wywnioskował Brandon. – Próbował popełnić samobójstwo?

Doktor Brown pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby był do tego zdolny. Nie sądzę nawet, żeby obecnie był zdolny do jakiegokolwiek skoordynowanego i samodzielnego działania.

Wczoraj odstawiliśmy wszystkie leki, żeby mógł pan sam ocenić jego reakcje. Proszę popatrzeć...

Doktor Brown skinął głową dwóm ubranym na biało pielęgniarkom, którzy na dany znak weszli do sali chorego i bez słowa odpięli pasy. Ledwie Ziegler odzyskał zdolność poruszania się, zeskoczył z łóżka, podbiegł do kąta, skulił się w nim i obronnym gestem zastronił głowę rękami. Miał przerażoną minę. Oczy wychodziły mu z orbit i drżał na całym ciele. Patrzył apatycznie w przestrzeń.

– Dokładnie tak samo reagował, kiedy obudził się ze śpiączki – powiedział Brown. – Jeżeli może się swobodnie poruszać, a działanie leków uspokajających słabnie, natychmiast chowa się w najciemniejszym kącie pokoju. Może tak trwać godzinami.

– Była mowa o tym, że opowiada o jakimś śnie – wtrąciła się Suzannah Shane.

Brown skinął głową.

– Kiedy się obudzi, nic nie mówi, ale opowiada ten sen podczas fazy REM. Nie mamrocze jednak w nieświadomy sposób, lecz wypowiada się wyraźnie i zrozumiale. Mam wrażenie, jakby zdawał sprawozdanie z czegoś, co właśnie obserwuje. Z Sandersem jest tak samo – nawet treść tego, co opowiada, jest taka sama. Za każdym razem, kiedy obaj nieświadomie przedstawiają swoje marzenia senne, dostają gęsiej skórki.

– Opowiada w pierwszej osobie liczby pojedynczej czy jako obserwator wydarzeń? – spytał Brian.

– Mamy wszystko nagrane. Także pierwsze wyniki EEF i EOG są niezwykle. Fazy REM i nie-REM praktycznie się odwróciły. Jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Doprawdy niezwykły przypadek – powiedział profesor Buchhorn z uniwersytetu w Bazylei, który także prowadził klinikę rehabilitacyjną. – To, co pan mówi, brzmi naprawdę nieprawdopodobnie.

– Nieprawdopodobnie i historia medycyny nie zna czegoś takiego – dodał profesor Brandon. – Kiedy możemy zacząć badania?

Brown rzucił pytające spojrzenie profesorowi Paulowi. Paul popatrzył na zegarek.

– Zaraz prześlemy państwu wszystkie wyniki badań. Szpital należy do państwa. Gdybyście potrzebowali jakichś specjalnych urządzeń albo instrumentów, proszę dać mi znać. Mamy przed sobą zagadkę i dopóki nie wykluczymy

nieznanego rodzaju choroby kosmicznej, nie będzie kolejnych startów promu kosmicznego. Mam nadzieję i modłę się w imieniu moich ludzi, że uda się państwu całkowicie ich wyleczyć.

– Nie możemy niczego obiecywać, ale zrobimy na pewno wszystko, co w naszej mocy – powiedziała Suzannah Shane, która cały czas wpatrywała się w przerażonego astronautę.

Socorro, Nowy Meksyk

Zajęty do ostatniego miejsca żółty szkolny autobus jechał z umiarkowaną prędkością California Street. Na chodniku stało czterdzieścioro uczniów szkoły podstawowej Parkview w wieku od ośmiu do dziesięciu lat, którzy po siedmiu godzinach nauki cieszyli się, że mogą wrócić do domu. Jak każdego dnia, autobus zatrzymał się na przystanku przy Faulkner Street, a następnie pojechał na południe. Kierowca, Francis Garcia, był bardzo lubiany przez dzieci. Co rano woził je do szkoły, a po południu odwoził do domu. Dobiegający sześćdziesiątki, siwy jak gołąb mężczyzna w okularach w złotych oprawkach, przypominał nieco miłego „dziadka Boba” z lubianego serialu dla dzieci *Jimmy Hurst*.

„Dziadek” – tak właśnie nazywały go dzieci i mało kto wiedział, jak kierowca naprawdę się nazywa.

W drodze do następnego przystanku Francis nieco mocniej nacisnął na pedał gazu. Właśnie minęła czwarta i trochę się spieszył. Przed nim głośno zawył silnik nadjeżdżającego z naprzeciwka srebrnego cadillaca. Srebrny samochód z żółtymi tablicami rejestracyjnymi, który przed chwilą skręcił z Texas Avenue, mknął jak strzała. Francis wyczuł niebezpieczeństwo, ponieważ samochód jechał wężykiem i cały czas skręcał na jego pas. Francis ścisnął mocniej kierownicę i odbił w prawo, kiedy jednak dotarło do niego, że nie ma gdzie uciec, z całej siły wcisnął hamulec. Zaklął głośno w tym momencie nastąpiło zderzenie. Dzieci wrzasnęły i autobus zadygotał. Przechylił się groźnie na prawy bok. Zazgrzytał metal, trzasnęło pękające szkło i głośno zapiszczały opony. W końcu autobus przewrócił się na bok i znieruchomiał. Francis Garcia nic z tego nie zauważył. Pogrążył się w ciemnościach już w chwili, gdy srebrny cadillac uderzył czołowo w autobus.

17.

Socorro, Nowy Meksyk

Szeryf Dwain Hamilton siedział za biurkiem i telefonował. Cały czas myślał o Allanie McNishu. Obdzwonił już wszystkie okoliczne szpitale i ośrodki psychiatryczne, nigdzie jednak nie brakowało ani jednego pacjenta i nikt nie słyszał tego nazwiska. Teraz pozostawała tylko nadzieja, że Lazard dowie się czegoś o tajemniczym zmarłym z komputerów wydziału policji Los Angeles.

Kiedy w głównym pomieszczeniu rozległy się odgłosy nerwowej krzătani-ny, nadstawił uszu. Zaraz potem zapukano do jego drzwi. Na ulicy zawyła syrena radiowozu, zanim szeryf zdążył spytać, co się dzieje, gwałtownie otwarły się drzwi do jego gabinetu.

Donna wsadziła głowę do pokoju.

– Szeryfie, musisz natychmiast ruszać – powiedziała zdyszana. – Był straszny wypadek. Na California Street samochód wjechał w autobus szkolny. Są ranni, może nawet ktoś zginął. Było tam mnóstwo dzieci!

– Kto jest na miejscu wypadku?

– Sarah i Tom. Posłałam jeszcze Petera i Johna. Szpital już jest zawiadomiony, wezwałam też kilka karettek i straź pożarną.

– Dobra robota, Donno. Już jadę.

Nie minęła minuta, a szeryf Hamilton siedział w swoim mavericku i jechał na sygnale Center Street.

Na rogu Church Street zaczynał się korek. Dwain Hamilton musiał go objechać przez Fisher Avenue. Na miejscu wypadku wysiadł z zatroskaną miną – to, co ujrzał, sprawiło, że ścięła mu się krew w żyłach.

Autobus szkolny leżał na boku, na chodniku między sklepem Mary Sue Ellen a Mercy's Tank and Drive. Dookoła biegali strażacy, kilku pracowało nad wrakiem, używając ciężkiego sprzętu. Próbował wyciąć dziury w dachu, aby

wyciągnąć uwięzione dzieci.

Dwóch lekarzy zajmowało się zalanymi krwią, krzyczącymi i płaczącymi dziećmi, które leżały na skraju ulicy na noszach. Ratownicy udzielali pierwszej pomocy i próbowali uspokoić zdenerwowanych małych pacjentów. Karetki nieustannie odwoziły kolejne ofiary do szpitala. Kiedy szeryf popatrzył na nosze przykryte czarną płachtą, poczuł w ustach gorycz, której nie usunęło nawet kilkakrotne przełknięcie śliny.

W odległości kilku metrów od autobusu stał w poprzek jezdni srebrny samochód osobowy. Dwain nie rozpoznał od razu marki, bo wyglądał jak zgnieciona i poobijana blaszana puszka. Jego uwagę zwróciła za to żółta tablica rejestracyjna. Samochód nie był stąd.

– Cześć, szefie! – powitał swojego przełożonego zastępcę szeryfa Tom Winterstein. – Niezły tu syf...

– Ktoś zginął?

Tom Winterstein skinął głową.

– Kierowca autobusu. Poza tym mamy siedmioro ciężko rannych dzieci, kilkoro lżej rannych z ranami ciętymi i złamaniami, ciężko ranny jest też kierowca, który wjechał w autobus. W autobusie leżą jeszcze trzy dziewczynki. Straż pożarna wycina dziurę w dachu, aby się do nich dostać.

– Jak do tego doszło?

– Cadillac wpadł w poślizg i zjechał ze swojego pasa. Louis ze stacji benzynowej wszystko dokładnie widział. Jego zdaniem cadillac jechał przynajmniej dziewięćdziesiąt na godzinę, najpierw wężykiem, a potem całkowicie pod prąd. Kierowca autobusu nie miał najmniejszej szansy uciec.

– Kim jest kierowca cadillaca?

Tom Winterstein zajrzał do notesu.

– Nazywa się Bruce Allistar, ma sześćdziesiąt lat i mieszka w Magdalenie. Podobno jest lekarzem i pracuje dla piechoty morskiej w ośrodku szkoleniowym imienia generała Willstona. Samochód ma rejestrację dowództwa marynarki wojennej w Waszyngtonie.

– Lekarz?

– Jeśli to jest samochód służbowy marynarki, to Allistar nie jest zwykłym lekarzem, a grubą rybą. Nawet mój dawny pułkownik nie miał takiego wozu. Nie stać go było na więcej niż buicka.

Dwain Hamilton skinął głową.

– Gdzie on jest?

– Zawieziono go do szpitala. Właśnie chciałem to sprawdzić, gdy się zjawiłeś.

– Jeżeli to prawda, co widział Louis, to doktorek może być pijany. Pojadę do szpitala, ty działaj dalej. Kiedy za dwie godziny zamkną fabryki, będziemy mieli korek do Albuquerque.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Profesorowie Thomas Brandon i Robert Buchhorn oraz doktorzy Suzannah Shane i Brian Saint-Claire, którzy tworzyli drugą grupę badawczą, siedzieli w przydzielonej im sali konferencyjnej w szpitalu centrum i czytali dotychczasowe raporty na temat obu chorych astronautów. Brian nie bardzo widział w tym sens i zaproponował, aby natychmiast zaczęli własne badania, ale profesor Brandon zbył to machnięciem ręki.

– Będziemy mieli na to dość czasu. Moim zdaniem, aby dokonać wstępnej oceny, powinniśmy zapoznać się ze stanem dokumentacji – oświadczył i wrócił do studiowania materiałów.

Brian nakazał sobie spokój i postawę wyczekującą, milczał więc i też zajął się niezliczonymi protokołami, tabelami z danymi i rysunkami. Kiedy czytał transkrypt rozmów, jakie pilot Discovery prowadził z kontrolą naziemną, zmarszczył czoło.

Discovery/Gibson: Co się działo? Ta cholerna burza była bliżej, niż sądziliście. Przetrzepało nas jak diabli. Prawie runęliśmy. Moim zdaniem w chmurach coś było...

Kontrola naziemna: Co to znaczy? Jak się czujecie?

– „Moim zdaniem w chmurach coś było...” – zacytował Brian z protokołu.

– Co mówisz? – spytała Suzannah.

– Tak napisano w protokole z nadzoru radiowego między promem a kontrolą naziemną – wyjaśnił Brian. – W czasie podchodzenia do lądowania Ziegler i Sanders spali. Nie spał tylko Gibson, pilot. Tylko on nie cierpi na żadne tajemnicze objawy.

– Aha, nasz łowca duchów złapał trop! – zażartował Brandon. – Jeżeli obaj spali, to nic nie zauważyli z rozgrywającego się podczas lądowania Discovery dramatu.

– To się pan myli – wtrącił się Robert Buchhorn. – W trakcie projektu badawczego, jaki prowadziliśmy kilka lat temu na uniwersytecie w Bazylei, stwierdziliśmy w fazach nie-REM wyraźną reakcję mózgu na zewnętrzne

czynniki wywołujące stres. Błędem jest twierdzenie, że śpiący człowiek nie postrzega otoczenia. Ciało przechodzi podczas snu w stan spokoju, ale mózg jest czasami bardzo wrażliwy na bodźce z zewnątrz.

Brandon milczał.

– Tutaj uwagę zwracają skrajne reakcje paniki i nasilone objawy postresowe, które mogły w znacznym stopniu wpłynąć na układ sercowo-naczyniowy. Połączone z odwracalnością faz REM i nie-REM oraz, jak nam pokazują wyniki obrazowania rezonansem magnetycznym, duża aktywność układu limbicznego oraz ciała migdałowatego – streściła Suzannah dotychczasowe wyniki badań działu medycznego Centrum Lotów Kosmicznych. – Obaj mężczyźni odczuwają śmiertelny lęk, wywołany przez nieznane czynniki. Albo musieli coś przeżyć, albo w jakiś sposób coś wchłonęli. Może przez sen. To swego rodzaju zdublowane lęki nocne, bo obaj niezależnie od siebie opowiadają przez sen to, co postrzegają. Jest to bardzo niezwykle i jeszcze nikt o czym takim nie donosił. Nie możemy jednak nie dostrzegać zmierzonych obiektywnie danych.

– Całkowicie się z panią zgadzam, koleżanko – oświadczył Buchhorn. – Sensoryczne pobudzenie, podejrzywam, burza, niebezpieczeństwo na pokładzie promu i groźba katastrofy doprowadziły w fazie nie-REM snu do powstania bazowego symbolu późniejszego tworu sennego. Teraz w głowach tych nie szczęśliwów katastrofa powtarza się dzień w dzień, godzina za godziną.

– A z powodu późniejszych wydarzeń, może uderzenia pioruna, ten sen o własnej śmierci manifestuje się w pętli bez końca – postawiła kolejną hipotezę Suzannah.

– Ciekawa teoria – uznał Brandon. – Może powinniśmy myśleć dalej w tym kierunku. Zaburzenie posttraumatyczne, które zmieniło się w coś jakby psychozę. A więc działanie, które nigdy nie miało miejsca i nigdy go mieć nie będzie, ponieważ prom bezpiecznie wylądował, więzi ich w iluzji śmierci wywołującej paniczny lęk. Jak, droga Suzannah, powinna pani zdaniem wyglądać ewentualna terapia?

– Spróbujmy konfrontacji.

– Konfrontacji?

– Odegramy lądowanie promu. Wsadzimy ich w skafandry kosmiczne i jeszcze raz zagramy to, co się działo podczas burzy. Tyle że tym razem z pozytywnym zakończeniem. Wylądują i zostaną wyprowadzeni z promu. W ten sposób damy im nową rzeczywistość. Może dzięki temu uda się przerwać blokadę w mózgu?

– Ma pani doświadczenie z tego rodzaju eksperymentami? – spytał Buchhorn.

– Od roku zajmuję się nowatorską metodą konfrontacyjną z wykorzystaniem hipnozy, którą może uda się zastosować do leczenia ciężkich zaburzeń snu – odparła Suzannah. – Nasze wyniki są bardzo obiecujące. Odsetek pozytywnych efektów oscyluje w okolicy pięćdziesięciu siedmiu procent.

– A więc to sprawiało, że trzymała się pani z dala od naszego kampusu – zażartował Brandon. – A już sądziłem, że przestało pani smakować jedzenie z naszej stołówki. Do rzeczy jednak. Z tego, co pani mówi, wynika, że ta metoda jest jak najbardziej praktyczna. Po prostu wystarczy wymienić w czyjejś głowie film, który tam jest odgrywany... i z dramatu robi się komedia, a pacjent jest zdrowy!

– Niestety, to nie takie proste – odparła Suzannah. – Mózgu nie da się tak łatwo przechytrzyć. Jak wszyscy wiemy, ciało migdałowe z udziałem kory przedczołowej i hipokampa porównuje docierający do mózgu schemat bodźców określonej sytuacji z wrodzonymi cechami kluczowymi i zgromadzonymi w trakcie życia doświadczeniami. Musimy więc nie tylko sprawić, aby nowa, pozytywna wersja nadpisała się nad starą, wywołującą lęk, ale także została pozytywnie zweryfikowana przez inne części mózgu.

– I jak tego dokonamy? – spytał Brandon.

– Używamy równolegle dwóch metod. Wprowadzamy pacjenta w stan hipnozy i używamy medykamentów rozszerzających świadomość.

– Pentotalu sodu?

Suzannah skinęła głową.

– Co sądzi o tym nasz specjalista od ezoteryki? – spytał drwiąco Brandon.

Podczas dyskusji Brian milczał i wczytywał się w kolejne sprawozdania. Wstrząsnęły nim zwłaszcza transkrypty tego, co astronauta mówili przez sen. Nie było najmniejszej wątpliwości, że obaj mówią o nadciągającej katastrofie. W swoich wizjach widzieli szalejące na ziemi huragany, których ofiarami padały rzesze ludzi. A przecież w wiadomościach podawano, że tropikalny cyklon, który poprzedniego dnia zaatakował Tallahassee na Florydzie, zabił przynajmniej tysiąc osób! Drugi tysiąc zaginął. To przypadek? Brian przypominał sobie słowa ojca Francesca o przedziwnych wizjach kościelnego.

– Chciałbym najpierw porozmawiać z pilotem – odparł, nie odnosząc się do prowokacyjnej zaczepki Thomasa Brandona. Zdawał sobie sprawę, że nadają na różnych falach. Poza tym to właśnie Brandonowi, który był wtedy

kierownikiem wydziału psychologii na Uniwersytecie Bradleya w Chicago, Brian zawdzięczał utratę stanowiska docenta. Brandon zrobił na niego nagonkę, twierdząc, że nie rozdziela wyraźnie klasycznej psychologii akademickiej od badania zjawisk parapsychologicznych.

„Dla wykładowcy, który nie umie odróżnić nauki od hysterii i przesądu, nie ma miejsca w szacownym towarzystwie poważnych psychologów” – oświadczył wtedy Brandon. Od tamtego czasu minęło prawie sześć lat i Brian nie miał już żalu do Brandona. Wręcz przeciwnie, wysokiemu i kanciastemu mężczyźnie w garniturze, który wydawał się za duży o jeden numer, powinien nawet być wdzięczny. Sprawił on, że Brianowi oszczędzone zostało życie w nudzie i monotonii.

KSIĘGA DRUGA

Głębia
Początek lata 2004

1.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Profesor Wayne Chang patrzył z przerażeniem na zniszczony prom kosmiczny, czekający na zbadanie w gigantycznym hangarze. Musiał lecieć przez niezwykle gwałtowny lodowy deszcz z bryłami lodu wielkości pięści. Nos promu był wgnieciony, płytki osłony termicznej popękały i poodrywały się całymi szeregami. Dziury w kadłubie wyglądały jak otwory po ostrzeleniu z działka dużego kalibru. W spodniej części kadłuba, na wysokości dziobowego koła, ziała wielka dziura. Także wokół niej brakowało dużych połączeń osłony termicznej. Brakowało jej również na krawędziach skrzydeł. Kolejna dziura w warstwie izolacyjnej znajdowała się nad prawym skrzydłem. Białe kafelki miały na ostrych krawędziach pełno czarnych oleistych smug.

Technicy NASA w białych kombinezonach z wielką ostrożnością demontowali dział silników. Mechanicy w granatowych kombinezonach z napisem na plecach ROCKWELL INTERNATIONAL pracowali nad konstrukcją nośną. Wszędzie panowała atmosfera gorączkowej pracy. Kawałek po kawałku, element po elemencie, wyjmowano z Discovery układy wewnętrzne, opisywano je i przekazywano inżynierom oraz technikom w głębi hali.

– Wygląda, jakby nadawał się już tylko na złom – rzekł Wayne Chang do doktor White Eagle.

– Wszystko naprawimy – odparła White Eagle. – O ból głowy przyprawia mnie jednak błąd systemowy. Byłoby dobrze, gdyby pan zdecydowanie stwierdził, że chaos został spowodowany przez błyskawicę. Zaoszczędziłoby to nam mnóstwo czasu.

– Niestety, nie mogę tego zrobić. – Muszę więcej wiedzieć o sposobie

działania zegara cezowego. Jedno wiem jednak już teraz: zewnętrzne uszkodzenia mogą być spowodowane uderzeniami brył lodu i nie byłby to pierwszy raz, kiedy błyskawica płaska, rozprzestrzeniająca się wewnątrz chmury, wniknęła w przelatujący przez tę chmurę obiekt latający. Zwłaszcza jeśli obiekt latający odniósł takie uszkodzenia jak ten. Zjawiska takie są co prawda bardzo rzadkie, ale się zdarzają.

Profesor Haarmann podszedł do nich niezauważony.

– Działanie zegara cezowego można stosunkowo łatwo wyjaśnić – powiedział. – Strumień atomów cezu przechodzi przez magnes, który pełni funkcję polaryzatora i kieruje atomy w pożądanym kierunku. Strumień wyselekcjonowanych według stanu atomów o określonym stanie energetycznym wpada do rezonatora mikrofalowego, gdzie atomy zostają napromieniowane mikrofalami i w wyniku rezonansu przechodzą w inny stan energetyczny. Magnes analizujący kieruje atomy na gorący drut i atomy cezu zamieniają się w jony dodatnie, które są rozdzielane przez magnetyczny filtr masowy na pierwszą dynodę powielacza elektronów wtórnych.

Powstaje atomowy sygnał rezonansowy o paśmie od pięćdziesięciu do pięćuset herców, co jest wyznaczane przez czas przelotu atomów wzdłuż długości rezonatora. Cez tak dobrze nadaje się do zegarów atomowych, ponieważ w naturze istnieje tylko jeden jego trwały izotop, a skuteczny strumień jonów powstaje już przy temperaturze stu stopni. Dzięki temu efektywność jonizacyjna detektora wynosi sto procent.

Wayne Chang starał się zachować obojętną minę.

– No to wszystko jasne – powiedział. – Krótko mówiąc, czynnik czasu jest określany jak gdyby poprzez czas rozpadu cezu.

Profesor Haarmann się uśmiechnął.

– To bardzo laicka wersja, ale trafia w sedno. Wytwarzana częstotliwość oddziałuje na modulator, który przekazuje sygnał do oscylatora kwarcowego. Zegar działa z dokładnością do nanosekundy i w ciągu stu tysięcy lat ma odchylenie nieprzekraczające sekundy.

– Tutaj odchylenie wynosi sześćset sześćdziesiąt siedem tysięcznych sekundy, w ciągu niecałej godziny – powiedziała doktor Lisa White Eagle. – W porównaniu ze średnimi wartościami to wieczność.

– A mimo wszystko teoretycznie możliwe – rzekł profesor Haarmann. – Odchylenie nie musi być spowodowane przez właściwą jednostkę pomiarową. Możemy mieć do czynienia z odchyleniem sygnału przenoszącego albo awarią

oscylatora kwarcowego, do którego doszło podczas burzy...

– ...spowodowanego uderzeniem błyskawicy – dokończyła Lisa White Eagle.

– Albo astronauta na pokładzie Discovery nieco wyprzedził czas – wtrącił żartobliwie Wayne Chang.

Wzdrygnął się, gdyż w kieszonce koszuli w biało-niebieskie paski, którą tego dnia włożył, zadzwonił jego telefon komórkowy. Popatrzył przepraszająco na swoich rozmówców, wyjął telefon z kieszonki i spojrzął na wyświetlacz. Lekkie skinienie głowy Lisy White Eagle oznaczało przyzwolenie, żeby odebrał.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Wayne Chang, odszedł kilka kroków i odebrał. Dzwonił Cliff Sebastian ze służby meteorologicznej w Boulder. Kiedy Wayne poprzedniego wieczoru dowiedział się o huraganie i zniszczeniach w Tallahassee, bezskutecznie próbował złapać Sebastiana. Nagrał mu się na automatycznej sekretarce i poprosił o oddzwonienie.

– Cześć Cliff! Właśnie jestem na ważnym spotkaniu, więc muszę się skrać. Jak mogło dojść w Tallahassee do czegoś takiego?

– Od wczoraj wieczór przynajmniej sto razy odpowiadałem na to pytanie – rzekł zmęczony Cliff Sebastian. – Nawet z Białego Domu dzwonili.

– Przepraszam, że naciskam, ale pracujemy nad „Weatherboard” i zbieramy propozycje dotyczące zagęszczenia naszej sieci nadzoru. Może nie dostrzeżliśmy czegoś na południu?

– Nie, to nie była przyczyna. Obliczyliśmy kurs Cezara i wszystko wyglądało dobrze, aż do chwili, gdy wzdłuż zimnego frontu na północ od Perry otworzyła się nowa rynna niżowa. Dosłownie napompowała ona Cezara i skierowała go na północny wschód. Jego prędkość stale się zwiększała. Mieliśmy za mało czasu.

– Mimo to zadzwoń do Schneidera! Niech jeszcze raz przeanalizuje teren wokół zatoki Apalachee aż do Thomasville i Valdosty!

– A gdzie ty jesteś, jeśli wolno spytać?

– Nie uwierzysz. Na przylądku Canaveral, dwadzieścia metrów od Discovery.

– Żartujesz!

– Nie, ale muszę kończyć. Zadzwonię do ciebie wieczorem.

– Najlepiej po dziesiątej – zastrzegł Sebastian. – Muszę zostać dziś dłużej w pracy. Cezar nie chce nam jeszcze dać spokoju. Krąży na zachód od Thomasville

i cały rotuje z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Mam nadzieję, że wkrótce straci siłę. Nie może dojść do drugiego Tallahassee. Te orkany mogą naprawdę wystraszyć człowieka...

– *June to soon, July stand by, August look out – you must, September remember, October all over** – Cliff Sebastian zacytował stare powiedzenie poszukiwaczy huraganów, którzy jeszcze kilkadziesiąt lat temu ryzykowali życie, żeby zdobyć jak najwięcej informacji o tropikalnych cyklonach. – W tym roku zaczęło się w maju. Może musimy zacząć myśleć inaczej i na nowo zdefiniować wiele prawideł. Świat się zmienia, czas nie stoi w miejscu.

– Nie tylko świat, klimat też – mruknął Wayne. – Ale nie tylko korzystnie dla ludzkości. Obawiam się, że danina krwi okaże się jeszcze wyższa.

* W wolnym tłumaczeniu: Czerwiec – za wcześnie, lipiec – bądź gotów, sierpień – musisz się rozglądać, wrzesień – pamiętaj, październik – po wszystkim.

Socorro, Nowy Meksyk

Kilkaset kilometrów dalej mniej więcej o tej samej godzinie zdenerwowany szeryf Dwain Hamilton huknął słuchawką o widełki i głośno klnąc, walnął pięścią w biurko. Też śledził w telewizji obraz nędzy i rozpacz, jaki powstał w Tallahassee po przejściu Cezara, i współczuł ofiarom oraz ich rodzinom, ale miał na głowie inny problem. Właśnie skończył dwunastą rozmowę telefoniczną, ale ani w wojskach lądowych, ani w marynarce wojennej nikt nie słyszał o doktorze Brusie Allistarze – lekarzu wojskowym, który spowodował poważny wypadek ze szkolnym autobusem. Tajemniczości sprawie dodawał fakt, że zanim szeryf zdążył z nim porozmawiać, Allistar został zabrany ze szpitala w Socorro wojskowym helikopterem.

Należało się obawiać, że „Dziadek” nie będzie jedyną śmiertelną ofiarą wypadku – ze śmiercią walczyła dziesięcioletnia dziewczynka, a sprawca zniknął bez śladu. Dwain miał ochotę zadzwonić do wuja senatora i poprosić go o pomoc w sprawie. Może telefon od wysoko postawionego polityka sprawiłby, że zadufani w sobie urzędnicy w gabinetach administracji wojskowej staliby się wrażliwsi na pytania. Szeryf obdzwonił wszelkie możliwe dowództwa, ale nikt nie mógł albo nie chciał mu pomóc. Postanowił, że odnajdzie Allistara, nawet gdyby miał się przebić do biura dowódcy marynarki wojennej. Allistar nie uniknie sprawiedliwej kary.

Szeryf zawiadomił też prokuratora okręgowego i sędziego śledczego hrabstwa

Socorro i poprosił obu, aby wywarli presję na wojsko. Także i oni nie mieli dla niego dobrych wieści.

Dwain wpatrywał się w leżącą przed nim książkę telefoniczną. Właśnie chciał po nią sięgnąć, kiedy zapukano do drzwi.

– Wejść!

W otwartych drzwiach pojawiła się Donna w towarzystwie dwóch ludzi. Byli ubrani w ciemne garnitury w prążki, ich oczy skrywały ciemne okulary przeciwsłoneczne, a bicepsy mogły robić wrażenie. Wyglądali tak, jakby większość czasu spędzali na wyciskaniu dużych ciężarów. Większy – ostrzyżony na jeża – stanął przed biurkiem, mniejszy atleta zajął miejsce nieco z boku i przyglądał się Dwainowi Hamiltonowi z ironicznym uśmieszkiem.

– Szeryfie, panowie chcieli z tobą koniecznie rozmawiać – powiedziała Donna i przesunęła się na bok.

– Witam szeryfa – zaczął wyższy. – Jestem agent Coburn z NSA, a to mój kolega Rosen. Musimy z panem porozmawiać. Chodzi o wypadek z udziałem wojskowego.

Mniejszy cały czas głupkowato szczyrzył zęby, jakby zamarzyły mu policzki. Dwain Hamilton zapraszającym gestem wskazał krzesło przed swoim biurkiem. Dał Donnie znak i sekretarka zniknęła. Coburg usiadł, a jego kolega stanął obok. Rozglądał się ponuro.

– Dlaczego nie weźmie pan drugiego krzesła? – spytał Hamilton. – U mnie możecie się czuć bezpiecznie. Nic wam nie zrobię. Poza tym denerwuję się, kiedy ktoś przede mną stoi.

Uśmieszek zniknął z twarzy Rosena. Coburn skinął mu lekko głową i niższy agent wziął krzesło.

– Co sprowadza dwóch wyrośniętych agentów Agencji Bezpieczeństwa Narodowego na prowincję?

– Niestety, pewna bardzo delikatna sprawa – odparł Coburn i przyjrzał się angielskiej fladze, która wraz z flagą hrabstwa Socorro zdołała ścianać za plecami szeryfa Hamiltona. – Jestem pewien, że szybko dojdziemy do porozumienia. W końcu jesteśmy, patriotami.

Dwain podążył za wzrokiem Coburna i odwrócił się na sekundę.

– Ooo... zostawił ją mój poprzednik. Moja flaga wisi tam. – Wskazał na przeciwległą ścianę, na której wisiał proporczyk drużyny Los Angeles Lakers. – A więc mówi pan, że chodzi o wypadek?

Coburn odchrząknął.

– Odholował pan i zabezpieczył samochód doktora Allistara. Przyjechaliśmy zorganizować przekazanie.

Dwain się wyprostował.

– Nic z tego!

Coburn sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kopertę. Podał ją szeryfowi. Dwain Hamilton przeczytał znajdujący się w środku dokument i rzucił go na biurko.

– Co to ma znaczyć?

– Doktor pracuje dla rządu i jest dla pana nietykalny. Samochód stanowi własność rządu. Przyjechaliśmy, żeby go zabrać.

– Zginął człowiek, dziesięcioletnie dziecko walczy ze śmiercią, a ja mam teraz powiedzieć rodzinie ofiary i dziewczynki, że sprawca jest dla policji nietykalny?

– Czytał pan pismo i wie pan, że mam daleko idące upoważnienia. Jeśli chce pan zachować pracę, najlepiej będzie, jeśli zrobi pan to, co panu mówię.

– Ciekawe, ale niedawno słyszałem już coś podobnego. Nie ufam wam. Zaczekacie więc obaj grzecznie na swoich krzesłach, a ja zadzwonię do sędziego śledczego. Doktor musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności, inaczej nie ubijemy interesu.

Agent Coburn pokręcił głową.

– Powiemy panu, jak wszystko się odbędzie.

Sięgnął ponownie do kieszeni marynarki i wyjął kolejną kopertę.

– Co to jest?

– Oświadczenie profesora Timberlake'a, ordynatora oddziału kardiologicznego szpitala wojskowego w Los Angeles. Tuż przed wypadkiem doktor Allistar miał zawał serca. Z tego powodu stracił panowanie nad kierownicą. Z tego też powodu nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności. W chwili zderzenia był nieprzytomny i są na to jednoznaczne dowody.

– Dowody?

– Ekspertyza lekarska jest załączona do oświadczenia. Może pan ją sprawdzić.

– Byłem w szpitalu i rozmawiałem z lekarzem dyżurnym. Stwierdził jedynie drobne powierzchowne obrażenia. Allistar był przytomny. Nie było mowy o zawale.

Coburn machnął ręką, zbywając jego słowa.

– Doktor był w szoku, mamy to czarno na białym. Chyba nie wierzy pan w

to, że opinia jakiegoś prowincjonalnego lekarza wytrzyma w konfrontacji z opinią profesorską? Niech pan da sobie spokój. Rząd zwróci wszelkie koszty i wypłaci odszkodowanie rodzinom zmarłych oraz rannych. To więcej, niż mógłby uzyskać najlepszy adwokat w sądzie.

- I Allistar będzie miał święty spokój. Niestety, nic z tego. Myli się pan.
- W takim razie proszę dzwonić do sędziego! – zawołał Coburn.

Niecałe dziesięć minut później obaj agenci NSA wyszli z gabinetu szeryfa Dwaina Hamiltona i udali się wprost do firmy holowniczej przy Chapparal Drive. Dwain Hamilton stracił kolejną sprawę i powoli zaczął sobie zadawać pytanie, czy tak będzie ciągle.

Moultrie, Georgia

Cezar minął Thomasville. Nie było więcej ofiar w ludziach. W umiarkowanym klimacie lądu huragan stracił siłę i podążył dalej na północ, w kierunku Moultrie, jako orkan z potężnymi chmurami deszczowymi. Duża część mas wody, jakie spadły wokół Tallahassee, wyschła w gorącym słońcu Florydy i powoli można było oszacować pełny rozmiar zniszczeń. Były straszliwe. Z bagnistych kałuż i jeziorzek zaczęły się wynurzać poskręcane ciała zabitych i zaginionych. Gwardia Narodowa, policja i straż pożarna pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę. Burza oddalała się, zostawiając miejsce strefie wysokiego ciśnienia, co spowodowało, że temperatura wkrótce wzrosła do trzydziestu stopni. Sprawą wielkiej wagi było teraz zabezpieczenie zwłok, jak najszybsze ich zidentyfikowanie i pochowanie. Z każdym dniem rosło ryzyko epidemii.

Na południe od Tallahassee gwardziści starali się ostrożnie usunąć gruz zawałonego motelu. Nie spodziewano się znaleźć nikogo żywego, kiedy jednak pracę zaczęły wyspecjalizowane w poszukiwaniu ludzi psy, ratownicy usłyszeli dolatujące gdzieś spod ziemi dziwne stukanie. Zaalarmowani przez kolegów zbiegli się kolejni uczestnicy akcji. Zaczęli kopać gołymi rękami i podnosić gruz długimi drągami, aby było na czym zamocować linę wezwanego w pośpiechu dźwigu. Pod wieczór stukanie zaczęło słabnąć i w końcu całkiem ucichło. Ratownicy zażarcie pracowali dalej. Po pocięciu na kawałki i odrzuceniu na bok grubego pnia drzewa, znaleziono zmiażdżone ciało policjantki. Na plackietce przypiętej do podartej bluzy munduru było napisane: PAMELA ROTH. Przygnębieni ratownicy usiedli na hałdach gruzu. Nagle stukanie rozległo się

ponownie i znów zabrano się do kopania. Po odrzuceniu na bok kolejnego ciężkiego fragmentu muru ukazała się jama. Kiedy jeden z gwardzistów zaświecił latarką do środka dziury, promień światła odbił się od oczu przerażonego dziecka.

Pół godziny później ratownikom udało się uwolnić z mrocznego więzienia sześć osób, w tym dwoje dzieci. Byli wycieńczeni i spragnieni, ale żyli. Mieli więcej szczęścia od dziesięciu kolejnych osób, które zginęły w piwnicy motelu.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Brian Saint-Claire czuł się okropnie. Wszystkie jego myśli, ukradkowe spojrzenia biegły ku Suzannah Shane.

Upokorzyła go. W południe usiadł w kasynie z dala od pozostałych naukowców – z nadzieją, że Suzannah dotrzyma mu towarzystwa. Kiedy przysiadła się do stolika całej grupy, nawet nie spojrzała w jego kierunku i poczuł, jakby wbiła mu nóż w serce.

Po południu ich zespół zaczął badać pacjenta. Także podczas pracy Suzannah unikała Briana i starała się przebywać jak najbliżej Brandona. Akurat musiała sobie wybrać jego adwersarza – tego aroganckiego paskudę! „Ukoronowała” cały dzień, wychodząc z Brandonem i zostawiając Briana samego z profesorem Buchhornem. Brian nie umiał w pełni skupić się na pracy. Czyżby był zazdrosny?

Około szóstej także i on opuścił laboratorium. Poszedł szybkim krokiem do kasyna, ale nie było tam ani Suzannah, ani Brandona. Zamiast coś zjeść, wyszedł na zewnątrz i pojechał jeepem do apartamentów. Przez godzinę leżał na łóżku i wpatrywał się w sufit. Tuż przed ósmą wziął prysznic, po czym udał się na pierwsze posiedzenie zespołu do budynku administracyjnego.

Pozostali naukowcy już siedzieli przy wielkim stole. Brakowało jedynie Suzannah Shane i Brandona. Minutę przed ósmą oboje – w świetnych nastrojach – weszli do sali konferencyjnej. Sprawiali wrażenie starych kumpli i usiedli obok siebie. Brian z trudem przełknął ślinę. W głowie mu się lekko kręciło, ale najgorszy był ucisk w piersi. Czuł się tak, jakby ktoś chciał mu połamać żebra.

– Panie i panowie! – zaczął posiedzenie profesor Paul. – Chyba dla wszystkich z nas dzisiejszy dzień był pełen przeżyć. Nie przesadzę, twierdząc, że badania, które prowadzimy, stanowią największe wyzwanie dla waszej naukowej

wiedzy. Mimo to mam nadzieję, że szybko uzyskamy odpowiedzi, których szukamy. Państwa współpraca jest dobrowolna, a NASA nie zdoła nikomu zapewnić bogactw, mam jednak nadzieję, że nas wesprze. Chciałbym na tym skończyć – nie chcę prowadzić monologu, tylko swobodną wymianę myśli.

Obecni z aprobatą zamruczeli i profesor Paul usiadł.

– Jutro zaczniemy analizę jednostki sterującej – oznajmił profesor Haarmann. – Razem z profesorem Changiem prześledzimy drogę, jaką pokonała błyskawica we wnętrzu promu. Będziemy do tego celu potrzebowali paru urządzeń pomiarowych.

– Proszę wszystko wpisać na listę – odparł Paul. – Jeżeli nie jest to nic wyjątkowego, zorganizujemy urządzenia najpóźniej do południa.

– Sądzę, że da się to zrobić – powiedział profesor Haarmann. – Laboratoria macie dobrze wyposażone.

Profesor Paul skinął w podzięcie głową i zwrócił się do Brandona.

– Jak wygląda sytuacja w naszym dziale psychologicznym?

Brandon odchrząknął.

– Problematyka stanu zdrowia obu pacjentów wydaje się nieco bardziej skomplikowana. Jesteśmy w trakcie diagnostyki. Bierzymy oczywiście pod uwagę różne czynniki wyzwalające, ale sądzą, że wraz z doktor Shane i profesorem Buchhornem jesteśmy na dobrej drodze. Pod koniec tygodnia będziemy wiedzieć więcej.

Sposób, w jaki Brandon wypowiedział nazwisko Suzannah, przyprawił Briana o dreszcz. W obliczu bezczelności, z jaką pominął jego nazwisko, Brian najchętniej by wstał i go trzasnął, zdusił jednak złość. Niech trzymają się za rączki. Niemiłe uczucie w klatce piersiowej prędzej czy później zniknie, teraz należało skupić się na pracy.

– Jeśli to możliwe, chętnie porozmawiałbym z pilotem promu – powiedział Brian, a jego głos brzmiał mocno i wyraźnie.

– Co miałyby to dać? – spytał Brandon.

Brian zignorował pytanie. Wpatrywał się w profesora Paula. W końcu Paul skinął głową.

– Zajmę się tym, żeby był jutro po południu gotów do rozmowy – odparł.

– Tylko niech pan nie zapomni swojego krucyfiks – wtrącił Brandon, ale nikt się nie zaśmiał.

– Niech mnie pan posłucha, panie profesorze – zwrócił się Brian do Brandona. – Wiem, że ma pan mnie i moje metody za nic, i vice versa, pracujemy

jednak razem nad sprawą, w której chodzi o coś więcej niż o naukowe teorie. Dlaczego nie moglibyśmy na ten czas zapomnieć o naszym drobnym sporze? Pan ma swoje metody, ja swoje. Zostańmy przy tym. Pan nie będzie mi wchodził w drogę, ja zostawię pana w spokoju. Potem, kiedy pomożemy astronautom, będziemy mieli okazję się pospierać.

Rozległ się pomruk aprobaty.

– Uważam, że to rozsądna propozycja – rzekł profesor Paul.

Brian popatrzył po twarzach obecnych, zdając sobie sprawę z tego, że wygrał tę rundę. Kiedy w końcu jego wzrok musnął twarz Suzannah Shane, miał wrażenie, że się do niego uśmiechnęła.

2.

Socorro, Nowy Meksyk

Dwain Hamilton siedział za biurkiem i wyglądał przez okno. Czyżby cały świat sprzysiął się przeciwko niemu? Najpierw trup przy międzystanowej numer 25, a teraz wojskowy lekarz, który, ot, tak sobie, znika z kliniki. Miał związane ręce. Na dodatek wieczorem poprzedniego dnia zadzwoniła Margo i w zdawkowej rozmowie oświadczyła, że zamierza złożyć pozew o rozwód. Nawet nie próbował jej przekonywać. Wiedział, że jeżeli jego żona wbije sobie coś do głowy, to decyzja jest ostateczna.

Łatwość, z jaką wyraził zgodę na propozycję Margo, zaskoczyła nawet jego. Może wynikało to stąd, że zdążył się już przyzwyczaić do samotności – mógł wychodzić z domu i wracać, kiedy mu się podobało, spać na kanapie w biurze, i nie musiał się nikomu tłumaczyć.

Z ponurej zadumy wyrwał szeryfa dzwonek telefonu. Rozzłoszczony podniósł słuchawkę i rzucił mało sympatyczne:

– Halo!

– A tobie kto z samego rana nadepnął na odcisk? – doleciał ze słuchawki głos zastępcy szeryfa Lazarda, którego osobiście wysłał do Los Angeles, aby dowiedział się czegoś o Allanie Mcnishu. Zanim Hamilton zaprzysiął siostrzeńca na swojego zastępcę, Dave pracował w Los Angeles jako detektyw. Do dziś utrzymywał przyjacielskie stosunki z niektórymi kolegami i Dwain Hamilton miał nadzieję, że jego układy mogą się przydać w sprawie nieboszczyka z Coward Trail.

– Nie mówmy o tym. Dowiedziałeś się czegoś?

– Przecież wiesz, że możesz na mnie polegać – odparł Lazard. – Musiałem się jednak mocno napracować. Nie było łatwo i co nieco mnie to kosztowało, ale się opłaciło.

– Jeśli tak mówisz, to znaczy, że skorzystałeś także z pomocy funkcjonariuszek – zadrwił Hamilton. – Mów!

– W sumie istnieją cztery zestawy danych oznakowanych Allan McNish. Peter Allan McNish dochodzi do pięćdziesiątki i pochodzi z Jacksonville. Poszukiwany na Florydzie, w Karolinie Południowej i w Alabamie z powodu napadu na bank. Allan McNish junior pochodzi z Nowego Jorku, nie ma jeszcze dwudziestu lat i jest poszukiwany z powodu handlu narkotykami. To czarny. Allan Steward McNish z Detroit jest pochodzenia irlandzkiego, ma mniej więcej trzydzieści lat i przypuszczalnie należy do Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Poszukiwany międzynarodowym listem gończym. Jest jeszcze Robert Allan McNish z Saskatoon w Kanadzie. Miałby teraz dwadzieścia dziewięć lat i przepadł bez wieści pięć lat temu. Prawdopodobnie zginął na Alasce, ale jak na razie nie znaleziono zwłok.

Hamilton otworzył leżącą przed nim teczkę i przyglądał się zdjęciom ofiary z Coward Trail.

– Numer jeden i dwa odpadają, pozostają więc numery trzy i cztery. Masz zdjęcia?

– Jutro prześlę ci faksem najważniejsze informacje.

– Kiedy wracasz?

– Muszę tu jeszcze załatwić coś ważnego – skwitował rozmowę Lazard. – Przecież mówię, że dotarcie do czegokolwiek nie było łatwe. W końcu nie prowadzimy oficjalnego śledztwa.

– W takim razie pozdrów ją ode mnie i czekam na ciebie jutro.

Szeryf Hamilton rzucił słuchawkę na widełki i wyszczerzył zęby

w uśmiechu. Dave był niepoprawny – nic dziwnego, że nie wytrzymał długo w stałym związku. Był na to po prostu zbyt trzpiotowaty. Szeryf kolejny raz przyjrzał się zdjęciom rudego mężczyzny, którego znaleziono między pojemnikami na śmiecie na parkingu przy międzystanowej. Allan Steward McNish, z pochodzenia Irlandczyk, wiek około trzydziestu lat, poszukiwany z powodu członkostwa w IRA. Zmarły w wyniku podania niezwyklej mieszanki narkotyków. Gdyby rzeczywiście chodziło o bojownika IRA, sprawa miałaby się całkiem inaczej, niż dotychczas sądził szeryf Dwain Hamilton.

*Szpital Centrum Lotów Kosmicznych
im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda*

Don Gibson był ubrany w białe spodnie i niebieską koszulę z krótkimi

rękawami, typową dla pilotów sił powietrznych. Ciemne włosy miał ostrzyżone tak krótko, że wyglądały jak ściernisko. Oznaczenia na pagonach informowały, że jest kapitanem. Kiedy siadał na krzesło w sali konferencyjnej szpitala, sprawiał wrażenie spokojnego i zrelaksowanego. Brian Saint-Claire stał za weneckim oknem i uważnie obserwował pilota promu kosmicznego. Chciał wyrobić sobie niczym niezmaconą opinię o człowieku, od którego miał nadzieję uzyskać informacje na temat okoliczności, jakie doprowadziły do pojawienia się u obu astronautów nasilonych stanów lękowych. Stał niezauważony, ze splecionymi na piersi rękami i obserwował pilota. Znajdujący się w przyciemnionym, naszpikowanym ukrytymi mikrofonami i kamerami pomieszczeniu pilot powoli zaczął się poruszać. Gibson popatrzył na zegarek. Minę miał obojętną. Po dziesięciu minutach Brian Saint-Claire wszedł do sali. W trakcie czekania kapitan Gibson nie okazał niepokoju ani nie zachowywał się niezwykle. Jedyne od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Normalne u czekającego człowieka.

– Dzień dobry, jestem doktor Saint-Claire – przywitał się Brian i wyciągnął rękę. – Przepraszam, że musiał pan czekać.

Gibson ujął wyciągniętą dłoń i bez słowa skinął głową.

Wbrew swoim przyzwyczajeniom Brian ubrał się w beżowe spodnie od garnituru i białą koszulę z krótkimi rękawami oraz założył ciemny krawat. W końcu miał rozmawiać z wysoko wykwalifikowanym i doświadczonym oficerem NASA. W stroju starzejącego się studenta raczej trudno by mu było emanować autorytetem potrzebnym do zademonstrowania od samego początku, kto prowadzi rozmowę. Przyciągnął sobie krzesło i aby móc obserwować rozmówcę, usiadł dokładnie naprzeciwko niego. Wcześniej Brian kazał zabrać stojący zwykle w sali stół.

– Czy wie pan, dlaczego się tu znalazł? – zaczął Brian. Gibson skinął głową.

– Chodzi o wypadek przy lądowaniu promu.

– Zgadza się. Mam do pana kilka pytań. Może jednak na początek opowie pan, co pamięta z tego wydarzenia.

Gibson założył nogę na nogę.

– Był to rutynowy lot – zaczął. – Mieliśmy przedtem kłopoty z instalacją anteny na stacji kosmicznej i musieliśmy zostać w przestrzeni dłużej, niż to było planowane, więc podczas lotu powrotnego nie mogliśmy sobie pozwolić na żadne opóźnienia. Dla zaoszczędzenia energii i tlenu reszta załogi spała.

Z początku wszystko przebiegało bez zakłóceń. Mieliśmy okienko do lądowania na czterdzieści trzy minuty i weszliśmy na orbitę w odpowiednim czasie. Dysze hamujące zostały włączone zgodnie z planem. Prędkość opadania wynosiła trzysta osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Zaraz po tym kontrola naziemna przekazała ostrzeżenie burzowe i kazano nam zmienić kurs. Pod promem znalazł się gigantyczny parasol burzowy, którego nie mieliśmy przedtem na radarze. Nagle zrobił się chaos. Przy przejściu do troposfery statek zaczął się trząść i podskakiwać. Stał się dęba i zerwała się komunikacja radiowa z bazą. Najgorsze było to, że przestała działać automatyka.

Don Gibson poprawił się na krześle. Mówił dalej pochylony do przodu, opierając łokcie na kolanach, a podbródek na dłoniach.

– Przeszedłem na sterowanie ręczne i próbowałem zapanować nad statkiem. Na zewnątrz coś łomotało o kadłub. Wydaje mi się, że był to grad, choć raczej należałoby powiedzieć, że kawały lodu. Zupełnie jakby ktoś walił młotem.

Brian słuchał z ciekawością i rejestrował każdą zmianę pozycji przez Gibsona – na przykład to, że pilot zmarszczył czoło. Była to oznaka napięcia.

– Co stało się potem?

– Nagle rozległ się potężny huk i kokpit zalała oślepiająca jasność. Musiałem zamknąć oczy. Instrumenty pokładowe przestały działać. Zaraz potem rozległ się kolejny głośny grzmot i kokpit znowu zalało jaskrawe światło.

– Sądzi pan, że to były błyskawice?

– Jestem tego w zasadzie pewien. Uważam wręcz, choć może brzmi to dziwnie, że przebiły się do wnętrza statku.

– Co się działo z resztą załogi?

– Nie uwierzy pan... – Gibson się wyprostował. – Przez cały czas spali. Jakby nic się nie działo. Spali także już po wylądowaniu.

Brian skinął głową.

– Słyszałem, że jedynie panu i pańskim zdolnościom improwizacyjnym należy zawdzięczać, że statek nie spadł na ziemię.

– Mieliśmy szczęście. Aktywowałem silniki napędowe, dzięki czemu Discovery został wyrzucony poza zasięg burzy. Przy lądowaniu nie mieliśmy koła na dziobie, ale chłopcy ze straży pożarnej świetnie przygotowali pas. Poza tym byli przy nas w mgnieniu oka.

– „Ta cholerna burza była bliżej, niż sądziliście. Przetrzepało nas jak diabli. Prawie runęliśmy. Moim zdaniem w chmurach coś było...” – zacytował

Brian słowa pilota, które ten powiedział do kontroli naziemnej, kiedy po ucieczce z burzy wróciła komunikacja radiowa.

Gibson wbił wzrok w podłogę.

– „Ta cholerna burza była bliżej, niż sądziliście. Przetrzepało nas jak diabli. Prawie runęliśmy. Moim zdaniem w chmurach coś było...” – powtórzył Brian.

Don Gibson przeciągnął po twarzy drżącą dłoń.

– Proszę pana... od tego momentu minęło już kilka dni. Nie pamiętam każdego szczegółu... – spróbował wyjaśnić, ale Brian pokręcił głową.

– „Moim zdaniem w chmurach coś było...” – powtórzył z uporem Brian. – Co miał pan na myśli?

– Proszę pana, jestem pilotem testowym. Mam za sobą kilka tysięcy godzin lotu. Z tego niezliczone w sytuacjach skrajnych. W F-piętnaście, w F-szesnaście, w superhornetach. Latałem w życiu na tyłu ptakach, że nie pamiętam wszystkich. Znajdowałem się w dużym stresie, w końcu nie co dzień grozi człowiekowi katastrofa.

Gibson był bardzo pobudzony. Spadła z niego maska obojętności. Brian ugodowo uniół ręce.

– Niech mnie pan posłucha... – powiedział spokojnym tonem. – Nikt pana nie atakuje, nikt nie ma nic do zarzucenia pańskiemu postępowaniu. NASA uważa pana za bohatera i ja też chylę przed panem czoło. Nie każdy zachowałby w takiej sytuacji zimną krew. Mimo to chciałbym dowiedzieć się więcej o tym, co odczuł pan tuż przed przywróceniem komunikacji z kontrolą naziemną. Nie chodzi tu o pana, tylko o obu astronautów, których pokoje są kilka drzwi stąd i którzy kulą się w kącie z przerażoną miną. Zostałem poproszony przez profesora Paula o dołączenie do specjalnej komisji, której zadaniem jest pomóc obu nieszczęśnikom. Aby tego dokonać, muszę o wszystkim wiedzieć, a pan może uzupełnić moją wiedzę.

– Nie... nie mogę panu pomóc.

– Może pan. Widzę to po pańskich gestach i ruchach.

– Wiedziałem... – westchnął Gibson. – Wiedziałem od razu, jak dostałem wezwanie. Nigdy nie ufaj psychiatrom. Nieważne, co powiesz albo zrobisz, zobaczą w tym tylko to, co złe. To paskudne sztuczki, nic innego jak paskudne sztuczki. Czego pan ode mnie chce?

– Czego się pan boi, panie Gibson?

– Dokładnie pan wie. Jestem pilotem. Już w dzieciństwie marzyłem o lataniu

odrzutowcami. Nie mam ochoty stracić licencji i przenieść się do wieży albo kontroli naziemnej.

– Pańskim zdaniem celem tej rozmowy jest udowodnienie, że nie nadaje się pan z powodów psychicznych do latania i odebranie panu licencji pilota?

– A co innego?

Brian się uśmiechnął.

– Ta rozmowa jest wyłącznie moim pomysłem. NASA nie dążyła do niej, a obiektem badania nie jest pan, lecz to, co pan podświadomie zarejestrował – wyjaśnił Brian. – Uważam pana za bardzo dobrego pilota i gdybym miał lecieć w kosmos, to tylko z panem.

Gibson uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Nie jestem behawiorystą i nie sporządzam dotyczącej pana ekspertyzy – dodał Brian. – Już mówiłem, dlaczego tu się znalazłem. Jestem parapsychologiem i badam tajemnicze zjawiska. Wielu kolegów uważa mnie za stukniętego, a parapsychologię za przesadę, bardzo by się pan zdziwił, ile niewyjaśnionych zjawisk moi szacowni koledzy zbywają frazesami, nie znając ich prawdziwego tła. Ten wszechświat ma miliardy lat i arogancją byłoby twierdzenie, że już go dokładnie poznaliśmy i umiemy zdefiniować i ocenić wszystko, z czym mamy do czynienia. Ja tak nie uważam. Wiem jedynie, że stan naszej załogi jest dokładnie tym, o czym mówię: niewyjaśnionym zjawiskiem. Proszę pana o pomoc. Jeśli pan nie chce albo mi nie ufa, proszę wstać i wyjść. Dalsza rozmowa byłaby marnowaniem czasu.

Gibson się zastanawiał. Rozejrzał się niepewnie.

– Kto stoi za szybą? – spytał i wskazał na ścianę z lustrem weneckim.

– Nikt.

– Mikrofony i kamery?

Brian skinął głową.

– Tylko do celów naszego badania i moich osobistych akt.

Gibson rozejrzał się, przeszukał wzrokiem kąty.

– No cóż, ufam panu.

– Co było w chmurach?

Gibson wstał.

– Czy miał pan kiedyś wrażenie, że jest pan więźniem własnego lustrzanego odbicia? Tak jakby pański duch unosił się nad panem, a pan był jedynie milczącym obserwatorem tego, co się dzieje?

– Ludzie, którzy pokonali już granicę życia i śmierci i zostali ściągnięci z

powrotem, często mówią o podobnym zjawisku – odparł Brian.

– Nie mówię o czymś takim jak pokazano w *Linii życia* – rzekł Gibson. – To uczucie było inne. Jakby się przeżywało sytuację z lekkim opóźnieniem w czasie. Mózg był szybszy, przeanalizował już następną sytuację i ustalił działanie, a ciało spóźnia się o kilka milisekund. Jak przy filmie w zwolnionym tempie. Duch wyprzedza nieco ciało.

– Jak w *déjà vu*?

Gibson skinął głową.

– Nie wiem, jak się coś takiego nazywa, ale jestem głęboko przekonany, że to właśnie nas uratowało, wyciągnęło z tej sytuacji.

Robiłem to, co mi nakazywano.

– Miał pan już kiedyś podobne odczucie?

Gibson pokręcił głową.

– To był pierwszy raz i jeśli mam być szczerzy, napędził mi niezłego stracha. Jakby istniało się podwójnie, a w sumie było połową człowieka... nie wiem, czy mnie pan rozumie...

Brian Saint-Claire uważnie przyjrzał się pilotowi. Domyślał się, co oficer chciał wyrazić. Spirytyści odczuwali coś podobnego, kiedy budzili się z transu, tyle że kapitan Gibson nie był medium. O nie, był kimś wręcz zupełnie innym...

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Brian jeszcze raz odsłuchał najważniejsze fragmenty rozmowy z pilotem i sporządził protokół. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że tuż przed rozpoczęciem się huraganu Dan Gibson miał *déjà vu*, dzięki któremu w tej skrajnie wyjątkowej sytuacji z niemal lunatyczną pewnością wiedział, co robić, dzięki czemu uratował statek, siebie i resztę załogi. Brian dokładnie przeczytał teczkę personalną Gibsona i wiedział, że jest on człowiekiem myślącym i działającym w bardzo racjonalny sposób. Niewrażliwym na wpływy metafizyczne. Tym dziwniejsze, że podążył za tym, co wskazała mu intuicja, przełamał racjonalne nawyki i pokierował się irracjonalnym wycuciem. Niestety, z jego słów nie dało się wyciągnąć jakichkolwiek wniosków na temat tego, co stało się w trakcie lotu powrotnego z dwoma załogantami. Zasnęli przed wejściem w atmosferę ziemską i spali także w chwili, gdy wokół promu kosmicznego rozszalało

się piekło. Było to dość nietypowe, ponieważ z zapisów aparatury nadzoru osobistego wynikało, iż w tym momencie przechodzili z trzeciej fazy snu do snu głębokiego. Ludzie w tym stanie często reagują na bodźce zewnętrzne i budzą się w wyniku hałasu lub wstrząsów. Może Suzannah dowiedziała się czegoś, co mogłoby rzucić na to wszystko nieco światła...

Brianowi zaburczało w brzuchu. Głód okazał się silniejszy od gonitwy myśli. Popatrzył na zegarek. Jeśli się nie pośpieszy, obsługa zamknie kasyno i dostanie coś do jedzenia dopiero wieczorem. Szybko wyszedł ze szpitala i kiedy stanął w promieniach słońca, głęboko wciągnął świeże powietrze. Z powodu silnego porannego wiatru powietrze było jeszcze czyste i chłodne, należało się jednak spodziewać, że wkrótce dzięki słońcu temperatura gwałtownie wzrośnie. Czuć było, że zaczyna się lato.

Brian minął szpital i skręcił w stronę budynku szkoleń, w którym znajdowało się kasyno. Czekał go piętnastominutowy spacer. Minęła pierwsza po południu i w głębi duszy miał nadzieję, że natknie się na Suzannah, w kasynie była jednak tylko jedna osoba, meteorolog z zespołu fizyków, którego nazwisko zapomniał. Brian wziął tacę i wszedł w przejście biegnące wzdłuż lad z jedzeniem. Nie wziął dania głównego – smażonego kotleta z kurczaka z pieczonymi ziemniakami i sałatką – lecz podwójną porcję pieczonych ziemniaków i dosiadł się do samotnego gościa.

– Brian Saint-Claire – przedstawił się i przyjaźnie skinął głową mężczyźnie o azjatyckich rysach.

– Wayne Chang – odparł meteorolog. – Proszę mi mówić Wayne.

Brian położył na kolanach serwetkę.

– A mnie Brian.

– A więc, Brianie, jak postępy u astronautów?

Brian machnął ręką.

– Jak na razie mamy tylko teorie i obawiam się, że od rozwiązania problemu dzieli nas jeszcze bardzo daleka droga. A co u was?

– Rozłożyliśmy prom na kawałki i badamy poszczególne elementy. – Chang odgryzł kawałek kurczaka. – Pewne jest, że przy przelocie przez chmury prom został wielokrotnie trafiony wielkimi kawałkami lodu, które uszkodziły powłokę kadłuba. Błyskawica przeszła prawdopodobnie przez uszkodzoną część osłony elektromagnetycznej i wniknęła do wnętrza Discovery.

– To możliwe?

– W normalnych warunkach uderzający w statek powietrzny piorun jest

odprowadzany po powierzchni dzięki symetrii kadłuba. Jeżeli powłoka zewnętrzna zostanie uszkodzona, czyli staje się asymetryczna, pojawia się krawędź albo wręcz płaszczyzna ataku. Pracująca we wnętrzu statku powietrznego elektronika sprawia, że w środku kadłuba jest napięcie. Elektryczny ładunek pioruna chce się rozprzestrzeniać i próbuje wykorzystać każdą nadarzającą się okazję. W efekcie piorun zostaje niejako wessany do wnętrza kadłuba. Zjawisko zostało wielokrotnie udowodnione w warunkach laboratoryjnych i przed trzema laty spowodowało nad wyspami Indii Zachodnich katastrofę samolotu pasażerskiego. Sądzę, że do tego samego doszło w Discovery. Jesteśmy właśnie w trakcie rekonstrukcji przebiegu ładunków elektrycznych. Zobaczmy, czy wyniki zweryfikują naszą tezę.

Brian westchnął.

– Gdyby można było tak łatwo wyjaśnić chorobę astronautów... niestety, cały czas poruszamy się po omacku. Rozmawiałem dziś z pilotem promu. Jest pan meteorologiem. Czy kiedykolwiek natknął się pan na doniesienia o ludziach, u których podczas burzy pojawiały się... nazwijmy to... anomalie w zachowaniu?

– Co ma pan na myśli?

– Analizowałem ponownie tekst rozmów między promem a Houston i zwróciło moją uwagę, że tuż przedtem, zanim huragan ogarnął statek, pilot zauważył coś dziwnego. Miał wrażenie, jakby nie był sam. Jakby coś było w chmurach. Nie umiał tego bliżej określić, ale zjawisko wywołało w nim lęk i wywołało coś w rodzaju *déjà vu*. Dzięki temu zrobił, co należało. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Wayne Chang odłożył sztucce na bok.

– Burza tej siły u wielu ludzi wywołuje głęboki strach. Mogę sobie bez trudu wyobrazić, że pilota ogarnął paniczny...

– Nie, nie o to chodzi – przerwał Brian. – Wielu ludzi uważa mnie za szaleńca i lubi traktować moją naukę jako zbiór sztuczek. Między niebem a ziemią istnieje jednak wiele rzeczy, których nie da się wyjaśnić. Pilot, bardzo stabilny i racjonalny człowiek, doznał tego *déjà vu* i zadziałał intuicyjnie, wyprzedzając faktyczne zdarzenia, dzięki czemu uratował prom kosmiczny i załogę przed katastrofą. Jego zdaniem wokół niego znajdowało się coś, co skłoniło go do takiego działania: jego lustrzane odbicie.

– Może po prostu miał szczęście.

– Niech będzie – zgodził się Brian. – Prawdopodobnie ma pan rację.

– Brianie – powiedział Wayne Chang, widząc na twarzy rozmówcy rozczarowanie. Prawdopodobnie psycholog obiecywał sobie znacznie więcej po ich rozmowie. – Jestem ze strony ojca Japończykiem, a ze strony matki Amerykaninem. Ojciec starał się przekazać mi jak najwięcej informacji o japońskiej kulturze i Japonii. Mimo rozwoju nauki wiemy, że w naszym bycie istnieje więcej niż tylko szara matematyczna teoria. Nasz Stwórca postawił przed nami wiele zagadek, na które da się odpowiedzieć logicznie, nie pozwala jednak do końca zaglądać sobie w karty. Choć poświęciłem się naukom ścisłym, wierzę w poziom metafizyczny.

Brian z wdzięcznością odwzajemnił spojrzenie Changą.

– Moim zdaniem przyczyna stanu astronautów tkwi w burzy. Uważam, że tam, na górze, wydarzyło się coś, co jest dla nas w tej chwili zagadką. Zdołamy pomóc astronautom dopiero wtedy, gdy dowiemy się, co wprowadziło ich w ten straszliwy stan, w którym się teraz znajdują.

Wayne z zadumą wbił wzrok w talerz.

– Te huragany są niezwykle. Pojawiły się dwa miesiące za wcześnie, do tego bez zapowiedzi. Straciliśmy już samolot obserwacyjny przy Kajmanach, przy Wyspie Kokosowej statek. Czasami nachodzi mnie myśl, że te cyklony to zemsta natury na człowieku.

– Tydzień temu rozmawiałem z duchownym, który opowiedział mi, że jeden z jego wiernych od pewnego czasu ma wizje. Cztery tygodnie temu staremu człowiekowi objawiła się Najświętsza Panienka i ostrzegła go przed gwałtownymi burzami, które zaatakują kontynent amerykański. Podobno miał to być dopiero początek, po burzach nastąpią trzęsienia ziemi, powodzie i pożary.

– Wierzy mu pan?

Brian się uśmiechnął.

– To tylko wizja, ale po Tallahassee wydaje mi się cholernie realna.

– Zajmuję się obserwacją huraganów tylko ubocznie – powiedział Wayne Chang. – Ludzie z centrum huraganów robią wszystko, aby odkryć przyczyny niezwykle frontów pogodowych. Może mają one związek z El Niño? Patrząc globalnie, jestem pewien, że to, co się dzieje, jest naturalnym efektem naszej rabunkowej gospodarki zasobami Ziemi. Nie wolno zakładać, że warunki klimatyczne, do których się przyzwyczailiśmy, będą trwać wiecznie. W historii Ziemi zawsze mieliśmy cykle pogodowe. Ciepłe okresy przeplatały się ze zlodowaceniami. Nasz klimat jest stosunkowo stabilny dopiero od niecałych

dziesięciu tysięcy lat. Za skrajne warunki pogodowe odpowiada obecnie częściowo globalne ocieplenie, wynoszące średnio od pół do siedmiu dziesiątych stopnia Celsjusza i moim zdaniem winę za to ponosi ludzkość. Mimo to uważam, że należy dokładnie zbadać tegoroczne huragany. Może są spowodowane czymś więcej niż tylko globalnym ociepleniem. Zadzwonił telefon Wayne'a Changa.

– Przepraszam – powiedział i odebrał. Dzwoniła Jennifer Oldham. Niestety, Chang musiał odwołać spotkanie, które zaplanowali na następny weekend. Słysząc było wyraźnie, jak bardzo Jennifer jest rozczarowana. Wayne próbował ją pocieszyć i słysząc jego słowa, Brian mimowolnie się uśmiechnął.

– Tak to już jest, jeśli ma się obowiązki – powiedział żartem.

Wayne zrobił smutną minę.

– Nic na to nie poradzę. To dziennikarka, dobra przyjaciółka. Poza tym nad Morzem Karaibskim zbiera się następny huragan. Centrum Huraganów zakłada jednak, że oszczędzi nasze wybrzeża. Możemy jeszcze kiedyś usiąść i porozmawiać, teraz jednak proszę mi wybaczyć. Muszę wracać do hangaru. Zobaczymy się wieczorem na omówieniu dnia.

– Bardzo miło się rozmawiało – odparł Brian. – Na pewno skorzystam z oferty.

Ośrodek szkoleniowy im, generała Willstona, las narodowy Obola

Tuż po rozmowie z Lazardem z faksu w biurze Dwaina Hamiltona wysunęły się kartki z informacjami dotyczącymi wchodzących w rachubę Allanów Mcnishów. Dwain przejrzał je. Jeśli chodzi o Roberta Allana McNisha, który zaginął w Kanadzie, podano jedynie rysopis, który pasował mniej więcej do jednej czwartej mieszkańców Ameryki pochodzenia irlandzkiego. Dane dotyczące Allana Stewarda McNisha zawierały zdjęcie. Dwain Hamilton porównał je ze zdjęciami z Coward Trail. Na pierwszy rzut oka podobieństwo nie było zbyt wielkie, ale w końcu obydwie fotografie wykonano w odstępie trzech lat. Twarz Allana Stewarda McNisha na zdjęciu z listu gończego wydawała się węższa i bardziej kanciasta od twarzy zmarłego, ale wzrost, wiek, kolor oczu i fryzura były takie same. Być może rysy twarzy zostały zmienione w wyniku spożycia narkotyków. Jego twarz sprawiała wrażenie opuchniętej.

Dwain był na osiemdziesiąt procent pewien, że znalezione przy Coward Trail zwłoki to bojownik IRA. Pomijając podobieństwa w wyglądzie, sugerowały to także inne cechy: skromne ubranie i niewiele rzeczy osobistych, żółta bluza z nadrukiem POW i fakt, że podano mu przed śmiercią narkotyki, które tajne służby stosowały w trakcie przesłuchań jako serum prawdy. Nie wolno było też zapominać o pojawieniu się w hrabstwie Socorro agentów NSA. W umyśle Dwaina zaczęło kiełkować ponure podejrzenie. Od zamachu z jedenastego września jego kraj prowadził bezkompromisową walkę z terroryzmem. Wiadomo było, że organizacje terrorystyczne mają międzynarodowe powiązania, więc nie było aż tak nielogiczne, że i IRA trafiła w centrum zainteresowania służb. Najwyższy czas złożyć wizytę w ośrodku szkoleniowym imienia generała Willstona w lesie narodowym Cibola. Od konfliktu irackiego prawo pozwalało internować osoby podejrzane o działalność terrorystyczną bez wyroku sądu, a znajdujący się na odludziu i otoczony lasami ośrodek wojskowy idealnie nadawał się na więzienie. Może uda się tam nawet dowiedzieć więcej na temat tajemniczego zniknięcia ze szpitala doktora Allistara. Dwain odmeldował się u Donny i wsiadł do forda mavericka. Wyjechał z miasta drogą numer 60 w kierunku Magdaleny, za Magdaleną skręcił w drogę 107 i pojechał w kierunku gór San Mateo, po czym wkrótce skręcił w prawo i wjechał w las Cibola. Po kilometryrze pojawił się płot. Szerokiej drogi nie zagradała brama ani szlaban, jedynie znaki zakazu po obu stronach ostrzegały, że za ogrodzeniem znajduje się teren wojskowy. Dwain zignorował informacje i pojechał w górę łagodnie wznoszącego się zbocza. Otoczona wysokimi sosnami droga zakręcała łagodnym łukiem i prowadziła do małej doliny u stóp góry Withington, na końcu tej doliny powinien się znajdować obóz wojskowy. Kiedy Dwain wyjechał zza następnego zakrętu, ujrzał przed sobą biało-czerwony szlaban. Tuż obok znajdował się służbowy barak, przed którym parkował wojskowy jeep. Duży znak z napisem STOP kazał się zatrzymać. Zanim ford szeryfa całkowicie zahamował, jak spod ziemi pojawiło się dwóch uzbrojonych żołnierzy. Jeden z nich celował do szeryfa z karabinka szturmowego, drugi podszedł do samochodu. Dwain Hamilton otworzył drzwi.

– Dzień dobry panu – przyjaźnie powiedział żołnierz, którzy podszedł do szeryfa. – Znajduje się pan na zamkniętym terenie wojskowym.

– Nazywam się Dwain Hamilton i jestem szeryfem, szefem policji hrabstwa Socorro i moja wizyta ma charakter służbowy – wyjaśnił Dwain i pokazał

odznakę. – Chcę w sprawie pilnego śledztwa rozmawiać z komendantem jednostki.

– Bardzo mi przykro, ale mam rozkaz, żeby nikogo nie przepuszczać – odparł żołnierz.

Dwain poczuł złość.

– Do jasnej cholery, nie jestem nikiem, tylko szeryfem tego hrabstwa, więc niech pan otwiera ten cholerny szlaban!

– Przykro mi. Muszę najpierw porozumieć się z oficerem dyżurnym. Proszę zaczekać.

– Czekam, już czekam! Proszę się jednak pospieszyć, bo chciałbym wrócić do domu przed zmrokiem.

Żołnierz zasalutował i zniknął w baraczkach. Drugi nawet się nie poruszył i z bronią gotową do strzału podejrzliwie lustrował Hamiltona.

– Nie ma obaw – mruknął szeryf i zamknął drzwiczki mavericka. – Nie przejadę.

Uzbrojony wartownik nawet nie mrugnął i w dalszym ciągu celował w samochód. Kilka minut później drugi z wartowników wyszedł z baraczkach.

– Muszę prosić, aby zaczekał pan do przybycia kapitana Melrose'a.

– Dlaczego tyle tajemnic? Sądziłem, że to zwykły obóz szkoleniowy piechoty morskiej.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem upoważniony do udzielania informacji. Proszę zaczekać na kapitana Melrose'a. Wszystko panu wyjaśni.

Dwain skinął głową. Dyskusja z wartownikiem nie miała sensu. Otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu.

– Chyba nie jest zakazane, żebym nieco rozprostował nogi?

Żołnierz skinął głową, ale nie spuszczał szeryfa z oczu. Dwain się rozejrzał. Dopiero teraz zauważył, że kilka metrów za szlabanem znajduje się wzmocniona, podwójna brama, od której w obie strony odchodzi potężne ogrodzenie. Wyglądało to upiornie. Widział kiedyś coś podobnego – przed dwudziestu laty w Niemczech, kiedy oglądał blokady na granicy z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Tamtejsze zabezpieczenia były podobnie skomplikowane – choć nie tyle służyły ochronie przed niepożądanymi przybyszami, ile uniemożliwieniu wydostania się komukolwiek z „socjalistycznej” części Niemiec. Popatrzył dalej. Ze znajdującego się tuż za zabezpieczeniami gigantycznego masztu wysokiego napięcia na teren ośrodka biegły cztery napowietrzne kable. Poza tym

widać było jedynie drzewa i krzewy. Dwain uznał, że do obozu musi być stąd jeszcze kilka kilometrów. Zrobił krok w kierunku szlabanu i sięgnął do kieszeni. W lesie u stóp gór San Mateo powietrze było świeże i chłodne. Wartownik nerwowo go obserwował.

Dwain wyciągnął cukierka i uniósł go tak, aby żołnierz mógł zobaczyć.

- Ma pan ochotę? Dobre na kaszel.
- Nie, dziękuję – odparł żołnierz.

Po dziesięciu spędzonych w milczeniu minutach z lasu doleciał odgłos samochodowego silnika. Rozsunęła się wewnętrzna brama, jeep wjechał w przestrzeń między bramami, wewnętrzna zasunęła się i dopiero wtedy rozsunęła się zewnętrzna. Dwain był pewien, że instalacja jest zaopatrzona w kamery obserwacyjne i obwody bezpieczeństwa.

Jeep zatrzymał się za szlabanem i z samochodu wysiadł szczupły oficer w maskującym mundurze polowym i czarnym berecie.

– Dzień dobry! – przywitał się z szeryfem Hamiltonem. Miał naszywkę kapitana. – Słyszałem, że przybył pan służbowo. O co chodzi?

Hamilton chwilę się zastanawiał, jak zacząć.

– Wczoraj był w Socorro wypadek samochodowy – powiedział powoli. – Na pewno pan o tym słyszał. Muszę w tej sprawie porozmawiać z doktorem Allistarem.

Kapitan zmarszczył czoło.

– Na jakiej podstawie zakłada pan, że mamy w naszym ośrodku doktora Allistara?

– Prowadził samochód należący do wojska, a wasz ośrodek jest jedynym ośrodkiem wojskowym w moim hrabstwie. Gdzie indziej miałbym go szukać?

– Zapewniam pana, że nie ma u nas żadnego doktora Allistara.

– Mógłbym porozmawiać z komendantem?

– Jesteśmy ośrodkiem szkoleniowym piechoty morskiej. Ten teren jest objęty klauzulą bezpieczeństwa numer jeden. Nie wolno mi wpuścić pana do środka bez zezwolenia. Nawet jeśli jest pan szeryfem.

– A gdzie mógłbym otrzymać takie zezwolenie?

Oficer się uśmiechnął.

– W tej sprawie musi się pan zwrócić do biura sekretarza marynarki wojennej w Waszyngtonie. Aby uzyskać takie zezwolenie, konieczny jest uzasadniony powód. Zna pan panującą na świecie sytuację polityczną. Obecne

okoliczności powodują, że tego typu ochrona jest niezbędna. Aby miał pan orientację, co tu robimy, powiem tylko, że szkolimy u nas ludzi do bardzo specjalnych akcji w innych częściach świata.

Dwain sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kopertę. Wyciągnął ją w kierunku oficera dyżurnego.

– Co to jest? – spytał oficer.

– Wezwanie dla doktora Allistara. Proszę przekazać pismo komendantowi. Będzie wiedział, co z tym zrobić.

– Nie mogę obiecać, że to wezwanie dotrze do tego doktora, jak mu tam, chyba zdaje pan sobie z tego sprawę.

Dwain skinął głową i ruszył w kierunku swojego samochodu. Zanim wsiadł, odwrócił się do kapitana Melrose'a.

– Mówił pan, że jak nazywa się państwa komendant?

Kapitan się uśmiechnął.

– Nie wymieniałem jego nazwiska. Dowódcą ośrodka szkoleniowego imienia generała Willstona jest komandor Leach. To jawna informacja.

– Proszę pozdrowić ode mnie komandora Leacha i przekazać mu, że jeśli doktor Allistar się u mnie nie zjawi, wrócę z żandarmerią wojskową. Co prawda chodzi jedynie o drobną formalność, którą należy wyjaśnić, ale nawet wojsko nie ma prawa ukrywać podejrzanych przed wymiarem sprawiedliwości. Nieważne, w jakich czasach żyjemy. Żaden sędzia nie wyrazi na to zgody. Wyrażam się jasno?

Kapitan Melrose skinął głową i wsunął kopertę do kieszeni. Dwain usiadł za kierownicą i zawrócił. Czuł, że natknął się na bardzo śmierdzącą sprawę, i nie zamierzał odpuścić, dopóki się nie dowie, czym się zajmują w tym tajemniczym obozie wojskowym.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Po obiedzie Brian Saint-Claire przeszedł się po terenie, aby rozprostować nieco nogi, po czym wrócił do budynku szpitala. Kiedy stanął przed drzwiami wahadłowymi na pierwszym piętrze, przez które wchodziło się do oddziału, gdzie leżeli astronauty, zostały one gwałtownie pchnięte od wewnątrz. Gdyby nie odskoczył, trafiłyby go w głowę. Niczym burza wyprysnęła na zewnątrz Suzannah Shane – z zaciśniętymi ustami i oczami wąskimi jak szparki. Jej

mina mówiła wszystko; pojawiała się, gdy Suzannah kipiła ze złości. Brian doskonale to pamiętał.

– Co cię ugryzło?! – zawołał za nią.

– Mogłabym go zamordować! – rzuciła i stanęła. – Ten ograniczony i arogancki... co on sobie... nie muszę... Nikt nie będzie mnie traktował jak małej, naiwnej studentki!

– Brandon?

– A któż inny? Nieważne, co robię i myślę, on wie lepiej. Czuję się jak niedorozwinięta asystentka, a już wieki minęły od czasu, kiedy pracował z pacjentami!

– Co zamierzasz?

– Wyjeżdżam.

– I pozostawisz mu pole do popisu. Chyba nie sądzisz, że on zdoła w jakikolwiek sposób pomóc astronautom? W odróżnieniu od ciebie. Tylko że ty podkulasz ogon i wycofujesz się.

Suzannah Shane zeszywniała.

– Oczywiście! A kto wtedy podkuł ogon i wycofał się? Kto od lat ucieka przed własnym życiem? Kogo nie obchodziło, jak się czułam? Nic nie mów, nie masz prawa.

Brian zrobił dwa kroki w kierunku Suzannah.

– Nigdy nie przestałem przeklinać tamtej godziny. Nie mam pojęcia, co mnie napadło. Nagle... się przestraszyłem. Bałem się popełnić błąd. Bałem się, że cię stracę.

Suzannah patrzyła na niego wielkimi oczami.

– Co to ma... co to ma znaczyć? Skrucha po latach?

– Nazwij to raczej przejrzeniem na oczy. Zrozumiałem, że jeżeli chodzi o uciekanie, to jestem specjalistą wysokiej klasy. Uwierz mi, wyciągnąłem z tego wnioski. Brandon zadbał wtedy o to, żebym nie tylko stracił pracę, ale także reputację. Chciał rzucić mnie na kolana i ukorzyłem się przed nim. Temu człowiekowi nie wystarczy jednak wygnać człowieka, pragnie niszczyć ludzi. Jeżeli teraz odejdziesz, z tobą zrobi to samo.

Po policzku Suzannah spłynęła łza. Brian spróbował ją objąć, ale się odsunęła. Kiedy odwróciła się w jego kierunku, łza została już starta. Na jej twarzy malowało się zdecydowanie.

– Wiem, że mogę pomóc tym astronautom, nie mam tylko ochoty walczyć z wiatrakami. Nie chcę uzasadniać każdego kroku, jaki robię, i nie lubię, jeżeli

ktoś stale patrzy mi z niechęcią przez ramię.

- Więc będziesz musiała o to powalczyć.
- Pomożesz mi?
- Będę zaszczycony, jeżeli zechcesz mnie mieć u swego boku.

Wyciągnęła rękę i Brian z uśmiechem przybił piątkę.

Przez długi moment stali bez słowa na korytarzu i patrzyli sobie w oczy.

- A teraz wracajmy do pracy, żeby wreszcie wyrwać tych nieszczęśników z izolacji – rzekł w końcu Brian. Chętnie powiedziałaby Suzannah, co cały czas do niej czuje, ale zachował to dla siebie.

3.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Siedzieli przy stoliku w Bebobs' Bar przy Sedillo Park i pili piwo. Przed szeryfem Dwainem Hamiltonem leżało najnowsze wydanie „Mountain Mail”, w którym opisano wypadek autobusu szkolnego. Reporterowi nie umknęło, że wypadek został spowodowany przez wojskowego prowadzącego samochód służbowy. Sprawca został jednak zaraz po przyjęciu do szpitala w Socorro zabrany stamtąd wojskowym helikopterem. W mieście krążyła plotka, że był to wysokiej rangi oficer, a nawet generał lub admirał prosto z Pentagonu. Dwain, gdy go o to pytano, milczał.

– No, moje robaczki? – spytała Mary Ann, kelnerka o blond włosach. – Zamierzacie coś zjeść czy będziecie się dziś odżywiać tylko płynami?

– Przynieś nam steki, ziemniaki i fasolę – odparł Dwain Hamilton i ponownie zwrócił się do Lazarda. Jego siostrzeniec wrócił późnym popołudniem z Los Angeles.

– Nie wiem, co o tym sądzić... – zaczął z zadumą zastępca szeryfa. – Dlaczego wojsko miałoby wyrzucać napompowanego narkotykami McNisha na pustkowię? Są lepsze sposoby, żeby ktoś zniknął bez śladu.

– Nie słuchałeś, co mówię – odparł Hamilton. – Nie powiedziałem, że został wyrzucony. Uciekł im. Stary Jack znalazł go niedaleko Magdaleny, siedzącego na jezdni. Obóz jest dość blisko tamtego miejsca.

– Wojsko trzyma jeńców wojennych i ludzi podejrzanych o terroryzm w pobliżu naszych domów, żeby za pomocą serum prawdy i tortur zmusić ich do mówienia. A wszystko pod płaszczykiem tajemnicy wojskowej. Trudno mi w to uwierzyć, choć przyznam, że brzmi to logicznie.

– Tak samo jak z tą młodą kobietą minionej jesieni – powiedział szeryf. –

Tą, przez którą kierowca ciężarówki z Houston zjechał do rowu. Nie uwierzyłem mu wtedy, ale teraz widzę całą sprawę inaczej. Prawdopodobnie ona też uciekła z obozu.

Lazard wziął łyk piwa.

– Co robimy?

Hamilton wzruszył ramionami.

– Może powiemy o sprawie Howardowi?

– Howard to idiota – zadudnił Dwain. – Sprawa jest zamknięta i odłożona na półkę. Ponoć zwłoki nie zostały jeszcze zidentyfikowane, a wystarczyłoby, żeby spojrzął do komputera i trup już miałby nazwisko.

Lazard westchnął.

– Wiesz, co sądzę? Moim zdaniem sprawa została zamrożona na polecenie z góry. Dlatego Howard tak się wściekł, gdy się dowiedział, że prowadzisz śledztwo za jego plecami.

– Boże, chłopcze... gdybyś miał rację, oznaczałoby to, że wszyscy to jedna wielka sitwa...

– Spisek. Wojsko, NSA i policja stanowa. Co robimy?

Dwain Hamilton pokręcił głową.

– Nie mam zielonego pojęcia, ale moim zdaniem rozwiązanie zagadki tkwi w lesie Cibola. Musi istnieć jakaś nienadzorowana droga, którą można się dostać do środka. W końcu Mcnishowi, a przedtem kobiecie, udało się stamtąd jakoś uciec.

Kelnerka przyniosła im dwa talerze.

– Chyba wezmę parę dni wolnego – oznajmił Dwain. – Już od dawna marzę o tym, aby trochę popolować. Miałbyś ochotę wybrać się ze mną?

– Mam jeszcze trzy dni urlopu i żadnych szczególnych planów... – odparł Dave Lazard i mrugnął okiem.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Ponure, ogromne pomieszczenie było całkowicie izolowane gumowymi matami. Pośrodku stały dwa wielkie elektromagnesy, między którymi na niewidzialnych sznurkach unosił się mniej więcej dwumetrowy model promu kosmicznego. Za przyciemnianą szybą z pancernego szkła znajdowało się pomieszczenie, z którego kontrolowano skomplikowany eksperyment. Na kadłubie

modelu promu widać było takie same uszkodzenia, jakich doznał oryginał – prom kosmiczny Discovery.

Wayne Chang obserwował wraz z Lisą White Eagle, Helmutem Haarmanem i Josephem Stone'em panel kontrolny, przy którym siedział inżynier NASA. Panowała pełna napięcia cisza.

– Jestem gotów – oznajmił pracownik NASA i popatrzył pytająco na profesora Haarmana, który dał znak do rozpoczęcia eksperymentu.

Kiedy inżynier przełączył włącznik, rozległo się buczenie, które nasilało się wraz z powolnym przesuwaniem przez inżyniera suwaków potencjometrów w górę. Wkrótce buczenie zamieniło się w piekielny szum. Lisa zasłoniła dłońmi uszy. Inżynier przesunął potencjometry coraz wyżej. W końcu wskazówka woltomierza weszła w czerwoną strefę.

– Zaraz jaskrawo błysnie – powiedział Wayne.

– Oby nasze obliczenia okazały się prawidłowe – odparł Stone. – Mamy tylko ten jeden model.

Ledwie skończył zdanie, między zwojami nastąpiło wyładowanie elektryczne. Z jednego transformatora na drugi przeskoczyła jaskrawa błyskawica, otaczając model oślepiającym światłem. Gdy między zwojami przeskoczyła błyskawica, w kierunku sufitu wystrzelił snop dymu.

Lisa radośnie poklepała profesora Haarmana i Wayne'a Changa w ramiona.

– Znakomite obliczenia, świetna robota! – zawołała.

Inżynier NASA wcisnął czerwony przycisk i wyłączył urządzenie.

– Nic dziwnego, że doszło do takich uszkodzeń statku – powiedział Stone i otworzył tapicerowane drzwi, przez które można było wejść do sali z modelem. – Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że znajdziemy taki sam schemat nadpaleń jak w Discovery.

– Co wcale jeszcze nie wyjaśni odchylenia w zegarze cezowym. – Profesor Haarman wszedł za Stone'em do wnętrza, w którym śmierdziało spalonym plastikiem.

– Potrzebujemy światła i wentylacji! – zawołał Stone.

Inżynier skinął głową i włączył reflektory. Równocześnie uruchomiły się wentylatory.

Stone podszedł do urządzenia napinającego linki utrzymujące w górze model promu. Powoli opuścił model na podłogę.

– No to obejrzyjmy ptaka – mruknął pod nosem i ukląkł na niebieskiej macie.

– System odgromowy zapobiegłby czemuś takiemu mimo uszkodzeń pozycia – oznajmił Wayne Chang.

– Prawdopodobieństwo trafienia przez błyskawicę wynosi jeden do sześćdziesięciu czterech milionów, a każdy dodatkowy kilogram, jaki wysyła się w kosmos, kosztuje milion dolarów – powiedziała Lisa.

Wayne się uśmiechnął.

– Gdyby tą jedynką w liczniku był statek ze mną na pokładzie, to te sześćdziesiąt cztery miliony stanowiłyby niewielką pociechę.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Spotkanie z poprzedniego wieczoru zaczęło się mało sympatycznie. O ile grupa techniczna dokonała sporego postępu, o tyle psychologiczna kręciła się w kółko. Profesorowi Paulowi nie udało się powstrzymać konfrontacji. Suzannah Shane przed wszystkimi wyrzuciła z siebie, co sądzi o nieustannym wymądrzaniu się i arogancji profesora Thomasa Brandona. Jedynie dyplomatycznym umiejętnościom Briana można było zawdzięczać, że dyskusja wróciła na produktywny tor. zaproponował, aby zespół psychologiczny podzielił się na dwie części, a każda zajęła się jednym astronautą. Dzięki temu zminimalizuje się ryzyko konfliktu i równocześnie zwiększy skuteczność. Gdyby miało się okazać, że metoda Suzannah Shane pomaga, można by ją przenieść na drugiego astronautę – i vice versa, gdyby lepsze kazało się podejście Brandona. Propozycja Briana została przyjęta przez obecnych z aplauzem. Po kilku minutach i głębokim zastanowieniu zgodzili się na nią także Suzannah i Brandon. W efekcie jedną parę utworzyli Suzannah i Brian – aby się zająć Austriakiem Zieglerem, Brandon z profesorem Buchhornem mieli się zająć Sandersem.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że to się skończy wyścigiem, który tylko może zaszkodzić obu pacjentom – powiedziała Suzannah, obserwując austriackiego astronautę przez szybę.

– Tylko wtedy, kiedy dasz się wciągnąć w wyścig – odparł Brian. – Znam sposób działania Brandona. Będzie wbijał szpile, robił porównania, a kiedy uzna, że znalazł się w lepszej sytuacji, przepchnie się do przodu i zacznie cię atakować jako nieudacznika, uważam jednak, że lepiej pracować osobno, niż się kłócić.

Ziegler miał szeroko otwarte oczy. Leżał bez ruchu na łóżku i wpatrywał się w sufit. Z głośnika dolatywała cicha, ulotna muzyka. Poprzedniego wieczoru

Suzannah przetestowała jej wpływ na chorych i okazało się, że obaj dobrze zareagowali.

Dla Suzannah był to wyraźny znak, że wreszcie można odstawić silne leki uspokajające – a przynajmniej znacząco zmniejszyć ich dawki. Z tego właśnie powodu starła się z Brandonem.

– To, że masz rację, potwierdzi dopiero efekt – rzekł Brian i popatrzył na zegarek. – Leży już siedem godzin spokojnie w łóżku, bez środków uspokajających.

Suzannah się uśmiechnęła.

– Tętno jest w strefie zielonej. Nie dostał ataku paniki, nie widać zwiększonego napięcia mięśni. Zaczekajmy do jutra, jeśli poprawa się utrzyma, zaczniemy działać.

– Chciałbym, żebyśmy dziś w nocy spróbowali poluzować pasy. Chciałbym poobserwować jego fazę snu. Interesuje mnie zwłaszcza, co mówi.

– Przecież widziałeś nagrania.

Brian zbył to machnięciem ręki.

– Jeżeli czymś się zajmuję, chciałbym sam obejrzeć wszystkie szczegóły.

– Jak w przypadku pilota? Co dała ci rozmowa z nim?

– Dowiedziałem się paru ciekawych szczegółów dotyczących osobowości Gibsona.

– Ale niczego, czego miałeś nadzieję się dowiedzieć?

– Rzeczywiście, nie do końca.

Suzannah westchnęła.

– Czego tu właściwie szukasz? Po co tu przyjechałeś? Brian chwilę się zastanowił nad odpowiedzią.

– Chcę poznać prawdę.

Suzannah pokręciła głową.

– Czyż nie wszyscy tego chcemy?

– Nie mam na myśli prawdy, którą napiszemy na końcu naszego sprawozdania jako wniosek. Szukam prawdy kryjącej się za prawdą. Rozumiesz?

Suzannah patrzyła pytająco.

– Szczerze mówiąc, nie.

– Sądzę, że kiedy skończymy, zrozumiesz.

Góry San Mateo, las narodowy Cibola

Zaparkowali jeepa na leśnym parkingu u stóp zachodniej wypustki góry

Baldy, zarzucili na ramiona plecaki i karabiny i ruszyli na piechotę w kierunku gór San Mateo.

Dzień był słoneczny, na niebie nie było ani jednej chmury, a słupek rtęci wspiął się do prawie trzydziestu stopni. Gdy pokonali drogę numer 107, weszli na wznoszący się łagodnie leśny dukt znikający w gęstwinie lasu Cibola. Wkrótce dukt zamienił się w wąską ścieżkę i mimo chłodu, jaki panował w lesie, szło im się trudno. Kiedy po małej dolince zaczęło się strome podejście, pot zaczął im zalewać czoła. Dave usiadł na pniu przewróconego drzewa, zdjął plecak i przetarł czoło chustką. Mieli za sobą dwie godziny solidnego marszu.

Dave sięgnął po manierkę.

– Masz pojęcie, jak to jeszcze daleko?

Dwain Hamilton rozłożył mapę, wyjął kompas, popatrzył w niebo i na zegarek. Słońce z trudem przebijają się przez gęsty las. Po chwili dotknął palcem mapy.

– Jesteśmy mniej więcej tutaj. – Jego palec wskazywał na południe od góry Withington. – Jeżeli ranger nas nie okłamał, to obóz wojskowy znajduje się po drugiej stronie góry, w niewielkiej dolince otwierającej się na zachód.

– To znaczy musimy dostać się na drugą stronę? – Dave Lazard wskazał na stromą ścieżkę ginącą daleko w górze między zielono-brązowymi gałęziami.

Dwain Hamilton sprawdził za pomocą kompasu ich pozycję.

– Powinniśmy byli pożyczyć GPS... – mruknął Lazard.

– Nie lubię tych nowoczesnych urządzeń. Wystarczy, że baterie się wyładują i człowiek się gubi. – Szeryf uniósł kompas wyżej i kiwnął głową w kierunku słońca. – Wolę polegać na starej technice. Zawsze udawało mi się dzięki niej odnaleźć drogę.

Lazard się uśmiechnął.

– Alleluja!

– Za cztery godziny zacznie zapadać zmrok – powiedział Dwain. – Może uda nam się dotrzeć do strumienia płynącego na zachód od góry. Rozbijemy tam obóz. Nie chciałbym nocować zbyt blisko strefy zamkniętej. Żołnierze patrolują zazwyczaj także na zewnątrz płotu. Gdyby nas złapali, wszystko byłoby na nic.

Lazard wziął kolejny łyk z manierki.

– Idziemy dalej! – zarządził Dwain. – Oszczędzaj wodę. Zapasy będziemy mogli uzupełnić dopiero przy strumieniu, a zostało nam do niego przynajmniej dziesięć kilometrów.

- Powinniśmy podjechać bliżej samochodem, oszczędzilibyśmy dzięki temu mnóstwo czasu i sił.
- I natychmiast spłoszylibyśmy konie, gdyby odkryli samochód. Na parkingu przy sto siódmej ciągle ktoś parkuje. Poza tym jeśli podejdziemy do obozu od stromej strony, będziemy mieli znacznie większą szansę, że nikt nas nie zauważy.
- Bardzo jestem ciekaw, czy cały ten wysiłek się opłaci – rzucił powątpiewająco Lazard. – Na koniec się okaże, że natkniemy się na kilku wychudzonych komandosów, którzy bawią się w wojnę.
- Jeśli tak będzie, przynajmniej się dowiemy, co się dzieje w tym obozie.

Na zachód od Wysp Galapagos, region południowego Pacyfiku

Spektakl, jaki robiło słońce zachodzące w nieruchome morze w lekko migoczącym czerwonym powietrzu, mógł zwalić z nóg. Nawet nieliczne chmury na ciemnoniebieskim niebie wyglądały jak owinięte różowymi prześcieradłami. Na pokładzie „Timbury'ego” panował świąteczny nastrój. Załoga przerwała wszelkie prace i zafascynowana śledziła, jak ciemnoczerwona tarcza powoli znika za horyzontem. Z południowego wschodu wiała umiarkowana bryza, niosąc zapach soli.

„Timbury” był statkiem badawczym Krajowego Urzędu do spraw Oceanów i Atmosfery (NOAA) i krążył w okolicy Grzbietu Galapagos, na południe od Isabeli, między równikiem a piątym stopniem szerokości geograficznej południowej. Celem wyprawy było zdobycie dodatkowych informacji na temat przypuszczalnej anomalii prądów morskich, zwanej El Niño. Statek wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt – sonar głębinowy i streamery do pomiaru prądów głębinowych – był w drodze od trzech dni, próbował zebrać dane, które mogłyby rzucić nieco światła na sprawę pozasezonowego pojawiania się cyklonów. Po przerwaniu bezskutecznej akcji poszukiwawczej „Portlandu” na Pacyfiku, z portów wyruszyły trzy kolejne statki. NOAA potrzebował pewności, ponieważ w obliczu zniszczeń wywołanych przez huragany z minionych tygodni rosła presja opinii publicznej na polityków i przemysłowców, a także – co oczywiste – na służbę meteorologiczną i badaczy oceanów.

Meteorologowie i klimatolodzy pracowali na pełnych obrotach nad zbadaniem przyczyn, które doprowadziły do niecodziennych zjawisk pogodowych.

Większość polityków miała nadzieję, że znajdzie się dość wyjaśnień, które pozwolą uniknąć pytań, dlaczego od lat zawodzi ich polityka dotycząca ochrony środowiska.

Niezależnie od wszelkiego rodzaju badań, pojawiający się w ostatnich latach raz za razem na południowym Pacyfiku, między Ameryką Południową a Australią, El Niño pozostawał niewyjaśniony. Dane pomiarowe były jednak jednoznaczne. Podwyższona średnia temperatura wód powierzchniowych i zbyt wysoka jak na tę porę roku temperatura powietrza w regionie południowoatlantyckim zwiększały prawdopodobieństwo powstawania tropikalnych cyklonów. To właśnie było istotnym wskaźnikiem drastycznego ocieplenia.

Po ośmiu godzinach skupionej pracy członkowie załogi „Timbury'ego” mieli dość. Spuścili do głębszych warstw oceanu trzy streamery i każdy podawał podobne dane: w górnych i średnich warstwach oceanu Prąd Południoworównikowy między zachodnim wybrzeżem Ameryki Południowej i Australią stanął. Tak jakby go nie było. Obserwowane w normalnych latach pasaty południowo-wschodnie wiały niezwykle słabo. Naturalny układ wymiany zimnych głębinowych oraz ciepłych powierzchniowych mas wody, który wytworzył się w naturalny sposób na przestrzeni dziesiątków tysięcy lat, został uszkodzony. Wyż południowopacyficzny, znajdujący się normalnie w pobliżu zwrotnika Koziorożca, przemieścił się na północ. Skutkiem było nagrzanie się wody między równikiem a dwudziestym stopniem szerokości północnej do tej samej temperatury oraz pojawienie się wiatrów z południa, które pchały w ten region ciepłe powietrze, oraz przemieszczenie się północnej komórki Ferrela dalej na północ. Kombinacja tych okoliczności sprawiała, że już niewielkie skoki ciśnienia powietrza sprzyjały powstawaniu tropikalnych cyklonów. Gdyby trend miał się utrzymać, do późnej jesieni należało się liczyć z huraganem niemal co tydzień.

Członkowie załogi „Timbury'ego” byli zgodni co do tego, że jeżeli odpowiedzialne instancje nie podejmą zdecydowanych i daleko idących kroków, to w zasadzie nietrudno przewidzieć, jak sytuacja będzie się rozwijać w najbliższych latach. Symulacji komputerowych było aż za wiele: wbrew popularnej opinii Ziemia nie zamieni się w pustynną planetę. Nastąpi coś wręcz przeciwnego – na Ziemi zapanuje nowa epoka lodowcowa.

Załoga „Timbury'ego” podniosła głowy, aby popatrzeć, jak znad przedniego pokładu unosi się mały czerwony balon pogodowy z radiosondą i wzlatuje coraz wyżej w niebo.

4.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

– ...ciekaj... ogień. Zbliża się... uciekaj... biegnij!

Było to upiorne. Helmut Ziegler leżał przypięty pasami do swojego łóżka i niespokojnie spał. Salę rozświetlało jedynie słabe zielone światło. Od czasu do czasu z jego ust wydobywały się pojedyncze słowa oraz fragmenty zdań. Nie były to niezrozumiałe pomruki ani strzępki, lecz zrozumiałe i wyraźnie akcentowane wyrazy. Słyszać było dokładnie akcenty i poszczególne sylaby.

Jego ciało było nieruchome, ale oczy i mięśnie twarzy znajdowały się w stanie hiperaktywności. Wysokie, zygzakowate fale, zapisywane przez elektroencefalograf, wyraźnie pokazywały, że astronauta miał marzenia senne, które wprowadzały jego podświadomość w stan gorączkowej aktywności. Bez wątpienia przeżywał koszmar senny niezwyklej intensywności.

– ...wszystko wokół dygocze... ziemia się otwiera... pochłania nas... to jest... to będzie...

Z ust astronauty wydobył się głośny krzyk, który rozerwał upiorną ciszę. Ziegler zadygotał, zeszywniał wygięty w łuk i astronauta trwał tak z zamkniętymi oczami niemal przez minutę. Aktywność mózgu osłabła i wróciła do normy. Aktywność zakrytych powiekami oczu, mierzona za pomocą EOG, niemal zamarła. W końcu jego ciało rozluźniło się i astronauta zapadł w spokojny sen.

Suzannah Shane siedziała w pokoju obok i patrzyła przez wielkie okno na chorego.

– Wrócił do fazy pierwszej. Uspokaja się.

Ziegler był podłączony do urządzeń do pomiaru aktywności elektrycznej mózgu oraz ruchu gałek ocznych, a także do wielofunkcyjnego systemu

nadzorującego. Mierzył on ciśnienie krwi, częstotliwość oddechu i tętno oraz aktywność mięśni. Kiedy astronauta wchodził w fazę REM, wartości mierzonych parametrów rosły. Przede wszystkim ciśnienie krwi i częstotliwość oddechu osiągały poziom niepokojący z medycznego punktu widzenia. Można się było obawiać zarówno ostrego ataku hiperwentylacji, jak i udaru mózgu oraz zawału serca. Instrumenty nie mówiły tylko jednego, dlatego po głowie Zieglera krążyły te przerażające obrazy.

Suzannah przyglądała się danym zapisanym przez kolejne instrumenty i wpisywała liczby do laptopa.

– Faza zasypiania trwała cztery minuty, faza druga szesnaście, faza trzecia dziewiętnaście, potem przeszedł na dwadzieścia cztery minuty w fazę snu głębokiego. Aktywność REM trwała siedemnaście minut. To bardzo długo.

Brian spojrział Suzannah przez ramię.

– Już się obawiałem, że dostanie zapaści. U niewytrenowanej osoby przy takich wartościach mogłoby dojść do apopleksji.

– Jest astronautą – odparła Suzannah. – Nie zapominaj, że fizycznie jest w znakomitej formie.

– Mimo to żaden człowiek nie wytrzyma tego na dłuższą metę.

– Chcesz go znowu naszpikować środkami uspokajającymi?

Brian pokręcił głową.

– Musi przez to przejść – powiedziała Suzannah. – Najpóźniej w przyszłym tygodniu chcę zacząć z hipnozą. Do tego czasu jego organizm musi usunąć resztki leków.

Z głośnika przekazującego odgłosy z pokoju obok doleciało głośne stęknienie. Ziegler zaczął dygotać, a urządzenia hałaśliwie ożyły – rejestrowały ponownie intensywny ruch gałek ocznych. Brian z niepokojem popatrzył na Suzannah.

– Znowu wchodzi w fazę REM... po niecałych pięciu minutach... – powiedziała zdumiona Suzannah.

Ciało astronauty ponownie wygięło się w łuk. Jego ręce i nogi dygotały gwałtownie. W końcu pękły bandaże, którymi był przywiązany do łóżka.

– Pali się... płoną!

Słowa zamieniły się w chrapliwy wrzask. Ziegler uniósł tułów.

– Pełne napięcie mięśni! Jest napięty jak sprinter tuż przed startem!

– Szybko! – krzyknęła Suzannah i jednym szarpnięciem otworzyła drzwi do sali Zieglera.

Astronauta wstał z łóżka. Przyklepione do jego ciała czujniki poodrywały się i pospadały na podłogę. Zaczął machać rękami, robił chaotyczne, niekontrolowane kroki, a kiedy zaplątał się w owinięte wokół kable, zachwiał się, jakby zaraz miał się przewrócić.

Suzannah usiłowała wciągnąć do strzykawki lek, a Brian próbował objąć Zieglera i go przytrzymać. Raz za razem musiał robić uniki, żeby uniknąć uderzenia. W końcu udało mu się złapać lunatykującego astronautę za nadgarstek. Zanim jednak dobrze go chwycił, dostał pięścią w skroń. Przez chwilę stanęły mu gwiazdy przed oczami, a ciało zalała fala bólu. Próbował pokonać ogarniającą go słabość i uchylił się przed kolejnym ciosem. Odruchowo padł do przodu, równocześnie obejmując tułów Zieglera. W śpiącym astronautcie tkwiła niezwykła siła. Brian został szarpnięty w bok i zatoczył się, na szczęście udało mu się utrzymać na nogach. U ludzi w stanie śmiertelnego strachu czasami wyzwala się niespotykana siła i walczą z zagrożeniem każdą komórką ciała, a Brian czuł, że Zieglera przepelnia śmiertelny strach.

Miał tylko jedną szansę – musiał go przewrócić. Dopiero wtedy Suzannah zdołała zrobić zastrzyk. Brian wyprostował się i natychmiast wytrysnęła w jego kierunku ręka Zieglera. Tym jednak razem Brian był przygotowany – złapał rękę i założył dźwignię.

Ziegler potknął się i padł na podłogę. Suzannah podbiegła ze strzykawką. Brian był przygotowany, że do utrzymania chorego będzie musiał zebrać wszystkie siły, okazało się jednak, że się pomylił. Ledwie astronauta dotknął podłogi, oklapł bez sił. Leżał jak spokojnie śpiący człowiek.

– Już po wszystkim – powiedział Brian, kiedy Suzannah pochyliła się ze strzykawką.

– W każdej chwili może nastąpić nawrót. – Podciągnęła Zieglerowi rękaw pizamy.

Brian położył dłoń na jej dłoni.

– Daj spokój, to tylko nas cofnie. Zaniosę go na łóżko i przypniemy go. Tylko że tym razem nie weźmiemy bandaży, a zwykłe pasy.

Suzannah pytająco patrzyła na Briana, ten jednak zdecydowanie skinął głową. Na policzku pojawił mu się siniak.

– Boli? – Położyła dłoń na siniaku.

– W zasadzie trudno wytrzymać – odparł Brian z uśmiechem. – Myślę, że pomoc może tylko dobry psycholog.

Suzannah pogłaskała Briana po twarzy.

– Oj, chyba znam kogoś, kto jest bardzo dobry...

Góry San Mateo, las narodowy Cibola

Rozbili obóz u południowego podnóża góry Withington. Ugotowali na ognisku kawę i odgrzali puszkę fasoli. Po jedzeniu Dwain Hamilton sięgnął do kieszonki koszuli i wyjął pudełko cygaretek. Poczęstował Lazarda, ten jednak odmówił.

– Sądziłem, że masz to już za sobą – powiedział Lazard.

Dwain zapalił cygaretkę gałązką z ogniska i głęboko się zaciągnął.

– Przestałem palić, bo Margo tak chciała, ale teraz jej nie ma i nie wróci, więc wszystko jedno, czy palę, czy nie.

Lazard pokręcił głową.

Hamilton powiódł wzrokiem po mrocznej okolicy. Podskakujące płomienie sprawiały, że między drzewami tańczyły ciemne cienie.

– Strasznie długo nie byłem na biwaku... – powiedział z zadumą szeryf. – Kiedyś często tu przyjeżdżałem... spędzałem w Ciboli całe dni. Brakowało mi tego.

Rozmawiali długo o przeszłości, Margo i jego rozstaniu z nią, aż w końcu zmęczeni schowali się w namiocie.

Dwain obudził się wraz ze wschodem słońca. Obudził Lazarda i po krótkim śniadaniu wyruszyli ponownie w drogę.

– Jeżeli utrzymamy tempo, wejdziemy do południa na górę i do wieczora zdążymy dojść na drugą stronę.

– Jak to do wieczora? – zaprotestował Lazard. – Przecież to nie jest aż tak daleko...

– Niecałe pięć kilometrów, problem jednak w zejściu po tamtej stronie. Jest tam kilka nagich ścian.

Lazard z niedowierzaniem popatrzył na szeryfa.

– Co jest? – spytał Hamilton.

– Zejść... na linach, jak alpiniści?

Dwain Hamilton wzruszył ramionami.

– A co, to dla ciebie jakiś problem?

– Wiesz, kiedy ostatni raz się wspinałem? W szkole średniej!

– Nie martw się, wujek ci pomoże. Nie dam ci zginąć. – Dwain uniósł wyżej zwój pomarańczowej liny i Lazard się skrzywił.

– Idziesz? – spytał szeryf.

– A mam wybór?

Niewielka dolina po kilkunastu minutach się otworzyła i ukazał się przed nimi widok południowo-zachodniej strony góry Withington. Mieli przed sobą nagą, zimną skalną ścianę. Po następnych kilkunastu minutach las zaczął się przerzedzać, a ścieżka zamieniła się w szeroką drogę. Przez dłuższy czas szli wzdłuż górskiego potoku. Zrobili sobie kilkuminutowy odpoczynek i napełnili menażki kryształowo czystą, zimną wodą. Po jakimś czasie las znowu zrobił się gęsty, ścieżka wąska i zaczęło się pierwsze podejście. Szło im się ciężko – pokonywali trasę dysząc, pochyleni do przodu, wykorzystując każdą możliwość przytrzymania się i odciążenia nóg. Po kolejnych kilkunastu minutach stromizna zaczęła maleć, zanim jednak doszli do płaskowyżu, drogę zagroził im wysoki zardzewiały płot.

PRZEJŚCIE WZBRONIONE! TEREN WOJSKOWY! – ostrzegwał czerwony napis na rozpadającym się szyldzie z desek zamocowanym w połowie wysokości płotu.

Lazard padł ciężko na ziemię.

– I co teraz? – wydyszał.

Dwain Hamilton przyglądał się siatce zwieńczonej zwojami drutu kolczastego. Za płotem leżała sterta rolek zardzewiałego drutu kolczastego.

– Najwyraźniej ktoś chce mieć pewność... – Westchnął. – Bramy tu żadnej nie będzie...

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Skończyli badać sen pacjenta o pierwszej w nocy. Po tym jak z pomocą dwóch pielęgniarzy położyli Zieglera na łóżku i przypięli pasami, wyszli ze szpitala i udali się do swoich domków. Suzannah przez chwilę miała ochotę zaprosić Briana na drinka, po solidnym zastanowieniu się uznała jednak, że tego nie robi. Dobrze się czuła w jego towarzystwie i tęskniła za jego dotykem, ale rozsądek podpowiadał, że jeszcze za wcześnie. Nie przeżyłaby drugiego rozczarowania. Brian wyczuwał, co ona przeżywa, i nie podjął jakiegokolwiek próby, żeby zmusić ją do czegokolwiek. Pocałował ją lekko w policzek, życzył dobrej nocy i poszedł do siebie. Z radością stwierdził, że tym razem się nie odsunęła.

Umówili się na śniadanie i kiedy wyszła z pokoju, już czekał pod drzwiami. Gdy zauważyła, jak bardzo zaczerwieniony i opuchnięty ma policzek, w jej spojrzeniu pojawiło się współczucie.

- Nieźle oberwałeś – powiedziała ze współczuciem. – Wejdz, mam maść. Brian pokręcił głową.
- Szkoda zachodu, to nie pierwszy raz, kiedy dostają po łbie. Poruszałem się zbyt wolno.
- Był nie do opanowania. Powinniśmy zaczekać na pielęgniarzy.
- Musieliśmy do niego wejść. Oszalał i mógł sobie zrobić krzywdę.
- Dziś w nocy od razu przypniemy go dwoma porządnymi pasami. Coś takiego nie może się powtórzyć.

Zjedli duże śniadanie i poszli do szpitala przejrzeć zapisy urządzeń z minionej nocy. Po tyra jak go zostawili, Ziegler spędził resztę nocy dość spokojnie. Co prawda pojawiały się jeszcze niezwykle długie fazy REM z podwyższonym pobudzeniem psychicznym, ale nie występowały w nich zagrażające życiu lub zdrowiu wartości parametrów życiowych. Pacjent też już nic więcej nie powiedział. Kiedy do niego przyszli, leżał spokojnie na łóżku i słuchał dolatującej z głośników uspokajającej muzyki klasycznej.

Brian przysunął sobie krzesło, usiadł i zaczął się przyglądać austriackiemu astronautcie, który przypominał wyglądem postać ze świętego obrazu.

- Wiele dałbym za możliwość zajrzenia do jego mózgu. O czym teraz myślisz? Co chodzi mu po głowie?
 - Jesteśmy tu po to, żeby się tego dowiedzieć – odparła Suzannah. – Moim zdaniem robimy postępy. Małe, ale jestem przekonana, że mu pomożemy.
 - Czy kiedyś jeszcze będzie mógł normalnie żyć?
- Suzannah położyła Brianowi dłoń na ramieniu.
- Nie mam pojęcia.
 - Ach, tutaj są nasze dwa gołąbeczki! – zadudnił za ich plecami czyjś głos. Odwrócili się gwałtownie.

Do pokoju obserwacyjnego wkradł się bezgłośnie profesor Thomas Brandon.

- Obecnie już nie pukamy? – spytał Brian.
 - To nie pensjonat dla pańek z dobrego domu – odparł Brandon. – Zapomniał pan, po co tu jesteście?
- Briana krew załała, ale Suzannah mocniej ścisnęła jego ramię.
- Chciałem tylko zapoznać się ze stanem waszego dziecka. Słyszałem, że doszło do jakiegoś incydentu.
 - Żadnego wartego przedyskutowania – odparła Suzannah.
- Brandon wskazał na zaczerwieniony policzek Briana.

– W takim razie Saint-Claire nie trzymał łap przy sobie... czy ma spuchniętą gębę z jakiegoś innego powodu?

– Proszę stąd wyjść! – powiedział groźnie Brian. – Jeśli nie, to pańska gęba też zaraz tak będzie wyglądać!

Brandon się uśmiechnął.

– Nie ma obawy, już idę... Proszę jednak nie zapominać, że mamy dziś w południe spotkanie. O drugiej w sali konferencyjnej. Punktualnie, jeśli to możliwe...

Kiedy Brandon wyszedł, Brian wstał.

– Mógłbym go udusić! – rzucił i popatrzył Suzannah w oczy.

– Chętnie bym ci w tym pomogła.

5.

Góry San Mateo, las narodowy Cibola

Dwain Hamilton i jego siostrzeniec przetrząsnęli okolicę w poszukiwaniu pnia, który udałoby się wykorzystać do przejścia przez płot, niestety, nie znaleźli żadnego. Szeryf przez chwilę miał ochotę po prostu przeciąć płot. Ale jak przeszliby przez steretę drutu kolczastego za ogrodzeniem?

Nie pozostało im nic innego, jak iść wzdłuż płotu z nadzieją, że znajdą miejsce, w którym pokonają przeszkodę. Skierowali się na wschód, gdzie zbocze stromo opadało. Teren stawał się coraz trudniejszy i musieli uważać, żeby nie obsunąć się w przepaść.

Za płotem teren robił się bardziej płaski. Pojawiła się droga, po której często musiały jeździć ciężkie pojazdy. Wewnątrz otoczonego płotem terenu, jedynie kilka metrów od niego, leżała gigantyczna sarta pni.

– Sądziłem, że to strefa ochrony przyrody – rzekł Lazard. – Skąd wzięły się te setki wyciętych drzew?

Dwain wzruszył ramionami.

– Na pewno nie pochodzą stąd. Przywieziono je tą drogą. Mogą pochodzić z centralnej części ogrodzonego terenu.

Poszli dalej.

– Ile uszliśmy? – spytał po jakimś czasie zdyszany Lazard i stanął.

Dwain startł pot z czoła.

– Moim zdaniem trzy, może cztery kilometry.

– Tylko tyle? Mam wrażenie, jakbyśmy zrobili dwadzieścia.

Dwain wybuchnął śmiechem.

– Odzwyczałeś się. Lata w Los Angeles zrobiły z ciebie mięczaka.

Lazard machnął ręką.

– Bzdura. Gdybym wiedział, że chcemy się włamać do Fort Knox, tobym potrenował. Brakuje mi tylko trochę kondycji, nic poza tym.

Po pięciominutowej przerwie ruszyli dalej. Las znowu zgęstniał, a ścieżka zrobiła się bardziej stroma. Pamiętając cały czas o tym, żeby się nie ześlizgnąć, zbliżali się powoli do zachodniej wypustki góry Withington. Teren robił się coraz trudniejszy.

Wkrótce zeszli na dno doliny, następnie znowu zaczęli ostre podejście. Po kilkuset metrach stali przed nagą skałą. Mieli przed sobą niemożliwe do pokonania urwisko, głębokie na minimum dwieście metrów. Płot kończył się kilka metrów dalej, przy krawędzi, ale także i tu zadbano o zabezpieczenie terenu przed intruzami – końcówka płotu opierała się na potężnych słupach połączonych ze sobą kilkoma warstwami drutu kolczastego. Nawet sprawny alpinista nie pokonałby naszpikowanej stalowymi kolcami bariery.

– Nie mam pojęcia, jak można by tędy przejść – powiedział po obejrzeniu terenu Dwain Hamilton.

– Nie mów teraz, że wszystko na nic.

– Miejmy nadzieję, że nie. Musimy tylko jakoś przedostać się na drugą stronę. – Dwain wskazał na przeciwległą stronę szerokiego na mniej więcej sto metrów wąwozu.

Lazard popatrzył na przeciwną stronę, gdzie ku niebu wystrzeliwały wysokie sosny. Na dnie wąwozu leżały głazy i odłamki skalne.

– Zbocze najwyraźniej się obsunęło i odsłoniło nagą skałę – rzekł Dwain.

– Albo zostało wysadzone.

– Dlaczego ktoś miałby coś takiego robić?

Lazard wskazał w górę.

– Dlatego!

Za płotem wznosił się potężny maszt nadawczy zakończony długim, zrobionym z ciemnego metalu prostopadłościanem, na którego szczycie zamontowano wielką kulę.

Dwain sięgnął po lornetkę.

– Nie było go tu przedtem...

Lazard pochylił się do przodu.

– To na pewno ich antena nadawcza. W końcu obóz leży w cieniu góry.

Dwain skinął głową. Zanim zdążył odpowiedzieć, jego siostrzeniec głośno zaklął. Kiedy odwrócił się w jego kierunku, stwierdził, że Lazard zsuwa się po stromym zboczu. Szeryf wyciągnął szybko rękę, ale nie zdążył go złapać.

– Dave! – wrzasnął.

Po zsunięciu się mniej więcej pięć metrów, Lazardowi udało się złapać za młode drzewko. Kiedy objął oburącz cienki pień, wrzasnął z bólu.

– Cholera jasna! Trzymaj się, idę do ciebie! – zawołał Dwain.

– Pospiesz się!

Dwain Hamilton zdjął plecak i drżącymi palcami obwiązał linę wspinaczkową wokół grubego pnia. Choć sytuacja była groźna, starał się zachować spokój i zanim zaczął zejście, jeszcze raz sprawdził zamocowanie liny. Był na tyle doświadczonym wspinaczem, że wiedział, jak ważne jest porządne zabezpieczenie. Zsuwał się powoli i ostrożnie do Lazarda, który kurczowo obejmował drzewko.

– Coś ci się stało? Coś cię boli? – spytał Dwain, kiedy znalazł się na wysokości siostrzeńca. Wpiął linę w karabińczyk przy pasie swojego zastępcy i pociągnął, aby ją naciągnąć. Lazard oddychał płytko i szybko i cicho pojękiwał.

– Cholera jasna, chyba złamałem nogę...

Dwain Hamilton ostrożnie podciągał się na linie w górę. Lazard cały czas obejmował drzewko. Zbielały mu kostki dłoni.

– Możesz się puścić. Lina cię utrzyma – zapewnił szeryf.

Lazard przyjrzał się sceptycznie pomarańczowej linie.

– Jest za cienka na nas dwóch.

– Sztuczne włókno, wytrzyma słońia. Podciągnę cię, musisz tylko trochę pomóc.

Lazard skinął głową i puścił drzewko. Po małym szarpnięciu obaj zawiśli nieruchomo w powietrzu. Dwain silnymi ruchami rąk wciągał siebie i siostrzeńca po skalnej ścianie. Pot spływał mu z czoła. Powoli zbliżali się do krawędzi. Kiedy szeryf wciągnął Lazarda na bezpieczny teren, padł ciężko na ziemię i próbował odzyskać oddech.

– No to mamy niezłe przerąbane – rzucił Dave Lazard. Bezskutecznie próbował stanąć na lewej nodze.

– Zaniosę cię.

– To za daleko, nigdy ci się nie uda...

Dwain jednak już stał, chwycił siostrzeńca i podniósł go wraz z plecakiem nad ziemię. Dave Lazard wylądował na jego ramionach jak upolowany jeleń.

– Może być? – spytał Dwain.

– Oszalałeś, nigdy nie dojdziemy do samochodu.

– Niestety, nie mam pistoletu, więc nie mogę cię dobić. Nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć cię ze sobą. Inaczej nie mógłbym pokazać się ukochanej siostrze na oczy.

Dwain Hamilton z trudem zaczął pokonywać skomplikowaną drogę powrotną. Jak najostrożniej niósł rannego siostrzeńca w dół stromej ścieżki. Kiedy zaczął zapadać zmierzch, dotarli do miejsca, z którego rano wyruszyli. Najtrudniejszą część drogi mieli przed sobą – na dodatek czekało ich pokonanie jej po ciemku. Dwain liną przywiązał sobie rannego siostrzeńca do pleców. Lazard próbował protestować, ale szeryf nie zamierzał go słuchać.

– Gdybyś stracił przytomność, mógłbyś spaść mi z pleców – wyjaśnił. – I polecisz w przepaść. Tym razem nie miałbyś się czego złapać – tu jest jeszcze bardziej stromo niż tam na górze, gdzie osunęło się zbrocze.

Dwain zabezpieczył się liną, którą obwiązał się w pasie. Przywiązał górny koniec do drzewa i zsuwał się powoli. Lina miała pięćdziesiąt metrów i było jasne, że nie starczy jej do końca, miał jednak nadzieję, że na dolnym odcinku, gdzie nie było aż tak stromo, znajdzie coś, na czym będzie mógł się oprzeć. Wykrzesał z siebie resztkę sił. Jego klatka piersiowa pracowała jak u zmordowanego konia, puls szalał, ale Dwain stawiał krok za krokiem. Teren w końcu przestał być tak stromy i Dwain pokonał ostatnie metry bez liny. Kiedy dotarli na dno doliny, było już całkiem ciemno. Dwain ostrożnie zdjął siostrzeńca z pleców. Dave był nieprzytomny. Jego czoło płonęło, ale oddychał spokojnie i równomiernie. Szeryf zdawał sobie sprawę z tego, że może odpocząć jedynie kilka minut.

Musiał jak najszybciej dostać się do samochodu. Lazard potrzebował pomocy lekarza. Dwain na chwilę położył się w wilgotnej trawie, zamknął oczy i spróbował wziąć kilka spokojnych oddechów. Kiedy otworzył oczy, oślepiło go jaskrawe światło silnej latarki.

– Co tu robicie? To zamknięty teren wojskowy! – doleciał zza światła natarczywy głos.

Dwain zasłonił oczy dłonią.

– Mieliśmy wypadek. Mój siostrzeniec spadł ze zbrocza. Jestem szeryfem hrabstwa Socorro, a to mój siostrzeniec. Obawiam się, że ma złamaną nogę.

Podbiegło dwóch ludzi w oliwkowych mundurach maskujących i pochyliło się nad Lazardem. Dwain Hamilton odetchnął.

– Polowaliśmy. Chcieliśmy spędzić kilka dni na łonie natury. Mam pozwolenie z dystryktu leśnego Magdalena. Nie wiedziałem, że weszliśmy na

zamknięty teren. Nie widziałem żadnych znaków. Zgubiliśmy się trochę i dotarliśmy do urwiska. Poślizgnął się tam i zsunął kilka metrów po zboczu.

– Skąd przyszliście? – spytał żołnierz.

– Z South Baldy. Ostatni raz byłem tu dziesięć lat temu. Można było wtedy wejść na sam szczyt i właśnie tak chcieliśmy zrobić. Proszę mi pomóc. On musi jak najszybciej dostać się do szpitala. Mój samochód stoi na parkingu przy drodze sto siódmej.

– Zniósł go pan sam po całym zboczu? – odpowiedział pytaniem żołnierz.

– Niezły wyczyn, szeryfie. Nasz jeep stoi niedaleko. Pomożemy wam.

Rów Kajmański, Morze Karaibskie, na północ od Jamajki

Biały jacht podskakiwał delikatnie na łagodnych falach u wybrzeży Jamajki. Woda migotała w jasnych promieniach słońca.

Doktor Jon Smith i towarzyszący mu doktor Enrico Garcia Marquez byli biologami morza i pracowali jako wolni strzelcy dla Instytutu Biologii Morza w Galveston. Od czterech tygodni znajdowali się w regionie głębokiego do siedmiu tysięcy siedmuset metrów Rowu Kajmańskiego, tuż przy wejściu do Zatoki Meksykańskiej, i prowadzili badania dotyczące powstawania raf koralowych na Morzu Karaibskim. Od kilku lat biologzy morza byli bardzo zaniepokojeni postępującą szybko śmiercią raf koralowych. Winę także za to przypisywano globalnemu ociepleniu. Ostatnio udało się za pomocą nowych technologii odbudować w okolicy Jamajki duże płaszczyzny częściowo obumarłej rafy koralowej i dzięki sztucznemu zasiedlaniu białą śmierć – jak naukowcy nazywali obumieranie rafy koralowej – przynajmniej chwilowo zatrzymano. Tak zwany eksperyment jamajski wskazywał innym państwom nadmorskim sposób, w jaki można przeciwdziałać obumieraniu raf koralowych.

W trakcie dzisiejszego nurkowania, zaplanowanego na dwudziestu metrach głębokości, naukowcy chcieli zbadać „chleb morza”. W ostatnich latach z powodu niepokojącego stanu wód ucierpiały karaibskie zasoby planktonu, ale istniały też powody do nadziei: w strefach wynoszenia z głębin zimnej, ale bogatej w substancje odżywcze wody zaczęto ostatnio stwierdzać występowanie różnorodnych gatunków planktonu. W trakcie całorocznego badania chciano przeanalizować, jaki wpływ wywiera ten trend w ciepłych warstwach morza, w większej odległości od brzegu. Dla Jona Smitha, kierownika projektu,

był to już czwarty miesiąc, jaki spędzał w Span Town, gdzie grupka badaczy wynajęła dom. Piękny biały jacht z nieco mylącą nazwą „Tajfun” został wycarterowany na czas trwania badań.

Nurkowanie było za każdym razem dużym przeżyciem nawet dla Jona, z którego żartowano, że wyrosły mu już skrzela, nawet jeżeli miał nurkować – jak było to zaplanowane na ten właśnie dzień – w błękitnej toni pełnej wielobarwnych i bogatych w faunę raf, aby pobrać z różnych głębokości próbki wody. Jon Smith właśnie zakładał aparat nurkowy, gdy usłyszał basowe dudnienie. Wstał i popatrzył w niebo. Od czasu do czasu zdarzało się, że po niebie przemykały myśliwce, które miały bazę w Kingston, tym razem na niebie nie było jednak niczego widać. Huk mimo to się nasilał.

– Popatrz na to! – zawołał Enrico, który stał na przednim pokładzie i wychylał się przez reling. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem!

Jon odłożył butle na pokład i podszedł szybkim krokiem do kolegi. Z głębi morza na powierzchnię wydobywały się duże bąble. Huk zamienił się w ogłuszający łoskot. Powietrze paskudnie śmierdziało.

– Co to może być? – Jon wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w wodę. Nagle się odwrócił. – Musimy stąd uciekać! – rzucił i niemal biegiem ruszył w kierunku kajuty.

Bąbli w wodzie było coraz więcej. Morze wokół jachtu jakby się gotowało. Pęcherze wydobywającego się na powierzchnię gazu były coraz większe. Jacht zakiwał się na boki.

Huknął grzmot i jacht został uniesiony. Jon złapał za liny przy zejściówce. Rozległ się głośny krzyk Enrica, ale zginął w ogólnym hałasie. Dziób „Tajfuna” uniósł się wysoko, przez chwilę kadłub stał pionowo w powietrzu, a następnie rufa poszła pod wodę. Kilkanaście sekund później było po wszystkim: ocean pochłonął jacht wraz z dwuosobową załogą. Woda migotała w słońcu, lekka bryza zwiewała smród na południowy wschód.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

– Teorie Einsteina są w dalszym ciągu nie do obalenia – oznajmił profesor Haarmann z głębokim przekonaniem. – Co prawda, dzisiaj niektórzy koledzy twierdzą, że prędkość światła w próżni nie jest stała. W obliczu postępów technologii kwantowej może należy zaktualizować teorie Einsteina, ale jego

twierdzenia dotyczące masy są nie do obalenia. W tym zakresie nic się nie zmieni w ciągu najbliższych lat.

Lisa White Eagle zbyła te słowa machnięciem ręki.

– Nikt w tym pokoju nie twierdzi z powagą, że Discovery został porwany przez burzę w przyszłość albo że – jak pokazuje się to w co drugim filmie science fiction – z nieba spadła anomalia czasowa, połknęła statek i zaraz potem go wypuła. Musimy jednak pamiętać o tym, że mimo wszelkich prób nie mamy jeszcze żadnego wyjaśnienia zjawiska.

– Matematyka zezwala na istnienie tachionów, ale jak na razie są jedynie tworem teoretycznym – powiedział Joseph Stone.

– Nie wątpię – odparła Lisa White Eagle. – Rozwiązanie uzyskamy jednak tylko wtedy, gdy odkryjemy przyczynę błędu systemowego. Jedynie w ten sposób coś osiągniemy.

– Boże drogi! – przerwał jej Haarmann. – Pracujemy niecały tydzień! Poznaliśmy już powód uszkodzenia zewnętrznego poszycia promu kosmicznego i udowodniliśmy, że piorun dostał się do wnętrza w wyniku tych właśnie uszkodzeń. Moim zdaniem prędzej czy później stwierdzimy coś podobnego, jeśli chodzi o ten nieszczęsny zegar. Może był to czysty przypadek i jego prawdopodobieństwo wykracza poza granice rozsądnie wytłumaczalnej wartości, ale w końcu tak samo mało prawdopodobne jest uderzenie pioruna w obiekt latający. Jeżeli założymy, że nagłe wyładowanie wpłynęło nie na sam zegar cezowy, ale na jeden z połączonych z nim komponentów, na przykład detektor synchronizacji, generator częstotliwości albo jednostkę kwarcową, prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy.

– W takim razie musimy sprawdzić inne schematy eksperymentalne – wtrąciła Lisa White Eagle.

Profesor Haarmann litościwie się uśmiechnął.

– Ależ łaskawa pani, mamy na rozwiązanie tej zagadki tylko jedno życie. Aby uwzględnić wszystkie ewentualności schematów eksperymentalnych, jedna osoba potrzebowałaby na rozwiązanie zagadki dwudziestu trzech tysięcy lat!

– Czy to znaczy, że pańskim zdaniem przesunięcie czasowe może być wynikiem jakiegoś zaburzenia spowodowanego przez uderzenie pioruna w któryś z elementów współpracujących z jednostką sterującą? – spytał profesor Paul.

Profesor Haarmann pogłaskał się po podbródku.

– Powiedzmy to tak: nie mogę wykluczyć tego ze stuprocentowym prawdopodobieństwem.

– Jakich postępów dokonaliśmy z naszymi pacjentami? Słyszałem, że mioniej nocy doszło do jakiegoś incydentu – zwrócił się Paul do profesora Branda.

Brandon pokręcił głową.

– Z Sandersem wszystko jest w porządku. – Popatrzył drwiąco na Suzannah Shane.

– Mieliśmy mały problem z Zieglerem – powiedziała Suzannah. – Uwolnił się z zabezpieczenia i wstał. Musieliśmy go ponownie przypiąć.

– W efekcie mam małą szramę na twarzy – dodał Brian. – Nic wielkiego się nie stało. Damy mu dziś spokój i sądzimy, że uda nam się zacząć terapię w poniedziałek.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, jak to możliwe, że podczas snu, ludzie mówią, a po przebudzeniu nie odzywają się ani słowa – zdziwił się Paul.

Suzannah się uśmiechnęła.

– Okresowa afazja spowodowana zaburzeniem traumatycznym nie jest wyjątkiem. Jeżeli uda nam się odpowiednio przepracować blokadę, widzę dużą szansę na pełne wyleczenie obu astronautów. Musimy jednak zakładać długotrwałe działanie.

Paul skinął głową.

– Nikt nie oczekuje od państwa rozwiązania naszych problemów z dnia na dzień. Mam raczej nadzieję, że ten zespół stworzy przydatne pomysły i sposoby, które po wypróbowaniu i udoskonaleniu pomogą tym nieszczęśnikom. Uważam, że na dziś wystarczy. Spotkamy się ponownie w tym samym miejscu i o tej samej godzinie w poniedziałek. Dziękuję państwu.

Wszyscy wstali i ruszyli za profesorem Paulem do wyjścia.

– Panie Saint-Claire! Brianie! – rozległ się głos Wayne'a Changa. – Możemy chwilę porozmawiać?

Brian skinął głową i wrócił do długiego stołu konferencyjnego. Zostali sami.

– Mam nowie wieści z NOAA z Boulder – powiedział Wayne.

Brian usiadł.

– Ratownicy morscy odnaleźli zaginiony w huraganie Cezar samolot meteorologiczny i wydobyli czarną skrzynkę. Tuż przed przerwaniem zapisu drugi pilot dostał ataku paniki. Wrzeszczał jak opętany. Wydawało mu się, że w chmurach jest coś, co chce po niego sięgnąć. Zaraz po tym zapis się urywa.

– Mógłbym dostać ten materiał?

– Przez najbliższe dwa dni będę w drodze, ale zdobędę kopię nagrania. Do poniedziałku zdążę wrócić.

Po tym jak Chang wyszedł z sali konferencyjnej, Brian siedział jeszcze przez kilkanaście minut i wyglądał przez okno.

Beaumont, Teksas

Następnego dnia rano Wayne Chang poleciał „międzymiastowym skoczkiem” American Airlines z Orlando do Houston. Stone, Lisa White Eagle i Haarmann wykorzystali weekend na stworzenie nowego schematu eksperymentalnego do rekonstrukcji uderzenia pioruna w Discovery. Wayne wziął sobie wolne na cały weekend. Budowa instalacji należała do fizyków.

Obiecał Jennifer, że do południa dotrze do Beaumont, ale już na lotnisku zaczął go prześladować pech. Kiedy wsiadał do samolotu, poinformowano go, że wylądują w Houston z godzinnym opóźnieniem. Winę za to ponosiły silne wiatry i ulewy, które pojawiły się nad Wirginią Zachodnią w ognie Cezara. Z tego powodu jego samolot miał lecieć wzdłuż wybrzeża. Ledwie pasażerowie przeszli do odpowiedniej bramki, ogłoszono następne opóźnienie, ponieważ badanie techniczne wykazało uszkodzenie silnika boeinga 737. Minęła kolejna godzina i Wayne klął jak szewc. Odetchnął dopiero wtedy, gdy samolot odezwał się od pasa startowego i zaczął nabierać wysokości. Było jasne, że nie zdąży na czas do Muzeum McFaddina, w którym czekała Jennifer. Akurat teraz nie mógł jej zawiadomić o problemach. W samolocie, którym leciał, nie można było korzystać z telefonu. Wayne miał nadzieję, że przynajmniej lot i lądowanie przebiegną bez problemów i na szczęście tak się stało. Po półtoragodzinnym locie i kilku pętlach nad lotniskiem w Houston maszyna wylądowała.

Pech nie opuszczał go w dalszym ciągu. Jego walizka w tajemniczy sposób zniknęła i Wayne spędził półtorej godziny w biurze linii lotniczej, gdzie pracownik dziesiątki razy go przeproszał i zapewniał, że dostanie odszkodowanie za wszystkie zaginione przedmioty zaraz po tym, jak wypełni odpowiednie zgłoszenie. Na koniec w ramach zadośćuczynienia Wayne dostał kupon na darmowy przelot trzystu kilometrów liniami American Airlines i przyjął go, z trudem hamując złość. W końcu nieszczęsny urzędnik nie był winien temu, co się stało.

Po kolejnych dwudziestu minutach opuścił halę przylotów i zaczął gorączkowo szukać budki telefonicznej – komórkę miał oczywiście w walizce. Kiedy

wreszcie znalazł wolny automat, dotarło do niego, że nie zna numeru Jennifer. Znajdował się oczywiście na karcie SIM jego aparatu. Rozdygotany zaczął szukać punktu wynajmu samochodów i ruszył wynajętym autem do Beaumont. Mógł mieć tylko nadzieję, że Jennifer czeka. Wiedział tylko, że mieszka gdzieś w pobliżu Cardinal Drives, ale nie znał dokładnego adresu.

Wjechał na między stanową numer 90 i ostro przyspieszył, ignorując wszelkie ograniczenia prędkości. Miał nadzieję, że patrol policji drogowej stara się przespać upalny dzień na parkingu któregoś z licznych moteli albo restauracji przy autostradzie. Wayne słyszał kiedyś, że w Teksasie można z powodu przekroczenia prędkości zostać zamkniętym na kilka godzin w areszcie. Policjanci najwyraźniej wysłuchali jego prośby, ponieważ w czasie jazdy nikt go nie nękał. Pędząc lewym pasem, cały czas miał świadomość, jak ważne jest to spotkanie z Jennifer Oldham. Kiedy tuż po trzeciej wjechał do Beaumont, serce waliło mu jak oszalałe. Czuł się, jakby w brzuchu kłębiły mu się chmury motyli i mógł to wyjaśnić tylko w jeden sposób: zakochał się w kobiecie z długimi ciemnymi włosami i wielkimi oczami.

Gdy wreszcie dotarł na parking pod Muzeum McFaddina, był zlany potem. Rozejrzał się nerwowo. Jennifer siedziała na ławce obok głównego wejścia do szacownego budynku. Jej ciemne włosy błyszcząły w słońcu.

Szpital w Socorro, Nowy Meksyk

Dwain Hamilton trzymał w dłoniach bukiet kwiatów i szedł powoli szpitalnym korytarzem. Za każdym razem, kiedy ktoś nadchodził z naprzeciwnka, starał się ukryć bukiet. Czuł się głupio z kwiatami w ręku, ale nie wpadł mu do głowy żaden lepszy prezent. Kupił bukiet cichcem w automacie na stacji benzynowej.

Poprzedniego wieczoru żołnierze podrzucili ich na parking przy drodze numer 107. Pojechał jak najszybciej do Socorro i zostawił Dave'a w szpitalu. Po wstępnym badaniu lekarz wyrzucił go z sali i kazał mu jechać do domu. Potem Dwain jeszcze rozmawiał telefonicznie z lekarzem, który go uspokoił. Operacja się udała, Lazard nie miał obrażeń wewnętrznych. Za dwa, trzy tygodnie będzie mógł opuścić szpital.

Dwain cicho zapukał i wszedł. Zajrzał ostrożnie do skąpanej w półmroku sali. Dave leżał na łóżku i szczerząc zęby w uśmiechu, patrzył w kierunku drzwi. Nogę miał zawieszoną na szynie, wyciąg był zamocowany do sufitu

linką z bloczkiem.

– Cześć, Dave. Co słysząc?

Dave uniósł rękę na powitanie. Choć starał się tego nie okazywać, nietrudno było zauważyć, że jest jeszcze obolały.

– Da się wytrzymać – odparł łamiącym się głosem.

– Przykro mi, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo – mruknął Dwain Hamilton. Kiedy podszedł bliżej i przyjrzał się nodze włożonej w szynę, przekłnął ślinę.

– Bzdura. Powinienem bardziej uważać. Nie twoja wina, że potknąłem się jak żółtodziób i spadłem. Wręcz przeciwnie. Słyszałem, że zniósłeś mnie do samochodu. Jestem ci winny wdzięczność, wielki wujaszku.

– Zniosłem cię tylko do podnóża góry. Żołnierze pomogli dowieźć cię do samochodu.

– Żołnierze?

– Pojawili się nie wiadomo skąd. Patrolowali w pobliżu.

– Zaczęli coś podejrzywać?

Szeryf pokręcił głową.

– Powiedziałem im, że byliśmy na polowaniu. Chyba to łyknęli.

Dave się uśmiechnął.

– To dobrze.

Dwain skinął głową i wskazał na gipsowy opatrunek.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze się zrośnie.

– Nie martw się. Lekarz uważa, że za parę tygodni będę znowu mógł grać w futbol. Wszystko w porządku.

Zapukano do drzwi.

Dwain się odwrócił. Do sali głowę wetknęła pielęgniarka.

– Szeryf Hamilton to pan?

– Tak?

– Jest pan proszony do telefonu. Ktoś z pańskiego biura, mówi, że to coś pilnego.

– Oczywiście, już idę. W szpitalu każą wyłączać komórkę – wyjaśnił Lazardowi i ruszył do wyjścia. Kiedy mijał pielęgniarkę, wcisnął jej do ręki przyniesiony bukiet.

Kiedy po niecałych pięciu minutach Dwain Hamilton wrócił, miał dość ponurą minę. Siostrzeniec patrzył pytająco.

– Muszę jechać. Znalezione starego Jacka Silverwolfe'a. Spalił się w swojej chacie.

– Silverwolfe? To nie on zostawił tego zmarłego gościa przy Coward Trail? Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

Dwain skinął głową.

– Jeżeli to zbieg okoliczności...

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Kiedy zapukano do drzwi jego apartamentu, przestraszony Brian aż podskoczył. Odłożył słuchawkę na bok i włączył głośnik. Metaliczne dudnienie sygnalizowało, że rozmowa cały czas jest w trakcie łączenia. Podeszedł szybkim krokiem do drzwi i otworzył. Kiedy ujrzał Suzannah, na chwilę go zatkało. Zamieniła dżinsy na białą sukienkę, która ślicznie kontrastowała z jej opaloną skórą i pozwalała dostrzec spory kawałek dekoltu. Jej ciemne włosy lśniły jedwabście. Delikatny makijaż i duże kolczyki w uszach podkreślały kobiecy wygląd. Brian wziął głęboki wdech. Zapomniał już, jak atrakcyjnie wyglądała Suzannah, kiedy wystroiła się do wyjścia, choć w dżinsach i T-shircie podobała mu się tak samo.

– Co ci się stało? – zapytała Suzannah z uśmiechem. Brian w dalszym ciągu stał jak zamurowany.

– Nie... eee... wejdź!

Dudnienie zamilkło. Zamieniło się w zgrzyt. Brian gwałtownie odwrócił się w stronę telefonu.

– Przepraszam! – zawołał do Suzannah. – Juan?! Juan, jesteś przy aparacie?!

– *Si, Compadre* – doleciał cichy głos ze słuchawki. – A kto chce wiedzieć?

– To ja, Brian Saint-Claire! Pamiętasz mnie?

– *Si, Americano* z latającą kobietą. Chcesz znowu przyjechać nad Orinoko, gringo?

– Muszę wiedzieć, jak ta kobieta się czuje. Umarła?

Ze słuchawki doleciał głośny trzask, potem odgłos pracującego silnika i głośne przekleństwa Juana.

– Juan, słyszysz mnie?

– *Si!*

– Gdzie jesteś?

– Właśnie lecę do Maracay – odpowiedział Wenezuelczyk.

– Lecisz i równocześnie rozmawiasz przez telefon? To niebezpieczne.

– Gringo... całe życie jest niebezpieczne – odparł Juan w swój luzacki sposób. – Chcesz, żebym znów cię zawiózł do kobiety z wioski?

– To znaczy, że ona żyje?

– Ma silnego ducha. Przecież mówiłem, że musi zostać w wiosce. Jej duch pokonał boga chmur i jest silniejsza niż kiedykolwiek. Rozumie duchy i umie patrzeć w przyszłość.

– Ma wizje?

– Gringo, jeśli pod pojęciem wizji masz na myśli to, czy bogowie chcą dla niej dobrze, to ma wizje!

– Może mówić?

– Jeszcze przez tydzień była w chmurach, ale potem duch powrócił do ciała. Teraz znowu się obudziła. Może robić wszystko, co i my, ale jej duch może robić znacznie więcej. Widzi przyszłość. Powiedziała mi, że przyjedziesz, gringo. Niedługo.

Brian uniósł brwi. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Jesteś jeszcze przy telefonie, *Americano*? Słyszysz mnie?

– Tak, wszystko słyszę. Rozumiem cię – powiedział Brian i opadł na łóżko.

– Kiedy przyjeżdżasz, gringo?

– Nie przyjeżdżam. Mam pracę. Zadzwoń.

– Ka-Yanou widziała cię – powiedział z naciskiem Juan. – Szedłeś przez jej wioskę. Nie byłeś sam. Pamiętaj o tym, że ona zna wszystkie odpowiedzi, a ty będziesz miał wiele pytań. Pamiętaj, gringo, ponieważ kiedy przyjedziesz, będę na ciebie czekał.

Brian pokręcił głową.

– W tej chwili pracuję dla NASA i...

– Ufaj w moc bogów i uważaj na siebie, gringo. I nie pij tyle, bo to otumania twojego ducha. Poza tym będzie ci szumieć w głowie, jakbyś miał tam tysiąc much.

– Pomyślę o tobie, kiedy będę pił następną whisky. Uważaj na siebie, Juan.

Brian wcisnął czerwony przycisk i zakończył rozmowę. Z zadumą zapatrzył się w telefon.

– Przyjaciel? – spytała Suzannah.

– Dobry przyjaciel. Byłem z nim u szamanki w Wenezueli. Był moim przewodnikiem.

– U tej kobiety, o której napisałeś reportaż?
– Tak jest. Siedem dni leżała w śpiączce, a teraz się obudziła i może mówić.

– W śpiączce... jak obaj nasi pacjenci, prawda?

Brian potaknął skinieniem głowy.

– Co sprowadza cię do mojej skromnej chaty? – zmienił temat.

– Chciałam cię zapytać, czy miałbyś ochotę pojechać ze mną do Orlando. Nie byłam przygotowana na tak długi pobyt tutaj i muszę kupić trochę ubrań. Pomyślałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Ziegler jest w dobrych rękach, więc mamy czas do wieczora.

– Jasne, przecież jesteśmy partnerami – odparł Brian z uśmiechem i odstawił słuchawkę do ładowarki. – Ciekawe tylko, jak się stąd wydostaniemy?

Suzannah pokazała za okno. Na parkingu stał biały Chevrolet.

– Należy do nas – powiedziała Suzannah. – Przynajmniej na dzisiejszy wieczór.

Brian włożył buty i sięgnął po lekką kurtkę.

– W takim razie na co czekamy?

6.

NOAA, Boulder, Kolorado

Naczelnym meteorologiem profesorem Cliff Sebastian z Krajowego Urzędu do spraw Oceanów i Atmosfery znowu miał za sobą ciężki dzień. Nie mógł się już doczekać niedzielnej wieczoru, który planował spędzić w miłej atmosferze na stadionie baseballowym na skraju miasta. Red Boulder Bulldogs mieli grać z Niewot Cougars. Był to pojedynek o czołowe miejsce w tabeli. Baseball był wielkim hobby Sebastiana, który miał abonament na cały sezon.

Dawniej grał w szkolnej drużynie i trener uważał, że ma talent i mógłby sporo osiągnąć. On jednak zrezygnował ze sportu i poświęcił się nauce. Mimo to czuł się na stadionach jak w domu i najlepiej się relaksował, gdy obserwował, jak dwie drużyny gonią za małą białą piłeczką. W jego życiu nigdy nie było miejsca na założenie rodziny. Po studiach i wielu latach pracy badawczej – między innymi na Górze Waszyngtona, zwanej górą wiatru, i w Arktyce – przeszedł do NOAA i w końcu został kierownikiem działu meteorologii i badania klimatu.

Miniony dzień spędził na wydawaniu oświadczeń i udzielaniu wywiadów dla prasy w związku ze zniszczeniami, jakich narobił huragan Cezar. Kiedy oficjalne instancje w Tallahassee opublikowały sprawozdanie o szkodach, jego telefon zaczął się urywać. Raz za razem padało pytanie: Czy taka katastrofa może się powtórzyć?

Odpowiedź była dość prosta.

– Dopóki temperatura wody w Zatoce Meksykańskiej i u wybrzeży Meksyku nie spadnie i utrzyma się niekorzystny układ strumieni wiatrów na dużej wysokości, trzeba się liczyć z potężnymi huraganami – oświadczył Sebastian. – Nie chcę wywoływać paniki i niepokoić ludzi, a jedynie przypomnieć, że ja kieruję działem badań klimatu, ale pogodę tworzy przyroda. Przyroda, która w

ostatnich latach nie była szczególnie dobrze traktowana przez ludzi. Wbrew ostrzeżeniom badaczy klimatu z całego świata nie podjęto skutecznych działań przeciwko trwającemu bez przerwy globalnemu ociepleniu. Nieświadomemu obserwatorowi średni wzrost temperatury o jeden stopień może się wydawać niewielki czy wręcz nieistotny, ale ekosystem jest tworem niezwykle wrażliwym i nawet najmniejsze ingerencje w jego działanie mogą spowodować groźne dla ludzkości skutki. Z tego powodu należy spodziewać się kolejnych tropikalnych burz.

Oświadczenie to odczytał na żywo przed kamerami stacji NBC i nie trzeba było długo czekać na reakcje. Zaczęli dzwonić niezliczeni zaniepokojeni politycy oraz zwykli ludzie. W krótkim czasie w centrali NOAA zapanował rozgardiasz. Kiedy tuż przed dziesiątą Sebastian wyszedł do domu, był niemal wykończony. Dla relaksu wypił pół butelki wina i około północy położył się do łóżka.

Następnego dnia – w niedzielę – co prawda nieco dłużej pospał, ale z powodu napiętej sytuacji poszedł do pracy. Teraz cieszył się perspektywą przyszłości i meczu.

Kiedy szedł do łazienki, zadzwonił telefon.

- Sebastian! – zgłosił się zdawkowo profesor.
- Wagner, z Waszyngtonu – doleciał ze słuchawki burkliwy głos. – Profesor Sebastian?
- Czego pan chce?
- Widziałem wczoraj pański wywiad dla NBC i muszę powiedzieć, że nie jesteśmy nim zachwyceni. W końcu pracuje pan dla jednostki państwowej i pobiera niezłą pensję z państwowej kasy.

Cliff Sebastian zmarszczył czoło.

- Kim pan jest?
- Nazywam się Richard Wagner i pracuję dla prezydenta Stanów Zjednoczonych. A pan porusza się na skraju przepaści.
- Skąd ma pan mój numer telefonu?
- Pracuję dla rządu! Nie dociera to do pana?

Sebastian przez chwilę miał ochotę zakończyć rozmowę, postanowił jednak tego nie robić.

- Czego pan ode mnie chce?
- Pańskiej lojalności w stosunku do prezydenta i ustalania w przyszłości treści wywiadów z Białym Domem. Po wczorajszej katastrofie będzie lepiej,

jeżeli zaczniemy koordynować oficjalne oświadczenia dla prasy i telewizji.

– Może mnie pan...

– Niczym bezmózgi idiota wprawił pan wczoraj niemal cały naród w stan hysterii – zadudniło ze słuchawki. – Jaki ma pan cel? Chce pan wywołać masową panikę? Strzelaniny i rabunki na ulicach? W tej chwili tysiące ludzi jedzie autostradami z wybrzeży do wnętrza kraju. Uciekają przed upiorem, którego wywołał pan swoimi nieprzemyślanymi twierdzeniami. Te przekłete huragany pojawiają się w lecie od setek lat, pan jednak musi zrobić z tego problem polityczny. Wczoraj zaufanie do prezydenta spadło o dziesięć punktów! Skąd bierze się u pana ta bezczelność?! Płacą panu demokraci czy jest pan komunistą?

– Jak pan śmie...

– Nie, to pan jak śmie! Jeszcze nie skończyłem. Albo będzie się pan trzymał tego, co ustaliliśmy, albo nie będzie pan mógł w tym kraju nawet sprzedawać hot dogów na rogu ulicy! Rozumiemy się?

– Jeśli pan skończył, to teraz ja powiem swoje. Próby zastraszenia mnie może pan sobie schować... Jeśli zostanę zapytany, udzielę odpowiedzi, a jeżeli nie spodoba się ona prezydentowi, może przełączyć na inny kanał. To jest wolny kraj i ludzie wywalczyli sobie wolność krwią długo przedtem, zanim pan przyszedł na świat, a pański szef został wybrany na prezydenta. Z tej właśnie wolności zamierzam korzystać. Żegnam pana.

Cliff Sebastian wcisnął czerwony przycisk i przerwał połączenie. Rzucił słuchawkę na stół i opadł ciężko na fotel. Był wściekły. Telefon ponownie zadzwonił.

– Czego pan jeszcze chce? – warknął wściekły.

– Przepraszam... chciałam... – doleciał zaniepokojony głos jego sekretarki.
– przepraszam, że przeszkadzam, ale to pilne.

Cliff Sebastian wziął głęboki wdech.

– Przepraszam, Jenny, ale miałem właśnie małą kłótnię przez telefon. Co się stało?

– Mam panu przekazać, że właśnie dzwoniło z Instytutu Sejsmologicznego z Filadelfii. Ich punkt pomiarowy na Jamajce stwierdził niezwykle silną aktywność tektoniczną na południe od Rowu Kajmańskiego. Trzęsienie o sile cztery i pół stopnia. Chyba powinien pan natychmiast przyjeżdżać.

– Wyruszam natychmiast.

Tego jeszcze brakowało... Czyżby przyroda już całkiem zwariowała?

*Centrum Lotów Kosmicznych
im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda*

Brian i Suzannah spędzili w Orlando wspaniały dzień. Po zakupach w centrum poszli do kawiarni i długo rozmawiali. Odkąd się rozstali, minęło już dużo czasu i mieli sobie co opowiadać. Suzannah była bliska przyznania się Brianowi, że niezależnie od tego, jak bardzo ją wtedy zranił, jej uczucia wobec niego nigdy się nie zmieniły. Postanowiła się z tym nie zdradzać, choć musiała przyznać przed samą sobą, że Brian bardzo się zmienił – lekkomyślny, niestały, żeby nie powiedzieć nieodpowiedzialny awanturnik, który złamał jej serce, stał się dojrzałym, refleksyjnym mężczyzną.

Brian powiedział, że po ich rozstaniu był związany z inną kobietą – dziewczyną z Port Rowan, ale związek długo się nie utrzymał. Brian uciekł, nie powiedział jednak dlaczego.

Po powrocie do centrum Brian wziął prysznic i właśnie wkładał spodnie, kiedy usłyszał pukanie. Zaskoczony – do spotkania z Suzannah w szpitalu brakowało jeszcze pół godziny – pokuśtykał, po drodze zamknął suwak rozporka, i szeroko otworzył drzwi. Ujrzał Wayne'a Changa.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Zobaczyłem palące się światło...
- Cześć, Wayne, wróciłeś już z południa? – Brian zrobił zapraszający gest. Wayne wszedł do środka z teczką na akta w rękach.
- Mam transkrypcję zapisu z czarnej skrzynki.

Brian zaprowadził gościa do kącika z kanapą i fotelami, choć najchętniej wyrwałby mu teczkę z rąk. Ledwie usiedli, zaczął kartkować protokół ostatniej rozmowy na pokładzie fairchilda tuż przed tym, jak samolot spadł do morza na południe od Kajmanów. Wreszcie znalazł fragment, którego szukał. Zrobiło mu się gorąco.

– Wie pan o tym, że w zasadzie nie wolno mi dawać panu tych materiałów? – powiedział Wayne Chang.

Brian podstawił mu plik kartek pod nos i wskazał palcem na przedostatnią kartkę, gdzie zaprotokołowane były ostatnie słowa, tuż sprzed katastrofy.

**DRUGI PILOT: W CHMURACH JEST CIEŃ... CZUJĘ TO, NA ZEWNĄTRZ COŚ JEST... ZBLIŻA SIĘ DO NAS. IDZIE PO NAS.
PILOT: OTRZĄŚNIJ SIĘ! NIE CZAS TERAZ NA MAJAKI! SPADAMY!**

– Czyżby naprawdę majaczył? – spytał Wayne.

Brian wstał i podszedł do biurka. Zebrał kilka kartek i zaczął szukać odpowiedniego akapitu. Po chwili podał Wayne'owi jedną z kartek.

TA CHOLERNA BURZA BYŁA BLIŻEJ, NIŻ SĄDZILIŚCIE.
PRZETRZEPAŁO NAS JAK DIABLI. PRAWIE RUNĘLIŚMY. MO-
IM ZDANIEM W CHMURACH COŚ BYŁO...

– Co to jest? – spytał meteorolog.

– Protokół komunikacji radiowej między Discovery a kontrolą naziemną podczas nalotu do lądowania. Widzisz tu coś, co zwraca twoją uwagę?

– Co miałyby być w chmurach? Istoty pozaziemskie? UFO? Terrorysty? To bzdura.

– Nie musiało to być nic materialnego. Nie wszystko, co wywołuje w nas lęk, jest materialne. Przerazenie mogą wywołać też myśli.

– Sugerujesz Wielkiego Ducha?

– Nie mówię o duchach – odparł Brian. – Twierdzą tylko, że w obu wydarzeniach tkwi niemożliwy do racjonalnego wyjaśnienia taki sam element. Czy istnieje możliwość analizowania we wnętrzu burz pól częstotliwości?

– Po co?

– Słyszałeś kiedyś o polu morficznym w kontekście badań mózgu?

Wayne pokręcił głową.

– Kiedyś wszystko ci wyjaśnię, ale jestem umówiony z Suzannah w klinice. Chcemy dziś wieczorem popracować z Zieglerem – odparł Brian. – Można udowodnić istnienie we wnętrzu burz pól o stałych częstotliwościach albo określić częstotliwości poszczególnych pól?

– We wnętrzach burz poszczególne elementy bardzo się na siebie nakładają, zwłaszcza przy burzach z piorunami. Jak mielibyśmy izolować poszczególne pola? Poza tym po co?

– Jestem ciekaw, czy w spiętrzeniach chmur występują fale ELF*. Mógłbyś się tego dowiedzieć?

* Fale ELF (ang. *Extremely Low Frequency* – skrajnie niska częstotliwość) – zakres fal radiowych o częstotliwości: 3–30 Hz i długości 10–100 tys. km. Uważa się, że fale z przedziału ELF mogą być szczególnie niebezpieczne dla umysłu człowieka, jeśli działają przez dłuższy czas w zakresie częstotliwości prądów czynnościowych mózgu (2–16 Hz).

- Mógłbym spróbować, ale to może potrwać.
- Wiem, ale to ważne dla moich badań.

Rio Salado, hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Światło kończącego się dnia przebijało się przez korony drzew rosnących u stóp Ladron Peak. Ścieżka prowadząca do brzegu rzeczki była stroma i trudna do przejścia. Szeryf Dwain Hamilton zostawił samochód niecały kilometr na zachód od niej, tuż obok radiowozu i szedł do chaty Jacka Silverwolfe'a razem z zastępcą szeryfa Hollowem. Już z daleka widać było zwęglone zgliszcza. Na miejscu zastali jeszcze kilku zastępców szeryfa. Tom Winterstein prowadził czynności mające na celu zabezpieczenie śladów. Lena Martinez wraz z Carlosem Ramirezem fotografowali ponure miejsca. Zwłoki starego Jacka – przykryte plandeką – leżały tuż obok smętnej sterty popalonych belek.

Kiedy Tom Winterstein ujrzał Hamiltona, przerwał pracę i czekał, aż szeryf zejdzie.

– Niezły syf, co? – przywitał szefa Tom. Tom był policjantem od dwudziestu pięciu lat i pracował już dla wielu szeryfów.

– Już wiecie, co się stało? – spytał Dwain.

Tom wskazał na zwłoki.

– Może się upił i zasnął, nie gasząc ognia? Paco go znalazł. Był na polowaniu i tu podpłynął. Odwiedzał od czasu do czasu starego Jacka i kiedy zobaczył, że chata jest spalona, wysiadł na brzeg. Zwłoki Jacka leżały pośrodku zgliszcz.

– Czy to na pewno był wypadek?

Tom zakreślił ręką półkole, jakby chciał zaprezentować krajobraz.

– Jest tu masa starych śladów stóp, nie da ich się jednak nijak posortować i przyporządkować do określonych osób. Mam wezwać doktora Stevensona?

– Nie, chcę tu mieć chłopaków z Zakładu Medycyny Sądowej w Albuquerque. Niech przyślą kogoś, póki jest widno – odparł szeryf.

– Dlaczego z Albuquerque? Przecież doktor Stevenson...

– Doktor Stevenson ma prawie siedemdziesiąt lat i nie chcę zmuszać go do tak długiego marszu przez las – przerwał Tomowi Dwain. – Zadzwoń więc do Albuquerque.

Nie mógł powiedzieć Tomowi, dlaczego potrzebuje specjalistów medycyny sądowej, a nie starego wiejskiego lekarza, który od czasu do czasu pomagał, gdy trzeba było stwierdzić zgon.

Tom Winterstein wzruszył ramionami.

– Trochę potrwa, zanim dojadą.

Dwain skinął głową.

– To poczekamy.

Popatrzył w kierunku dwóch swoich ludzi, którzy sprawdzali teren przy samym brzegu rzeki. Wychodził w nią mały, prymitywny pomost z bali, przy którym zacumowano rozpadającą się ze starości łódź. W miejscu, gdzie Jack zbudował sobie chatę, Rio Salado miała niecałe cztery metry szerokości. Stary Nawaho żył z tego, co upolował i złowił, sprzedawał też turystom wyrzeźbione przez siebie z drewna figurki. Mieszkał w tej chacie już w czasach, kiedy Socorro było małą, nic nieznaczącą dziurą. Teraz nie żył. Dwain zastanawiał się, ile Jack mógł mieć lat. Nikt nie wiedział tego dokładnie.

Szeryf szedł wolnym krokiem skrajem wysokich krzewów. Znikała między nimi wąska ścieżka. U stóp gór Ladron rośliny rosły gęsto, a poschnięte drzewa liściaste były przemieszane z płataniną kolczastych krzewów. Rio Salado dzieliła małą i zapyloną dolinę na dwie części. Po drugiej stronie rzeki znajdowało się stare miejsce pochówku Nawahów, którego Jack od lat pilnował jak sęp. Opowiadał turystom najróżniejsze historie o indiańskim kulcie zmarłych, ale tak naprawdę to nikt nie wiedział, czy faktycznie był tu kiedyś cmentarz, czy też wymyślił go sobie stary Jack. Tak jak latające po niebie UFO owej nocy, kiedy Dwain Hamilton znalazł go pijanego w pick-upie, którym wjechał niedaleko Magdaleny do rowu.

Pick-up! Cholera, gdzie Jack go odstawił? Tutaj na pewno go nie było – do chaty nie dało się dojechać samochodem.

– Znaleźliście wóz Jacka? – spytał Dwain Toma Wintersteina.

– Stoi niecały kilometr na zachód stąd, na końcu ścieżki – odpowiedział Tom. – Sarah i John go oglądają.

– Coś znalazłem! – zawołał Carlos Ramirez.

Wskazywał na ziemię w miejscu oddalonym jedynie kilka metrów od pomostu. Dwain i Tom podeszli do niego. Bardzo ostrożnie, ponieważ miejsce nie zostało jeszcze przeszukane. Na ziemi leżał długi, błyszczący przedmiot. Długopis.

Dwain wyjął z ręki Toma szkło powiększające i kucnął.

– Długopis marki Parker. Wygląda na drogi.

– Prawdopodobnie należał do Jacka – uznał Carlos Ramirez. – Może dostał od jakiegoś turysty za którąś ze swoich figurek?

Dwain wstał.

– Nie sądzę. Stary Jack nie umiał pisać. Rękami i nogami bronił się przed nauką pisania.

Tom wyjął z torby, którą miał na ramieniu, przezroczystą torebkę na dowody.

– W takim razie jak Lena go sfotografuje, zabezpieczymy go...

– Mam dziwne przeczucie, że to nie wypadek... – oznajmił Dwain Hamilton. – Przewróćcie tu każdy kamień. Wezwijcie Jacobsena z psami. Coś tu śmierdzi.

– Sądzisz, że to morderstwo?

Dwain wskazał na długopis.

– Jeszcze nie jestem pewien, ale to jest dość dziwne, prawda?

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Suzannah wiedziała, że najtrudniejsza część terapii jest jeszcze przed nimi. Musiała wprowadzić pacjenta w głęboki trans hipnotyczny, a jest to stan wiążący się z pewnym ryzykiem. Hipnotyzowana osoba traci wtedy krytycyzm wobec sugestii hipnotyzera, czyli Ziegler musiał się oddać w ręce Suzannah. Skutkiem tego są amnezja oraz halucynacje. Tylko w ten sposób mogło się udać wymazanie traumatycznego wspomnienia astronauty i zastąpienie go treściami pozytywnymi. Aby tego dokonać, trzeba było jednak pokonać jeszcze długą drogę. Najpierw Ziegler musiał się przyzwyczaić do jej obecności. Musiał się nauczyć, że nie jest ona źródłem jakiegokolwiek zagrożenia, że może ufać jej i przede wszystkim jej głosowi.

Stan Zieglera można było porównać do stanu przerażonego zwierzęcia. Stojąc przed szklaną szybą i patrząc na austriackiego astronautę, Suzannah pomyślała o gorylu z zoo w Chicago. Porównanie wcale nie było takie naciągane – reakcje Zieglera były tak samo nieprzewidywalne jak reakcje zapędzonego w róg klatki goryla.

– Nie wiem, czy już jest gotów – powiedział z troską w głosie Brian, kiedy stanęli przed drzwiami pokoju chorego. – Zaczekam na zewnątrz, ale gdyby cokolwiek się stało...

– Co miałyby się stać? Jest przywiązany pasami. Nic się nie może stać.

– Chciałem tylko powiedzieć, że...

– Brianie... jesteśmy tutaj, żeby mu pomóc. On nie jest niebezpieczny, nie

jest szalejącą bestią, która czeka na ofiarę. W środku znajduje się przerażony do głębi człowiek, który przeżywa w podświadomości coś okropnego. Coś, czego śmiertelnie się boi.

– I dlatego właśnie musimy mieć pewność, że nie obudzimy w nim potwora. Po prostu mam złe przeczucia. Sama wiesz, że to jest stąpanie po kruchym lodzie. Jeśli uczyni choć najmniejszy krok w nieodpowiednim kierunku, stracimy go na zawsze.

– Co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić?

Brian wziął głęboki wdech.

– Terapia Ericksona może być u pewnych pacjentów skuteczna, chciałbym tylko przedtem spróbować czegoś innego.

– Czas nas goni – odparła Suzannah. – Jeżeli nie zrobimy postępów, Brandon zabije nas drwinami.

– Brandon... szpikuje Sandersa lekami i robi z niego bezrozumnego robota.

– Pracuje metodą klasyczną. Uspokaja go, wytłumia objawy i stawia na lecznicze działanie czasu.

– Zwalcza ból, ale pozostawia cierń w ciele.

– Stawia na działanie naturalnych procesów wyparcia i ma nadzieję, że cierń sam się rozpuści.

Brian krzywo się uśmiechnął.

– A co ty miałaś na myśli? – spytała po dłuższej chwili Suzannah.

– Popieram cię w stu procentach, chciałbym jedynie zainstalować dodatkową siatkę bezpieczeństwa. Przez głośniki można puszczać nie tylko muzykę. Potrzeba małego wzmacniacza, trochę akustyki i mikrofonu i mogłabyś mówić do niego stąd, z korytarza. Zobaczymy, jak zareaguje.

Suzannah pokręciła głową.

– Zapominasz o zasadniczym czynniku terapii Ericksona: bliskości z pacjentem. Musi czuć moją obecność, bo tylko wtedy może mi zaufać. Ale przecież wiesz o tym czy też zapomniałaś wszystko z wykładów?

Brian wbił wzrok w podłogę. Mało brakowało, a powiedziałyby Suzannah, jak bardzo się o nią boi. Jeżeli wejdzie sama do pomieszczenia, znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. Po poprzednim incydencie Brian zdawał sobie sprawę, że zagrożony Ziegler potrafi wyzwolić z siebie niespotykaną siłę. Doświadczył tego na własnej skórze i obawiał się, że Suzannah nie będzie długo zwlekać z odpięciem astronauty pasów. Z drugiej strony Brian wiedział też, że

jest to jedyna i z pewnością prawidłowa droga. Droga wiążąca się z dużym ryzykiem.

NOAA, Boulder, Kolorado

Cliff Sebastian pędził swoim dodge'em Ash Street. Aktywność tektoniczna w Rowie Kajmańskim... Co się za tym kryło? Jego myśli krążyły wokół możliwych następstw trzęsienia dna morskiego na granicy Zatoki Meksykańskiej. Czyżby rok katastrof dopiero się zaczynał?

Nie zauważył czerwonego światła na skrzyżowaniu z Trzydziestą Drugą Ulicą i do rzeczywistości przywróciło go dopiero trąbienie wściekłego kierowcy, który musiał z jego powodu ostro hamować. Skupił się znowu na jeździe.

Siła aktywności tektonicznej była niepokojąca. Powierzchnia Ziemi nie jest równo i ciasno ułożoną podłogą – składa się z pojedynczych płyt, które nasuwają się na siebie i ruszają, przez co konstrukcja jest bardzo delikatna i niestabilna. Pod cienką warstwą wierzchnią buzuje nigdy niegasnący ogień.

Sebastian miał nadzieję, że skończy się na tym stosunkowo małym wstrząsie. Ile jeszcze katastrof będą musieli znieść mieszkańcy kontynentu? Gdzieś w głębi umysłu Sebastiana tkwiło przekonanie, że Cezar nie był ostatnim w tym roku huraganem, który spadnie na amerykańskie południowe wybrzeże, zanim w październiku, wraz z niższymi temperaturami, szaleństwo się zakończy.

Skręcił na wjazd do NOAA, portier rozpoznał jego samochód i natychmiast podniósł szlaban. Sebastian zaparkował tuż przy głównym wejściu i po chwili był w środku. Ruszył prosto w kierunku wind, zanim jednak do nich dotarł, zatrzymał go głos kierownika obsady weekendowej.

– Simon, co się teraz dzieje? – Sebastian westchnął i podał niskiemu starszemu mężczyźnie rękę na powitanie.

– Meldunek nadszedł przed trzema godzinami – powiedział kierownik. – Instytut Sejsmologiczny niedawno go potwierdził. Epicentrum znajduje się mniej więcej dwadzieścia kilometrów na zachód od Jamajki. Doszło do erupcji gazu, poza tym wrócił spokój. Niestety, są zaginieni. Zniknęły bez śladu dwie łodzie. Jedna z nich należała do ośrodka prowadzącego projekt z zakresu biologii morza. Straż wybrzeża wyruszyła na poszukiwania.

– Jakie jeszcze hiobowe wieści ma pan na składzie?

– Co pan powie na wyraźnie wykształconą rynnę niskiego ciśnienia nad północno-zachodnim Pacyfikiem, u wybrzeży Filipin, która przesuwa się na

północny zachód? Albo na intensywne deszcze z powodzią w sercu Europy? Na osunięcia ziemi i rwące górskie strumienie w Alpach, niemal zimowe temperatury na południe od Hebrydów i wiatry o sile dziesięciu stopni w zachodniej części Niziny Zachodniosyberyjskiej? Temperatura ponad dwadzieścia sześć stopni u zachodnich wybrzeży Meksyku i na Morzu Karaibskim? W tym roku nie mamy szczęścia.

– Czyżby jedynie brakowało nam szczęścia? – odparł Sebastian. – A może przeciągnęliśmy strunę?

– Nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że dwie godziny temu dostaliśmy teleks z Białego Domu. Wprowadzono blokadę informacji dotyczących niezwyklej zjawisk klimatycznych i tektonicznych. Od teraz komunikaty i wiadomości o tym mają przechodzić przez nowo powołaną grupę koordynacyjną Gabinetu Ovalnego.

– Kto tak zarządził?

– Teleks jest podpisany przez prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Zakład Medycyny Sądowej, Albuquerque, Nowy Meksyk

Dwain wyruszył z Tomem Wintersteinem do Albuquerque około ósmej. Poprzedniego dnia przez wiele godzin czekał przy spalonej chacie starego Indianina na przyjazd lekarza z Albuquerque – jak stwierdził ze zdziwieniem – kobiety. Pani doktor Deringer wstępnie potwierdziła jego złe przeczucie: zwięglone zwłoki miały skręcony kark, ostateczna diagnoza będzie mogła być jednak postawiona dopiero po sekcji zwłok w Zakładzie Medycyny Sądowej w Albuquerque.

Myśli dotyczące Jacka Silverwolfe'a nie pozwoliły szeryfowi spokojnie spać. Nie mógł się doczekać, kiedy zagadka zostanie wyjaśniona. W trakcie jazdy dumał nad tym, czy to możliwe, aby coś łączyło śmierci Jacka Silverwolfe'a i Allana McNisha. Ponieważ jego siostrzeniec Dave Lazard nie będzie się nadawał do służby, to gdyby śmierć starego Indianina okazała się morderstwem, musiałyby pracować z Tomem Wintersteinem. Że też akurat teraz Dave musiał zostać wyłączony z działania! Jego siostrzeniec był kwalifikowanym detektywem i w sprawie o morderstwo jego umiejętności oraz doświadczenie na pewno okazałyby się przydatne. Dwain przez chwilę się zastanawiał, czy nie opowiedzieć Tomowi o sprawie Allana McNisha, odsunął jednak tę myśl od siebie. Tom nie zrozumiałby, że Dwain zatrzymał informacje dla

siebie i nie przekazał ich policji stanowej.

Po prawie dwugodzinnej jeździe zaparkował mavericka w cieniu wielkiej topoli rosnącej na parkingu Zakładu Medycyny Sądowej.

– Szeryf Hamilton z Socorro, chciałbym się spotkać z doktor Deringer – zameldował się u portiera.

Starszy pan, któremu najwyraźniej nie spodobało się, że przeszkadza mu się w lekturze czasopisma, skrzywił się i wskazał palcem na windę.

– W piwnicy, sala numer cztery.

Sala numer 4 znajdowała się na końcu korytarza wyłożonego zielonymi kafełkami. Zamocowane na suficie jarzeniówki sprawiały, że światło było zimne i nienaturalne. Na ścianach wisiały tylko duże zdjęcia miejscowych drzew i krzewów. Pachniało środkami dezynfekującymi i Dwain musiał złapać się za nos. Przesuwane drzwi były zamknięte. Kiedy Dwain zamierzał zapukać, gwałtownie się otworzyły i niemal zderzył się z doktor Deringer. Zaskoczona podniosła głowę. Była niemal dwie głowy niższa od niego i ułożyła włosy w wysoki kok. Miała na sobie zielony chirurgiczny strój.

– Hej, kowboj z Socorro! – zawołała. – Co sprowadza pana tak wcześnie?

– Czy zwłoki Jacka Silverwolfe'a są już po sekcji?

– Właśnie skończyłam.

– Co pani stwierdziła?

Lekarka się uśmiechnęła.

– Zawsze pan taki bezpośredni? Proszę ze mną, mam właśnie przerwę na kawę.

Dwainowi spieszyło się, nie chciał być jednak niegrzeczny, poszedł więc za lekarką do kantyny. Tom podążył tuż za nimi. Kiedy usiedli przy stoliku w kącie, Dwain odchrząknął.

– A więc, pani doktor, czego się pani dowiedziała? Został zamordowany?

– No cóż, dowiedzieć się tego to będzie pańskie zadanie, pewne jest jednak, że nie zginął w płomieniach. Co prawda stopień zwęglenia był bardzo znaczny, ale z wyjątkiem mięśni nóg szkielet jest dobrze zachowany. Potwierdziła się moja wstępna obserwacja, że kark został złamany pod kręgiem obrotowym, co musiało doprowadzić do uszkodzenia rdzenia kręgowego. Kiedy wybuchł pożar, już nie żył. W stosunkowo mniej zniszczonych kończynach stwierdziliśmy normalny poziom karboksyhemoglobiny. Nie wdychał dymu. Sądzę, że dokładne badanie tkanek potwierdzi moje wstępne wnioski.

- Są ślady użycia przemocy?
 - Nie sposób ocenić.
 - Więc nie da się też wykluczyć, że to był wypadek – wtrącił Tom Winterstein.
 - Jak powiedziałam: gdy ogień go objął, już nie żył. Oczywiście zranienie tego typu może nastąpić przy upadku z wysokości albo uderzeniu o kant stołu. Tego musicie się już panowie dowiedzieć sami.
 - Są jakieś wskazówki co do czasu zgonu?
 - W przypadku spalonych zwłok to trudne. Zleciliśmy laboratorium badanie toksykologiczne i analizę DNA, ale raczej wątpię, byśmy uzyskali jakiegokolwiek informacje o czasie zgonu.
 - Ma pani jeszcze coś, co mogłoby nas zainteresować?
- Lekarka napiła się kawy.
- Powiedziałam wszystko, co wynikło z obdukcji. A więc wypadek albo morderstwo – oto jest pytanie.
- Dwain zmarszczył czoło.
- Jack żył tam bardzo długo. Trudno mi sobie wyobrazić, aby nagle miał wypadek w otoczeniu, do którego był przyzwyczajony.

Montego Bay, Jamajka

Niebieski domek na szczycie wzgórza tuż za plażą na północy wyspy był skąpany w promieniach zachodzącego słońca. Gorący i słoneczny dzień żegnał się i zabierał duchotę. Wiatr nasilił się i wiał z północnego zachodu. Plaża opustoszała, ludzie przenieśli się do barów i kawiarni, i pozostawili morze samemu sobie. Nad zatoką zapanowała cisza.

Sejsmograf, stojący w niebieskim domku w specjalnie wymurowanej wnęce, należał do Instytutu Badań Sejsmograficznych ściśle współpracującego z NOAA w Boulder. Wkrótce po tym, jak słońce zaszło za horyzont, nieruchomy dotychczas pisak zaczął drgać. Ruchy robiły się coraz bardziej nerwowe, metalowa dźwignia wychylała się coraz dalej. Pisak latał z wielką częstotliwością po odwijanym z rolki papierze i zostawiał ciemny zygzak.

Ludzie w mieście wypadli na ulice. Słysząc było basowe dudnienie, które zagłuszało nawet piski kobiet. Ziemia dygotała pięćdziesiąt dwie sekundy, po czym się uspokoiła. Strach jednak pozostał.

Cieśnina Luzon, Morze Południowochińskie

Strefa niskiego ciśnienia w okolicy Filipin powędrowała w ciągu dnia na północny zachód. Ciepłe wody powierzchniowe w cieśninie Luzon przez cały dzień ogrzewały powietrze, które wznosiło się z wielką prędkością i dostarczało parę wodną do wyższych regionów atmosfery. Siła Coriolisa wprawiała mieszankę wody i powietrza w spiralny skręt i wytworzyła olbrzymi parasol z gęstych chmur burzowych. Kiedy w wyniku przemieszczenia się nizu nad Filipinami ciśnienie w oku cyklonu mocno spadło, prędkość obrotowa wiatrów wzrosła do dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę. Tarcza chmur coraz bardziej zaginała się na tropopauzie, aż osiągnęła średnicę niemal trzystu kilometrów. Utrzymujący się południowo-wschodni wiatr pchał powstałą burzę coraz bardziej w stronę chińskiego wybrzeża.

Zanim jeszcze zapadła noc nad miastem Shantou w prowincji Guangdong, chińskie wojsko przygotowało ewakuację zamieszkałej nad morzem ludności i przeprowadziło działania konieczne do ochrony przed tajfunem. Gdyby zachował on dotychczasową prędkość przesuwu, dotarłby do wybrzeża w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Ambo, pierwszy tegoroczny tajfun w tym regionie, był tropikalnym cyklonem o sile cztery. Rząd liczył się z falą powodziową wysokości pięciu metrów i było jasne, że wiatr wyrządzi duże szkody budynkom i terenowi. Na szczęście ostrzeżenie wydano na tyle wcześnie, że udało się ewakuować mieszkańców.

7.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Wnętrze wysokiej jak dom mieszkalny osłoniętej hali wypełniał mętny półmrok. Buczenie generatorów narastało. Między dwoma wielkimi szpulami wisiał dokładny model promu kosmicznego. W programie dnia był eksperyment numer 24. Wydawało się, że w sztucznie wytworzonym kanale przejścia błyskawicy powietrze drga. Profesor Haarmann patrzył z napięciem przez grubą na niemal dziesięć centymetrów szybę z przydymianego szkła pancernego, dzielącą pomieszczenie eksperymentalne od pomieszczenia kontroli.

– Proszę podwyższyć natężenie o trzy kreski – polecił i założył okulary ochronne.

– Proszę wszystkich o założenie okularów! – powiedział głośno siedzący przy pulpicie inżynier i dotknął przełącznika.

– U pani wszystko jak należy, Liso? – spytał profesor Haarmann.

Lisa White Eagle nadzorowała wyświetlane na monitorze dane.

– Jeśli o mnie chodzi, to możemy strzelać – odparła i uniosła kciuk.

– Ciekaw jestem, jakie tym razem otrzymamy wyniki – wtrącił Wayne Chang.

Kiedy do zwojów doprowadzono zwiększoną porcję energii, nasilił się pomruk elektryczności. Dźwięk zaczął przypominać szelest i rozległ się głośny huk. Z jednego zwoju wystrzeliła jaskrawa błyskawica i w ułamku sekundy przeskoczyła na drugi. Gdy to następowało, model promu został spowity błękitnym światłem. Kiedy w ciągu kilku nanosekund powietrze zostało rozgrzane prawie do dwudziestu tysięcy stopni Celsjusza, huknął potężny grzmot. W sali, gdzie znajdowała się instalacja eksperymentu, zapadł mrok. Elektryczne buczenie umilkło.

– Mamy przesunięcie! – zawołała Lisa White Eagle. – Nie uwierzycie, ale jesteśmy asynchroniczni. Odchylenie dwieście dwadzieścia cztery tysięczne.

Oczy wszystkich obecnych skierowały się w stronę monitora.

– To nie może być... – powiedział Stone. – Zamontowaliśmy jednostkę ce-zową z powodu odporności na czynniki zewnętrzne i dodatkowo ją izolowaliśmy. Nie mogę uwierzyć.

– Po tym eksperymencie nie ma już jednak mowy o wierze czy niewierze – stwierdził profesor Haarmann. – Moim zdaniem niniejszym zostało udowodnione, że przy krótkotrwałym przepięciu możliwe jest odchylenie. Teraz musimy już tylko dokładnie określić prawidłowości fizykalne.

– Piorun płaski we wnętrzu parasola z chmur może wytworzyć energię trzykrotnie większą niż ta, której my używaliśmy – zauważył Wayne Chang.

– Obejrzyjmy nagranie eksperymentu – zakończył dyskusję profesor Haarmann.

Lisa White Eagle uruchomiła program komputerowy i na monitorze obejrzeli w zwolnionym tempie nagranie eksperymentu. Potem na ekranie pojawiły się kolumny przekazywanych przez czujniki danych. Lisa nacisnęła odpowiedni klawisz i ruszyła drukarka.

Kiedy wszystko zostało wydrukowane, profesor Haarmann wziął do ręki plik kartek. Czternaście arkuszy tabel, danych i liczb. Przekartkował je.

– Może zajmę się analizą danych z profesorem Changiem, a pan, doktorze Stone, zajmie się z Lisa analizą modelu? Może trochę przyspieszy to nam pracę?

Stone i Lisa poszli do pomieszczenia obok. Zielona lampka sygnalizowała, że prąd jest wyłączony i można tam bezpiecznie wejść.

Haarmann usiadł przy komputerze.

– W takim razie zajmijmy się poszczególnymi etapami... – Westchnął i popatrzył na zegarek. – Cieszę się, że posunęliśmy się dziś nieco do przodu. Już się bałem, że trzeba będzie powtarzać te eksperymenty tygodniami.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Od czterech dni Brian i Suzannah spędzali każdą wolną chwilę w pobliżu pacjenta. Leki zostały całkowicie odstawione, a reakcje Zieglera w obecności

Suzannah mogły napawać nadzieją. Był spokojny i rozluźniony. Suzannah dotarła do niego, spokojnie przemawiając. Brian siedział w pomieszczeniu kontroli i nadzorował zapisy, stale jednak miał Suzannah na oku – na wypadek gdyby Ziegler dostał kolejnego ataku.

Przez ostatnie noce austriacki astronauta nawet spał spokojnie. Można było odnieść wrażenie, że senny koszmar ukrył się głębiej w jego podświadomości.

Ziegler w dalszym ciągu nie mógł się wypowiadać. W dalszym ciągu miał zaburzoną zdolność mowy i w stanie czuwania z jego ust nie wydobywało się nic poza gardłowymi pomrukami wyrażającymi zadowolenie.

Poprzedniego dnia zdjęli mu więzy, mimo to leżał na łóżku niemal bez ruchu. Jedyne od czasu do czasu przekręcał się lekko na bok. Czujnie obserwował Suzannah, która siedziała przy jego łóżku w wygodnym fotelu i czytała na głos opowiadania. W zasadzie nieważne było, co do niego mówiła – liczył się jej miękki i zrelaksowany głos, który nie wywoływał w Zieglerze ani lęku, ani złości. Teraz najważniejsze było, aby zaczął jej ufać.

Już dwa razy udało się Suzannah wprowadzić Zieglera w lekką somnolencję – pierwszy stopień hipnozy. Początkowo nie reagował ani na jej rękę, ani na wahadło. Kiedy spróbowała użyć światła, jego wzrok zaczął podążać za delikatnymi ruchami lampy. Mięśnie rozluźniły się na kilka sekund, ale zaraz znów zaczął się robić niespokojny.

Brian patrzył przez szybę, jak Suzannah odkłada książkę i włącza latarkę. Mówiła do Zieglera uspokajającym tonem. Brian popatrzył na instrumenty kontrolne nadzorujące funkcje życiową Zieglera. Po kilkunastu sekundach jego tętno spowolniło. Oddech stał się płytszy, a mięśnie się rozluźniły. Kiedy Suzannah popatrzyła w kierunku Briana, dał jej znak uniesionym kciukiem. Może tym razem uda się osiągnąć kolejne stadium transu.

Brian z zadowoleniem obserwował, jak funkcje cielesne Zieglera coraz bardziej spowalniają, a jego rozluźnienie się pogłębia. Na ustach Briana pojawił się uśmiech. Suzannah naprawdę była dobra. Obchodziła się z astronautą z wycuciem i cierpliwością, a jej głos przypominał śpiew aniołów. Cicha sferyczna muzyka w tle nasilała to wrażenie. Brian znowu popatrzył na monitory. Nagle ze spokojnej linii oddechu zrobił się zygzak. Także elektrokardiogram zaczął wykazywać intensywniejszą pracę serca. Piki krzywej skakały coraz wyżej i w małym pomieszczeniu rozległo się buczenie alarmu. Brian z niepokojem popatrzył przez szybę. Ziegler leżał na łóżku, ale jego mięśnie nie

były już rozluźnione, ciałem wstrząsały mimowolne dreszcze. Brian włączył mikrofon.

– Coś się dzieje! – zawołał. – Uwważaj!

Zanim jego słowa przebrzmiały, Ziegler gwałtownie uniósł tułów. Jego ręce wystrzeliły do przodu jak u zepsutego robota. Suzannah natychmiast poczuła żelazny uścisk astronauty wokół ramion. Krzyknęła i Brian wcisnął przycisk wzywający pielęgniarzy, po czym wpadł jak bomba do sali chorego. Ziegler przyciągał Suzannah do siebie, bronił się, ale była za słaba. Brian rzucił się na astronautę i złapał go za szyję. Próbował przyduścić go do łóżka, ale nie mógł sobie z nim poradzić, wreszcie z trudem wytrącił go z równowagi. W końcu Ziegler poluzował chwyt i Suzannah udało się wyrwać. Przewróciła się na podłogę i kątem oka obserwowała, jak pacjent opada pod ciężarem Briana na plecy.

Do sali wpadł jeden z pielęgniarzy i pospieszył Brianowi na pomoc. Wspólnymi siłami przyciskali astronautę do łóżka. Do środka wbiegli kolejni pielęgniarze i pielęgniarki.

– Tranxilium! – krzyknęła jedna z pielęgniarek do koleżanki. – Dwadzieścia miligramów, szybko!

Suzannah wstała. Bolał ją bok.

– Żadnych leków! – zawołała.

Czterech pielęgniarzy i Brian przyciskało Zieglera do łóżka. Jego szarpanina słabła.

– Zostawcie go! Puście! – wrzasnęła ponownie Suzannah.

Brian, który ścisnął głowę Zieglera, popatrzył na Suzannah ze zdziwieniem. Jeszcze nie miała dość? Ten człowiek – choć nie był przy zdrowych zmysłach – wyzwał niepokonaną siłę i mógł kogoś poważnie zranić.

– Puście go wreszcie! – powtórzyła Suzannah. Pielęgniarze podnieśli głowy, do pokoju wróciła pielęgniarka ze strzykawką z lekiem. Suzannah zastąpiła jej drogę i zapadła kompletna cisza. – Brian, puść go! Uwierz mi, już się uspokoił...

Brian powoli poluzował chwyt. To samo zrobili pielęgniarze. Po kolei odchodzili na bok. Ziegler dygotał, wszyscy wbijali w niego wzrok.

Powoli uniósł tułów do pionu. Po policzkach spływały mu łzy.

– ...co... co się... co się... stało? – powiedział łamiącym się głosem.

Suzannah podeszła i ujęła jego dłoń. Delikatnie pogłaskała go po niej. Ziegler popatrzył jej w oczy, ujął jej dłoń i przyłożył ją sobie do czoła.

– Gdzie... gdzie ja jestem?

□ □ □

Wieczorem Suzannah i Brian stanęli po pracy przy wyjściu ze szpitala i zapatrzyli się w rozgwieżdżone niebo.

– Skąd miałaś pewność, że możemy go puścić? – spytał po chwili Brian.

Suzannah się uśmiechnęła.

– Widziałam, że płacze. Oczy miał pełne łez. Moim zdaniem nie chciał zrobić mi nic złego. Chyba chciał mnie tylko dotknąć. Rozumiesz?

Brian popatrzył na nią z zadumą.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Zrobiliśmy dziś wielki krok naprzód – powiedziała Suzannah. – Dziękuję, że tak wspaniale mnie wspierasz.

Położyła Brianowi dłoń na karku, przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta.

– Teraz chodźmy się przespać. Jutro czeka nas dużo pracy. O ósmej na śniadaniu?

– Przyjdę po ciebie punktualnie – cicho odpowiedział Brian.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Nad czarnym asfaltem drogi, prowadzącej przez Black Range do Dusty powietrze drżało. W Nowym Meksyku zrobił się upał. Termometr wspiał się do trzydziestu pięciu stopni i Dwain Hamilton nastawił klimatyzację w samochodzie na maksimum. Mimo to promienie słońca, które wpadały do wnętrza przez przyciemniane szyby, paliły mu skórę.

Choć Dwain załatwiał służbową sprawę, nie miał na sobie munduru. Kiedy zmarł Jack Silverwolfe? To pytanie wciąż nie dawało mu spokoju.

– Niestety, nie potrafimy dokładniej określić czasu zgonu – powiedziała przez telefon doktor Deringer. – Musiało to nastąpić w ciągu minionego tygodnia, inaczej oznaki rozkładu byłyby wyraźniejsze, ale przy spalonych zwłokach nie ma możliwości dokładniejszej oceny, bowiem wysoka temperatura gwałtownie rozpoczyna procesy rozkładu ciała i płynów ustrojowych.

Ta informacja niewiele pomogła Dwainowi. Nie wierzył w teorię wypadku, którą lansował Tom Winterstein. Uważał, że istnieje związek między śmiercią Jacka i Allana McNisha. Dwain czuł się nieco winny śmierci starego Indianina, bo był jedyną osobą, której Jack opowiedział o zmarłym młodzieńcu. Z drugiej strony Dwain wtajemniczył jedynie Dave'a Lazarda, który na pewno nie puścił farby. A może ktoś jeszcze miał powód zabić starego Jacka? Czyżby Jack doiedział się czegoś, o czym nie powinien wiedzieć? Czy może za zamachem stały tajne służby chcące zatuszować, że w lesie Cibola znajduje się obóz, w którym internuje się wrogów państwa i terrorystów i łamie prawa człowieka? A może był to jednak wypadek: Jack się upił i tak nieszczęśliwie uderzył w kant stołu, że skręcił sobie kark? Tak uważał Tom. Sekcja wykazała, że w błotnistej ciemnobrązowej masie, w jaką zamieniły się krew i tkanki Jacka, znajduje się alkohol.

Dwain przyspieszył i wyprzedził małą ciężarówkę, która powoli przed nim jechała. Może ciotka Gippy powie coś, co pomoże bliżej określić czas śmierci Jacka. Przynajmniej dowie się od niej, kiedy stary był u niej po raz ostatni.

Dwa kilometry dalej Dwain wcisnął hamulec i skręcił w lewo w polną drogę, która zaraz potem znikwała w lesie. Tuż przed granicą drzew stały stary drewniany dom zielarki, którą wszyscy nazywali ciotką Gippy.

Prowadziła sklepik z ziołami dla indiańskich pobratymców i zwolenników medycyny naturalnej. Gippy należała do plemienia Nawaho i doskonale знаła się na ziołach, wiedząc, na co je stosować. Indianie chętnie przyjeżdżali do niej po mikstury, które robiła, nie tylko z powodów medycznych. Z nóg zwałął zwłaszcza mescal – wódka z miąższu agawy. Dwain doskonale pamiętał ostatnie plemienne święto w rezerwacie Nawaho Alamo, na które został zaproszony. Odczuwał skutki picia tego bimbrowa kilka dni.

Kiedy wysiadł, uderzyła go fala gorąca. Rozpiął górny guzik kraciastej koszuli i wszedł na drewniane schody przed chatą. Na belkach i poręczach balustrad wisiały suche pęczki ziół i kwiatów. Coś bardzo mocno pachniało. Wszedł do mrocznego pomieszczenia i rozejrzał się wokół. Na lewo od wejścia siedziało przy okrągłym stole dwóch starych Indian z długimi siwymi włosami i paliło z rozkoszą fajkę. Za topornie ociosanym kontuarem siedziała owinięta w kolorowe koce ciotka Gippy. Kiedy Dwain dochodził, podniosła głowę.

- Co cię do mnie sprowadza, wielki biały człowieku?
- Nazywam się Dwain Hamilton i jestem szeryfem w hrabstwie Socorro –

przedstawił się Dwain.

– Wiem, kim jesteś, wielki biały człowieku – odpowiedziała. – Twoja sła-
wa cię wyprzedza. Olbrzym o sile dziesięciu bawołów. Mam proszek, który
sprawi, że zachowasz siłę. We wszystkich zakresach, jeśli rozumiesz, co mam
na myśli.

– Dziękuję, ciotko Gippy, ale przyjechałem z innego powodu. Muszę cię
zapytać o Jacka Silverwolfe'a. Wiesz, że umarł?

Stara kobieta się uśmiechnęła.

– Wieści są jak nasiona drzew: lecą z wiatrem.

– Kiedy był u ciebie ostatni raz?

Kobieta się zastanowiła.

– Kiedy księżyc był w pełni. Od tego czasu więcej go nie widziałam. Ale
opowiadał o mężczyznach – białych, którzy weszli na świętą ziemię. Bał się, że
wrócą.

Dwain nadstawił uszu. Pełnia była dziewięć dni temu. Dwa dni po tym, jak
wyjął Jacka z leżącego w rowie samochodu.

– Mężczyźni? – spytał ostro. – O jakich mężczyznach opowiadał? Mówił,
skąd byli?

Gipsy wzruszyła ramionami.

– Biali mężczyźni, wielu. Wszyscy tacy sami.

– Co to znaczy?

– Powiedział, że byli jak bracia. Jedna twarz dla wszystkich...

– Żołnierze?

– Nie w mundurach. Mohawe nie miał na myśli żołnierzy.

Stara kobieta zaczęła machać rękami, jakby chciała odpędzić jakąś niedobrą
myśl. Co miało znaczyć, że mieli „jedną twarz”? Mieli maski? Ukryli twarze?
Dwain nie umiał zgadnąć, co znaczy ta przenośnia.

– Rozmawiał z nimi?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie pokazał im się, tylko schował w lesie. Bał się ich. Strasznie. Potem
sobie poszli.

Dwain intensywnie myślał. Czyżby chodziło o sympatyków IRA? Pamiętał
plakat, który widział mniej więcej dziesięć lat temu na ścianie nowojorskiego
wydziału policji, ukazujący bojownika IRA z pistoletem maszynowym na ulicy
Belfastu. Twarz bojownika zakrywała czarna kominiarka. Plakat, wydany przez
FBI, ostrzegał przed wspieraniem tej organizacji terrorystycznej. Zwolennicy

ruchu starali się zbierać pieniądze na prowadzenie walki, zwłaszcza w okolicach, gdzie w większej liczbie mieszkali potomkowie irlandzkich emigrantów. Z niechętnymi im osobami nie obchodzili się delikatnie – do repertuaru ich działań należały szantaż, uszkodzenie ciała, zabójstwo i morderstwo. W tym wypadku wydawało się to jednak mocno naciągane.

– Czy ci ludzie zabrali jego ducha, wielki biały człowieku? – spytała ciotka Gippy.

Tym razem na Dwaina przyszła kolej, aby wzruszyć ramionami.

– Jeśli tak, to będziesz ich szukał?

– Już ich szukam, ciotko Gippy – odparł Dwain i ruszył do wyjścia.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Eksperci zebrali się przy stole w sali konferencyjnej w sobotę o szóstej po południu. Profesor Paul wyglądał na bardzo zmęczonego. Można było wręcz pomyśleć, że coś go dręczy. Zdaniem Briana nie było ku temu powodu, ponieważ, jak wiedział od Wayne'a Changa, zespół fizyków zrobił w ciągu tygodnia ogromne postępy, a także znacznie poprawił się stan Zieglera. Austriacki astronauta odzyskał mowę i był na dobrej drodze do wyzdrowienia.

– Nasze wyniki jednoznacznie wskazują na przepięcie w systemie – zaczął profesor Haarmann. – Z powodu uderzenia błyskawicy doszło do powstania krótkotrwałego impulsu elektromagnetycznego, który spowodował odchylenie. Niestety, jeszcze nie wiemy, w jaki sposób doszło do zakłócenia. Nie zakładam, że doszło do faktycznego elektromagnetycznego oddziaływania na atomowy sygnał rezonansowy. A więc coś jest nie tak poza obrębem aparatury rezonacyjnej. Teoretycznie możliwe są zakłócenia w strefie detektora synchronizacji, modulatora albo systemu integrującego. Zbadaliśmy zamontowany za oscylatorem kwarcowym transponder i jak wszystkie inne elementy nie wykazują żadnych trwałych uszkodzeń. Tak więc uszkodzenie było chwilowe.

– Jak po rzuceniu kamienia do wody – powiedział Brian. – Przez kilka sekund rozchodzą się fale, ale kiedy powierzchnia się uspokoi, wszystko wygląda tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Haarmann się uśmiechnął.

– Piękna, trafna metafora. Dlatego tak trudno zlokalizować dokładną przyczynę anomalii. W laboratorium wysokich napięć uzyskaliśmy odchylenie czasu

w dwóch eksperymentach, tylko że analiza zarejestrowanych danych potrwa jeszcze kilka dni.

– Jeszcze mamy trochę czasu – rzekł profesor Paul. – Państwa wyniki są dla nas bardzo cenne, jako że nie możemy wysłać naszych chłopców w kosmos w wadliwych promach. Ryzykują życie i musimy im zapewnić maksymalne bezpieczeństwo.

W sali rozległy się pomruki akceptacji.

– Jak się czuje Helmut Ziegler? – zwrócił się Paul do Suzannah.

– Jestem bardzo zadowolona. Gdy odblokował się ośrodek mowy, stan Zieglera poprawia się z dnia na dzień. Niestety, nie pamięta, co się stało. Nie wie także, jak wyjaśnić straszliwe obrazy, które pojawiały się w jego koszmarach. Gdzieś głęboko w jego podświadomości tli się coś, do czego nie udało nam się jeszcze dotrzeć. Dwa razy wprowadziłam go w hipotaksję, czyli hipnozę średniego stopnia, ale jeszcze nie mam dojsčia.

Profesor Brandon, który siedział naprzeciwko Suzannah, rysował na leżącej przed nim kartce papieru koła. Sprawiał wrażenie niezainteresowanego tym, co mówi Suzannah, i raz za razem wyglądał przez okno. Brian obserwował go kątem oka. Mina Brandona wyraźnie odzwierciedlała frustrację i zazdrość z powodu sukcesu młodej psycholog. Kiedy Suzannah skończyła, Brian zabrał głos.

– Nie jest powiedziane, że znajdziemy w jego podświadomości przyczyny przeżyć albo nieprzepracowane materiały percepcyjne. Przerażają nas nie tylko wspomnienia – czasami wywołują je wizjonerskie obserwacje zdarzeń.

Brandon odłożył pióro i uśmiechnął się do obecnych.

– Proszę, proszę! – powiedział sarkastycznym tonem. – Nasz fantasta chce nas znowu wprowadzić w swoje metafizyczne sfery. To przecież oczywiste bzdury!

– W pańskich oczach może tak – spokojnie odpowiedział Brian. – A mimo to istnieje wystarczająco dużo dowodów na drugi wzrok.

– Drugi wzrok, trzeci poziom, jasnowidzenie – prychnął pogardliwie Brandon. – Przesady i hokus-pokus. My prowadzimy badania na bazie naukowej. Dla poważnej psychologii metafizyka nie jest nauką, którą należy traktować poważnie. Wszyscy doskonale wiemy, jacy szarlatani kłębią się w tej zbieżaninie astrologów, parapsychologów i różdżkarzy. Takie czasopisma jak pańskie, Saint-Claire, chcą jedynie szybko zarobić parę dolców za pomocą

kłamstw i półprawd. Przyglądał się pan kiedyś swoim czytelnikom? Same nie-
szczęsne kreatury, które czepiają się pańskich półprawd jak tonący koła ratun-
kowego.

Profesor James Paul odchrząknął.

– Panowie! Znowu ta sama dyskusja! To do niczego nie prowadzi. Zebra-
liśmy się, ponieważ każdy ma za zadanie wnieść wkład w rozwiązanie naszych
problemów i należy podchodzić z szacunkiem do odmiennych opinii. Mnie
interesuje pańska teoria. Proszę kontynuować, doktorze Saint-Claire.

Brandon, najwyraźniej rozżłoszczony naganą, znowu zaczął wyglądać przez
okno.

Brian zachowywał obojętną minę, ale w środku triumfował.

– Przez długi czas traktowaliśmy mózg jako maszynę do myślenia, której
działanie jest wyznaczone przez materiał genetyczny, wychowanie i doświad-
czenie oraz automatyczne funkcje sterujące, obecnie wiemy jednak – a zostało
to udowodnione dzięki wieloletnim empirycznym pracom badawczym „fanta-
stów” – że mózg jest skomplikowanym systemem, który umie nie tylko myśleć
i kierować. Wiele zdolności straciliśmy w ramach ewolucji albo zostały one
przeniesione do mało wykształconych regionów, w pewnych zakresach stali-
śmy się sprytniejsi, jeszcze inne zakresy zanikają, ponieważ nie są nam po-
trzebne. To znaczy, że mózg kiedyś był nieco inny. U przedstawicieli niektó-
rych prymitywnych ludów do dziś można zauważyć zdolność wyczuwania
niebezpieczeństwa. Nie mówię o wiedzy, że dotknięcie rozgrzanej płytki ku-
chenki elektrycznej spowoduje ból i oparzenie, ale o tym, co niektórzy dość
nonszalancko określają mianem siódmego zmysłu.

– I jaki ma to związek z naszym pacjentem? – spytał profesor Buchhorn,
który siedział obok Brandona i z ciekawością przyglądał się Brianowi.

– Powiem krótko. Podczas lotu przez huragan astronauta spali. Spali, kie-
dy omal nie doszło do katastrofy, i spali dalej, aż obudzili się niemal równo-
cześnie pięć dni później. Wszyscy znamy opinię medyczną, że ich przypomina-
jący śpiączkę sen nie był typową śpiączką. Był to głęboki sen, z którego obu-
dzili się z opóźnieniem i którego nie da się nijak wytłumaczyć. Tak samo jak
nie da się wytłumaczyć nocnych koszmarów i zgodności ich treści, które pre-
zentowali niezależnie w bardzo jednoznaczny sposób. Nie ma wyjaśnienia
także utrata zdolności mowy w stanie czuwania, choć można by znaleźć tu
pewne analogie z zachowaniem po ciężkich urazach. Wiemy obecnie, że w śnie
istnieją fazy, w których nasze ciało zostaje jakby wyłączone, ale nasz umysł

jest niezwykle czujny i czuły na bodźce zewnętrzne. Wiemy też obecnie, że można intuicyjnie pobudzać regiony mózgu za pomocą fal ekstremalnej długości. Moim zdaniem w tym huraganie występowały takie fale i właśnie dlatego astronautów dręczą koszmary. Poszukiwania we wspomnieniach będą bezskuteczne.

– Chce pan powiedzieć, że mieli wizje jak jasnovidz? Że to, co obaj widzieli, dopiero się wydarzy? – spytał Buchhorn.

– Nie wiem, czy się wydarzy, ale sądzę, że obrazy, które doprowadziły do ich traumatyzacji, mają to samo źródło.

Brandon głośno się roześmiał.

– Profesorze Paul, drogie koleżanki i drodzy koledzy, chyba starczy. Nie zdziwi mnie, jeżeli zaraz zacnie mówić o zielonych ludzikach w latających talerzach. Naprawdę nie mogę dłużej znieść tego bełkotu. Mój czas jest zbyt cenny, żeby go marnować na takie bzdety.

Profesor Paul uniósł uspokajająco ręce.

– Mamy wśród nas meteorologa – powiedział, odwracając się do Changa.
– Czy to teoretycznie możliwe, że wewnątrz burzy rzeczywiście dojdzie do jakiegoś oddziaływania przez fale ekstremalnej długości?

Wayne popatrzył po obecnych i się wyprostował.

– Zasadniczo biorąc, w burzach występuje szerokie spektrum zarówno miękkiego, jak i twardego promieniowania. Dotychczas nie spotkałem się z takimi oddziaływaniami, jakie opisał doktor Saint-Claire. Nie słyszałem jednak także o tym, aby kiedykolwiek przeprowadzono dokładną analizę rodzajów promieniowania i częstotliwości występujących we wnętrzu huraganu. Dopóki nie występuje w nim radioaktywne promieniowanie gamma, najpoważniejsze w huraganie są skutki wiatru. Ponieważ doktor Saint-Claire kilka dni temu zadał mi takie samo pytanie, zwróciłem się do NOAA. Jak na razie, nie mam odpowiedzi.

– Wiedziałem! – powiedział ze śmiechem Brandon. – Na parasolu z chmur siedzą ludki z kosmosu. Prawdopodobnie to one są odpowiedzialne za powstawanie huraganów.

– Przepraszam bardzo, ale chyba najlepiej będzie, jeżeli zaczekamy na opinię NOAA – przejął ponownie prowadzenie profesor Paul. – Jak sprawa z Sandersem?

Pytanie było skierowane do profesora Buchhorna, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, inicjatywę przejął Brandon.

– U niego uraz chyba tkwi głębiej niż u Zieglera. Jego stan nie uległ zmianie. Nie możemy do niego dotrzeć. Nie reaguje ani na leki, ani na naszą obecność. Moja koleżanka prawdopodobnie miała z Zieglerem po prostu szczęście.

Brian przełknął ślinę, żeby nie zareagować na tę ironiczną uwagę. Kolejna dyskusja z Brandonem po prostu nie miała sensu.

– Może w takim razie powinniście panowie zrezygnować z metody klasycznej i spróbować czegoś mniej konwencjonalnego? – powiedziała Suzannah.

Jej policzki były lekko zaczerwienione. Brian z rozbawieniem stwierdził, że ze złości.

– Szanowna koleżanko – odparował Brandon – nie wszystkie przypadki są takie same i nie wszyscy pacjenci reagują na tę samą metodę. Przecież mówię, jakie to szczęście, iż okazało się, że pani metoda wróży sukces. Moja droga, mówiąc „szczęście”, nie mam oczywiście na myśli przypadku. Pod żadnym pozorem nie chciałbym umniejszać pani zasługi, ale wie pani doskonale, jak istotną rolę grają warunki zewnętrzne.

Profesor Paul uniósł rękę. Najwyraźniej miał dość tego typu dyskusji.

– Jak zamierza pan działać dalej? – spytał, kierując się wprost do Brandona.

Brandon złożył dłonie i opadł na oparcie.

– Gdyby w ciągu tygodnia nie nastąpiła żadna zmiana, nie uda się moim zdaniem uniknąć zabiegu.

– Lobotomia? – spytała z niewiarą Suzannah.

– W dzisiejszych czasach nie jest to poważny zabieg, a pozostaje w dalszym ciągu metodą o niezaprzeczonej wartości.

– To niebezpieczna operacja – zaprotestował Brian, który tym razem nie mógł milczeć.

– Ale daje pewną szansę – odparł profesor Buchhorn, który zachowywał się coraz bardziej jak rzecznik prasowy Brandona.

Profesor Paul popatrzył na zegarek.

– Sądzę, że na tym zakończymy – zamknął zebranie. – Spotkamy się ponownie w poniedziałek. Może do tego czasu dowiemy się więcej.

Very Large Array, Nowy Meksyk

Na zachód od Magdaleny, przy autostradzie numer 60, na otoczonym płotem terenie stoi dwadzieścia siedem anten radiowych, ustawionych w trzech

rzędach w kształcie litery Y. Razem z podobnymi instalacjami z Green Bank w Wirginii Zachodniej oraz Charlottesville w Wirginii tworzą gigantyczny system szukający w kosmosie fal i sygnałów radiowych. Z biegiem lat stały się w upalnym Nowym Meksyku magnesem ściągającym setki i tysiące turystów. Autobusami przyjeżdżają tu ludzie z całego świata i pchają się na teren, szturmując otwierane już o godzinie 8.30 rano centrum turystyczne. Zwłaszcza wczesnym latem przyjeżdża tu mnóstwo ludzi zainteresowanych rzutem oka w głąb rozległego kosmosu. „Strażnicy wszechświata” stali się jednak lukratywnym źródłem zarobków nie tylko dla użytkowników systemu – tuż przy parkingu powstały chaty i budy, a w nich Indianie z pobliskich rezerwatów oferowali na sprzedaż przedmioty związane z ich kulturą, które lądowały na parapetach w Detroit, Berlinie czy Tokio.



Także Jack Silverwolfe odkrył, jak dobrze można tutaj zarobić. W miesiącach letnich sprzedawał w oddalonym nieco od parkingu stoisku koce, indiańskie ozdoby i rzeźby.

Dwain wiedział, gdzie szukać stoiska Jacka. Zaparkował mavericka i ruszył pieszo przez zapyłone pole. Może tutaj dowie się czegoś nowego, istotnego dla śledztwa.

Dzień powoli zbliżał się do końca i wkrótce centrum turystyczne zostanie zamknięte. Dwain szedł wzdłuż płotu w kierunku bud, gdzie turyści pertraktowali ze sprzedawcami. Dwain minął ich bez słowa.

W cieniu schnącego drzewa stało prymitywne stoisko oparte na konstrukcji z powiązanych ze sobą prętów i dla ochrony przed słońcem zasłonięte od góry dywanami. Obok straganu siedział na becze stary mężczyzna i palił fajkę. Na ladzie leżały rzeźbione fajki i indiańskie ozdoby.

Kiedy Dwain się zatrzymał, Indianin przyjaźnie się uśmiechnął. Buda Jacka była oddalona jedynie o kilka kroków, wisiał na niej zakurzony koc. Dwain wskazał na stoisko.

– Silverwolfe był tu w zeszłym tygodniu?

Indianin zastanawiał się, czy odpowiedzieć. Dwain dobrze znał mentalność tych ludzi. Byli dość zamknięci w stosunku do obcych. Najlepiej było grać z nimi w otwarte karty.

– Stary Jack nie żyje – rzekł spokojnie Dwain Hamilton. – Jestem szeryfem

hrabstwa Socorro i uważam, że go zamordowano. Jestem tu, ponieważ poszukuję mordercy.

Stary Indianin zakreślił ramieniem szerokie półkole.– Tu nie ma morderców – odparł melancholijnie. – Siedzimy tu i sprzedajemy różne rzeczy turystom, aby nasze rodziny mogły przeżyć zimę. Życie zrobiło się ciężkie.

Dwain skinął głową.

– Wiem, ale chciałbym wiedzieć, czy Silverwolfe był tu w zeszłym tygodniu. Znalezione jego zwęglone zwłoki i nie potrafimy określić, kiedy zmarł.

– Szeryfie, czy życie starego Indianina jest naprawdę takie ważne?

Dwain zdawał sobie sprawę z tego, że to pytanie testowe. W Ameryce ciągle jeszcze ziała przepaść między białym człowiekiem a Indianami.

– Wielki Duch stworzył każde życie – powiedział na sposób Indian. – Kocha zarówno czerwonego, jak i białego człowieka. Nikt nie ma prawa kraść Wielkiemu Duchowi ani jednego życia.

Indianin się uśmiechnął. Dwain zdał egzamin.

– Jack był tu. Siedzieliśmy tu co dzień, paliliśmy, rozmawialiśmy i wspólnie milczeliśmy. Potem przestał przychodzić. W ubiegły czwartek.

– Czyli w środę jeszcze tu był?

Indianin skinął głową.

– Do zachodu słońca. To był dobry dzień. Dużo ludzi, dobry interes.

– Czy coś było inaczej, zwróciło twoją uwagę? Jacyś ludzie, którzy na coś czekali, może Jack o czymś mówił? Na przykład, że się boi.

– Nie, to był dzień jak każdy inny pod gorącym słońcem.

Dwain skinął głową. Był rozczarowany. Spodziewał się po tej wizycie więcej. Kiedy wracał wieczorem z Magdaleny do Socorro, jego myśli krążyły wokół starego Jacka Silverwolfe'a. Kto mógłby być zainteresowany śmiercią indiańskiego pustelnika?

Kiedy mijał skręt do Rio Salado, czyli drogę, która prowadziła do chaty Jacka Silverwolfe'a, jego wzrok padł na stojący przy drodze zielony pojemnik. Administracja gminy poustawiała takie pojemniki na śmieci we wszystkich zatokach dróg i na wszystkich parkingach. Od tego czasu pobocza dróg były praktycznie czyste, ponieważ turyści przestali wyrzucać śmieci przez okna samochodów. Dwain wjechał w zatokę, zatrzymał się i wysiadł. Podniósł pokrywę zielonego kontenera. Był pełen mniej więcej w jednej czwartej, co oznaczało, że niedawno został opróżniony.

8.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Briana bolała głowa. Po wczorajszej konferencji i kłótni z Thomasem Brandonem zaprosił do swojego apartamentu Wayne'a Changa i Suzannah i pili kalifornijskie czerwone wino. Brian opowiedział Wayne'owi, skąd wzięła się wrogość między nim a Brandonem i jak to przez Brandona stracił stanowisko świeżo upieczonego wykładowcy w Chicago.

– W takim razie w tym życiu nie zostaniecie już chyba przyjaciółmi – odparł Wayne, na co Brian jedynie pokręcił głową.

– Patrząc z perspektywy czasu, to właściwie jestem mu wdzięczny, że tak wcześnie zakończył moją karierę akademicką. Wegetacja w jakiejś sali wykładowej i uczenie przemądrzałych studentów nigdy nie były marzeniem mojego życia. Prawdę mówiąc, umożliwił mi wyrwanie się z monotonii.

Suzannah siedziała przy stole i popijała wino. Jej mina nie zdradzała bólu, jaki odczuwa. Brandon przyspieszył także jej rozstanie z Brianem, a może ich związek i tak by się rozpadł w wyniku dążenia Briana do wolności?

– Sprawy są, jakie są – rzekł Wayne Chang. – Upiększanie ich nie ma sensu. Musimy wyciągnąć z nich to, co najlepsze.

Kilka minut później Wayne poszedł do siebie. Obiecał Jennifer, że zadzwoni do niej po zamknięciu numeru jej gazety.

Suzannah dopiła wino i też wstała. Brian chciałby, żeby została, ale nie miał odwagi jej o to poprosić. Nie chciał rozdrapywać blizn.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za Suzannah, dolał sobie wina. Wkrótce skończył butelkę i za to właśnie płacił karę następnego dnia. Pulsowało mu w głowie.

Kiedy po wspólnym śniadaniu zajrzeli do pokoju swojego podopiecznego, okazało się, że Helmut Ziegler leży na łóżku i słucha sączącej się z głośników uspokajającej muzyki. Brian pozostał w pomieszczeniu kontrolnym, Suzannah jak zwykle usiadła przy łóżku.

– Jak się pan dziś czuje?

Ziegler się uśmiechnął.

– Noc przebiegła spokojnie? – pytała dalej.

– Dziękuję, spałem dobrze – odparł astronauta. – Jaki mamy dziś dzień?

Suzannah przejrzała elektroencefalogram.

– Niedzielę.

Zapis EEG wskazywał, że noc astronauty faktycznie znowu przebiegła bez jakichkolwiek niemiłych incydentów. Była to trzecia spokojna noc z rzędu, nadszedł więc czas, aby rozpocząć właściwą terapię konfrontacyjną.

– Chcemy kontynuować od miejsca, w którym wczoraj przerwaliśmy – powiedziała Suzannah. – Niech pan usiądzie jak najwygodniej. Muzyka będzie grała dalej, cały czas będę w pobliżu. Nic się panu złego nie stanie.

Zaczęła wprowadzać astronautę w stan hipnozy. Posuwała się małymi kroczkami do przodu. Oddech Zieglera spowalniał, mięśnie coraz bardziej się rozluźniały. Brian obserwował instrumenty. Nie minęło wiele czasu, a łagodnie brzmiące, wypowiedane monotonicznie słowa Suzannah zaczęły odnosić pożądany skutek. Ciało Zieglera zwiotczało. Stan odprężenia pogłębiał się, a typowa dla stanu czuwania świadomość prawie zanikła.

Suzannah kontynuowała. Dotychczas jeszcze nie odważyła się iść tak daleko i nie wiedziała, czy uda jej się dotrzeć do głębin duszy Zieglera. Jak on zareaguje, jeżeli zostaną mu przypomniane senne koszmary? Mogła wywołać w nim blokadę, spowodować nawrót, halucynacje albo panikę. Mimo obaw przeszła z hipotaksji do somnambulizmu – najgłębszego poziomu transu, stanu całkowitego oddania się i rezygnacji z siebie.

Brian z oczekiwaniem i napięciem obserwował przez szybę, co się dzieje. W obecnej sytuacji należało się liczyć ze wszystkim. Nieobliczalne reakcje co prawda nie występowały często, ale nie można ich było wykluczyć w stanie, w jakim znajdowali się obaj nieszczęśni astronauty.

Suzannah przez ponad dziesięć minut utrzymywała pacjenta w głębokim transie. Mówiła do niego, zadawała mu pytania, wnikała w głąb jego psychiki, w dzieciństwo i burzliwy okres dorostania. Omijała starannie sprawę sennych koszmarów. Na to było za wcześnie.

– Jak się pan czuje? – spytała, kiedy przyszedł do siebie.

Ziegler badawczo rozejrzał się po pomieszczeniu. Potem wskazał na przy-
ciemnianą szybę.

– Nie jest pani sama – powiedział. – Kto siedzi za szybą?

Pytanie zaskoczyło Suzannah. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.
Jak na to wpadł?

– To... mój kolega – odparła w końcu łamiącym się głosem.

Ziegler uśmiechnął się i wziął do ręki zwisające obok łóżka skórzane pasy.

– Jestem niebezpieczny?

Suzannah Shane pokręciła głową.

– Powinien pan teraz odpocząć. Potrzebuje pan przerwy. Po południu bę-
dziemy kontynuować.

– Niech pani przyprowadzi swojego kolegę! – zawołał Ziegler, kiedy Su-
zannah wychodziła z pokoju.

□ □ □

– Rozumiesz to? – spytała z zadumą.

Brian wstał.

– Liczyłem się z taką reakcją.

Suzannah zmarszczyła czoło.

– No, ale teraz to mam już tego dość! – powiedziała energicznie. – Chcę
wiedzieć, do czego dążysz! I nie rób uników jak wczoraj wieczorem. Dlaczego
pytałeś o występujące w burzach częstotliwości? Mówisz o wizjach, jasnowi-
dzeniu, drugim wzroku, a teraz zachowujesz się, jakby pytanie Zieglera cię nie
zaskoczyło. Nie, twierdzisz wręcz, że się go spodziewałeś! Co jest grane? Co
przede mną ukrywasz?

Brian ugodowo uniośł ręce.

– Jeszcze nie mogę ci tego wyjaśnić. Zaufaj mi. Potrzebuję kilku szczegó-
łów, bo jak na razie, to tylko spekulacja.

– Opowiedz!

– To, jak wczoraj zareagowali na moją teorię szanowni koledzy, nie było
zbyt miłe. Widziałem po waszych minach, co myślicie. Jeszcze nie czas.

– Mój Boże, ale ja...

– Wiem, że to trudne, ale już wtedy ci mówiłem, że istnieją na naszym
świecie rzeczy, które wymykają się rozumowi, których nie umiemy wyjaśnić

i nie chcemy widzieć, ponieważ nie pasują do naszego wyznaczanego przez logikę i przewidywalność systemu. Nie oznacza to jednak, że są mniej obecne niż ten nieszczęśliwy mężczyzna.

– Nienawidzę, kiedy z tym zaczynasz – odparła przygnębiona Suzannah. – Nienawidziłam tego już wtedy, kiedy uciekłeś. Gdy przed laty o tym mówiłeś, już wtedy czułam głęboką odrazę. Nienawidzę świata, w którym nie mogę się połapać, bo nie ma w nim zasad i prawideł. Potrzebuję wyjaśnień, które pojmę, rozumiesz to?

Brian skinął głową.

– Łowca duchów powrócił. Stoi przed tobą i wie, że w dalszym ciągu boisz się przekroczyć granicę.

– Boże drogi, Brian!

Brian objął Suzannah i przytulił.

– Nie ganiam za duchami – szepnął jej do ucha. – Zaufaj mi. Daj mi tylko trochę czasu, żebym mógł udowodnić swoją tezę. Daj mi tę szansę, bo każdy musi najpierw pogodzić się ze sobą. Więcej nie żądam i obiecuję ci, że efektem nie będą przerażające opowieści o duchach, ale łańcuch logicznych faktów. Taki, jak uwielbiasz.

Suzannah odsunęła się od Briana i popatrzyła mu głęboko w oczy.

– No dobrze, ufam ci.

Ośrodek NASA, kwatera główna, Waszyngton

W wielkim biurze znajdującym się w waszyngtońskiej dzielnicy biurowej było niezwykle ciepło. Od kilku godzin nie działała klimatyzacja i technicy jak na razie bez skutku starali się znaleźć awarię i uruchomić instalację.

Bruce T. Traverston, dyrektor NASA, rozparł się w wygodnym skórzanym fotelu. Marynarkę rzucił luźno na krzesło. Także Donald Ringwood, który siedział naprzeciwko Traverstona na kanapie, zdjął z powodu temperatury marynarkę. Mimo to pot spływał mu po czole. Ten niski, krępy mężczyzna szybko się pocił. Donald Ringwood, szef administracji i zastępca profesora Paula w programie misji promu kosmicznego, prosił o tę rozmowę już przed tygodniem, ale Traverston dopiero teraz miał dla niego czas.

– To naprawdę bardzo ciekawe, Don, i oczywiście ma pan rację – powiedział Traverston po tym, jak Ringwood skończył swoje sprawozdanie. – Zgadza się, że w tej sprawie James zadziałał z własnej woli i bez mojej zgody. Pozwoliłem mu na zbadanie sprawy, nie oznaczało to jednak automatycznie

stworzenia pozaplanowej komisji ekspertów. Zwłaszcza że chodzi o tajne dane, a w komisji uczestniczą zagraniczni naukowcy.

– Na dodatek ten projekt pochłania ogromne środki – powiedział Ringwood. – Dwa tygodnie temu urządziliśmy niezwykle nowoczesnie wyposażone laboratorium wysokich napięć. Do tego dochodzą wydatki na modele promu i jego części. Nie uwzględniając honorariów naukowców, wydaliśmy już dwieście trzydzieści cztery tysiące dolarów, a to najwyraźniej jeszcze nie wszystko. Wczoraj przez moje biurko przeszło zaakceptowane przez profesora Paula zlecenie zakupu generatora dużej mocy – za dwadzieścia cztery tysiące dolarów. W związku z napiętą sytuacją finansową, moim zdaniem, nie może to być kontynuowane.

– Jakie kroki pan podjął? – spytał Traverston.

Ringwood wytarł chustką czoło.

– Oczywiście przekazałem zlecenie dalej, w końcu profesor Paul jest upoważniony do dokonywania tego typu zakupów. Nie mam prawa blokować jego poleceń, ale rozmawiałem z nim i poprosiłem o ograniczenie wydatków.

– Co on na to?

Ringwood miał zakłopotaną minę.

– Powiedział, że mogę sobie wsadzić swoje dolary w tyłek.

Traverston głośno się roześmiał.

– To do niego podobne!

Ringwood niepewnie przyjrzał się dyrektorowi.

– Co pan zamierza?

Traverston wstał i obszedł fotel. Położył Ringwoodowi dłoń na ramieniu.

– Dobrze pan zrobił, Donaldzie, informując mnie – rzekł po ojcowsku. – Zajmę się sprawą i porozmawiam z Jamesem. Jeżeli dotrze do pana kolejny czek na wysoką sumę, proszę mi przesłać zlecenie. A teraz musi mi pan wybaczyć, mam spotkanie z prezydentem.

Kiedy Ringwood opuścił gabinet, Bruce T. Traverston usiadł ponownie za biurkiem i sięgnął po słuchawkę. Przed spotkaniem z prezydentem musiał odbyć jeszcze jedną niecierpiącą zwłoki rozmowę.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Była pora obiadu. Pokój, w którym przebywał astronauta Sanders, znajdował

się na końcu długiego korytarza. Także i tutaj można było obserwować pacjenta z sąsiedniego pomieszczenia w taki sposób, że o tym nie wiedział. Sanders leżał na zasłanym na biało łóżku, profesor Buchhorn stał obok niego w towarzystwie pielęgniarki, profesor Brandon znajdował się w salce kontrolnej i oberwał instrumenty pomiarowe.

Sanders nie spał. Jego oczy latały nerwowo na boki. Ciągle jeszcze nie mówił w stanie czuwania. Z ust wydobywały mu się jedynie gardłowe pomruki. Tętno miał przyspieszone, serce mu łomotało. Po dłuższej dyskusji obaj profesorowie ustalili poprzedniego dnia, że będą zmniejszać Sandersowi dawki leków. Postępy, jakie Suzannah i Brian zrobili z Zieglerem, mocno wstrząsnęły obydwoma zwolennikami „metody tradycyjnej”. Kiedy zaczynali pracę, byli przekonani, że tylko ich podejście może doprowadzić do sukcesu, a po niecałym tygodniu musieli zaakceptować fakt, że Suzannah i jej łowca duchów nie tylko są przed nimi o łeb, ale u ich pacjenta zapowiada się kolejny skok do przodu.

Sanders nagle głośno wrzasnął. Pielęgniarka poluzował mu przed chwilą pas na lewej ręce, żeby Buchhornowi było wygodniej zrobić zastrzyk, i w tym samym momencie Sanders zaczął „stawać dęba”. Raz za razem jego ciałem wstrząsały potężne drgawki. Pielęgniarka, wielki i silny mężczyzna, ledwie zapanował nad astronautą.

– Co za głupi pomysł... – zaklął pod nosem Buchhorn. – Od razu wiedziałem, że nie wypali.

Było mu obojętne, że Brandon słyszy jego słowa przez głośniki, bo był wściekły jak cholera. Brandon nie miał zielonego pojęcia o leczeniu pacjentów z psychozą i po traumatycznych urazach. Znał się tylko na teorii.

– Za chwilę nie dam rady go utrzymać... – jęknął pielęgniarka.

Buchhorn bezskutecznie próbował wbić długą igłę w żyłę pacjenta. Astronauta z coraz większą siłą próbował się wyrwać, energia jego szafu narastała. Zanim Buchhorn zdążył unieruchomić jego lewą rękę, pękło mocowanie pasa unieruchamiającego prawą i Sanders natychmiast zaczął walić pięściami w pielęgniarkę. Jeden z ciosów wylądował na żołądku mężczyzny i zanim zdążył on zareagować, dostał tak mocno pięścią w czoło, że zatoczył się do tyłu. Wpadł na metalowy stolik, przewrócił go, po czym z takim impetem wylądował na podłodze, że stracił przytomność.

Buchhorn z niewiarą spojrzął w jego kierunku i zanim zdążył odskoczyć,

Sanders chwycił go za gardło. Kiedy astronauta pociągnął go ku sobie, Buchhorn wypuścił strzykawkę. Głowę przeszył mu gwałtowny ból. Nie mógł oddychać. Silne ręce astronauty ścisnęły mu szyję i psychiatra poczuł atak paniki. Krew dudniła mu w uszach. Wycie syreny alarmowej zagłuszało wrzaski szalejącego Sandersa. Buchhorn powoli tracił przytomność. Starał się złapać powietrze, ale nie mogło się przecisnąć przez miażdżoną tchawicę. Minęła wieczność, zanim do sali wpadła grupa pielęgniarzy i pielęgniarek i rzuciła się na Sandersa. Szalone zapasy trwały wieczność, a każdy oddech Buchhorna zdawał się dudnić echem niczym krzyk w wąwozie. W końcu personelowi pomocniczemu udało się wyrwać psychiatrę z żelaznych objęć szaleńca. Buchhorn zwałił się na podłogę.

– Gdzie strzykawka?! – doleciał do niego krzyk pielęgniarki.

Uniósł głowę i spróbował otworzyć oczy, ale nie chciały go słuchać. Pogryzał się w głębokiej ciemności.

Pięciu pielęgniarzy i dwie pielęgniarki trzymały szalejącego Sandersa na łóżku, trzeciej pielęgniarce udało się przygotować drugi zastrzyk i go zrobić. Po dłuższej chwili Sanders się uspokoił. Dopiero kiedy astronauta opadł na łóżko, jego mięśnie się rozluźniły i można mu było ponownie przywiązać ręce, profesor Brandon wszedł do sali.

Ukląkł obok Buchhorna i przewrócił go na bok.

– Proszę wezwać doktora Browna! – wrzasnął przerażony do jednej z pielęgniarek.

W lewym, zamkniętym oku Buchhorna tkwiła zagubiona strzykawka.

9.

Prowincja Guangdong, Chiny

W niedzielę wieczorem tajfun Ambo uderzył w wybrzeże Chin na południe od miasta Shantou. Tajfun osłabł nieco w ciągu dnia i obniżono mu klasyfikację, przenosząc do pierwszej kategorii na skali Saffira-Simpsona. Oczekiwana początkowo fala powodziowa, którą tajfun pchał przed sobą, ledwie osiągnęła wysokość trzech metrów, a prędkość wiatru spadła do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Woda, która wdarła się na ląd, porwała ze sobą kilka rybackich chat, wichur sprawiał, że woda smagała brzeg, i wyrwał kilka drzew. Niebo pociemniało, zasnuły je czarne chmury.

Z gęstych chmur zaczął lać deszcz i wkrótce powstały strumyki, które łączyły się w większe strumienie. Sztorm uderzył jednak w niezamieszkaną region i dzięki temu nie było rannych i zabitych. Działania ewakuacyjne chińskiego rządu zapobiegły najgorszemu. Region odetchnął.

Z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę Ambo zaczął się wkradać w głąb kontynentu. Szeroko rozpostarty wachlarz chmur zakrywał niebo nad portowym miastem Swatou, ale poza kilkoma poluzowanymi dachami i oderwanymi przewodami elektrycznymi nie było żadnych godnych wzmianki szkód. Ambo był niezwykle wyrozumiały dla ludzi mieszkających na chińskim wybrzeżu. Chłodne masy powietrza spowolniły prędkość obrotu cyklonu i stracił on swoją przerażającą potęgę, zanim zdążył dotrzeć mniej więcej o północy do stoków gór Lianhua Shan i się w nich zaplątać. Podążył dalej na południe jako orkan, ale kontakt z masywem górskim sprawił, że z chmur wyleciała prawie cała woda. Efektem było kilka niezbyt wielkich osunięć ziemi i zalanych łąk.

Ambo umierał, ale nikt za nim nie płakał. Zanim nadeszła poranna szarówka,

przerażający tajfun zamienił się w średniej wielkości burzę. Już następnego dnia ludzie wrócili na tereny na południe od Shantou, aby usunąć pozostawione przez tajfun szkody.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Suzannah Shane kręciła głową, a Brian Saint-Claire wbijał wzrok w podłogę.

Profesor Robert Buchhorn, psychiatra z dziwnym dialektem, leżał w klinice okulistycznej w Orlando i walczył o zachowanie wzroku.

– Kaniula weszła cztery centymetry w oko – powiedział profesor Paul. – Uszkodzone są rogówka, źrenica, siatkówka i pochewka nerwu wzrokowego. Środek uspokajający, który wniknął do wnętrza oka, spowodował dodatkowo poważne zapalenie. Możemy się tylko cieszyć, że nie dostał się do płata czołowego.

– Straci wzrok? – spytał Brian.

Profesor Paul wzruszył ramionami.

– Lekarze uważają, że jeszcze za wcześnie, aby się wypowiadać. Mają nadzieję, że zapalenie szybko się cofnie i nie obumrą kolejne komórki nerwowe. Na pewno jednak ubytki na zdrowiu będą trwałe.

Brian skinął głową.

– A pielęgniarz?

– Złamanie kości udowej i kilka siniaków.

– Jasna cholera, jak mogło do tego dojść?! – zawołała Suzannah.

Paul przeciągnął dłońią po czole.

– Sanders najwyraźniej cały dzień był niespokojny. Rozmawiałem z Brandonem, ale jest w szoku i poszedł na oddział szpitalny się położyć. Kiedy pielęgniarze wpadli do sali, Sanders dusił biednego Buchhorna, który był już siny. A przecież wiedzieli, że mają działać ostrożnie.

– Oni wiedzieli, my wiemy, ale nikt w to poważnie nie wierzy – odparła Suzannah. – Codziennie igramy z ogniem...

– ...i w którymś momencie ktoś parzy sobie palce – dokończył Brian.

– Do państwa decyzji należy, czy chcecie kontynuować, czy przerwać leczenie – odparł Paul. – W takiej sytuacji nie mogę wymagać, abyście w dalszym ciągu ryzykowali.

Brian popatrzył na Suzannah. Widział odpowiedź w jej oczach.

– Zostajemy! – powiedział zdecydowanie. – Zaszliśmy już dość daleko. Ziegler jest na dobrej drodze. Oczywiście nie mamy złudzeń, że uda nam się wyleczyć go w ciągu kilku tygodni, jeśli jednak terapia będzie kontynuowana, jego szanse na pełne wyleczenie nie wyglądają źle.

Zadzwoił telefon na biurku Paula. Popatrzył przepaszająco na gości i podniósł słuchawkę.

– Telefon do pani, Suzannah – powiedział po chwili i podał słuchawkę.

– Peggy? – powiedziała zdziwiona Suzannah. – Jak do mnie dotarłaś?

Ściszyła głos i odeszła w kąt gabinetu.

– Na co dokładnie cierpi Brandon? – spytał Paula Brian.

– Chyba się wystraszył.

– Jestem pewien, że szybko wróci do równowagi – odparł z uśmiechem Brian.

Paul spojrział w kierunku Suzannah.

– Słyszałem, że kiedyś był pana mentorem. W Chicago, kiedy pan studiował.

– To prawda.

– Skończył pan studia ze znakomitymi wynikami i pracował pod jego kierownictwem jako wykładowca?

– To także prawda.

Paul pokręcił głową.

– W takim razie, prawdę mówiąc, nie rozumiem, skąd ta wasza wzajemna niechęć.

Brian spuścił wzrok.

– Nie chce pan o tym mówić?

Brian westchnął.

– To długa historia, ale mówiąc w skrócie, nie spodobało mu się, że z garstką studentów przekroczyłem pewną granicę. Jego zdaniem w konserwatywnym Bradley poważni naukowcy nie powinni się zajmować zjawiskami parapsychologicznymi. Chyba uznał, że go zdradziłem.

– A jak pan to widzi?

– Uważam, że jeśli chodzi o naprawdę wolną naukę, może istnieć tylko jedna granica, wyznaczana przez moralność i etykę, ponieważ w innym wypadku wkrótce zaczniemy gonić w piętkę. Nie będzie więcej postępu. Nie chcę by to zabrzmiało arogancko, ale gdyby Galileusz, Newton albo Freud nie

przekroczyli narzucanych im granic, siedzielibyśmy w dalszym ciągu w drewnianych chatkach i rzeźbili figurki świętych. Choć niektóre drogi z czasem okazują się ślepych zaułkami, dowiedzieć się tego można tylko wtedy, gdy idzie się nimi i wali łbem w stojący w poprzek mur. Postęp zawdzięczamy oszołomom i fantantom.

Profesor Paul skinął głową.

– Rozumiem, co ma pan na myśli.

Suzannah wróciła do biurka i podała Paulowi słuchawkę.

– Mam nadzieję, że nic się nie stało? – spytał z niepokojem.

Suzannah pokręciła głową, aż zabujały się jej loki i uśmiechnęła się.

– Wręcz przeciwnie. Rozmawiałam z siostrą. Jej mąż został skierowany do prac porządkowych w Mobile i wygląda na to, że spędzi tam jeszcze sporo czasu. Jest żołnierzem i jego rodzina, to znaczy moja siostra i dwójka ich dzieci, dostała od dowódcy w ramach odszkodowania za rozłąkę dwutygodniowy urlop.

– Ładnie – rzekł Paul.

– Siostra chciała mi przekazać, że wykorzysta ten prezent na wycieczkę z dziećmi i matką statkiem po Karaibach.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

– Dokąd jedziesz? – spytał Tom Winterstein, kiedy Dwain podszedł do półki i wziął kapelusz.

– Chcę się jeszcze raz rozejrzeć w Gallinas.

Tom się skrzywił.

– Po co? Byliśmy trzy razy nad rzeką i przeszukaliśmy wszystko. Nawet psy nie znalazły żadnych śladów. Słyszałeś, co powiedziała ta lekarka – to mógł być wypadek. Jack często pił na umór. Na pewno potknął się w pijanym widzie i walnął głową o kant stołu. A potem wybuchł ogień.

– Istnieje taka możliwość – odparł Dwain. – Ale tak samo prawdopodobne jest, że ktoś mu w tym pomógł.

– Kto miałby to być, a przede wszystkim, z jakiego powodu by to zrobił?

Dwain wzruszył ramionami, po czym zostawił Toma i wyszedł na dwór. Wsiadł do mavericka i pojechał międzystanową numer 25 na południe. Na każdym parkingu, który mijał, rozglądał się za małą żółtą ciężarówką Crows, do której opróżniał stojące wzdłuż drogi pojemniki na śmieci. Szczęście dopisało

mu tuż przed Bosque del Apache. Zatrzymał się. Crow stał obok swojej ciężarówki i obsługiwał zamocowany na niej dźwig, którym podnosił właśnie pojemnik na śmieci.

Śmierdziało zgniłymi produktami żywnościowymi i śmieciami. Dwain zmarszczył nos.

– Cześć, Crow! – przywitał się z Indianinem. – Ciężka praca, co?

Crow pracował dalej jakby nigdy nic i tak manewrował dźwigiem, żeby ramię potrząsało kontenerem i całkowicie się opróżnił.

– Siema, szeryfie. Człowiek szybko się przyzwyczaja do smrodu.

Odstawił kontener na ziemię i przesunął go na miejsce obok drewnianej ławki. Dwain poszedł za nim.

– Słyszałeś, co się stało ze starym Jackiem?

Crow skinął głową i zablokował hamulec na kółku kontenera.

– Opróżniasz też codziennie śmietniki na sześćdziesiątce? – spytał Dwain.

Crow ponownie skinął głową.

– Kiedy ostatni raz robiłeś rundę do Magdaleny?

Crow chwilę się zastanawiał.

– W zeszłym tygodniu.

– Którego dnia?

Rozmowa wyraźnie nie była dla Crowa komfortowa, ale Dwain nie zamierzał popuścić. Jego spojrzenie przyszpilało Indianina.

– Szeryfie... – powiedział w końcu Indianin. – Nie chcę mieć kłopotów.

– Dlaczego miałbyś mieć kłopoty?

– Kiedy ostatnim razem wezwałem pana na Coward Trail, miałem kłopoty. Trzymali mnie cały dzień w Albuquerque i przesłuchiwali. Powiedziałem im, ale i tak twierdzili, że coś ukrywam. Straciłem przez to cały dzień.

Dwain wiedział, o czym Crow mówi. Najwyraźniej kapitan Howard z policji stanowej nie obchodził się delikatnie z Indianinem.

– Posłuchaj mnie – chcę tylko wiedzieć, czy widziałeś cokolwiek niezwykłego. Stary Jack zmarł prawdopodobnie w nocy ze środy na czwartek w zeszłym tygodniu. Moim zdaniem został zamordowany. Kiedy opróżniałeś pojemniki przy Magdalenie?

Crow popatrzył w niebo. Zapanowało długie milczenie. Dwain czekał cierpliwie, aż Indianin podejmie decyzję.

– W zeszłą środę – powiedział po jakimś czasie. – Przed Magdaleną, przy ścieżce do Rio Salado stoi śmietnik, który opróżniałem. Stał tam samochód. Czarny jeep.

Dwain nadstawił uszu.

- Z okolicy?
- Cherokee, cały się świecił. Przyciemniane szyby. Pusty i zamknięty.
- Kiedy dokładnie to było?

Crow podrapał się po głowie.

- Chyba po piątej. Na końcu mojej trasy.
- Widziałeś kogoś obcego w okolicy?

Crow pokręcił głową.

- A kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Jackiem?
- Tydzień temu. Mówił, że przemówił do niego ktoś z chmur. Mieli po niego przyjść. Znowu był pijany.

- Nie zauważyłeś niczego poza tym?

Crow wzruszył ramionami.

- Dziękuję ci bardzo – powiedział szeryf i odwrócił się, żeby odejść.
- Hm... szeryfie... ten samochód nie był stąd. Miał kalifornijskie tablice.

Dwain błyskawicznie się odwrócił.

- Zapamiętałeś numery?
- Trzydzieści cztery, pięćdziesiąt dwa REI.

Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych

Właśnie minęła 20.22. Minął kolejny tropikalny dzień. Temperatura w ciągu dnia wyraźnie przekroczyła trzydzieści stopni. Nad kontynentem poruszały się trzy strefy wysokiego ciśnienia, które wypychały nad ląd tropikalne powietrze z południa.

Pacyfik był gorący jak nigdy. U zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych na średniej fali podskakiwały jachty uczestniczące w tegorocznych regatach Monterey. Wiatr spadł poniżej trzech stopni.

Kiedy sejsmograf, znajdujący się na małym archipelagu niedaleko Santa Barbara, zaczął rysować ząbkowaną linię, zaczynał zapadać zmrok. Linia była odrobinę zygzakowata, jej amplituda szybko jednak zaczęła się zwiększać. Fragmenty płyty kokosowej na południowym Pacyfiku wpadły w drobny rezonans. Ruch dna morskiego zauważyło jedynie kilka osób. Na powierzchnię wody wydostawały się bąble, zamieniając niektóre fragmenty oceanu w kipiela. Smród był nie do wytrzymania.

Zjawisko potrwało niecałą minutę, po czym wszystko się uspokoiło. Sto

kilometrów na północ kutry holownicze ściągały jachty z oklapłymi żaglami do portu w San Francisco. Sternicy byli źli. Może jutrzejszy dzień przyniesie odpowiedni wiatr.

NOAA, Boulder, Kolorado

Cliff Sebastian w zamyśleniu pokręcił głową. Na jego biurku leżał najświeższy wydruk mapy pogodowej na piętnastego czerwca sporządzony przed dziesięcioma minutami przez komputer centralny. Zawarte w nim były wszystkie dane, które spłynęły ze stacji naziemnych, radiosond oraz obu satelitów pogodowych. Mapa obejmowała cały kontynent północnoamerykański – z częściami Zatoki Meksykańskiej, Atlantyku, Pacyfiku oraz północnych mórz polarnych.

Przez żaluzje w oknach gabinetu na trzecim piętrze centrali NOAA w Boulder przesączało się słoneczne światło. Cliff Sebastian popatrzył z zadumą na zegarek. Minęła właśnie dziewiąta rano, a on już któryś raz z rzędu przeglądał kolorową mapę. Kontynent północnoamerykański był jak beczka prochu.

Pogodę nad kontynentem wyznaczały trzy strefy wysokiego ciśnienia – pogodę suchą, słoneczną i gorącą. Jeden wyż znajdował się na zachodzie, z centrum nad Nevada, drugi nad Iowa, a trzeci parł od strony Wielkich Jezior na południe. Ciśnienie wynosiło tysiąc dwadzieścia hektopaskali i niezbyt silne wiatry o prędkości między dwadzieścia a trzydzieści kilometrów na godzinę przesuwwały masy powietrza na południowy zachód.

Wszystkie te wartości nie były niczym niezwykłym jak na letni miesiąc w środkowym pasie Stanów Zjednoczonych, a mimo to Cliff Sebastian miał dziwne przeczucie. Powodem były trzy strefy niskiego ciśnienia, które powstały w pobliżu równika. Jedna znajdowała się poniżej zwrotnika Raka, u zachodnich wybrzeży Meksyku, pozostałe dwie na wysokości Małych Antyli i na zachód od Wysp Zawietrznych.

Temperatura powierzchniowych warstw wody Morza Karaibskiego wynosiła dwadzieścia sześć stopni Celsjusza i ciągle rosła. Cliff Sebastian wziął głęboki wdech. Wyglądało na to, że szykuje się kolejna katastrofa, która wkrótce uderzy z pełną siłą.

Krajowe Centrum Huraganów w Miami oceniało prawdopodobieństwo ponownego utworzenia się cyklonów na ponad osiemdziesiąt pięć procent, a w obliczu wartości zmierzonych w strefach niżu ocena ta była bardzo realna.

W Tallahassee jeszcze nie usunięto szkód spowodowanych przez Cezara, a wokół Mobile, gdzie huragan Amy przed ośmioma tygodniami musnął zatokę Missisipi, ludzie ciągle jeszcze pracowali przy odbudowie zniszczonych domów i farm. Od katastrofy w Galveston z ósmego września 1900 roku corocznie u wybrzeży Ameryki od strony Zatoki Meksykańskiej rozgrywa się ten sam spektakl. Huragany nadchodzą, ranią i zabijają, niszczą domy i farmy, po czym mieszkańcy wybrzeża wszystko odbudowują. Wyglądało na to, że z tej spirali nie ma ucieczki, ale w tym roku było znacznie gorzej. Burze przyszły tak wcześniej jak jeszcze nigdy dotąd i okazały się bardziej nieobliczalne. Jak to się skończy?

Cliff Sebastian sięgnął po słuchawkę i wybrał numer Krajowego Centrum Huraganów w Miami. Nie musiał długo czekać na zgłoszenie się Allana Clarka.

– Mam właśnie przed sobą najnowszą mapę pogodową – zaczął Sebastian.
– Nie wygląda to różowo. Jak wasza prognoza?

Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie.

– Jesteś? – spytał w końcu Sebastian.

– Jestem. Biorąc pod uwagę aktualną sytuację, liczymy się z powstaniem w najbliższych dniach superkomórki burzowej na południe od Portoryko. Woda jest zbyt ciepła, jak na tę porę roku.

– Można to jakoś wyjaśnić?

– Posłaliśmy „Solarisa” na Małe Antyle, ale jak na razie nie odkryliśmy niczego, co by wyjaśniało wzrost temperatury wody. Wymiana z głębszymi warstwami wody praktycznie ustała, najwidoczniej to coś w rodzaju El Niño.

– Gdyby coś zaczęło się tam dziać, daj mi znać natychmiast, dobrze?

– Masz moje słowo – odparł Allan Clark. – Podejrzewam, że nie będziesz długo czekał na mój telefon.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Pomieszczenie było skąpane w półcieniu, z głośnika dolatywała cicha muzyka. Suzannah Shane siedziała wygodnie na krześle. Jej głos był miękki i miły. Helmut Ziegler miał zamknięte oczy, leżał rozluźniony na łóżku. Brian obserwował go przez lustro weneckie. Urządzenia rejestrujące stwierdzały osłabianie się liczby fal alfa w elektroencefalogramie. Ciśnienie krwi spadało.

Suzannah wprowadziła Zieglera w głęboki trans hipnotyczny, co sprawiło, że stracił wszelkie poczucie czasu i przestrzeni. Brian z fascynacją obserwował zapis elektroencefalografu. Z każdą minutą zmniejszała się ilość fal alfa, częstotliwość elektrycznej aktywności mózgu spadała do zakresu fal theta. Aparat EEG rejestrował częstotliwości poniżej siedmiu herców. Suzannah jeszcze nigdy w swojej karierze nie wprowadziła pacjenta w tak głęboki trans, w to stadium poszerzonej świadomości.

Odważyła się na ostatni i decydujący krok.

– Prom wchodzi w atmosferę ziemską, drgania się nasilają – powiedziała.

Brian z napięciem obserwował monitory, gotów do natychmiastowej reakcji, gdyby doszło do podobnej reakcji jak u Sandersa. Na szczęście pisak nie wychylał się za mocno. Nic nie wskazywało na to, że Ziegler dostanie napadu paniki.

Suzannah podniosła głowę i popatrzyła w kierunku lustra. Brian odruchowo uniósł kciuk. Nie przyszło mu do głowy, że Suzannah go nie widzi.

– Prom wchodzi w parasol chmur. Wszystko przebiega zgodnie z planem. Nie ma żadnych komplikacji. Śpisz głęboko i mocno. Czuć jedynie lekkie drganie.

Zygzak na dole ekranu monitora na chwilę stał się ostrzejszy, Brian wstał, ale Ziegler cały czas leżał nieruchomo na łóżku, ciało miał rozluźnione. Mimo to Brian nie usiadł – aby w razie potrzeby jak najszybciej zareagować. Dłonią chwycił klamkę.

– Prom wleciał w chmury. Puszyste białe chmury. Biel przed statkiem rozciąga się jak ośnieżony górski krajobraz. Wibracja się nasila, w powietrzu słychać szum.

Zygzak na monitorze znowu się spłaszczył. Piki wysuwały się jedynie kilka milimetrów nad linię zerową. Brian głęboko odetchnął. Puścił klamkę.

– Do środka wpadają promienie słońca – mówiła Suzannah. – Chmury powoli się rozplywają. Widok zasłaniają już tylko pojedyncze pasma. Pod promem rozciąga się błękitny ocean. Jest błękitny, piękny i spokojny. Na horyzoncie widać brzeg. Zbliża się z każdą chwilą. Prom leci stabilnie, drgania zanikają.

Brian popatrzył na stojący obok monitora stoper. Uruchomił go, kiedy Suzannah weszła do sali Zieglera i zaczęła przygotowania do hipnozy. Austriacki astronauta czekał na wizytę i kiedy przyszła, powitał ją lekkim uśmiechem. Brianowi przypomniał się dzień, kiedy ujrzał Zieglera po raz pierwszy:

mężczyzna siedział w kącie niczym przerażone, śmiertelnie ranne zwierzę i wpatrywał się w przestrzeń szeroko otwartymi szklistymi oczami. Suzannah wystarczyły dwa tygodnie, aby ze skulonej na podłodze, przepętnionej lękiem istoty zrobić prawie zwyczajnego człowieka. Brian zdawał sobie sprawę, że do całkowitego usunięcia skutków traumy potrzeba będzie jeszcze wielu sesji terapeutycznych, ale to, co Suzannah osiągnęła przez te dni, znacznie przekraczało jego wyobraźnię. Choć w niewielkim stopniu przyczynił się do sukcesu terapeutycznego, był dumny z tego, co udało się osiągnąć. Cóż osiągnął Brandon za pomocą metody akademickiej, która polegała jedynie na podawaniu Sandersowi leków?

Jego partner leżał w klinice specjalistycznej z poważnymi obrażeniami oka, a sam Brandon do tej pory się nie pojawił. Zamknął się w swoim mieszkaniu i nawet nie zjawił się na krótkim zebraniu, które zwołano poprzedniego wieczoru. Profesor Paul oświadczył, że Brandon ciągle jeszcze znajduje się w szoku.

Brian przeanalizował swoje uczucia, aby sprawdzić, czy nie odczuwa satysfakcji z porażki byłego mentora z Uniwersytetu Bradleya i obecnie najzagorzalszego oponenta, ale jej nie znalazł. Nie czuł zadowolenia, nie czuł radości z nieszczęścia bliźniego, nie czuł szyderczej satysfakcji. Wręcz przeciwnie: w końcu z porażką Brandona nierozzerwalnie związany był los dwóch ludzi. Brian miał nadzieję, że sprawa zakończy się pomyślnie zarówno dla Sandersa, jak i dla Buchhorna.

Kiedyś być może wzięłby Brandona w obroty i wygarnął mu, kto jest winien katastrofy, do której doszło, i kto jest nieudacznikiem, ale przez ostatnie lata sporo się nauczył. Na zmieszaniu Brandona z błotem nikt nie skorzysta – ani Buchhorn, ani Sanders.

– Pojawia się pas do lądowania. Szerokie szare pasmo betonu, stale rosnące w okienku. Maszyna trzyma się spokojnie, powoli i łagodnie schodzi ku ziemi.

Słowa Suzannah wyrwały Briana z zadumy. Ze strachem popatrzył na ekran monitora. Zaklął. Na chwilę oderwał się od rzeczywistości i zostawił Suzannah samą sobie. Nie mógł pozwolić sobie na nieuwagę, musiał się skupiać na reakcjach pacjenta.

– Koła dotykają ziemi – powiedziała Suzannah. – Przez cały statek przebiega delikatna wibracja. Rozlega się odgłos dysz hamujących. Siła hamowania wciska cię w fotel, ale tylko na chwilę. Prom zaczyna wyhamowywać i czujesz, jak opór podnosi ci żołądek. Maszyna toczy się coraz wolniej i wolniej.

Staje. Stoi nieruchomo i pewnie na pasie. Wylądowaliście. Powoli zaczynasz się budzić. Otwierasz oczy.

Brian poczuł narastające napięcie. Zygzak na ekranie się zwiększył. Piki unosiły się coraz wyżej, wzrosła częstotliwość prądów w mózgu.

– Otwierasz oczy! – powiedziała dobitnie Suzannah.

Ciśnienie krwi Zieglera powoli podniosło się do normy. Instrumenty mierzyły pierwsze ruchy mięśni, częstotliwość fal mózgowych wzrosła do dwunastu herców. Fale beta.

– Wylądowaliście i otwierasz oczy!

Zabrzmiało to jak rozkaz i ciało astronauty faktycznie zaczęło się poruszać. Powoli zaczął się przeciągać. Fale beta się nasiliły, Ziegler otworzył oczy i się rozejrzał.

– Jak się pan czuje? – spytała Suzannah i ujęła pacjenta za nadgarstek. Jego tętno coraz bardziej przyspieszało.

– Gdzie ja jestem? – sennie zapytał Ziegler.

– Wylądował pan bezpiecznie – odparła Suzannah. – Musi się pan teraz dobrze wyspać. Zobaczymy się po południu.

Wstała i podeszła do drzwi.

– Nie wiedziałem, że umiesz tak dobrze wylądować promem kosmicznym – powitał ją w salce obok Brian.

Suzannah kokieteryjnie uniosła brwi.

– Ćwiczyłam prawie całą noc. Jak mi poszło?

– Fantastycznie! – Brian lekko pocałował ją w policzek.

– Zasłużyłam więc na krwisty stek! Jestem głodna jak wilk!

– W końcu wykonałaś kawał ciężkiej roboty. – Brian otworzył przed Suzannah drzwi prowadzące do długiego, surowo urządzonego korytarza.

Statek badawczy NOAA „Solaris”, Morze Karaibskie

„Solaris” krążył między Małymi Antylami od siedmiu dni, zbierając dane o pogodzie i prądach morskich. Był to najnowocześniejszy i najszybszy statek floty NOAA i należał do działu geofizycznego organizacji. Został zbudowany z wykorzystaniem nowoczesnej technologii SWATH: wypór jest osiąganym za pomocą dwóch znajdujących się całkowicie pod wodą pływaków połączonych smukłymi poprzeczkami. Statki takie z wyglądu przypominają nieco katamaran, tylko że pływaki katamaranu są zanurzone częściowo, a statku SWATH

całkowicie. Redukuje to znajdującą się w wodzie objętość kadłuba, a więc wpływ energii fali na cały statek. Dzięki zastosowaniu tej technologii statek poruszał się niezwykle spokojnie i był łatwy do manewrowania nawet przy silnym wietrze i wzburzonym morzu.

Jednostka napędowa składała się z czterech potężnych silników zakończonych śrubami wyprofilowanymi zgodnie z najnowszą wiedzą biometryczną, dzięki czemu dało się osiągnąć moc sześciu tysięcy kilowatów. Jednostka rozwijała prędkość dwudziestu dwóch węzłów, czyli tyle, ile niewielki krążownik. Na pokładzie było czterdziestu pięciu ludzi załogi, w tym dwudziestu pięciu naukowców i pracowników naukowych instytutu geofizyki.

Dziekiem najnowocześniejszych technologii była także łódź podwodna „Doreen”. Smukły korpus ze specjalnego stopu pozwalał jej zanurzać się do głębokości pięciu tysięcy metrów. W mającym niecałe osiem metrów długości, trzy metry szerokości i cztery metry wysokości korpusie mogło się zmieścić trzech ludzi – pilot i dwóch obserwatorów. „Doreen” dokowała na rufie „Solarisa” – podwieszona do wychyłanego dźwigu, cały czas gotowa do akcji.

Przed niecałymi dwoma godzinami zakończyli nurkowanie w okolicy wyspy Saint Vincent i smukły żółty kształt leżał na platformie, jakby chciał nabrać sił do pracy. Konieczne było drugie zanurzenie; trzeba było zweryfikować dane zebrane na początku dnia. Były one zbyt dziwaczne. Gdyby okazało się, że nie ma pomyłki, oznaczałoby to, że układy prądów w górnych i środkowych warstwach wody odwróciły się i woda nie płynie z Atlantyku do zatoki, lecz w kierunku północnego wybrzeża Ameryki Południowej. Czyżby miało wkrótce dojść do El Niño także na Atlantyku? Czyżby Prąd Północnorównikowy coraz bardziej słabł?

Badanie prądów karaibskich oraz temperatury na głębokości tysiąca metrów sprawiło, że miny na twarzach naukowców w pomieszczeniu kontrolnym „Solarisa” wyrażały bezradność. Przypominający horror scenariusz o końcu świata, którego możliwością pojawienia się w ciągu najbliższych pięciuset lat straszili nawet uznani klimatolodzy, przebiegał w błyskawicznym tempie. Ile jeszcze czasu pozostało światu?

Kapitan „Solarisa” ze sterówki obserwował przez lornetkę bezksiężycową noc. Płynęli kursem na północ-północny zachód, silniki pracowały z jedną czwartą mocy. W celu zbadania nieco bardziej niezmiennego fragmentu Prądu Karaibskiego, nadchodzącego dnia „Doreen” miała zanurzyć się niecałe pięćset kilometrów na zachód od Jamajki, na wysokości wysp Santanilla. Sternik stał

za sterem i gryzł kciuk. Na monitorze migającym na pulpicie kontrolnym wi-
dać było aktualną mapę pogodową regionu, do którego się udawali. Nad ich
jutrzejszym miejscem pracy rozciągał się silny niż, który prawdopodobnie
sprawi, że morze będzie wzburzone.

– Miejmy nadzieję, że jutro nikt się nie pochoruje – rzucił z uśmiechem
kapitan. – Inaczej znowu będziemy musieli szorować pokład.

Sternik też się uśmiechnął.

– To naukowcy, a nie marynarze.

Zbliżała się północ i niebo na zachodnim horyzoncie nagle pojaśniało.

– Co to takiego? – spytał ze zdziwieniem sternik.

Kapitan skierował lornetkę w kierunku pasma światła jarzącego się we
wszystkich barwach widma.

– Hm... – mruknął po chwili. – Gdybym nie znał naszej pozycji, powie-
działbym, że mamy do czynienia z przepiękną zorzą polarną.

– Zorzą polarną?

– Ale na Morzu Karaibskim to niemożliwe. Muszą to być jakieś odbicia
światła albo coś w tym rodzaju.

Sternik zmarszczył czoło.

– A skąd miałyby się wziąć?

Kapitan wzruszył ramionami.



Na dolnym pokładzie „Solarisaa” znajdowało się sporych rozmiarów po-
mieszczenie kontrolne zapchane elektroniką i systemami komputerowymi.
Służbę miało tam przez całą dobę trzech naukowców. Nadzorowali i próbko-
wali dane zbierane przez umieszczone na statku liczne czujniki, sondy, anteny i
sensory, przekazywane następnie do komputera centralnego.

Jeden z naukowców sięgnął po kubek z parującą kawą i kiedy rozległo się
przenikliwe wycie alarmu, o mało się nią nie udławił. Odstawił kubek i popa-
trzył na monitor. Jego palce zatańczyły na klawiaturze. Jego bezradna mina
zainteresowała obu kolegów.

– Co się dzieje? – zapytał siedzący przy sąsiednim stanowisku brodac.

– Dostaję dane o pojawieniu się w pobliżu zorzy polarnej – odparł zapyta-
ny. – Poziom promieniowania cztery. Tyle że satelity twierdzą, iż w pobliżu
nigdzie nie ma wiatru słonecznego.

– Widzę to na ekranie – powiedział brodacz. – Intensywność promieniowania wyraźnie odbiega od normy. Mamy jeszcze aktualny link na ACE?

– Daj przegląd.

Zaklekotały klawisze.

– Jesteśmy online. Lokalizacja piętnaście stopni szerokości północnej, osiemdziesiąt stopni długości zachodniej. Całkiem blisko nas.

– Jak blisko?

Brodacz znowu postukał w klawisze.

– Sto kilometrów na zachód. Jak w środku nocy może dojść do odbić długich fal? Słońce jest już od dawna po drugiej stronie kuli ziemskiej.

– Nie mam pojęcia.

– Więc co robimy?

– Zawiadomimy szefa.

10.

Socorro, Nowy Meksyk

Szeryf Dwain Hamilton był zdenerwowany. Krążył po swoim gabinecie jak pobudzony drapieżnik. Jeszcze poprzedniego wieczoru sprawdził numer rejestracyjny podejrzanego samochodu, który widział Crow, ale kontrola baz danych urzędów komunikacji nic nie dała. Pojazd o takich numerach nie był nigdzie zarejestrowany. Czyżby Crow się pomylił, źle zapamiętał którąś cyfrę albo literę? Wszystko było możliwe.

Do późna w nocy sprawdzał wszystkie możliwe kombinacje cyfr, ale czarny jeep cherokee o podobnym układzie znaków nie był nigdzie zarejestrowany. Szeryfowi nie pozostało nic innego, jak zaczekać do rana i zadzwonić do centralnego urzędu komunikacji w Los Angeles. Może pojazd zarejestrowano niedawno i jeszcze nie został wprowadzony do bazy komputerowej? Hamilton spał w biurze, ponieważ szkoda mu było czasu na jazdę do domu, poza tym i tak nikt tam na niego nie czekał.

Już od bitej godziny próbował uzyskać z urzędu komunikacji jasną odpowiedź, ale nic z tego nie wyszło. Albo nie łączono go z kim trzeba, albo akurat nie było urzędnika odpowiedzialnego za interesującą go sprawę. Zaczynał tracić cierpliwość, podnosił głos i rzucał groźby, aż w końcu połączono go z kierownikiem działu o nazwisku Berkley. Dwain odetchnął.

– Znalazł pan samochód?

W słuchawce rozległo się ciche westchnienie.

– Nie do końca – odparł z wahaniem urzędnik.

– Co to znaczy?

– Że nie mamy w naszych aktach dowodu rejestracji takiego samochodu.

– Czyli jeep jeździ po naszym hrabstwie na sfałszowanych numerach pańskiego urzędu... – powiedział Dwain Hamilton. Był rozczarowany.

- Nie do końca.
- Nie do końca? A cóż to ma znaczyć?
- Możliwe, że taki numer rejestracyjny istnieje, ale nie jest u nas zanotowany.

Dwaina denerwowała taka gra w ciuciubabkę.

- Człowieku, jaśniej proszę! O co chodzi z tymi numerami?
- Nie jestem upoważniony do udzielania tego typu informacji.

Dwain pisał dłoń o blat biurka.

– Mam tego dość! Jestem szeryfem i prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, co mają więc znaczyć te gierki? Mów pan wreszcie, do kogo należy ten numer!

– Chodzi o... numer zastrzeżony – próbował się wykręcić Berkley. – Jestem uprawniony do udzielania tego typu informacji jedynie na polecenie sędziego i to na piśmie.

– Posłuchaj pan, w moim hrabstwie zabito człowieka. Indianina. Został po śmierci spalony, a samochód o tych numerach ma związek ze sprawą, więc co mają znaczyć te wygłupy? To samochód prezydenta?

– Mogę jedynie panu poradzić, żeby zwrócił się pan w tej sprawie do sędziego śledczego i złożył zapytanie na piśmie. Przykro mi, ale więcej nie mogę panu pomóc.

Trzask w słuchawce oznaczał, że Berkley się rozłączył.

– Co za cholera... – zaklął Dwain i ponownie uderzył w blat biurka.

Z wściekłości nie usłyszał pukania do drzwi. Szeryf uspokoił się dopiero wtedy, gdy kiedy Donna wsadziła głowę do pokoju.

- Co jest? – zapytał Dwain Hamilton szorstko.
- Pukałam, ale rzucasz się jak dziki, więc nic nie słyszysz.

Dwain uniósł pokojowo rękę.

- Przepraszam, ale właśnie miałem niemiłą rozmowę telefoniczną.
- Czeka na ciebie dwóch gości, jeden wygląda na grubą rybę z marynarki.

Chcę z tobą rozmawiać.

– A o czym?

– Sam ich zapytaj – powiedziała Donna, odwróciła się i zniknęła. Drzwi została otwarte.

Mężczyźni siedzieli na ławce naprzeciwko wejścia. Jeden z nich był wysoki, szczupły i ciemnowłosy – wyglądał jak aktor ze starego hollywoodzkiego filmu. Miał na sobie granatowy mundur marynarki wojennej, zdaniem Dwaina szyty na miarę. Dystynkcje i złote paski na rękawach informowały, że jest

komandorem. Mężczyzna, który siedział obok niego, był starszy, łysy, mały i gruby, ubrany w workowaty garnitur, a pot perlił mu się na czole. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego i spiętego, w przeciwieństwie do oficera, który wyglądał na pewnego siebie.

Dwain podszedł do gości i odchrząknął.

– Dwain Hamilton, jestem tu szeryfem. Panowie chcieli ze mną rozmawiać?

Oficer sprężystym ruchem wstał i wyciągnął rękę.

– Komandor Nicolas Leach, a to jest doktor Bruce Allistar – powiedział. –

Wręczył pan doktorowi wezwanie. Chodzi o wypadek w Socorro sprzed dwóch tygodni.

Dwain pogardliwie zlustrował niskiego człowieczka.

– Oczywiście! Tak szybko pan wyzdrowiał? – spytał i wbił wzrok w twarz doktora, który ze wstydem spuścił głowę. – Proszę do mojego gabinetu!

– O co właściwie chodzi? – zapytał Leach, kiedy Dwain usiadł za biurkiem, a goście na krzesłach. – Zdawało mi się, że prokurator okręgowy odrzucił pozew.

Dwainowi nie podobał się zarówno sposób zachowania oficera, jak i jego ton.

– Trzeba jeszcze pozalátwiać różne formalności. W końcu w wypadku zginął człowiek i ciężko ranionych zostało kilkoro dzieci. Mała Gina do dziś leży w szpitalu. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie mogła normalnie chodzić. Sądzę, że to uzasadnia wezwanie.

– Bardzo... naprawdę bardzo mi przykro – wydukał doktor Allistar. – Nie wiem...

Oficer położył dłoń na ramieniu doktora i wpadł mu w słowo.

– Powołujemy się na prawo do odmowy zeznań i nie będziemy składać żadnych wyjaśnień. Dotarła do pana pisemna ekspertyza o stanie zdrowia w chwili wypadku. Wyrównaliśmy straty materialne i ugodziliśmy się z rannymi oraz ich rodzinami. Proces, jeżeli w ogóle można go tak nazwać, jest niniejszym zakończony.

Dwain pokręcił głową.

– Nic nie jest zakończone – powiedział, sięgnął do szuflady i rzucił na stół brązową tekturową teczkę. – Jak na razie do prokuratora okręgowego wpłynął jedynie wstępny raport. Ostateczne akta śledztwa będę mógł przekazać dopiero po ustaleniu wszystkich koniecznych danych.

– Już powiedziałem, że nie będziemy składać żadnych zeznań i powołujemy się na...

– Nie chodzi o zeznania – przerwał Dwain oficerowi. – Zacznijmy od

prawa jazdy. Doktorze, czy ma pan ważne prawo jazdy?

Allistar popatrzył na oficera, który lekkim skinieniem głowy dał mu znak, że może odpowiedzieć.

– Mam je przy sobie – szybko zapewnił Allistar i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął portfel, a z niego plastikowy prostokąt prawa jazdy.

– Aha, wojskowe prawo jazdy – mruknął Dwain i położył dokument na biurku. Sięgnął po długopis i powoli przepisał dane na kartkę papieru. – Ma pan sześćdziesiąt lat?

– Wszystko jest napisane na dokumencie – odparł oficer.

– I mieszka pan w obozie wojskowym?

Lekarz pokręcił głową.

– Mieszkam w Magdalenie, przy...

Oficer znowu wpadł mu w słowo.

– Z doktorem Allistarem można się komunikować przez koszary imienia generała Willstona.

– Potrzebuję adresu, pod którym faktycznie mógłbym się z nim skontaktować, gdyby pojawiły się jeszcze jakieś pytania. Koszary to teren zamknięty, prawda?

Oficer się wyprostował.

– Zna pan obecną sytuację naszego kraju. Prowadzimy wojnę. Ameryka została zaatakowana i musimy się bronić. Doktor Allistar wnosi znaczący wkład w bezpieczeństwo naszego kraju i w interesie Stanów Zjednoczonych proszę pana o nieumieszczanie jego adresu w aktach.

Dwain zmarszczył czoło.

– Jeżeli jest taki ważny, to dlaczego nie mieszka w koszarach, tylko w prywatnym domu?

– Nie znoszę zamknięcia. Nigdy nie mógłbym żyć za płotem – wyjaśnił lekarz.

– O pańskim adresie nie dowie się nikt poza mną, prokuratorem i być może sędzią – powiedział Dwain Hamilton. – Poza tym to nie my zaatakowaliśmy Amerykę. Sądzę wręcz, że należymy do tych, którzy jej bronią.

– A możemy polegać na pańskiej dyskrecji? – spytał ironicznie komandor Leach.

– Prawo mnie do niej zobowiązuje. Ja też mam swoje regulaminy. A może nie ufa pan naszemu wymiarowi sprawiedliwości?

Oficer chwilę się zastanawiał. Allistar patrzył na niego pytająco.

– Doktor Allistar mieszka na skraju Magdaleny, przy Chestnut Street dziesięć. To informacja poufna.

– Już mówiłem, że mam swoje regulaminy – odparł Dwain Hamilton i zapisał adres. – Jeżeli to kogoś interesuje, to powiem, że mała Gina Wallor leży na trzecim oddziale szpitala w Socorro. Jej rodzice mieszkają na skraju miasta. Może zechciałby pan ją osobiście przeprosić.

– Nie sądzę, żeby doktor Allistar znalazł na to czas – rzucił komandor Leach. – Przesłaliśmy rodzicom pismo z przeprosinami i zaproponowaliśmy odszkodowanie. Wszystko zostało przeprowadzone. Jeszcze jakieś pytania?

Dwain pokręcił głową, na co oficer wstał. Jego towarzysz zrobił to samo, choć znacznie mniej pewnie.

– Do widzenia, szeryfie – pożegnał się Leach i ruszył żwawym krokiem w kierunku drzwi.

– Aha, mam jeszcze jedno pytanie – powiedział szeryf. – Co właściwie robicie w lesie Cibola?

Leach się odwrócił.

– Przecież sam pan wie, że w interesie bezpieczeństwa narodowego nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Regulamin, rozumie pan?

– Rozumiem. I jeszcze coś: słyszał pan o Allanie Mcnishu?

Mina komandora nie zmieniła się, ale Dwainowi wydało się, że doktor poczuł się jeszcze bardziej niepewnie.

– Przykro mi – odparł oficer bez mrugnięcia okiem. – Powiniennem znać tego człowieka?

– Chciałem tylko zapytać – powiedział Dwain Hamilton i wstał.

Oficer wyszedł z gabinetu, Allistar podążył za nim jak wierny pies. Zanim zamknęli za sobą drzwi, doktor na chwilę się zatrzymał i odwrócił do szeryfa.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Gdybym mógł, chciałbym sprawić, aby tamten dzień nigdy się nie wydarzył, ale...

Ze smutkiem wbił wzrok w podłogę.

– Doktorze, idziemy! – zawołał oficer.

Allistar jeszcze raz kiwnął głową i zamknął za sobą drzwi. Dwain miał wrażenie, że na koniec w oczach doktora pojawiły się łzy. Westchnął i opadł na fotel. Miał w ustach mdły smak. Otworzył drzwiczki z boku biurka, wyjął szklankę i butelkę whiskey, nalał sobie i wziął duży łyk.

Centrum Lotów Kosmicznych
im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

W dużej sali konferencyjnej na drugim piętrze budynku administracji panowało milczenie. Także dziś dwa krzesła pozostały puste.

Profesor James Paul zajął miejsce u szczytu stołu i położył na nim przyniesione materiały. Obecni w milczeniu patrzyli na niego. Usiadł, odchrząknął i rozejrzał się wokół.

– Panie i panowie! Mam wiadomość z Orlando. Po dwugodzinnej operacji chirurgom udało się uratować wzrok doktora Buchhorna.

Rozległ się radosny pomruk. Profesor Paul uniósł dłonie.

– Oczywiście doktor Buchhorn jeszcze przez dłuższy czas pozostanie w szpitalu, a profesor Brandon poinformował mnie, że chciałby nas opuścić. To znaczy, że nie mamy nikogo, kto mógłby się zająć Sandersem. Poza tym dotarł do mnie faks z naszej waszyngtońskiej centrali, w którym żąda się wyjaśnienia tego incydentu.

– To do Brandona podobne – szepnął Brian do Suzannah. – Najpierw sprzeż sprawę, a potem zmyka. Typowe dla niego.

– Muszę podjąć decyzję w sprawie Sandersa – kontynuował profesor Paul. – Nie możemy go stale szpikować lekami i pozostawić na pastwę losu.

Suzannah poprosiła o głos.

– Zaplanowaliśmy na jutro rano pogłębienie naszej terapii w symulatorze. Ziegler już od kilku dni funkcjonuje bez leków. Jeżeli postępek się utrzyma, sądzę, że do weekendu będziemy mogli przejść do fazy wyprowadzania go. To znaczy, że będziemy mogli zająć się Sandersem. Jestem przekonana, że tak samo zareaguje na zastosowaną terapię jak Ziegler.

Brian z wielkim zdumieniem popatrzył na Suzannah.

– Nie mogę tego od pani żądać, panno Shane – odparł profesor Paul. – Nie mogę przejąć odpowiedzialności za kolejny incydent.

Suzannah się uśmiechnęła.

– Nie ma innej możliwości, chyba że zdecydowałby się pan przekazać Sandersa do ośrodka zamkniętego. Nie sądzę jednak, aby otrzymał tam pomoc, jakiej potrzebuje.

Paul skinął głową.

– Zastanowię się nad pani propozycją.

– Nie możemy ratować całego świata – szepnął Brian do Suzannah. – Sanders jest nieobliczalny.

– Ziegler był taki sam. Nie pamiętasz?

Profesor Paul zwrócił się do Haarmanna:

– Czytałem pański raport i muszę przyznać, że wnioski są zaskakujące. Naprawdę pan sądzi, że nowa kolejność podłączenia transmitera wykluczy kolejny taki incydent?

Haarmann energicznie pokiwał głową.

– Tak wynika z naszych eksperymentów. Kiedy umieścimy jednostkę przekazującą zaraz za detektorem synchronizacji, unikniemy jakichkolwiek nieprawidłowości. Co prawda pilot promu będzie otrzymywał dane z odchyleniem, ale da się je skorygować za pomocą zainstalowania interfejsu na modulatorze. Dodatkowo podwyższymy osłonę elektromagnetyczną aparatury rezonansowej. Dzięki temu z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością powinny zostać wykluczone znaczące zakłócenia pracy w podobnych warunkach pogodowych. Przeprowadziliśmy kolejną serię eksperymentów i wraz z profesorem Changiem doszliśmy do wniosku, że nawet przy wyładowaniu energii najwyższej mocy i bezpośrednio jej wpływie wykluczone będzie ponowne przesunięcie czasu...

Brian opadł na oparcie krzesła i patrzył przez okno. Niewiele rozumiał z fachowego slangu fizyków. Miał nadzieję, że konferencja wkrótce się skończy i będzie mógł zamienić kilka słów z Suzannah. Co ją napadło, że chce się zajmować także Sandersem? Doskonale przecież wiedziała, co się stało Buchhornowi.

– Więc anomalie czasową między jednostką sterującą stacją naziemną a odbiornikiem w promie spowodował jedynie błąd w transmisji radiowej? – spytał Paul.

– Mówiąc w uproszczeniu, tak – przyznał profesor Haarmann.

– Świetnie, w takim razie proponuję, aby zajął się pan ze swoim zespołem przekonstruowaniem elementów sterujących – powiedział profesor Paul, po czym zwrócił się do Suzannah: – A my porozmawiamy o Sandersie, kiedy będzie pani mogła wypowiedzieć się ostatecznie o Zieglerze. Dziękuję państwu.

Kiedy obecni zaczęli wstawać, Brian wreszcie odetchnął. Gdy Suzannah chciała wstać, położył jej dłoń na ramieniu.

– Zostań, musimy porozmawiać.

– O czym.

– Dobrze wiesz.

U wybrzeży wyspy Clipperton, Pacyfik

Nad południowym Pacyfikiem wisały ciemne chmury. „Timbury” zakotwiczył

tego wieczora niecałe dwadzieścia kilometrów na zachód od wyspy Clipperton. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku załoga spuściła do wody robota nurkującego. Urządzenie o kodzie TRAV 7 mogło do głębokości pięciuset metrów dokonywać pomiarów prądów oraz temperatury i ciśnienia wody. Było to dwudzieste czwarte newralgiczne miejsce na południowym Pacyfiku, w którym statek badawczy za pomocą streamerów, aparatu TRAV 7 oraz innych urządzeń pomiarowych zebrał góry danych, które bez przerwy wskazywały na jedno: El Niño był wszechobecny.

Tego dnia naukowcy zostali jednak zaskoczeni. Woda na powierzchni oceanu wokół maleńkiej pacyficznej wyspy, znajdującej się niecałe tysiąc czterysta kilometrów od stałego lądu, miała dwadzieścia pięć i siedem dziesiątych stopnia Celsjusza i była niemal chłodna w porównaniu, wartościami zmierzonymi bliżej kontynentu.

Kierownik zmiany pracował ze swoim zespołem na przednim pokładzie. Silne reflektory rozświetlały noc, spora grupa mężczyzn i kobiet krzątała się przy różnych zadaniach. Robot znajdował się na trzystu metrach głębokości, kiedy zaczęły się problemy z wyciągarką. Coś zaplątało się w linę, na której spuszczano robota.

– Popatrz na to! – powiedział obsługujący wyciągarkę brodac do ciemnoskórego kolegi i wskazał na południowy wschód.

Ciemnoskóry podniósł głowę.

– Co to jest? Jakiś pożar?

Niebo na południowym wschodzie zabarwiło się na różowo. Wyglądało jak zasłaniająca gwiazdy, świecąca czerwono-woalka.

Wszyscy pracujący przerwali swoje zajęcia i z zainteresowaniem patrzyli na południowy wschód.

– Co to jest? – spytała biolog morski.

– Wygląda niemal jak zorza polarna, ale to niemożliwe – odpowiedział jej jeden z kolegów.

Kiedy obserwator sonaru wybiegł na pokład, w grupie zapanowała nerwowość.

– Nie uwierzycie! – zawołał. – Pod nami przepływają tysiące ryb! Całe ławice – do granic zasięgu sonaru! Płyną na północ. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem!

Dopiero kiedy obserwator sonaru zauważył, że wszyscy wpatrują się bez ruchu w niebo na południowym wschodzie, podążył wzrokiem w tamtym kierunku.

– Zorza polarna w naszym regionie... – wymamrotał. – Oszaleję... to przecież niemożliwe...

11.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Ponieważ Dwain Hamilton nie mógł osiągnąć niczego drogą oficjalną, musiał skorzystać ze swoich kontaktów. W końcu miał wuja senatora. Jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił do Betty – szefowej sekretariatu, gospodyni i dobrej duszy wuja.

– Halo, ty stary rozrabiako! – pozdrowiła go Betty. – Wreszcie dzwonisz? Ostatni raz słyszałam cię ze trzy miesiące temu. Podobno nieźle się wpakowałeś.

Betty miała jakieś sześćdziesiąt lat, ale zachowała rozmach i energię młodej osoby. Dwain lubił tę mówiącą charakterystycznym teksaskim slangiem kobietę. Kiedy pracował na ranchu Cave Pearls jako zarządca majątku senatora, spotykali się niemal co dzień, żartowali sobie i od czasu do czasu nawet coś razem wypili. Betty mogła wypić więcej whiskey niż banda poganiaczy bydła. Niestety, od czasu, jak Dwain Hamilton objął posadę szeryfa, widywali się bardzo rzadko.

– Dlaczego nie zostaniesz w naszej drużynie? Popracujemy jeszcze kilka lat i wycofamy się na farmę. Dość tam miejsca dla nas wszystkich – powiedziała do niego, gdy Dwain zdradził, że kandyduje w wyborach na szeryfa. Chciał wreszcie samemu coś osiągnąć, wyjść poza chmurę otaczającą senatora Josepha Christophera Hamiltona.

Następnego dnia Dwain wsiadł w swojego mavericka i pojechał na wschód, w kierunku Llano Estacado. Około południa wjechał na rozległy teren rancha Cave Pearls. Zaparkował samochód przed wielkim domem w hiszpańskim stylu kolonialnym.

Joseph C. Hamilton siedział na werandzie w bujanym fotelu i kiedy Dwain wchodził po schodach, podniósł wzrok.

– Wreszcie jesteś – powitał go. – Możemy więc podać obiad. Powiedziałem Betty, żeby wrzuciła na patelnię kilka steków T-bone, żeby nasz mały wreszcie porządnie się najadł.

Dwain uśmiechnął się, podszedł do wuja i serdecznie objął tego silnego i wysokiego mężczyznę.

Joseph Hamilton był imponującą postacią. W rodzinie Hamiltonów wszyscy mężczyźni potomkowie zdawali się mutować w olbrzymów. Senator miał dwa metry, czyli był tego samego wzrostu co szeryf. Sto trzydzieści kilogramów żywej wagi rozdzielone było dość równomiernie na całą długość i mimo lat oraz siwych, ale dość bujnych włosów, Joseph C. Hamilton sprawiał wrażenie zapadnika w najlepszym wieku.

– Chodźmy od razu coś zjeść i porozmawiajmy przy stole – zaproponował senator i wszedł do chłodnego domu.

Stary Swany, czarny służący, zaczął wnosić jedzenie. Cieszył się, że znów widzi Dwaina. Swany był jedynie odrobinę młodszy od senatora i pracował już na ranchu, kiedy Dwain był chłopcem.

– Masz jakąś wiadomość od Margo i dzieci? – zapytał senator.

Dwain pokręcił głową.

– Ostatni raz meldowała się cztery tygodnie temu. Chce rozwodu.

– Nie powinna była odchodzić. Kobiety Hamiltonów nie robią czegoś takiego. Ja sprowadziłbym ją następnego dnia z powrotem i sprzął po tyłku. Elly też często była nieszczęśliwa, ale nigdy by nie odeszła. Wiedziała, gdzie jest jej miejsce.

Spojrzenie senatora powędrowało do wiszącego nad kominkiem wielkiego portretu jego żony. Elly zmarła kilka lat temu, a ich małżeństwo było bezdzietne.

– Któregoś dnia odziedziczysz to wszystko – powiedział Joseph Hamilton.
– Potrzebujesz u swego boku kobiety.

– Czasy się zmieniły, wujku.

– Taa... dziś wszystko jest inne. Ale wcale nie lepsze.

Po obiedzie usiedli na werandzie. Pili lemoniadę i palili cygara.

– No więc, mały – jaką masz sprawę?

Dwain odchrząknął.

– Ta historia to twardy orzech do zgryzienia i szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co robić dalej. Czuję się, jakbym walił łbem o ścianę.

– Chodzi w dalszym ciągu o zwłoki przy międzystanowej? Dowiedziałeś się czegoś od tego starego Indianina?

Dwain skinął głową, po czym opowiedział o wypadkach w hrabstwie Socorro, kobiecie, która pojawiła się nagle na biegnącej przez dzicz szosie ubrana tylko

w szlafrok, o zwłokach znalezionych przy Coward Trail i o śmierci starego Jacka Silverwolfe'a. W końcu powiedział senatorowi w zaufaniu, co podejrzewa. Joseph Hamilton z uwagą słuchał słów Dwaina.

– Wyszedłeś daleko przed szereg – rzekł w końcu. – Ostrzegałem cię. Ta sprawa może kosztować cię nie tylko posadę. Jeżeli Howard się dowie, że ukryłeś przed nim ważne informacje, nie spocznie, aż pójdziesz do więzienia za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę?

– Howard jest idiotą. Nie rozpoznałby mordercy, nawet gdyby ten stał przed nim zbryzgany krwią i trzymał w dłoni narzędzie zbrodni.

– Nasz prezydent ogłosił świętą wojnę z terroryzmem i wszyscy go wsparliśmy, ale armia nie jest aż tak głupia, żeby tworzyć obóz dla internowanych pośrodku Nowego Meksyku. Nie wierzę w to. Mamy dość baz wojskowych w regionie Pacyfiku, gdzie nikt nie zadaje pytań.

– Ale ten młody człowiek, ten Allan McNish, był terrorystą. Przynajmniej w Irlandii.

– Tamtejsza wojna nigdy nas szczególnie nie interesowała. To sprawa między Irlandczykami a Anglikami. W naszym kraju żyje wielu Irlandczyków, zarówno katolików, jak i protestantów, ale żyją w zgodzie. Mały, moim zdaniem idziesz złym tropem.

Dwain pokręcił głową.

– W takim razie dlaczego piechota morska izoluje się od świata w koszarach Willstona, jakby była to tajna baza atomowa? Obóz szkoleniowy przygotowujący żołnierzy do zagranicznych misji! Boże, łatwiej napić się kawy w Fort Knox, niż rzucić okiem na ten obóz! Coś tu nie gra.

Senator strącił popiół z cygara.

– Czasy się zmieniły. Po jedenastym września nic już nie jest takie jak kiedyś. Zwalczanie terroryzmu to niebezpieczna działalność i wymaga metod, których nie toleruje każdy kochający pokój kraj na świecie. Nawet Niemcy wbili nam nóż w plecy – choć uwolniliśmy ich od Hitlera i nazistów. Wietnam był katastrofą, ponieważ prasa negatywnie oceniała wojnę, Pustynna burza okazała się jedynie częściowym sukcesem, ponieważ oczy całego świata były na nas skierowane, a komuniści z całą siłą przeciwstawiali się zajęciu Iraku. Obecnie wojen nie wygrywa się przez otwarte starcia. Mały, do celu prowadzą jedynie tajne działania. Niewielkie ukłucia w wykonaniu jednostek specjalnych. To przecież jasne, że nikt nie chce, żeby zaglądanemu w karty.

– A niepożądanych świadków jak Mcnish czy Silverwolfe po prostu się eliminuje?

– Kto wie? Jeżeli, jak twierdzisz, ten Mcnish był terrorystą, to może po prostu wykończyli go towarzysze.

Dwain się zastanowił. Oczywiście, to niewykluczone. Niczego nie można było wykluczyć, ale to jeszcze nie powód, żeby rezygnował ze swoich podejrzeń.

– Znam kogoś, kto ma dobre kontakty z FBI – powiedział senator. – Zobaczą, co uda mi się dowiedzieć o tym numerze rejestracyjnym i Mcnishu, ale ostrzegam cię, mały, igrasz z ogniem.

– Jestem szeryfem hrabstwa Socorro i chcę wiedzieć, co się dzieje w regionie, za który jestem odpowiedzialny. Nie podoba mi się, że wojsko chce zrobić z mojego hrabstwa obszar, gdzie nie obowiązuje prawo. I nie podoba mi się, że jakieś oddziały zabójców napadają na obywateli, którzy wybrali mnie, abym ich chronił.

Senator zdusił cygaro w popielniczce.

– Zobaczą, co da się zrobić.

Na południe od Portoryko, Morze Karaibskie

Dzień zrobił się gorący, a wilgotność powietrza przekroczyła dziewięćdziesiąt procent. Na południe od Portoryko wypiętrzyła się ogromna formacja chmur. Ciepłe i wilgotne powietrze było zasysane jak przez odkurzacza do górnych rejonów. Naturalną granicę chmur stanowiła tropopauza, wskutek czego rozpląwały się tam na boki w gigantyczny parasol. Ciśnienie w strefie trąby powietrznej spadło do niespotykanego poziomu, a prądy wznoszące były szarpane przez silne wiatry poziome, przez co kolumna z powietrza i wody wprawiana była w coraz szybszą rotację. Ciąg w wieży ciepłego powietrza nasilał się coraz bardziej i coraz więcej wody było wciągane w górę, gdzie dołączała do pola chmur. Z minuty na minutę tropikalny niż rozrastał się i zamieniał w potężny cyklon, który przenoślił się na północ i trafiał na ciepłe powierzchniowe wody na południe od Portoryko. Można to było porównać z dolewaniem benzyny do ognia.

□ □ □

Tuż po pierwszej po południu na biurku Cliffa Sebastiana zadzwonił telefon. Przy aparacie był Allan Clark z Krajowego Centrum Huraganów.

– Dostałeś już dane z regionu na południe od Portoryko? – zapytał bez wstępów.

– Zajęty byłem rocznym raportem na sympozjum klimatyczne w San Francisco. Co się dzieje?

– To będzie największa rzecz, jaka kiedykolwiek szła wzdłuż zatoki na północ. Dostaliśmy dane z samolotu meteorologicznego. To już nie jest prąd wznoszący – woda jest dosłownie wsysana do góry. Jeżeli to potrwa jeszcze jakiś czas, ruszy na nas potwór, o jakim nam sienie śniło.

– Wielkość?

– Szacując skromnie, we wnętrzu musimy się spodziewać prędkości wiatru do czterystu kilometrów na godzinę. Ocean zamienił się w gotującą zupę. Prądy dodatkowe, spowodowane przez zawirowania, ciągle zmieniają kierunki przepływu. Jeżeli to w nas uderzy, niech Bóg ma nas w swej opiece.

– Jak sytuacja na zachodzie?

– Wygląda na to, że tworzy się tam coś podobnego. Wszystko wskazuje na to, że znowu będą trojaczki, ponieważ także na Morzu Labradorским tworzy się coś olbrzymiego.

– Powoli zaczynam przestawać wierzyć, że to wszystko jest przypadkiem – powiedział Cliff.

– Dostaliśmy niezwykle wiadomości z „Solaris” i „Timbury'ego”. Stwierdzili wystąpienie zorzy polarnej. Całe niebo nad wyspą Clipperton i u wybrzeży Meksyku jarzyło się na czerwono.

Cliff Sebastian zmarszczył czoło.

– Nie zarejestrowaliśmy żadnej niezwyklej aktywności słonecznej...

– W takim razie musiało to być jakieś inne zjawisko astronomiczne, będziemy mieli oko na Fiodora i zobaczymy, co się z niego rozwinie. Może dopisze nam szczęście.

– Fiodor? Tak się nazywa?

– Ponieważ wszyscy mieszkamy na tej samej ziemi, możemy spokojnie używać także bardziej egzotycznych imion.

Cliff się skrzywił.

– Mam tylko nadzieję, że Fiodor nie przypomni nam czasów zimnej wojny.

Wybrzeże Pacyfiku, Meksyk

Megaburza powstająca niedaleko Portoryko z tropikalnego niżu nie była jedynym niepokojącym zjawiskiem. Po drugiej stronie kontynentu południowoamerykańskiego, u zachodnich wybrzeży Meksyku, w ciągu dnia też zgromadziły się ciemne chmury i wznosiły coraz wyżej.

Wieczorem siedemnastego czerwca, w czwartek, narodził się George. Karząc się parą wodną i ciepłym powietrzem, rósł i rozkwitał. Z daleka wyglądał jak grzyb atomowy. Chmury zbijały się pod tropopauzą w coraz szerszy i gęstszy parasol. Wiatr wprawił kolumnę w obrót, którego prędkość stale się zwiększała.

Doktor Allan Clark z Krajowego Centrum Huraganów w Miami w ów czwartek po raz drugi zadzwonił do Cliffa Sebastiana w centrali NOAA w Boulder w Kolorado i poinformował go, że u wybrzeży Stanów Zjednoczonych powstał kolejny huragan. Dotychczas nadano George'owi kategorię czwartą, gdyby jednak miał rozrastać się z dotychczasową prędkością, także i on, jak Fiodor, doszedłby do najwyższego stopnia skali.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Wszystko było przygotowane. W komorze symulatora panowała niemal kompletna cisza. Słysząc było jedynie cichy poszum urządzeń. Ubrany w skafander kosmiczny Ziegler siedział przypięty na fotelu drugiego pilota. Pilot Gibson przyjechał specjalnie, aby wziąć udział w eksperymencie. Sandersa udawał kolejny pracownik NASA.

Suzannah Shane wprowadziła Zieglera w trans i wyszła z pomieszczenia.

– Rozpoczynamy program – powiedziała do inżyniera siedzącego za pulpitem kontrolnym.

Rzuciła Brianowi krótkie spojrzenie i uśmiechnęła się.

– No to zobaczymy, czy uda się całkowicie usunąć z jego głowy wizje. Jest gotowy.

Instrumenty kontrolne przekazywały informacje o tętnie, ciśnieniu krwi i aktywności elektrycznej mózgu. Wszystkie dane znajdowały się w granicach normy.

– Jesteśmy online – zgłosił inżynier. – Standardowa procedura lądowania trwa.

– No to niech pan ląduje, panie Gibson – powiedział Brian do mikrofonu. Jego instrukcje słyszał w hełmie tylko Gibson.

Buczenie w komorze symulacyjnej zastąpił szum symulujący odgłos pracy dysz napędowych i prąd powietrza.

– Skręć na trzysta dwadzieścia siedem! – polecił pilotowi głos kontroli naziemnej. Teraz rozmowę słyszeli wszyscy.

– Wchodzimy na orbitę – zameldował Gibson.

Brian z uwagą śledził symulację. Jego wzrok przeskakiwał z ekranu na ekran. Wartości danych, zbieranych od Zieglera przez komputer *Lifecontrol*, cały czas znajdowały się w normie. Spał spokojnie, a symulowany prom leciał przez sztuczną atmosferę. Symulator zaczął drżeć przy „wejściu” w głębsze warstwy atmosfery, równocześnie narosły hałasy. Naśladowanie było doskonałe.

– Mam nadzieję, że ten eksperyment da nam jakiś postęp – mruknął Brian.

– Zaufaj mi, wiem, co robię – odpowiedziała Suzannah.

Program potrwał dwie godziny, na koniec prom osiadł na pasie startowym ośrodka kosmicznego i wyhamował.

– I co teraz? – spytał Brian.

– Zawieziemy go do kliniki i wybudzimy – odparła Suzannah. – Do końca dnia damy mu spokój, a jutro powtórzymy przedstawienie, aż pozytywne wspomnienia zdominują straszne obrazy. Po następnym lądowaniu pozwolimy mu wsiąść z promu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to racjonalna część jego umysłu wyprze okropne wizje w strefę marzeń sennych i będzie uważał, że uczestniczył w zwykłym locie kosmicznym.

– Nie zwróci jego uwagi, że nie ma Sandersa?

– Jeżeli damy mu dobre i racjonalne wytłumaczenie tego faktu, to nie.

□ □ □

Godzinę później Ziegler leżał w swoim pokoju i czytał komiks. Nie pamiętał, co robił przed południem. Powoli zacierały się granice między rzeczywistością a fikcją. Obrazy śmierci zagubiły się w nieskończonych otchłaniach jego umysłu. Nie były jednak jeszcze wymazane i cały czas istniało niebezpieczeństwo nawrotu.

– Co zrobimy z resztą tak pięknie zaczętego dnia? – spytał Brian i uśmiechnął się do Suzannah.

– Widziałeś kiedyś delfiny w Orlando?

– Delfiny? Nie.

– To co, za godzinę?

– Brzmi nieźle.

□ □ □

Telefon zadzwonił, kiedy Suzannah była pod prysznicem. Początkowo chciała go zignorować, ale wciąż dzwonił. Sięgnęła po ręcznik i okręciła się nim. Drugim owinęła włosy i pobiegła do telefonu.

– Shane – rzuciła do słuchawki.

– Dlaczego tak nieprzyjaźnie? – rozległ się z drugiej strony głos jej siostry. Suzannah usiadła na skraju łóżka i rozluźniła się.

– Skąd dzwonisz?

– Właśnie wpływamy do portu w Hawanie. Powinnaś pojechać z nami. Jest niesamowicie.

– Macie dobre zakwaterowanie?

– Kabina jest super. Najpierw myślałam, że będziemy musieli iść pod pokład, do wnętrza statku, ale mieszkamy na śródokręciu. Ten statek to oaza luksusu. Dla takiej kobiety sukcesu jak ty na pewno nie byłaby to żadna nowość, ale dla kury domowej i mamuśki z Filadelfii to jak marzenie.

– Co ty, jeszcze nigdy nie płynęłam turystycznym statkiem. Dla mnie wszystko byłoby tak samo niezwykle jak dla ciebie.

– Naprawdę dużo tracisz – powiedziała Peggy. – Nie uwierzysz, jacy wspaniali faceci tu się kręcą. Na pewno znalazłby się jakiś dla ciebie.

Suzannah się uśmiechnęła.

– Nie bądź wulgarna.

– Lepiej być wulgarną niż samotną – skontrowała Peggy. – Będę już kończyć, widać port i chcę popatrzeć, jak przybijamy. Zadzwonię.

– Uważajcie na siebie i pozdrów ode mnie mamę i dzieciaki – szybko powiedziała Suzannah, zanim Peggy się rozłączyła.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do łazienki. Ciepła woda przyjemnie grzała skórę.

Statek badawczy „Timbury”, zachodnie wybrzeże Meksyku

– Rozprzestrzenia się na gigantycznym obszarze – powiedział asystent naukowy siedzący przy radarze dopplerowskim i obserwujący monitor. – George chyba rzeczywiście przeistacza się w huragan stulecia.

– Mówisz to, jakby ci się podobało – odparł jego starszy kolega.

– Z czysto ekologicznego punktu widzenia huragan tej wielkości jest jednym z największych cudów natury. Ma gigantyczną moc, niesamowitą energię.

Wiesz, że gdyby udało się zebrać zawartą w nim energię, moglibyśmy przez pół roku oświetlać takie miasto jak Nowy Jork? To fascynujące, prawda?

Starszy kolega milczał.

– Mam na myśli nie tylko tkwiącą w nim siłę niszczycielską – ciągnął asystent. – Oczywiście, że uderzając w kontynent, wywołuje straszne skutki, ale przy całym postrachu, jaki sieje, demonstruje, jak mądrze skonstruowany jest nasz ekosystem. To gigantyczny klimatyzator, który przenosi ciepłe powietrze i wodę w chłodniejsze regiony, zapewniając prawidłową wentylację. W zasadzie huragany zawsze przemieszczają się tymi samymi drogami. Najogólniej mówiąc, nie są dla ludzkości zagrożeniem, tylko że zasiedliliśmy tereny, które powinny być zastrzeżone dla przyrody. Na wybrzeżach zawsze dochodziło do powodzi i zniszczeń spowodowanych przez huragany. Te tak zwane katastrofy ciągną się przez całą historię ludzkości. Mimo to w dalszym ciągu osiedlamy się w zagrożonych regionach, więc nie powinniśmy narzekać, że za to zapłacimy. Co o tym sądzisz?

– Najlepiej się zamknij. Twoja nieustanna paplanina przyprawia mnie o ból głowy. Potrzebuję chwili spokoju, mam na monitorze coś, czego nie umiem zinterpretować.

Młody asystent stanął obok kolegi.

– Tutaj, widzisz? Pomiar wykazuje skrajnie długie fale odbite, które biegną do regionu wokół huraganu.

– I co w tym niezwykłego?

Starszy pokazał na zegarek.

– To, że słońce już dawno zaszło. Nie wiem, skąd miałyby się wziąć odbicia długich fal.

– W takim razie powinniśmy zawiadomić doktora Singha! – postanowił młody asystent.

Starszy wstał, aby podejść do szotu; zanim wyszedł z pomieszczenia, wziął lornetkę leżącą na szafce na akta. Jego kolega ruszył za nim. Kiedy doszli na rufę, starszy zaczął patrzeć w niebo. Po kilkunastu sekundach przyłożył lornetkę do oczu.

– Widzisz to samo co ja? – spytał po chwili.

Młodszy pokręcił głową.

– W chmurach jest lekki różowawy poblask. Podobny do tego z przedwczoraj, kiedy pojawiło się to, co przypominało zorzę polarną. Nie widzisz? –

Podał młodszemu koledze lornetkę i wskazał w odpowiednie miejsce.

– Rzeczywiście! – odparł z podnieceniem młodszy. – Jak migotanie dopalającego się ogniska. Co to może być?

– Nie mam pojęcia. Zawołam szefa.

Po kilku minutach dołączył do nich doktor Singh, dyżurny naukowiec. Badawczo lustrował niebo przez lornetkę. On też dostrzegł czerwone migotanie nad coraz szerszym parasolem z chmur George'a.

– Co to może być? – spytał ponownie młody asystent.

– Migotanie powietrza w chmurach albo coś w tym stylu... – Choć doktor Singh był tak samo bezradny jak jego pracownicy, próbował znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie. – Skierować na to natychmiast dwie kamery. Wszystkie zapisy mają iść prosto do Boulder. Niech oni się tym martwią. I niech się pan połączy z doktorem Sebastianem. Musi się natychmiast dowiedzieć, co tu się dzieje!

NOAA, Boulder, Kolorado

Kiedy Cliff Sebastian o czwartej rano usiadł do komputera i zaczął pisać e-maila do Wayne'a Changa, miał pod oczami ciemne kręgi.

Więści z „Timbury'ego” były zbyt podniecające, żeby po telefonie, który dostał tuż po północy, mógł wrócić do łóżka. Wstał i pojechał do biura. Ściągnął do laptopa wszystkie dane, które przekazano z „Timbury'ego”, i przez ponad trzy godziny je analizował. Zdjęcia, kolumny liczb i spektrogramy, kody kreskowe, zdjęcia w podczerwieni i pomiary radaru dopplerowskiego. Miał przed sobą całą anatomię burzy, a mimo to był to jedynie obraz chwili, nie ma bowiem czegoś bardziej niestałego niż huragan. Parametry zmieniają się z minuty na minutę, zbyt wiele czynników ma wpływ na sytuację. Najbardziej dziwiła Cliffa Sebastiana spektroskopowa analiza odbitego promieniowania. Analiza częstotliwości promieniowania nijak nie pasowała do czerwonego świecenia w chmurach.

Promieniowanie odbite nie jest niczym niezwykłym. Co dzień można na Ziemi zaobserwować to promieniowanie o ekstremalnie długiej fali. Są to promienie słoneczne, które po odbiciu przez powierzchnię Ziemi, odbijają się od jonosfery i wracają w kierunku Ziemi. W promieniowaniu wykrytym przez załogę „Timbury'ego”, brakowało jednak jednego istotnego elementu: słońce

już dawno temu zaszło za horyzont.

Jedyną osobą, która mogłaby wyjaśnić zagadkę, był profesor Wayne Chang, bo to w końcu on sam poprosił o pomiary. Może będzie miał jakiś pomysł. Tak więc Sebastian postanowił napisać do niego e-mail, ponieważ prędzej czy później Chang sprawdzi swoją skrzynkę pocztową – niezależnie od tego, gdzie obecnie przebywał. Sebastian napisał list ze swojego prywatnego adresu, który założył pod nickiem „Karimali”, aby nie być w domu napadany przez e-maile reklamowe i oferty najróżniejszych firm, które nieustannie musiał kasować w swoim oficjalnym, służbowym koncie.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Profesor Wayne Chang wstał wcześniej i szybko się umył, aby dotrzeć na czas do laboratorium.

Dzisiejszy dzień miał przynieść rozstrzygnięcie, czy przekonstruowana jednostka sterująca wytrzyma silne promieniowanie energetyczne. Laboratorium wysokich napięć zostało przygotowane i Chang był zadowolony. Co prawda osobiście niewiele wniósł w zmiany konstrukcyjne, ale jego opinia specjalisty z zakresu geofizyki i meteorologii miała nieocenione znaczenie dla zespołu.

Czasami jest to zadziwiające, jakie przyczyny mogą wywołać pozornie małą awarię, a loty kosmiczne są w końcu dziedziną, w której liczą się nanosekundy. Bez absolutnej precyzji każdy start w kosmos byłby jedną wielką przygodą. Od początku istnienia NASA precyzyjna praca była celem ludzi związanych z tą organizacją. Dochodziło oczywiście do wypadków i prawdopodobnie nigdy nie uda się ich całkowicie wyeliminować, ale z każdego wyciągano wnioski i optymalizowano systemy. Być może dlatego w historii amerykańskiej astronautyki było znacznie mniej wypadków niż u Rosjan czy w europejskim programie Ariane.

Zanim Wayne opuścił apartament, z przyzwyczajenia włączył laptopa i sprawdził przysłane mu e-maile. Poza wiadomością od Jennifer, która informowała go, że musi na trzy dni wyskoczyć do Salt Lake City i będzie dostępna jedynie pod komórką, były jeszcze dwie. Pierwszą otworzył wiadomość od Karimali, Cliff Sebastian powiedział mu, że kilka miesięcy temu wymyślił sobie tego egzotycznego nicka, ponieważ nawet jego prywatne konto przepełniają spam i reklamy. Każdy próbował mu coś sprzedać.

– Człowiekowi o takim imieniu na pewno nikt nie będzie próbował sprzedać zegarów z funkcją wstecznego odmierzenia czasu, interferometrów ani urządzeń do analizy spektralnej – zażartował.

Po przeczytaniu krótkiej wiadomości Wayne aż drgnął. Jak na razie, media nie donosiły o dwóch nowych huraganach. Załącznik do listu był ogromny, miał prawie dwadzieścia pięć megabajtów i nawet przy łączy, które miał, ściągnięcie go potrwałoby wiele minut. Wayne popatrzył na zegarek. Postanowił, że zajmie się tym e-mailem wieczorem.



W tym samym czasie Brian i Suzannah siedzieli w kasynie i jedli duże śniadanie. Na dziś mieli zaplanowaną kolejną symulację z Zieglerem, najważniejszy punkt terapii był jednak zaplanowany na jutrzejszą sobotę: scenariusz w czasie rzeczywistym. Wszystko zostało omówione z profesorem Paulem. Na pasie startowym będzie stać prom i czekać załoga ratunkowa. Profesor Paul przedstawił sprawę pracownikom ośrodka kosmicznego jako ćwiczenia w warunkach naturalnych. W panującej aktualnie sytuacji prowadzenie ćwiczeń nie było niczym niezwykłym. Plan zawierał nawet prawdziwe sekwencje lotu na pokładzie globemastera. Paul powiedział z uśmiechem, że zrobią Zieglerowi reality show pierwszej klasy. Aby to się udało, astronauta musi pozostać przez trzy godziny w głębokim transie. Suzannah zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie to możliwe bez zastosowania leków, ale wszystko zorganizowała. Stan zdrowia pacjenta z medycznego punktu widzenia miał nadzorować doktor Brown. Jeżeli wszystko się uda, Ziegler obudzi się jutro wieczorem z przekonaniem, że brał udział w misji promu kosmicznego, która zakończyła się pełnym sukcesem.

– W tym wszystkim nie podoba mi się tylko to, że nigdy nie wyjaśnimy, skąd pojawiły się te przerażające wizje – oświadczył Brian.

Suzannah odstawiła filiżankę z kawą i sięgnęła po bułkę.

– Dla mnie ważniejsze jest, że Ziegler znowu będzie mógł normalnie żyć. Kilka miesięcy w dobrym sanatorium, oczywiście pod kontrolą psychiatryczną, i będzie po wszystkim.

– A ryzyko nawrotu?

Suzannah się uśmiechnęła.

– Przy prawidłowym stosowaniu terapii konfrontacyjnej odsetek nawrotów

wynosi dwanaście i siedem dziesiątych procent. Oczywiście kiedyś znowu zacznie miewać koszmary, może pojawią się nawet te wizje, które miał, ale uznaje za to, czym naprawdę są – za złe sny.

Brian skinął głową.

– Uważasz w dalszym ciągu, że to było spojrzenie w przyszłość? – spytała Suzannah.

Brian pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, choć każdy, kto poleciał w te chmury, odczuwał śmiertelny lęk i panikę. Drugi pilot maszyny meteorologicznej, Gibson, Ziegler, Sanders. Astronautów dotknęło to silniej, ponieważ znajdowali się w stanie rozszerzonej świadomości. Nie mieli czego przeciwstawić koszmarowi, podczas gdy Gibson był zajęty praktycznymi czynnościami. Co działo się z drugim pilotem samolotu meteorologicznego, nie dowiemy się nigdy.

Suzannah westchnęła.

– Nie chcę całkowicie wykluczać twojej teorii, ale w takim razie, skąd te wizje?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale nie wierzę w ufoludki, które skądś nadleciały i wystraszyły tych ludzi. Nie wierzę także w nadprzyrodzone objawienie, ponieważ nieświadome manifestacje u dwóch astronautów były zbyt podobne. Wierzę w coś, co można logicznie wyjaśnić, a czego jak na razie nie dostrzegamy.

– To dlatego poprosiłeś profesora Changa o analizę burzy?

– Niestety, jeszcze nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, ale tak, coś w tym rodzaju. Moim zdaniem w chmurach znajdują się struktury falowe, które stymulują nasz mózg. W ten sposób powstały obrazy w głowach naszych śpiących astronautów. Fale, których długość wpłynęła na Zieglera i Sandersa w chwili, gdy prawie doszło do katastrofy.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Nasze fale mózgowo mieszczą się w określonym zakresie, dlatego nasze mózgi są na wpływ jednych fal bardziej, a innych mniej odporne.

Suzannah zmarszczyła czoło.

– Wiem o tym, w końcu nie spałam na wykładach, ale nie rozumiem, jak coś takiego miałyby działać.

– To jak z przetącznikiem wielopozycyjnym. W pozycji jeden na światło dzienne wychodzi wszystko, co jest pod tą pozycją zakodowane w mózgu. W pozycji dwa wydobywają się wszystkie wspomnienia zapamiętane pod dwa i

tak dalej. Załóżmy, że częstotliwości obecne w burzy, przez którą przeleciał Discovery, sprawiły, że poruszony został nieodpowiedni przełącznik?

Suzannah się uśmiechnęła.

- Wyjaśniasz to w tak prosty sposób...
- Wiele spraw jest prostych, skomplikowane jest tylko ich zrozumienie.

Centrala deszyfracyjna NSA w Pentagonie, Arlington, Wirginia

Szyfrant wszedł do gabinetu oficera dyżurnego i położył mu na biurku plik wydruków.

– Jest w tym coś podniecającego? – spytał oficer młodego rudego komputerowca.

– Nic szczególnego. Zwykły kram. Poza jednym e-mailem, może coś się za nim kryje.

Rudzielec zaczął grzebać w papierach. Już od kilku lat komputerowcy NSA skanowali Internet i ruch e-mailowy, szukając komunikatów, które zawierały wybrane słowa mogące sugerować działalność terrorystyczną lub szpiegowską. Komputer z biblioteką siedemnastu tysięcy słów i fraz zdaniowych przeglądał ruch e-mailowy i bez względu na stopień poufności wychwytywał każdy zawierający treści identyczne z tymi, które uznano za podejrzane przy tworzeniu biblioteki. Wybierane i drukowane były do sprawdzenia w pierwszej kolejności e-maile od arabskich nadawców i do arabskich odbiorców, w których pojawiały się słowa „śmierć”, „Stany Zjednoczone”, „umrzeć”, „bomba”, „zamach” albo „katastrofa”. Nikt poza pracownikami agencji nie wiedział o istnieniu tej procedury i nikt nie miał się o niej dowiedzieć.

– Przyszło to w nocy bezpośrednio z serwera e-mailowego NASA na przyładku Canaveral – powiedział rudzielec i podał przełożonemu kartkę.

Od: KARIMALI@INTERCOM.ORG

Do: waynechang@Q-group.net

Pią., 17.06.2004, 00.34

cześć wayne

powinieneś koniecznie obejrzeć załącznik,

śmierdzi stuprocentową KATASTROFĄ, jeśli Stany zostaną przez to trafione, będzie to oznaczać ŚMIERĆ wielu ludzi. To gorsze niż BOMBA na Hiroszimę.

przyjrzyj się temu.

sądzę, że wiesz, co to oznacza.

pozdro cliff

– Sprawdziliście załącznik?

Rudy kiwnął głową.

– Nic z tego nie rozumiemy. To tylko i wyłącznie dane pogodowe i zdjęcia huraganu.

– Wpuściliście dane do komputera deszyfrującego?

– Tak. Nic nie wykazał.

– A osoby?

Rudy sięgnął po kartkę i odwrócił ją na drugą stronę.

– „Karimali” jeszcze nie znamy, ale „Wayne Chang” znaleźliśmy trzy razy. Kierowca ciężarówki z Detroit, profesor geofizyki i meteorologii z Camp Springs i właściciel restauracji z Oakland.

– Stawiam na tego od pogody. Sprawdźcie go i ustalcie u dostawcy, kto kryje się za tym arabskim nazwiskiem. Prawdopodobnie to tylko pseudonim. Na wszelki wypadek zawiadomcie pozostałe wydziały. Może ktoś coś wymyśli.

Rudy skinął głową i ruszył do wyjścia.

– Aha i jeszcze jedno! – zawołał za nim oficer. – Poinformujcie o sprawie jednostki zewnętrzne. Chyba nie chcielibyśmy o kimś zapomnieć...

12.

Szpital Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Wayne nie mógł się doczekać. Miał przerwę, bo nastąpiła drobna awaria instalacji wysokiego napięcia, której usunięcie potrwa z godzinę. Wykorzystał ten czas i pognął do swojego apartamentu. Kiedy zaczął przeglądać dane dotyczące burzy nad Morzem Karaibskim, ze zdziwienia opadła mu szczęka. Najbardziej zaskoczyły go obserwacje zorzy polarnej, o których była mowa w załączonym raporcie.

Urządzenia pomiarowe faktycznie zarejestrowały wewnątrz burzy długie fale. Dla Wayne'a od razu było jasne, że u bram Zatoki Meksykańskiej powstaje coś potężnego. Takich parametrów i prędkości wiatru jeszcze nigdy nie rejestrowano.

Kiedy biegł z apartamentu do szpitalika, nieźle się spocił.

Po zadaniu pytań kilku ludziom znalazł na drugim piętrze Briana siedzącego w maleńkim pomieszczeniu kontrolnym przed ekranami urządzeń nadzorujących Zieglera, którym zajmowała się w drugim pomieszczeniu Suzannah Shane.

– Przeszkadzam? – zapytał szeptem Wayne Chang.

– Niech pan wchodzi, Wayne – odparł Brian. – Dopiero się przygotowujemy.

Zdyszany meteorolog opadł na stojące przy drzwiach krzesło. Starł pot z czoła.

– Dostałem e-mail z NOAA w Boulder. Wygląda na to, że nad zatoką tworzy się huragan. Obawiam się, że będę musiał się stąd zbierać, bo będę bardziej potrzebny w Boulder. I tak prawdopodobnie dziś zakończymy pracę.

– Huragan? Duży?

– Duży to eufenizm. Jeżeli zarejestrowany obraz odpowiada prawdzie, będziemy mieli do czynienia z burzą stulecia. Ale nie dlatego chciałem z panem rozmawiać.

Brian zmarszczył czoło.

– Pytał mnie pan niedawno o fale długie – powiedział Wayne. – W tej burzy jest ich pełno. Była nawet mowa o zorzy polarnej. Musimy się dopiero dowiedzieć, co to oznacza.

– Zorza polarna? Nie jest to zjawisko występujące wyłącznie nad biegunami?

Wayne pokręcił głową.

– Zorza polarna to reakcja wysokich warstw atmosfery ziemskiej na cząstki emitowane przez Słońce. Powodują ją rozbłyski słoneczne, erupcje, w których wyniku wysyłane jest promieniowanie. Wyrzucone przez Słońce cząstki docierają z wiatrem słonecznym po dwóch, trzech dniach do atmosfery ziemskiej i powodują świecenie atomów i molekuł znajdujących się w wyższej warstwie atmosfery. Zorze polarne mogą występować wszędzie, choć najczęściej w okolicach podbiegunowych.

– O jakie cząstki chodzi?

– Najczęściej elektrony, ale mogą też być protony, cząstki alfa oraz ciężkie jony. Zanim cząstki dotrą do naszej atmosfery, już w kilka minut po erupcji nasze satelity rejestrują promieniowanie i wydawane jest ostrzeżenie.

– Tym razem go nie było?

– Zarejestrowana została wartość „Kp poniżej czterech”, co oznacza „spokój”, czyli brak aktywności.

– Czyli promieniowanie nie pochodzi ze Słońca?

– Bez analizy danych nie mogę mieć pewności. W kosmosie jest sporo cząstek, które nie pochodzą ze Słońca. Wystarczy pomyśleć o kometach czy meteoroidach. Może gdzieś w pobliżu spadł deszcz meteoroidów – także to wywołuje różne zjawiska atmosferyczne. Zazwyczaj zorza nie ma wpływu na pogodę, ale to niezwykle, że zauważono ją w pobliżu huraganu. Niestety, nie mam możliwości, aby posprawdzać szczegóły.

– Rozumiem – odparł Brian.

– Chciałem porozmawiać z panem o tym przed wyjazdem – rzekł Wayne.

– Czy zapytał mnie pan o strukturę falową tropikalnego cyklonu z jakiegoś szczególnego powodu?

– Istnieje pewne badanie, w którym zajmowano się falami długimi o częstotliwości od trzech do trzydziestu herców. Wyniki nie są jeszcze potwierdzone, a Brandon na pewno nazwałby to kolejną opowieścią z mojego nierealnego świata. W każdym razie tego typu fale mają długość taką samą jak fale

mózgowe i nie jest wykluczone, że wpływają na różne regiony ludzkiego mózgu.

– Zmieniając albo manipulując strukturami myśli?

– Jak mówię, to tylko teoria, która jeszcze nie została dostatecznie zweryfikowana, uważam to jednak za prawdopodobne.

Wayne z zadumą popatrzył na Briana.

– Zadzwoń, jeśli jeszcze się czegoś dowiem. Ma pan wizytówkę?

Brian poszperał po kieszeniach i wyciągnął lekko pogięty kartonik.

– Niech pan zajmie się też burzą, w którą wpadli nasi astronauta – powiedział. – Jestem pewien, że tam też były fale o bardzo niskich częstotliwościach.

– Zadzwoń – powtórzył Wayne i rzucił okiem na zegarek. – Ojej, czas na mnie! Muszę wracać do hangaru. Mam nadzieję, że technicy usunęli awarię generatora wysokich napięć.

Popatrzył na salę, w której Suzannah cały czas rozmawiała z Zieglerem.

– Wykurujecie go?

Brian się uśmiechnął.

– Suzannah na pewno sobie poradzi. Wkrótce będzie zdrow jak ryba.

Wayne skinął głową i wstał. Klepnął Briana z uznaniem w ramię i ruszył do drzwi.

– Na pewno się z panem skontaktuję – zapewnił ponownie i wyszedł.

Krajowe Centrum Huraganów, Miami

Siedzący przed monitorami ludzie wpatrywali się w nie jak zaczarowani. Słysząc było jedynie buczenie klimatyzacji. Doktor Allan Clark przyglądał się sunącej po ekranie kolumnie liczb. Sytuacja była nieciekawa: kilka minut temu Fiodor zmienił kierunek przemieszczania się i wszedł na kurs północno-zachodni. Przesuwał się nad morzem z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę.

– Nowy region docelowy obliczony – zameldował jeden z asystentów, kiedy kolumna liczb się zatrzymała. – Przy obecnej prędkości przemieszczania się i nowym kursie trafi za sto sześć godzin w południową Florydę.

– Proszę jeszcze raz sprawdzić dane! – polecił Allan Clark.

Asystent uruchomił nowy program i potrzebna była dłuższa chwila, aby ekran zabarwił się na zielono.

– Prędkość rotacji sto szesnaście i trzydzieści osiem setnych metra na sekundę, rozmiar całkowity siedemset osiemdziesiąt dwa kilometry, prędkość

przesuwu osiem i trzydzieści cztery setne metra na sekundę. Dotychczas zmierzona wysokość fal średnio dwadzieścia cztery metry nad poziomem zero. Obecny kurs: północny zachód – powiedział asystent.

Clark przyjrzał się liczbom.

– To największy potwór, jaki kiedykolwiek szedł z zatoki na nasze wybrzeże. Proszę natychmiast ogłosić alarm dla wybrzeża, trzeba zawiesić komunikację morską i lotniczą. Dopóki Fiodor krąży, możemy tylko siedzieć w domu i czekać.

Rozległ się dźwięk alarmu. Wszyscy w centrum kontroli podnieśli głowy, aby popatrzeć na wielkoformatowy ekran. Pojawił się na nim przekazywany przez satelitę najnowszy obraz Fiodora, transmitowany w czasie rzeczywistym.

Rozległ się głośny pomruk. Cyklon był gigantyczny, jego prędkość obrotowa niespotykana.

– Kto się w to dostanie, zostanie zgnieciony jak ziarno zboża przez kamienie młyńskie – powiedział któryś z naukowców.

– Doktorze Clark! – zawołała doktorantka.

– Tak, Jenny?

– Wiadomość z Camp Springs. Ogólna sytuacja pogodowa jest niedobra. Także George skręcił w stronę wybrzeża. Osiągnął siłę pięć, a nad Zatokę Hudsona idzie orkan o sile wiatru dwanaście. W północnej Hiszpanii i Francji trwają silne opady, nad kontynentem afrykańskim doszło do inwersji.

Clark westchnął.

– Brzmi to jak zły sen, który nie chce się skończyć.

Doktorantka potwierdziła skinieniem głowy.

– Niestety, nie mamy w tej chwili dobrych wiadomości.

– Czy profesor Sebastian się kontaktował?

– Jeszcze nie, ale kiedy to zrobi, natychmiast pana zawiadomię.

– Cholera! – zaklął Clark. – Gdzie on jest? Dziś rano nagrałem mu się na sekretarkę! Powinien już być w pracy!

Zatoka Hudsona, Kanada

Nad wschodnim horyzontem kłębiły się ciemne chmury. Porywisty wiatr smagał fale. „Norway Carrier”, kontenerowiec norweskiego armatora Ulevsen, płynął z Bergen do Churchill. Frachtowiec miał niecałe sto dwadzieścia

metrów długości, pojemność ośmiu tysięcy stu dziewięćdziesięciu ton rejestrowych i w tej właśnie chwili przemieszczał się z prędkością dwunastu węzłów w kierunku portu przeznaczenia. Przed trzema godzinami radar po raz pierwszy pokazał komórkę burzową. Cieśnina Hudsona była już tylko kilka mil morskich przed nimi i kapitan postanowił popłynąć całą naprzód i przebić się przez front burzowy. Miał nadzieję, że pod osłoną Ziemi Baffina znajdzie spokojniejszy fragment morza, niestety, jego nadzieja się nie spełniła. Wiatr się nasilał, a fale wystrzeliwały nad dziób frachtowca i sprawiały, że podskakiwał i opadał niczym kawałek drewna. Statek parł przez wzburzone morze, nie było to jednak łatwe, zwłaszcza że z niskich chmur lało jak z cebra i sternik nic nie widział. Nagle od sterburty nadeszła ogromna fala.

– Stawać w dryf! – zawołał kapitan. – Na Boga, stawać w dryf!

„Norway Carrier” został z całą siłą trafiony przez falę i oceaniczny olbrzym przechylił się niebezpiecznie na bakburtę. Spiętrzone kontenery zachybotwały się, ale ich mocowania wytrzymały.

Statek się wyprostował. Kolejna fala uderzyła w część dziobową. Korekta kursu nie przyniosła skutku – statek stał się marionetką wydaną na pastwę rozszalałego morza. Sternik i nawigator wspólnymi siłami operowali sterami, nic się jednak nie działo. „Norway Carrier” płynął cały czas na zachód.

Za szybami sterówki widać było już tylko deszcz i białą pianę. Wycieraczki pracowały na maksymalnej prędkości, ale przegrywały walkę z masami oceanu. W hartowane szkło ze wszystkich stron uderzała spieniona woda, nagle przez kadłub przebiegł dygot. Olbrzym wzniosł się wysoko, zatrzymał na ułamek sekundy, po czym runął w otchłań. Kapitan złapał się pulpitu z instrumentami, ale impet uderzenia statku o wodę pchnął go do przodu. Przeleciał przez sterówkę jak szmaciana lalka, uderzył z wielką siłą w pancerną szybę i zranił się w czoło. Kiedy wstał i odwrócił się, stwierdził, że sternik zniknął. Oszołomiony kapitan zaczął się rozglądać. Utrudniała mu to cieknąca z rany na czole krew, która zalewała oko. Nawigator próbował wstać z podłogi. Z wykrzywioną bólem twarzą lewą ręką obejmował prawą. Sternik leżał pod pulpitem, jego ciało było nienaturalnie powykręcane. Nie dawał znaku życia. Statek ponownie zadygotał. Uszy ranił odgłos rozrywanego metalu.

– Cholera jasna! Mocowania puszczają! – zawołał kapitan, ale jego głos zginął w hałasie.

Koło sterowe kręciło się jak zwariowana karuzela, a statek płynął na trawersie gigantycznych fal. Nowa fala uderzyła w burtę „Norway Carrier” i pchnęła go na bakburtę. Głośny trzask wyrwał kapitana z odrętwienia. Ledwie chwycił się jakiejś poprzeczki, gwałtownie otworzyły się drzwi i na mostek wlała się zimna i spieniona woda. Kapitan nie zdołał się przytrzymać. Kiedy wpadł do wody, tracił właśnie przytomność.

Socorro, Nowy Meksyk

– Wszyscy mogliśmy zginąć – powiedziała blada jak papier kobieta ścisnąca mocno siedzącą jej na kolanach dziewczynkę.

– Czarny cherokee, mówi pani? – spytała zastępczyni szeryfa Martinez.

Dwain Hamilton stał za nią i słuchał z uwagą.

– Tak jest, czarny cherokee – potwierdziła kobieta. – Przeczytałam jedynie litery REI, reszty nie widziałam. Skupiałam się na tym, żeby utrzymać samochód na jezdni. Nie do pomyślenia, co by się stało, gdybyśmy wjechali do lasu...

Po policzkach kobiety spływały łzy. Zamrugła. Dwain położył jej dłoń na ramieniu.

– Poszukamy tego samochodu – obiecał. – Martinez, zarządz jego poszukiwania. Wszystkie radiowozy mają sprawdzać drogę stąd do Magdaleny.

– Prawie nas pozabijał! Mało brakowało! Musiał nas widzieć, więc dlaczego zdecydował się wyprzedzać ciężarówkę?! Kierowca na pewno był pijany!

Kobieta starała się odzyskać równowagę. Dwain dał Lenie Martinez znak, żeby zajęła się przerażoną kobietą i dzieckiem. Policjantka skinęła głową, stanęła obok niedoszłej ofiary wypadku i zaczęła ją głaskać po ręce.

Dwain ruszył do swojego biura. Usiadł za biurkiem i wyjął z szuflady akta z napisem JACK SILVERWOLFE. Zaczął szukać strony, na której zapisał numer rejestracyjny podany przez Crowa. Czarny cherokee... w okolicy Socorro na pewno nie było wielu pojazdów tej marki. Z pewnością chodziło o ten sam samochód, który Crow widział niedaleko chaty Jacka Silverwolfe'a. A więc mordercy ciągle krążyli po hrabstwie Socorro. Dwain podejrzewał, że domyśla się, dokąd zmierzali. Niestety, nie mógł za nim tam podążyć. Było pewne, że kiedyś cherokee znów się pojawi na publicznych drogach, więc może by tak

postawić nieoznakowany samochód w pobliżu skrzyżowania w góry San Mateo. Dwa- in pokręcił głową i odrzucił tę myśl. Sięgnął po kapelusz. Pojedzie na to skrzy- żowanie sam.

– Czujesz się pewnie w swojej jamie... – mruknął. – Ale tym razem za bar- dzo się wychyliłeś...

„Tichonow”, rosyjski okręt podwodny klasy Gepard, Morze Sargassowe

Na pokładzie panowała cisza. Przerывał ją jedynie syk pękniętego przewo- du pary. Maszynownię wypełniały gęste kłęby. Światło przełączyło się na czerwone, obracająca się żółta lampa na suficie informowała o tym, że na po- kładzie obowiązuje stan najwyższej gotowości bojowej. Panowała atmosfera przepelnionego przerażeniem i zdumieniem rozgorączkowania, problem pole- gał jednak na tym, że nigdzie nie było widać przeciwnika. Przed wejściem do maszynowni leżały dwa trupy. Martwi marynarze mieli w piersiach i głowach wielkie dziury po pociskach dużego kalibru.

„Tichonow”, okręt rosyjskiej marynarki wojennej, był najnowszej generacji wielozadaniowym okrętem podwodnym o napędzie jądrowym. Pod wodą mógł płynąć z prędkością do trzydziestu pięciu węzłów, a zanurzać się do sześciuset metrów. Miał na pokładzie dwadzieścia cztery rakiety nośne z głowicami ją- drowymi, każda o zasięgu trzech tysięcy kilometrów, co sprawiało, że pod- wodna jednostka z sześćdziesięcioma trzema członkami załogi była bardzo groźną bronią pierwszego uderzenia. Trzy dni temu okręt dotarł do wyznaczo- nej mu strefy patrolowania i krążył między wyspami Bahama a Morzem Sar- gassowym, szpiegując ruchy amerykańskich krążowników u wschodniego wy- brzeża Stanów Zjednoczonych. Przed mniej więcej godziną jeden z podofice- rów nagle oszalał, wyjął z szafki na broń karabinek szturmowy i tokariewa kaliber dziewięć milimetrów oraz sporą ilość amunicji i zaczął na ślepo strzelać wokół siebie. Na mostku zabił pierwszego oficera, sternika, radiotelegrafistę i nawigatora, potem wpadł jak bomba do pomieszczeń dla załogi na śródokręciu i otworzył ogień do siedzących i śpiących na kojach marynarzy. Zanim zdązo- no go rozbroić, uciekł do maszynowni, zabijając po drodze kapitana oraz sona- rzystę. Także tu urządził rzeź. Nikt nie miał pojęcia, co się stało z Aleksiejem. Nic nigdy nie wskazywało na to, aby ktoś taki jak on mógł tak gwałtownie się

zachować. Wręcz przeciwnie – uważano go za skromnego i chętnego do pomocy marynarza o znakomitych kwalifikacjach. Służył już na wielu okrętach podwodnych i pół roku temu został przeniesiony, na własną prośbę, na „Tichonowa”. Teraz zabarykadował się w maszynowni – z karabinkiem, pistoletem i wystarczającą ilością amunicji – i strzelał do każdego, kto próbował się zbliżyć.

Nieszczęście zaczęło się poprzedniego dnia. Ni stąd, ni zowąd nastrój na pokładzie gwałtownie się zmienił. Marynarze bez powodu stali się drażliwi i ponurzy. Niewinne rozmowy kończyły się zażartymi kłótniami, ignorowano rozkazy kapitana, trzech marynarzy tak się wściekło z powodu wielkości racji żywnościowej, że zaatakowali obecnego w tym samym pomieszczeniu oficera i trzeba ich było aresztować, a następnie zamknąć w pomieszczeniu na rufie. W obliczu tak widocznego braku dyscypliny, kapitan uzbroił oficerów. Do wieczora odzyskano kontrolę nad marynarzami, ale nie minęła doba, a podoficer z mostka dostał amoku.

– Jeśli w dalszym ciągu będzie tak walić wokół siebie, przestrzeli kadłub i utoniemy jak szczury – powiedział marynarz do porucznika Karmowa, najwyższego rangą oficera na pokładzie. Przykucnęli obok wejścia do maszynowni i celowali w kierunku otwartej przegrody.

Do Karmowa podbiegł inny marynarz.

– Systemy nawigacyjne, dopływ powietrza, sterowanie i sonar... – wyszeptał zdyszany. – Wszystko rozwalone. Nie możemy dłużej tkwić na tej głębokości.

– Jakie mamy zanurzenie?

– Jesteśmy na trzystu pięćdziesięciu metrach. Jeżeli przestrzeli kadłub, ciśnienie nas zgniecie.

– Możemy się wynurzyć?

Zdyszany marynarz wzruszył ramionami.

– A więc dobrze – postanowił porucznik. – Wynurzymy się. Bez względu na rozkazy. Wy tu zostańcie i pilnujcie wejścia. Kiedy się pokaże, zastrzelcie go. W środku znajdują się akumulatory, więc nie strzelać na ślepo, bo mogą eksplodować, rozumiano?

Obaj marynarze skinęli głowami.

Karmow wstał i chowając się za ścianką, zaczął sunąć w kierunku następnej przegrody. Broń zostawił jednemu z żołnierzy. Kiedy doszedł do przegrody,

ukłął i zaczął się przekradać w poprzek korytarza. Huknęła salwa i rozległ się głośny krzyk. Tuż obok Karmowa załomotały pociski. Na wszystkie strony poleciały rykoszety. Karmow poczuł uderzenie w bark. Zignorował ból i odtoczył się na bok. Kiedy spojrzął za siebie, ujrzał marynarza, któremu oddał swoją broń. Leżał martwy na podłodze. Drugi z marynarzy kulił się na podłodze, przyciskając plecy do zimnej stalowej ściany. Ścisnął oburącz broń z taką siłą, że zbieleły mu kostki dłoni. Był śmiertelnie przerażony.

Huknęła nowa salwa i o ściany zadudniły pociski.

Karmow podczołgał się do młodego marynarza. Zanim do niego dotarł, przez ciało młodzieńca przeszedł potężny dreszcz i chłopak wyprężył się jak struna. Zawył jak szaleniec i skoczył w kierunku wejścia, strzelając raz za razem, jakby stracił panowanie nad trzymanym w rękach karabinkiem.

– Nie! – wrzasnął Karmow. – Nie strzelaj, kryj się! To szaleństwo!

Młody człowiek nie słuchał. Wystrzelał cały magazynek do wnętrza maszyny. Przez okręt przebiegło silne drżenie. Karmow rzucił się na podłogę i osłonił rękami głowę. Przetoczyła się nad nim fala ognia. W głębi kadłuba rozległy się wrzaski. Zgasło światło.

Kiedy Karmow po chwili otworzył oczy, poczuł, że pieką go dłonie. Jakiś hałas kazał mu się odwrócić. Po chwili w przejściu pojawił się Aleksiej. Jego ubranie płonęło. W dłoniach trzymał pistolet. Przebiegł obok Karmowa, nie zwracając na niego uwagi. Rozległy się strzały i zrobiło się ciemno. Karmow stracił przytomność.

Lot AV 4644, Air Avianca, Morze Karaibskie

Ostrzeżenie o burzy zostało powtórzone późnym popołudniem i rozszerzone na cały region Zatoki Meksykańskiej wokół Kuby oraz wybrzeża Quintana Roo i Jukatana. Służby meteorologiczne zgłaszały huragan piątej kategorii i powoli specjaliści zaczęli sobie zadawać pytanie, czy nie jest już czas na wprowadzenie nowego systemu klasyfikowania huraganów.

Samolot typu Tristar kolumbijskiej linii Air Avianca mimo ostrzeżenia wystartował tuż po szóstej z Cali, aby zawieźć dwustu pasażerów do Hawany. Na pokładzie liczącej prawie trzydzieści lat maszyny znajdowali się kolumbijscy biznesmeni i kubańscy technicy.

Kapitan i załoga wybrali trasę, która co prawda była nieco dłuższa, ale

zgodnie z aktualnymi mapami pogodowymi omijała o ponad dwadzieścia kilometrów wybiegając nawet najbardziej na wschód odnogi Fiodora. Pasażerowie lotu AV 4644 mieli przed sobą mniej więcej dwa tysiące czterysta kilometrów, co oznaczało, że przy średniej prędkości sześciuset kilometrów na godzinę na wysokości dziesięciu tysięcy metrów tristar wyląduje na lotnisku w Hawanie po czterech i pół godzinie. Tuż po przekroczeniu przez kolumbijski samolot piętnastego stopnia szerokości północnej prowadzenie lotu przejęła kontrola naziemna w Kingston i wyznaczyła nowy pułap – dwanaście tysięcy metrów – oraz kurs przebiegający około dziesięciu kilometrów bardziej na wschód, ponieważ w ciągu minionej godziny odnogi Fiodora dość szybko się przemieściły.

Gdy samolot minął wschodnią część Jamajki, wpadł w silne turbulencje. Kapitan natychmiast zgłosił trudności do kontroli naziemnej i polecił pasażerom, aby zapięli pasy. W ciągu ułamka sekundy maszyna opadła dziesięć metrów. Po raz kolejny pilot spróbował nawiązać kontakt z kontrolą naziemną, ale Jamajka nie odpowiadała. Turbulencje nasilały się coraz bardziej i pilot z trudem utrzymywał stery. Wskazanie wysokościomierza spadło do jedenastu i pół tysiąca metrów. Za oknami zaczęły przelatywać pierwsze strzępy chmur.

Pilot szarpnął stery i odbił w lewo, ale chmury robiły się coraz gęstsze. W przedziale pasażerskim zapanował niepokój. Na zewnątrz było coraz mroczniej. Stewardesy bezskutecznie próbowały uspokoić pasażerów. Samolot ponownie zadygotał, po czym rozległ się głośny huk.

– Łód! – wrzasnął kapitan. – Cholera jasna, łód!

Uderzenia dudniły w kokpicie jak kanonada. Maszyną nagle szarpnął boczny podmuch wiatru. Pilot spróbował wyrównać, ale turbulencje były zbyt silne.

– Coś jest w chmurach! – krzyknął pilot.

Znowu zadudniło. Pilot czuł, że traci kontrolę nad maszyną. Zawyla kontrolka silników.

– Ogień! Pali się jeden silnik! – wrzasnął pilot.

Sztuczny horyzont na pulpicie zaczął wirować jak szalony, a cyferki nad wysokościomierzem przesuwwały się tak szybko, że zamieniły się w ciągłą smugę. Samolot otaczały gęste chmury, do alarmu nadzoru silników dołączyło się kolejne wycie. Mrużąc oczy, pilot próbował wyrzucić na zewnątrz, widać było jednak tylko szarą nieprzeniknioną masę chmur. Kompletnie stracił orientację. Głośno zaklął, gdy zobaczył wskazanie wysokościomierza. Ogarnęła go

panika, bo wartość nieubłagane zbliżała się do zera. Maszyna ostro pikowała. Pędziła w kierunku oceanu z prędkością niemal sześciuset kilometrów na godzinę. Pilot szarpał wolant, ale nic to nie dawało. Nie dało się wyprostować tristarą. Dwadzieścia trzy sekundy później maszyna linii Air Avianca uderzyła w wodę pod kątem sześćdziesięciu siedmiu stopni i złamała się na trzy części, które powoli zaczęły opadać na dno. Dwustu pasażerów i jedenastu członków załogi spoczęło w zimnym grobie na północ od Jamajki. Lot AV 4644 skończył się w Morzu Karaibskim.

Cieśnina Jukatańska, Zatoka Meksykańska

Zaczął się nowy dzień. Nad Cieśniną Jukatańska rozciągał się parasol gęstych szaroniebieskich chmur. Fiodor posuwał się w kierunku wybrzeża Stanów Zjednoczonych i ponownie zmienił kierunek. Nad zachodnią Kubą, wokół miasta Pinar del Rio, od rana szalała silna burza. Pyliste drogi i wysuszone łąki zamieniły się tam w połacie blocka pełnego jeziorok. Po nizinie hulały wichry, porywając ze sobą chaty i łamiąc drzewa oraz zmuszając ludzi, którzy wbrew ostrzeżeniom pozostali w mieście i jego okolicy, do walki o życie. Przy obecnej prędkości przesuwu i utrzymaniu się kierunku huragan za niecałe dwie doby dotrze do południowego wybrzeża Florydy. W całym regionie obowiązywał pierwszy stopień alarmu. Ludzie uciekali w głąb lasu z tym, co udało się zapakować do samochodów. Barykadowano domy i zagrody, zabezpieczano okna, a wszystko, co nie mogło oprzeć się burzy, demontowano i chowano w bezpieczne miejsca.

Od wielu godzin na wszystkich autostradach i drogach samochody stały zderzak w zderzak. Blaszący wąż przesuwał się w ślimaczym tempie na północ. Policja i siły bezpieczeństwa były na skraju wyczerpania i przestały panować nad powodzią aut. Korki coraz bardziej gęstniały i w końcu ruch zamarł całkowicie. Większe szczęście mieli ci, którzy uciekli w bezpieczne miejsce specjalnymi pociągami.

Wkrótce zaczęły także pękać w szwach dworce w miastach i stacje w małych miejscowościach i z powodu braku wagonów musiano zawiesić ruch kolejowy.

Uprzywilejowani, którzy musieli własne jachty i łodzie, wykorzystywali drogę wodną i wyptywali chmarami, aby zatrzymać się w jakimś bezpiecznym

miejscu na północy.

Mimo wczesnego ostrzeżenia przez służbę meteorologiczną, wielu mieszkańców wybrzeża zostało jednak w halach i kościołach – byli to ci, którzy nie dysponowali żadnym środkiem transportu. Modlono się i karmiono zwodniczą nadzieją, że huragan ominie okolicę.

Na południowym zachodzie Florydy panował strach. Fiodor pchał nad kontynent wielki parasol z wypełnionych wodą chmur. Prędkość wiatru wewnątrz huraganu w dalszym ciągu przekraczała czterysta kilometrów na godzinę.

Świat jeszcze nie widział tak potężnego tworu burzowego, ludzie wybrzeża jeszcze nigdy nie mieli do czynienia z tak niebezpiecznym drapieżnikiem. Było jasne, że Fiodor porwie ze sobą wszystko, co stanie mu na drodze. Modlitwy stawały się coraz głośniejsze.

Okręt podwodny „Tichonow”, Morze Sargassowe

Smukłe stalowe cielsko sunęło przez głęboką, ciemną wodę jak strzała. Co raz szybciej mknęło ku powierzchni. Ciśnienie powietrza w komorach balastowych wyrывało „Tichonowa” z głębin oceanu, aż dziób w końcu przebił granicę między żywiołami i okręt wyskoczył z wody jak polująca ryba. Z głośnym pluskiem opadł na powierzchnię. Przez kilka sekund kadłub podskakiwał i kiwał się, aż fala zaczęła go nieść po zielonym bezmiarze w swoim rytmie.

„Tichonow” dryfował, jakby wewnątrz nie rozegrała się tragedia. Tylko siedmiu członków załogi bez szwanki przeżyło jatkę, dwiętnastu ciężko rannych walczyło o życie, trzydziestu siedmiu zginęło.

Pulpit sterowniczy na mostku był zniszczony, napęd, pompy, sonar i radiostacja nie działały. Wybuch w maszynowni spowodował pożar, który co prawda udało się opanować, ale z niektórych rur w dalszym ciągu leciał czarny gryzący dym. Przegroda do maszynowni została zamknięta, ale przez mikropęknięcia w kadłubie przesączała się do niego woda.

– Co robimy? – zapytał kucharz, który przeżył, ponieważ w odpowiednim czasie schował się w spiżarni.

– A gdzie jesteśmy? – spytał Karmow.

Kucharz wzruszył ramionami.

– Gdzieś na Bahamach. Jestem kucharzem, nie nawigatorem.

– Mamy jeszcze amunicję sygnalizacyjną?

Porucznik nie wyglądał dobrze. Poparzony na rękach i twarzy, leżał na noszach w jednym z przejść. Na szczęście wybuch gazu zranił go jedynie powierzchownie. Inni członkowie załogi nie mieli tyle szczęścia i pilnie potrzebowali pomocy lekarskiej. Z sekcji medycznej przeżył tylko jeden sanitariusz i w tej sytuacji był bezradny.

Kucharz pobiegł po pistolet sygnałowy. Po minucie wrócił z dwunastoma racami.

- To wszystko – wydyszał.
- Wystrzelij co dziesięć minut racę i módlcie się, żeby ktoś nas zauważył, zanim zatoniemy.
- Ale przecież mamy wyraźne rozkazy, żeby w żadnym wypadku...
- Znam te rozkazy! – krzyknął Karmow. – Wolisz umrzeć? Pod osłonami w maszynowni trwa pożar. Do dolnego pokładu wlewa się woda. To jedynie kwestia czasu, kiedy zatoniemy albo wylecimy w powietrze. Poza tym mamy na pokładzie rannych, którzy potrzebują szybkiej pomocy. Rosja jest daleko. A może masz z tym jakiś problem?

Kucharz wzruszył ramionami.

- Pan jest najwyższym rangą oficerem. To pańska decyzja.
- To zacznij wystrzelijać te race, żebyśmy mieli choć cień szansy!

13.

„Carribbean Queen”, Zatoka Meksykańska

Fiodor minął Santiago de Cuba, ale tylko spadł deszcz. Luksusowy statek pasażerski „Carribbean Queen” stał pod osłoną portu i o wschodzie słońca ruszył w dalszą podróż ku najpiękniejszym plażom Karaibów. Peggy, jej matka i dzieciaki stali przy relingu i podziwiali wschód słońca. Spektakl był wyjątkowy – krwistoczerwona tarcza powoli wynurzała się z morza i wznosiła w niebo. Świeże poranne powietrze drżało i było wspaniałe. Huragan zmiotł ciemny i mętny opar poprzedniego dnia. Po nieplanowanym przystanku z powodu Fiodora w porcie Santiago kapitan chciał nadrobić stracony czas, więc „Carribbean Queen” całą naprzód płynęła południowym kursem przez spokojne Morze Karaibskie.

Podczas burzliwej nocy w porcie mały Tom przytulał się mocno do matki i nie chciał jej puścić. Peggy trzymała syna na rękach, ale powoli robił się zbyt ciężki.

– Młody człowieku, najwyższy czas, żebyś stanął na własnych nogach – powiedziała z miłością w głosie i postawiła go na pokładzie.

– Czy burza dziś wróci? – spytał ze strachem malec.

– Tommy jest cykorem! Tommy jest cykorem! – zawołała starsza siostra i rozpromieniła się.

– Cicho bądź, Sarah! Nie ma nic złego w tym, że ktoś się boi. Przecież wiesz, że strach chroni nas także przed robieniem głupstw – skarciła Peggy córkę, po czym zwróciła się do matki: – No to dojrzałam do śniadania.

Dorothee Shane nie mogła przestać patrzeć na czerwoną tarczę, która ode-
rwała się już od oceanu i unosiła w powietrzu.

– Nie przeszkadzaj sobie. Chętnie jeszcze chwilę tu zostanę i pooglądam

wschód słońca. U nas w Baltimore widzimy słońce dopiero wtedy, kiedy jest dość wysoko. Poza tym mam wrażenie, że tutaj jest większe niż u nas w domu.

Peggy się uśmiechnęła.

– A sądziłam, że już tęsknisz za domem.

– Co ty... Po wczorajszym bujaniu i mętym powietrzu cieszę się, że wreszcie znowu widać czyste niebo. Nie mogę się na nie napatrzeć. Dla mnie ta podróż dopiero się rozpoczęła.

Peggy z zadowoleniem się uśmiechnęła.

– Powinniśmy ją powtarzać co roku. Może w przyszłym roku Suzannah też znajdzie trochę czasu.

– Suzannah nigdy nie ma czasu. Przecież wiesz, że od śmierci ojca nie bardzo interesuje się rodziną. Czasami wręcz mi się wydaje, że zrobiła się odлюдkiem. Gdyby wreszcie znalazła mężczyznę, który do niej pasuje...

– Kocha swoją pracę.

– Tak i nawet już wygląda jak biały wychudzony szczur laboratoryjny.

– Mamo! Jesteś niesprawiedliwa. Niełatwo jej przyjechać do nas w odwiedziny. Moim zdaniem kocha nas, ale chciałaby mieć własną rodzinę i dzieci.

– To powinna o to zadbać.

Peggy się skrzywiła. Nie zmieni poglądów matki na życie, jakie prowadziła Suzannah. W gruncie rzeczy, miała rację. Czasami Peggy sama podejrzewała, że Suzannah w jakiś pokrętny sposób podoba się chowanie w ciemny kąt.

– No dobrze, w takim razie idę z dziećmi na śniadanie. Zajmiemy dla ciebie miejsce.

Dorothee na chwilę odwróciła głowę od słońca i uśmiechnęła się do córki.

Głęboko wciągnęła słone powietrze. Na początku podróży była sceptycznie nastawiona i nie do końca przekonana, że powinna przyjąć ofertę Peggy i z nią popłynąć. Kiedy żył John, co roku dwa, trzy razy gdzieś wyjeżdżali. W lecie na Florydę albo do Kalifornii, czasem do Europy. Do Wiednia, Mediolanu, Berlina i Londynu. Wszystkie te miasta zwiedzała razem z Johnem, który tak nagle zmarł. Minęły już cztery lata od tej chwili, ale strata cały czas bolała tak, jakby zmarł wczoraj.

Och tak, gdyby John jeszcze żył... wtedy może Suzannah byłaby bliżej i nigdy nie doszłoby do tej nieszczęsnej kłótni.

Podniosła głowę i ponownie popatrzyła na wielką czerwoną kulę, która zdążyła się już lekko zażółcić. Razem z nią z różnych pokładów wielu ludzi obserwoowało słońce. Lekki wiaterek niósł od śródokręcia dźwięki relaksującej

muzyki – najwyraźniej już się rozpoczął poranny program animacyjny. Właśnie chciała iść, kiedy rozległ się głośny krzyk, który zagłuszył eteryczną muzykę. Początkowo były to okrzyki zdziwienia, potem paniki. Dorothee poczuła zdenerwowanie. Dolatywały od strony przeciwległej burty.

Dorothee oderwała się od relingu i okrążyła schody. Co się działo?

– Fala... wielka... uciekajmy!

Docierały do niej jedynie strzępki słów. Zaczęła wchodzić po schodkach, aż wreszcie zobaczyła przeciwległy skraj pokładu. W kierunku każdych drzwi i każdej przegrody biegli przerażeni ludzie. Z głośników wył sygnal alarmu. Czuła, jak statek pochyla się na bok. W końcu dostrzegła, co się dzieje. Od zachodu na „Caribbean Queen” sunęła gigantyczna fala. Dorothee chciała krzyknąć, nim jednak zdążyła otworzyć usta, statek zadygotał. Pokład zalała fala. Zazgrzytał metal, trzasnęło szkło. Dorothee straciła grunt pod nogami i przewróciła się, ale nie upadła na twarde pokład. Woda porwała ją ze sobą i pociągnęła w kierunku oceanu, ku słońcu.

Krajowe Centrum Huraganów, Miami, Floryda

Fiodor minął Cieśninę Jukatańską, po czym wiejące na dużej wysokości wiatry pchnęły go na zachód, w stronę Meksyku. W Miami odetchnięto z ulgą. Także jego brat bliźniak – George – zmienił kierunek przemieszczania się tuż przed wybrzeżem Stanów Zjednoczonych. George rozrósł się do kategorii piątej, ale wyglądało na to, że nie okaże się groźny dla wybrzeża. Jeżeli podąży kursem, który ostatnio obrał, zostanie wypchnięty nad Pacyfik, gdzie rozejdzie się gdzieś powyżej dwudziestego piątego stopnia szerokości północnej.

– Mam nadzieję, że utrzyma kurs na zachód. – Allan Clark westchnął wpatrzone w monitor.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Suzannah była zdenerwowana. Ledwie wstała, zadzwoniła do szefa ochrony, pytając, czy wszystkie przygotowania zostaną skończone do południa. Wyczuł jej zdenerwowanie i szybko zapewnił, że nie ma się czego obawiać. Głobmaster był przygotowany, prom kosmiczny znajdował się na swojej pozycji, wszystko przebiegało zgodnie z planem. Ludzie z załogi naziemnej zaprezentują

Zieglerowi doskonałe przedstawienie. Nic nie zauważy i będzie przekonany, że właśnie wrócił z kosmosu. Spektakl może się zacząć o dwunastej.

Suzannah odłożyła słuchawkę i jeszcze raz przejrzała zarówno dane na temat stanu zdrowia austriackiego astronauty, jak i zalecenia terapeutyczne – dokumenty, których kopię przekazała poprzedniego dnia profesorowi Paulowi. Tuż po dziesiątej zadzwonił dzwonek przy jej drzwiach. Kiedy otworzyła, ujrzała uśmiechniętego Briana. Sprawiał wrażenie rozluźnionego i zadowolonego z siebie.

– Wyglądasz, jakbyś dobrze spał – zauważyła Suzannah z lekką naganą w głosie.

– A ty?

Suzannah odwróciła się i poszła w głąb pokoju.

– Pod żadnym pozorem nie może się nam wyslizgnąć z rąk.

Brian od razu wyczuł jej napięcie.

– Będziemy utrzymywać go stale w transie. Jeśli się obudzi, wszystko się zawali.

– Na pewno ci się uda – spróbował ją uspokoić Brian, uzyskał jednak przeciwny efekt.

– Łatwo ci mówić! To nie takie łatwe utrzymać go w tym stanie przez dwie godziny! Ty siedzisz tylko przy instrumentach, a ja ciągle muszę lekko interweniować, żeby mi nie odjechał.

Brian wziął głęboki wdech.

– Suzannah, zaufaj swoim umiejętnościom. Nie czas teraz na zwątpienie. To normalne, że przed taką akcją człowiek jest nieco spięty...

Suzannah odwróciła się z furią w jego stronę.

– Mam zaufać! Raz zaufałam, może za bardzo. Sądziłam, że mogę na kimś polegać i mało brakowało, a zatraciłabym przy tym samą siebie. Moje pokłady ufności są na wyczerpaniu!

Brian opadł na fotel. Doskonale wiedział, o czym mowa.

– A sądziłem, że to już minęło.

– Minęło! Jak coś takiego może minąć?! Już zapomniałeś, jak bardzo... – Powstrzymała się. – Coś takiego nigdy nie mija. To tkwi w człowieku zawsze.

Brian się uśmiechnął.

– Może powinnaś pójść do psychologa?

Śmignęła obok niego jak błyskawica, wbiegła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Brian zrobił głupią minę. Jego nieprzemyślana wypowiedź nie była mądra, ale za późno na skruchę. W pewnym sensie Suzannah miała rację. Głębokie rozczarowania zazwyczaj pozostawiają w ludziach ślad. Wstał i podszedł do łazienki. Zza drzwi dolatywało łkanie. Lekko zapukał.

– Przykro mi, naprawdę. Czasami gadam bzdury.

Placz na chwilę umilkł.

– Suzannah, ufam ci. To, co osiągnęłaś do dziś, było wyjątkowe. W ciągu dwóch tygodni uwolniłaś Zieglera z mrocznej jaskini. Teraz trzeba sprawę ostatecznie zakończyć. Otwórz drzwi. Wybacz mi to, co powiedziałem, ale zakończmy teraz całą sprawę.

Placz całkiem umilkł i drzwi się otworzyły. Suzannah po chwili wyszła z łazienki. Pod jej oczami widać było ślady łez. Brian rozłożył ręce na boki.

– Każdy popełnia w życiu błędy i czasami nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo kogoś raniemy. Wyciągnąłem ze swoich błędów naukę, ale nie cofnę czasu.

Suzannah niemal niewidocznie skinęła głową. Przytuliła się do Briana, a on ją objął.

Patrzyła ze wstydem w podłogę.

– Przepraszam – powiedziała. – Przesadnie zareagowałam.

Brian leciutko dotknął ustami jej policzka.

– Uda nam się. Za parę miesięcy Ziegler znowu będzie spacerował po placu Świętego Stefana w Wiedniu, a to wszystko twoja zasługa. Teraz chodźmy coś zjeść i w spokoju wszystko jeszcze raz omówmy.

□ □ □

Dwie godziny później Suzannah i Brian siedzieli ze swoim pacjentem na pokładzie globemastera. We wnętrzu samolotu zamontowano specjalną kabinę, aby w razie krótkiego przebudzenia Ziegler się nie zorientował, że nie znajduje się w promie kosmicznym. Ubrano go w skafander kosmiczny i przypięto na fotelu w pozycji półleżącej. Był w transie hipnotycznym. Z głośników dolatywał zapis rozmów, jakie prowadzono między promem a kontrolą naziemną. Symulacja była bardzo dobra i gdyby Brian nie znał prawdy, byłby przekonany, że znajduje się w lecącym w kosmos statku. Uważnie obserwował wskaźniki swojego komputera typu Lifeguard. W niektórych zakresach parametry Zieglera były podwyższone, świadczyło to jednak o tym, że w podświadomości

traktuje symulację jako autentyczny lot. Suzannah trzymała się nieco z boku, ale stale kontrolowała parametry pacjenta. Wszystko przebiegało zgodnie z planem i po półgodzinie globemaster zaczął podchodzić do lądowania. Można było zacząć fazę numer dwa.

Kiedy dwóch pielęgniarzy niosło zahipnotyzowanego astronautę do samochodu, Suzannah nie odstępowała ich na krok. Brian – z laptopem w ręku – musiał solidnie wyciągnąć nogi, aby dotrzymać im kroku. Transmitter przekazywał drogą radiową dane z czujników, program Lifeguard był zawieszony. Brian się zasapał, kiedy dotarli do karetki. Usiadł ciężko obok kierowcy, Suzannah stanęła obok samochodu.

– Jak to wygląda? – szepnęła.

Brian odwiesił program. Musieli poczekać kilka sekund, aż monitor się aktywizował.

– Co masz w ręku? – spytał Brian na widok czerwonej torebki.

Suzannah przyłożyła palec do ust.

– Koktajliki, gdyby się zbyt wcześnie obudził... Rozsunęła suwak torebki, pokazując dwadzieścia jednorazowych strzykawek. Były pogrupowane po pięć i każda piątka była oznakowana naklejkami w innym kolorze.

– Co jest w środku?

– Czerwone – i śpi jak dziecko. Żółte – budzi się, niebieskie – nieco rozszerzenia świadomości, nazywa się MDMA, a zielone to tajny przepis. Podejrzewam, że CIA od razu odkupiłoby ode mnie licencję i dobrze zapłaciło. Zmieszał to pewien mój znajomy.

– Narkotyki! – powiedział z udawanym oburzeniem Brian.

Suzannah skinęła głową, udając skarconą dziewczynkę.

– Meskalina, nieco tiopentalu sodu i odrobina psylocybiny. Znosi niemal każdą blokadę świadomości. Człowiek jest potem przez trzy dni oszołomiony i boli go głowa. Ale to tylko na wypadek awarii.

– Nie daj się złapać, grozi za to dziesięć lat więzienia – zażartował Brian.

– W Teksasie za coś takiego wieszają – odparła Suzannah z uśmiechem. –

Jak sprawa wygląda?

– Sprawa? Jaka sprawa?

– Ziegler.

– Ach, to masz na myśli. – Brian aktywował poszczególne sekwencje programu. – Tętno i ciśnienie w normie. Lekkie fale alfa – i średnia aktywność fal theta. Całkowite odprężenie.

– Fale theta? To dobrze. Jeśli chcemy, żeby udały nam się sugerowane przerwania schematów i aktywne interwencje, musi się przed nami całkowicie otworzyć.

– No to zanieśmy go do promu. Przedstawienie czas zacząć.

Suzannah skinęła głową i zaczekała, aż pielęgniarki prawidłowo zablokują nosze. Potem wsiadła na tył samochodu, do swojego pacjenta, który leżał na noszach z zamkniętymi oczami, rozluźnionymi mięśniami i spokojnie oddychał.

Dwie godziny później Ziegler – w tym samym stanie – leżał na łóżku w pokoju szpitala Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego. Wszystko przebiegło zgodnie z planem i astronauta spał. Kiedy się obudzi, okaże się, czy terapia hipnotyczna okazała się skuteczna.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Telefon wyrwał Dwaina Hamiltona z niespokojnego snu. Bolała go głowa, jakby między uszami pędziło mu stado bawołów. Czekał na jeepa cherokee przy skrzyżowaniu do Magdaleny do późnych godzin nocnych, samochód się jednak nie pojawił. O drugiej w nocy przerwał obserwację i pojechał do domu. W domu przez długi czas wpatrywał się w zdjęcie Margo i dzieci, po czym wyjął z szafki w kuchni butelkę whiskey i wypił dwie trzecie zawartości.

Wstał z jękiem i sięgnął po słuchawkę.

– Halo?

– A ja sądziłem, że szeryf jest na służbie przez okrągłą dobę – zadudnił basowy głos senatora. – Sądząc jednak po twoim głosie, właśnie się obudziłeś. Popatrz zza okno, synu – słońce świeci, niebo jest błękitne i ani jedna chmura nie psuje dnia.

– Cześć, wujku – spróbował się przywitać Dwain, ale miał trudności z mówieniem.

– Powęszyłem tu i ówdzie – powiedział senator Joseph Hamilton. – Obóz imienia generała Willstona należy do tajnej jednostki szkoleniowej piechoty morskiej przygotowującej żołnierzy do akcji na Bliskim Wschodzie. Wykorzystują okolicę do szkolenia w terenie górskim.

Dwain przeciągnął palcami po zmierzwionych włosach.

– A mnie się zdawało, że Bliski Wschód w dziewięćdziesięciu procentach składa się z pustyni, a w pozostałych dziesięciu z ropy.

– Nie zapominaj o naszych oddziałach w Afganistanie. W Hindukuszu cały czas krążą bojownicy Al-Kaidy. Podobno chowa się tam Osama bin Laden i działa ręka w rękę z talibami.

– Masz coś jeszcze? O Mcnishu?

– Musisz dać mi jeszcze trochę czasu. FBI to ogromny urząd. Jeśli istnieje coś istotnego na temat tego człowieka, mój informator na pewno się tego dowie.

– Kto to? Prezydent?

– Nawet nie myśl, że zdradzę ci tożsamość mojego człowieka. Powiedzmy, że to ktoś, kto jest mi winien przysługę. Więcej nie musisz wiedzieć. Zgłoszę się, kiedy uzyskam więcej informacji, ale zakładam, że zatrzymasz je dla siebie. Nigdy o tej sprawie nie rozmawialiśmy, jasne?

– No przecież. – Dwain wiedział, że nie będzie mógł wykorzystać informacji od wuja w oficjalnym śledztwie. Polityczna sytuacja w Stanach nigdy nie była prosta, a po jedenastym września wiele się zmieniło. Lęk przed nowymi zamachami tkwił w ludziach głęboko, a jeżeli Allan Mcnish rzeczywiście siedział w wojskowym obozie z powodu podejrzenia o działalność terrorystyczną, to opinia publiczna – mimo wszystkich przysługujących mu zgodnie z konstytucją praw człowieka – nie uroni za nim nawet jednej łzy. Dwain doskonale wiedział, że w sprawie zwłok z Coward Trail stąpa po kruchym lodzie.

– Jeśli chodzi o numer rejestracyjny, muszę się poddać – powiedział wuj Joe. – Próbowałem wszystkiego. Musimy założyć, że to fałszerstwo albo informator źle go odczytał.

– W takim razie trudno. Mimo wszystko dziękuję.

Szeryf wstał z westchnieniem i poszedł do łazienki. Zimna woda powoli przywracała go do życia.

14.

Biały Dom, Waszyngton

Wayne czuł się w czarnym garniturze nieswojo. Miał wrażenie, jakby krawat i zapięta pod samą szyję koszula odcinały mu dopływ powietrza. Siedział z Cliffem Sebastianem i Allanem Clarkiem za wielkim owalnym stołem z ciemnego tropikalnego drewna. Pokryte boazerią ściany zdobiły sceny batalistyczne z wojny secesyjnej. Wyposażenie sali konferencyjnej uzupełniały czerwona wykładzina dywanowa oraz wielki srebrny żyrandol.

Za stołem siedziała poza nimi duża grupa wysokiej rangi wojskowych oraz paru cywili, jak na razie goście nie zostali sobie przedstawieni. Telefon, który sprawił, że trójka naukowców musiała się udać do Waszyngtonu, zadzwonił poprzedniego dnia wieczorem.

– Masz pojęcie, po co tu jesteśmy? – spytał Wayne Chang kolegę z Krajowego Centrum Huraganów. Nie zdążyli porozmawiać w holu. Zaraz po tym, jak przeszli kontrolę, pojawiła się ciemnoskóra kobieta o surowej twarzy i zaprowadziła ich do zachodniego skrzydła szacownego budynku. Nazywała się Fiona Applegate i była osobistą referentką sekretarza bezpieczeństwa krajowego Olivera Summerville'a.

– Jestem pewien, że chodzi o huragan w Zatoce Meksykańskiej – odparł Clark.

Nim Wayne zdążył odpowiedzieć, gwałtownie otworzyły się drzwi i pojawił się potężnie zbudowany Summerville. Tuż za nim sunęła ciemnoskóra referentka i młody człowiek w szarym garniturze, który wyglądał jak makler z Wall Street.

– Panowie, nasz kraj stoi przed największym wyzwaniem od chwili zdrażdzieckiego ataku na World Trade Center – powiedział zamiast powitania sekretarz

i z głośnym westchnieniem opadł na stojący na honorowym miejscu fotel. – W stronę naszego wybrzeża sunie potężny huragan o niszczycielskiej mocy. Zgodnie z panów obliczeniami rozmiar zniszczeń przekroczy wszystko, co do tej pory nas spotkało. Prezydent chce, abyśmy wprowadzili w życie odpowiednie działania i sprawili, żeby straty materialne i w ludziach były jak najmniejsze. Jak brzmią panów propozycje?

– Czy istnieje jakaś możliwość zminimalizowania intensywności burzy? – spytał oficer w brązowym mundurze Gwardii Narodowej.

– Panie Clark? – sekretarz przekazał pytanie dalej.

Clark popatrzył ze zdziwieniem na Cliffa Sebastiana i wstał.

– Fiodor, jak został nazwany ten tropikalny cyklon, znajduje się obecnie na progu Zatoki Meksykańskiej – odpowiedział Clark łamiącym się głosem. – W jego wnętrzu prędkość wiatru dochodzi do czterystu dziesięciu kilometrów na godzinę. Zawiera olbrzymie masy wody i przemieszcza się z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę w kierunku północnym północno-zachodnim. Ostatnio jego prędkość przesuwu nieco się zmniejszyła. Aktualnie jego północno-wschodnia odnoga znajduje się nad Kubą i wyrządza tam katastrofalne szkody. Niszczy domy i lasy, ale jeszcze bardziej katastrofalne działanie mają masy wody...

– Nie tak brzmiało pytanie, panie Clark – przerwał młodzieniec w szarym garniturze. – Z pańskich akt wiem, że przez długi czas, zanim przeszedł pan do Krajowego Centrum Huraganów, pracował pan w wywiadzie wojskowym, możemy więc obyć się bez ozdobników. Nasze pytanie brzmi: Czy możemy podjąć jakieś aktywne działania?

– Co chce pan zrobić? – wtrącił się Wayne Chang. – Zastrzelić Fiodora?

Młodzieniec afektownie się uśmiechnął.

– Profesor Chang, zgadza się?

– Zgadza.

– Jeśli się nie mylę, już od dawna prowadzi pan badania meteorologiczne. Jest pan profesorem geofizyki, doktorem meteorologii i geodezji.

– Także to się zgadza.

– W takim razie jest pan specjalistą, tak?

Zdanie to zabrzmiało nie tyle wyjaśniająco, ile prowokacyjnie.

– Można tak powiedzieć.

– Co właściwie robi pan przez cały dzień w laboratorium?

Wayne'a zatkało. Jaką funkcję pełnił ten facet i co sobie właściwie wyobrażał?

– W minionym półroczu pracowaliśmy nad zagęszczeniem w naszym kraju stacji pogodowych, aby móc dokonywać skuteczniejszych i trafniejszych prognoz. Nie spędzamy całych dni na czytaniu gazet i piciu kawy.

– A mimo to dotychczas nie udało się panom stworzyć odpowiednich działań do zwalczania sił natury.

– W takim razie poproszę o broń. Wyjdę na zewnątrz i zabiję burzę – powiedział cynicznie Wayne.

– Panowie, to nas donikąd nie zaprowadzi – wtrącił się sekretarz. – Richardzie, wystarczy. Nic nam nie da zarzucanie sobie nawzajem nieudacznictwa.

– Nazywa się pan Richard Wagner? – spytał Cliff Sebastian.

Młody człowiek skinął głową.

– Niedawno rozmawialiśmy – powiedział Cliff. – Wyjaśnię to panu na przykładzie. Jeżeli porównamy Fiodora z chorobą, to huragan jest jedynie objawem, a przyczyna – a właściwie zarazek – to stały wzrost stężenia szkodliwych związków w atmosferze, w tym chemicznych zabójców ozonu. Niech pan przeczyta badania Charlesa Keelinga nad efektem cieplarnianym. To my, ludzie, ponosimy pełną odpowiedzialność.

– Będziemy teraz prowadzić dyskusję o zasadach? – spytał Wagner.

– Nie, chodzi o to, że jesteśmy skazani na taki huragan jak Fiodor. Choć mamy dwudziesty pierwszy wiek i konstruujemy rakiety, które latają na Marsa.

O głos poprosił oficer w granatowym mundurze lotnictwa.

– Jestem z wojskowej służby meteorologicznej. Istnieje wiele możliwości wpłynięcia na huragan.

– No to chętnie je poznam – odparł Cliff Sebastian.

– Dwa lata temu siły powietrzne prowadziły projekt, w którym za pomocą promieniowania mikrofalowego udało się nam zepchnąć huragan z kursu. Zmienił kierunek, podążając za ciepłą wodą.

– Znam to badanie – wtrącił Wayne. – Huragan nazywał się Estrella i został zaklasyfikowany do kategorii pierwszej. Potem oceniono go jeszcze niżej i uznano za burzę tropikalną. Odchylenie kursu wyniosło niecałe dwanaście kilometrów na odcinku tysiąca kilometrów. W przypadku Fiodora niewiele nam to da.

– A co z jodkiem srebra? – zapytał jeden z cywili, chemik.

– Można by w ten sposób jedynie spowolnić jego prędkość obrotową o kilka metrów na sekundę, ale po to, aby cokolwiek się stało, potrzebowalibyśmy mnóstwa tego związku – odparł Allan Clark.

– Spowolnienie prędkości obrotowej brzmi rozsądnie, to już coś – rzekł Wagner. – Proszę powiedzieć, czego dokładnie potrzebujemy i za godzinę będzie przygotowane.

– Szacując, jakieś pięćdziesiąt składów towarowych i trzysta dużych samolotów – powiedział Wayne Chang. – Może udałoby się nam w ten sposób zrobić z Fiodora spokojny wiaterek, choć wolę nie myśleć, jakie skutki dla środowiska miałyby rozproszanie takiej ilości substancji chemicznych.

– Ma pan lepszą propozycję? – spytał Wagner.

– Fiodor nie jest zwykłym huraganem – powiedział Cliff Sebastian. – Jeszcze nigdy nie było czegoś takiej wielkości. Poza tym już dwa razy zmienił kurs. Teraz idzie na południowo-zachodnią Florydę, nie da się jednak wykluczyć, że znowu zmieni kurs i skieruje się na zachód.

– Poza tym ma na Pacyfiku brata – wtrącił Wayne Chang.

– Sądziłem, że tamten idzie nad ocean – powiedział Summerville.

– Tego jeszcze nie wiadomo – odparł Allan Clark. – W tej chwili na to wygląda, ale wszystko może się zmienić. George może skrócić na wschód. W troposferze panują obecnie bardzo niestabilne warunki. Regiony wyżowe nad kontynentem amerykańskim blokują wymianę powietrza z wyżej położonymi masami. Wiatry na dużych wysokościach krążą wokół tych kolumn ciepłego powietrza po eliptycznych torach i jeżeli George zostałby przechwycony przez strumień na dużej wysokości, mógłby ponownie zmienić kierunek.

Sekretarz odchrząknął.

– To znaczy, że nie możemy zrobić nic, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo?

– Obawiam się, że nie – potwierdził Cliff Sebastian.

– W takim razie musimy opracować plan na wypadek katastrofy. Nie wyjdziemy z tej sali, dopóki nie stworzymy katalogu działań wystarczająco chroniących ludzi w zagrożonym rejonie. Ile mamy czasu?

– Jeżeli utrzyma swoją prędkość przesuwu, mniej więcej dwa dni – odparł Clark.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął Summerville.

Do sali wszedł żołnierz piechoty morskiej z aktówką w ręku.

Podszedł do sekretarza, położył przed nim teczkę i wyszeptał mu coś do ucha.

Summerville skinął głową i żołnierz wyszedł. Sekretarz otworzył teczkę i zaczął czytać. Po minucie podniósł głowę.

– Panowie, mam złe wieści. Doszło do pierwszych ofiar śmiertelnych wśród obywateli Stanów Zjednoczonych. Mowa jest o gigantycznej fali morskiej, która pojawiła się u wybrzeży Kuby. Kilka statków zatoneło, kilka uległo awarii. Ciężko uszkodzony został statek pasażerski wiozący na pokładzie głównie amerykańskich turystów. Mowa jest o trzydziestu zabitych i zaginionych oraz ponad dwustu rannych. Szczegóły nie są jeszcze znane. Fala uderzyła w brzeg w okolicy Santiago i spowodowała olbrzymie zniszczenia.

Panuje tam całkowity chaos.

Krajowe Centrum Huraganów, Miami, Floryda

– Chyba zaraz oszaleję! – zawołał brodaty meteorolog do kolegi. Po ekranie monitora, który obserwował, przeszła animacja komputerowa Fiodora sporządzona przez komputer centralny na podstawie najnowszych danych.

– Co się dzieje? – spytał siedzący przy pulpicie kontrolnym kolega.

– Według najnowszych pomiarów ciśnienie spadło do ośmiuset pięćdziesięciu siedmiu hektopaskali.

Drugi meteorolog wstał i zajął brodatemu koledze przez ramię.

– Co ty gadasz? Coś jest nie tak z danymi. Nie może tam być tak niskiego ciśnienia.

– Ale jest. Robię odczyt po raz trzeci: osiemset pięćdziesiąt siedem hektopaskali.

– Zawołam Erika. Musi to sobie obejrzeć.

Brodacz skinął głową.

– Możesz mu przy okazji powiedzieć, że Fiodor zmienia kurs. Skręca na zachód.

– Zawołam Erika.

San Antonio, hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Było tuż po północy, ciemność okryła doliny i góry Los Pinos niczym jedwabna chusta. Oliwkowa ciężarówka GMC pędziła drogą numer 380 z Bingham w kierunku San Antonio. Światła reflektorów wgryzały się w mrok

bezksiężycowej nocy. Sierżant Harris przeciągnął dłonią po zmęczonych oczach. Siedział za kierownicą od ponad siedmiu godzin. Wyruszył z Fort Worth i wkrótce będzie u celu. Las Cibola znajdował się już tylko o kilka kilometrów. Pokonywał tę trasę nie po raz pierwszy i jak zawsze wóz był już załadowany. Zamknięcie drzwi załadunkowych zabezpieczały dwie plomby.

Harris nie wiedział, co transportuje. Ładunek był tajny, a on nie zadawał niepotrzebnych pytań. Dzisiejszy rozkaz brzmiał wyraźnie: zawieźć ładunek bezpiecznie i bez uszkodzeń do miejsca przeznaczenia! Dokładnie tymi słowami wyraził się dyspozytor w Fort Worth w randze majora, po czym wydał mu niebieski list przewozowy. Kolor ten miał znaczenie: każdego, w tym urzędy cywilne, informował, że na pokładzie szesnastotonowej ciężarówki znajduje się coś, czego pod żadnym pozorem nie wolno otworzyć i sprawdzić.

Harris otrzymał propozycję pracy w federalnej służbie zaopatrzeniowej Armii przed sześciu laty. Przedtem był żołnierzem piechoty morskiej z krwi i kości. Niestety, z powodu nieudanego skoku ze spadochronem, w trakcie którego doznał złamania ze zmiążdżeniem, nie miał innego wyboru. Jego kariera żołnierza służby czynnej dobiegła końca.

Sierżant Harris ponownie przetarł zmęczone oczy. Miał za sobą ciężki dzień. Zazwyczaj po nocnej jeździe kładł się w południe spać, tym razem nie było to możliwe. Około południa zadzwonił ojciec i zaczął się skarżyć na bóle w klatce piersiowej. Harris natychmiast pojechał do leżącego dwadzieścia kilometrów od Fort Worth miasteczka Crowley. Kiedy wszedł do domu ojca, ten leżał w salonie na kanapie. Miał płytki oddech, był blady jak ściana i zaczynał już tracić przytomność. Harris zapakował go do samochodu i zawiózł do najbliższego szpitala. Okazało się, że jego niepokój był w pełni uzasadniony.

– Gdyby nie zareagował pan od razu, pański ojciec już by nie żył – powiedział lekarz po zbadaniu starszego pana.

Harris senior przeszedł już dwa zawały i mało brakowało, aby trzeci go wykończył. Całe szczęście, że zachował jeszcze na tyle trzeźwości umysłu, żeby zadzwonić do syna.

Wyprzedził go jakiś samochód i pomknął w dal. Harris zamrugał. Choć było to niezgodne z przepisami – takim transportom jak jego, jeżeli nie miały ochrony, wolno było się zatrzymywać wyłącznie w bazach wojskowych, do tego pod nadzorem – może powinien wjechać na najbliższy parking i chwilę odpocząć. Niestety, tym razem jechał sam. Najwyraźniej ładunek nie był aż tak ważny jak poprzednim razem, kiedy konwojowały go dwa jeepy pełne

uzbrojonych po zęby żołnierzy.

O tej porze na szosach Nowego Meksyku było pusto i cicho. Większy ruch panował tylko na autostradach międzystanowych. Harris miał obowiązekjechać ustaloną trasą, a tym razem nie wiodła ona z El Paso do Socorro, lecz przez Carlsbad, Artesię i Roswell. Przy tego typu transportach zmiany tras były dodatkowym elementem bezpieczeństwa. Harris zaklął, kiedy dostał plan trasy. Objazd oznaczał jazdę dłuższą o godzinę. Akurat dziś!

GMC utrzymywał prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, co wyraźnie przekraczało dozwolony limit, Harris miał jednak nadzieję, że funkcjonariusze policji drogowej smacznie śpią w radiowozach. Tęsknił za łóżkiem, miękką poduszką i snem. Ponownie jego pojazd oświetliły reflektory. Popatrzył w boczne lustro. Starał się skupić na drodze, ale monotonne buczenie dieslowskiego silnika działało usypiająco. Musiał na dwie sekundy zamknąć oczy. Przez szum silnika przebiło się głośne trąbienie. Kiedy gwałtownie otworzył oczy, ujrzał tuż obok samochód. Wyraźnie zobaczył rozszerzone przeżeniem oczy pasażerki wyprzedzającego go pojazdu i gwałtownie szarpnął kierownicą w prawo. Ciężarówka skręciła, a jej tył zarzucił. Coś głośno zaklekotało, opony jęknęły ze skargą. Harris skontrował, ale było za późno. Ciężarówka podskakiwała coraz wyżej, drzewa na poboczu pędziły na niego. W ostatniej chwili osłonił rękami głowę. Rozległ się głośny huk, zazgrzytała blacha, trzasnęło szkło. Harrisa wyrzuciło z fotela. Ciało zalała mu fala bólu i stracił przytomność.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Okolo siódmej wieczorem Suzannah i Brian wyszli ze szpitala i wolnym krokiem udali się do swoich apartamentów. Wieczór był przyjemnie świeży, lekki wiaterek przegonił upał dnia. Powietrze było słonawe.

Pośrodku placu stał wielki obelisk z jasnego marmuru z niebieską kulą na szczycie, która miała symbolizować Ziemię. Na złotym szyldzie pysznił się znak NASA, nowoczesny napis ze złotymi gwiazdami. Obok, przepływając przez trzy okrągłe niecki, pluskała woda fontanny. Suzannah usiadła na ławce i zapatrzyła się w niebo. Brian stanął obok.

– Jesteś zadowolona?

Suzannah uśmiechnęła się szeroko.

– Sądzę, że wszystko przebiegło dziś bardzo dobrze.

– Nie mam na myśli dzisiejszego dnia. – Brian usiadł obok Suzannah. – Mam na myśli w ogóle?

Suzannah z zadumą popatrzyła na wodę przelewającą się z jednego basenu do drugiego pieniającymi się kaskadami.

– A ktoś jest zadowolony ze swojego życia?

Brian nie na to nie odpowiedział.

– To były dobre dni – powiedziała Suzannah. – Stworzylibyśmy chyba dobry zespół.

– Jesteśmy teraz i kiedyś też byliśmy. Czasami żałuję, że nie możemy podróżować w czasie i o kilka lat go cofnąć.

– Człowiek nie ma możliwości podróżowania w czasie. Pomyśl o Einsteinie. Każdy człowiek ma na świecie swój czas i należy go wykorzystać. Sami sobie jesteście winni, jeżeli go marnujemy.

– Chyba masz rację.

Suzannah podniosła głowę.

– Czasami zadaję sobie pytanie, dlaczego tylu ludzi jest nieszczęśliwych i bliskich rozpaczy. Przecież tylko drobiazgi zamieniają zły dzień w dobry. Życie to jedynie łańcuch chwil. Człowiek jest zadowolony, jeśli przeważają szczęśliwe.

– Wielu ludzi traci nadzieję, ponieważ próbuje szukać głębszego sensu swojego istnienia, a przecież w przyrodzie za każdym biologicznym istnieniem kryje się tylko jeden zasadniczy sens: zachowanie gatunku.

Suzannah się uśmiechnęła.

– To nie za mało na uzasadnienie sensu ludzkiej egzystencji? – Suzannah wstała. – Co powiesz na kolację?

– Przy całej tej filozofii to doskonały pomysł. Do naszego bytu należy także banalne zaopatrywanie organizmu w środki odżywcze, zwłaszcza że czasami na dodatek jest to przyjemne.

– Miałabym dziś ochotę zjeść poza ośrodkiem.

Brian skinął głową.

– Spotkamy się za godzinę.

□ □ □

Po prysznicu Brian popatrzył na zegarek. Do spotkania z Suzannah zostało jeszcze pół godziny, włączył więc mały telewizorek. Na kanale informacyjnym

trwał reportaż o zbliżającym się huraganie o nazwie Fiodor. Brian usiadł na krawędzi fotela i zaczął uważnie oglądać reportaż.

Najpotężniejszy huragan, jaki powstał w historii, sunął na amerykańskie wybrzeże. Jeszcze nie było pewne, w którym miejscu wybrzeża Zatoki Meksykańskiej uderzy, mieszkańcy południowej Florydy czynili już jednak przygotowania, aby mu się oprzeć albo opuścić zagrożony region. Brian pomyślał o Wayne Changuu. Profesor Paul poinformował ich, że od dzisiejszego dnia pozostaną jedynym zespołem eksperckim w ośrodku lotów kosmicznych, bo fizycy i meteorologowie wykonali swoje zadanie i wyjechali. Jak na razie, Chang nie zgłosił się jednak do Briana. Prawdopodobnie miał mnóstwo pracy.

Brian wstał i poszedł do kuchni. Nalał sobie szklankę wody i wypił ją jedynym haustem. Kiedy wrócił do salonu, na ekranie pojawiły się zdjęcia okrętu podwodnego zrobione z helikoptera.

„...tragedia na pokładzie. Z dotychczas nieznanych powodów jeden z marynarzy dostał amoku, zdobył broń palną i zrobił wśród załogi krwawą jatkę. Zabił w sumie trzydziestu siedmiu członków załogi, a dziewiętnastu ciężko ranił. Podczas wymiany ognia na pokładzie doszło do eksplozji, w wyniku której zginął. Okręt podwodny »Tichonow« dryfował niezdolny do manewrowania na południu Morza Sargassowego, gdzie został zauważony przez samolot straży wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Z Portsmouth wypłynął holownik, ma przejąć rannych i siedem osób, które przeżyły incydent bez szwanku. Prezydent przesłał do Rosji notę, w której informuje o tym, co się stało. Jak na razie, Kreml milczy...”.

Brian podszedł do telewizora i go wyłączył. Czas pożyczyć w dziale transportu jakiś samochód. Piętnaście minut później poszedł po Suzannah.

W zamkowej spódnicy, białej bluzce, butach za kostkę i z upiętymi wysoko włosami wyglądała porywająco, ale na jej twarzy dostrzegł cień.

- Co się stało?
- Nic wielkiego. Próbowałam dodzwonić się do siostry, ale jej telefon milczy.
- Na pewno go wyłączyła albo tkwi w dziurze bez zasięgu.
- Prawdopodobnie masz rację – przyznała Suzannah.

KSIĘGA TRZECIA

Tajemnice

Lato 2004

1.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Reflektory straży pożarnej rozjaśniały scenę i ukazywały rozmiary wypadku, do którego doszło na drodze numer 380, kilka kilometrów przed San Antonio. Ciężarówka wojskowa zjechała z dużą prędkością z jezdni, skosiła kilka drzew w lesie rosnącym przy szosie i w końcu się przewróciła. Oboje pasażerowie samochodu osobowego, który w chwili wypadku wyprzedzał ciężarówkę, nie odnieśli szwanku, ale byli w szoku. Sierżant Harris, kierowca pojazdu wojskowego, nie żył. Wpadł przez przednią szybę, a następnie został przez nią zmiażdżony. Burta ciężarówki nie wytrzymała impetu i pękła, przez co ładunek został rozrzucony na odcinku pięćdziesięciu metrów. Między drzewami leżały paczki, kawały porwanego papieru oraz stalowe kontenery i metalowe skrzynki.

Miejsce wypadku otoczono rozległym, szczelnym kordonem. Powietrze wypełniało buczenie silnych generatorów, na miejsce przyjechały już z San Antonio karetka i kilka wozów straży pożarnej. Kierownictwo akcji przejął szeryf Dwain Hamilton. Zwłoki kierowcy jeszcze nie zostały wydobyte spod wraka. Szeryf zamówił w Albuquerque dźwig samobieżny, który miał podnieść rozbitą wojskową ciężarówkę.

– Dźwig przyjedzie dopiero za godzinę – zameldował przez radio zastępca szeryfa Rogers.

Dwain skinął głową i ponownie odwrócił się do Sarah Moonlight, swojej indiańskiej koleżanki, która fotografowała miejsce wypadku.

– Zrób jeszcze jedno zdjęcie z drugiej strony!

Sarah uniosła kciuk, dając znak, że zrozumiała.

Podbiegł zastępca szeryfa Martinez.

– Wymierzyliśmy ślady! Musiał nieźle zasuwać.

Zanim Dwain zdążył odpowiedzieć, zauważył zbliżające się od San Antonio światła kolejnych reflektorów.

– Zdawało mi się, że droga jest zamknięta... – mruknął Dwain.

Martinez dotknął palcem barku szeryfa i wskazał w górę. Nad miejscem wypadku krążył helikopter. Wodził silnym reflektorem po samochodzie, który uległ wypadkowi.

– Co jest grane? – spytał Dwain Hamilton, na co Martinez jedynie wzruszył ramionami.

Reflektory cały czas się zbliżały. Po chwili dało się dostrzec dwa jeepy i wojskową ciężarówkę.

Z odrętwienia wyrwało Dwaina głośne wołanie zastępcy szeryfa Hollowa, który stał na poboczu drogi i gwałtownie gestykulował. Dwain podszedł do niego szybkim krokiem.

– Co jest?

Hollow wskazał na leżące obok szosy metalowe pudło, które musiało wypaść z ciężarówki.

– Popatrz na to – powiedział zastępca szeryfa.

Dwain spojrzał uważnie na pudło. Od razu zauważył żółty trójkąt z charakterystycznym piktogramem oznaczającym substancje promieniotwórcze.

– Da się ustalić, jaki był ładunek tego wozu? – spytał Dwain kolegę.

– Wejdę do ciężarówki, gdzieś musi być coś w rodzaju listu przewozowego – odparł Hollow.

Dwain skinął głową i kiedy się odwrócił, dokładnie obok niego zahamował samochód: czarny jeep cherokee z przyciemnianymi szybami. Dwain poczuł, jak na zmianę zalewa go fala zimna i gorąca.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i z samochodu wysiedli czarnoskóry mężczyzna i kobieta z krótko ostrzyżonymi rudymi włosami. Mężczyzna ruszył w kierunku Dwaina, aby odczytać numery rejestracyjne jeepa. Natychmiast się uspokoił, ponieważ auto miało oficjalną, legalną rejestrację.

– Pan kieruje akcją? – spytał mężczyzna i podstawił Dwainowi pod nos legitymację.

Dwain Hamilton skinął głową.

– Jestem agent Cline, to moja koleżanka Cisco – przedstawił się ciemnoskóry. – Proszę się pakować, przejmujemy wóz.

Dwain odwrócił się i popatrzył za siebie. Za jeepem z agentami zjawilo się

kilka pojazdów wojskowych, z których wysiadali i zajmowali pozycje żołnierze z karabinkami szturmowymi. Do wraka ciężarówki szło dwóch ludzi w żółtych kombinezonach antykontaminacyjnych. Mieli ze sobą licznik Geigera.

– Chcę wiedzieć, co jest w środku – powiedział Dwain Hamilton i wskazał na stalowy kontener z żółtą nalepką.

– W wypadku uczestniczył transportowy pojazd wojskowy o priorytecie alfa. Nie jestem upoważniony do udzielania panu dalszych informacji. Mogę pana jednak uspokoić: dopóki pojemniki są szczelne, nic się nie stanie.

Rudowłosa kobieta przyglądała się Dwainowi z przyjaznym uśmiechem.

– Nawet gdyby któryś z nich miał jakieś włosowate pęknięcie, co w zasadzie nie powinno nastąpić, nie ma zagrożenia. Są w nich jedynie słabo radioaktywne materiały do narzędzi pomiarowych. Proszę się nie martwić, duży mężczyźno.

– Zakładam, że macie uprawnienia do przejścia miejsca wypadku.

– Mamy autoryzację z Białego Domu – odparła kobieta.

Podbiegła zastępca szeryfa Moonlight.

– Szeryfie, oni chcą, żebyśmy się stąd zabierali... – powiedziała zaskoczona.

Dwain przez chwilę się zastanawiał.

– Pakujcie się, spadamy stąd! – oznajmił w końcu.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że ograniczamy w ten sposób pańskie kompetencje – rzekła agentka NSA i wskazała na ciężarówkę. – W końcu to pana rejon. Wszyscy jednak wykonujemy naszą pracę, a z tej naprawdę chętnie byśmy zrezygnowali.

– Sprawa jest wasza – odparł Dwain. – Zakładam, że nie musimy się martwić też o blokadę i ściągnięcie ciężarówki...

Agent Cline pokręcił głową.

– Od tej chwili to nasza sprawa.

– No to świetnie, przedstawienie jest wasze.

Dwain Hamilton zostawił agentów, poszedł do swojego radiowozu, w którym już siedział zastępca Hollow, i ciężko opadł na fotel kierowcy.

Hollow popatrzył na niego z niewiarą.

– Wolno im tak?

– Chyba wolno – odparł Dwain Hamilton i uruchomił silnik.

*Centrum Lotów Kosmicznych
im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda*

Suzannah leżała nago na skotłowanym łóżku. Obudziła się, kiedy pierwsze promienie słońca przebiły się przez rolety sypialni i poślaskotały ją w nos. Bolała ją głowa. Najwyraźniej przesadziła z winem w uroczej restauracji w Cocoa Beach. Rozejrzała się zdezorientowana. Dlaczego, do diabła, była naga? Nigdy nie spała nago, chyba że...

Cichy równomierny oddech, który usłyszała, sprawił, że aż się wzdrygnęła. Odwróciła się i ujrzała nagi tułów spokojnie śpiącego Briana.

Cholera jasna, co się właściwie stało? Próbowała sobie przypomnieć wydarzenia poprzedniego wieczoru. Zjedli kolację, rozmawiali, pili wino, świetnie się bawili.

Na koniec – była to ostatnia rzecz, jaką pamiętała – biegli na bosaka po plaży. W tym momencie wszystko się urywało, a zawsze była przekonana, że nigdy nie straci panowania nad sobą, niezależnie od okoliczności i sytuacji. Najwyraźniej się myliła. Jak Brian trafił do jej łóżka i co działo się potem?

Brian odwrócił się zaspany. Jego ręka zaczęła szukać Suzannah i musnęła jej udo. Nagle się wyprostował. Przestraszony popatrzył Suzannah prosto w oczy.

– Co się stało? – spytał zdumiony.

Suzannah wstała. Na podłodze leżało prześcieradło – podniosła je i się nim owinęła. O mało nie potknęła się o leżącą obok łóżka pustą butelkę po winie.

– A co ty robisz w moim łóżku?

– Nie mam pojęcia.

– Czy myśmy... no wiesz, o co chodzi...?

Brian pokręcił głową.

– Pamiętam tylko, że świetnie się bawiliśmy. Potem wróciliśmy do ośrodka i zaprosiłaś mnie na kieliszek wina.

– Aha, więc tym razem to moja wina...

– Twoja, moja, czy to ważne? W każdym razie byłaś nieźle rozbawiona.

– Rozbawiona... aha...

– Spaliśmy ze sobą?

– Dlaczego mnie pytasz, chyba sam powinienesz wiedzieć? Ja byłam rozbawiona. Ty trzeźwy, prawda?

Brian zrozumiał sugestię.

– Chyba nie sądzisz, że wykorzystałem sytuację – powiedział ze złością i wstał.

– Jesteś goły – zachichotała Suzannah.

Brian przeciągnął palcami po włosach.

– To się odwróć.

– To moje mieszkanie i będę patrzyła, gdzie mam ochotę. Brian w pośpiechu zebrał ubranie i włożył spodnie.

– Która godzina?

– Boli mnie głowa – odparła Suzannah.

– Nie powinnaś tyle pić.

– Poileś mnie, ile wlezie...

– Nieprawda. Która godzina?

Suzannah popatrzyła na budzik.

– Prawie dziesiąta.

– O cholera, miałem...

– Idę pod prysznic.

– Spotkamy się na śniadaniu?

– Znowu jedzenie... wkrótce będę przypominała beczkę.

Brian powiódł wzrokiem po jej ciele okrytym jedynie cienkim prześciera-
dłem.

– Nie sądzę. Jak na mój gust jesteś akurat.

Suzannah opadła na fotel.

– Zachowujemy się jak nastolatki, które po raz pierwszy ujrzały się nago.

– Bo dziś widziałem cię nagą po raz pierwszy.

– A wtedy?

– To był inny Brian, Brian, którego już dawno nie ma.

– No, no, nowy Brian... w takim razie pobieraj swoje rzeczy, a ja pójdę
wziąć prysznic.

Suzannah wstała i rzuciła Brianowi prześcieradło. Stała przed nim nago. Jej
ciemna skóra błyszczała w słońcu.

– Tak się zastanawiam, czy nie powinniśmy znowu iść do łóżka... tym ra-
zem na trzeźwo – rzekł z chytrym uśmieszkiem.

Suzannah szła już do łazienki.

– Mowy nie ma!

– A może to ty mnie spiąs i bezwstydnie wykorzystałaś? Byłem przy-
najmniej dobry?

– Usypiający – odparła Suzannah i zamknęła za sobą drzwi.

Brian zebrał pozostałe części garderoby. Pod elegancką zamszową spódnicą
Suzannah leżała druga pusta butelka. Kalifornijskie wino bardzo dobrej jakości.

– Przynajmniej się opłacało – mruknął, odstawiając butelkę do aneksu kuchennego. Podszedł do drzwi łazienki, rozległ się szum wody. – Pójdę do siebie i też wezmę prysznic! Spotkamy się w kasynie. Za pół godziny?

– Idź pierwszy, zajrzę jeszcze szybko do naszego pacjenta.

W drodze do swojego apartamentu Brian rozmyślał. Spał z Suzannah? Zastanawiał się nad tym, stojąc pod prysznicem, ale najwyraźniej dwie butelki wina zaszkodziły również jego pamięci. Z jednej strony sytuacja była krępująca, z drugiej chciałby, żeby tak było. Prawdopodobnie padli oszołomieni na łóżko i od razu zasnęli. Nic się już nie da zmienić – co się stało, to się nie odstanie. Wziął prysznic, włożył dżinsy i biały T-shirt i ruszył w kierunku kasyna. Zamówił duże śniadanie, bo czuł głód. Nie czekając na Suzannah, zaczął jeść. Kiedy nie przyszła przez godzinę, wstał. Ruszył do wyjścia i ujrzał ją, gdy wchodziła po schodach. Minę miała poważną.

– Co się stało, gdzie byłeś tak długo?

– Ziegler zniknął!

– Jak to zniknął? Uciekł?

– Nie, powiedziano mi, że został przeniesiony.

– Dokąd?

Suzannah pokręciła głową.

– Nikt tego dokładnie nie wie. Lekarz dyżurny jest z innego oddziału, a siostry nie mają o niczym pojęcia.

– Ale ktoś musi coś wiedzieć.

Suzannah wzruszyła ramionami.

– Powiedziano mi, że jest niedziela i nie ma lekarza odpowiedzialnego za oddział. Przeniesiono także Sandersa.

– Coś tu jest nie tak...

– Musimy poczekać do wieczora, aż wróci profesor Paul. W tej chwili nie można się skontaktować z nikim, kto cokolwiek by wiedział.

– Niezłe szambo...

Amerykańska Służba Meteorologiczna, Camp Springs, Maryland

Wayne obudził się tuż po dziesiątej. Bolała go szyja, gdyż pół nocy spędził przed komputerem. Pomasażował sobie kark. Powietrze wypełniało buczenie komputera, przez szparki między żaluzjami przesączało się niewiele światła. Wayne wstał i otworzył okno. Potrzebował świeżego powietrza. Nad domami

unosily się białe chmury, które przesuwały się na wschód. Wayne się przeciągnął. Kiedy rozległ się głośny gong, gwałtownie się odwrócił: zaktywizował się ekran komputera. Program analizujący został zakończony. Maską na ekranie informowała, że od jego rozpoczęcia minęło pięć godzin, dwadzieścia cztery minuty i jednaście sekund.

Wayne z zaciekawieniem usiadł przed komputerem i otworzył plik. Przeglądał analizę strona po stronie. Jego oczy robiły się coraz większe.

Wokół kontynentu północnoamerykańskiego wystąpiło do tej pory czternaście większych huraganów, w tym jeden kategorii pierwszej. Eliaz powstał nad Karaibami i rozplął się nad Kostaryką. Pozostałe powstałe w sezonie twory burzowe były orkanami i huraganami. Podobieństwa między Amy, Cezarem i Fiodorem, które powstały na Karaibach, oraz Bertem, Dave'em i George'em, które narodziły się na Pacyfiku u wybrzeży Meksyku, były uderzające. Każdemu zjawisku towarzyszył orkan na Morzu Baffina. Obie grupy były „trojczkami”, to znaczy występowały w tym samym czasie. Rozkład miejsc, w których je dostrzegano, był identyczny, a każda potrójna grupa zmieściłaby się na terenie nie większym niż obszar Portoryko. Jeszcze bardziej niezwykle było to, że czas, jaki upływał od dostrzeżenia pierwszego i trzeciego z „trojczków” w każdej z grup, nie przekraczał godziny. Tak jakby burze się umówiły, że wystąpią niemal równolegle. Po nałożeniu na siebie map z zaznaczonymi punktami, gdzie pierwszy raz dostrzeżono każdy z huraganów, okazywało się, że w chwili pojawienia się „trojczki” z każdej grupy były rozłożone na szczytach idealnego trójkąta równobocznego. Huraganowy trójkąt...

Wayne przypomniał sobie słowa swojego kolegi Schneidera, który uważał, że doszło do ataku huraganów na Stany Zjednoczone. Ataku zakleszczającego: jeden atakuje na południowym wschodzie, jeden na południowym zachodzie, jeden na północnym wschodzie.

Czyżby przyroda przechodziła do kontrnatarcia? Czyżby układanie się huraganów w trójki było objawami zmiany klimatu i teraz stanie się powszechnym scenariuszem? Czy to możliwe, że burze te zostały wywołane przez jakąś ingerencję z zewnątrz? Przez kosmitów, jakieś mocarstwo, mużułmańskich terrorystów?

Bzdura. Wayne zbył te fantazje machnięciem ręką. Przyczyna mogła być tylko jedna: potęga rozszoszczonej przyrody. Żadne mocarstwo nie dysponowało technologią, za pomocą której dałoby się wytworzyć tak potężne huragany.

We wszystkich tych frontach burzowych pojawiało się dużo fal o niskiej częstotliwości. Mowa była wręcz o zorzy polarnej w pobliżu miejsc, gdzie powstawały. Było to jednak kompletnie niewytłumaczalne – nie zarejestrowano tam ani aktywności słonecznej, ani przelotu komety. Wayne nie miał żadnego pomysłu, jak to wyjaśnić. Bez wątplenia były to najniezwykłejsze twory burzowe, z jakimi spotkał się w swojej karierze. Ich moc wydawała się nieograniczona i łamały przyjęte zasady, obierały nieprzewidywalny kurs, który ciągle się zmieniał, a teren, jaki obejmowały, był jak na tę porę roku gigantyczny. Wayne wolał nie myśleć, jaką wielkość osiągną tegoroczne twory burzowe, kiedy zacznie się typowy dla nich sezon. Coś było w tym wszystkim nie tak, nie umiał jednak określić co. Włączył program pocztowy i wyjął z kieszeni wizytówkę Briana Saint-Claire'a.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

Brian nie chciał czekać do wieczora, namówił więc Suzannah, aby jeszcze raz poszli do szpitala. Zostali krótko odprowadzeni przez młodą kobietę z recepcji.

– Już przecież pani mówiłam, że nie mam pojęcia, gdzie zawieziono obu astronautów. W moim komputerze jest jedynie informacja, że zostali od nas wypisani, a w niedzielę w administracji nie ma nikogo.

– Co robimy? – spytał Brian Suzannah.

– Muszę jeszcze raz spróbować złapać Peggy. Nie odbiera telefonu.

– Prawdopodobnie rozkoszuje się wycieczką – próbował uspokoić ją Brian, ale widział, jak bardzo Suzannah się niepokoi.

– Nie histeryzuję, ale w wiadomościach jest mowa o potężnym huraganie, który właśnie szaleje nad Kubą. Nie uspokoję się, dopóki nie porozmawiam z Peggy i nie upewnię się, że wszystko w porządku.

Brian objął Suzannah ramieniem.

– Statki mają radary, a kiedy szaleje huragan, wpływają do najbliższego portu.

– Mimo to sprawa nie daje mi spokoju.

Wrócili do swoich apartamentów.

Do wieczora Suzannah co godzinę próbowała dodzwonić się do siostry, ale telefon Peggy pozostawał głuchy. Cały czas oglądali w telewizji, na kanale

CNN, wiadomości, w których centrum znajdował się Fiodor. Ani razu nie wspomniano o jakiegokolwiek katastrofie statku, zaginął jedynie samolot kolumbijskiej linii lotniczej. Prawdopodobnie wleciał w burzę u wybrzeży Kuby i spadł do morza.

– Zadzwońię do CNN i zapytam, czy coś wiedzą o jakiejś katastrofie statku na Karaibach – powiedział Brian, gdy pod wieczór Suzannah była już porządnie zdenerwowana.

Po kwadransie Brian wrócił. Niestety, niczego się nie dowiedział. Ponieważ huragan spowodował znaczne stopnia awarie sieci energetycznej i mocno ograniczył przekazy na falach radiowych, informacje z regionu były sprzeczne, a wiadomości spływały skąpym strumykiem.

Około ósmej wieczór Brian i Suzannah udali się do budynku administracji, aby porozmawiać z profesorem Paulem, który miał wrócić w niedzielę wieczorem. Czekali do jedenastej, ale bezskutecznie. Profesor Paul nie wrócił i nikt nie wiedział, gdzie przebywa.

Socorro, Nowy Meksyk

Zastępca szeryfa Lazard siedział za biurkiem, zagipsowaną nogę położył na blacie.

– Agencja Bezpieczeństwa Narodowego u progu mojego domu... – powiedział ze zdumieniem. – Zdawało mi się, że tajne służby zajmują się wyłącznie ważnymi sprawami. Teraz zajmują się nawet wypadkami samochodowymi... Nic dziwnego, że z naszym bezpieczeństwem jest coraz gorzej, jeżeli specjalistów zaprzętają tak banalne sprawy.

– Mam takie dziwne wrażenie, że rząd wybrał sobie moje hrabstwo do prowadzenia w nim swoich gier – mruknął Dwain. – To już trzeci raz, kiedy ktoś wtrąca mi się do roboty. Powoli zaczynam się zastanawiać, po co jestem tu szeryfem.

– Jako grzeczni obywatele musimy się ugiąć przed hierarchią – odparł Lazard. – A NSA podlega bezpośrednio prezydentowi.

– Mój Boże, jeśli już muszą ratować świat, to niech robią to gdzie indziej, a nie w moim hrabstwie! Na dodatek chyba wszyscy jeżdżą czarnymi jeepami cherokee! Byłem prawie przekonany, że mam przed sobą samochód, który widziano w pobliżu chaty Jacka. Ci mieli jednak rejestrację rządową.

– Tablice rejestracyjne można wymieniać.

– Wiem i w dalszym ciągu jestem przekonany, że wojskowi albo nawet

cwaniacy z NSA mają coś wspólnego ze śmiercią starego Indianina, nie mam tylko pojęcia, jak to udowodnić. Nie mogę nawet oficjalnie oznajmić, że facet, którego zwłoki znaleziono przy Coward Trail, nazywał się Allan Mcnish i był poszukiwanym terrorystą IRA, prawdopodobnie internowanym w zakamuflowanym obozie marynarki wojennej w naszej okolicy.

– Sądziłem, że wuj Joe dowiedział się, że...

– Jeżeli zadawał powierzchowne pytania, raczej nie powiedziano mu prawdy – przerwał Dwain swojemu zastępcy. – Miałem nadzieję, że więcej... nie wiem, jak to powiedzieć... bardziej się w to zaangażuje. Dawniej, gdyby chodziło o jakieś samodzielne akcje agencji rządowych, próbowaliby odkryć prawdę na wszelkie możliwe sposoby. Wiesz, jak jest zakochany w konstytucji.

Lazard skinął głową.

– Czasami można by sądzić, że sam ją napisał.

– Jest dla niego ważniejsza nawet od Biblii.

Do pokoju, z kopertą w rękę, weszła Moonlight. Położyła ją przed szeryfem na biurku.

– Co mamy teraz z tym zrobić? – spytała.

– Z czym?

Moonlight wskazała na kopertę.

– Ze zdjęciami z miejsca wypadku. Wywołałam je od razu, jak wróciliśmy.

Lazard sięgnął po kopertę i wyjął zdjęcia. Zaczął je oglądać.

– Nieźle przypakował...

Zadzwoił telefon i Lazard podniósł słuchawkę.

– O wilku mowa – powiedział.

Dwain Hamilton pytająco na niego popatrzył.

– Wuj Joe do ciebie – odparł Lazard. – Chcesz rozmawiać tutaj czy przełączyć do twojego gabinetu?

– Przełącz – zdecydował Dwain.

Poszedł do swojego gabinetu.

– Cześć, wujku Joe.

– Witaj, chłopcze. Słyszałem, że przydarzył się dziś u was poważny wypadek samochodowy.

Dwain kwaśno się uśmiechnął.

– Nie nasza sprawa. Przejęła ją NSA.

– NSA zajmuje się wypadkami samochodowymi?

– Była to ciężarówka wojskowa z tajnym ładunkiem. Na jednym z pojemników naklejony był symbol promieniotwórczości.

– No tak, z pewnością wiedza, co robią – zadudnił ze słuchawki bas senatora Hamiltona. – Dzwonię jednak z innego powodu. Wczoraj wieczorem przeprowadziłem dłuższą rozmowę z człowiekiem z FBI, o którym ci wspominałem. Była bardzo interesująca.

Twój irlandzki przyjaciel Allan Mcnish nie żyje.

Senator zrobił retoryczną pauzę i czekał, aż jego słowa wywrą odpowiednie wrażenie.

– To oczywiste – odparł Dwain.

– Ale nie w sposób, jaki masz na myśli.

Dwain zabębnił palcami o blat biurka.

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

– Terrorysta IRA Allan Mcnish został dwudziestego trzeciego grudnia zeszłego roku zastrzelony wraz z dwoma innymi aktywistami IRA w trakcie operacji angielskiej Secret Service, przeprowadzonej wraz z CIA w Moville, miasteczku znajdującym się na północy Irlandii, na półwyspie Malin Head.

– Nie mówisz poważnie.

– Jak najbardziej, a moje źródło jest stuprocentowo wiarygodne.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ mój informator uczestniczył w tej akcji jako jeden z dowódców.

Dwain zmarszczył czoło.

– Nigdy nie słyszałem ani nie czytałem o takiej akcji, poza tym on się w dalszym ciągu znajduje na liście osób poszukiwanych przez FBI...

– ...gdzie pozostanie do dnia Sądu Ostatecznego – wpadł senator w słowo.

– Akcja była niezwykle delikatna, żeby nie powiedzieć nielegalna, i mogłaby pociągnąć za sobą poważne komplikacje. Dlatego nic się o niej nie mówiło, a zwłoki zostały zatopione na północ od Hebrydów w obciążonych złomem zaszytych workach. Atlantyk ma tam prawie dwa tysiące metrów głębokości.

– Nie rozumiem związku.

– To bardzo proste. Irlandczycy nie zostali poinformowani o akcji, bo gdyby się o niej dowiedzieli, najprawdopodobniej uznałoby ją za poważne naruszenie suwerenności swojego kraju. Rząd brytyjski ma już dość problemów i nie potrzebuje kolejnych.

– Ale jak coś takiego można przeprowadzić?

– Istniały potwierdzone informacje, że Mcnish ze swoimi kompanami chce się w Londonderry spotkać z kimś, kto przygotował akcję w Belfaście. Jakimś

sposobem Mcnish wyczuł zasadzkę, więc wraz ze swoimi ludźmi zszedł z promu i zabarykadował się w chacie pod Moville. CIA miało na pokładzie swojego agenta, który nie spuszczał ludzi IRA z oczu. Mcnisha uważano za odpowiedzialnego za wiele zamachów w Londonderry i Belfaście oraz za zabójstwa ludzi, którzy wycofali się ze współpracy z IRA w Vermoncie i Nevadzie. Secret Service i FBI szukały go od czterech lat. Nie mogli pozwolić mu uciec.

Dwain skinął głową. Brzmiało to logicznie.

– Na ile jest pewne, że chodziło o Mcnisha, a nie o kogoś innego?

– Ci ludzie nie są idiotami – odparł senator. – Przeprowadzono pełną analizę. Pomyłka jest wykluczona.

– Dziękuję za informację – odparł kompletnie zdezorientowany Dwain Hamilton.

– Przykro mi, chłopcze. W ten sposób twoja teoria spiskowa rozsypuje się na kawałki. Już ci przecież mówiłem, że obóz w lesie Cibola to miejsce, w którym szkolą się nasi chłopcy do akcji za granicą. Możliwe, że ktoś chce w nim coś ukryć, w końcu piechota morska to nie pensjonarki, ale można z całą pewnością wykluczyć, że jest tam więzienie dla terrorystów. Zapomnij o Mcnishu i starym Indianinie. Może twój chłopak był jedynie narkomanem, który zabłądził i nie był całkiem przy zdrowych zmysłach. A nawet twoi koledzy twierdzą, że stary Indianin był pijakiem i fantastą. Dałbym tym sprawom spokój na tym etapie. W końcu jesteś szeryfem i musisz dbać o swoją reputację.

Dwain z zadumą popatrzył na słuchawkę.

– Chyba masz rację. Jeszcze raz dziękuję za pomoc – powiedział bezbarwnym tonem.

– Jasne, chłopcze. Wpadnij, gdybym mógł ci jeszcze w czymś pomóc. Może w następną niedzielę? W Lubbock jest rodeo, a wieczorem Betty zrobi swoje sławne gęsie udka.

– Zastanowię się – odparł Dwain, choć był nieobecny duchem. Po głowie krążyły mu różne myśli. Nowe fakty sprawiły, że jego teoria straciła prawo bytu. Odłożył słuchawkę na widełki i opadł na fotel. Zasłonił twarz dłońmi. Zapukano do drzwi.

– Wejść!

Do gabinetu wkuśtykał Lazard. Rzucił na biurko kopertę ze zdjęciami z miejsca wypadku wojskowej ciężarówki.

– I co wiedział stary wyga?

- Allan Mcnish nie żyje – odparł ponuro Dwain Hamilton.
 - O tym wiemy już od dość dawna. Co powiedział nowego?
 - Mcnish zginął ponad rok temu w trakcie akcji Brytyjczyków z udziałem CIA.
 - To bzdura!
 - Z początku też tak sądziłem, ale wuj Joe jest o tym przekonany i daje słowo, że informacja jest rzetelna. W obozie wojskowym musi dziać się coś innego.
 - To znaczy?
- Dwaina spochmurniał.
- Nieważne co, ale się tego dowiemy.

2.

Zatoka Meksykańska

Fiodor znowu skręcił na zachód i w odległości dziewięciuset kilometrów od wybrzeża amerykańskiego wędrował wzdłuż niego po linii zwrotnika Raka, prosto na wschodnie wybrzeże Meksyku. Jego prędkość przesuwu zmniejszyła i można było odnieść wrażenie, że huragan zastanawia się, jakim kursem pójść dalej. Pełził niecałe siedem kilometrów na godzinę.

Mała prędkość przesuwu huraganu kryła w sobie nowe niebezpieczeństwo. W ciągu dnia prędkość rotacji zmniejszyła się do około trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. „Przystanek” nad zachodnią Kubą kosztował huragan nieco siły, ale teraz, w ciepłych wodach zatoki, Fiodor znowu ładował się energią. Wieczorem prędkość rotacji wynosiła już trzysta osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i wzrastała. Huragan znalazł nieograniczony rezerwuar energii. Gorące dni, spowodowane wyżem nad kontynentem, rozgrzały wody zatoki – temperatura wody przekroczyła dwadzieścia siedem stopni. Naprawdę można było odnieść wrażenie, że Fiodor czeka, aż nabierze dość sił, aby wstrząsnąć Ziemią.

Przez ten czas George oddalił się jeszcze bardziej od wybrzeży Kalifornii i wędrował na zachód. Przestał stanowić zagrożenie. Siła Coriolisa ściągała go coraz dalej od brzegu, w chłodniejsze regiony, gdzie wyda ostatnie tchnienie.

Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego, Floryda

– Strasznie nam przykro, ale zniknął bez śladu – powiedział Donald Ringwood i wskazał na stojące w rogu jego gabinetu dwa fotele.

– To przecież niemożliwe! – odparł Brian Saint-Claire. – Nikt, ot tak sobie, nie znika, zwłaszcza ktoś na jego stanowisku. Musiało się coś stać.

Ringwood przysunął fotel obrotowy.

– Mogą mi państwo wierzyć, że próbowano wszystkiego. Sprawdziliśmy w jego mieszkaniu, rozmawialiśmy z rodziną i znajomymi, odpytaliśmy najbliższych przyjaciół, a nawet nawiązaliśmy kontakt ze szpitalami, oddziałami nagłych wypadków i wszystkimi kostnicami na Florydzie. Nikt nie widział profesora Paula, nikt nie wie, gdzie przebywa, i nikt nie może nic na ten temat powiedzieć. Jakby zniknął z powierzchni ziemi. Nie stawiał się nawet w Waszyngtonie na niezwykle ważnym spotkaniu z przedstawicielami różnych krajów, w trakcie którego miano omawiać sprawy budżetu misji ISS, a on miał przedstawić istotne stanowisko NASA. Dyrektor Traverston natychmiast mnie zawiadomił o jego nieobecności. Mieliśmy trzy godziny opóźnienia, na szczęście w dość szerokim zakresie uczestniczyłem w przygotowywaniu przez Jamesa jego referatu, więc mogłem go wygłosić.

– Może miał wypadek, a nie wziął ze sobą dokumentów? – powiedziała Suzannah.

Ringwood skinął głową.

– To jedyne logiczne wyjaśnienie. Jego samochód też zniknął, James nie wyleciał też w piątek z Orlando lotem, na który miał rezerwację.

– Zostawmy zniknięcie profesora Paula – wtrącił się Brian. – Gdzie są obaj astronauty?

Ringwood przeciągnął dłonią po spoconym czole.

– Panie Saint-Claire... – zaczął schrypniętym nagle głosem – był już najwyższy czas podjąć decyzję. Nie jesteśmy sanatorium i nie jesteśmy przygotowani na tego typu przypadki.

Brian chciał się wtrącić, ale Ringwood powstrzymał go gestem dłoni.

– Nie chcę w najmniejszym stopniu pomniejszać państwa zasług, ale dyrektor Traverston przekazał mi kierownictwo programu promu kosmicznego. – Sposób, w jaki to powiedział, wskazywał na to, że jest mu nieswojo. – Jesteśmy pod presją z powodu misji ISS, dlatego wraz z dyrektorem Traverstonem podjęliśmy wczoraj decyzję. Obaj astronauty zostali przeniesieni do sanatorium na wyspie Nantucket. Trzeba to było zrobić szybko, ponieważ zwolniły się tam dwa miejsca, nie mieliśmy więc możliwości poinformować państwa w odpowiednim czasie. Wszystko odbyło się na wariata, ale celem było zarówno dobro obu astronautów, jak i nas wszystkich.

– Ziegler był na najlepszej drodze do...! – zawołała z oburzeniem Suzannah.

– Panno Shane, doskonale o tym wiemy. W pełni doceniamy pani osiągnięcia, a pani ekspertyzę i zalecenia terapeutyczne przekazaliśmy do kliniki. Musimy jednak patrzeć do przodu. Straciliśmy bardzo dużo czasu.

– A Sanders? – spytała Suzannah. – Zgodnie z ustaleniami z profesorem Paulem mieliśmy w tym tygodniu rozpocząć terapię z Sandersem.

Ringwood skinął głową.

– Wiem, ale ani dyrektor Traverston, ani ja nie możemy tego poprzeć.

– Wątpicie w nasze umiejętności?

Ringwood energicznie pokręcił głową.

– Na Boga, skądże, ale ryzyko jest zbyt duże. Proszę przypomnieć sobie incydent z profesorem Buchhornem, który cały czas przebywa w klinice okulistycznej.

– Nie mówi pan poważnie! – wtrącił Brian.

– Muszę uwzględnić nie tylko ten aspekt sprawy – powiedział Donald Ringwood, zmieniając temat. – Jestem osobą odpowiedzialną, muszę także brać pod uwagę nasz budżet. Oczywiście tak samo jak pozostali zostaniecie państwo wynagrodzeni za swoje cenne usługi, ale nie dysponujemy dalszymi środkami. Jako kierownik administracji zawsze podchodziłem krytycznie do powołania tej komisji ekspertów... Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chcę kwestionować państwa kwalifikacji, ale do leczenia tego rodzaju chorób istnieją wyspecjalizowane ośrodki, które pracują w sposób znacznie bardziej ekonomiczny.

Brian wykrzywił usta w parodii uśmiechu.

– Rozumiem. Padliśmy ofiarami wolnego rynku.

Suzannah kipiała ze złości.

– Moim zdaniem wygląda to inaczej: murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść. Nie podoba się, to kopa w tyłek.

Ringwood uspokajająco uniósł dłonie.

– Błędnie interpretuje pani motywy, które kazały mi podjąć taką decyzję.

Brian wstał.

– Chodź, Suzannah! Schodzimy z ringu.

Bez słowa opuścili gabinet Ringwooda znajdujący się na najwyższym piętrze budynku administracji.

– Zostawiliśmy w państwa apartamentach bilety na jutro! – zawołał za nimi Ringwood.

Suzannah pędziła korytarzem, jakby diabeł ją gonił. Brian z trudem za nią nadążał.

– Co za idiota! Moglibyśmy pomóc Sandersowi, a on myśli tylko o budzecie!

– Ringwood to dupowłaz. Myśli tylko o liczbach.

– Nie zostanę tu ani dnia dłużej! – zawołała Suzannah i zaczęła zbiegać schodami. – Gdyby tylko Peggy się zgłosiła...

Całe popołudnie poprzedniego dnia Suzannah bezskutecznie próbowała skontaktować się z siostrą. Zadzwoiła nawet do kapitanatu w Miami, zgłosiła się tam jednak tylko automatyczna sekretarka. W oficjalnych agencjach: straży wybrzeża, Krajowym Centrum Huraganów, służbie ochrony wybrzeża w Portoryko nikt nic nie wiedział o miejscu pobytu „Caribbean Queen”. Wszędzie panował totalny chaos.

Minionej nocy oboje nie zmrużyli oka. Wiadomości o huraganie, które niemal bez przerwy leciały w telewizji na wszelkich możliwych kanałach, wprowadziły Suzannah w stan głębokiego przygnębienia. Mowa była o wielkiej fali powodziowej. W południowo-wschodnie wybrzeże Kuby uderzyło potężne tsunami i spowodowało duże zniszczenia w Santiago de Cuba. Pół miasta stało pod wodą. Mowa była o licznych zabitych i rannych, także o statkach trafionych i uszkodzonych u wybrzeży Kuby przez monstrualną falę. Niektóre z nich doznały tak poważnych uszkodzeń, że zatoneły.

Brian siedział z Suzannah i próbował ją uspokajać, ale zaniepokojenie Suzannah z każdą godziną rosło. Kiedy chciał iść do siebie, poprosiła go, aby został, co oczywiście zrobił.

– Jadę do Miami – powiedziała Suzannah zdecydowanie, kiedy dotarli do jej apartamentu. – Nie zamierzam siedzieć beczynn timer, nawet jeśli wszyscy powołują się na chaos, jaki spowodował huragan. Chcę wiedzieć, co się stało z Peggy, dziećmi i mamą.

Brian skinął głową.

– Spakuję się. Będę u ciebie za pół godziny.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Socorro, Nowy Meksyk

Dwain kartkował żółty segregator. Przekszesnane dokumenty było opatrzone pieczęcią służbową Królewskiej Policji Konnej z Fort Simpson, znajdującego

się na skraju północno-wschodniego terytorium Kanady.

Chodziło o zgłoszenie zaginięcia Roberta Allana McNisha, urodzonego siedemnastego października 1975 w Battleford w Kanadzie. Zaginął siedemnastego października 1998 roku, po opuszczeniu obozu Inuitów pod Inuvik przy ujściu rzeki Mackenzie. Jako zaginionego zgłosił go obywatel amerykański Fred Jankers, zamieszkały w Seattle. Podobno McNish wpadł do rzeki w trakcie wycieczki po rzece Mackenzie i nie wypłynął. Ponieważ nie znaleziono zwłok, był ciągle uważany za zaginionego. Na dole raportu napisane było jednak: **PODEJRZEWANA ŚMIERĆ W WYNIKU WYPADKU!**

– Dość to naciągane – doszedł do wniosku Dave Lazard i wyjrzał przez okno. – Kanadyjczyk, który wpada na Alasce do rzeki i pięć lat później pojawia się jako trup na parkingu w hrabstwie Socorro. Dość naciągane, nie sądzisz?

– Ale to wszystko, co mamy – odparł Dwain. – Kto wie, czy nie ma to jakiegoś związku? Może chodzi tu o wyłudzenie ubezpieczenia albo ucieczkę z poprzedniego życia?

Lazard się odwrócił.

– To znaczy, że poważnie masz zamiar iść tym tropem, nawet jeśli wydaje się bez sensu?

– W moim hrabstwie miesiąc temu zmarł człowiek, który w dalszym ciągu nie ma nazwiska na nagrobku. Wygląda na to, że nikomu to nie przeszkadza. Ani Howardowi z policji stanowej, ani prokuratorowi, ani zarządowi cmentarza w Albuquerque. Jediną osobą, która chciała, aby zmarły dostał się do poświęconej ziemi i mógł odnaleźć drogę do swojego Boga, był stary, zdziwaczały Indianin mieszkający w chacie w lesie. Dwa tygodnie później ten właśnie Indianin ginie w tajemniczym pożarze. Kiedy to się stało, w pobliżu znajdował się czarny jeep cherokee. Tajemnicza baza wojskowa barykaduje się przed niepożądanymi gośćmi, jakby były w niej zdeponowane krajowe rezerwy złota, a po moim hrabstwie pęta się NSA i robi, co jej się żywnie podoba. To śmierdzi pod niebiosa. Wezmę urlop i sprawdzę, jak daleko zajdę. Może do Alaski. Zawsze chciałem tam pojechać.

– W takim razie najpierw wyruszyłbym do Seattle – odparł Dave Lazard. – Jankers prowadzi tam małą kancelarię prawniczą.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłem w komputerze.

Dwain się uśmiechnął.

– Skąd wiedziałeś, że pojedę?

Lazard klepnął się w zagipsowaną nogę.

- Gdyby nie to, pojechałbym z tobą.
- Nie, zostaniesz tu i będziesz pilnował Toma. Wydaje mi się, że powoli próbuje się przymierzać do emerytury.
- Będę miał na niego oko – odparł Lazard z uśmiechem.

Krajowe Centrum Huraganów, Miami

Telefony w pomieszczeniu kontrolnym centrum huraganów nie milkły całą noc. Przedstawiciele rządu, wydziały ochrony przed katastrofami w hrabstwach, prasa, straż wybrzeża i wojsko – wszyscy chcieli wiedzieć, jaki kurs obrał Fiodor. Aby obsłużyć potop zapytań, pracownicy centrum musieli pracować w nadgodzinach.

Huragan w dalszym ciągu niemal stał w Zatoce Meksykańskiej i ładował się energią. Wędrował na północny zachód z prędkością czterech kilometrów na godzinę. Pozostawał w niemal niezmienionej odległości od wybrzeża, ale jego energia stale rosła. W jego wnętrzu mierzono prędkość wiatru, która dochodziła niemal do czterystu dwudziestu kilometrów na godzinę, a ciśnienie powietrza jeszcze spadło. Zarejestrowano wartość ośmiuset pięćdziesięciu siedmiu hektopaskali. Fiodor stał się bestią zdolną pożreć wszystko, ale jeszcze nie zdecydowaną, które miejsce wybrzeża zaatakować. Nikt nie miał pojęcia, jakim kursem ruszy i gdzie znajdzie się za kilka kilometrów.

Wysokie wiatry przeniosły się jeszcze bardziej na północ. Większość meteorologów i naukowców była obecnie zgodna, że gigantyczny huragan skręci na północ i pchany przez wiatry na dużych wysokościach dotrze do wybrzeża gdzieś między Mobile a Tallahassee. Na całym południowym wybrzeżu ogłoszono drugi stopień alarmowy. Z wyliczonego przez komputery kursu, który uwzględniał oko huraganu o średnicy stu kilometrów, wynikało, że trafi w ład gdzieś na wysokości Pensacoli, a huragan spowoduje powódzie aż do Mobile, może nawet do Nowego Orleanu. Szczególnych działań zabezpieczających wymagał leżący w depresji Nowy Orlean. Od wczesnego rana buldożery wzmacniały wały przeciwpowodziowe Missisipi, jeziora Salvador i jeziora Pontchartrain.

– Zaczyna przyspieszać! – zawołał meteorolog siedzący przy pulpicie kontrolnym. – Nabiera prędkości! Siedem kilometrów, tendencja rosnąca. Kurs północno-północny zachodni! Idzie po linii przy osiemdziesiątym siódmym stopniu na północ.

W pomieszczeniu kontrolnym zapanowała gorączkowa atmosfera. Wszyscy wbili wzrok w monitory. Oficer dyżurny sięgnął po słuchawkę czerwonego telefonu. Nadszedł czas na ogłoszenie pierwszego stopnia alarmowego.

Fiodor był wielki jak jeszcze żaden huragan w przeszłości, jaki uderzył w południowe wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Oficer dyżurny polecał całkowitą ewakuację wybrzeża do trzydziestu kilometrów w głąb lądu, przy czym nie było pewności, że dalej będzie bezpiecznie.

Wywiad wojskowy, Waszyngton

– Był pan najwyższej rangi oficerem, pan ponosił odpowiedzialność, jak mogło do czegoś takiego dojść?! – wrzeszczał blondyn z wywiadu wojskowego do przestraszonego i wycieńczonego mężczyzny w podkoszulku w biało-niebieskie paski.

Starszy mężczyzna w garniturze siedział milcząco w kącie i obserwował, co się dzieje.

Anatol Karmow wpatrywał się z niepewnością w podłogę.

– Mów wreszcie! – wywrzeszczał blondyn.

– Nazywam się Anatol Karmow, jestem porucznikiem marynarki, stacjonuję na okręcie podwodnym „Tichonow”, mój numer identyfikacyjny to trzysta czterdzieści pięć, pięćset czterdzieści jeden, osiemset sześćdziesiąt trzy, dwieście czterdzieści cztery, pięćset siedemdziesiąt sześć C.

Słowa Karmowa zabrzmiały pusto i nieprawdziwie.

Wykafelkowany na biało pokój przesłuchań w piwnicy siedziby wywiadu wojskowego emanował takim chłodem, że ramiona Karmowa pokryły się gęsią skórką. Mały stolik, dwa krzesła i ławka w kącie, na której usiadł mężczyzna w szarym garniturze. Obok umywała.

– Czego szukaliście na Morzu Sargassowym?

– Nazywam się Anatol Karmow, jestem porucznikiem marynarki, stacjonuję na okręcie podwodnym „Tichonow”, mój numer identyfikacyjny to trzysta czterdzieści pięć, pięćset czterdzieści jeden, osiemset sześćdziesiąt trzy, dwieście czterdzieści cztery, pięćset siedemdziesiąt sześć C.

Słowa były wyuczone na pamięć. Więcej nie wolno było powiedzieć oficerowi armii rosyjskiej – choć najchętniej wykrzyczałby głośno opowieść o tym, co przeżył.

– Zaraz rozwalę ci mordę na papkę, ty świnió! – warknął blondyn.

– Nazywam się Anatol Karmo w, jestem porucznikiem marynarki, stacjonuję na okręcie podwodnym „Tichonow”, mój numer identyfikacyjny to trzysta czterdzieści pięć, pięćset czterdzieści jeden, osiemset sześćdziesiąt trzy, dwieście czterdzieści cztery, pięćset siedemdziesiąt sześć C. Powołuję się na konwencję genewską.

– Zaraz ci pokażę, gdzie mam tę twoją konwencję genewską!

Blondyn stanął przed Rosjaninem i zamachnął się. Karmow się skulił.

– Bob... starczy! – rozległ się karcący głos mężczyzny w garniturze. – Zostaw nas samych.

– Ale...

– Chcę z nim porozmawiać w cztery oczy.

– Ja tu dowodzę! – odparł Bob.

– Proszę cię... nie widzisz, że jest wykończony?

Bob chwilę się zastanowił.

– Dziesięć minut i ani chwili więcej – powiedział i wyszedł przez małe stalowe drzwi, które zatrzasnęły się z głośnym hukiem.

Mężczyzna w garniturze wstał, podszedł do umywalki i nalał wody do papierowego kubka. Podszedł wolnym krokiem do Karmowa i podał mu kubek. Rosyjski oficer popatrzył na niego z wdzięcznością. Wypił wodę jednym haustem.

– Jeszcze?

Karmow skinął głową.

Mężczyzna znowu napełnił kubek.

– Nienawidzę tej roboty. Jeszcze trzy miesiące i kończę. Przeprowadzę się wtedy do Newark i zacznę hodować pomidory. Cieszę się, że zimna wojna już minęła.

Karmow opróżnił drugi kubek.

– Tacy młodzi gniewni jak Bob uważają, że jedynym sposobem na zrobienie postępów jest przemoc. Świat coraz bardziej się stacza.

Karmow obserwował starszego pana w garniturze. Było coś łagodnego w kształcie jego warg, oczy miał błękitne i szczerze, a siwe, rzadkie włosy układały się wokół jego głowy jak wianuszek.

– Chłopcze, wiem, co przeszedłeś. To musiało być straszne. Chciałbyś o tym opowiedzieć?

Karmow nawet nie drgnął.

– Nie chcę wiedzieć niczego o twoim okręcie ani misji, jaką wypełnialiście, interesuje mnie jedynie, jak mogło do czegoś takiego dojść.

Kiedy spojrzenie starego trafiło go jak ukłucie, Karmow spojrzął w bok.

– Chłopie, ulżyj sobie! To nie są tajemnice. Kilku z waszej załogi już to i owo opowiedziało. Widzieliśmy zwłoki. Interesuje mnie tylko jedno: dlaczego marynarz zaczął zabijać swoich towarzyszy?

– Ukradł broń – odparł cicho Karmow. Choć miał wyraźny akcent, jego angielski był poprawny.

– Dlaczego?

Karmow się wahał.

– Doszło do kłótni wśród załogi?

– Na okręt spadło przekleństwo. Kiedy wpłynęliśmy na Morze Sargassowe, wszyscy powariowali. Całkiem nagle. Niektórzy stali się agresywni, inni milczeli, jeszcze inni strasznie się bali. Nie umiem tego wyjaśnić.

– Są w Stanach ludzie, którzy twierdzą, że na Morzu Sargassowym straszą kosmici – odparł mężczyzna w garniturze. – To oczywiście kompletna bzdura, ale plotki krążą mimo to.

Karmow podniósł głowę.

– Kilku kolegów uważało, że coś jest w morzu, coś niesamowitego, co nas obserwuje.

Starszy pan zmarszczył czoło.

– Co masz na myśli?

– Nie umiem wyjaśnić, ale to zaciska gardło i sprawia, że serce pędzi jak szalone. Aleksiej też to wyczuł. Bardziej niż inni. Milczał, ale potem złapał broń i zaczął strzelać. To był jeden wielki koszmar.

– Chciał, żebyście się wynurzyli?

– Niczego nie chciał, nawet z nami nie porozmawiał. Wziął broń, przeładował i pociągnął za spust. Miałem wrażenie, że nie był sobą. Był całkiem przemieniony.

Mężczyzna w garniturze wzruszył ramionami.

– Jak zdalnie sterowany?

Karmow skinął głową.

– Jak zdalnie sterowany... – powtórzył z zadumą.

3.

Amerykańska Służba Meteorologiczna, Camp Springs, Maryland

Wayne Chang był tak skupiony na tym, co robi, że zapomniał o bożym świecie. Zapomniał o głodzie i prawie zapomniał zadzwonić do Jennifer, żeby zaprosić ją na następny weekend do Waszyngtonu. Rozmawiali bardzo krótko, bo także Jennifer miała mało czasu. Była właśnie w drodze na wybrzeże, gdzie ludzie, którzy uciekli przed huraganem nad Zatoką Meksykańską, powoli wracali do domów i mieszkań. Wszędzie panował chaos, ulice były zapchane i wyglądało na to, że jeszcze minie trochę czasu, zanim na południowo-zachodnie wybrzeże Florydy wróci normalność. Kiedy spytała Wayne'a, czy potrafi dokładnie przewidzieć, w którym miejscu Fiodor uderzy w amerykańskie wybrzeże, musiał zaprzeczyć.

– A sądziłam, że każdy w służbie meteorologicznej przygląda się tylko temu gigantowi – powiedziała, kiedy zdradził jej, że od poprzedniego dnia jest pochłonięty pracą i całkiem stracił Fiodora z oczu. Opisał krótko, na jakie anomalie natknął się przy analizie niewyjaśnionej zorzy polarnej, którą zaobserwowano na Morzu Karaibskim. Najwyraźniej doszło w jonosferze do podwyższenia się poziomu promieniowania. Elektrony, protony i cząstki alfa wprawiły molekuly powietrza w drgania – ale dłaczego doszło do tych anomalii w środkowych warstwach atmosfery, tego nikt nie umiał wyjaśnić.

– Porozmawiamy o tym w sobotę – rzuciła w końcu Jennifer i pożegnała się.

Wayne znowu skoncentrował się na pracy. Ciągle nie miał wyjaśnienia, co spowodowało niezwykle promieniowanie w atmosferze, jeśli jednak można było wierzyć temu, co zarejestrowały instrumenty, to mniej więcej osiemdziesiąt

kilometrów nad powierzchnią Ziemi zanosilo się na kolejną katastrofę, która niekorzystnie wpłynie na panujące tam warunki elektromagnetyczne, a przez to na promieniowanie cieplne, właściwości absorpcyjne atmosfery i naturalny efekt cieplarniany. Udział promieniowania nadfioletowego oraz podczerwonego na skraju stref powstawania zjawisk burzowych znajdował się poza zakresem normalnym. Wyglądało to tak, jakby troposfera na rogach huraganowego trójkąta przepuszczała szczególnie wysokie dawki promieniowania cieplnego.

Akurat teraz nie dysponowano jednak danymi z czterech satelitów ESA, za pomocą których udało się rozwiązać zagadkę „czarnej zorzy polarnej”, jaka pojawiła się czternastego stycznia 2001 roku nad Arktyką, i które były niezbędne do bliższego opisanie stwierdzonej anomalii. Powód? W centrum obliczeniowym ESA w Darmstademie zepsuł się serwer i unieruchomiony został program analityczny.

Klnąc, Wayne rzucił długopis na biurko. Nienawidził sytuacji, kiedy awarie techniczne powodowały przestoje – zwłaszcza gdy ogarnęła go gorączka polowania. Wściekało go to i psuło mu humor. Taka była jednak cena istnienia połączonego świata bitów i bajtów.

Wayne wstał, podszedł do okna, odsunął zasłonę na bok i wyjrzał na zewnątrz. Świtało. Dopiero teraz poczuł głód. Od dwunastu godzin siedział w maleńkim gabinecie przed monitorem komputera i nie miał w ustach nic poza pączkiem, mocną kawą i wodą. Bolała go głowa i piekły oczy.

Sięgnął po telefon i wykręcił numer Schneidera. Może był przypadkiem w budynku i zechce coś z nim zjeść. Niedaleko znajdowała się restauracyjka, która nastawiła się na obsługę stale niecierpliwych i zestresowanych meteorologów i oferowała szybkie dania – sycące, a zarazem smaczne.

Potrwało dłuższą chwilę, zanim po drugiej stronie podniesiono słuchawkę.

– Tak?

– Vargas, to ty?

– A kto?

– Jest dziś Schneider?

– Schneider? Nie, Schneider poleciał do Baton Rouge. Już wczoraj. Chce obejrzeć Fiodora z bliska.

– Do Baton Rouge, mówisz? Kiedy wróci?

– Jest z Normanem. Nie mam pojęcia, kiedy wróci. Lotnicy pracują całą dobę na okrągło. Zaraz się zacznie, sztorm idzie na wybrzeże.

– Fiodor?

– Przypieszyl. Do srody będzie na miejscu. Trafi w wybrzeże prawdopodobnie w okolicy Pensacoli. Pierwszy stopień alarmowy, rozumiesz? Nie czytasz e-maili? Od wielu godzin wszystkie stacje nie mówią o niczym innym.

Wayne zmełł przekleństwo. Oczywiście – huragan. Prawie o nim zapomniął.

Biuro Podróży Stone, Miami, Floryda

Suzannah i Brian bez dłuższego zastanowienia zarezerwowali sobie lot na następny dzień. Suzannah bez przerwy próbowała dodzwonić się do siostry, ale bezskutecznie. Tak samo nic nie dawały telefony do oficjalnych instancji i organizatora wycieczki – Biura Podróży Stone znajdującego się na południu Miami. Jego pracownicy mogli jedynie przekazać niesprawdzone wiadomości. We wtorek avrojet wystartował punktualnie o dziewiątej rano z Orlando, nad międzynarodowym lotniskiem w Miami złapali jednak godzinne opóźnienie, ponieważ musieli czekać, aż zwolni się jakiś pas do lądowania. Na lotnisku panował chaos. Hale zapełniały rzesze ludzi. Ciągłe jeszcze z głębi łądu wracali ludzie, którzy uciekli z wybrzeża przed groźbą huraganu.

Zdobycie taksówki było prawie niewykonalnym zadaniem. Brian i Suzannah wykorzystali czas oczekiwania i zjedli w lotniskowej restauracji drugie śniadanie, po czym Brian znowu udał się na poszukiwania jakiegoś środka transportu. Zanim jego wysiłki zakończyły się sukcesem, dochodziło południe. Pojechali taksówką do południowego Miami, na Trzecią Ulicę, gdzie na siódmym piętrze długiego szklanego pałacu mieściła się siedziba Biura Podróży Stone. Zaskakująco szybko dotarli do kogo trzeba.

Wjechali windą na siódme piętro, gdzie za szklanymi drzwiami przyjęła ich ciemnowłosa, jaskrawo umalowana kobieta w czerwonym kostiumie, na którym naszyte było logo firmy z dumnym napisem: WSZĘDZIE NA ŚWIECIE JESTEŚMY NUMEREM JEDEN.

– Dzień dobry, czym mogę państwu służyć? – zapytała sympatyczna pracownica firmy.

– Nazywam się Suzannah Shane i od kilku dni próbuję skontaktować się z siostrą. Wykupiła u państwa rejs „Carribbean Queen”.

Uśmiech recepcjonistki zamarł.

– Przykro mi, ale nie mamy w tej chwili żadnych bliższych informacji.
– A kto mógłby mi pomóc?
– Z powodu huraganu komunikacja z Kubą i wschodnimi wyspami Karaibów jest znacznie zakłócona. Doszło tam do gigantycznych powodzi. Od kilku dni nie ma prądu, nie działają telefony.

– A radio? – spytał Brian.

Kobieta się zastanowiła.

– Proszę pani – powiedział Brian. – Przebyliśmy długą drogę. Jeśli się do was dzwoni, zgłasza się automatyczna sekretarka, a jeżeli przypadkiem ktoś odbierze, dostajemy wymijającą odpowiedź. Nie zamierzamy odpuścić. Wiemy o huraganie i o tym, że kilka statków zostało uszkodzonych przez olbrzymią falę, a parę nawet zatonięło. Co się stało z „Caribbean Queen”?

Kobieta robiła się coraz bardziej niepewna.

– Nie odejdzimy stąd, dopóki ktoś nam nie powie, co się stało ze statkiem – dodała Suzannah.

– Proszę sekundę poczekać – odparła i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Dziesięć minut później Brian i Suzannah siedzieli w gabinecie zastępcy dyrektora. Stojąca na jego biurku tabliczka informowała, że nazywa się Samuel L. Oppermann. Sytuacja najwyraźniej go przerastała.

– Kawy, herbaty czy wody? – zapytał, próbując zamaskować brak pewności siebie.

– Wystarczą nam odpowiedzi – rzucił Brian.

– Mamy z tym pewien problem – przyznał Oppermann. – Brak szczegółowych informacji. Huragan wywołał chaos.

– Ale na pewno wiecie, co stało się z wynajętym przez was statkiem.

Serce Suzannah waliło jak oszalałe. Wyglądało na to, że także organizator wycieczki nic nie wie, sama zaś obawiała się najgorszego.

– Nie wiemy zbyt wiele – powiedział Oppermann. – Nie wiemy nic o pasażerach. W końcu na pokładzie znajdowało się sześćset osób. Nie licząc załogi.

– W takim razie proszę nam powiedzieć to, co pan wie, i nie wystawiać naszych nerwów na próbę.

Oppermann stał pot z czoła. Lekko skinął głową.

– Minionej soboty w „Caribbean Queen” uderzyła fala wysokości mniej więcej trzydziestu metrów – powiedział łamiącym się głosem. – Statek został uszkodzony. Wiele osób zostało rannych, w tym część ciężko. Są zaginionieni.

„Caribbean Queen” wpłynął do portu w Santiago de Cuba i od tamtej pory nie otrzymaliśmy żadnych dalszych informacji. Staramy się, ale fala wyrządziła w Santiago poważne szkody i unieruchomiła systemy komunikacyjne.

Suzannah zasłoniła oczy dłońmi.

Brian położył jej dłoń na ramieniu.

– Zakładam, że ktoś z państwa firmy wyruszył do Santiago, żeby sprawdzić na miejscu, co się stało.

Oppermann skinął głową.

– Posłaliśmy tam cały zespół, ale lot został przekierowany do Hawany. Nasi ludzie utknęli w Holguin. Zepsuł im się samochód, na dodatek wojsko zamknęło drogi. Nawet dziennikarze nie mogą przedostać się do Santiago. Twierdzi się, że to zbyt niebezpieczne.

– Nie żyją... – chlipnęła Suzannah.

Brian przyciągnął ją do siebie i objął.

– Nie wiadomo.

– Słyszysz przecież, że zaginęli. Dlatego nie mogą się do niej dodzwonić... oni nie żyją...

Brian ponuro popatrzył na Oppermanna.

– Jeśli pan coś ukrywa, to mnie pan popamięta.

Oppermann obronnie podniósł dłoń.

– Powiedziałem wszystko, co wiem. Nawet rząd jest bezradny. Fidel Castro ogłosił dla regionu wokół Santiago stan wyjątkowy. Nie rozgłaszamy tego, ponieważ nasza dykcja jednogłośnie postanowiła nie ogłaszać szczegółów, dopóki nie są znane nazwiska ofiar i poszkodowanych.

Brian wstał.

– Chodź, Suzannah! Mamy przed sobą daleką drogę.

– Jak zamierzacie ominąć blokady? – spytał zdumiony Oppermann.

– Coś wymyślimy – odparł Brian.

Amerykańska Służba Meteorologiczna, Camp Springs, Maryland

Program analityczny pracował po raz trzeci i po raz trzeci potwierdził zarejestrowane dane. Wayne Chang z oczekiwaniem patrzył na kolumny cyfr na ekranie. Stwierdził występowanie w trzech punktach jonosfery anomalii termicznej, na dodatek przechodzącej przez wszystkie warstwy. Nie była widoczna

od razu i prawdopodobnie nie stanowiła szczególnego problemu – w końcu jonosfera to nie twór statyczny, nie beton, a warstwa o dużej płynności, która stale zmienia swoje oblicze. Jest to pas obojętnych elektrycznie atomów, które w wyniku promieniowania słonecznego tworzą jony i elektrony. Wyróżnia się w niej kilka zasadniczych warstw, a każda ma różne właściwości. Jedną z nich – tak zwaną warstwą F – istniała zawsze i była stabilna.

Warstwa ta chroni powierzchnię Ziemi przed promieniowaniem słonecznym, odbijając jego część z powrotem w kosmos. Właśnie ta właściwość sprawia, że jonosfera ma tak duże znaczenie dla naszej planety. W ostatnim czasie francuscy badacze stwierdzili, że elektromagnetyczne turbulencje wewnątrz jonosfery pozwalają wnioskować o aktywności tektonicznej na Ziemi. Wyniki były jeszcze dość kontrowersyjne, ale wkrótce miał je zacząć dokładnie badać satelita francuskiej agencji kosmicznej.

Odkrycie Wayne'a Changa, które właśnie po raz trzeci zweryfikował, nie było aż tak dramatyczne. Było dość proste: u szczytów zlokalizowanego przez niego trójkąta huraganów temperatura odbiega o trzy do sześciu procent od notowanej przez ostatnie lata średniej statystycznej.

– Odchylenie przechodzi przez wszystkie warstwy, ale zaczynając od warstwy D, im wyżej, tym bardziej rośnie – wymamrotał pod nosem Wayne Chang, porównując dane zebrane przez satelitę. – Tak jakby te miejsca były rozgrzewane od strony powierzchni Ziemi...

Włączył drukarkę i czekał, aż długi pas papieru się zatrzyma. Wydruk miał prawie dwa metry. Informacje zawierały przede wszystkim dane o pozycjach, strukturze prądów elektromagnetycznych i temperaturze. Dla niefachowca były to nic niemówiące kolumny cyferek, ale Wayne Chang dokładnie wiedział, jakie znaczenie ma każda z nich. Otworzył plik z danymi zeszłorocznymi i też je wydrukował. Taśma papieru była niewiele krótsza. Potem usiadł za biurkiem, wziął do ręki flamaster i zaczął analizować poszczególne kolumny danych. Wszędzie, gdzie stwierdził coś niezwykłego, robił znaki. Miał przed sobą gigantyczną pracę. Od czasu do czasu przecierał dłonią oczy, niewiele to jednak dawało. Godziny pędziły jak szalone. Kiedy skończył, porównał zaznaczone na zielono pola z rejestracją ostatnio występujących huraganów. Zmarszczył czoło. Co to miało znaczyć?

– Niemożliwe... – wymamrotał zdumiony i lekko przerażony, kiedy po raz drugi przeanalizował zapiski. Włączył pocztę elektroniczną. Brian Saint-Claire

musiał się natychmiast dowiedzieć, jaką lawinę wywołał swoją hipotezą. Szkoda, że Schneider był w Baton Rouge, a Cliff Sebastian w Waszyngtonie.

Seattle, Waszyngton

W cieniu Washington State Convention i Trade Center stał biurowiec. Jego szyby błyszczały czerwono w popołudniowym słońcu. Na jednej ze złotych tablic informacyjnych w holu znajdował się napis: KANCELARIA PRAWNA YOUNG, MELBOURS I JANKERS.

Dwain wreszcie znalazł to, czego szukał od godziny. Wrócił do taksówki i zapłacił za kurs. Kierowcę tak bardzo musiał ucieszyć wysoki napiwek, że ruszył z piskiem opon.

Z wiszącego obok windy planu wynikało, że kancelaria znajduje się na dziewiątym piętrze. Wyposażenie budynku było luksusowe – marmur na podłogach i ścianach, puszyste dywany w holu i na korytarzach, na ścianach nowoczesne obrazy, a w kątach rzeźby. Lazard musiał się pomylić. To nie mogła być mała kancelaria. Każdy, kto mógł sobie pozwolić na taki wystrój, był człowiekiem sukcesu. Dwain wcisnął przycisk windy. Obok niego stała kobieta w czerwonej garsonce i z wyższością go lustrowała. Dwain miał na sobie dżin-sy, kowbojki i ciemną kraciatą koszulę z krótkim rękawem. Czarny kowbojski kapelusz na jego głowie sprawiał, że wyglądał jak zagubiony bohater westernu z zamierzchłych czasów. Jego wygląd tak bardzo wydał się kobiecie podejrzany, że zaczęła na następną windę. Niech jej będzie, pomyślał Dwain. Po cichu miał nadzieję, że pozostałe pięć wind utknie na dłużej na wyższych piętrach i kobieta bardzo długo sobie poczeka.

Kiedy wysiadł na dziewiątym piętrze, stanął przed szklanymi drzwiami, przez które wchodziło się do kancelarii. Przyjęła go młoda, ładna recepcjonistka z pozwijanymi w loki blond włosami. Kiedy podał nazwisko, popatrzyła na zegarek.

– Jest pan tym szeryfem z Nowego Meksyku! Pan Jankers już na pana czeka.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Dwain i poszedł za recepcjonistką.

Ogromny i luksusowo urządzony gabinet był pusty, adwokat rozmawiał przez telefon w pokoju obok. Kobieta poprosiła Dwaina, aby zaczekał.

Za oknami rozciągał się Pacyfik. Dwain podszedł do okna i zaczął obserwować żaglówki.

– Dziś są regaty uniwersyteckie – rozległ się po chwili głos za jego plecami.

Dwain się odwrócił. Nie usłyszał, że ktoś wszedł.

– Fred Jankers – przedstawił się mężczyzna i wyciągnął rękę. – Co, na Boga, może chcieć ode mnie szeryf z Nowego Meksyku?

Zaferował Wayne'owi fotel przed swoim biurkiem i sam też usiadł.

Dwain był nieco zdezorientowany, wyobrażał sobie bowiem Freda Jankersa jako człowieka znacznie młodszego, a miał przed sobą kogoś w wieku mniej więcej pięćdziesięciu pięciu lat, w eleganckim garniturze szytym bez wątpienia na miarę.

– Chodzi o pewną bardzo starą sprawę – zaczął ostrożnie Dwain.

– Kiedy pana zastępca powiedział o śledztwie, tak sobie pomyślałem, ale co mam wspólnego z Nowym Meksykiem? – Adwokat się uśmiechnął.

– Zna pan Allana Mcnisha?

Uśmiech zamarł adwokatowi na ustach.

– Więc to o tę starą historię chodzi... naprawdę smutna sprawa.

Dwain sięgnął i wyjął z kieszeni zdjęcie, które podał adwokatowi. Fred Jankers przez chwilę się przyglądał, po czym odłożył zdjęcie na biurko.

– Było to przed sześciu laty. Byłem wtedy drobnym adwokatem i reprezentowałem wspólnotę interesów, która pozwała Alaska Oil Company. Rurociąg tej firmy przechodził przez teren, na którym mieszkało plemię Eskimosów. Rurociąg był nieszczelny, ale firma nic z tym nie robiła. W trakcie wizji lokalnej wydarzyło się nieszczęście. Na progu wodnym na rzece Mcnish wypadł z kajaka i wpadł do lodowatej wody. Szukaliśmy go: ja, kilku Eskimosów i naczelnik wioski przez wiele godzin, ale kiedy zapadł zmierzch, przerwaliśmy poszukiwania. Zawiadomiłem miejscową policję. O ile wiem, nigdy nie odnaleziono jego ciała.

– Wie pan, co robił w okolicy?

Jankers machnął dłonią.

– Widziałem tego młodego człowieka bardzo krótko. Był... jak to powiedzieć... oszołomem. Zrobił na mnie wrażenie outsidera. Żył u Eskimosów w wiosce, na szyi miał masę amuletów i zwierzęcych kości i podobno umiał rozmawiać z bogami. W ciągu dwóch dni, kiedy mieliśmy ze sobą do czynienia,

staralem się trzymać od niego z daleka. Napawał mnie lękiem. Poza tym moim zdaniem ćpał.

Dwain wskazał na zdjęcie.

– Rozpoznaje go pan?

– Bierze mnie pan pod włos? On musi już od dawna nie żyć. Szukaliśmy go całe popołudnie. Woda w rzece nie miała dziesięciu stopni.

– Mógłby to być on?

Jankers wziął zdjęcie do ręki.

– Oczy się zgadzają, także kształt twarzy, ale Mcnish był szczuplejszy, kości policzkowe lekko mu wystawały. Minęło już sporo czasu, ale tak, to mógłby być on. Ale jak już mówiłem, utonął tamtego dnia.

Dwain skinął głową.

– Więcej nic pan o nim nie wie? Gdzie przedtem mieszkał, czy miał rodzinę i tak dalej?

– Jak mówiłem, cieszyłem się, jeśli nie było go w pobliżu. Już sama praca była wystarczająco ciężka. Alaska Oil to gigant, którego się, ot tak sobie, nie pozywa. A jeśli już się to robi, to niepotrzebny jest człowiekowi taki mądrała jak on.

– Co ma pan na myśli?

– Pierwszego dnia, zaraz po tym, jak się pojawiłem, przyszedł na rozmowę z naczelnikiem wioski. Gadał o nietykalności przyrody, o jedności z innymi istotami, o swoich wizjach i tak dalej. Zachowywał się jak jakiś samozwańczy guru albo szaman. Bardzo się ucieszyłem, kiedy po godzinie poszedł. Nie jestem pewien, ale podejrzewam, że cały dzień był naćpany.

Dwain sięgnął po zdjęcie i schował je do kieszonki koszuli.

– A dlaczego właściwie chce pan to wszystko wiedzieć? – spytał Jankers.

– Człowiek ze zdjęcia nie żyje, zmarł cztery tygodnie temu w hrabstwie Socorro. Istnieje co prawda niepewna wskazówka, że mógł się nazywać Allan Mcnish. Właśnie to sprawdzamy.

– Cztery tygodnie temu, mówi pan? – Jankers zmarszczył czoło. – W takim razie Robert Allan Mcnish odpada. Jestem gotów dać sobie obciąć prawą rękę, że mężczyzna, którego poznałem jako Roberta Allana McNisha, zginął w odmętach rzeki Mackenzie. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Może człowiek ze zdjęcia to jego brat?

Dwain skinął głową. Więcej nic tu nie uzyska. Najwyraźniej nie ominie go wycieczka do Kanady.

Jeziro Mary Jane, hrabstwo Orange, Floryda

Srebrny mercedes SLK, który zwisał z haka dźwigu, błyszczał w słońcu. Z jego wnętrza strumieniami wylewała się mętna, brunatna woda i wracała do jeziora Mary Jane. Samochód kiwał się na linie.

Nurek, który wybrał się na nurkowanie szkoleniowe, odkrył samochód obok drogi prowadzącej z Kissimmee do Orlando. Natychmiast zawiadomił policję. Znalazienie podczas nurkowania zardzewiałego i pozbawionego wszystkich możliwych części wraka nie było niczym nadzwyczajnym, ale znalezienie samochodu tak drogiego i chyba nieuszkodzonego wydawało się dziwne. Ciągle jeszcze było wystarczająco wielu niepoprawnych obywateli, którzy topili po cichu nadające się na złom samochody w nocy w jeziorach i rzekach, aby nie zapłacić podatku utylizacyjnego, ale ten luksusowy europejski samochód nie sprawiał wrażenia wyrzuconego. Może kierowca zjechał z drogi i utonął? W końcu droga numer 15 biegła bezpośrednio nad jeziorem.

– Samochód jest zarejestrowany na niejakiego Jamesa Paula z Merritt Island – powiedział młody policjant do rudego kolegi i odwiesił radiotelefon.

Kiedy woda wylała się z wnętrza samochodu, ramię dźwigu się poruszyło. Operator ostrożnie postawił mercedesa na łące nad rzeką. Pomijając niewielkie wgniecenia z przodu i na lewym błotniku, samochód wyglądał na nieuszkodzony. Obaj policjanci podeszli do niego. Wszyscy patrzyli na pracownika firmy holowniczej, który otwierał drzwi od strony kierowcy. Ostatni strumień wody i szlamu wylał się z kabiny.

– Cholera! – niemal krzyknął rudy policjant, kiedy ujrzał nieruchome ciało leżące w poprzek samochodu pod deską rozdzielczą. – Wezwij kryminalistyków i lekarza!

Młody kolega popatrzył na niego pytająco.

– Lekarz niewiele mu pomoże. Wygląda na to, że leży już tu od dłuższego czasu.

4.

Biały Dom, Waszyngton

Cliff Sebastian rzucił słuchawkę na widelki i zasłonił dłońmi twarz.

– Właśnie nastąpiło najgorsze – powiedział w przestrzeń.

Kiedy Cliff Sebastian rozmawiał przez telefon, sekretarz Summerville, Richard Wagner i inni członkowie sztabu kryzysowego wpatrywali się w niego w milczeniu.

– Niech pan mówi! Co się stało? – zapytał Summerville.

– Fiodor znowu zmienił kierunek – odparł Sebastian. – Nabrał znacznej prędkości, jest silniejszy niż dotychczas i pędzi na wybrzeże wzdłuż dziewięćdziesiątego stopnia długości geograficznej. Zwiastuny frontu pogodowego już dotarły do wybrzeża. Pada i wieje silny wiatr.

– Tego należało się spodziewać – rzucił zgryźliwie Wagner.

– Czego należało spodziewać?! – odparł Sebastian.

– Tego typu zjawiska pogodowe zawsze są połączone z deszczem i wiatrem.

– Ty dumny mądralo! – nie wytrzymał Cliff Sebastian. – Najwyraźniej nie ma pan pojęcia, jakie miasto leży na dziewięćdziesiątym południku! Huragan idzie prosto na Nowy Orlean i pcha przed sobą falę powodziową wysokości dwunastu metrów! Zna pan warunki geograficzne Nowego Orleanu?

– Panowie, proszę się pohamować! – spróbował zaprowadzić porządek Summerville. – Nie czas na kłótnie i swary. Co pan proponuje, panie Sebastian?

– Całkowitą ewakuację.

– Ile mamy czasu?

Cliff Sebastian popatrzył na wiszący nad drzwiami zegar.

– Przy aktualnej prędkości przesuwu centrum huraganu za szesnaście godzin dotrze do Nowego Orleanu.

– Ewakuować Nowy Orlean w szesnście godzin – chyba pomieszało się panu w głowie – rzekł Wagner. – To niemożliwe!

– Moglibyśmy włączyć do działania oddziały, helikoptery, autobusy – wtrącił oficer armii.

– Od kilku dni na wybrzeżu obowiązuje stan alarmowy i ludzie wiedzą, co ich czeka – powiedział sekretarz. – Niezależnie od tego, jakie kroki podejmiemy, nie dotrzemy do wszystkich i nie wszyscy zechcą opuścić domy. Polecimy ludziom, aby udali się w bezpieczne miejsca, otworzymy wytrzymałe na huragany budynki, bunkry i stadiony i poradzimy ludziom, aby się tam udali. Możemy wykorzystać czas na wzmocnienie wałów wokół miasta, ale na dalsze działania brakuje nam czasu. Większość naszych jednostek znajduje się ciągle jeszcze na południowym zachodzie Florydy. Nie mogę użyć wszystkich jednostek do tej akcji.

– W takim razie mieszkańcy Nowego Orleanu zginą – oznajmił Cliff Sebastian.

– Kolejny typowy tekst naszych naukowców – stwierdził Richard Wagner. – Zdaje pan sobie sprawę z tego, ile taka akcja kosztuje? Można by to porównać z mobilizacją, a potem okaże się, że ten przeklęty huragan skręci, i wyjdziemy na głupców.

Summerville z namysłem przeciągnął dłonią po twarzy.

– Odczekamy, aż kurs huraganu się potwierdzi – zdecydował po chwili.

Wśród przedstawicieli armii rozległ się pomruk akceptacji.

Cliff Sebastian przełknął ślinę. Gdyby był tu Allan Clark... Wczoraj wieczorem poleciał do Miami, aby koordynować działania na miejscu, i Cliff czuł się osamotniony. Był na straconej pozycji. Przedstawiciele armii nawykli do przyjmowania rozkazów bez ich kwestionowania, najwyraźniej nie wolno im było mieć własnego zdania, a ten śliski doradca prezydenta, który nosił nazwisko wielkiego niemieckiego kompozytora, rzucił mu wściekłe spojrzenia.

– Popełniacie wielki błąd – powiedział Cliff. – W porównaniu z tym huraganem, ten, który przeszedł nad Tallahassee, był jedynie lekkim podmuchem.

– Gdybyście porządnie wykonywali swoją pracę, w ogóle nie doszłoby do tego zamieszania – odparował Richard Wagner. – Wasze prognozy i oceny są tak samo mało trafne jak moje typy na wyścigach. Ten świat jest ciągle taki sam, słońce świeci w dalszym ciągu, a klimat nie zmienił się w jakiś znaczący sposób. Jeśli zostawię parasol w domu, na pewno będzie padać. Choć nasi meteorologowie zapowiedzieli słoneczny dzień.

Rozległy się śmiechy. Cliff był wściekły.

– A kto wypuścił to dziecko z kojca? Od lat badacze klimatu i meteorologowie na całym świecie żądają podjęcia wreszcie działań przeciwko rosnącemu zanieczyszczeniu środowiska. Nic się jednak nie dzieje. Nie ma nawet pieniędzy na dalsze projekty badawcze.

– Proszę, znowu ta sama piosenka. – Wagner wpadł Sebastianowi w słowo. – Tylko bez tego prorokowania zagłady.

Cliff Sebastian wstał i sięgnął po marynarkę.

– Klimat się zmieni – powiedział krótko. – Do tego w zakresie, jaki przekracza panów pojmowanie. Te huragany to dopiero początek. Katastrofy będą coraz częstsze. Za dwieście lat nikt już nie będzie mieszkał na wybrzeżu, bo stanie się niemożliwe do zamieszkania. A teraz proszę mi wybaczyć. Jeżeli potrzebujecie panowie specjaliści, to się zwróćcie do niego.

Cliff Sebastian wskazał na Richarda Wagnera i ruszył do drzwi.

– Jeżeli opuści pan to pomieszczenie, to może pan zapomnieć o swojej pracy – powiedział ze złośliwym uśmieszkiem Wagner. – To jest narada w Białym Domu, a nie partyjka brydża. Zrobię...

– Richardzie, weź głęboki wdech – skarcił Wagnera sekretarz bezpieczeństwa krajowego. – Jest pan dla pana Sebastiana niesprawiedliwy. To nie jego wina, że ten huragan jest tak niestały.

Richard Wagner się skrzywił.

– Panie Sebastian, proszę usiąść – poprosił Summerville. – Wszyscy jesteśmy nieco rozdrażnieni, ale potrzebujemy pana.

Cliff Sebastian się zawahał.

– Proszę mi uwierzyć, szesnaście godzin to za mało na pełną ewakuację. W sprawie użycia wojska nie jestem upoważniony, o tym może zdecydować tylko prezydent.

Cliff Sebastian wrócił na swoje miejsce.

– W takim razie proszę do niego zadzwonić!

Sekretarz Summerville się uśmiechnął.

– Jak ocenia pan szkody, które może uczynić taki huragan jak Fiodor w takim mieście jak Nowy Orlean?

Cliff Sebastian powiesił marynarkę na oparciu krzesła i usiadł.

– Jeżeli wewnętrzna komórka burzowa przejdzie nad miastem, Nowy Orlean przestanie istnieć. Wały przeciwpowodziowe nie oprą się fali. Pękną, a woda zaleje miasto. Nie muszą chyba wspominać, że miasto leży kilka metrów poniżej poziomu morza i jest chronione przez system wałów, kanałów i zbiorników

retencyjnych. Fala powodziowa, którą pcha przed sobą huragan, wepchnie mnóstwo wody w górę Missisipi. Wszystko, co oprze się wodzie, zostanie zmiecione przez szaleńcze wiatry. Moim zdaniem zawali się większość budynków, nadszarpniętych działaniem wody. Tej katastrofy nie przeżyje połowa mieszkańców.

– Ćwierć miliona ofiar śmiertelnych?

– Prawdopodobnie jeszcze więcej.

Sekretarz bezpieczeństwa krajowego wstał.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę pilnie zatelefonować. Poinformuję prezydenta o sytuacji i zażądam decyzji.

Cliff Sebastian odetchnął, nie okazał tego jednak po sobie. Popatrzył na zegarek. Może jeszcze starczy czasu na szeroko zakrojoną akcję ewakuacyjną.

Rosslyn Heights, Arlington, Wirginia

Wayne Chang zakręcił prysznic i zaczął się wycierać. Po trzech nocach spędzonych w biurze w Camp Springs wreszcie udało mu się wrócić do swojego mieszkania przy Washington Memorial Park, aby wziąć prysznic i porządnie się wyspać.

Brian Saint-Claire nie dał jeszcze znaku życia, co powoli zaczynało dziwić Wayne'a. Po wyjściu z łazienki usiadł przed komputerem i włączył program poczty elektronicznej. Ponownie prosił Briana, aby odpisał. Przed wysłaniem zaopatrzył e-mail w adnotację: PILNE.

Zadzzwonił dzwonek. Kto miałby go o tej porze odwiedzać?

Podszedł do domofonu i włączył go.

– Dzień dobry, panie Chang, musimy pilnie z panem porozmawiać – rozległo się z głośnika.

– Z kim mam przyjemność?

– Chodzi o huragan.

Wayne włożył szlafrok, wcisnął przycisk domofonu i otworzył drzwi do mieszkania. Po schodach wchodziło dwóch nieznanych mu mężczyzn.

– Kim panowie są? – zapytał, kiedy przed nim stanęli. Patrzyli na niego bez słowa.

Montego Bay, Jamajka

Suzannah i Brian przelecieli w nocy z Miami do Kingston na Jamajce małym beechem. Kingdom Aircraft Company było towarzystwem lotniczym,

które przede wszystkim wozilo do Ameryki Południowej albo na Karaiby biznesmenów i reporterów, każąc sobie słono za to płacić. Brian już kilka razy korzystał z usług tej firmy, ponieważ przy odpowiedniej zapłacie jej piloci latali do każdej strefy kryzysowej w Ameryce Środkowej i Południowej. Tym razem jednak lot do Kingston nie był czymś szczególnym. Huragan odszedł na północny zachód, a na trasie nad wyspami Bahama i wschodnią Kubą było tylko kilka chmur. Mimo to mała i ciasna maszyna sporo podskakiwała i Suzannah raz za razem łapała Briana za rękę.

Brian starał się uspokajać Suzannah. Miał za sobą wiele znacznie gorszych lotów, a jeśli chodzi o firmę Kingdom, jedno było pewne: maszyny znajdowały się w dobrym stanie technicznym i porządnie je serwisowano.

– A jak dostaniemy się na Kubę? – spytała Suzannah, kiedy wysiedli w Kingston.

– Niczym się nie martw. – Brian wskazał na zielonego land-rovera, który czekał przed niewielkim terminalem. – Mieszka tu ktoś, kto jest mi winien przysługę.

– Przemycieś dla niego narkotyki? – powiedziała cicho Suzannah na widok czekającego obok samochodu mężczyzny z dredami.

– To tylko jeden z jego pracowników. Johnny Blue mieszka w Montego Bay. Parę miesięcy temu uwolniłem go od dręczących go duchów. Jest sławnym muzykiem reggae i ma majątek wart kilkaset milionów dolarów.

– I to właśnie do niego teraz pojedziemy?

– Nie pojedziemy, a polecimy.

Bell czekał dwa kilometry za miastem na łące, na której pasły się owce. Był pomalowany w kamuflujące barwy, a oznakowania wskazywały, że jest zarejestrowany na Kubie.

– Sądziłam, że jesteśmy na Jamajce... skąd nagle wzięła się ta maszyna? – spytała Suzannah.

– Wojsko zablokowało wschodnią część kraju. Wyjaśniłem Johnny'emu, że musimy się tam dostać, a jak mówiłem, jest on naprawdę dobry w improwizowaniu.

– Jak nas złapią, to rozwalą nas na miejscu.

– Sądziłem, że zależy ci na dostaniu się na miejsce i poszukaniu siostry. Cóż, wiąże się to z pewnym ryzykiem. Wsiadasz?

Suzannah skinęła głową i wsiadła.

Kiedy Brian wsiadał za nią, uśmiechnął się. Kiedyś Suzannah nie podjęłaby

takego ryzyka. Jechała zawsze środkowym pasem, nie rozglądała się na boki, patrzyła tylko do przodu. Zmieniła się, ale ta zmiana bardzo podobała się Briannowi.

Nowy Orlean, cieśnina Missisipi

Tuż po północy ciemne chmury dotarły do cieśniny Missisipi. Nad Nowym Orleanem zaczęło gwałtownie lać. Okolice błyskawicznie zamieniała się w bagno. Obowiązywał najwyższy stopień zagrożenia.

Po długim zastanowieniu prezydent postanowił wezwać wszystkich mieszkańców miasta do opuszczenia domów, ale odrzucił pomysł wprowadzenia przymusowej ewakuacji z użyciem wojska. Podjęcie decyzji zajęło mu pięć godzin – godzin, których miało zabraknąć. Władze oddały do dyspozycji ludności wszystkie środki transportu, które udało się zebrać w niezwykle krótkim czasie: ciężarówki, łodzie, pociągi, helikoptery i samoloty transportowe. Duże zabudowania, jak ratusz, stadiony, kościoły i budynki administracyjne zostały udostępnione ludności, aby ci, którzy muszą pozostać w mieście, mogli się bezpiecznie ukryć. Służby porządkowe w pośpiechu uzupełniały plany działania. W sumie jednak wątpliwe było, czy dziesięć godzin, jakie pozostało do nadejścia huraganu, wystarczy, aby prowadzone gorączkowo działania dały znaczące rezultaty, zwłaszcza że część mieszkańców odmówiła opuszczenia swoich domów i miasta.

Oddziały Gwardii Narodowej, służba do walki ze skutkami katastrof i straż pożarna układały wały z worków z piaskiem i podwyższały wały przeciwpowodziowe, ale ze względu na wielkość nadchodzącego huraganu wszelkie tego typu działania służyły jedynie opanowaniu strachu i kiełkującej paniki. Fiodor sunął z prędkością trzydziestu czterech kilometrów na godzinę na miasto u ujścia Missisipi.

W końcu, pod wpływem rady sztabu kryzysowego, prezydent zgodził się skierować wojsko do działań pomocniczych. Pół godziny później do akcji wkroczyły lotnictwo wojskowe, armia i saperzy. Około trzeciej w nocy w powietrzu panował jeszcze spokój. Ulice były zapchane, pociągi specjalne czekały na sygnał do odjazdu, a korytarze powietrzne były przepełnione. Gwałtowne porywy wiatru szarpały stojącymi na pasach samolotami i było jasne, że wkrótce ewakuacja drogą powietrzną stanie się niemożliwa. Ludzie krążyli bez celu

po ulicach w nadziei znalezienia jakiegoś sposobu ucieczki przed piekłem. Mniej więcej w tym właśnie czasie pękł na południe od miasta wał wokół Waggaman Pond i międzystanowa numer 90 znalazła się pod wodą.

Tony Schneider, wieloletni kolega i przyjaciel Wayne'a Changa, wieczorem poleciał helikopterem z Baton Rouge do Nowego Orleanu, aby zarejestrować pierwsze ruchy huraganu. Koledzy z działu transportu powietrznego służby meteorologicznej ostrzegali go przed tym, ale Schneider nie dał sobie wybić tej decyzji z głowy.

– Ten huragan jest czymś wyjątkowym i jeśli już jestem w pobliżu, chcę się dowiedzieć, co tak naprawdę się tam dzieje – odparł.

Ponieważ przez długi czas pracował jako pilot i miał wszelkie licencje, poleciał sam. Nikt oczywiście nie miał ochoty mu towarzyszyć.

Deszcz coraz bardziej się nasilał, a wiatr wiał coraz mocniej z południa. Wkrótce podmuchy osiągnęły sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Oko cyklonu było oddalone o ponad dwieście kilometrów od wybrzeża, ale zwiastuny były tak gwałtowne, że każdy, kto przebywał w mieście, zdawał sobie sprawę z tego, jaka katastrofa je wkrótce czeka. Ludzie się bali. Kobiety, mężczyźni i dzieci sunęli w kierunku urządzonych w różnych częściach miasta punktów ewakuacyjnych. Przed ratuszem utworzyła się długa kolejka, stadion był przepełniony. Ponad dziesięć tysięcy ludzi siedziało na trybunach i murawie, a kolejne rzesze nadpływały, aby schować się w Superdome. Opad przekroczył sumę opadów kilku minionych miesięcy, a ciśnienie powietrza spadło do niewyobrażalnego poziomu. Nad ranem prędkość wiatru przekraczała sto czterdzieści kilometrów na godzinę i zaczęły pękać pierwsze drzewa, a w powietrzu latały osłony i pleksiglasowe dachy.

– Jeśli chcemy się stąd wydostać, to musimy dostać się do helikoptera! – zawołał Schneider do młodego strażaka, którego spotkał przed New Orleans Theatre of Performing Arts.

Czerwony śmigłowiec typu Hughes 500 C stał na zachodnim krańcu parku imienia Louisa Armstronga, znajdującego się w centrum Nowego Orleanu. Schneider zebrał swoje urządzenia pomiarowe i z trudem parł pod wiatr.

Młody strażak w granatowej kurtce z odblaskowymi żółtymi paskami na znak, że zrozumiał, uniósł kciuk. Razem z dwoma kolegami przydzielono go do zabezpieczenia stojącego w parku pawilonu ze stali i plastiku. Po tym jak coraz mocniejsze podmuchy wiatru porywały ze sobą część budynku, obaj

koledzy pozostawili obowiązkowego młodego strażaka samemu sobie. Teraz on i Schneider walczyli, próbując iść pod wiatr i deszcz. Kiedy okrążyli teatr, z przerażeniem ujrzeli, że helikopter został przywalony wyrwanym z ziemi drzewem i nie nadaje się do użytku.

– Cholera jasna! – wrzasnął Schneider. – To już nigdzie nie poleci!

– Tędy! – krzyknął strażak i wskazał na boczne wejście do budynku teatru.

– W środku będziemy w miarę bezpieczni.

Tuż nad ich głowami przeleciała spora gałąź. Schneider skinął głową i poszedł za strażakiem.

W tym samym czasie na cieśninę Missisipi sunęła pchana przez Fiodora piętnastometrowej wysokości fala powodziowa. Uderzyła w ujście rzeki na wysokości Grand Isle i wepchnęła wodę w górę jej koryta.

Santiago de Cuba

Helikopter wysadził pasażerów na łące, mniej więcej dwa kilometry na północ od miasta. Choć w mieście i wokół niego znajdowało się mnóstwo pojazdów wojskowych, a od czasu do czasu nad zamkniętym terenem przelatywały kubańskie helikoptery wojskowe, nikt najwyraźniej nie zwrócił uwagi na nietypowych przybyszy.

– Ale od tego miejsca jesteście pozostawieni sami sobie – powiedział pilot i wystartował w ciemne niebo. Zanim weszło słońce, Suzannah i Brian dotarli do centrum miasta. Woda co prawda już wszędzie spłynęła, ale wokół walały się naniesione przez falę śmieci. Pastelowe fasady małych domów zostały pokryte wilgotnym cieniem sięgającym do dwóch metrów nad fundamenty.

Wraz z zaczynającym się dniem na ulice wyszli ludzie. Łopatami i kilofami starali się usunąć szkody, jakie uczyniła gigantyczna fala. Niektóre fasady miały duże pęknięcia. Powoli nad miastem zaczęło się unosić duszne i gorące powietrze niosące smród stęchłej wody, pleśniejącego mułu i zgnilizny. Coraz trudniej było oddychać. Brian prowadził Suzannah przez wąskie uliczki i zaułki. Ludzie obserwowali ich z ciekawością, ale nikt ich nie zagadywał. Ich oczy były pozbawione wyrazu – wszyscy niedawno widzieli śmierć.

– Dokąd idziemy? – spytała Suzannah.

– Do portu. Zobaczyc, czy statek tam stoi.

– A skąd wiesz, gdzie jest port?

Brian wskazał na słońce i ominął wielką kałużę. Kiedy dotarli do pustego

placu przed kościołem, skręcili na południe. Po chwili zatrzymał się obok nich jeep z żołnierzami.

– *Alto! Adonde queréis?* – zapytał oficer siedzący obok kierowcy.

– Zabłądziliśmy... zgubiliśmy drogę... – odpowiedział Brian kiepskim hiszpańskim.

– Jesteście Amerykanami? – zapytał oficer po angielsku.

Brian pokręcił głową.

– Kanadyjczykami. – Wyjął paszport.

Suzannah stała bez ruchu. Dręczyło ją niesamowite pragnienie. Pomyśleli o wszystkim – o ubraniu i dokumentach, ale zapomnieli wziąć zapas wody.

– Skąd tu się wzięliście? – spytał oficer.

– Ze statku w porcie. Trafiła go fala i szukamy rannych.

Odpowiedź najwyraźniej zadowolili oficera.

– Jesteście nie tam, gdzie trzeba. Musicie wracać! – powiedział i wskazał im kierunek.

– Wie pan, dokąd zawieziono rannych?

– Do szpitala San Jorge.

– Gdzie on jest?

– Dziesięć minut stąd, w pobliżu portu.

Brian podziękował i oficer dał znak kierowcy. Silnik jeepa zawył i auto ruszyło. Kiedy zniknęło za rogiem, Suzannah głośno odetchnęła.

– Tak się bałam...

– Kubańczycy to mili ludzie.

Im dalej szli wskazaną przez oficera uliczką, tym większe były kałuże i uszkodzenia domów. Smród zastępowało jednak powoli słońce, świeższe powietrze. Powiewała morska bryza. Dotarli do szyldu z napisem: CASA NATAL DE MAYOR GENERAL ANTONIA MATEO.

– Chyba jesteśmy na dobrej drodze – powiedział Brian i wskazał na szyld.

Po kolejnych dziesięciu minutach dotarli do placu otoczonego wysokimi domami w stylu hiszpańskim. Na jednym z budynków powiewała flaga Czerwonego Krzyża, nad wejściem widniał łuszczący się napis: HOSPITAL DE SAN JORGE.

– Zajrzymy najpierw tutaj? – spytał Brian.

Dostrzegł przerażony wzrok Suzannah. Wielkie oczy skierowała na flagę. Skinęła niemal niezauważalnie głową. Ruszyli w górę szerokimi schodami pełni obaw, ale i niecierpliwi. Kiedy weszli do środka, uderzyła ich fala

przyjemnie chłodnego powietrza. Wysoki i ponury korytarz był pusty i panowała w nim całkowita cisza. Na ścianach dostrzegli wyraźne zacieki. Ściany i drewno były jeszcze wilgotne.

– Nie ma tu nikogo... – powiedziała Suzannah.

Jej słowa odbiły się echem w korytarzu. Brian stanął i zaczął nasłuchiwać. Po chwili wskazał palcem w górę. Weszli schodami na piętro i przez drzwi wahadłowe do kolejnego korytarza pełnego ludzi. Leżeli na poustawianych pod ścianami łóżkach oraz kucali na podłodze. Wszyscy mieli założone opatrunki, co znaczyło, że fala porządnie dała im się we znaki. Brian wziął Suzannah pod rękę i ruszyli w głąb korytarza.

W ich kierunku szedł siwy mężczyzna w złotych okularach i niegdyś białym kitlu.

– *Perdone, estamos buscando a los sobrevivientes de Carribbean Queen?* – spytał Brian.

– Przepraszam, ale nie rozumiem pana. Jestem Amerykaninem – odparł mężczyzna.

– My też – odparł Brian. – Szukamy pasażerów z „Carribbean Queen”.

Lekarz wskazał w głąb korytarza. Brian odwrócił się do Suzannah i chciał ruszyć dalej, gdy zauważył skamieniałą minę swojej partnerki. Stała jak sparaliżowana i wpatrywała się w kucającą dwa metry dalej kobietę. Obok kobiety siedziała mała dziewczynka. Tuż obok stało dziecinne łóżko, na którym znajdowała się drobna, wychudzona postać.

– Suzannah, co się stało?

– Peggy... – wymamrotała Suzannah. – Peggy?

Kobieta na podłodze podniosła głowę. Czerwone od płaczu oczy popatrzyły w kierunku Briana. Twarz kobiety była blada i zmęczona, jakby od kilku dni nie spała. Nagle skoczyła na równe nogi.

– Suzannah? – spytała z niewiarą. Dziewczynka obok niej wstała. – Suzannah, to takie straszne... straszne... – zaczęła powtarzać.

Dziewczynka u jej boku płakała.

Nowy Orlean, Luizjana

Fiodor szalał. Przy tej ilości wody koryta rzek i kanały nie spełniały swojej funkcji. Jeszcze przed wschodem słońca woda przepłynęła nad wałami i

wylała się na ulice oraz place. Wiatr się nasilał i szarpał drewnianymi domami na południu miasta. Ulice zostały zalane od Terrytown aż po Westwego.

– Musimy spróbować dostać się na zachód! – zawołał histerycznie młody strażak. Nazywał się Bill i właśnie skończył dziewiętnaście lat. – W ratuszu znajduje się punkt koordynacyjny służb do zwalczania skutków katastrof.

Schneider wyrzał przez okno w nieprzeniknioną szarość. Ostry wicher smagał domy i obrzucał je wszelkimi możliwymi śmieciami. Za oknem śmigają pojemniki na śmieci, kawały plastiku, gałęzie, nawet małe drzewa.

– To nie będzie łatwe – odparł, wskazując za okno. – Oko huraganu jest już bardzo blisko. Może sto kilometrów od wybrzeża. Wiatr się nasila, porywy mają ponad sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Za to wkrótce nieco osłabnie deszcz.

– Nie możemy tu zostać – rzekł Bill. Oczywiście miał przepełnione strachem. – Zdechniemy tutaj.

– Miejsce jest tak samo bezpieczne jak każde inne w mieście – odparł Schneider. – Jeżeli przetrzymamy cztery godziny, mamy szansę. Wiatr osłabnie, a potem całkiem ustanie. Będzie to oznaczało, że oko huraganu jest dokładnie nad nami. To zapewni trzy godziny spokoju, po czym szaleństwo zacznie się od nowa. Do tego czasu musimy zachować cierpliwość. Jestem ze służby meteorologicznej i wiem, co mówię.

Podmuch wiatru uderzył w helikopter, który został podniesiony jak zabawka, po czym przewrócił się na bok i opadł na łąkę. Zamienił się w stertę bezużytecznego złomu i potłuczonego szkła. Młody strażak dygotał na całym ciele. Schneider podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Uda nam się – powiedział. – Zostaniemy tutaj. Na razie jesteśmy bezpieczni.

Młody człowiek się rozluźnił.

Nagle rozległ się głośny łoskot. Trzasnęło pękające szkło. Bill głośno wrzasnął i wpił palce w Schneidera. Ze szklanej tafli kilka metrów od nich wystawały korzenie białego w budynek drzewa. Wszędzie wokół leżały kawałki szkła.

– Powiedziałem, że wiatr się nasili... – mruknął Schneider.

– Nie powinniśmy iść do piwnicy?

Schneider pokręcił głową.

– Jeżeliby pękły wały wokół miasta, utonęlibyśmy tam jak szczury.

– O Boże...
– Co jest?
– Wszystkich ludzi, jakich spotykaliśmy, wysyłaliśmy do piwnic... – odparł Bill.

– Co robiliście?
– Taki był rozkaz oficera dyżurnego. Mieliśmy namawiać ludzi do chowania się w piwnicach. Dowódca wyraźnie to powtarzał.

Schneider popatrzył na mętne jezioro brązowej wody pośrodku parku, które z każdą chwilą robiło się większe.

– To był błąd? – spytał Bill.

Schneider westchnął.

– Nie wasza wina. W tym mieście nie powinno już być ani jednego człowieka. Wszyscy powinni zostać ewakuowani. Nikt sobie nie wyobraża, co ten huragan tu zrobi. Czegoś takiego nie było jeszcze w historii. Huragany z ostatnich lat, zanim trafiły w ląd, były już nieco osłabione, ten jednak jest inny. Zachował wszystkie siły, aby wyszaleć się nad kontynentem.

Znowu rozległ się huk i trzask. Przez okna wpadł do środka czerwony samochód i zrównał z ziemią znajdującą się po drugiej stronie holu garderobę.

– Na górę! – wrzasnął Schneider do młodego strażaka, który błady ze strachu wpatrywał się w samochód.

5.

Amerykańska Służba Meteorologiczna, Camp Springs, Maryland

Vargas ostrożnie zapukał do drzwi. Wayne Chang od kilku dni nie wychodził ze swojego gabinetu na drugim piętrze. NIE PRZESZKADZAĆ! – informowała wisząca na kłamce czerwona tabliczka.

Za kilka godzin Fiodor miał uderzyć w wybrzeże. Do lądu dotarli pierwsze jego odnogi. Zbliżała się katastrofa, ale ani Schneider, ani Chang jakby się tym nie przejmowali. Schneider poleciał do Baton Rouge, aby obserwować huragan z bliska, a Wayne zaszył się w niedzielę w gabinecie i od tego czasu nie wychylił z niego nosa. Powiedział, że koniecznie musi coś sprawdzić. Jest to bardzo ważne i nie wolno mu przeszkadzać. Tak się jednak składało, że akurat teraz zastępca dyrektora Norman Grey potrzebował kompletnego spisu wszystkich stacji pogodowych od Nowego Orleanu po Minneapolis. Projekt „Weatherboard II” miał przejść pierwszy sprawdzian, a nie można było dodzwonić się do nikogo poza nim. Jak w obliczu szokującego huraganu będzie się w najbliższych dniach rozwijać ogólna sytuacja pogodowa w bardziej umiarkowanych rejonach kraju? Dokąd sięgnie front złej pogody i jakiego się spodziewać opadu? Norman Grey chciał znać odpowiedzi na te pytania, a Wayne nie odbierał telefonu – wręcz przekierował rozmowy na inny aparat. Vargas od godziny próbował się z nim skontaktować, ale bez skutku. Wszystko spadło teraz na jego barki. Proszę przynieść to, proszę zrobić tamto. Może też powinien wyłączyć telefon...

Vargas cicho zaklął i przyłożył ucho do drzwi. W środku panowała cisza. Co robić? Odejść jak wczoraj wieczór i dalej kisić się we własnym sosie? Nie, tym razem tego nie zrobi! Niezależnie od tego, co Wayne robił w środku, spis dla Greya był właściwie jego sprawą. W końcu on też był na liście płac tej

firmy! Vargas ostrożnie nacisnął klamkę. Spodziewał się, że będą zamknięte, ale kiedy je lekko pchnął, otworzyły się bez trudu. Lampka na biurku paliła się, komputer buczał, wszędzie leżały książki, skrypty i notatki. Na biurku stał laptop, na którego ekranie wirowały kolorowe spirale. Nie było śladu Wayne'a Changa. Żaluzje były opuszczone i zamknięte. Vargas powoli podszedł do biurka. Gdzie był Wayne?

Vargas zaktywizował ekran. Trwała defragmentacja dysku. Najwyraźniej Wayne konfigurował na nowo płytę główną. Ze wskazania licznika wynikało, że program pracuje od godziny. Wayne mógł więc być w toalecie albo poszedł do kantyny coś zjeść. Vargas rozejrzał się wokół. Chętnie by się dowiedział, nad czym Wayne pracował, nie miał jednak śmiałości przeglądać dokumentów. Chang, zanim zaszył się w pokoiku na drugim piętrze, zachowywał się bardzo tajemniczo i udawał ważniaka. Vargas westchnął i wcisnął klawisz ENTER. Ekran pojaśniał i Vargas zaczął uważnie obserwować. Po chwili wzdrygnął się przestraszony, ponieważ pojawił się na nim i zaczął pulsować czerwony trójkąt. W środku trójkąta znajdował się napis: ZATRZYMANIE PROGRAMU – ODKRYTO WIRUSA – DSO BLOODHOUND. Vargas gwałtownie się odwrócił i uciekł z gabinetu. Kiedy szedł szybkim krokiem przez korytarz, pytał każdą napotkaną osobę o Wayne'a, nikt jednak nie widział meteorologa. Otwierał kolejne drzwi, ale Changa nie widział także nikt z ludzi pracujących w gabinetach. Gdy Vargas dotarł do portierni, był zdyszany jak po długim biegu.

– Widział pan profesora Changa? – spytał portiera, kiedy złapał nieco powietrza.

Portier chwilę się zastanawiał.

– Dziś rano nie – odparł w końcu. – Wczoraj po południu poszedł do domu, ale dziś nie przyszedł.

– Jest pan pewien? – spytał Vargas, zastanawiając się, czy program defragmentacyjny na laptopie Wayne'a mógł działać aż tak długo.

– Oczywiście.

– Był pan tu przez cały czas?

– Przed godziną przyszła kobieta z serwisu i zaprowadziłem ją do windy. Wtedy opuściłem portiernię może na dziesięć minut.

– To znaczy, że windy znowu nie działają?

– Nie, nie, ona była z firmy Copper & Sundance i miała zlecenie na zajęcie się siecią komputerową. Pokazała mi potwierdzony dokument, ponieważ musiała wejść do serwerowni.

- Ta kobieta jeszcze u nas jest? Portier pokręcił głową.
- To musiało być coś rutynowego, bo wyszła po półgodzinie.

Vargas zaklął. Wayne ściągnął sobie wirusa do komputera, a akurat jego laptop musiał być podłączony do sieci! Wayne'a nie można było znaleźć, a serwisantka już sobie poszła. Trzeba było natychmiast zawiadomić Greya, żeby podjął działania zapobiegające przeniesieniu się wirusa na serwer. Najwyraźniej Wayne już oczyścił płytę główną swojego komputera. Dlaczego programiści ciągle twierdzili, że ich system jest bezpieczny przed atakami z sieci, a firewall obroni ich przed każdym zagrożeniem? Na tym świecie już nic nie było bezpieczne. Nawet pogoda nie trzymała się jakichkolwiek zasad.

Meota, Saskatchewan, Kanada

Z Seattle Dwain Hamilton pojechał prosto do Battleford w Kanadzie, aby na miejscu poszukać ludzi, którzy mogli wiedzieć cokolwiek o Mcnishu. Na posterunku policji dowiedział się, że Mcnishowie kiedyś mieszkali w małej miejscowości położonej około dwudziestu kilometrów na północ od miasteczka. W ten sposób dotarł do fryzjera, który kiedyś dobrze znał matkę Allana Mcnisha i udzielił jej schronienia, kiedy straciła farmę. Alisha Mcnish musiała być kimś w rodzaju uzdrowicielki – w każdym razie wyleczyła z raka żonę fryzjera. Starszy pan uważał, że także jej syn Allan miał podobne nadprzyrodzone zdolności i widział to, czego nie dostrzegali inni. Pewnego dnia jednak odszedł i od tego czasu nikt w miasteczku o nim nie słyszał. Matka Allana Mcnisha zmarła jakiś czas temu. Słyszając to, Dwain znowu poczuł, że tkwi w ślepych zaułku, na szczęście fryzjer podsunął mu nowy trop. Doprowadził go on do starego Grease'a, mieszkającego niedaleko Meota, nad jeziorem Jackfish.

Znalezienie wąskiej drogi nie było łatwe i Dwain niemal minąłby rozjazd. Stary Grease mieszkał w stojącej przy samym brzegu rybackiej chacie. Kiedy Dwain wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku chaty, Grease siedział na zadaszanej werandzie i naprawiał sieci. U jego stóp leżał duży brązowy pies i spał, grzejąc kości w słońcu. Kiedy Dwain wszedł na werandę, ani stary, ani pies nawet na niego nie spojrzeli.

- Dzień dobry! Pan nazywa się Grease?

Mężczyzna miał długie siwe włosy i różową twarz i mógł mieć siedemdziesiąt lat. Był ubrany w koszulę w biało-niebieską kratę i nieco zbyt duże dzinsy przytrzymywane przez szerokie szelki.

– Grease, ale nie pan – odparł stary. – A kim pan jest?
Dwain podszedł bliżej i pokazał legitymację oraz odznakę.
– Nazywam się Dwain Hamilton i jestem szeryfem w hrabstwie Socorro w Nowym Meksyku.

– A czego szuka szeryf z południa nad jeziorem Jackfish?
– Roberta Allana Mcnisha – odparł Dwain i rozejrzał się. Przy pomoście z grubo ciosanych bali i desek zacumowała łódź, na ustawionym przy chacie stelażu suszyły się wypatroszone ryby.

– Nie znam żadnego Roberta Allana Mcnisha – odparł dość niegrzecznie Grease.

– Przysłał mnie tu Wakefield – powiedział Dwain Hamilton i wyjął z kieszonki koszuli zdjęcie. Kiedy podawał je Greasowi, pies podniósł łeb i zaszczał.

– Cicho bądź! – rzucił Grease.

Pies najwyraźniej był wdzięczny, że został zwolniony z obowiązku dbania o swojego pana, i ponownie położył łeb na deskach. Stary sięgnął po zdjęcie, przyglądał mu się przez minutę, po czym oddał je Dwainowi.

– Skąd pan je ma?

– To jest zdjęcie człowieka, którego znaleźliśmy martwego w moim hrabstwie – wyjaśnił Dwain. – Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, jedynie plakietkę jakiejś firmy albo instytucji, na której widniało „Allan Mcnish”.

– Jak umarł?

– Z przedawkowania mieszanki kilku narkotyków. Proszę pana, wiem, że Robert Allan Mcnish od sześciu lat jest uważany za zaginionego i podobno utonął w rzece Mackenzie, ale w Albuquerque znajduje się grób, na którym nie ma nazwiska.

Stary nic nie powiedział, jedynie wskazał na krzesło.

– Nie znam bliższych okoliczności, w jakich zmarł w moim hrabstwie – powiedział Dwain Hamilton, kiedy usiadł. – Nie wygląda mi to na zabójstwo, chcę jednak wiedzieć, o kogo dokładnie chodzi i kto kryje się za tym nazwiskiem.

Grease wstał i bez słowa wszedł do chaty. Dwain patrzył za nim. Stary po chwili wrócił z pocztówką w dłoni. Podał ją Dwainowi. Stempel pocztowy pochodził z Alamogordo w Nowym Meksyku, a zdjęcie pokazywało pomnik narodowy White Sands. Data na stemplu była z dwudziestego marca 2002 roku. Dwain odwrócił kartę i zaczął czytać wiadomość.

Cześć Grease!

Mama by tego nie zrozumiała, więc nic jej nie mów, ale u mnie wszystko jest w najlepszym porządku. Nareszcie znalazłem zadanie, dla którego warto żyć.

Dzięki za wszystko. Rob

– To od Roberta? Grease skinął głową.

– Czyli nie utonął w Mackenzie.

– Matka chciała, żeby z nią mieszkał – zaczął z wahaniem Grease. – Trzymała go, jakby był jej kołem ratunkowym, a Rob potrzebował wolności. Szukał sensu życia.

– Cały czas pan wiedział, że on żyje?

Stary skinął głową.

– Rob różnił się od większości chłopców w jego wieku. Był kimś szczególnym. Miał wyjątkowy dar, który większość ludzi straciła. Dlatego był outsiderem w szkole, w mieście wszędzie, gdzie się pojawił. Dla innych chłopaków był nawiedzony, a przecież jedynie umiał patrzeć głębiej niż inni ludzie. Jego zmysły były czujne. Kochał przyrodę.

– W dzieciństwie często tu przebywał?

– Mieszkał ze mną, ponieważ tutaj miał spokój i ci źli nie mogli go napaść. Szukał, ale tutaj nie mógł znaleźć tego, czego potrzebował.

– To on jest na zdjęciu?

Stary skinął głową.

– Wie pan, czego szukał w Stanach?

Grease tym razem pokręcił głową.

– Po incydencie na Mackenzie odwiedził mnie w środku nocy. Powiedział, że chce zniknąć i będzie lepiej, jeśli matka o niczym się nie dowie.

– Więc milczał pan.

– Potrafił nawet wyczuwać ryby. Kiedy wypływaliśmy razem, prowadził mnie do miejsc, gdzie nigdy nie zarzuciłbym sieci, ale zawsze wyciągałem pełne. Chłopak miał drugi wzrok.

– Pańskie oświadczenie niewiele mi pomoże w udowodnieniu, że znalezione w hrabstwie Socorro zmarły to faktycznie Robert Allan Mcnish – powiedział cicho Dwain Hamilton.

– Ma mieć grób z nazwiskiem – odparł stary i wstał. Kiedy wrócił, trzymał w ręku małe pudełko. Otworzył je i podał Dwainowi.

W środku leżał zgniły w połowie ząb. – To był jego ostatni mleczny ząb. Sam mu go wyrwałem. Powiedział, żebym go zachował, bo na niego zasłużyłem.

Dwain wciągnął głęboko powietrze.

– Dzięki temu można by porównać DNA...

– Chciałbym, żeby zadbał pan o to, aby Rob leżał obok matki. Jeżeli ząb w tym w jakikolwiek sposób pomoże, niech go pan weźmie.

Dwain obiecał, że jeśli rzeczywiście zmarłym okaże się Robert Allan McNish, zajmie się przeniesieniem zwłok.

6.

Nowy Orlean, Luizjana

Im bliżej miasta było oko huraganu, tym bardziej miasto tonęło w wodzie. W metropolii znajdowało się mniej więcej dwieście tysięcy ludzi, ale już do południa ponad połowa z nich padła ofiarą Fiodora, a życie reszty wisiało na włosku.

– Nie ujdziemy stąd z życiem! – darł się młody strażak. Byli na drugim piętrze teatru i obserwowali zalewającą budynek wodę. Z parteru dolatywały szum i parskanie rozwścieczonej wody, która wlewała się do środka przez rozbite szyby.

– Jest tu jakaś przybudówka, może z grubego zbrojonego betonu? – spytał Schneider.

– Utopimy się jak szczury!

Schneider podszedł do chłopaka i mocno nim potrząsnął.

– Przybudówka, czy ten budynek ma jakąś solidną przybudówkę? Coś ze zbrojonego betonu o grubych ścianach? Człowieku, pomyśl szybko!

Twarz młodzieńca nieco się rozluźniła, jakby budził się z głębokiego transu.

– Tam... od tyłu... szyb windy – wydukał i wskazał w głąb korytarza.

– No to jazda! Dach długo już nie wytrzyma.

Santiago de Cuba, południowe wybrzeże Kuby

Suzannah zasłaniała dłońmi czerwone od płaczu oczy. Siedziała na ławeczce, nic nie rozumiejąc, i cała dygotała.

Peggy wytarła łzy.

– Nagle zniknęła. Ot tak. Woda ją po prostu połknęła.

Brian, który stał bezradnie obok Suzannah, położył jej dłoń na ramieniu.

– Co mamy robić... co mamy robić... – powtarzała Suzannah. – Nie możemy jej zostawić.

Peggy podniosła wzrok.

– Ona nie żyje. Umarła. Nasza mama nie żyje. Musimy się z tym pogodzić.

Suzannah pokręciła głową.

– Musimy ją znaleźć... Nie możemy po prostu stąd wyjechać. Może ona jeszcze żyje... Może woda wyrzuciła ją gdzieś na brzeg i leży tam ranna...

– Suzannah, weź się w garść – powiedział Brian. – Nie przeżywa się takiej fali. Morze ją zabrało. Musisz to w końcu zrozumieć.

Suzannah energiczniej pokręciła głową.

– Nie! – zawołała i wstała. – Nie! Muszę z nią porozmawiać i poprosić o wybaczenie. Musi mi dać szansę. Nie może, ot tak sobie, zniknąć. Nie może!

Suzannah wpadała w histerię. Brian objął ją i przyciągnął do siebie.

– Nie... nie... nie... – powtarzała Suzannah, aż słowa zaczęły cichnąć i utonęły we łzach. Wstrząsnął nią szloch.

Brian tulił ją mocno i delikatnie głaskał po plecach. Powoli się uspokajała.

– Tak bardzo chciałabym jej powiedzieć, że jest mi przykro – powiedziała Suzannah, kiedy się uspokoiła. – Jak... jak czuje się Tom?

Peggy podeszła do łóżka syna.

– Ma proste złamanie nogi, nic mu nie będzie.

Za oknami słychać było warkot kilku helikopterów i wkrótce na korytarzach rozległy się głośne rozmowy i nawoływania po hiszpańsku. Kubański oficer w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy szedł energicznym krokiem i raz za razem wołał coś do pacjentów. Z jednej z sal chorych wyszedł lekarz w białym kitlu, lekarz pokładowy „Caribbean Queen” i zastąpił oficerowi drogę.

– Co on mówi? – spytała Peggy.

– Pacjenci nadający się do transportu mają się przygotować – przetłumaczył Brian. – W Hawanie czeka samolot, który poleci do Miami. Chcą wszystkich ewakuować.

– Wreszcie... – Peggy westchnęła. – Jeśli wkrótce się stąd nie wydostanę, to zwariuję.

Oficer poszedł dalej korytarzem w towarzystwie lekarza. Zatrzymał się

przed łżej rannymi osobami i zamieniał z nimi kilka słów po angielsku. Oficer i lekarz zatrzymali się także przed łóżkiem Toma.

– Zostanie pani zawieziona z synem do Hawany – powiedział lekarz do Peggy. – Pani syn był bardzo dzielny. Przeżyje wypadek bez szkód na zdrowiu. Złamanie na pewno się zagoi.

Oficer wskazał na Briana i Suzannah.

– Oni są ze mną – szybko powiedziała Peggy.

– Przetransportujemy chłopca na noszach – stwierdził lekarz. – Helikoptery czekają na zewnątrz. Proszę się przyszykować.

Nowy Orlean, Luizjana

W północnej części budynku, za szybem windy, konstrukcję dachu wspierały grube dźwigary z żelbetu. Wicher szarpał fasadę z taką mocą, że pękały szyby z hartowanego szkła. W końcu nie wytrzymały dźwigary od zachodniej strony i prawie wszystkie się połamały. Sufit zawalił się z hukiem. Schneidrowi i młodemu strażakowi udało się uciec na czas i schować między szybem windy a sąsiadującą z nim przybudówką. Pozostawała im jedynie nadzieja, że konstrukcja szybu jest na tyle mocna i szczelna, że woda nie pokruszy betonu. W nadszybiu umieszczono napęd i urządzenia sterujące kurtyną teatru.

Schneider otworzył stalowe drzwi i zajrzał do środka. W nadszybiu było ciemno, nieco światła wpadało przez świetlik pod sufitem. Po tym jak stacja przesyłowa na południu miasta zniknęła pod wodą, w mieście nastąpiła awaria zasilania.

– Do środka! – zawołał Schneider, przekrzykując łoskot wichru. Bill popatrzył na swojego towarzysza wielkimi oczami. – W środku będziemy bezpieczni. Żelbet, przynajmniej czterdzieści centymetrów grubości! Powinien wytrzymać napór wiatru.

Bill skinął głową i wszedł za Schneiderem do pomieszczenia. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, nagle zrobiło się cicho. Szum, wycie i zawodzenie zamarło. Zrobiło się niemal groźnie cicho. Bill pytająco patrzył na Schneidera.

– To nie z powodu zamkniętych drzwi – wyjaśnił Schneider i popatrzył na zegarek. – Oko huraganu jest nad nami. Podobno jego średnica wynosi sto kilometrów, co oznacza, że przez najbliższe trzy godziny będzie panował spokój.

– Moglibyśmy więc...

Schneider pokręcił głową.

– Zostaniemy tutaj. Woda podniosła się już na pewno na wysokość trzech metrów, więc nawet gdyby udało nam się dotrzeć do jakiegoś innego budynku, nijak by to nie zmieniło naszej sytuacji. Zostaniemy tutaj i zobaczymy, co się stanie.

– Muszę wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz – powiedział strażak. – Może ktoś potrzebuje pomocy?

– Młody człowieku, nie czas teraz na myślenie o pomaganiu innym. Nie możemy pomóc nawet samym sobie. Gdybyśmy wyszli na zewnątrz, nasze życie nie byłoby warte złamanego szeląga. Podczas powodzi istnieją prądy, którym nie możemy się nijak przeciwstawić.

Młody strażak usiadł na podłodze i oparł plecy o zimną, wilgotną ścianę. Z zadumą wpatrywał się w małe świetlik.

– Gdybym tylko wiedział, jak wygląda miasto...

– Masz w mieście rodzinę?

Bill pokręcił głową.

– Mój ojciec mieszka w Houston, a matka z nowym mężem i moją młodszą siostrą w Hammond. Zostałem w mieście tylko ja, ale w naszym mieszkaniu przy Canal Street jest moja dziewczyna, Hazel.

– Nie wyjechała z miasta?

– Chciała zostać ze mną.

Schneider wbił wzrok w podłogę. Unikał wzroku Billa, bo nie miał pojęcia, co powiedzieć. Na północy miasta, gdzie znajdowały się wielkie wały przeciwpowodziowe, a zwłaszcza w okolicy jeziora Pontchartrain, sytuacja była jeszcze gorsza niż w środkowej części Nowego Orleanu, gdzie na place i ulice wylewała się głównie woda z Missisipi. Nagle chłopak wstał, wziął stojące pod ścianą krzesło, przysunął je do świetlika i wdrapał się na nie. Musiał się wspiąć na palce, aby wyjrzeć na zewnątrz.

– Widzę błękitne niebo... – wymamrotał z niewiarą. – Cholera, na zewnątrz jest błękitne niebo! Ani jednej chmury, niczego! Tam jest czysty błękit, a my tkwimy tu jak szczury!

– Oko huraganu – powtórzył Schneider. – To swego rodzaju szyb. Po bokach wznosi się gorące powietrze, a w środku zimne opada ku ziemi. Dopóki będziemy w oku, nie będzie wiatru.

– Przetrzymaliśmy go?

Schneider lekko pokręcił głową.

– Kiedy oko nas minie, znowu zacznie wiać i padać. Może jeszcze mocniej niż poprzednio.

Bill znowu popatrzył na zewnątrz. Westchnął i zszedł z krzesła. Stał obok małego regału. Zaczął manipulować przy czarnym pudełku i nagle z pudełka doleciały szумы i trzaski.

– Zaraz zwariuję... radio na baterie...

– Chyba lepiej będzie, jeśli je wyłączysz – powiedział Schneider. – Może nam się bardziej przydać, kiedy huragan minie. Nie wiemy, jak długo wytrzymają baterie.

Chłopak nie słuchał. Włączył automatyczne wyszukiwanie stacji i po chwili aparat coś znalazł.

...mieście. Poziom wody stale rośnie, przelewa się ona na długich odcinkach przez tamy na wszystkich większych jeziorach. Większość wałów została przerwana. Kilka minut temu zawalił się Superdome. Zanim huragan dotarł do wybrzeża, schroniło się tam czterdzieści tysięcy ludzi, a jeszcze o dziewiętej rano na wejście do środka czekała długa kolejka.

James Tisser, oficer dowodzący oddziałami ochrony przed katastrofami w Nowym Orleanie, powiedział, że należy się liczyć z najgorszym.

Małe domki jednorodzinne na obrzeżach miasta są w stanie kompletnego rozpadu. Pół godziny temu zalała je woda. Historyczne budowle, takie jak hale targowe przy French Market oraz Convention Center, częściowo się zawaliły. Panuje chaos. W wodzie pływają zwłoki. Za dwie godziny horror zacznie się na nowo. Na mieszkańców miasta spadło piekło.

...tyle od naszego reportera Ernesta Willforda z miasta dla Radia Seven-Four-Nine z Luizjany.

– Zginiemy... – powiedział cicho Bill.

– Jeśli się poddamy, niczego w ten sposób nie zyskamy. Możemy walczyć o przeżycie.

– Boję się.

– Ja też, przyjacielu. Uwierz mi, ja też.

Socorro, Nowy Meksyk

Szeryf Dwain Hamilton wrócił do Albuquerque wieczornym samolotem. Kiedy w czwartek rano wszedł do biura, było widać, jak bardzo jest zmęczony.

Donna, Dave Lazard i pozostali zastępcy szeryfa wpatrywali się zafascynowani w telewizor włączony na kanał informacyjny. Fiodor narobił takich szkód w Nowym Orleanie i okolicy, że mówiono o niesamowitej i najstraszliwszej w historii katastrofie. Zawaliła się niezliczona liczba budynków, naporu wichru i wody nie wytrzymał nawet Superdome. Mowa była o ponad stu tysiącach ofiar śmiertelnych.

– Słyszałeś już o tym? – spytał Dave Lazard, kiedy ujrzał Dwaina.

Dwain pokręcił głową.

– W trakcie lotu słyszałem krótki reportaż w radiu, ale nie znałem szczegółów.

– Nowy Orlean został zalany wodą i błotem, zniszczonych albo ciężko uszkodzonych jest prawie siedemdziesiąt procent budynków. Coś niesamowitego.

Dwain skinął głową.

– Nie rozumiem, dlaczego nie ewakuowano miasta w odpowiednim czasie. – Dał znak Lazardowi, aby podszedł, po czym konspiracyjnie pochylił mu się do ucha. – Bardzo prawdopodobne, że ten zmarły to człowiek, który zaginął w Kanadzie.

– Skąd wiesz?

Dwain poprosił Lazarda, aby poszedł za nim do gabinetu. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, wyjął z kieszeni pudełeczko z zębem Allana Roberta Mcnisha.

– Potrzebuję analizy DNA tego zęba. Co prawda już w to nie wątpię, ale chcę mieć stuprocentową pewność.

– Robert Allan Mcnish z Kanady... – powiedział pod nosem Lazarda. – Czego tu szukał?

Dwain opowiedział, czego dowiedział się w Kanadzie. Lazard słuchał z uwagą.

Kiedy Dwain skończył, siostrzeniec głęboko wciągnął powietrze.

– Jasnowidz... – rzekł w końcu. – To chyba całkiem rozbija twoją teorię o obozie piechoty morskiej.

– Nie jasnowidz tylko medium. Ten stary, Grease, mówił o zdolnościach

paranormalnych. O zdolnościach metafizycznych, jakie spotyka się właściwie tylko u ludów pierwotnych.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to był oszołomem, świrem i na dodatek ćpunem, więc zapomnij o nim wreszcie. Jeżeli z powodu kogoś takiego chcesz dyskredytować całą naszą armię, to każdy uzna cię za wariata. Będziesz ugotowany.

Dwain popatrzył na leżące na biurku pudełko. Wziął je do ręki i podał Lazardowi.

– Może masz rację. Może on był ćpunem i oszołomem, ale mimo to chcę mieć pewność. Nie tylko dla siebie. Dopiero wtedy będę mógł zamknąć sprawę.

Lazard wziął pudełko.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Międzynarodowe lotnisko w Orlando, Floryda

Boeing 737-200 linii American Airlines wylądował planowo o godzinie 14.22. Mały Tom został zabrany przez karetkę prosto z terminalu i zawieziony do lotniskowego szpitala.

W hali czekał mąż Peggy – Robert. Mocno objął żonę i Sarah na powitanie, jakby już nigdy nie zamierzał ich puścić.

– Skąd wiedziałeś, że tu przylecimy? – spytała zdziwiona Peggy. Po policzkach spływały jej łzy. Od kilku godzin bezskutecznie próbowała skontaktować się z Robertem.

– Pułkownik mi powiedział. Wiem, co się stało z mamą... – Lekko pocałował Peggy w czoło. – Nasza jednostka została przeniesiona. Wczoraj szalał huragan nad Nowym Orleanem. Zniszczone jest osiemdziesiąt procent miasta. Huragan przesunął się dalej i w dalszym ciągu czyni poważne szkody. Kiedy się dowiedziałem, że wracacie, poprosiłem pułkownika o wolne. Tom już jest w szpitalu?

Peggy skinęła głową i wytarła łzy.

– Ma złamaną nogę. Lekarz uważa, że za kilka tygodni będzie mógł normalnie chodzić. Zaraz się do niego wybieram.

Robert podał Suzannah rękę i zrobił ruch, jakby zamierzał ją objąć.

– Przykro mi z powodu tego, co stało się z mamą. Suzannah skinęła głową.

- To jest Brian, towarzyszy mi. Robert skinął Brianowi głową.
- Wynająłem pokój w motelu tuż przy lotnisku. Chyba jesteście zmęczeni.

Może jeszcze mają coś wolnego?

- Nie ma sprawy, na pewno sobie jakoś poradzimy.

Poszli razem do znajdującego się bardzo blisko lotniska motelu Days Inn. Mieli szczęście – był jeszcze jeden wolny pokój, tyle że dwójka.

– Teraz najbardziej potrzebuję prysznic – oświadczyła Suzannah, kiedy się wprowadzili.

Brian usiadł na łóżku. Mieli za sobą ciężką i bezseną noc. Helikopterem przewieziono ich z Santiago de Cuba do Hawany, gdzie spędzili w niewygodzie kilka godzin w hali odlotów i dopiero rano mogli wraz z setką innych ewakuowanych wsiąść do samolotu lecącego do Stanów.

Brian przeglądał gazetę, którą wziął z recepcji. Z łazienki dolatywał szum wody. Nagle wstał, podszedł do łazienki i zapukał do drzwi.

- Co się stało? – spytał Suzannah.
- Znaleziono profesora Paula.
- Gdzie był?
- Nie żyje. Wyciągnięto go z jeziora razem z samochodem.
- Skąd wiesz?
- Przeczytałem w gazecie. Muszę natychmiast zadzwonić do Wayne'a

Changa.

Brian wziął notes i wybrał numer Wayne'a, okazało się jednak, że nie podnosi słuchawki. Spróbował zadzwonić ponownie, ale nic to nie dało.

7.

Kwatera główna NASA, Waszyngton

Dyrektor Bruce T. Traverston odsunął wycinek z gazety na bok i odłożył okulary na biurko.

– Nigdy się nie dowiemy, co go do tego pchnęło – powiedział Donald Ringwood i schował wycinek do aktówki. – Kiedy tak się zastanawiam, to przypominam sobie, że ostatnio coraz bardziej zamykał się w sobie. Kiedy rozmawiałem z nim o kosztach zespołu ekspertów, jaki powołał, i przekazałem mu, że dodatkowe wydatki trzeba będzie opłacić z rocznego budżetu, sprawiał wrażenie człowieka żyjącego w dużym napięciu.

Traverston pokręcił głową.

– Nie wierzę w to, aby śmierć Jamesa miała coś wspólnego z jego pracą. Żył dla NASA i wiedział, że w każdej sytuacji bym go poparł. Musi się za tym kryć coś innego. Może jakaś sprawa osobista. Niestety, jest już za późno. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, o co chodzi. Nie ma co spekulować, bo zaprowadzi nas to w ślełą uliczkę.

Ringwood skinął głową. Traverston wstał i podszedł do okna.

– Zawsze bardzo ceniłem Jamesa Paula. Miał niezwykle kwalifikacje fachowe i talent improwizacyjny w niecodziennych sytuacjach. Doskonale pamiętam, jak zaczęliśmy razem pracować przed wielu laty przy programie Apollo. Oddał lotom kosmicznym duszę. To dla nas ogromna strata.

– Zgadza się z panem całkowicie – powiedział Ringwood.

– Przejmie pan na razie kierownictwo nad działem, aż znajdziemy odpowiedniego następcę Jamesa.

Uśmiech na twarzy Ringwooda zamarł. Jego oczy nerwowo zamigotały.

– Ale sądziłem, że...

– Donaldzie, jest pan znakomitym administratorem – przerwał Traverston.

– Bardzo cenię pana pracę, ale program promu kosmicznego wymaga kierownika naukowego. Nie twierdzę, że nie poradziłby pan sobie z pracą na tym stanowisku, a jedynie to, że pańskie miejsce jest za kulisami. Polegam na pańskiej lojalności wobec NASA. Potrzebujemy każdego człowieka na najlepszym dla niego miejscu – zwłaszcza teraz, kiedy w najbliższych latach należy się liczyć z coraz większymi ograniczeniami funduszy.

Donald Ringwood wbił wzrok w podłogę. W środku się gotował, starał się jednak wyglądać na spokojnego i zrównoważonego, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– Sądziłem, że teraz, kiedy profesor Paul odebrał sobie życie, gwarancją sukcesu zaplanowanej misji ISS może być ciągłość przy kierowaniu projektem promu kosmicznego – podjął Ringwood kolejną próbę.

– Też tak uważam i właśnie dlatego mam na myśli doskonałego naukowca, kobietę, która bardzo blisko współpracowała z Jamesem Paulem i w ostatnich latach była jego prawą ręką.

– Ma pan na myśli Lisę White Eagle? Chyba pan żartuje?!

– Po tym, jak przekazałem panu tymczasowe kierownictwo, ponieważ nie udało się nigdzie znaleźć Jamesa, przeniósł pan obu astronautów do sanatorium i wysłał naukowców do domu.

Ringwood patrzył niepewnie na Traverstona.

– To było niemądre – oświadczył Traverston. – Powinniśmy dbać o naszych ludzi, a nie pozbywać się ich. Przede wszystkim nie zrażamy do siebie naukowców należących do najwybitniejszych w naszym kraju. Jeśli coś takiego się rozejdzie, stracimy reputację, a w tych trudnych czasach nie możemy sobie pozwolić na bycie obiektem publicznej dyskusji.

– Chciałem jedynie zminimalizować koszty – wyjaśnił cicho Ringwood. – Zespół naukowców kosztował nas kilka tysięcy dolarów dziennie.

– Kierowanie naszym programem to coś więcej niż suche bilansowanie liczb. Z tego powodu moja decyzja jest nieodwracalna. Każdy ma swoje miejsce, a pańskie, drogi Donaldzie, zawsze było za liczydłem. A teraz proszę mi wybaczyć, bo mam ważne spotkanie.

Kiedy Donald Ringwood szedł długim korytarzem w kierunku klatki schodowej, kłębiły się w nim różne emocje. W końcu przygnębienie zamieniło się

w protest, a rozczarowanie we wściekłość. Nie zasłużył na takie traktowanie – teraz była jego kolej, aby dostać się na szczyt!

Nowy Orlean, Luizjana

Fiodor pozostawił Nowy Orlean za sobą – choć raczej należałoby powiedzieć: to, co zostało z Nowego Orleanu. Huragan wyraźnie osłabł, ale mimo to przesuwał się dalej na północny zachód z prędkością obrotową prawie dwustu kilometrów na godzinę. Na jego kursie znajdowało się Baton Rouge. Z szarego nieba wystrzeliwały w kierunku powierzchni ziemi błyskawice, a wicher w dalszym ciągu robił znaczne szkody budynkom i infrastrukturze. Bramy nieba cały czas były szeroko otwarte, a deszcz w dalszym ciągu napełniał powstałe w mieście jezioro.

W stojącym pod wodą, zniszczonym mieście nad Missisipi działania ratunkowe zaczynały się bardzo powoli i niemrawo. Większość przygotowanych maszyn i środków transportu zostało zniszczonych wraz z miastem, z powodu gwałtownych wiatrów loty helikopterami były zbyt ryzykowne, sieci radiowe i telefoniczne przestały istnieć, drogi nie nadawały się do użytku. Stało się jasne, że pełen zakres zniszczeń będzie znany dopiero po tym, jak po wielu dniach, a nawet tygodniach woda opadnie i odsłonięta zostanie ziemia. Pasy startowe obu lotnisk – na zachodzie i na północy miasta – były uszkodzone, zniszczona została cała infrastruktura lotnisk.

Przez najbliższy czas do Nowego Orleanu oraz innych miejscowości na wybrzeżu będzie można dotrzeć tylko od strony Zatoki Meksykańskiej, ale wysoka woda kryła niebezpieczeństwa. Mieszkańcy Nowego Orleanu, którzy przeżyli katastrofę, jeszcze przez jakiś czas mieli zostać pozostawieni własnemu losowi. Niejasne było, ile osób przeżyło, a ile huragan zabił.

Ta sytuacja sprawiała, że znajdujący się w Białym Domu Cliff Sebastian czuł, jak zaciska mu się krtań.

– Musimy się liczyć z dwustoma tysiącami ofiar śmiertelnych – powiedział młody doradca prezydenta i czerwonym długopisem napisał tę liczbę na leżącym przed nim bloku.

– Jak sytuacja rozwinie się dalej? – spytał sekretarz bezpieczeństwa krajowego. – Czego mamy się jeszcze spodziewać po tym huraganie?

Cliff Sebastian przetknął ślinę.

– Podejrzewamy, że huragan będzie się przesuwiał dalej na północny zachód. W ciągu ostatnich czterech godzin znacznie osłabł. Wiatr w dalszym ciągu będzie słabł, chmury są jednak cały czas nasączone wodą i będzie padać jeszcze wiele godzin, może kilka dni. Dopiero jutro da się powiedzieć coś więcej na ten temat.

– Jeżeli i tym razem się pan nie pomyli – wtrącił zjadliwie Wagner.

Cliff Sebastian zmużył oczy.

– Mam dość pana przytyków. Ten huragan był nieobliczalny. Stale zmieniał kurs i prędkość przesuwu. Jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Był nieprzewidywalny jak drapieżnik, który wyrwał się z klatki. Złamał wszelkie reguły, jakie rządzą huraganami.

– Czy coś takiego może się powtórzyć? – spytał oficer sił powietrznych.

– Tallahassee było preludium, a Nowy Orlean pierwszym aktem – odparł Cliff Sebastian. – Obawiam się, że w nadchodzących latach coś takiego nie będzie wyjątkiem.

– To spekulacja – stwierdził Wagner. – Ważne jest, żebyśmy szybko działali. Potrzebujemy floty jednostek ratunkowych, które wpłyną do miasta. Na pewno wiele osób przeżyło. Chciałbym, żeby natychmiast została rozpoczęta intensywne akcja. Prezydent w ciągu godziny wyleci z Camp David, chce poznać się z sytuacją na miejscu.

– Mam więc nadzieję, że do miasta szybko dotrą reporterzy – powiedział zjadliwie Cliff Sebastian.

– Helikoptery są gotowe do lotu – oznajmił oficer. – Założymy w Biloxi bazę i będziemy stamtąd koordynować akcję ratunkową. Przede wszystkim będziemy potrzebowali miejsc do spania i personelu sanitarnego.

– Też polecimy do Biloxi – oznajmił sekretarz. – Proszę wszystko przygotować.

Wagner wstał.

– No tak, pan Sebastian służył nam znakomicie swoją radą, nie sądzę jednak, abyśmy w trakcie ewakuacji potrzebowali jego pomocy.

– Dziękuję więc panu za współpracę – rzekł sekretarz Summerville.

Zanim Wagner wyszedł, odwrócił się po raz ostatni.

– No i oczywiście, panie Sebastian, zanim zapomnę, chciałbym powtórzyć, że wszystko, o czym była mowa w tym pokoju, jest objęte całkowitą tajemnicą. Rozumie pan?

- Może mnie pan pocałować gdzieś.
- Chciałem tylko o tym przypomnieć, zanim znowu przyjdzie panu ochota na rozmówki z dziennikarzami.

Motel Days Inn, Orlando, Floryda

Tego dnia Brian jeszcze kilka razy próbował dodzwonić się do Wayne'a Changa, ale nie dało się go złapać ani w domu, ani w pracy, ani na komórkę. Dodzwonił się do Camp Springs do mężczyzny o nazwisku Vargas, który przekazał, że Wayne był we wtorek w biurze, ale opuścił miejsce pracy w pośpiechu, nie zostawiając żadnej wiadomości. Także Vargas wielokrotnie próbował nawiązać kontakt z Wayne'em Changiem. W ich firmie wystąpiły jakieś problemy z systemem komputerowym, ale wszystko wskazywało na to, że Wayne'a nie ma też w domu. Zdaniem Vargasa najprawdopodobniej pojechał do przyjaciółki, ale nikt w firmie nie znał jej adresu.

Brian rozczarowany odłożył słuchawkę i zadzwonił na przyładek Canaveral, aby dowiedzieć się szczegółów na temat śmierci profesora Paula. Niestety, kobieta w centrali odesłała go do oficjalnego komunikatu NASA.

Suzannah zasnęła ze zmęczenia i wkrótce Brian – też wycieńczony wydarzeniami minionej nocy – położył się na kanapie i zasnął. Obudził się tuż po ósmej. Suzannah w dalszym ciągu spała. Oddychała spokojnie i równomiernie. Brian znowu wybrał numer Wayne'a Changa, ale znowu nikt nie odebrał. Nie odbierał też komórki.

Zniechęcony ruszył do recepcji.

- Macie tu komputer z dostępem do Internetu? – spytał nocnego portiera.
- Portier wskazał na stojący w kącie komputer.
- Dolar za pół godziny – dodał obojętnie.

Brian usiadł przy komputerze, aby napisać e-mail do Wayne'a Changa. Kiedy otworzył swoją skrzynkę pocztową, okazało się, że wśród powodzi e-maili, które spłynęły do niej w ostatnich dniach, były trzy od Wayne'a Changa. Otworzył pierwszą wiadomość i szybko ją przejrzał. Wayne dotrzymał obietnicy i zajął się analizą huraganów. W drugim e-mailu potwierdził hipotezę Briana i najwyraźniej w huraganach występowały niezwykle szczególne szczegóły, które przyprowadziły Wayne'a o ból głowy. Brian otworzył trzecią wiadomość, która została wysłana w poprzedni wtorek.

Cześć Brian!

Musimy się pilnie spotkać. Natknąłem się na coś, czego nijak nie umiem wyjaśnić. Zgłoś się jak najszybciej.

Wayne Chang

Trzy krótkie zdania, ale wystarczyły, aby zaniepokoić Briana. Kiedy wrócił do pokoju, Suzannah leżała przebudzona na łóżku.

- Już sądziłam, że sobie poszedłeś.
- Sprawdziałem pocztę. Wayne Chang przysłał kilka wiadomości. Koniecznie chce ze mną rozmawiać, ale nie mogę się z nim skontaktować. Coś tu nie gra. Jutro do niego polecę.
- Polecę z tobą.

Beaumont, Teksas

Jennifer Oldham wyszła z redakcji po dziesiątej wieczór. Miała wyrzuty sumienia, ponieważ od czterech dni nie kontaktowała się z Wayne'em Changiem. Winę za to ponosiła praca. Głównym tematem minionych dni był Fiodor i w redakcji panowało szaleństwo. Artykuł gonił artykuł, nikt w „South Coast Magazine” się nie oszczędzał.

Zjechała windą do podziemnego garażu ośrodka medycznego przy Laurel Avenue. Jej czerwony chrysler le baron stał tuż przy windzie. O tej porze w garażu nie było żywej duszy. Po wyjściu z windy ruszyła prosto do samochodu, po drodze odblokowując drzwi. Zanim wsiadła, poczuła obecność drugiej osoby. Włoski na karku stanęły jej dęba i po plecach przebiegł lodowaty dreszcz. Odwróciła się i ujrzała przed sobą zamaskowanego osobnika. Zanim zdążyła krzyknąć, silnie zbudowany mężczyzna zasłonił jej usta dłonią. Precyzyjne uderzenie trafiło ją w szyję i padła na podłogę. Po chwili napastnik siedział na niej okrakiem i zasłaniał jej dłonią usta. Drugą ręką rozerwał jej bluzkę, ściągnął biustonosz i owinął go Jennifer wokół szyi. Próbowwała się bronić, ale z mężczyzną takiej postury nie miała szans. W końcu mężczyzna odsunął dłoń od jej ust i złapał drugi koniec biustonosza. Jennifer chciała krzyknąć, ale jedynie cicho westchnęła. Mężczyzna z całej siły pociągnął biustonosz i odciął swojej ofierze dopływ powietrza. Opór Jennifer ustał. Napastnik upewnił się, że ofiara nie żyje, podciągnął jej spódnicę i zdjął majtki, które wepchnął jej

do ust. Zanim wstał, wsunął trupa pod samochód. Po chwili zniknął w ciemnościach.

Nowy Orlean, Luizjana

Niebo nad miastem było zachmurzone. Nad Nowym Orleanem rozpościerał się ponury szary całun i można było odnieść wrażenie, że zamierza zasłaniać słońce po wsze czasy. Deszcz prawie przestał padać i do brązowej śmierdzącej wody, która wypełniała ulice miasta, wpadały już tylko pojedyncze krople. Z odmetów wystawały jedynie wysokie latarnie na rogu Rampart Street i Orleans Avenue. Park Louisa Armstronga zamienił się w jedno wielkie jezioro, z którego co kilkanaście metrów wystawały korony drzew. Theatre of Performing Arts częściowo się zawalił i został zalany wodą. Wodzie i wichrowi oparła się jedynie nadbudówka nad sceną. Betonowy kloc wznosił się wysoko niczym wieża zrujnowanego starego zamku. Wystawały z niego połamane stalowe dźwigary, a wszystko otaczała brązowa, pełna szlamu, śmierdząca woda.

Schneider i młody strażak wytrzymali dwie doby w pomieszczeniu technicznym. Byli bardzo głodni. Ostrożnie, macając po omacku, Schneider zaczął sunąć ku wyjściu. Podłoga na pierwszym piętrze była bardzo krucha i pełna dziur. Dziesięć metrów dalej budynek się urywał. W oddali widać było to, co kiedyś tworzyło linię szczytów wieżowców centrum miasta – teraz z wody wystawały jedynie resztki konstrukcji dachów, całego dachu nie było na żadnym z budynków.

– Widać kogoś? – spytał młody strażak, którego historię życia Schneider zdążył szczegółowo poznać.

Schneider rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Cisza nad miastem, w którym normalnie mieszkańcy i turyści wypełniali ulice, była upiorna. Znikł hałas ruchu ulicznego, odgłosy rozmów, nawet świergot ptaków. Jedynym odgłosem był plusk i chlupot wody. Prąd wody był silny i tu i ówdzie niosła ona wyrwane drzewo albo kawałki drewnianych konstrukcji domów.

– Nikogo nie widzę – oparł Schneider i oparł się o ścianę.

Strażak też już wyszedł z kryjówki i balansując na stalowym dźwigarze, zmierzał w kierunku przeciwległej części budynku, skąd otwierał się widok na północ.

– Idź ostrożnie! – ostrzegł go Schneider. – To wszystko może się zawalić!

Młody człowiek skinął głową i szedł dalej. Powoli, krok po kroku. Schneider odwrócił się, więc jedynie kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Głośny łoskot, jaki nastąpił, świadczył o tym, że zawałił się kolejny fragment piętra, na którym się znajdowali. Bill głośno wrzasnął. Schneider gwałtownie odwrócił się w jego kierunku i ujrzał, jak Bill, machając rękami, łapie kawałek zbrojenia. Z dziury w podłodze wystawały mu tylko ręce i głowa, reszta ciała wisiała nad kilkupiętrową otchłanią.

– Na pomoc! Pomóż mi! – darł się wniebogłosy.

– Wytrzymaj chwilę! – odkrzyknął Schneider. – Już do ciebie idę!

Schneider o mało nie potknął się o wystający z betonu kawał żelaza, udało mu się jednak w ostatniej chwili ominąć przeszkodę. Pot spływał mu z czoła. Bill był czerwony z wysiłku, zbieleły mu kostki dłoni.

– Wytrzymaj jeszcze trochę, zaraz przy tobie będę... – wydyszał Schneider i padł na beton. Złapał nadgarstki Billa.

Młody strażak od razu poczuł ulgę. Ręce miał zakrwawione, ponieważ ostre kanty stali wrzynały mu się w skórę.

Schneider ciągnął z całych sił, ale ciało Billa nawet nie drgnęło. Najwyraźniej chłopak gdzieś się zaklinował.

– Trzymaj mocno! – powtórzył Schneider. – Muszę stanąć nad tobą, bo inaczej cię nie wyciągnę!

Bill prawie niewidocznie skinął głową. Ból dłoni niemal odbierał mu zdolność oddychania.

Schneider zaczął powoli wstawać. Uważnie obserwował beton w pobliżu dziury. Podejrzewał, że cała podłoga grozi zawaleniem. Dźwigary, na których zamocowano sufit pierwszego piętra, przebiegały metr dalej.

– Dłużej już nie wytrzymam... – wyjęczał Bill. Po policzkach spływały mu łzy.

Schneider nerwowo się rozejrzał. Gdyby znalazł jakąś deskę albo belkę, żeby rozłożyć swój ciężar na większą powierzchnię...

– Spadam... Boże, spadam... – wyjęczał Bill. Był wyraźnie u skrajności.

Schneider musiał natychmiast coś zrobić. Kiedy ponownie pociągnął, dach podejrzenie zatrzęszczał. Bill sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał stracić przytomność. Schneider znowu pociągnął mdlejące ciało swego towarzysza. Rozległ się kolejny trzask, na kafelkach, jak w zwolnionym tempie, pojawiały się pęknięcia. Wyglądało to, jakby pękał nadmiernie obciążony cienki lód. Pęknięcia poszerzały się, rozległ się głośny łoskot, płyta podłogowa oderwała się od

dźwigara i poleciała razem ze Schneiderem i młodym strażakiem w brunatny odmęt. Spadając, Schneider puścił Billa i wpadł do wody niemal pionowo. Zanim wypłynął z powrotem na powierzchnię, trafił go w głowę jakiś stalowy element. Zrobiło mu się czarno przed oczami i zaczął opadać na dno. Pograżył się w szlamie zaraz za młodym strażakiem.

Niecałe dziesięć sekund później powietrze wypełnił terkot łopat wojskowego helikoptera. Bell zbliżał się do centrum Nowego Orleanu od północy, ale dla Schneidera i młodego strażaka pomoc przyszła zbyt późno.

Camp Springs, Maryland

Następnego dnia z samego rana Suzannah i Brian udali się do budynku lotniska i kupili bilety na lot do Waszyngtonu. Potem wynajętym samochodem pojechali do Camp Springs. Kiedy zapytali w recepcji budynku służby meteorologicznej o Wayne'a Changa, dostali informację, że jest nieosiągalny.

– Czy mogę w takim razie mówić z panem Vargasem? – spytał Brian.

Portier skinął głową i sięgnął po słuchawkę.

Kilka minut później z windy w holu wysiadł przysadzisty mężczyzna z bujną czarną czupryną, ubrany w hawajską koszulę z krótkim rękawem.

– Pan Vargas? – spytał Brian niecierpliwie.

Vargas skinął głową i patrzył pytająco na gościa.

Brian wyciągnął ku niemu dłoń.

– Nazywam się Brian Saint-Claire, a to jest Suzannah Shane i jesteście moimi przyjaciółmi Wayne'a Changa. Od wczoraj próbuję się z nim skontaktować. Rozmawiałem już chyba z panem przez telefon.

Vargas chwilę się zastanowił.

– O tak, przypominam sobie... kiedy mieliśmy problemy z siecią. Z powodu wirusa. W takich sytuacjach mnóstwo się dzieje. Musieliśmy sprawdzić wszystkie programy na serwerze.

Brian uśmiechnął się wyrozumiale.

– Ciągłe jeszcze szukam Wayne'a. Był dziś w pracy?

Vargas popatrzył na portiera.

– Ja go nie widziałem. W naszym dziale jest urwanie głowy. Najpierw huragan, a potem wirus komputerowy, który przy zabezpieczeniach, jakie mamy, wcale nie powinien się przedrzeć. Musiał się przedostać na płytę główną poprzez komputer któregoś z pracowników. Może ktoś znowu zainstalował sobie

jakaś grę dla relaksu. Ale wie pan co? Wayne mieszka bardzo blisko stąd. W Rosslyn Heights. Może będzie w domu?

- Do domu też dzwoniłem, ale nic to nie dało.
- A do jego przyjaciółki?
- Niestety, nie wiem, jak się nazywa i gdzie mieszka.

Vargas był wyraźnie zirytowany.

- Poznaliśmy się w NASA – wyjaśnił Brian. – Chciał coś mi wyjaśnić.

Wie pan może, nad czym ostatnio pracował?

Vargas westchnął.

– W ostatnich dniach zaszył się w swoim gabinecie. Gadał coś o jakimś programie analitycznym. Najprawdopodobniej związanym z huraganami, które ostatnio szaleją nad naszym krajem, ale nie znam szczegółów. Niech pan pojedzie do niego do domu – mieszka w Arlington, przy Parku Waszyngtona – to tylko kilka kilometrów stąd. Dokładny adres to Quinn Street tysiąc czterysta cztery, apartament trzydzieści cztery b, Rosslyn Heights.

- A gdybym go nie zastał, gdzie znajdę jego przyjaciółkę?

Vargas zmierzył spojrzeniem Briana od stóp do głów. Zastanawiał się, czy może zdradzić taką informację. Po chwili podjął decyzję.

– Wiem tylko, że ma na imię Jennifer i pracuje w dziale naukowym „South Coast Magazine” w Beaumont.

– Dziękuję panu – powiedział Brian i dał Vargasowi swoją wizytówkę. – Gdyby Wayne się pojawił, niech zaraz zadzwoni do mnie na komórkę.

- Oczywiście. Przekażę mu wiadomość.

Jazda z Camp Spring do Rosslyn Heights potrwała prawie dwie godziny. Ulice i drogi szybkiego ruchu były zapełnione samochodami, a akurat na moście Roosevelta musiał zdarzyć się wypadek.

Quinn Street odchodziła od Wilson Boulevard i biegła przez dzielnicę, w której mieszkali ludzie z wyższej warstwy średniej. Dominowała zieleń: duże połacie trawników, drzewa, małe parki z eleganckimi miejscami do siedzenia. Wayne mieszkał w nowym apartamentowcu, którego pokryta klinkierem i jasnym marmurem fasada harmonijnie łączyła się z otoczeniem. Suzannah i Brian przeszli przez ulicę i weszli do holu. Windy znajdowały się naprzeciwko wejścia, zanim jednak zdążyli przestudiować plan wiszący między wejściami do wind, za ich plecami rozległ się basowy głos.

- W czym mogę pomóc?

Suzannah i Brian odwrócili się jak na komendę. Przyglądał im się nieufnie

ciemnoskóry, wysoki i silnie umięśniony mężczyzna w granatowym mundurze ochroniarza.

– Chcemy się dostać do profesora Changa. Mieszka w apartamencie trzydzieści cztery b – wyjaśnił Brian.

– Pana nazwisko?

– Brian Saint-Claire, jestem przyjacielem profesora.

Ochroniarz skinął głową.

– Proszę zaczekać. Zamelduję państwa.

Ochroniarz zniknął za znajdującą się z lewej strony ladą recepcji. Idąc w kierunku wind, Brian go nie zauważył. Za ladą zamontowane były dwa monitory – na jednym z nich co kilka sekund zmieniał się obraz z kamer przed wejściem do budynku, na drugim widać było podziemny garaż. Najwyraźniej w tym domu przykładano dużą wagę do bezpieczeństwa.

– Przykro mi – powiedział po dwóch minutach ochroniarz. – Profesora Changa najprawdopodobniej nie ma w domu.

Brian pytająco popatrzył na Suzannah.

– Dziwne. W końcu sam kazał nam przyjść.

Ochroniarz wzruszył ramionami.

– Mogę spróbować jeszcze raz, ale... proszę chwilę zaczekać. – Ochroniarz wcisnął jeden z przycisków znajdujących się na wmontowanym w ladę pulpicie i obraz na monitorze ukazującym garaż zaczął się zmieniać, aż ukazał się srebrny mercedes klasy S. – Samochód stoi na swoim miejscu... ale nie widziałem profesora od kilku dni... Nic też nie wspomniał o tym, że się kogoś spodziewa... zazwyczaj w takim wypadku do mnie dzwoni.

– Czy mógłby pan jeszcze raz zadzwonić do niego na górę? – spytał Brian.

Ochroniarz kiwnął głową i ponownie sięgnął po słuchawkę. Po wybraniu numeru odczekał minutę i pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie ma go w domu.

– W takim razie proszę nas wpuścić na górę. Zapukamy do drzwi – zaproponowała Suzannah.

Ochroniarz energicznie pokręcił głową.

– Niestety, nie mogę się na to zgodzić.

– Niech pan zrobi wyjątek. Profesor i ja jesteśmy kolegami – przekonywał Brian.

– Przykro mi, ale siedzę tu po to, żeby ludzie nie mogli, ot tak sobie, wchodzić i wychodzić. Mieszkańcom bardzo zależy na bezpieczeństwie. Taką

mam pracę i proszę to zrozumieć.

Brian skinął głową, Suzannah uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Wyglądamy na włamywaczy? – spytała.

– Nic z tego, droga pani – odparł ochroniarz. – Mam pięcioro dzieci, a ta praca jest naprawdę dobra. Polega głównie na tym, żeby nikt nie wsiadał do tych wind bez zgody któregoś z mieszkańców.

Suzannah wciągnęła głęboko powietrze, ale Brian położył jej dłoń na ramieniu.

– W takim razie spróbujemy później – rzekł i wyprowadził Suzannah na zewnątrz.

8.

Nowy Orlean, Luizjana

Kiedy pierwsze wojskowe helikoptery przeleciały nad miastem, ukazał się pełen obraz katastrofy. Nowy Orlean nie istniał. Tam gdzie kiedyś stały szeregi domów, rozlewało się wielkie jezioro brązowej śmierdzącej wody. Gdzieniegdzie wystawały z niej ruiny albo fragmenty dachów. Piloci bezskutecznie szukali żywych. Wszyscy mieszkańcy zginęli w straszliwych męczarniach. Utonęli na niższych piętrach domów mieszkalnych oraz w schronach przeciwoatomowych wielkich budynków, ponieważ szyby wentylacyjne nie były zabezpieczone przed wodą, lub zostali zgnieceni przez zawalające się piętra budynków, które pękały jak zapałki pod naporem apokaliptycznego huraganu. Kto uciekł przed wodą na dach, został zwiany przez podmuchy wichru, któremu nie mógł się oprzeć żaden człowiek. To, co się stało, dobitnie ukazało, jak bezbronny jest człowiek wobec sił przyrody, które sam uwolnił w ciągu minionych kilkadziesiąt lat.

Przed katastrofą, nie licząc okolicznych miasteczek, wsi i farm, miasto zamieszkiwało pół miliona ludzi i stanowiło ono ważny ośrodek kulturalny na południu Stanów Zjednoczonych, a teraz zostało po prostu zmiecione z powierzchni ziemi. Dzielnica Francuska została całkowicie zniszczona, City Park znalazł się pod brunatną wodą. W tym mieście nie da się normalnie żyć przez najbliższych kilka lat. Z pewnością część ludzi wróci i z pewnością, jak ogłosił to burmistrz w mediach, któregoś dnia miasto rozbłyśnie nowym blaskiem, strach jednak pozostanie. Ostatnim godzinom miasta towarzyszył ryk wichru i szum deszczu.

Pilot skręcił na południe. Mniej więcej dwieście tysięcy ludzi na czas opuściło miasto i znalazło schronienie w głębi ładu – nie było najmniejszej

wątpliwości, że z pozostałych trzystu tysięcy nikt nie przeżył.

Kiedy jeden z pilotów krążył nad Louisiana Superdome, do oczu napłynęły mu łzy. Ze stadionu niewiele pozostało. Przed rokiem jego ulubieni Rangersi obronili Superpuchar, ale teraz było to już tylko historią. Tak samo jak do historii przeszło miasto zalane przez powódź.

Kiedy leciał dalej w kierunku jeziora Pontchartrain, nagle zauważył, że machają do niego ludzie. Płynęli na drewnianym kawałku fasady domu przerobionym na tratwę.

Pilot połączył się z centralą i dowiedział się, że w drodze są łodzie. Miały dopłynąć za kilka minut. Kiedy potwierdzał odbiór, stanęło mu serce. Na jego oczach woda przerwała wał przeciwpowodziowy i błotnista fala zniszczyła szczyt wysokiej przeszkody niczym zamek z piasku. Tratwa gwałtownie się zabijała i znajdujący się na niej ludzie, w tym kobiety i dzieci wpili się w nią tak mocno, jak tylko się dało. Pilot musiał bezradnie obserwować, jak w chwili gdy uderza w nią fala, tratwa wywraca się do góry dnem.

– Szybko, kilka łodzi do portu jachtowego! – zawołał pilot do mikrofonu.

Kiedy podano mu pozycje, na jakich znajdują się łódki ratowników, od razu wiedział, że przyplyną za późno, aby uratować nieszczęśników.

Rosslyn Heights, Arlington

– Co prawda nie znam go długo, ale to chyba do niego niepodobne – powiedział Brian. – Nie mógł po prostu zniknąć bez zostawienia jakiegokolwiek wiadomości. W trakcie analiz, które prowadził, odkrył coś tak niezwykłego, że chciał natychmiast ze mną rozmawiać. Mówił o anomaliach termicznych. Ciekawe, co miał na myśli?

– Jestem psychologiem, nie fizykiem – odparła Suzannah.

Brian odwrócił się i popatrzył na fasadę domu Wayne'a.

– Nazwał huragany trojaczkami, jakby były ze sobą powiązane.

– Co kombinujesz? – spytała Suzannah, podążając za spojrzeniem Briana.

– Tylko nie rób żadnych głupstw...

Brian pokręcił głową.

– Wayne odkrywa coś dziwnego, wręcz niepokojącego, co łączy ze sobą huragany, każe nam do siebie przyjechać, po czym znika bez śladu. Jego samochód stoi w garażu, ale jego samego nie ma w domu. Coś mi tu śmierdzi.

- Mógł pojechać taksówką na lotnisko.
 - Poza tym ten Vegas mówił, że...
 - Vargas.
 - Niech będzie Vargas. Mówił coś o wirusie w sieci komputerowej. No cóż, moim zdaniem w takiej instytucji jak służba meteorologiczna pracuje się z całkowicie bezpiecznymi systemami.
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - To, że zaraz wdrapię się na tamto drzewo, wejdę do środka przez otwarte okno na trzecim piętrze i spróbuję się dostać do mieszkania Wayne'a.
 - Chyba oszalałeś? Nie możesz czegoś takiego zrobić!
- Brian uspokajająco uniósł ręce.
- Intuicja mi mówi, że jesteśmy na tropie czegoś ważnego. Może Wayne odkrył coś, czego nie powinien odkryć?
 - Cóż takiego? Huragan to huragan. Jeszcze nie da się kierować naturą.
- Brian się uśmiechnął.
- Może odkrył jakieś niedopatrzenia w swojej firmie mogące kosztować kogoś posadę. Nie mam pojęcia, co to może być, ale mam dziwne przeczucie, a przeczucia jeszcze nigdy mnie nie zwiodły.
 - A jeśli się mylisz i Wayne Chang śpi spokojnie we własnym łóżku albo jest u swojej dziewczyny na południu kraju?
 - Tym lepiej. W każdym razie potrzebuję twojej pomocy.
- Suzannah się wahała. Przyjrzała się nieufnie domowi i rosnącej przed nim topoli.
- Uda ci się wejść na górę?
 - Chybabym nie żartował.
 - A co ja miałabym robić?
- Brian się uśmiechnął.
- Odwrócić uwagę ochroniarza. Żeby wstał zza lady, wtedy nie będzie widział monitorów. Opowiedz mu jakąś historyjkę.
- Suzannah wzięła głęboki wdech.
- No dobrze. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że zostanę współniczką włamywacza.
 - Wyobraź sobie, że jesteśmy Bonnie i Clyde'em.
- Suzannah ruszyła w kierunku budynku.
- Pamiętaj, że ich zastrzelono.

□ □ □

Jednopokojowy apartament znajdował się nieco w głębi kompleksu mieszkalnego, na końcu zachodniego skrzydła, które ukończono dopiero przed rokiem. Jeszcze nie wszystkie mieszkania zostały wynajęte, co najprawdopodobniej wynikało z wysokiej ceny, jakiej żądano w sercu Arlington, tuż nad Potomakiem.

Żaluzje były zamknięte do połowy, przed oknem stał jasny obiektyw z zoomem, skierowany prosto na wejście do budynku po przeciwległej stronie Quinn Street. Na stole stały trzy monitory – obraz na jednym z nich pokazywał hol domu naprzeciwko, na drugim korytarz na trzecim piętrze domu naprzeciwko, a na trzecim wewnątrz mieszkania.

– Ona wraca! – powiedziała siedząca za biurkiem ciemnowłosa kobieta.

– Wiedziałem... – odparł mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. – A co porabia jej blond elegancik?

Kobieta wstała i podeszła do aparatu przed oknem. Powoli obróciła nim na statywie, przeszukiwała plac przed obserwowanym budynkiem. Po chwili przestała przesuwac aparat i dała znak okularnikowi, żeby podszedł. Odsunęła się o krok i wskazała na wizjer aparatu. Mężczyzna schylił się i popatrzył.

– Zrób mu kilka ładnych zdjęć i nie spuszczaaj go z oka – powiedział mężczyzna. – Nadszedł czas wezwać ekipę.

– A jeśli tylko chce iść w krzaki się wysikać?

– Wiem, czego on chce. Na jego miejscu zrobiłbym to samo.

□ □ □

Brian zaczekał, aż Suzannah zniknęła w drzwiach, po czym wszedł na trawnik i ruszył wolnym krokiem prosto w kierunku potężnej topoli. Rozejrzał się uważnie. Liczył mijające sekundy. Gdyby Suzannah nie udało się wciągnąć ochroniarza w rozmowę, byłaby już na zewnątrz. Odczekał niemal dwie minuty w cieniu drzewa, po czym z dużą wprawą wspiał się na najniższą gałąź. Szybko i sprawnie wchodził coraz wyżej i nie potrwało długo, jak znalazł się na małym występie balkonu. Po raz ostatni zdobył się na wysiłek i przeskoczył przez balustradę. Natychmiast się schował i ostrożnie zajrzał do mieszkania.

Pokój był pusty, nic nie świadczyło o tym, że ktoś jest w środku. Jeżeli dobrze odczytał umieszczony przy windach plan, był na balkonie mieszkania Wayne'a. Pchnął drzwi, ale nie chciały się otworzyć. Doszedł do wniosku, że przez okno – odsuwane do góry, z prostym zamkiem – chyba łatwiej będzie

wejść. Wyjął z kieszeni scyzoryk. Wsunął ostrze między okno a framugę i zaczął szukać zapadki zamka. Za trzecim pchnięciem metalowy bolec został podważony i okno się otworzyło. Kiedy Brian przesunął okno ku górze, poczuł stęchłe powietrze zmieszane ze słodkawym zapachem. Wziął jeszcze jeden haust świeżego powietrza i wsunął się do środka. W elegancko urządzonego pokoju panował nieład. Na podłodze leżały porozrzucone papiery, z szafy powysuwano szuflady. Wyglądało to tak, jakby ktoś w nich pospiesznie grzebał. Brian wszedł do korytarza. Im bardziej oddalał się od okna, tym wyraźniejszy robił się ów przenikliwy, słodki zapach. Zaciśnął palcami nos. W części pomieszczenia przeznaczonych na sypialnię panował taki sam bałagan jak w salonie. Co tu się stało? Dokonano włamania?

Tuż przed łazienką smród był nie do wytrzymania. Przez uchylone drzwi widać było rękę. Brian pchnął drzwi. Na podłodze leżały zwłoki. Brian z trudem przełknął ślinę. Odwrócił głowę z obrzydzeniem. Po chwili wziął się jednak w garść i zmusił do spojrzenia na trupa, który zaczynał się już rozkładać.

– Wayne! – krzyknął Brian i przeciągnął dłonią po twarzy. – Na litość boską!

□ □ □

– A gdybyśmy pojechali Delaware Avenue? – spytała Suzannah i popatrzyła nerwowo na zegarek.

– Proszę pani, możecie jechać przez Delaware, ale stowudziestką wyjedziecie prosto na Brookmont, a stamtąd już tylko rzut beretem do Rockville.

– Słyszałam jednak, że o tej porze jest tam spory ruch... – Suzannah powoli kończyły się pytania, a potężny ochroniarz coraz bardziej się niecierpliwił.

– A gdzie w mieście nie ma ruchu? – odparł, wzdychając.

– No dobrze. A więc stowudziestką do Brookmount i tam skrócić na północny wschód.

– Miejscowość nie nazywa się Brookmount, tylko Brookmont, a teraz proszę mi wybaczyć, bo mam pracę. – Ochroniarz spróbował się odwrócić, ale Suzannah złapała go za rękaw. – Co jeszcze?

– A jak najlepiej dojechać stąd do Camp Springs?

Ochroniarz wyrwał rękę.

– Autobusem.

Suzannah przygryzła wargę. Minęło siedem minut i nie wiedziała, czy Brian

zdążył zrobić swoje.

– Dziękuję bardzo! – zawołała Suzannah do ochroniarza. – Proszę mi wybaczyć natarczywość, ale mam beznadziejny zmysł orientacji i z wielkim trudem zapamiętuję opisy dróg dojazdowych. Wolę zapytać dwa razy.

– Nie ma sprawy, proszę pani – mruknął pod nosem ochroniarz i usiadł za ladą. Po chwili gwałtownie się odwrócił. – Przekłęta banda!

Suzannah zdążyła już jednak odwrócić się na pięcie i wyprysnąć jak strzała na ulicę. Za plecami słyszała głośne przekleństwa ochroniarza.

Krajowe Centrum Huraganów, Miami

Po opuszczeniu posiedzenia sztabu kryzysowego w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego Cliff Sebastian nie wrócił do Boulder, lecz wsiadł do maszyny lecącej do Miami. Chciał przekonać się na miejscu, jak wyglądają zniszczenia w Nowym Orleanie.

– Gwardia Narodowa przeniosła dwa oddziały do Biloxi – powiedział Allan Clark i pociągnął łyk parującej herbaty. – Straty spowodowane przez Fiadora poznamy dopiero wtedy, gdy opadnie woda.

– Liczba zabitych wynosi przynajmniej dwieście tysięcy – powiedział Cliff Sebastian. – Samo zawalenie się Superdome spowodowało trzydzieści tysięcy ofiar. Ofiarami na stadionie są przede wszystkim kobiety i dzieci. Nie mieli cienia szansy.

Allan Clark odstawił filiżankę.

– Ewakuacja zaczęła się zbyt późno. Huragan wodził nas za nos i w końcu uderzył w nasz najczulszy punkt. Nowy Orlean już od lat znajdował się na czerwonej liście.

– Byliśmy wobec tego cyklonu bezradni – odparł Sebastian. – Jeśli ten Wagner chce szukać winnych, niech najpierw wskaże na siebie. Działania prowadzono zbyt ostrożnie i powoli, a gdyby wszystko odbyło się tak, jak on chciał, w ogóle nie rozpoczęto by ewakuacji. Pozwoliłby wszystkim utonąć.

Allan Clark wziął do ręki leżący na stole faks i przebiegł po nim wzrokiem. W czołówce znajdowało się godło Stanów Zjednoczonych.

– Wzywają mnie na naradę do Białego Domu – powiedział z niewiarą w głosie. – To rozkaz. No cóż, jeśli dojdzie do wymiany ciosów, jestem gotów zrezygnować z pracy. Spędzę resztę życia nad którymś z jezior w Saskatchewan. Będę łowił ryby, wędrował i cieszył się każdym dniem.

- Masz wolny pokój?
- Allan Clark się uśmiechnął.
- Na twoim biurku też na pewno leży miłe pismo z Waszyngtonu.
- A dlaczego twoim zdaniem nie dzwonię do Boulder?

Rossllyn Heights, Waszyngton

Brian wrócił biegiem do salonu. Wpadł w panikę. Przez głowę przebiegały mu szalone myśli. Wyszedł przez okno i usiadł na kilka sekund na balkonie. Serce mu waliło. Wayne padł ofiarą włamywacza, który zamordował go z zimną krwią. Świadczyły o tym ślady duszenia.

Wstał i przeskoczył przez balustradę balkonu. Trzymając się jedną ręką metalowego obramowania, postawił stopę na najbliższej gałęzi, zrobił to jednak w takim pośpiechu, że niemal spadł, na szczęście zdążył się złapać innej gałęzi. Pospiesznie zszedł kawałek niżej. Nagle się poślizgnął, stracił równowagę i runął w dół. Machał rękami, aż złapał kolejną gałąź. Na chwilę powstrzymało to upadek, jednak gałąź się złamała i Brian wyładował na trawniku. Na moment stracił dech i całe jego ciało przeszył ból. Oszołomiony leżał przez chwilę bez ruchu.

– Musimy uciekać! – Przywrócił go do przytomności krzyk Suzannah. Wstał i zobaczył, że biegnie w jego kierunku. – Musimy stąd uciekać! On coś zauważył!

Na ulicy zapiszczały opony. Brian był cały obolały, ale zagryzł zęby i wstał. Podziękował Stwórcy, że ma wszystkie kończyny całe.

– Wayne nie żyje! – wrzasnął do Suzannah. – Został zamordowany!

Na te słowa Suzannah stanęła jak wryta.

– Rusz się, tempo! – polecił Brian. – Jeśli nas złapią, mogą nas uznać za morderców!

Lekko skinęła głową.

– Chodźmy do samochodu...

– Zapomnij o samochodzie – syknął Brian i złapał ją za dłoń. Kątem oka widział dwie ciemno ubrane postacie, które pojawiły się przy wejściu do budynku. – Szybko, zwijamy się stąd!

Pociągnął Suzannah za sobą. Pobiegli przez park.

– Stać! – rozległ się okrzyk za ich plecami. – Stać! Policja!

Brian i Suzannah biegli dalej. Ciemno ubrani osobnicy ruszyli za nimi w pogoń.

– Stać! – zawołał po chwili jeden z nich.

Suzannah musiała zmobilizować wszystkie siły. Długie lata biegania teraz procentowały i udało im się zwiększyć dystans dzielący ich od prześladowców. Biegli w kierunku najbliższego budynku. Nagle huknął za nimi strzał. Pocisk przeleciał tuż nad ich głowami. Brian schował głowę między ramiona. Kilka przecnic dalej zawyły policyjne syreny, ich odgłos jakby napływał falami ze wszystkich stron. Uciekinierzy walczyli ze zmęczeniem, ale sił dodawało im przerażenie.

Dotarli do budynku na końcu parku. Mieli przed sobą szeroką ulicę. Zatrzymali się na chwilę. Brian ujrzał srebrny autobus stojący na przystanku. Z otwartymi drzwiami!

– Tam! – zawołał.

Udało im się dotrzeć do autobusu w chwili, gdy kierowca zamierzał zamknąć drzwi. Ulicą przejechał na dużej prędkości radiowóz z włączonym kogutem na dachu. Brian i Suzannah opadli na dwa wolne siedzenia. W środku było niewiele osób i nikt nie zwracał uwagi na dwójkę pasażerów, którym udało się dostać do autobusu w ostatniej chwili. Kiedy autobus wreszcie ruszył, Brian głęboko odetchnął. Powoli się uspokajał. Suzannah siedziała obok skulona jak zgoniony pies i ciężko oddychała.

– Wayne leży w łazience – szepnął Brian. – Szafy i sypialnia zostały przeszukane. Wyglądało to na włamanie. Wayne został uduszony.

Suzannah patrzyła na Briana, jakby nie docierały do niej jego słowa.

– Chcesz powiedzieć, że został napadnięty przez włamywacza? To... to okropne!

Autobus skręcił w ulicę prowadzącą do Georgetown i wjechał na most Roosevelta.

– Dlaczego gliniarze tak szybko zjawili się w mieszkaniu Wayne'a, skąd wiedzieli, że w środku jest trup, i dlaczego, do cholery, tak szybko wpadli na nasz trop? – zapytał po chwili milczenia Brian.

Suzannah pytająco na niego popatrzyła.

– Skąd te pytania?

– Jeden z gliniarzy do nas strzelał. Policja nie strzela do włamywaczy. Może do morderców, ale na pewno nie do włamywaczy.

– Próbowałam odwrócić uwagę ochroniarza, ale nie dał się wciągnąć w

rozmowę. Wrócił do oglądania monitorów i musiał cię zobaczyć. Może rzucił okiem na mieszkanie Wayne'a?

– Nie w tak krótkim czasie. Kiedy wyszłaś na zewnątrz, był jeszcze w holu, prawda?

Suzannah potwierdziła skinieniem głowy.

– Uważasz, że...

– Uważam, że w tej sprawie coś śmierdzi. Zastanów się: Wayne analizował huragany i natknął się na coś, co wydało mu niezwykle dziwne, a teraz leży martwy w swoim mieszkaniu.

– Profesor Paul też nie żyje – powiedziała Suzannah. – Może ma to jakiś związek z NASA?

– Gdybyśmy tylko mogli się dowiedzieć, co Wayne odkrył...

– Może rozmawiał na ten temat ze swoją przyjaciółką? To niewykluczone.

Brian pstryknął palcami.

– W takim razie jedźmy z nią porozmawiać. Pracuje w „South Coast Magazine” w Beaumont.

Socorro, Nowy Meksyk

Dwain Hamilton miał za sobą ciężki dzień. Skutki huraganu odczuwało się także w hrabstwie Socorro. Intensywnie padało, a ponieważ koleiny w jezdniach szybko wypełniły się wodą, doszło do kilku wypadków drogowych. Na szczęście nikt w nich poważnie nie ucierpiał.

Dwain popatrzył na zegar wiszący na ścianie gabinetu. Właśnie minęła ósma wieczór i za godzinę miała się rozpocząć transmisja meczu futbolu z El Paso, a zamierzał spędzić wieczór przed telewizorem. Otworzył szufladę biurka i zaczął w niej grzebać. Szukał cygaretek, które wrzucił do środka kilka dni temu. Obiecał sobie, że oglądając mecz, wypije butelkę bourbona i wypali tę paczkę cygaretek. Jutro zostanie długo w łóżku, aby jak najmniej pozostało z wolnej niedzieli. Dawniej w niedziele organizował coś z Margot i dziećmi dla całej rodziny, ale odkąd odeszła, niedziele stały się dla niego męczące. Co prawda wuj Joseph zaprosił go na obiad, ale mógł jeszcze odmówić.

Odsunął na bok plik papierów, co spowodowało, że z szuflady wypadła koperta i wysypało się z niej kilka zdjęć na błyszczącym papierze. Dwain głośno zaklął. Pochylił się i zaczął zbierać zdjęcia. Zrobiła je zastępczyni szeryfa Mo-onlight po wypadku wojskowej ciężarówki na drodze numer 380. Zbierał

zdjęcia, nie patrząc na nie, i wsuwał je po kolei do koperty. Jedno ze zdjęć zaklinowało się pod nogą biurka. Nie dało się go wyciągnąć, więc Dwain uklękła na podłodze, wyszarpnął je energicznym ruchem i obejrzał. Ukazywało żółtą skrzynkę z namalowanym ostrzeżeniem przed substancjami radioaktywnymi.

– Czego to się dziś nie wozi po naszych szosach... – mruknął pod nosem.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Wstał, zapalił lampę na biurku i wsunął zdjęcie w krąg światła.

– Cztery NRC-C zero osiem – przeczytał na głos naklejony na skrzynce kod.

Odłożył zdjęcie na biurko i zaczął gorączkowo grzebać w szufladzie. Wyrzucał dokumenty i różne przedmioty na podłogę. Była między nimi paczka cygaretek, ale w tej chwili nie interesowała go.

W końcu znalazł identyfikator tajemniczych zwłok z Coward Trail, który dał mu Jack Silverwolfe. Na przodzie znajdowało się nazwisko: Allan Mcnish.

Odwrócił identyfikator i przyjrzał się zapisanemu tam kodowi.

– Cztery NRC-C zero osiem – wymamrotał pod nosem. – Czyli miałem rację...

Beaumont, Teksas

Suzannah zasłoniła oczy dużymi okularami przeciwsłonecznymi i związała włosy w koński ogon. Brian włożył czarną baseballówkę i okulary przeciwsłoneczne.

Kiedy poprzedniego dnia schowali się w pełnym zakamarków waszyngtońskim Union Station, stwierdzili z przerażeniem, że najprawdopodobniej zostali sfilmowani w domu lub w okolicy naszpikowanego elektroniką apartamentu Wayne'a Changa, co znacznie ułatwi policji pogoń za nimi. Odkrycie ich tożsamości mógł też ułatwić fakt, że Suzannah zapłaciła za wynajem samochodu swoją kartą kredytową. Ponieważ była Amerykanką, wiązało się to z mniejszą ilością formalności, niż gdyby wynajęli samochód na Briana.

– Będzie się mniej rzucało w oczy, jeśli pójdziesz sama i zapytasz o nią – uznał Brian. – Zaczekam na ciebie w parku.

Kiedy Suzannah wchodziła do budynku z szarego kamienia i szkła, czuła lekkie mdłości. Rozejrzała się niepokojem po holu, ale w sobotę rano nikogo w nim nie było. Wjechała windą na piętro, na którym znajdowała się redakcja.

Kiedy ruszyła korytarzem, z naprzeciwka nadchodziły dwie pracownice. Nieufnie jej się przyglądały. Jedna z nich stanęła.

– Szuka pani kogoś?

Suzannah skinęła głową.

– Szukam Jennifer Oldham, kierowniczkę redakcji naukowej.

Na twarzy kobiety, która właściwie była jeszcze nastolatką, pojawiło się coś, co wyrażało mieszaninę zdziwienia ze strachem. Nagle jakby straciła pewność siebie.

– Jeee...nniii...feer... – powiedziała, przeciągając samogłoski.

– Tak, Jennifer Oldham. Dobrze trafiłam? Jestem w redakcji?

Dziewczyna skinęła głową.

– Pani Oldham chciała zrobić ze mną wywiad w sprawie pewnego artykułu. Jestem psychologiem i zajmuję się badaniami snu.

Młoda kobieta ponownie skinęła głową, ale sprawiała wrażenie, jakby ogarnęła ją jakaś dziwna drętwość.

– Pani Oldham tu pracuje, prawda?

Kobieta z redakcji jakby ożyła na te słowa.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziała, po czym nie czekając na reakcję Suzannah, odwróciła się na pięcie i weszła do jednego z pokoi.

Suzannah znowu ogarnęła niepewność. Na szczęście wymyśliła na poczekaniu historyjkę z wywiadem, dzięki czemu logicznie uzasadniła swoje przybycie. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie uciec, ale zaintrygowało ją dziwne zachowanie młodej pracownicy redakcji. Zanim zdążyła wyliczyć możliwe powody takiego zachowania, drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna, otworzyły się i na korytarz wyszedł niski, krępy mężczyzna w okularach w grubej oprawie. Miał bardzo poważną minę. Wyciągnął do Suzannah dłoń na powitanie.

– Linus Carlyle. Redaktor naczelny – przedstawił się i zawiesił głos w oczekiwaniu, że Suzannah też się przedstawi.

– M... Miller – powiedziała Suzannah. – Christine Miller.

Carlyle wskazał na stojące w kącie kanapy.

– Nie wiedziałem, że pani Oldham była dziś z kimś umówiona.

– Nie ustaliłyśmy dokładnego terminu, ale właśnie byłam w okolicy i pomyślałam, że wpadnę, nawet ryzykując to, że w sobotę mogę nikogo nie zostać, choć muszę przyznać, że biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, liczyłam na to, iż redaktorzy nawet w weekend mają moc pracy.

– Przykro mi, ale pani Oldham od nas odeszła – odparł Carlyle.

– Do innej gazety?
– Nie żyje.
– To nie... niemożliwe...
– Niestety, to prawda. Los uderzył bezlitośnie. Pani Oldham została zamordowana.

– To... to... straszne...

– Znała ją pani osobiście?

– Kiedy to się wydarzyło? – odpowiedziała Suzannah pytaniem na pytanie. Naczelnicy westchnął.

– W czwartek. W garażu podziemnym budynku, w którym znajduje się nasza redakcja. Została napadnięta i zamordowana. W piątek rano znalazł ją ktoś z ekipy sprzątającej. Wszyscy jesteśmy jeszcze w szoku.

Suzannah głęboko wciągnęła powietrze.

– Złapano mordercę?

Carlyle pokręcił głową.

– Najwyraźniej nie ma żadnych konkretnych wskazówek. Policja zakłada, że był to maniak seksualny. Biedaczka... kiedy pomyślę, co musiała przeżyć, zanim... Przepraszam, ale świat jest okrutny.

Suzannah wstała.

– To naprawdę okropne – powiedziała.

– Proszę zostawić swoją wizytówkę. Zgłosimy się do pani, kiedy się trochę otrząśniemy.

Suzannah pokręciła głową.

– Nie ma takiej potrzeby. Chciałam rozmawiać z nią osobiście...

Suzannah myślała tylko o tym, aby wydostać się z budynku. Potrzebowała świeżego powietrza.

Kiedy szybkim krokiem szła w stronę wind, Carlyle patrzył za nią milcząco, pogrążony w myślach.



Brian siedział na ławce na skraju Central Parku i uważnie obserwował okolicę. Na Laurel Avenue ruch był niewielki, dało się odczuć, że trwa weekend, ale natychmiast zauważył białego lincolna parkującego po drugiej stronie ulicy, kilka metrów od wejścia do centrum medialnego. Nad dachem auta unosiły się warkoczyki dymu – ten, kto siedział w samochodzie, palił. Niestety, przyciemniane

szyby nie pozwalały Brianowi dostrzec, kto jest w środku. Usiadł więc na ławce, którą częściowo zasłaniały krzaki, i obserwował białego lincolna z daleka.

Kiedy dwadzieścia minut później Suzannah pojawiła się w drzwiach budynku, zatrzymała się i zaczęła rozglądać, Brian chciał wstać i pokazać się, ale zrezygnował. Poprzedniego dnia udało im się uciec przed pogonią do autobusu, ale nie zawsze ma się tyle szczęścia. Schował się za krzakiem. Suzannah pokręciła głową i zaczęła przechodzić przez ulicę. Z lincolna wysiadł szczupły mężczyzna w ciemnym garniturze, rzucił niedopałek na ulicę i ruszył za nią w kierunku parku.

Brian myślał gorączkowo. Skąd gliniarze – a ten gość na sto procent był gliną – mogli wiedzieć, co on i Suzannah zamierzają po tym, jak udało im się uciec w Rosslyn Heights? Z lincolna wysiadł drugi mężczyzna – też w ciemnym garniturze – pozostał jednak przy samochodzie i zaczął czytać gazetę.

Suzannah skręciła w ścieżkę prowadzącą do parku. Jeszcze nie zauważyła, że jest śledzona. Policjant w cywilu musiał ją dogonić, ponieważ Brian usłyszał zza krzaka, jak zagaduje Suzannah i prosi ją o pokazanie dokumentów. Brian wcisnął się głębiej w krzaki.

– Nie... nie mam dokumentów – odparła niepewnie Suzannah.

– W takim razie będzie pani musiała pojechać ze mną na najbliższy posterunek. Chyba że powie mi pani, jak się nazywa.

– Miller. Christine Miller – odparła bez zastanowienia Suzannah.

– Każdy może tak twierdzić. Niestety, będzie pani musiała pojechać ze mną.

Brian zaczął się bezszelestnie wysuwać spomiędzy krzewów.

– Cześć, Christine – powiedział po chwili. – Ten gość cię niepokoi?

Policjant gwałtownie odwrócił się w jego kierunku.

– Kim pan jest?

– To moja przyjaciółka i przyszedłem odprowadzić ją z pracy. To zabronione?

Detektyw szeroko się uśmiechnął.

– Jestem policjantem. Ma pan może jakiś dowód tożsamości?

Brian skinął głową i lewą ręką wyciągnął z kieszeni dokument.

Policjant z wahaniem do niego podszedł. Prawą rękę wsunął do kieszeni. Lewą sięgnął po dokument.

– To chyba jakiś żart... – powiedział i wyszarpnął dłoń z kieszeni. Trzymał

w niej pistolet, ale zanim zdążył wycelować, Brian uderzył go gałęzią, którą chował za plecami. Po drugim silnym ciosie w skroń policjant z charkotem osunął się na ziemię.

Suzannah obserwowała przebieg wydarzeń z szeroko otwartymi ustami.

Brian ukląkł i przeszukał kieszenie policjanta. Zabrał mu legitymację służbową i broń i schował do kieszeni.

– Wiejemy stąd! – krzyknął do Suzannah.

– Zabijeś go?

– Nie, tylko uśpiłem, a teraz chodź, zanim jego kumpel z samochodu coś zauważy!

Chwycił Suzannah za dłoń i zaczęli biec.

– Jennifer Oldham została przedwczoraj zamordowana – wydyszała po chwili Suzannah.

9.

Wydział policji, Arlington, Wirginia

Detektyw Hernandez nieufnie przyglądał się mężczyźnie w ciemnym garniturze, który siedział naprzeciwko szefa i ze znudzeniem wyglądał przez okno.

– Agent Coburn ma wszelkie upoważnienia – powiedział szef wydziału policji. – Proszę wydać mu całą dokumentację.

– To znaczy, że sprawa przestaje być nasza?

Coburn wstał.

– Ma pan całkowitą rację – powiedział z teksańskim akcentem. – Od tej chwili przejmuje ją FBI.

– Nie rozumiem – powiedział Hernandez do przełożonego. – Cóż może być tak ciekawego w morderstwie na tle rabunkowym w Rosslyn Heights, aby wzywać federalnych?

– Nie uważamy tego za morderstwo na tle rabunkowym – wtrącił się Coburn. – Tuż przed śmiercią profesor Chang brał udział w projekcie NASA. Istnieje możliwość, że sprawcom zależało na czymś związanym z jego pracą. Czy stwierdzono, że coś zginęło z mieszkania profesora?

Szef wydziału policji popatrzył na swojego detektywa. Hernandez pokręcił głową.

– Zakładamy, że sprawca albo sprawcy zostali przyłapani na gorącym uczynku i uciekli bez łupu. W każdym razie zdążyli przeszukać wszystkie szafy.

– Zidentyfikowaliśmy już mężczyznę z dwójki sprawców – odparł Coburn. – To niejaki Brian Saint-Claire. Dziwaczny psycholog, zajmujący się czarami i zaklinaniem duchów. Jest Kanadyjczykiem i studiował w Chicago.

Rozmawialiśmy z jego byłym profesorem, człowiekiem o nieposzlakowanej opinii. Uważa, że ten Saint-Claire ma bardzo niespokojny i wybuchowy charakter i jest zdolny do morderstwa.

– A motyw?

– NASA jest w posiadaniu nowoczesnej technologii, którą bardzo zainteresowane byłyby zagraniczne mocarstwa – odparł agent Glenn Coburn. – Zakładamy, że motywem jest szpiegostwo, a to działka FBI. Z tego powodu przyszedłem poprosić o przekazanie mi dokumentacji śledztwa.

Szef wydziału policji skinął potakująco głową.

– Oczywiście.

– Ciekaw jestem tylko, dlaczego podejrzani kilka dni po morderstwie wrócili na miejsce zbrodni – powiedział Hernandez. – W końcu musieli zakładać, że zwłoki Chang'a już dawno zostały odkryte i dom jest pod obserwacją.

– Zapytam ich o to, kiedy zostaną aresztowani – zamknął dyskusję Coburn.

Detroit, Michigan

Brian siedział w kawiarence przy Grand Circus Park i ponuro obserwował przechodniów. Przed nim leżał stos dzienników. W żadnym z wydań nie wspomniano o zamordowaniu Wayne'a Chang'a. Milczenie panowało także we wszystkich stacjach radiowych. Dlaczego? Mimo tylu kamer w Rosslyn Heights? Nieważne, w każdym razie pozostawili Beaumont za sobą. Udało im się uciec, przynajmniej na razie. Z Beaumont pojechali pociągiem do Dallas, a następnego dnia rano polecili do Detroit. Brian nie chciał lecieć bezpośrednio do Kanady, ponieważ kontrole na trasach międzynarodowych były znacznie ostrzejsze niż na krajowych.

W portfelu zabranym mężczyźnie z parku znajdowały się legitymacja FBI oraz odpowiednie prawo jazdy. A więc sprawą zajęło się już Federalne Biuro Śledcze. Suzannah i Brian gorączkowo zastanawiali się, jak wyrwać się z tego diabelskiego kręgu, ale nie przyszedł im do głowy żaden sensowny pomysł. Na zdrowy rozum idiotyzmem była próba dostania się do mieszkania Wayne'a, gdyż teraz wszędzie na miejscu zbrodni były odciski palców Briana. To, że w chwili gdy włamał się do mieszkania ofiary, Wayne już od dawna nie żył, niekoniecznie musiało stanowić dla niego okoliczność łagodzącą, ponieważ podobno sprawca zawsze wraca na miejsce zbrodni. Jak jednak pasowała do tej

historii śmierć Jennifer Oldham? Po długich debatach Suzannah i Brian doszli do wniosku, że oboje padli ofiarami skomplikowanego i bardzo przemyślnego spisku. Kto jednak się za nim krył, a przede wszystkim, co było przyczyną morderstw, nie mieli pojęcia. Na pewno jednak oba zdarzenia były ze sobą powiązane.

Wayne prowadził badania związane z huraganami i odkrył coś niezwykłego, w swoim e-mailu do Briana nie sprecyzował, co skłoniło go do uznania spotkania z Brianem za konieczne.

Niezależnie od tego, jak bardzo łamali sobie głowy, wciąż były to tylko spekulacje. Nic sensownego nie przychodziło im na myśl. Jak mieli równocześnie rozwikłać zagadkę i uratować własne tyłki?

Suzannah weszła do kawiarni i przysiadła się do stolika Briana. Ledwie ją poznał. Zamiast długich ciemnych włosów miała krótką młodzieżową fryzurę z blond pasemkami. Dżinsy i jasną marynarkę, które nosiła w Beaumont, zamieniła na kremowy kostium. Sprawiała wrażenie nieco starszej i bardziej kobiecej.

Brian patrzył na nią wielkimi oczami.

– Kim pani jest? – spytał.

Suzannah nerwowo rozglądała się wokół.

– Nie czuję się dobrze w tej skórce. Gdy mężczyzna mija mnie na ulicy, boję się, że wyciągnie broń i mnie aresztuje. To koszmar.

Chcę się cały czas obudzić, ale nie mogę.

– To nie sen, to rzeczywistość.

Suzannah wskazała palcem na gazety.

– Ani słowa o morderstwie, nie ma poszukiwania podejrzanych. Nie sądzę, by znali już nasze tożsamości – powiedział.

– Może powinniśmy się zgłosić?

– Oszalałaś?

– Na pewno wszystko da się wyjaśnić. Przecież nie jesteśmy mordercami.

– Żebyśmy skończyli jak Wayne i Jennifer?

Suzannah zasłoniła dłońmi oczy.

– Zaczyna mnie to przerastać. Najpierw matka, a teraz...

Brian chwycił dłoń Suzannah i mocno zacisnął.

– Poradzimy sobie. Dowiemy się, kto stoi za tymi zbrodniami.

– Jak? – Suzannah niechętny podniosła głos i siedzący w kafejce goście spojrzeli w ich stronę.

Brian uspokoił ją i pogłaskał po dłoni.

– Jeszcze nie wiem, w każdym razie najpierw zawiozę cię w bezpieczne miejsce. Coś na pewno wymyślę.

– Może pojedziemy do mnie do domu?

– Tam będą szukać natychmiast po tym, jak nas zidentyfikują. Pojedziemy do Kanady.

Nagle na ulicy zrobiło się zamieszanie. Zapiszczały opony, ludzie zaczęli biegać po chodniku, rozległy się krzyki.

– Co tam się dzieje? – spytała Suzannah.

Brian wzruszył ramionami. Ludzie wstali od stolików i podeszli do okna.

– Zaczekaj tutaj – powiedział Brian i też podeszedł do okna.

Przed kawiarnią stały radiowozy z włączonymi kogutami. Policjanci z odbezpieczoną bronią biegli do znajdującego się po drugiej stronie ulicy butik.

Brian wolnym krokiem wrócił do stolika.

– Gdzie kupiłaś kostium? – spytał szeptem. Suzannah popatrzyła pytająco.

– W sklepie naprzeciwko.

– Jak zapłaciłaś?

Suzannah sięgnęła do kieszeni żakietu i wyciągnęła kartę kredytową.

– Idziemy!

Brian pociągnął Suzannah w kierunku klatki schodowej i wyjścia awaryjnego.

– Co się dzieje?

– Już nas zidentyfikowali... – Pchnął drzwi. – Gliniarze właśnie szturmują sklep, w którym robiłaś zakupy.

– Ale jak mogli tak szybko...

– Przez kartę kredytową!

Centrum Monroe nad jeziorem Erie, Michigan

Promienie słońca załamywały się w błękitnej wodzie jeziora. Suzannah siedziała na brzegu i wdychała ciepłe powietrze. Brian zniknął w jednym ze stojących wzdłuż brzegu hangarów i rozmawiał ze swoim znajomym, który wynajmował łódzie.

Po ucieczce z kafejki przebiegli przez Grand Circus Park i trzy przecznice dalej złapali taksówkę, która zawiozła ich do Detroit Beach. Kanada znajdowała się po drugiej stronie jeziora Erie i Brian miał nadzieję, że za granicą znajdą jakieś miejsce, gdzie będą mogli odetchnąć, wszystko bowiem wskazywało na

to, że nie prowadzono za nimi oficjalnego pościgu. Ani w telewizji, ani w prasie nie było wzmianek o zamordowaniu Wayne'a Changa oraz nie pokazywano zdjęć podejrzanych. Nad jezioro udało im się dotrzeć bez najmniejszych przeszkód.

– Tamta biała łódź – odezwał się za plecami Suzannah głos Briana. – Sam ją dla nas przygotowuje. Za godzinę będziemy mogli wyruszać. Chcesz coś zjeść?

Suzannah się odwróciła. Brian wskazywał palcem na nieduży kabinowy jacht bujający się w rytm fali.

Wstała i padła Brianowi w ramiona. Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Kiedy to się wreszcie skończy? Chciałabym odzyskać swoje życie...

Brian mocno ją przytulił.

– Poradźmy sobie – powiedział, choć zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że dopóki im się nie uda odkryć kulisów mordy na Wayne' Changu, zostanie to jedynie frazesem. Jak tego jednak dokonać? Nie miał zielonego pojęcia.

NOAA, Boulder, Kolorado

Cliff Sebastian źle spał. Kiedy w poniedziałek rano zjawił się około ósmej w centrali NOAA w Boulder, bolała go głowa. Od powrotu do Kolorado przesładowały go obrazy przesłane przez Krajowe Centrum Huraganów z Nowego Orleanu. Po zalanych wodą ulicach pływały niezliczone ludzkie zwłoki. W pamięci utkwił mu obraz kobiety, która obejmowała ramionami dziecko, po czym oboje zniknęli w odmętach Missisipi.

Cliff Sebastian usiadł za biurkiem i przeciągnął palcami po włosach. W skrzynce na pocztę przychodzącą piętrzył się stos listów. Sięgnął po plik kopert, przejrzał nadawców i wrzucił listy z powrotem do pudełka. Za oknami kłębiły się ciemne chmury. Zanim nadciągnął Fiodor, nad kontynentem była dobra pogoda. W okno na drugim piętrze uderzyły pierwsze krople deszczu. Cliff wstał i wyjrzał na zewnątrz. Parking powoli zapełniał się samochodami.

Usiadł ponownie za biurkiem i włączył komputer. Gdy system startował, Cliff bezmyślnie wpatrywał się w klawiaturę. Między klawiszami tkwił kawałek czerwonego kabla. Cliff spróbował wyciągnąć go palcami, ale miał za krótkie paznokcie i fragmencik kabelka nie dawał się wyjąć. Sięgnął po długopis i zaczął grzebać jego czubkiem między klawiszami. Po trzeciej próbie udało mu się wydobyć śmieć. Cliff Sebastian ze zdziwieniem przyglądał się fragmentowi kabla, nie większemu od główki zapalki. Był to mikrokabelek, jakiego

standardowo używa się w telefonii i komputerach. Odłożył znalezione obok klawiatury i spojrzął na ekran monitora.

Na znajdującym się pośrodku srebrnym polu świeciły się czerwone litery.

BRAK SYGNAŁU
BOOT SECTOR ERROR
UWAGA!

Cliff wcisnął ENTER, ale na ekranie nic się nie wydarzyło. Jego komputer jeszcze nigdy nie pokazywał takiego komunikatu. Co oznaczało to ostrzeżenie?

Spróbował zresetować komputer. Ekran na chwilę pociemniał, po czym obraz się odtworzył. Wiatraki zaczęły głośniej pracować, napędy stukwały metalicznie, ale kiedy komputer się uspokoił, na ekranie był ten sam komunikat co poprzednio.

Cliff zaklął. Popatrzył na zegarek: za dwadzieścia dziewięć. Komputerowcy na pewno byli już w pracy. Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer administratora sieci. Chwilę potrwało, zanim ktoś odebrał, ale po wysłuchaniu Cliffa technik obiecał, że natychmiast przyjedzie. Poprosił Cliffa, aby dla pewności wyłączył komputer.

Cliff Sebastian zrobił, jak mu kazano, i niecałe dwie minuty później do jego drzwi zapukał informatyk. Na plakietce na piersi miał napisane: TED.

– No to popatrzmy na maleństwo – powiedział zdecydowanie Ted i ukląkł przed obudową komputera. Włączył go i po dwóch minutach na ekranie pojawił się ten sam komunikat co poprzednio.

– Wkładał pan zewnętrzne źródło danych? – spytał Ted, cały czas patrząc na ekran.

Cliff Sebastian pokręcił głową.

– Nie było mnie w pracy przez dłuższy czas. Kiedy korzystałem z niego ostatni raz, wszystko działało bez zarzutu.

Ted skinął głową i z zadumą przyglądał się umieszczonej w szufladzie pod biurkiem jednostce centralnej komputera.

– Coś tu jest nie tak – powiedział.

– Na to już sam wpadłem.

Palce Teda poruszały się szybko po klawiaturze. Po chwili obraz na ekranie się zmienił. Otworzyło się drugie okno – tym razem czerwony napis na srebrnym polu migotał.

ODKRYTO WIRUSA!

Po ekranie przesuwają się kolumny danych. Ted głośno zaklął.

– Muszę natychmiast zatelefonować – powiedział.

– Mamy na trzydziestym siódmym wirusa – rzucił nerwowo do słuchawki, kiedy po drugiej stronie odebrano. – Musicie natychmiast izolować serwer. Uruchomcie program analityczny. Chodzi o kilka szeregów!

– Coś poważnego? – spytał Cliff Sebastian.

Ted skinął potwierdzająco głową.

– Jeżeli wirusom udaje się dotrzeć do naszych serwerów, to sprawa jest bardzo poważna. Obawiam się, że będę musiał ponownie zainstalować płytę główną.

– Skąd mogły się wziąć te wirusy?

Ted wzruszył ramionami.

– Na naszym firewallu mamy kilka filtrów. Z zewnątrz nic nie może się dostać.

– Więc skąd?

– Musi to być zainfekowanie wewnętrzne. Ktoś użył zewnętrznego nośnika danych z wirusem. Muszę iść natychmiast do serwerowni, potem do pana zadzwonię.

Przed wyjściem Ted wyłączył komputer.

Cliff Sebastian w milczeniu przyglądał się fragmentowi kabla, który wydo był z klawiatury. Wstał i podszedł do drzwi sekretariatu. Jego sekretarka Marsha siedziała za biurkiem i otwierała listy.

– Czy podczas mojej nieobecności ktoś wchodził do mojego gabinetu?

Marsha skinęła głową.

– W zeszły piątek był tu technik z General Systems. Najwyraźniej doszło do jakiejś awarii telefonów.

Cliff Sebastian spojrzał na nią pytająco.

– Miał zlecenie na naprawę z działu technicznego. Po kwadransie sobie poszedł.

– Wie pani, jak się nazywał?

Marsha pokręciła głową.

– Ale miał zlecenie. Coś się stało? Cliff Sebastian pokręcił głową.

– Nie, nie, wszystko w porządku.

Socorro, Nowy Meksyk

Szeryf Dwain Hamilton był zadowolony z przebiegu minionego dnia. Pojechał na ranczo wuja, z którym spędził niedzielę. Senator miał odpowiednie kontakty i dowiedział się, co oznaczały kody na identyfikatorze Allana Mcnisha oraz pojemniku z materiałami radioaktywnymi. Poza tym indyk był jak zwykle przepyszny. Betty była znakomitą kucharką i wspaniałą gospodynią. Dwain doszedł do wniosku, że czas spędzony jako administrator rancza Cave Pearls nie był najgorszym okresem w jego życiu.

Chciał stanąć na własnych nogach, wydostać się z cienia potężnego wuja, jednak teraz, kiedy Margo odeszła, projekt „samodzielność” najwyraźniej okazał się porażką. Może właśnie z tego powodu tak bardzo zależało mu na sprawie Allana Mcnisha i wszystkim, co się z nią wiązało. Oficjalnie nie istniała, prokurator okręgowy zawiesił nawet śledztwo w sprawie śmierci Jacka Silverwolfe'a. Uznano, że Indianin zginął w tragicznym wypadku. Co więc przeszkadzało Dwainowi w powrocie do codziennych obowiązków szeryfa: użerania się z pijanymi kierowcami, uspokajania bijących żony mężów i zajmowania się kradzieżami i zadbania o nieco spokoju i bezpieczeństwa w hrabstwie? No cóż – w głębi serca był przekonany, że w tej sprawie coś paskudnie śmierdzi.

Z zadumy wyrwało go pukanie do drzwi. Do środka wszedł zamaszystym krokiem Lazard. Szeroko się uśmiechał.

- Znowu nabiłeś sobie wczoraj kałdun u wuja Joe?
- Mogłeś ze mną jechać.

Lazard pokręcił głową.

- Byłem umówiony. – Pomachał trzymanym w rękę faksem.
- Co to?

Lazard rzucił dokument na biurko Hamiltona.

– Potwierdzenie tego, co od dawna wiemy. Odpowiedź z Albuquerque. Robert Allan Mcnish z Kanady to nasz trup z Coward Trail. DNA się zgadza.

Dwain Hamilton skinął głową.

- Wiele nam to nie daje, prawda? – spytał Lazard.
- Ale wreszcie pozwoli napisać na grobie nieznanego nazwisko. Zobaczymy, co będzie dalej.
- Nie zamierzasz się poddać.
- Dopiero kiedy się dowiem, kto za tym wszystkim stoi.

Zatoka Long Point, jezioro Erie, Ontario, Kanada

Mały biały jacht podskakiwał na łagodnej porannej fali u wejścia do zatoki Long Point. Brian obserwował przez lornetkę niewielki półwysep, za którym leżało miasteczko Rowan. Nad wodą unosiły się kłęby mgły, a niedaleko na płytkiej wodzie pływały łabędzie. Co chwila któryś z nich zanurzał łeb w wodzie, aby coś złowić. Słońce dopiero wschodziło, na dodatek zasłaniały je nadciągające od południa szare chmury.

Po tym jak po południu minionego dnia wyruszyli z Monroe, spędzili noc w małej, osłoniętej przed spojrzzeniami ciekawskich zatoczce i zaraz po wschodzie słońca wypłynęli znowu na jezioro. Po drodze minęła ich tylko jedna łódź – należąca do służb celnych. Granica między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą była otwarta, w miejscach cumowania łodzi były jednak punkty kontrolne, w których pracowali głównie celnicy. Policja prowincji Ontario ściśle współpracowała z policją z przylegających do jeziora Stanów.

W znanym sobie otoczeniu Brian po raz pierwszy od dawna dobrze spał. Ze snu wrywały go od czasu do czasu jedynie westchnienia i stęknienia Suzannah. Teraz podejrzliwie obserwował pas ziemi, na którym tuż przy brzegu stał jego domek. Jak na razie, nie dostrzegł nic podejrzanego. Nie było ludzi, samochodów, w pobliżu nie cumowała nawet żadna łódź, ale spokój bywał zwodniczy. Po tym jak policja poznała tożsamość Suzannah, należało się spodziewać, że śledczy znali także jego nazwisko i miejsce zamieszkania. Poprzedniego dnia policji wystarczyły cztery minuty, aby odkryć, że Suzannah zrobiła zakupy za pomocą karty kredytowej, a po kolejnych pięciu butik przy Grand Circus Park został otoczony przez radiowozy. Było to niezłe osiągnięcie i dowód na to, że amerykańskie służby ochrony prawa nie żartują.

Suzannah weszła na pokład i przeciągnęła się. Była owinięta kocem i mocno mrużyła oczy.

– Dobrze spałaś?

Suzannah pokręciła głową.

– Miałam złe sny. Widziałam matkę dryfującą w wodzie. Była martwa, ale sama nie mogłam wyciągnąć jej z wody. Zaczęłam cię wołać, ale nie przychodziłeś. Peggy i dzieci też gdzieś znikli. Ktoś trzymał was z daleka ode mnie.

– I co ten sen oznacza?

– Że potrzebuję dobrej kawy.
– W kambuzie stoi cały dzbanek. Byłoby miło, gdybyś mnie też przyniosła filiżankę.

Suzannah zeszła pod pokład.

Z oddali doleciał warkot silnika. Brian przyłożył lornetkę do oczu i przeszukał horyzont. Po chwili zza cypla półwyspu wypłynęła mała łódź rybacka, zmierzała ku południowej części jeziora.

Wróciła Suzannah. Podała Brianowi filiżankę kawy.

– Coś widać?

Brian pokręcił głową.

– Z tą łodzią wszystko jest w porządku. Jeśli się nie mylę, to Red, który płynie do Ripley. Są tam największe pstrągi.

– Co robimy?

– Jeszcze trochę zaczekamy. Nie jestem do końca pewien, czy jesteśmy sami.

– Zauważyłeś coś podejrzanego?

Brian pokręcił głową.

– Nie, ale mam dziwne przeczucie. Policja z Brantford ściśle współpracuje z amerykańską i nie zdziwiłbym się, gdyby w ciągu dnia pojawił się tu jakiś patrol.

– A gdybyś zadzwonił do swojego przyjaciela, żeby sprawdził sytuację?

– Też miałem taki pomysł, niestety, padła mi komórka.

Suzannah zakłęła.

– W mojej bateria już kilka dni temu się wyładowała.

– Nic nie wymyślimy. Zaczekamy jeszcze trochę i zejdziemy na ląd, tyle że nie tutaj, a za Long Point, w pobliżu Normandale. Homer ma tam farmę. Jest moim dobrym przyjacielem i na pewno udzieli nam przez jakiś czas schronienia.

Odczekali trzy godziny, uważnie obserwując okolicę. Policja chyba jeszcze nie знаła adresu Briana w Long Point View. W okolicy nie przepływało nic poza promami kursującymi po jeziorze Erie między Buffalo a Windsorem i Detroit, kilkoma małymi kutrami rybackimi i dwoma jachtami żaglowymi. Tuż przed południem zaczęło mżyć z szarych chmur, które pokryły całe niebo.

Brian zdecydował się uruchomić silnik i popłynęli powoli w kierunku półwyspu. W okolicy Normandale zarzucili kotwicę w małym, zarośniętym trzciną przesmyku. Zeszli na znajdujący się w wyposażeniu jachtu ponton i powiosłowali do brzegu.

Farma Homera znajdowała się pośrodku zagajnika, tuż przy Turkey Point. Prowadziła do niej błotnista droga. Suzannah i Brian zbliżali się do długiego budynku pod osłoną drzew.

Deszcz się nasilił, więc nałożyli żółte kurtki żeglarskie i zsunęli kaptury głęboko na czoła. Na łące spokojnie pasły się krowy, a kiedy przemykali obok bramy, kilka owiec podniosło łby.

Kilkanaście metrów przed domem drogę zagroził im ubrany w ciemne ponczo mężczyzna z karabinem w rękach.

– Czego szukacie na mojej ziemi? – spytał ostro.

Przybiegł pies – czarny labrador. Szczekał jak oszalały i machał wściekle ogonem. Podbiegł do Briana i próbował na niego skoczyć.

– Spokojnie, Maxwell! – powiedział Brian i pogłaskał psa po łbie.

– Brian? – spytał mężczyzna z karabinem.

Brian zsunął kaptur i uśmiechnął się.

– Cześć, Homer, potrzebuję twojej pomocy.

Mężczyzna opuścił broń i podszedł do Briana. Z radością poklepał go po plecach.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Opowiem ci w środku. To jest Suzannah. Mam nadzieję, że przechowasz nas przez kilka dni.

10.

Redakcja „ESO-Terry”, Cleveland, Ohio

Porkey był pod presją. Zebranie redakcji nie przebiegło tak, jak by sobie tego życzył. Odkąd szef wydawnictwa, Harbon, wsadził mu tego młodego bufona jako doradcę, nic nie szło zgodnie z planem.

– Uzyskał znakomite wyniki w zakresie zarządzania, publicystyki i nowoczesnego marketingu! – piał asystent Harbona. – Chyba zdaje pan sobie sprawę, że ma wszelkie kwalifikacje. Zajmie się zarządzaniem personelem i dystrybucją, co pozwoli panu skupić się w stu procentach na sprawach redakcyjnych.

Porkey doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co to oznacza: osłabienie jego pozycji. Już drugiego dnia Myers wpadł do jego gabinetu, aby przedstawić jakiś chory pomysł. Uznał, że można by dobrze zarobić na sprzedaży ezoterycznych gadżetów, takich jak magiczne kamienie, amulety do odstraszenia zła i inne podobne wynalazki. Porkey energicznie przeciwstawił się temu planowi.

– Naszymi czytelnikami nie są pozbawieni mózgowi idioci – zaoponował. – To ludzie, którzy krążą po granicy, chcą wyrzeć poza bariery empiryzmu, tradycyjnej nauki, ale chcą być informowani na poziomie naukowym.

Myers się uśmiechnął.

– Żle pan ocenia ludzi – zapiszczał jak zdenerwowany nastolatek. – Ci ludzie już dawno stracili wiarę w to, co konwencjonalne i dlatego udali się na poszukiwanie światła! Innymi słowy, to świry wydające kasę na bzdury. Dlatego nie mieliby nosić amuletów na łańcuszkach, które chronią przed złymi duchami pojawiającymi się w ciemnościach i wpełzającymi im do głów?

Porkey bez słowa pokręcił głową.

– Sprzedaż to nie zagadnienie moralne, tylko marketingowe i dochodzi do niej wszędzie tam, gdzie pojawia się popyt – rzucił kolejną mądrość Myers. – O tym, czy coś jest złe czy dobre, decyduje jedynie zysk.

W końcu Porky się poddał. Pierwsza bitwa została zakończona, a przegrany wycofywał się z podkulonym ogonem do swojego gabinetu.

Kiedy sekretarka Porky'ego położyła mu rano na biurku szczotkę lipcowego wydania, obejrzał sobie to, czego nie dało się dłużej powstrzymać. Dwie strony reklam najróżniejszego szmelcu: srebrny krzyżyk chroniący przed złymi mocami za czterdzieści dziewięć dolarów, karty do tarota z ręcznie malowanymi symbolami za dziewiętnaście dolarów, połączane celtyckie amulety w kształcie węży jako kolczyki za dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów i długi srebrny sztylet na zdobionej drewnianej desce za dwieście dziewięćdziesiąt dolarów. Porky się skrzywił. Był pewien, że to początek końca czasopisma. Akurat teraz, kiedy zwiększyli sprzedaż, Harbon musiał przyjąć tego rozpieszczonego gówniarza, żeby kawałek po kawałku niszczył filozofię, którą „ESO-Terra” kiedyś wypisała sobie na sztandarach!

Nie zniknęli z rynku jak inne periodyki zajmujące się zjawiskami nadprzyrodzonymi właśnie dlatego, że przez lata wypracowali sobie opinię poważnego wydawnictwa. Porky wstał i rzucił wydruk w kąt. Nadszedł czas, aby poszukać nowej pracy.

Dopiero kiedy znowu usiadł za biurkiem, zauważył grubą kopertę, którą sekretarka musiała przynieść razem ze szczotką drukarską. Adres na kopercie brzmiał:

Brian Saint-Claire
Do rąk własnych
Redakcja „ESO-Terra”
OH-9734 Cleveland

Porky bezskutecznie szukał nadawcy. Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer komórki Briana. Może uda mu się go złapać po tylu nieudanych próbach – Brian na pewno już wrócił z Florydy. Porky miał ochotę napić się z nim piwa i pogadać. Na pewno też mu poradzi, żeby poszukał sobie nowej pracy.

Niestety, i tym razem Brian był nieosiągalny. Porky rzucił słuchawkę na widełki i sięgnął po marynarkę. Kilka whiskey w barze Joego poprawi mu nastrój.

Nowy Orlean, Luizjana

Słońce prażyło. Chmury się rozproszyły i po horyzont ciągnął się soczysty błękit. Fiodor, który właśnie skonał w głębi ładu, w swoich ostatnich podrygach zanurzył miasta Środkowego Zachodu, aż po Kanadę, w szarym deszczu. Teraz od zatoki nad zatopione miasto u ujścia Missisipi powoli nadpływał front wysokiego ciśnienia.

Służby ratownicze pracowały na maksymalnych obrotach, we wszystkich wyznaczonych do tego pomieszczeniach piętrzyły się stopy trupów. Saperzy współpracowali z oddziałami do usuwania skutków katastrof, próbując naprawić poprzerywane wały przeciwpowodziowe i wypompować wodę z ulic. Co chwila wysiłki ratowników były niweczone: łatanie kawałki znowu pękały albo woda w nowych miejscach przerywała podmokłe i kruche obwałowania jeziora Pontchartrain. Kilka słonecznych dni było więc mile widzianych – choć z drugiej strony wzrost temperatury zwiększał ryzyko epidemii.

Nad całym miastem unosił się słodkawy smród pleśni i zgnilizny, a powietrze stało. Wydobyto już ponad sto tysięcy zabitych, ale drugie tyle ludzi określano mianem zaginionych. W Mobile zebrano specjalistów medycyny sądowej i lekarzy z całych Stanów Zjednoczonych, którzy mieli identyfikować zwłoki.

Prezydent spędził dwa dni w strefie katastrofy, udzielając prasie wywiadów i przemawiając do ludności. Ustawiał się do zdjęć z robotnikami, naprawiającymi wały przeciwpowodziowe, członkami Gwardii Narodowej na osuszonych ulicach na południowym zachodzie miasta, z gubernatorem w trakcie pogrzebu ofiar powodzi na cmentarzu w Laplace. Wagner był zadowolony. W jednej z mów, jakie wygłosił, obiecał ofiarom huraganu pomoc finansową, skrytykował zbyt łagodne ostrzeżenia służb meteorologicznych oraz zbyt późne rozpoczęcie ewakuacji mieszkańców. Obiecał, że osobiście poprowadzi śledztwo w tych sprawach i pociągnie do odpowiedzialności każdego, kto jest współwinnym katastrofy. Nie żałował wielkich słów i gestów. Bardzo cieszyło go także zdecydowanie, jakie demonstrował w swoich wystąpieniach prezydent. Uważał, że pozwoli to zneutralizować obniżenie prestiżu prezydenta, jakie dało się zauważyć w ostatnich badaniach opinii publicznej – może nawet go zwiększyć.

Było jednak jasne, że niezależnie od tego, jak zachowuje się prezydent, jak się prezentuje i z kim się pokazuje, Nowy Orlean przez wiele miesięcy pozostanie martwym miastem. Miastem, które miało odwagę podejść zbyt blisko

wody. Jego mieszkańcy zapłacili za to srogą karę: ponad połowa populacji oddała za to życie.

Normandale, Ontario, Kanada

Homer zasłonił oczy dłońmi i milczał. Jeszcze nigdy nie słyszał historii tak przerażającej jak ta, którą właśnie opowiedział mu Brian.

– Teraz wiesz wszystko – powiedział Brian. – Jeśli mi nie wierzysz, odejdziemy. Daj nam kwadrans i dzwón na policję. Więcej od ciebie nie żądam.

Homer opuścił dłonie, wstał i podszedł do okna. Wyrzwał na zewnątrz. Za zielonymi łąkami migotała modra woda jeziora Erie.

– Wierzę ci. Możecie spać na górze, ale prędzej czy później oni się tu zjawią i zaczną o ciebie pytać.

Brian westchnął.

– Wiem.

– Co zamierzacie?

Brian wzruszył ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia, ale naszą jedyną szansą jest znalezienie prawdziwego mordercy.

– Jak zamierzasz tego dokonać?

– Wayne Chang musiał w trakcie badań odkryć coś, co tak komuś zagrażało, że zdecydował się go zabić.

– Skąd ten ktoś miał się dowiedzieć o odkryciu Wayne'a Changa?

– Od niego samego. Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że go już od jakiegoś czasu śledził.

Homer usiadł na krześle.

– Co prawda jestem tylko staromodnym farmerem, który próbuje zarobić na życie hodowlą bydła, ale w dzisiejszych czasach nawet w naszej branży nie da się pracować bez nowoczesnych technologii. Mam komputer z podłączeniem do Internetu i stale noszę ze sobą telefon komórkowy. Targi bydłace są daleko stąd, a aukcje bydła rzeźnego nie odbywają się już co miesiąc w Brantford. Dziś sprzedajemy przez Internet, musiałem się więc tego i owego nauczyć. Możesz mi uwierzyć – na początku płaciłem frycowe. Wytropienie kogoś nie jest szczególnie trudne – robią to nawet dzieciaki z podstawówki. Może nadzorowano jego komputer?

Brian wpatrywał się w podłogę i kombinował. Suzannah weszła do kuchni i niepewnie uśmiechnęła się do Homera.

- Mam nadzieję, że ładowarka pasuje – powiedział Homer.
- Dziękuję bardzo, wszystko gra.
- Jeśli chce pani zadzwonić do siostry, może pani oczywiście skorzystać z mojego telefonu.

Brian pokręcił głową.

– To niezbyt mądre. Pamiętaj, co się stało po płatności kartą. Jeżeli podsłuchują jej telefon, zlokalizują ten numer po niecałej minucie.

Homer skinął głową.

– Brian ma rację. To nie był dobry pomysł.

– Jeżeli ci ludzie nadzorowali telefon i konto e-mailowe Wayne'a i przeczytali jego listy do mnie, to dlaczego nie pojawili się także u mnie? – zapytał Brian.

– Pewnie dlatego, że w jego wiadomościach nie było szczegółowych danych i zdawali sobie sprawą, że niewiele możesz na ich podstawie zdziałać.

Brian podrapał się po głowie.

– Niewykluczone, ale możliwe jest też to, że nie od razu poznali mój adres e-mailowy. To skrót z kilku pierwszych liter, poza tym mam francuskiego dostawcę usług internetowych.

Jeszcze długo spekulowali, kto może się kryć za tym, co przydarzyło się Brianowi i Suzannah. Kiedy zaczęło się zmierzchać, Homer wsiadł w samochód, aby pojechać do Long Point, gdzie pasło się kilka jego owiec, i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Nie możemy zostać tu na zawsze – powiedziała Suzannah, kiedy Homer odjechał.

– Wiem. Muszę spróbować skontaktować się z Porkym, choć telefony w redakcji też mogą być na podsłuchu.

– A gdybyś zadzwonił z mojej komórki?

– Nie znam na pamięć jego numeru. Jest zapisany na karcie mojego telefonu.

– Więc włóżmy ją do mojego telefonu.

Brian poszperał w kieszeni. Zamienili karty SIM, wpisali kod PIN i zanim Brian zdążył przejść do książki telefonicznej, aparat głośno zapiszczał, informując o czekających SMS-ach. Suzannah pokazała, jak ma je odczytać.

Pierwsze dwa pochodziły od Porky'ego, pozostałe dziewięć z Wenezueli.

Brian przeczytał ostatnią wiadomość.

– To od Juana z Wenezueli. Chce, żebym natychmiast się z nim skontaktowałem. Szamanka Indian Warao chce ze mną rozmawiać. – Wpatrywał się w tekst. – To nie do wiary...

– Co się stało?

– Juan pisze, że ona wie, co się kryje za huraganami.

– Nie sądzę, aby wizje indiańskiej szamanki mogły nam teraz zbyt pomóc... – rzekła Suzannah sceptycznie.

– Widziała naszych prześladowców – odparł Brian dziwnym głosem. – Wie, jakie mamy problemy, i chce nam pomóc.

– Wierzysz w to?

– W stu procentach. Powinniśmy do niej pojechać. Tutaj i tak nie będziemy długo bezpieczni, a z pomocą Juana mogliśmy się na jakiś czas ukryć w Wenezueli.

Suzannah pokręciła głową.

– To jakieś majaki.

– Wie, gdzie zginęła twoja matka – powiedział Brian. – Mam ci przekazać, że dotarła na drugą stronę światła i trzyma nad tobą swoje dłonie, aby cię chronić. Kiedy umierała, zawołała twoje imię.

Suzannah popatrzyła na Briana z wyrzutem.

– To niesmaczne... Brianie, jak możesz...

– Zobacz sama. – Brian podał Suzannah telefon.

Suzannah zaczęła czytać wiadomość. Z każdą sekundą ogarniało ją coraz większe zdumienie.

– Skąd ona... to znaczy... jakim sposobem...?

– Mówiłem ci, że między niebem a ziemią istnieją sprawy, które przekraczają nasze pojmowanie.

– Nie wiem już, co sądzić...

□ □ □

Po godzinie – zdążyło się już zrobić ciemno – z wycieczki do Long Point wrócił Homer. Brian bezskutecznie próbował skontaktować się z Porkym, który najprawdopodobniej siedział w barze albo był u jakiejś kobiety. Brian niecierpliwie czekał, aż gospodarz zaparkuje samochód i wejdzie do domu. Zanim Homer zamknął za sobą drzwi, obejrzał się przez ramię.

– No i? – spytał niecierpliwie Brian. – Zauważyłeś coś?

Homer uniósł dłoń.

– Dobrze się postarali, ale jeśli ktoś zna okolicę jak własną kieszeń, nie da się go oszukać. Przy drodze dojazdowej naprzeciwko Inner Bay stoi wóz kempingowy, a po jeziorze krąży mały jacht.

– Kanadyjska policja?

Homer pokręcił głową.

– Amerykanie. Żaden Kanadyjczyk nie ustawi grilla tak, żeby dym leciał mu do wnętrza samochodu.

Brian popatrzył na Suzannah.

– Dlaczego nie kanadyjska policja?

Suzannah wzruszyła ramionami.

– Muszę skontaktować się z Porkym. Pomoże nam, tu nie jesteśmy bezpieczni.

– Jeżeli obserwują twój dom, to na pewno też i redakcję – rzekła Suzannah.

– Prawdopodobnie masz rację, powinniśmy więc coś wymyślić. Poza tym warto by się dowiedzieć, dlaczego w akcji nie bierze udziału kanadyjska policja.

– O ile się orientuję, istnieje międzypaństwowa umowa o współpracy – wtrącił Homer.

Brian się uśmiechnął.

– Zgadza się, nawet odbyło się na ten temat głosowanie w parlamencie. Jeśli jednak dobrze pamiętam, nieograniczone prawo pościgu, jak to się nazywa w policyjnym żargonie, dotyczy wyłącznie obywateli amerykańskich. Jeżeli poszukiwany jest obywatel kanadyjski, Amerykanie muszą najpierw złożyć oficjalny wniosek, a zgodę wydaje kanadyjski sąd.

– No i co z tego? – spytała Suzannah.

Brian stuknął się kciukiem w pierś.

– Jeszcze jestem Kanadyjczykiem.

Socorro, Nowy Meksyk

Dwain Hamilton przewracał się na łóżku. Tak jak poprzedniego dnia słońce chowało się za gęstą zastoną szarych chmur. Idealny dzień na leżenie w łóżku. Dwain wpisał się dziś na nocną zmianę, a poprzednią noc spędził z butelką

whiskey. Musiał uważać, żeby nie wpaść w alkoholizm. Gdyby udało mu się znaleźć jakieś sensowne zajęcie na czas wolny... Początkowo próbował odremontować starego harleya, potem zabrał się do odnawiania domu, trochę zajmował się ogrodem, ale tak naprawdę nic z tego go nie wciągnęło. Od odejścia Margo i dzieci nic nie mogło go wyrwać z melancholii. Z jego życia niewiele pozostało. Dokładnie mówiąc, praca i whiskey. Tylko że w ostatnim czasie odbierano mu kawałek po kawałku ostatnie oparcie – pracę. Sprawę za sprawą. Kazano mu zamieniać się z uczestnika wydarzeń w biernego obserwatora, któremu nic nie wolno we własnym hrabstwie. Nie tak wyobrażał sobie pracę szeryfa!

Przekreślił się na plecy i wbił wzrok w sufit. Wreszcie dotarło do niego, co zakłóca poranek: uporczywy terkot telefonu. Wstał i owinął się prześcieradłem.

– Dwain? – rozległ się w słuchawce kobiecy głos.

Dwain o mało nie ugryzł się w język. Był to głos kobiety, z którą nie rozmawiał od tygodni.

– Margo?

– Tak, to ja. Miło, że mnie jeszcze poznajesz.

Dwain poczuł, jak ogarnia go fala gorąca.

– Przecież... w końcu... Salt Lake City jest... spory kawałek stąd – wymamrotał. Jego głos brzmiał jak bujająca się na wietrze, zardzewiała brama.

– To siedemset kilometrów. Nie powinno to być za daleko, jeśli kocha się dzieci.

Dwain wziął głęboki wdech.

– Pytają o ciebie. Codziennie, to nie do wytrzymania. Obiecałam im, że z tobą porozmawiam.

– Ale...

– Nigdy nie przychodziło ci łatwo wyjść komuś naprzeciw, ale to są twoje dzieci. Chcą, żebyś się nimi zajmował.

– A czego ty chcesz? – Po policzku Dwaina spłynęła łza i starł ją szybko. Margo nie odpowiedziała. – Czego, na Boga, chcesz?

– Nie wiem. Cholera jasna, nie wiem! Są takie chwile, kiedy chcę, żebyś był blisko, ale tak naprawdę przestałam wiedzieć, czego chcę. Chciałam spędzić z tobą całe życie. Z człowiekiem, jakim byłeś, zanim zostałeś szeryfem. Nie chcę tylko prac twoich rzeczy i czekać na ciebie całe noce. Nigdy tego nie chciałam, wiedziałeś o tym.

– Tak, wiedziałem.

– Nie jestem stworzona do takiego życia. Nigdy nie chciałam być żoną człowieka, którego nie ma całymi dniami i który wyżej od rodziny ceni sobie kilka ukradzionych owiec. Nie mogę tak żyć.

– Kocham cię – powiedział bez żadnych wstępów Dwain.

W słuchawce panowało milczenie.

– Brakuje mi ciebie – dodał.

Margo nadal milczała.

– Chciałbym, żeby wszystko było jak dawniej.

– Więc co będzie z dziećmi?

– Przyjadę w sobotę.

W słuchawce trzasnęło i połączenie zostało przerwane. Dwain Hamilton przez długi czas wpatrywał się w słuchawkę. Kiedy szedł do sypialni, potknął się o pustą butelkę po whiskey. Podniósł ją i z wściekłością rzucił w zamknięte okno. Na podłogę spadł deszcz okruszków szkła.

– Margo... – jęknął i opadł ciężko na łóżko.

Cleveland, Ohio

– To on! – powiedział agent Coburn. – Wszyscy na stanowiskach?

Kolega przy monitorze nadzorującym uniósł kciuk.

– Mamy sygnał?

Kolega pokręcił głową i pobłażliwie się uśmiechnął.

– Jeszcze za blisko.

Coburn, który siedział w samochodzie obserwacyjnym, wykrzywił pogardliwie usta. Nienawidził aroganckich i protekcyjnych pracowników działu technicznego, którzy zachowywali się, jakby pozjadali wszystkie rozumy.

Ekipa siedziała w „koniu trojańskim” – samochodzie dostawczym ucharakteryzowanym na pojazd zakładu oczyszczania miasta i, zdaniem Coburna, wyposażonym w zbędny, ciągle popiskujący sprzęt, skąd za pośrednictwem kamer obserwowała wyjazd i ulicę. Brian Saint-Claire nie pojawił się jeszcze w domu ani w żadnym z obserwowanych miejsc w sąsiedztwie. Kilka grup prowadziło obserwację w Long Point i Port Rowan. Coburn wybrał na przynętę Gerarda Pokareva, redaktora naczelnego „ESO-Terry”, z którym Saint-Claire się przyjaźnił. Wydawało się oczywiste, że Saint-Claire pojawi się albo w redakcji, albo w domu Porky'ego, jak nazywano ekscentrycznego redaktora. Dla Coburna, który lubił się wczuwać w rolę ściganej przez siebie osoby, Pokarev miał

wyjatkowe znaczenie. Z tego powodu poleciał helikopterem do Cleveland, aby osobiście kierować jego obserwacją.

– Zaczynamy! Cel ruszył, wkrótce pojawi się u was – doleciało z głośnika. Z podziemnego garażu wyjechał biały mercedes klasy S i skręcił w Union Avenue. Samochód szybko sunął w kierunku Shaker Heights. Pokarewowi najwyraźniej się spieszyło. Z kim zamierzał się spotkać? Może z Brianem Saint-Claire'em i jego przyjaciółką?

Głośny pisk wyrwał agenta Coburna z zadumy.

– Mam go na ekranie, odbieramy sygnał – powiedział technik. – Kieruje się na południe.

Coburn zapukał w szybkę kabiny kierowcy.

– Za nim! – poleciał.

Usiadł na kanapie i kiedy furgonetka ostro ruszyła, musiał się dobrze przytrzymać. Znowu rozległ się głośny pisk.

– Skręca na zachód – poinformował technik.

– Po prostu się go...

– O nie! – zawołał technik. – Zawrócił i jedzie na nas!

– Spokojnie! – odpowiedział Coburn. – O niczym nie wie i tylko bada sytuację. Bravo dwa, trzy i cztery na pozycje!

– Tak jest, szefie – powiedział technik. – Nie ma problemu, cały czas go namierzamy. Mamy w zasięgu teren o średnicy pięciu kilometrów.

Kierowca furgonetki skorzystał z najbliższej okazji i też zawrócił. Przejechali przez całe Cleveland – z Garfield Heights przez Parmę i Brook Park do North Olmsted, stamtąd do Westlake, a w Bay Village wyjechali na międzystanową numer 90 i ruszyli na zachód.

– Co on zamierza? – rzucił wściekle Coburn. – Wodzi nas za nos!

– Nieważne, dokąd pojedzie. O ile nie oddali się od nas na więcej niż pięć kilometrów, zlokalizują go z dokładnością do centymetra.

– Wy, mądrale, ufacie tylko tej swojej technice – syknął Coburn. – A co by było, gdyby nie on prowadził i wysiadł na następnych czerwonych światłach?

Technik wymamrotał coś niezrozumiałego. Po niecałej godzinie jazdy międzystanową numer 90 mercedes skręcił przy Sandusky w kierunku portu.

– Jedzie do promu w Detroit! – zawołał Coburn. – Samochody dwa i trzy do portu! Niech będą tam przed nim!

Technik przekazał polecenie. Dwadzieścia minut później biały mercedes

wjechał na pokład promu mającego płynąć do Detroit. Furgonetka obserwacyjna zatrzymała się na końcu długiej kolejki samochodów, jaka utworzyła się przy wjeździe.

– Mam wjechać na pokład? – spytał kierowca.

– Nie do wiary... – wymamrotał Coburn pod nosem. – Bravo dwa jest na pokładzie?

Technik połączył się z samochodem o kryptonimie Bravo 2.

– Dwójka jest na pokładzie, trójka stoi w kolejce – odparł po chwili.

– Czy on się gdzieś zatrzymywał?

– Mercedes?

– Czy mercedes się gdzieś zatrzymywał?

Technik popatrzył na Coburna ze zdziwioną miną.

Coburn zerwał mu słuchawki z głowy.

– Bravo trzy, czy obiekt przed wjazdem na pokład gdzieś się zatrzymał?! – ryknął do słuchawki.

– Tu Bravo trzy – odpowiedział głos w słuchawkach. – Przy wjeździe na prom był mały zator, więc oczywiście, że się zatrzymywał.

– Trójka, miałeś kontakt wzrokowy?

Minęło kilka sekund, zanim nadeszła odpowiedź.

– Musieliśmy kupić bilet.

Coburn uderzył płaską dłońią w ściankę, aż zadudniło.

– Co za idioci! Natychmiast sprawdź! Przeszukujemy port! Gdzie jest helikopter?

– W Cleveland – odparł technik.

– To nie do wiary, otaczają mnie sami idioci! – wrzasnął Coburn i znowu huknął w ściankę. Tym razem pięścią.

11.

Pride of the Lake, jezioro Erie

Mały biały jacht wypłynął niezaczepiany przez nikogo z portu w Sandusky, opłynął Cedar Point i skierował się na północny wschód. Na wodach wokół Marblehead krążyły jachty, motorówki i żaglówki. Mimo zachmurzenia dzień był ciepły.

– I po co cały ten cyrk? – spytał Porky, kiedy usiadł na ławeczce. Wbrew swoim przyzwyczajeniom był ubrany w granatowy kombinezon. Homer prawdopodobnie tak samo niewygodnie czułby się w białym garniturze, ale z radością zgodził się na przejażdżkę eleganckim mercedesem. Zamierzał spędzić miły dzień w Detroit.

– Uwierz mi, ta inscenizacja była konieczna – odparł Brian. – Masz przed sobą poszukiwanego przez policję mordercę i jego współniczkę.

Porky spojrział w bok na Suzannah i uśmiechnął się szeroko.

– Szczerze mówiąc, nie wygląda mi pani na współniczkę mordercy. Co jest grane?

– Sami chętnie byśmy się dowiedzieli. – Brian pokręcił sterem i pociągnął za dźwignię gazu. Silnik zawył i mijający właśnie Kelleys Island jacht gwałtownie przyspieszył.

Kiedy wyspa została za nimi, a ruch na wodzie wyraźnie się zmniejszył, Brian przekazał ster Suzannah i usiadł obok Porky'ego. Opowiedział mu szczegółowo, co się wydarzyło. Z każdą sekundą oczy Porky'ego robiły się coraz większe. Kiedy Brian skończył, Porky wyprostował się i zagwizdał przez zęby.

– Niezła historia na kryminał – rzucił z uśmiechem. – Coś bardziej nie stworzonego nie wpadło wam do głowy?

– Nie opowiadam farmazonów, tylko prawdę – odparł Brian. – Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale musisz mi uwierzyć. Każde słowo jest prawdziwe.

– Jaja sobie ze mnie robisz, prawda?
– Jak długo się znamy? Piętnaście, szesnaście lat? Ta historia jest prawdziwa. Wpadliśmy po uszy i potrzebujemy twojej pomocy. Chcemy udowodnić swoją niewinność, ale musisz nam pomóc. Proszę cię o to w imię naszej przyjaźni.

Porky uważnie popatrzył Brianowi w oczy.

– Rany, w takim razie jesteście w poważnych tarapatkach – powiedział po dłuższej chwili. – Co zamierzacie?

Brian głęboko wciągnął powietrze.

– Musimy stąd zniknąć i jakoś dostać się na pokład samolotu lecącego do Wenezueli. Do tego właśnie jest mi potrzebna twoja pomoc. Najlepiej będzie, jeśli kupisz bilety przez redakcję. Poza tym muszę się dowiedzieć, czy szukają nas kanadyjskie służby.

– Do Wenezueli? Dlaczego akurat do Wenezueli?

– Na tym kontynencie nie jesteśmy bezpieczni. Nasze urzędy współpracują ściśle z amerykańskimi. Choć jestem Kanadyjczykiem, będą nas ścigać i prędzej czy później złapią i aresztują. Z Wenezuelą nie mamy umowy o ekstradycji, poza tym znam tam kogoś, kto być może zdoła nam pomóc.

– Rozumiem. Punkt drugi to nie problem – mam znajomego w Toronto, do którego mógłbym zadzwonić, ale problemem będzie punkt pierwszy. Nie mogę już samodzielnie dysponować wydatkami. Wsadzili mi na kark takiego młodego zasańca, który pilnuje kasy jak sęp miotu.

– Jajek – poprawił Brian.

– Że co?

– Nieważne. Moim zdaniem da się to rozwiązać. Wypiszę ci czek, który będziesz mógł wszędzie spieniężyć. Poza tym potrzebujemy gotówki. Pilnują już naszych kart kredytowych.

Porky wydał policzki.

– Więc na pewno szuka was FBI. Mają możliwości, jakich sobie nie wyobrażamy.

– Wiem, że dużo od ciebie oczekuję, ale jesteś naszą ostatnią deską ratunku.

Porky skinął bez słowa głową.

– Aha, zanim zapomnę... – powiedział i sięgnął do kieszeni kombinezonu.

– Przyszło przedwczoraj do ciebie do redakcji.

Podał Brianowi pękatkę kopertę. Brian sceptycznie na nią popatrzył. Na liście nie było nadawcy, ostemplowano go w Waszyngtonie.

Rozerwał kopertę i wyjął z niej poskładane kartki i wydruki komputerowe. Niektóre kolumny cyfr pozaznaczano kolorowym flamastrem. Kiedy zaczął rozkładać arkusze, wypadł pomiędzy nich ręcznie napisany list.

Cześć Brianie!

Zdaję sobie sprawę z tego, że jesteś zajęty i najprawdopodobniej tkwisz jeszcze na przylądku Canaveral, ale w wolnej chwili przyjrzyj się temu. To jednoznaczny dowód, że trojaczki zostały wywołane sztucznie. Przekazałem te dane Cliffowi Sebastianowi do Boulder – jest specjalistą, kieruje działem meteorologii NOAA. Jestem pewien, że wyciągnie takie same wnioski.

Przesyłam ten list na adres twojej redakcji, ponieważ na twojej witrynce nie było adresu domowego. Jeżeli dostaniesz ten list, zanim uda mi się z tobą skontaktować (co wielokrotnie bezskutecznie próbowałem zrobić), natychmiast do mnie zadzwoń.

*Pozdrawiam
Wayne*

Brian zagwizdał przez zęby. Jeszcze raz przeczytał list, po czym podał go Porky'emu.

- Co to znaczy? – spytał Porky po przeczytaniu wiadomości.
- Jeśli się nie mylę, jest to szansa, na którą czekaliśmy. Musimy porozmawiać z tym Cliffem Sebastianem. Może wyjaśni nam, co oznaczają te kolumny cyfr.
- Musimy się z nim spotkać – stwierdził Porky.
- A jak się do niego dostaniemy?
- Zadzwoń do niego. Numer do NOAA znajdziesz w każdej książce telefonicznej.
- Dobry pomysł, ale ty do niego zadzwonisz i nas umówisz.

Brian skierował jacht w kierunku pobliskiego brzegu w Port Stanley.

- Czas na telefonowanie. Zaczekamy na ciebie w restauracyjce w tamtym budynku – powiedział, wskazując na jeden z budynków w porcie.
- Nie mam kaloszy – zaprotestował Porky, kiedy Brian rzucił kotwicę na płytkiej wodzie na zachód od Port Stanley.
- Woda jest ciepła i możesz zdjąć buty.

Porky ostrożnie zszedł po drabince do wody, która sięgała mu do kolan. Brian podał mu list od Wayne'a Changa.

- Po co mi to?
- Zrób kilka kopii. Jedną wyślij do mojej skrytki pocztowej w Port Rowan, drugą do redakcji. Na wypadek gdybyśmy mieli stracić oryginał. Najlepiej wynajmij skrytkę i zdeponuj w niej oryginał.
- Dobry pomysł. – Porky wziął kopertę i ruszył do brzegu.

NOAA, Boulder, Kolorado

Wszystkie dane zostały zniszczone. Nie dało się niczego uratować. Wirus zniszczył nawet e-maile i programy do łączności z Internetem. Na szczęście firewall serwera wytrzymał atak. W epoce sieci komputerowych taki wirus mógł spowodować gigantyczną katastrofę, a odtwarzanie danych cofnęłoby stan wiedzy NOAA o miesiące. Kiedy technik pokręcił głową i wpisał polecenie sformatowania dysku twardego, Cliff Sebastian zaklął.

– To potrwa kilka godzin, potem wgram służbowe programy. Stracone pliki krążą gdzieś w cyberprzestrzeni i nie da się ich odzyskać. Ciekaw jestem, w jaki sposób wirus dostał się do komputera. Ktoś musiał użyć zarażonego zewnętrznego nośnika danych. Innego wyjaśnienia nie ma.

– Wiadomo już, czy w ostatnim czasie sieć była konserwowana przez kogoś z pracowników serwisu? – spytał Cliff Sebastian.

Technik wzruszył ramionami.

– Po budynku ciągle kręcą się jacyś serwisanci. Odkąd w zeszłym roku wprowadziliśmy w szerokim zakresie program outsourcings wszystko idzie przez zewnętrzne firmy. Oto i efekt. Może któryś z nich użył zainfekowanej płyty CD i nawet o tym nie wie? Wszystko możliwe. Ci tak zwani specjaliści bywają bardzo lekkomyślni.

– Oczywiście, istnieje taka możliwość. – Cliff Sebastian popatrzył na fragmencik kabla, który cały czas leżał w pudełku na długopisy na jego biurku. Wyjął go czubkami palców i położył na blacie.

Technik spakował walizkę z narzędziami i ruszył w kierunku drzwi.

– Proszę pana! – zawołał za nim Cliff. Wskazał na fragment kabelka. – Czy to pochodzi z mojego komputera?

Technik podszedł i przyjrzał się znaleźnikowi. Z kieszonki koszuli wyjął szczypczyki.

– Wygląda mi raczej na kabel telefoniczny... oczywiście może też pochodzić z komputera. – Wyjął ze swojej walizki szkło powiększające i popatrzył

na kabelek. – Nie, zdecydowanie telefon.

Cliff czekał, aż drzwi zatrzasną się za technikiem. Wpatrywał się z zadumą we fragmentik kabla. Popatrzył na aparat telefoniczny. Ostrożnie podniósł słuchawkę i odkręcił pokrywę mikrofonu. Przyjrzał się ułożonym w środku kablom, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Zakręcił pokrywę i otworzył słuchawkę po drugiej stronie. Głośnik był nieco przekrzywiony. Czubkami palców wyjął go i ze zdumieniem odkrył umieszczony za nim czarny guziczek otoczony dwoma czarnymi kabelkami. Cliff Sebastian doskonale widział, co odkrył. Rozległo się pukanie do drzwi i szybko złożył słuchawkę. Pukanie znowu się rozległo.

– Wejść!

W drzwiach stała jego sekretarka. Twarz miała bladą jak papier.

– Co się stało?

Sekretarka głośno westchnęła.

– Profesor Chang nie żyje. Zginął w zeszłym tygodniu. Dzwonił Vargas z Camp Springs. Profesor padł ofiarą mordu na tle rabunkowym.

Cliffa Sebastiana zamurowało.

– To... to niemożliwe...

12.

Port Colborne, Ontario, Kanada

Suzannah stała w czerwonej budce telefonicznej w porcie miasteczka Port Colborne i drżącymi palcami wybierała numer Peggy.

– Rozmawiaj maksymalnie przez minutę, nie mów, gdzie jesteśmy i co zamierzamy! – pouczył ją przed chwilą Brian. – Musimy się liczyć z tym, że jej telefon jest na podsłuchu i mogą określić, skąd dzwonisz.

W słuchawce zapiszczał sygnał, nikt jednak nie podnosił. Było późne popołudnie, o szyby budki uderzały krople deszczu. Suzannah była zmęczona i miała wrażenie, że powoli dociera do skraju wytrzymałości. Sytuacja, w jakiej znaleźli się z Brianem, była tak niepojęta, że czuła się jak w koszmarnym śnie. Tyle że choć próbowała z całych sił, nie mogła się obudzić. Najpierw matkę porwała gigantyczna fala i utopiła ją w Morzu Karaibskim, a teraz ona sama była podejrzana o zabójstwo i uciekała.

– Lambert – rozległ się głos Peggy.

– Cześć Peggy, to ja, Suzannah!

– Suzi? Co się z tobą dzieje? Kilka dni temu była u mnie policja i pytała o ciebie. Podobno szukają ciebie i Briana. Co się stało?

Głos Peggy był bardzo zatroskany.

– Wszystko jest w porządku, zostałam tylko wplątana w idiotyczną historię. Wszystko na pewno szybko się wyjaśni – Suzannah próbowała uspokoić siostrę.

– Mówili, że Brian jest podejrzany o zabójstwo.

– To bzdura!

– Gdzie jesteście?

Suzannah przeciągnęła palcami przez włosy.

– Nie mogę dłużej rozmawiać. Chciałam tylko dać znak życia i dowiedzieć się, czy Tom lepiej się czuje, a Sarah wróciła do normy.

– On cię więzi?

Suzannah mimowolnie pokręciła głową.

– Ależ skąd! – Była bliska płaczu.

– Więc dlaczego nie jesteś w domu? Nie pamiętam już, ile razy próbowałam się z tobą skontaktować. Jeśli chodzi o Sarah i Toma, to czują się dobrze, Tom ma już gips do chodzenia. Powiedz wreszcie, co się z tobą dzieje!

– Niedługo znów się zamelduję. Nie martw się o mnie.

Suzannah odwiesiła słuchawkę i starła łzy z policzków. Przez jakiś czas stała bez ruchu. Kiedy rozległo się pukanie w szybę, przestraszona poderwała głowę. Przy budce stał Brian i patrzył na nią pytająco.

– Wszystko w porządku? – spytał, kiedy otworzył drzwi.

Suzannah bez słowa skinęła głową.

– Co teraz? – zapytała. Brian popatrzył na zegarek.

– Porky powinien już dawno być z powrotem.

– A jeśli złapano go razem z dokumentami Wayne'a?

– Musimy mieć kopie. Jeśli przejmą dokumentację, ukryją ją i śmierć Wayne'a pójdzie na darmo. – Brian przejechał palcami przez mokre włosy. – Zaczekamy jeszcze godzinę i jeśli nie wróci, popłyniemy dalej.

Rozejrzał się i popatrzył w kierunku knajpy po drugiej stronie ulicy. Na jezdni tworzyły się wielkie kałuże wody. Padało coraz intensywniej.

St. Thomas, Ontario, Kanada

– Nastąpił kontakt z siostrą – powiedział technik.

Agent Coburn bębnił palcami w stół stojący obok jego fotela.

– Gdzie i kiedy?

– Czas rozmowy był krótki i nie podano bliższych informacji – odparł z wahaniem technik. – Telefon wykonano z kanadyjskiej części jeziora Erie. Prześledziliśmy go do węzła w Buffalo. Od tego miejsca łączy się jeszcze analogowe i nie mieliśmy dość czasu na dokładniejszą lokalizację. Rozmowa odbyła się dziesięć minut temu.

Coburn zmarszczył czoło.

– Co to oznacza?

- Kobieta znajduje się w promieniu sześćdziesięciu kilometrów od Buffa-
lo, po kanadyjskiej stronie. Dokładniejsza lokalizacja nie była możliwa.
- Zrozumiałem. Są nowe wieści z Ottawy?
- Jak na razie nie dostaliśmy zielonego światła.
- Dziękuję.

Coburn zastanawiał się, ile jeszcze czasu będą potrzebować Kanadyjczycy. Cóż trudnego było w przestudiowaniu akt i dojściu do jedyne­go możliwego wniosku? Oczywiście nie było w tym nic nowego. Zawsze gdy obiektem ame-
rykańskiego śledztwa był kanadyjski obywatel, urzędy w Ottawie grały na
czas.

Agent NSA się zastanawiał. Najpierw doszło do katastrofy w porcie, teraz
kobieta dzwoniła z okolicy Buffalo. Poszukiwani byli najwyraźniej bardzo
ruchliwi. Coburn nie sądził, aby używali publicznych środków transportu. W
końcu wiedzieli, że są poszukiwani, i musieli się z tym liczyć, że w akcji
uczestniczy także kanadyjska policja. Najwyraźniej Saint-Claire mógł prze-
mieszczać się w inny sposób. Wniosek był logiczny: nad jeziorem najszybszą
drogą transportu była woda.

– Sprawdźcie, czy na tego Saint-Claire'a jest zarejestrowana jakaś łódź –
polecił Coburn technikowi.

Powoli zaczynał się niecierpliwić. Nie lubił, kiedy poszukiwani wodzili go
za nos. Nie zamierzał dopuścić do takiego incydentu, jaki przydarzył się w
porcie w Sandusky. Kanadyjski farmer, który wziął udział w maskaradzie, zo-
stał już zwolniony, ale redaktor naczelny clevelandzkiego czasopisma dla po-
szukiwaczy duchów jeszcze nie został odnaleziony. Coburn musiał piekielnie
uważać, aby sznurki nie wysliznęły mu się z dłoni. Znowu zadzwonił telefon.

- Tak? – rzucił krótko Coburn do słuchawki.
- Zarejestrowany został kolejny kontakt. Także pochodził z okolic Buffa-
lo.
- Do kogo dzwonił?
- Do człowieka z NOAA w Boulder. Rozmowa potrwała dwadzieścia se-
kund i została przekierowana na inny aparat. Dzwoniący podał się za dzienni-
karza. Dalszego ciągu rozmowy nie udało się zarejestrować.

Coburn gwizdnął przez zęby. Zakończył rozmowę bez komentarza i wybrał
numer centrali w Waszyngtonie.

Port Colborne, Ontario, Kanada

Porky zjawił się w umówionym miejscu około czwartej. Wsiadł z taksówki i ruszył biegiem przez deszcz. Kiedy wszedł do znajdującej się przy porcie knajpki, otrząsnął się jak mokry pies.

Brian i Suzannah czekali niecierpliwie przy jednym ze stolików, kiedy drzwi się otworzyły, równocześnie podnieśli głowy. Poza nimi na sali nie było nikogo. Stojący za kontuarem właściciel, który wyglądał jak niedźwiedź, nieufnie lustrował przybysza.

- Mogę dostać herbatę? – spytał Porky.
- Cytrynową, miętową czy czarną?
- Poproszę czarną.

Właściciel skinął głową i zniknął w kuchni. Porky zdjął kurtkę i dosiadł się do stolika.

– Jeszcze jesteście czyści – powiedział z szerokim uśmiechem. – Niewinni jak dzieci.

Brian odetchnął.

- Co poza tym?
- Wysłałem dwie kopie, oryginał zdeponowałem na poczcie. Mam przy sobie jeszcze trzy kopie, na wszelki wypadek.
- A Wenezuela? – spytał Brian.
- Jutro po południu, z Toronto. Learjet wycarterowany przez wydawnictwo. Nie było tanio.
- Nieważne.

Porky sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął dwie koperty, plik pieniędzy i dwa bilety na samolot.

- Bycie bogatym bardzo pomaga – westchnął i dał wszystko Brianowi.
- Ile tu jest?
- Niecałe dziewięć tysięcy. Wszystko poszło gładko, nikt o nic nie pytał. Najwyraźniej sprawdzili stan twojego konta i uznali, że taka suma to błahostka.
- W takim razie znikajmy stąd – zaproponowała Suzannah.
- Jest jeszcze coś – powiedział Porky.

Suzannah i Brian rzucili mu pytające spojrzenia.

– Cliff Sebastian. Rozmawiałem z nim. Najpierw był sceptyczny, ale udało mi się namówić go na spotkanie. Zachowywał się bardzo tajemniczo, od razu przełączył rozmowę na inny aparat.

- Wie, co się stało z Changiem?
- Wie, że nie żyje, ale nie dostał od niego żadnej wiadomości. Jego komputer rozleciał się z powodu wirusa. Z początku był bardzo nieufny, ale kiedy przefaksowałem mu dwie pierwsze strony z dokumentów Changa, zgodził się na spotkanie. Przyleci do Toronto. Spotkamy się dziś o dziewiątej wieczór na lotnisku Island.
- Musimy być ostrożni, może współpracować z policją – powiedziała Suzannah.
- Będziemy ostrożni – zapewnił Brian.
- Jak się teraz stąd wydostaniemy?
- Zdobędziemy samochód – rzekł Brian. – Jeżeli nasi prześladowcy dodadzą dwa do dwóch, domyślą się, że mieliśmy łódź. Porky go nam wynajmie.
- Będę potrzebowała swoich rzeczy.
- W Wenezueli nie przyda ci się żadna z twoich sukienek – odparł Brian. – W Toronto będziemy mieli dość czasu na zakupy. Teraz ruszajmy, do Toronto jest kilka godzin drogi.

Właściciel wyszedł z kuchni i postawił przed Porkym filizankę z parującym płynem.

- Już niepotrzebna – oświadczył Porky i rzucił na stół dolara.

Kiedy wychodzili z knajpy, gospodarz ponuro za nimi popatrzył ni pokręcił głową.

NOAA, Boulder, Kolorado

Cliff Sebastian siedział za biurkiem pogrążony w myślach i rysował na kartce zawijasy. Cały czas dumiał nad telefonem dziennikarza z Toronto.

Faks, który przesłał mu człowiek nazywający się Pokarev, był bez najmniejszej wątpliwości fragmentem programu analitycznego służby meteorologicznej. Dane wskazywały jednoznacznie na niezwykle zjawiska mające udział w powstaniu huraganu, który utworzył się na północ od równika. Niestety, materiał był niepełny i częściowo nieczytelny. Cliff Sebastian doskonale pamiętał telefon Wayne'a Changa, w trakcie którego prosił o sprawdzenie, jakie częstotliwości pola elektromagnetycznego można stwierdzić na różnych poziomach olbrzymiego kłębowiska chmur. W Waszyngtonie Wayne wspomniał o tym jedynie zdawkowo i podziękował za przekazane mu dane. Zanim się rozstali, Wayne nadmienił jeszcze, że chce przeprowadzić analizę dotychczasowych

huraganów za pomocą specjalnego programu. Od tego czasu więcej się nie kontaktował.

A teraz okazuje się, że Wayne Chang nie żyje... Jeśli można było wierzyć słowom Vargasa został zamordowany przez włamywacza, którego przyłapał na gorącym uczynku. Ciało Wayne'a nie zostało jeszcze wydane domowi pogrzebowemu, a policja szukała mężczyzny i kobiety, którzy najprawdopodobniej dokonali włamania do jego mieszkania. Vargas przekazał także, że policja tylko dlatego zwróciła uwagę na podejrzaną parę, ponieważ wróciła ona na miejsce zbrodni kilka dni po śmierci Chang'a. Prawdopodobnie sprawcom zależało na określonym łupie, a za pierwszym razem, gdy zostali wypłoszeni, nie udało im się go zabrać. Brzmiało to nieprzekonująco. Może spotkanie z tym Pokarewem wyjaśni coś w sprawie huraganów, Sebastian nie rozumiał jednak, dlaczego Wayne Chang przesłał dane do prasy, a nie do niego. Czyżby mu nie ufał?

Cliff Sebastian popatrzył na komputer. Cholerny złom! Nawet e-maili nie udało się odtworzyć... zaraz, zaraz. Czyżby Wayne Chang kontaktował się z nim przez pocztę elektroniczną i przesłał dane w załączniku?

Meteorolog skinął głową. Było to jedyne logiczne wyjaśnienie. On w tym czasie siedział w Białym Domu i użerał się z tym dupkiem, któremu arogancja i mania wielkości wyłaziły uszami. Czyżby Wayne zwrócił się do prasy dlatego, że nie dostał odpowiedzi na swoje e-maile? A może kryło się w tym wszystkim coś tak przerażającego, że nie widział innej możliwości, jak zwrócić się do środków masowego przekazu? Czyżby Wayne czuł się zapędzony w kozi róg? Prześladowany, podsłuchiwany? Dokładnie tak, jak czuł się właśnie teraz on sam?

Cliff Sebastian popatrzył na telefon. Jak na razie, nie mówił nikomu o pluskwie. Początkowo zakładał, że za jej założeniem stoi Wagner, który chce wiedzieć, czy Cliff nie przekaze prasie informacji o spapranej ewakuacji Nowego Orleanu. Kiedy się jednak zastanowił, doszedł do wniosku, że Wagner nie miałby z takiej akcji żadnej korzyści. Gdyby Cliff chciał rozmawiać z prasą, podsłuchiwanie jego telefonu nie zapobiegłoby temu.

Podparł głowę dłońmi i zamknął oczy. Zaczęło w nim kiełkować straszliwe podejrzenie. Ponownie popatrzył na dwustronicowy dokument, który przefaksował mu dziennikarz. Szkoda, że nie miał wszystkich stron. Czyżby ten dokument miał związek ze śmiercią Chang'a? Zamordowano go, ponieważ odkrył coś ważnego w trakcie analizy huraganu?

Cliff Sebastian znowu popatrzył na komputer. Wirus w systemie, a w telefonie pluskwa. Co jest grane?

Wstał i wyszedł z gabinetu. Szedł korytarzami, aż znalazł pusty pokój z komputerem. Usiadł przy nim i wpisał swoje hasło. Wszedł na swoje konto e-mailowe: do chwili przeczytania elektroniczne listy znajdowały się na serwerze dostawcy usług internetowych. Wpisał ponownie hasło i login i wszedł na konto. Folder poczty przychodzącej był pusty. Dziwnym trafem puste były także pozostałe foldery – zawierające e-maile wysłane i usunięte oraz kopie robocze.

Cliff Sebastian wciągnął głęboko powietrze. Przez chwilę wpatrywał się w ekran. Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer działu wyjazdów służbowych.

- Dział delegacji, Hale przy aparacie – rozległo się z głośnika.
- Witam, Sebastian z tej strony. Proszę przygotować mi samolot, muszę jeszcze dziś lecieć do Toronto. Proszę zgłosić lot do kontroli lotów.
- Tak jest. Natychmiast się tym zajmę.

□ □ □

Kiedy wyjeżdżał lincolnem z podziemnego garażu, drżały mu ręce. Samolot czekał na lotnisku Stapleton International w Denver. Skręcił na wschód i pojechał w kierunku Lafayette. Im dłużej zastanawiał się nad całą sprawą, tym bardziej wydawała mu się tajemnicza. Ktoś wszedł na jego konto e-mailowe i skasował wszystkie listy. Nie mogło to mieć związku z wirusem, który dostał się do jego komputera, ponieważ serwery poczty elektronicznej należały do dostawcy i nic ich nie zaatakowało. Podszuch w telefonie i śmierć Wayne'a Changa nagle nabrały innego wymiaru. Cliff Sebastian wyjechał z miasta i wjechał na międzystanową numer 36, prowadzącą do Denver. Od czasu do czasu spoglądał w lusterko wsteczne, ale nie zauważył żadnego podejrzanego samochodu.

Kiedy minął zjazd na Broomfield, samochodem szarpnęło. Jakby silnik na sekundę przestał pracować. Sebastian zdjął nogę z gazu i wsłuchał się w odgłos pracy silnika. Nagle, bez żadnego jego udziału, wzrosły obroty. Choć zdjął nogę z gazu, auto przyspieszało. Wcisnął hamulec, na co rozległ się krótki syk i pedał oparł się o podłogę. Cliff Sebastian poczuł panikę. Spróbował przesunąć dźwignię automatycznej skrzyni biegów na pozycję neutralną, ale mu się to nie udało. Zjechał na lewy pas i zaczął wyprzedzać. Prędkościomierz wskazywał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, ale auto przyspieszało. Jeden z jadących

przed nim samochodów rozpoczął wyprzedzanie i zjechał na lewy pas. Cliff Sebastian wcisnął klakson i auto przed nim szybko się schowało. Kiedy Sebastian śmignął obok niego z prędkością prawie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, kierowca pogroził mu pięścią.

Pot spływał mu po plecach. Raz za razem wciskał pedał hamulca, ale nic to nie dawało. Nagle znalazł się za ciężarówką. Cliff Sebastian otworzył usta, skręcił w prawo i osłonił głowę ramionami. Jego krzyk zginął w zgrzycie blachy i chrzęście szkła.

13.

Socorro, Nowy Meksyk

Dwain Hamilton jeszcze nie wrócił do równowagi po telefonie żony. Z jednej strony cieszył się na nadchodzący weekend, kiedy pojedzie do Margo i dzieci do Salt Lake City, z drugiej – bał się tego. Obawiał się, że wszystko zrobi źle i zerwie ostatnią nić porozumienia – jeśli w ogóle można było mówić o tym, że łączy go z Margo jakaś nić porozumienia. Kiedy dzwoniła kilka tygodni wcześniej, oznajmiła, że chce złożyć pozew o rozwód, a on zgodził się bez słowa protestu. Po pierwsze dlatego, że Margo zawsze robiła to, co zamierzała, a po drugie dlatego, że nie był już pewien, czy zależy mu jeszcze na małżeństwie z nią. Po rozstaniu sądził, że uda mu się bez niej i dzieciaków rozpocząć nowe życie, teraz jednak czuł, jak z dnia na dzień robi się coraz bardziej pusty w środku. Od chwili gdy usłyszał jej głos przez telefon, wiedział, że ogień nie wygaś. Należało w zasadzie uznać, że jest wręcz przeciwnie, ale już jutro wszystkie jego nadzieje mogły zostać rozwiane – jeśli Margo (jak się obawiał) znowu zgasi tłący się płomyk.

Zapukano do drzwi.

– Tak?

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł zastępca szeryfa Hollow.

– Złapaliśmy starego Della w lesie Cibola na kradzieży drewna – powiedział zastępca szeryfa. – Jego ciężarówka była pełna pni. Zapakowana po dach. Twierdzi jednak, że nie ścinał drzew, tylko je znalazł. Ponoć leżały tam od tygodni.

– Znalazł?

– Tak, pod górą Withington, po północno-wschodniej stronie. Ktoś złożył pnie na ziemi i się nimi nie interesował. Twierdzi, że postanowił je zabrać, zanim spróchnieją.

Dwain wstał i podszedł do wiszącej na ścianie mapy.

– To pośrodku strefy zamkniętej.

Hollow podszedł i zajrzał szeryfowi przez ramię.

– Kto tam wycina drzewa?

Hollow wzruszył ramionami.

– Więc się dowiedz – polecił mu Dwain Hamilton. – Spróbuj skontaktować się z kimś z nadleśnictwa. Na pewno wiedzą, kto dokonał wycinki.

Hollow skinął głową, obrócił się na pięcie i wyszedł. Ledwie zatrzasnęły się za nim drzwi, gdy zadzwonił telefon. Dwain podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Cześć, mały – zadudnił bas wuja. – Smakował ci obiad Betty?

Dwain się uśmiechnął.

– Senator Joseph Hamilton we własnej osobie. Czym zasłużyłem sobie w tak ponury dzień na ten zaszczyt?

– Pamiętasz, chciałeś, żebym się czegoś dla ciebie dowiedział.

Dwain Hamilton zamienił się w słuch.

– Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że zagubiona paczka najprawdopodobniej należy do marynarki wojennej. Jeśli chodzi o resztę kodu z paczki, to prawdopodobnie oznacza numer jednostki. Nie udało mi się jednak dowiedzieć, o którą konkretnie chodzi.

– W naszej okolicy jest tylko jedna baza piechoty morskiej – na górze Wittington. Sądzisz, że kod mógłby należeć do obozu szkoleniowego imienia generała Willstona?

– Raczej nie. Piechota morska co prawda jest częścią marynarki, ale ma samodzielną administrację. Jeśli się nie mylę, kody ich baz zaczynają się od MC.

– Gdzie jest w naszej okolicy baza marynarki wojennej?

Ze słuchawki doleciało długie westchnienie.

– Mój mały, tego musisz się sam dowiedzieć. Spróbuj w biurze naczelnego dowództwa marynarki wojennej. Ma siedzibę w Waszyngtonie.

– Nie wpadłbym na to.

– Prawdopodobnie ciężarówka, która wiozła paczkę, tylko przejeżdżała przez twój teren – powiedział senator. – Na Zachodnim Wybrzeżu jest wiele baz marynarki.

Po zakończeniu rozmowy Dwain jeszcze długo siedział za biurkiem i dumał. W końcu sięgnął po książkę telefoniczną urzędów i wyszukał numer Pentagonu.

– Dzień dobry, tu Pentagon, panna Fuller przy aparacie. W czym mogą pomóc? – powiedziała telefonistka.

– Proszę mnie połączyć z biurem głównodowodzącego admirała marynarki wojennej.

– Kto mówi i w jakiej sprawie pan dzwoni?

– Nazywam się Dwain Hamilton i jestem szeryfem w hrabstwie Socorro, w Nowym Meksyku. W trakcie wypadku pojazdu wojskowego, do którego u nas doszło, zagubiła się paczka, która musi być własnością marynarki wojennej. Zawartość musi być promieniotwórcza – przynajmniej taka jest nalepka na opakowaniu. Chętnie bym się jej pozbył.

Nie minęła minuta, a Dwain Hamilton rozmawiał z oficerem dyżurnym. Opowiedział o wypadku pod San Antonio i o tym, że pracownik służby drogowej znalazł paczkę kilka dni później w pobliżu miejsca wypadku i przyniósł ją do jego biura.

– Wygląda mi na kod Ośrodka Badawczego Marynarki Wojennej... – powiedział powoli oficer. – Proszę trzymać paczkę pod kluczem. Jeżeli opakowanie nie zostało uszkodzone, nie stanowi ona zagrożenia.

– Zdeponowałem ją w stalowej szafie – powiedział Dwain. – Wygląda na dobrze poobijaną.

– Jak najszybciej się tym zajmiemy – zapewnił oficer, po czym zapisał sobie adres i numer telefonu Dwaina.

Odkładając słuchawkę, Dwain Hamilton szeroko się uśmiechał.

Lot CA 2356, linia czarterowa SCA, Toronto

– Juan odbierze was na lotnisku w Caracas! – zawołał Porky, przekrzykując hałas, jaki robiły silniki learjeta.

Brian popatrzył na zegarek. Zbliżał się czas odlotu.

– Nie rozumiem, dlaczego się nie zjawił.

– Mówisz o Sebastianie?

– A o kim?

– Byłem pewien, że chwycił przynętę – odparł Porky.

– Najwyraźniej nie. Musisz się z nim skontaktować. Najlepiej osobiście. Trzeba się dowiedzieć, co Wayne odkrył.

– Możesz na mnie polegać. Pomyślisz o mnie, gdyby wyniknęła z tego jakaś ciekawa historia?

– Do twojego pisma?

– Sram na to moje pismo. Mogą mnie pocałować w dupę. Niech Harbon przejmie sobie redakcję z tym swoim błyskotliwym menedżerem marketingu, to szybko zobaczy, ile on wart. Z dobrą historią uda mi się wkręcić nawet do „Posta” albo i „Timesa”.

Podeszli do czarnego odrzutowca, który stał przed hangarem. Na błyszczącym metalu perliły się krople deszczu. Suzannah miała naciągnięty na głowę kaptur wiatrówki. Poprzedniego dnia zaopatrzyli się w ubrania tropikalne i lekarstwa, resztę dnia spędzili na czekaniu na Cliffa Sebastiana, którego najwyraźniej strach go obleciał.

– Dziękuję ci za wszystko – powiedział Brian, kiedy zatrzymali się przy schodkach. – Uważaj na siebie.

– Nie ma sprawy, wróćcie tylko cali i zdrowi. Mam nadzieję, że do tego czasu wszystko się wyjaśni. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, to obie komórki są czyste. Zarejestrowałem je na redakcję. Mój nowy numer jest w książce telefonicznej.

Suzannah objęła Porky'ego na pożegnanie i cmoknęła go w policzek. Wsiadli do samolotu.

Ciudad Guayana, Wenezuela

Było bezlitośnie gorąco. Powietrze drżało i koszule lepiły się do pleców. Suzannah siedziała z tyłu land-rovera i wachlowała się złożoną mapą. Nic to jednak nie dawało – nawet wpadające przez okno powietrze nie chłodziło. Rozrastające się miasto nad Orinoko zostało daleko za nimi. Nad drogą unosił się czerwony pył. Brian kurczowo trzymał się uchwyty nad drzwiami pasażera. Jezdnia przypominała ser szwajcarski, ale Juan jechał szybko – prędkościomierz wskazywał prawie dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Powstały w wyniku wyrębu lasu step zmieniał oblicze, wzdłuż drogi pojawiły się krzewy i drzewa.

– Strasznie szybko jedziesz – powiedział Brian.

Juan prychnął.

– Gringo, chciałeś się szybko dostać do szamanki, więc się śpieszę.

– Droga jest zła. Jeśli będziesz dalej tak pędził, skręcimy sobie kark.

– Gringo, znam na tym odcinku każdą dziurę i koleinę. Ten kraj zabija tylko tych, którzy go nie szanują.

Brian zamilkł. Juan wyszczerzył zęby w uśmiechu i skoncentrował się na drodze.

Wczesnym rankiem wystartowali z Caracas dogorywającą ze starości cenną, którą około południa dolecieli do Ciudad Guayana. Juan zaproponował, żeby przeczekać najgorętsze godziny dnia i wyruszyć w dżunglę pod wieczór, ale Brian się nie zgodził. Chciał dotrzeć do wioski szamanki jak najprędzej. W końcu Juan się zgodził, załadował samochód i wyjechali z miasta, gdy był największy upał.

– Co się dzieje u was w Stanach? – spytał Juan po dłuższej przerwie. – Miasta zalewają powódzie, huragany niszczą wybrzeże.

– To zły rok – przyznał Brian. – W samym Nowym Orleanie zginęło ze dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Natura oszalała. Meteorolodzy określają to mianem anomalii klimatycznej.

Drzewa śmigają po obu stronach drogi, rzucając na nich cień, ale upał był bezlitosny. Jechali przez sam środek zielonej dżungli.

– Mówi się, że najpierw trafia winnych – powiedział filozoficznie Juan.

– Że co?

– Mówi się, że kara najpierw spada na grzeszników. Czyż to nie Ameryka kupuje od biedaków tego świata licencje na zanieczyszczanie reszty świata zepsutym powietrzem? Wszystko, co stworzyła ta planeta, jest deptane przez ludzi buciorami, więc przyroda się broni. Huragany się nasilą. Istnieją tylko dwie rzeczy, których tak naprawdę musimy się bać. Pierwsza to bomby, które zbudowaliście, żeby zniszczyć wrogów, a druga to przyroda. Nasza matka, która odrzuci swoje dzieci, jeżeli nie przestaną jej bez przerwy dręczyć.

Brian skinął głową.

– Ciekawe tezy tworzysz w dżungli. Czyż na tym kontynencie nie karczuje się dziennie tyle terenu, że zmieściłby się na nim Nowy Jork?

– To prawda, ale zawdzięczamy to białemu człowiekowi.

– Punkt dla ciebie.

Przez gałęzie przebijało się słońce, migoczące pasy przerywały monotonną zieleń. Brian popatrzył na Suzannah, która zasnęła ze zmęczenia.

– Obudź swoją przyjaciółkę, gringo! Jesteśmy na miejscu.

Za następnym zakrętem płynęło Orinoko. Juan zahamował. Chata rybaka stała w cieniu drzewa. Przed wejściem siedział Indianin w białym T-shircie i naprawiał sieć.

Brian wstał i poszedł na tył samochodu. Wyjął z plecaka aluminiową puszkę.

– Gringo, widzę, że nie zapomniłeś wszystkiego.

Redakcja „ESO-Terry”, Cleveland, Ohio

– Zdaje pan sobie chyba sprawę, że możemy pana aresztować za pomoc w ucieczce dwóm poszukiwanym przez policję mordercom? – powiedział agent Coburn. – Proszę więc nam powiedzieć, dokąd polecieli i co zamierzają!

Porky ze znużoną miną wyglądał przez okno. Czuł tanią wodę kolońską agenta FBI, który stał tuż za jego plecami. Odwrócił do niego głowę.

– To proszę mnie aresztować. Jeden telefon do mojego adwokata i za dwie godziny będę na wolności. Na co pan czeka?

– Ostrzegam pana, Pokarev. Kryje pan mordercę i jego współniczkę. Do stanie pan za to kilka lat więzienia. Wie pan, co tam się dzieje?

– Niedawno znowu oglądałem w telewizji *Więziennego rocka*.

Agent Coburn klepnął płaską dłonią w blat biurka.

– Na co czekacie – albo mnie aresztujcie, albo proszę wyjść! – rzucił zdecydowanie Porky. – Jesteście na fałszywym tropie. Brian Saint-Claire nikogo nie zamordował. Znam go od lat i od lat się przyjaźnimy. Kocha pokojowe rozwiązania. Wie pan, że jest psychologiem? Umie rozwiązywać konflikty w inny sposób niż przemocą.

– Mamy dowody, jego odciski palców są w całym mieszkaniu. Na zwłokach były ślady jego DNA. Uciekł, kiedy chcieliśmy z nim porozmawiać, a gdy zamierzaliśmy aresztować jego lalunię, pobił naszego kolegę. Wszystko przemawia przeciwko niemu. Zrobił to i go dopadnę. Z pańską pomocą albo bez, a pan będzie gnął razem z nim w więzieniu. Osobiście zadbam o to, aby dostał się pan do więzienia państwowego. Pod prysznicem nie należy się tam schylać po mydło, ponieważ nigdy nie wiadomo, kto stoi z tyłu, przyjacielu...

– Hm, agencie... jak się pan nazywa?

– Coburn, nazywam się Coburn. Proszę dobrze zapamiętać moje nazwisko, bo dorwę pana. Obiecuję.

– Więc na co pan czeka? – spytał Porky z założonymi na piersi rękami. – Jeżeli będzie pan chciał mnie jeszcze raz zaszczyścić swoją wizytą, to następnym razem proszę przyjść z nakazem aresztowania.

Agent Coburn wypadł z gabinetu Porky'ego, zatraskując drzwi za sobą tak mocno, że o mało nie wypadła z nich szyba.

Szpital Świętego Antoniego, Denver, Kolorado

Cliff Sebastian otworzył oczy. Jego mętny wzrok padł na biały sufit. Miał wyschnięte usta. Cicho westchnął. Ujrzał nad sobą rozmażane ludzkie rysy.

– Witamy z powrotem w świecie żywych – powiedziała pielęgniarka. – Miał pan sporo szczęścia, panie Sebastian. Coś pana boli?

Cliff Sebastian spróbował poruszyć rękami, ale był zbyt słaby.

– Co... co się stało?

– Miał pan wypadek. Mógł pan zginąć, ale nie licząc ciężkiego wstrząśnienia mózgu, kilku złamanych żeber i złamania żuchwy, udało się panu wyjść z tego cało.

Cliff Sebastian powoli sobie przypominał, co się stało. W jakiś sposób stracił panowanie nad samochodem, potem rozległ się straszliwy łomot i od tego momentu miał pustkę w pamięci.

Caragueta, delta Orinoko, Wenezuela

Nad rzeką panowała duchota i cisza, którą przerywał jedynie plusk wiosła. Popołudniowy upał paraliżował życie po obu brzegach. Zwierzęta żerujące za dnia czekały na chłód wieczora, a polujące w nocy przesywały upał w jamach i legowiskach. Brian i Suzannah wyruszyli kilka godzin temu w zielone piekło, aby zobaczyć się z kobietą, która przed trzema miesiącami stała na krawędzi śmierci. Właściciel łodzi wyłączył i podniósł zaburtowy silnik, żeby śruba nie zaplątała się w długie pasma wodorostów unoszące się na powierzchni odnogi prowadzącej do Caragueta.

– Co za upał... – Suzannah westchnęła i poprawiła mokrą chustkę, którą owinęła głowę. – Daleko jeszcze?

W łodzi śmierdziało octem i olejem napędowym, czyli składnikami środka do ochrony przed komarami, który Brian przyrządził wedle receptury Juana.

– Zaraz dotrzemy na miejsce – odparł Juan. – To za następnym zakrętem.

Brian mocno pociągnął wiosłem.

– Ciągle mnie zadziwiasz. Skąd to wiesz? Dla mnie wszystko wygląda tak samo.

Juan wskazał na swoje oczy.

– To proste, gringo. Widzę.

Brian się skrzywił. Typowa odzywka Juana.

Minęli następny zakręt i skierowali się ku zachodniemu brzegowi.

– Tam! – zawołała podniecona Suzannah.

Wzrok Briana podążył za jej wyciągniętym palcem. Wzdłuż rzeki biegły machające rękami dzieci. Ich nagie ciała błyszczały w słońcu, a przytłumione radosne okrzyki dolatywały do łodzi.

Ukazał się drewniany pomost. Krzyki i wołania dzieci zaalarmowały mieszkańców wioski i na brzegu zbierali się Indianie. Mężczyźni, jedynie w przepaskach biodrowych, kobiety z maleństwami na rękach i dzieciaki, które radośnie wrzeszczały i machały, aby powitać gości.

– Są nadzy... – szepnęła Suzannah.

– Są pierwotni – odparł Brian.

– Mówię to, mając na myśli muchy – powiedziała z oburzeniem Suzannah.

– Ci krwio pijcy wysysają z człowieka wszystko do ostatniej kropli.

– To Warao, a to ich ziemia – wyjaśnił Juan. – Radzą sobie i z dzikimi zwierzętami, i z owadami.

Ledwie łódź zacumowała, Indianie rozeszli się na boki i zrobili miejsce dwóm pomalowanym na biało wojownikom uzbrojonym w siekiery i dzidy. Zatrzymali się przed pomostem. Po chwili dołączyła do nich kobieta. Była owinięta białym materiałem, także głowę nim obwiązała. Na łańcuszku na jej szyi wisały zęby drapieżnych zwierząt oraz migoczące kamienie.

– To jest Ka-Yanoui – szepnął Juan. – Twoja latająca kobieta wróciła ze świata duchów.

Brian przyjrzał się kobiecie, w niczym jednak nie przypominała osoby, której obraz nosił w pamięci.

– Jest taka... żywa.

Kobieta weszła na pomost i zatrzymała się przed łodzią.

– Powiedz jej, kim jesteśmy – szepnął Brian do Juana.

– Wiem, kim jesteście – odparła Ka-Yanoui. – Widziałam was już tysiąc razy i wiem, że będziecie. Czuwaliście przy moim łóżku.

Jej angielski brzmiał dość topornie, ale bez trudu dawało się go zrozumieć.

Suzannah poczuła, jak po plecach przechodzi jej zimny dreszcz.

– Skąd ona cię zna? Przecież mówiłeś, że leżała w śpiączce...

Brian wzruszył ramionami.

– To dobrze, że uciekliście tym, co was prześladowa – powiedziała szamanka. – Tylko w waszej mocy leży uspokojenie boga morza i wiatru. Przed wami trudne zadanie.

– Skąd ona tak dobrze zna angielski? – Brian zwrócił się szeptem do Juana, ale szamanka mimo to się uśmiechnęła.

– W dzieciństwie spędziła kilka lat w angielskiej misji na granicy z Gujaną.

Ka-Yanoui przyjrzała się Suzannah.

– Twoja matka odeszła w światło. Twoje poszukiwania właśnie się skończyły.

Suzannah popatrzyła na kobietę wielkimi oczami. Po policzku spłynęła jej łza. Brian ujął jej dłoń.

– Chodźcie za mną do wsi! – powiedziała Ka-Yanoui i wskazała na prowadzącą w kierunku dżungli ścieżkę. – Już raz nią szliście. Dziś nie ma jednak powodu do zmartwienia, trzeba się radować, bo przyjechaliście, żeby osiągnąć trzeci poziom. Jesteście wysłannikami.

Suzannah otarła łzę.

– Chodźcie! Zaraz zapadnie noc, a zagubione dusze spływają rzeką. Chodźcie za mną, długo na was czekałam.

– Co ona chce przez to powiedzieć? – spytała Suzannah.

– Chyba wkrótce się tego dowiemy.

Poszli za Indianami w kierunku wioski ukrytej kilkaset metrów od rzeki, za pasem drzew. Zgodnie z tradycją wioska składała się ze zreperowanej już dużej chaty stojącej pośrodku placu i otaczających ją szerokim kręgiem małych chat z palmowych liści.

– Gdzie naczelnik? – szepnął do Juana Brian i się rozejrzał.

Juan wskazał na niebo.

– Odszedł do bogów. Tych ludzi prowadzi teraz Ka-Yanoui. Ufają jej, bo jest mądra. Była u bogów i przysłali ją z powrotem do wsi, żeby chroniła jej mieszkańców.

Ka-Yanoui porozmawiała z kilkoma mężczyznami i wkrótce przed głównym domem zapłonęły paleniska i rozłożono maty.

– Najpierw zjemy, potem porozmawiamy – zdecydowała Ka-Yanoui tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Usiedli wokół ogniska, Suzannah tuż obok Briana, Ka-Yanoui naprzeciwko. Podano jednogarnkowe danie z mięsem i jakimiś warzywami korzeniowymi. Pożywiali się w milczeniu, wyjmując jedzenie palcami z dużych drewnianych misek. Tym razem Brian pohamował się przed pytaniem o składniki dania. Kiedy Suzannah trąciła go łokciem, aby się tego dowiedzieć, położył palec na ustach.

Kiedy zjedzono, Ka-Yanouï opadła na plecy i wbiła wzrok w bezchmurne niebo. Gwiazdy migotały na firmamencie, a na twarzach obecnych ludzi tańczyły cienie rzucane przez ognisko. Szamanka się uniosła.

– Kiedy Wielki Duch stworzył Ziemię, była ona zimnym i zagubionym kamieniem na wielkim niebie. To był pierwszy poziom jego działania – zaczęła opowieść. – Stworzył ogień, żeby Ziemię wypełniły ciepło i światło i dotarły do każdego zakątka. To był drugi poziom. Na koniec stworzył dwóch nierozłącznych braci – wiatr i wodę, aby na kamieniu rosło życie. To był trzeci poziom. Później tchnął we wszystkie poziomy ducha za pomocą swojej aury i dał im odrobinę wieczności, i z łona ziemi wyrosła natura. Wyzaczył duchy, które miały czuwać nad jego stworzeniem, a jego oddech połączył wszystkie elementy w jeden strumień bytu. Nawet kamień leżący bezużytecznie na ziemi jest przepelniony jego oddechem.

Nic się nie dzieje bez jego woli i nic nie przemija bez powodu. Pod koniec dnia stworzył Warao, żeby rośli, rozwijali się i przechowali pamięć o nim. Ta jest historia naszego ludu, który kiedyś mieszkał także za rzeką, aż po wielkie góry.

Obecni Indianie wymamrotali chórem kilka słów, jakby odmawiali modlitwę.

– Matka Natura urodziła w bólach także innych ludzi, ale ich dzieci okazały się niewdzięczne, wzgardziły nią. Ludzie zapomnieli o swoim pochodzeniu. Zechcieli dorównać Wielkiemu Duchowi. Obserwowali i studiowali, ale nie po to, aby zrozumieć, lecz żeby zmieniać. Strażnik poziomów obserwował to bezczynnie i w ten sposób renegaci odnaleźli drogę do ognia. Znaleźli go w kamyczkach światła, które powsadzali w latające pojemniki. Kamienie nie służyły im jednak do ogrzewania, lecz do zabijania. Rozzłościło to Wielkiego Ducha i wygnał strażnika, a wraz z nim złych ludzi. Odebrał im oczy, aby nie mogli widzieć jego wielkości, odebrał im uszy, aby nie mogli słyszeć jego głosu, i odebrał im dusze, aby pozostali jedynie cielesnymi powłokami, które po śmierci znikają bez sensu, nie mając możliwości wejrzenia w jego wielkie królestwo. Śpiącego strażnika wygnał do środka Ziemi, gdzie ma cierpieć przez wieczność w płynnym ogniu. Głód tych pozbawionych ducha stworów jest jednak nieograniczony. Chcą zawłaszczyć sobie także trzeci poziom, na szczęście strażnik wody i wiatrów czuwa. Wielki Duch ostrzegł go, więc strażnik jest zły na niewiernych i karze ich swoim niosącym śmierć oddechem.

– Brzmi ładnie, ale ta historia stworzenia niewiele nam da – rzekła Suzannah.

– Zaczekaj – odparł Brian.

– Widziałam niewiernych – powiedziała szamanka. – Wszyscy noszą takie same ubrania, ale niektórzy wkładają na nie białe płaszcze. Mieszkają w górze, gdzie ze szczytu wystają stalowe kolce, przez które wysyłają zło w niebo. Tylko wy możecie ich powstrzymać. Pomoże wam w tym olbrzym.

Suzannah popatrzyła pytająco na Briana.

– Co to ma znaczyć?

– Mieszkają we wnętrzu góry i się nie pokazują. Żyją w tajemnicy. Ale krzyki ludzi, których dręczą, docierają do moich uszu.

– Gdzie jest to miejsce? – spytała zniecierpliwiona Suzannah.

– Białe połacie, białe jak niewinność. Gorąco, to kraina ognia – powiedziała szamanka i wskazała palcem w niebo.

Brian sięgnął po plecak i wyciągnął kopię mapy Ameryki Północnej i potężnego wybrzeża Ameryki Południowej. Wayne Chang narysował na niej trójkąt huraganów.

– Na górze rośnie las – powiedziała szamanka. – To jest centrum. Sprowadzają na Ziemię strach i wyzywają w ten sposób strażnika. Musicie ich powstrzymać. To wasze przeznaczenie. Woda i wiatr mają taką samą moc jak ogień.

Brian popatrzył na mapę.

– Mężczyźni w takich samych ubraniach... mogą to być żołnierze albo coś w tym stylu.

Suzannah patrzyła z zadumą w ogień.

– Znam okolicę, gdzie jest biała pustynia – powiedziała. – W Nowym Meksyku.

– White Sands. Wojsko robiło tam próby z raketami z napędem jądrowym.

– Ogień – przyznała Suzannah. – Kamienie ognia schowane w latających pojemnikach. Może masz rację. Ona na pewno ma na myśli rakietę z napędem jądrowym.

Brian poczuł potrzebę natychmiastowego działania. Zaczął szukać w plecaku długopisu.

– Poza tym niedaleko tamtego miejsca stoją gigantyczne anteny NROA. Byłem tam z rodzicami w młodości.

Brian zaczął wodzić długopisem po mapie. W kawałku drewna zrobił małe nacięcia i powstała linijka; zaczął rysować linie przez rogi trójkątów.

– White Sands... – mruknął po chwili. – Możesz mieć rację. Środek tego trójkąta znajduje się nad El Paso.

– Środek... – powtórzyła Suzannah.

– Musicie ich powstrzymać, bo następny huragan już nadciąga – powiedziała szamanka. Jej głos odbił się echem w nocnym lesie.

– Musimy wracać do Ameryki – rzekł Brian do Juana. – Jak najszybciej. Potrzebujemy fałszywych dokumentów.

Juan podniósł głowę.

– Fałszywe paszporty to żaden problem. Znam kogoś w Caracas, kto jest mi winien przysługę.

□ □ □

Kiedy kładli się spać, Suzannah jeszcze raz sięgnęła po mapę.

– Wszystko brzmi tak... niewiarygodnie. Nie pojmuję tego.

Brian skinął głową.

– Ja wierzę w każde jej słowo – odparł. – Wypełnia ją Wielki Duch. Już dawno osiągnęła inny poziom bytu. Pamiętasz, co powiedział Wayne? Prawdopodobnie odkrył dokładnie to samo, o czym mówiła Ka-Yanou. Tyle że nie wiedział, co oznacza.

– Dlatego go zamordowano?

– Jeżeli jest prawdą to, co podejrzewam, za wszystkim musi stać potężna organizacja.

– Cholernie się boję.

Juan odwrócił się na legowisku.

– Będzie przy was i będzie was chronić. Nie zapominajcie, że jest jednością z matką i jest w niej Wielki Duch. A teraz śpijcie, bo musimy wyruszyć z samego rana.

Brian popatrzył na Suzannah.

– Pojadę sam. Ty zostań tutaj.

– Nie. Jeżeli to, co mówi szamanka, jest prawdą, to ci ludzie mają na sumieniu moją matkę. Chcę spojrzeć im w oczy.

Owinęli się kocami.

– Ciekawa jestem, kim jest ów tajemniczy olbrzym, który ma nam pomóc... – powiedziała w przestrzeń Suzannah.

– Juan pewnie nie – mruknął Brian, zasypiając. – Jest tylko trochę większy ode mnie...

KSIĘGA CZWARTA

Otchłanie
Lato 2004

1.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Ciemne chmury szły na hrabstwo Socorro od południa. Chłodny wieczorny wiatr gnał gigantyczne zbiorowisko chmur wzdłuż Rio Grande, nad jasną pustynią i polami lawy Jornada Del Muerto, i wpychał je w szeroką dolinę między górami San Mateo i Ladron. Front z ciężkich cumulonimbusów oparł się nad lasem narodowym Cibola o wschodnią stronę gór San Mateo. Ciemność ogarnęła okolicę godzinę wcześniej niż zwykle. Kiedy rozległo się pierwsze uderzenie grzmotu, Dwain Hamilton popatrzył w niebo. Właśnie zapakował do samochodu torbę i prezenty dla dzieciaków i zamierzał ruszać do Salt Lake City.

Ogarnęło go złe przecucie, że wybrał na podróż do Utah niedobry termin: zbliżało się święto narodowe i na jutrzejszy dzień niemal w każdym miasteczku lokalne stowarzyszenia urządza parady i imprezy. Jego biuro szeryfa czekało mnóstwo pracy. Poprosił Toma Wintersteina, aby przejął dowodzenie. Tęsknota za dziećmi i Margo tym razem pokonała poczucie obowiązku. Tęsknił za widokiem jej twarzy, jej długimi blond włosami, dołeczkami na policzkach, gdy się uśmiechała, za jej łagodnym głosem.

W oddali ciemność przecięła błyskawica, huknął grzmot. Dwain wrócił po porządne buty, nie mógł zjawić się u Margo w jakichś podarciuchach, i kiedy doszedł do werandy, chmury się rozerwały i na ziemię runęła ulewa. Dwain stał na werandzie – jedynie odwrócił się w stronę ulicy. Po kilkunastu sekundach zapyłony podjazd zamienił się w błotniste jezioro. Wiatr szarpał go za kurtkę i smagał dom. Oderwała się część dachu i odfrunęła z wiatrem. Znowu strzeliła błyskawica i huknął grzmot. Dwain schował się głębiej pod zadaszenie. Po drugiej stronie ulicy wiatr gwałcił brzozę, aż zerwał jej koronę.

– Cholerna pogoda! – zaklął Dwain. Zepsuła mu cały plan. Znowu błysnęło i grzmotnęło. Burza była bardzo blisko. Nagle zadzwonił telefon, zagłuszając szum wiatru i łoskot deszczu.

– Hamilton! – wrzasnął szeryf, gdy udało mu się podnieść słuchawkę.

– To ja, Donna. W mieście zapanowało szaleństwo. Dachy fruwią, w farmę Guthriego uderzył piorun, pali się stodoła. Straż już tam jedzie. Ciągłe dzwonią telefony. Burza szaleje także w San Antonio i Bingham. Drzewa leżą w poprzek dróg, na dwudziestcepiątce było już kilka wypadków. Samochody tam stoją, policja stanowa prosiła nas o pomoc. Musisz...

Znowu błysnęło, huk pioruna zagłuszył inne odgłosy. Oślepiiony Dwain zamknął oczy.

– Donna? Donna, zgłoś się! Co się dzieje?

Połączenie zostało przerwane. Dwain Hamilton zdjął cienką wiatrówkę i sięgnął po kurtkę z herbem hrabstwa Socorro na rękawie.

– Czy wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie?

Redakcja „ESO-Terry”, Cleveland, Ohio

Porky siedział w swoim gabinecie i patrzył na monitor, ale nie dostrzegał linijek otwartego dokumentu.

– Harbon jest wściekły – wyjęczał Myers. – Co pan sobie myślał, rezerwując na redakcję samolot dla dwojga poszukiwanych przez policję przestępców i umożliwiając im w ten sposób ucieczkę?! Chyba się panu w głowie pomieszało! Niech pan sobie wyobrazi tytuły w prasie!

Porky wydał wargi.

– Znam Briana Saint-Claire'a od lat. Oskarżenia wobec niego są wyssane z palca.

Myers pokręcił głową.

– Człowieku, chyba straciłeś rozum. Popełnił pan czyn karalny i wmieszał w to nasze pismo. Może pan mówić o szczęściu, że Harbon ma dobre serce i jeszcze pana nie wywalił.

– U pana już dawno byłbym na ulicy, prawda?

– Może się pan o to założyć. Od teraz będzie się pan zajmował jedynie sprawami redakcyjnymi, a zaraz po tym, jak zgłosi się do pana Brian Saint-Claire, zawiadomi pan o tym agenta Coburna.

Myers próbował robić minę człowieka o wielkim autorytecie, ale jego nadmierne młodzieńcze wygląd sprawiał, że wydawał się Porky'emu jeszcze śmieszniejszy niż zazwyczaj. Rzucił na biurko wizytówkę.

– Możemy mówić o szczęściu, że agent nie rozpoczął postępowania. Może da się coś jeszcze uratować. Dał mi wizytówkę, żebym ją panu przekazał. Proszę do niego zadzwonić i powiedziec mu, co zamierzają uciekinierzy. Od dawna już wie, że polecili wyczarterowaną maszyną do Ameryki Południowej.

Porky musiał się roześmiać.

– Miałem kiedyś psa – powiedział. – Szczeniaka, boksera. Miał ledwie osiem tygodni i zawsze, kiedy zabrałem mu zabawkę, patrzył się na mnie dokładnie tak jak pan.

– Co to ma znaczyć, panie Pokarev? Żarty sobie pan ze mnie stroi?

– To niewesoła historia. Miał ledwie pół roku, jak wbiegł prosto pod ciężarówkę. I wie pan, co jest w tej historii perfidnego?

Myers gotował się ze złości.

– Ciężarówka należała do miejscowego sklepu z karmą dla zwierząt. Został tak jakby przejechany przez własne jedzenie, rozumie pan?

Myers pokręcił głową.

– To ma być groźba?

Porky wzruszył ramionami.

– To nic więcej niż cholerna historyjka, kolejna z tego zasranego życia.

– Stąpa pan po kruchym lodzie.

– A ty wreszcie zabieraj tyłek z mojego gabinetu, zanim wybije ci kilka zębów!

Myers odwrócił się na pięcie.

– Teraz posunął się pan już za daleko – syknął i wyszedł z gabinetu. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Porky przeciągnął palcami po włosach. Zdawał sobie sprawę, że już czas rozejrzeć się za nową pracą. Musiał jednak mieć asa w rękawie. Otworzył szufladę i wyjął z niej kopertę z zapiskami Wayne'a Changa. Chwilę się zastanowił, sięgnął po słuchawkę, ale ją odłożył. Przeszły mu przez głowę słowa agenta FBI: „Dostanę pana”.

Porky wstał i wziął marynarkę. Na dworze padało, ale wyszedł z redakcji. Rozejrzał się – bardzo prawdopodobne, że FBI zostawiło kogoś, by go obserwował. Przeszedł przez ulicę i wszedł do baru Salis. Zamówił przy barze

drinka i podczas gdy Charlie mu go przyrządzał, Porky przeszedł przez drzwi wahadłowe, za którymi zaczynał się korytarzyk prowadzący do toalet. Wisiał w nim staromodny automat telefoniczny. Wygrzebał z kieszeni ćwierćdolarówkę i wybrał numer NOAA w Boulder.

Potrwało niemal minutę, zanim odebrano.

– Nazywam się Smith – przedstawił się Porky. – Byłem wczoraj umówiony z panem Sebastianem, ale nie przyszedł. Mógłbym z nim porozmawiać?

Przez chwilę panowało milczenie. Rozległ się metaliczny trzask. Porky chciał już odwieść słuchawkę, kiedy usłyszał w niej kobiecy głos.

– Pan Smith?

– Tak, słucham?

– W jakiej sprawie chciał pan rozmawiać z panem Sebastianem?

Porky próbował szybko wymyślić jakiś pretekst.

– Panie Smith?

– Hm... pan Sebastian zamówił u mnie samochód. Chcieliśmy wczoraj odbyć jazdę próbną.

– Bardzo mi przykro. Pan Sebastian miał wypadek samochodowy i leży w szpitalu. Jest ciężko ranny.

– Coś zagraża jego życiu? – spytał zdumiony Porky.

– Jak się pan nazywa?

– Smith. Pytam tylko dlatego, że pan Sebastian wpłacił zaliczkę.

Znowu na kilka sekund zapadła cisza.

– Jest ciężko ranny, ale jego życiu nic nie grozi – powiedziała w końcu kobieta z głębokim westchnieniem. – Będzie pan musiał dość długo poczekać.

– W którym leży szpitalu?

– Przykro mi, ale to przesada. Musi pan zrozumieć, że nie mogę, ot tak, przez telefon...

– Oczywiście, chodzi jedynie o to, że mam kilku osób zainteresowanych tym cadillakiem. To unikat.

– W Denver – zdecydowała się ujawnić kobieta. – W szpitalu Świętego Antoniego. Na pewno jednak nie da się z nim porozmawiać szybciej niż za tydzień.

– Dziękuję pani bardzo. Tydzień to nie problem, tyle mogę zatrzymać dla niego samochód.

Kiedy Porky wracał do baru, jego drink już czekał. W sali było jedynie kilku gości. Porky często bywał w tym barze – był on miejscem spotkań dziennikarza reporterów pracujących w okolicznych redakcjach gazet i czasopism. Trzech gości znał z widzenia, ale po raz pierwszy widział dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach siedzących przy stoliku w rogu. Przed każdym z nich stała szklanka z wodą. Porky sięgnął po drinka. A więc Cliff Sebastian miał poważny wypadek samochodowy, w którym został ciężko ranny... Co za wypadek, pomyślał, wybierając numer komórki Briana.

Caracas, lotnisko międzynarodowe, Wenezuela

„Ostatnie wezwanie dla pasażerów lotu CA 4356 z Caracas do Houston w Teksasie. Proszę udać się do bramki numer dwa” – doleciał z głośników przyjemny głos kobiety doskonale mówiącej po angielsku. Przed chwilą ogłosiła wezwanie dla pasażerów po hiszpańsku i francusku.

Brian podał Juanowi rękę na pożegnanie i popatrzył na niego z wdzięcznością.

– Panie i pani Jones, to był dla mnie zaszczyt – rzekł Juan z uśmiechem.

– Bez ciebie tkwilibyśmy tu do poniedziałku – powiedział Brian. – Ci ludzie nie cofną się przed niczym. Jestem pewien, że wypadek Sebastiana też trzeba zapisać na ich konto. Porky uważa tak samo.

– Ale skąd mogli wiedzieć, że zamierzamy się z nim spotkać?

– Wojsko, jeżeli to wojsko za tym wszystkim stoi, a tak przypuszczam, dysponuje najnowocześniejszą techniką. Na pewno podsłuchują telefony i gabiny. Od tej chwili liczy się każda minuta. Juan, dziękuję za paszporty i wszystko, co dla nas zrobiłeś.

– Gringo, przecież wiesz, że zawsze możesz polegać na starym Juanie. Znam tu dość ludzi. Kiedy załatwicie swoje sprawy w Stanach, możecie mnie odwiedzić. Pokażę wam w moim kraju miejsca, do których cywilizacja nigdy nie odważy się wejść.

– Niedługo się u ciebie zamelduję – obiecał Brian.

– Musimy wchodzić do sali tranzytowej – powiedziała Suzannah i pociągnęła Briana za rękaw. Przeszli wąskim korytarzykiem i doszli do okienka, za którym siedział żołnierz straży granicznej.

– *Los pasportes, por favor* – powiedział urzędnik. Brian położył oba paszporty w wycięciu okienka. – *Americano?*

– Si.

– Pani Jones, panie Jones, mam nadzieję, że pobyt w Caracas był przyjemny – powiedział żołnierz z wyraźnym akcentem i oddał paszporty. – Życzę miłego lotu.

Tristar firmy Delta Air wystartował tuż po jedenastej w południe. W klasie ekonomicznej siedziało kilku amerykańskich turystów. Nikt nie zwracał uwagi na państwa Jones siedzących w jednym z tylnych rzędów.

Po niecałych sześciu godzinach maszyna miała wylądować w Houston.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

W hrabstwie Socorro panował chaos. Rio Grande w paru miejscach wystąpiła z brzegów i woda zalała kilka farm powyżej Bosque del Apache. W trzech budynkach okręgu od uderzeń pioruna wybuchły pożary. W San Antonio spalił się dom, z którego straż pożarna wydobyła zwłoki trojga dzieci. W stajni Guthriego, znajdującej się tuż za miastem, spaliło się nie wiadomo ile krów, a w stacji przesyłowej pod Magdaleną ciągle jeszcze tlił się pożar. Straż pożarna, policja i służby ratunkowe – wszyscy pracowali bez chwili przerwy. Od lat nie było w okolicy tak gwałtownej burzy. Ulewne deszcze dopiero niedawno zaczęły słabnąć. Wiatr ciągle jeszcze gnał po ulicach z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Pot sływał Dwainowi Hamiltonowi po plecach. Próbował wypędzić krowy ze stajni Richmondów pod lasem Cibola, zanim zawali się budynek o uszkodzonej przez wichur konstrukcji. Zwierzęta były niespokojne. Nie chciały opuścić miejsca, które wydawało im się bezpieczne. Już podeptały i ciężko raniły jednego robotnika. Dwain zdawał sobie sprawę, jak trudnego zadania się podjął, ignorował jednak ryzyko. Raz za razem wbiegał do stajni przez otwartą bramę i zarzucał lasso na szyję ciężarnej krowy albo młodego byka. Belki groźnie zatrzeszczały, na co Dwain wybiegł na zewnątrz i dał lasso staremu Richmondowi, który wyciągnął zwierzę. Kiedy Dwain złapał następne lasso i zamierzał znowu wbiec do stajni, pękł jeden z bocznych dźwigarów. Dach zawalił się z głośnym trzaskiem. Dwain stanął. W powietrzu, wirując jak szalona, leciała deska.

Głośne krzyki stojących wokół ludzi zostały zagłuszone przez łoskot zamieniającego się w ruinę budynku. Zanim Dwain zorientował się, jakie grozi mu niebezpieczeństwo, deska trafiła go w głowę. Szeryf padł w błoto jak ścięte drzewo, a przed utratą przytomności zdążył tylko powiedzieć: „Margo”. Margo będzie czekała na niego na próżno i nikt jej nie powie, co mu się stało i dlaczego nie zdążył na czas do Salt Lake City. Łąca telefoniczne były zerwane, sieć elektryczna została zniszczona w wielu miejscach.

2.

Houston, Teksas

– I co teraz? – spytała Suzannah, kiedy wyszli z hali przylotów.

Para amerykańskich turystów przeszła bez problemu przez kontrolę celną i paszportową.

– Kupimy trochę ciuchów i wyposażenie kempingowe.

– Po co?

– Ponieważ jesteśmy niewinnymi turystami z plecakami, którzy chcą sobie trochę obejrzeć Góry Skaliste.

– To jakieś błędne koło. Ściągamy na ludzi same nieszczęścia. Nie wiem, czy to się kiedykolwiek zmieni.

Brian delikatnie objął Suzannah i przyciągnął ją do siebie.

– Zaufaj mi. Na pewno sobie poradzimy. Mamy jednak tylko jedną szansę na udowodnienie własnej niewinności: musimy się dowiedzieć, kto stoi za tym spiskiem. Damy radę. Nie mamy nic do stracenia.

Zdecydowanie w głosie Briana dodało Suzannah sił.

– Dziesięć dni temu byłam uznanym naukowcem z perspektywami na katedrę w Chicago, a teraz jestem poszukiwaną morderczynią. Niepojęte. To jak zły sen, z którego nie można się obudzić. Czekam bez przerwy, żeby zadzwonił budzik i żebyśmy mogła znowu stać się sobą.

– Sami musimy zadbać o to, abyśmy się obudzili z tego koszmaru. Najpierw trzeba znaleźć w Nowym Meksyku górę ze stalowymi kolcami. Moim zdaniem bez względu na to, co tam odkrywamy, dowiemy się, kto odpowiada za śmierć Wayne'a. Nie będzie łatwo, ale przyzwyczałem się walczyć z przeciwnościami. Zmusza mnie do tego moja praca.

Suzannah mocno ścisnęła jego dłoń.

– W takim razie na co jeszcze czekamy?

Pojechali taksówką do centrum i kupili w domu towarowym turystyczne ubrania, plecaki, aparat fotograficzny i system nawigacji satelitarnej. Po powrocie na lotnisko kupili dwa bilety na lot o dziewiątej do Albuquerque. Mieli tam polecieć małym turbośmigłowcem, który zabierał na pokład czterdziestu pasażerów. Zajęta była nie więcej niż połowa miejsc. Aby przelecieć niecałe tysiąc dwieście kilometrów, samolot potrzebował prawie trzech godzin. Przystało trząść dopiero wtedy, kiedy osiągnęli wysokość przelotową.

Wkrótce oboje zasnęli. Dopiero gdy maszyna zaczęła hałaśliwie schodzić do lądowania, Brian obudził się z głębokiego snu. Przez chwilę obserwował twarz Suzannah oświetlaną mętnym światłem lampki pokładowej. Przeszło mu przez głowę, że nigdy nie powinien jej opuszczać.

Kiedy śmigała się zatrzymały, Brian obudził Suzannah.

– Gdzie... gdzie jesteśmy?

– Niedaleko jaskini Iwa. Stewardesa powiedziała, że wczoraj nad okolicą przeszła potężna burza. Ruch autobusowy jest wstrzymany.

– Jak dostaniemy się do White Sands?

– Zdobędziemy samochód.

– Przydałoby się do tego prawo jazdy.

– Sądzę, że znajdzie się w mieście jakiś sprzedawca używanych samochodów, który nam pomoże za kilka dodatkowych dolarów.

– Masz dość pieniędzy?

Brian sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik pieniędzy.

– W sumie powinno tu być jakieś siedem tysięcy.

Krajowe Centrum Huraganów, Miami

– Prędkość rotacji wynosi mniej więcej sto osiemdziesiąt sześć kilometrów na godzinę, z tendencją rosnącą – oznajmił siedzący przy monitorze technik.

– Zwracajcie uwagę na spadek ciśnienia i poślijcie tam helikopter – zarządził Allan Clark. – Nasi ludzie na „Solarisie” niech mają oczy otwarte. Chcę być natychmiast informowany, jeżeli coś zacznie się dziać. I jeszcze jedno – niech pan sprawdza w odstępach co dziesięć minut punkty pomiarowe i zapisuje dane w tabeli. Obawiam się, że kolejna katastrofa na miarę Fiodora kosztowałaby nas pracę.

– Tak jest! – odparł technik i sięgnął po słuchawkę czerwonego telefonu, przez który mógł się połączyć bezpośrednio z ośrodkiem lotów.

– Możemy mówić o szczęściu, że tym razem wygląda na pojedynczy twór.

Allan Clark wyszedł z pomieszczenia kontroli i ruszył długim korytarzem do swojego gabinetu. Z danych pomiarowych wynikało, że Hannah – jak nazywali huragan, który utworzył się nad Małymi Antylami – nie rozwinie się do kategorii piątej, ponieważ temperatura powierzchni wody w tych częściach Zatoki Meksykańskiej, które znajdowały się na przewidywanej trasie cyklonu, była zbyt niska. Co byłoby jednak, gdyby Hannah zmieniła kurs? W kilku miejscach oceanu woda rozgrzała się do nietypowej dla tej pory roku temperatury. Na dodatek w dalszym ciągu nie było jasne, co było powodem tego zjawiska.

Znakomici badacze klimatu z całego świata, tacy jak profesor Don Reed z Uniwersytetu Melbourne czy doktor Jacques Pinot z Instytutu Badań Klimatycznych w Paryżu, dostrzegali w niezwykłych zjawiskach, odbywających się u południowych wybrzeży Stanów Zjednoczonych, wyraźne zwiastuny zmian klimatycznych. Prognozowali na nadchodzące lata przerażający scenariusz. Więcej sztormów o niszczycielskiej sile to jedynie element tego, co ich zdaniem czeka ludzkość.

Na szczęście Hannah nie pasowała do tej kategorii. Fiodor ochłodził Morze Karaibskie. Ponieważ zassał olbrzymią ilość energii, zabrakło jej, żeby Hannah mogła rozwinąć się w tajfun najwyższej kategorii.

Socorro, Nowy Meksyk

Biały bandaż, jakim Dwain Hamilton miał owiniętą głowę, sprawiał, że seryf wyglądał jak Beduin. Siedział rozwalony na swoim wygodnym fotelu, z nogami położonymi na biurku. Lekarze chcieli go jeszcze przez jakiś czas trzymać w szpitalu, ale wypisał się na własne żądanie i wrócił do biura. W głowie ciągle mu szumiało, jakby tysiące much urządzało sobie w niej wyścigi, ale zawroty osłabły.

– Jak mogłeś być tak nierozsądny? – zrugął wuja Lazard. – Nikt nie może być tak głupi, żeby wbiegać do walącej się obory po parę oszalałych byków i krów. Co chciałeś osiągnąć?

Gdy Dwain wyszedł rano ze szpitala, zadzwonił do Margo. Spodziewał się

wyrzutów, ale życzyła mu tylko powrotu do zdrowia i zaprosiła na następny weekend.

– Boli jeszcze? – spytał Lazard.

Dwain przyłożył do karku nowy worek z lodem.

– Cały czas mi szumi pod czaszką, nic dziwnego, w końcu przebiłem nią deskę na wylot.

– Masz stalowy łeb.

Sytuacja w hrabstwie znacznie się poprawiła. Burza przesunęła się dalej, niestety pozostawiając po sobie wyraźne ślady.

– Takiej burzy jeszcze nie przeżyłem w naszym hrabstwie – stwierdził Lazard.

– W marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku była tu burza śnieżna, przy której to wczorajsze to jedynie delikatny podmuch. Zginęło dziesięć osób, a miasto utonęło pod śniegiem. Przez tydzień nie było prądu, a ludzie siedzieli gęsto stłoczeni w hali miejskiej, żeby nie zamarznąć.

Lazard szeroko rozdziawił usta.

– Skąd wiesz? Przecież wtedy byłeś jeszcze dzieckiem i mieszkałeś daleko stąd.

Dwain się uśmiechnął.

– Opowiedział mi ojciec Donny. Spotkałem go w szpitalu. Złamał sobie rękę.

– To dlatego Donna tak wypadła z biura! Nie mogłem tego zrozumieć.

Zapukano do drzwi.

– Wejść!

Do gabinetu wsadziła głowę zastępczyni szeryfa Moonlight.

– Przepraszam, szeryfie, ale przyszło dwóch wojskowych. Chcą coś odebrać. Powiedzieli, że szeryf będzie wiedział.

Dwain zdjął worek z lodem z karku i wstał.

– Proszę ich do mnie przysłać!

Lazard popatrzył zaskoczony w kierunku drzwi. Weszło dwóch oficerów w brązowych mundurach. Stanęli przed szeryfem i zaszalutowali.

– Jestem kapitan Thomasson – przedstawił się pierwszy z nich. – Poinformował nas pan, że jest w posiadaniu paczki, która zaginęła z transportu.

Dwain skinął głową.

– Prawdopodobnie została po wypadku wojskowej ciężarówce pod San Antonio. Znalazł ją robotnik drogowy i mi przyniósł.

Dwain pokuśtykał do szafy i odsunął drzwiczki. Wyjął paczkę owiniętą brudną i miejscami podartą tekturą. Położył ją na biurku.

– Jest tu jeszcze kod: cztery NRC-C zero osiem. Niezależnie od tego, co oznacza.

Kapitan z niepokojem popatrzył na symbol promieniotwórczości.

– Proszę się nie obawiać, nie jest radioaktywna – uspokoił go Dwain. – Zmierzyłem. Pożyczylimy odpowiednie urządzenie.

– Jest pan pewien, że należy do nas? – spytał kapitan.

– NRC to przecież Naval Research Center – Ośrodek Badawczy Marynarki Wojennej. Dlatego od razu pomyślałem o wojsku. Chciałem to zawieźć do obozu imienia generała Willstona, ale zapewniono mnie, że jest własnością innej jednostki i ktoś się po to zgłosi.

Kapitan przyjacielsko skinął głową i dał znak swojemu towarzyszkowi, który podszedł do biurka i włożył paczkę do metalowego pudła.

– Dziękujemy, szeryfie. Zrobił pan dokładnie tak jak należało.

Dwain się uśmiechnął.

– Cała przyjemność po mojej stronie. W końcu jesteśmy patriotami.

Kiedy oficerowie sobie poszli, Lazard dalej stał z rozdziawioną gębą przy biurku.

– Znalazłeś paczkę należącą do wojska? Nie mówiłeś nic o tym.

– Dwa razy przejechałem po niej samochodem i wrzuciłem do największej kałuży, jaką udało mi się znaleźć – odparł Dwain ze śmiechem. – Mnóstwo pracy musiałem włożyć w to, żeby tak wyglądała.

– Oszukałeś ich.

– Trochę popchnąłem śledztwo. Teraz wiemy, że Mcnish był w obozie wojskowym.

– Ale kiedy otworzą paczkę i zobaczą, że jest pusta, zaczną zadawać pytania.

– Nie jest pusta. Zanim się po niej przejechałem, włożyłem do środka płytę główną naszego starego nadajnika radiowego i kilka elementów mojego starego wskaźnika laserowego. O ile się orientuję, we wskaźniku laserowym jest słaba substancja radioaktywna.

– Rzucisz im ochłap i capnęli go jak głodne kundły... Ale z ciebie cwaniak.

– To chyba rodzinne.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Samochód był stary i poobijany, ale nadawał się do użytku. Nabyli go w śmierdzącym garażu, znajdującym się w podwórzu domu przy ulicy wyjazdowej z Albuquerque. Kiedy Brian zdejmował z przedniej szyby kartkę z ceną, indiański sprzedawca chytrze się uśmiechnął. Zrobił doskonały interes, a Brian był zadowolony, że dostali samochód bez zbędnej biurokracji. Ośmioletni czerwony samochód terenowy miał na liczniku niemal dwieście tysięcy kilometrów, opony były jednak w dobrym stanie, a japońskie diesle mają opinię trwałych.

Kiedy pół godziny później jechali międzystanową numer 25 z Albuquerque do Socorro, silnik toyoty zadowolony mruczał równomiernie. Nad lasami snuły się pojedyncze pasma mgły, a niebo było zachmurzone. Krajobraz powoli się zmieniał. Obok szosy pojawił się rozległy step, w oddali widać było wysokie góry. Zbocza bliższych z nich stanowiły nagie czerwone skały, te widoczne dalej na zachód były aż do dużej wysokości porośnięte lasami. Domy miały fasady w pastelowych kolorach i na ogół nie więcej niż jedno piętro. Dla mieszkańców z północnego wschodu Stanów Zjednoczonych był to niezwykle widok.

Zatrzymali się przed sklepem w Socorro – zbudowanym w typowym stylu sklepiku na Dzikim Zachodzie. Zanim wysiedli, Brian uważnie się rozejrzał. Biuro szeryfa znajdowało się kilka domów dalej. Na parkingu przed budynkiem z płaskim dachem stały dwie limuzyny w biało-niebieskie pasy i jeden samochód terenowy. Wyglądało na to, że życie w miasteczku płynie normalnie.

Weszli do sklepu i kupili kilka przydatnych drobiazgów: nóż myśliwski, małą ręczną piłę, nożyce do cięcia metalu, zestaw obcęarów, lornetkę, sporą ilość wody butelkowanej i zestaw map. Brian zapłacił gotówką.

– Życzą państwo coś jeszcze? – spytał właściciel sklepu, spoglądając na Briana przez grube okulary.

– Chcemy pochodzić po górach i trochę się zrelaksować – odparł Brian. – Są tu w okolicy oznakowane szlaki?

Właściciel sklepu skinął głową.

– Zapytajcie pracowników służby leśnej w Magdalenie, na pewno wam pomogą.

– Pojedziemy najpierw do anten satelitarnych – postanowił Brian, kiedy

znaleźli się ponownie w samochodzie i popatrzył na mapę. O jedenastej dzień był umiarkowanie ciepły, a wszędzie widniały ślady po przejściu orkanu: złamane drzewa, poodrywane gałęzie i tablice, pouszkodzone dachy.

Kiedy przez dłuższy czas jechał za nimi radiowóz, Brian nerwowo spoglądał w lusterko wsteczne. Tuż przed wyjazdem z miasta radiowóz jednak skręcił i odetchnęli.

Obserwatorium o nazwie Very Large Array, w skrócie nazywane VLA, to instalacja składająca się z dwudziestu siedmiu ogromnych anten satelitarnych o średnicy dwudziestu pięciu metrów każda, ustawionych w kształcie litery Y pośrodku nagiego płaskowyzu, na zachód od Magdaleny i służąca do obserwacji odległych obiektów astronomicznych. Brian zaproponował, żeby najpierw się rozejrzeć po tym miejscu odwiedzanym licznie przez turystów i wycieczki szkolne i dowiedzieć, czy – choć obserwatorium miało służyć jedynie celom naukowym – nie pojawiło się tam wojsko. Kiedy przyjechali na miejsce, na zapyłonym i niczym nieosłoniętym parkingu stały dwa autobusy i kilka samochodów osobowych. Suzannah i Brian dołączyli do grupy oprowadzanej przez przewodnika. Zwiedzanie trwało prawie dwie godziny i obejmowało też pokaz multimedialny. Nie zauważyli nic podejrzanego. Nic nie wskazywało na to, żeby radioteleskopy służyły do czegoś innego, niż twierdził w czasie oprowadzania przewodnik.

– Jeśli o mnie chodzi, to mam dość – oświadczył Brian, kiedy wrócili do samochodu. – Jestem głodny. Jedźmy do Magdaleny i sprawdźmy, czy można tam coś zjeść.

Suzannah nie protestowała.

Centrum Magdaleny, Nowy Meksyk

– Smakowało? – spytała kelnerka z plakietską SALLY. Pochylała się nad stołem i zbierała talerze.

– Było znakomite – odparł Brian i pogłaskał się po brzuchu.

– Stek dla prawdziwego mężczyzny – powiedziała Sally i roześmiała się. – Fasola jest z własnej uprawy. Rośnie u mnie w ogródku. Byliście przy antenach?

Brian skinął głową.

– Mamy urlop i chcemy zrobić wycieczkę po górach. Jest tu jakiś szlak?

Sally wskazała dłonią za okno.

– Na skraju miasta jest stacja służby leśnej. Na pewno udzielą wam tam wszelkich informacji. W lesie Cibola można świetnie biwakować, choć trzeba teraz uważać, bo w ostatnich latach w góry wróciły niektóre dzikie zwierzęta.

– Nie jesteśmy strachliwi. Słyszałem, że niedaleko jest obóz wojskowy.

Sally chwilę się zastanowiła.

– Ma pan na pewno na myśli obóz szkoleniowy imienia generała Willstona na górze Withington... dawniej stacjonowała tu piechota morska. Czasami przyjeżdżali do miasta i chlali do rana, ale obóz zamknięto kilka lat temu, a jednostki zostały przeniesione do Fort Huachuca.

– Obóz został zamknięty?

Sally wzruszyła ramionami.

– Dwa albo trzy lata temu wróciło tu trochę żołnierzy piechoty morskiej. Krążą pogłoski, że teraz jest tam obóz szkoleniowy sił specjalnych, ale w mieście już dawno nie widziano żołnierza.

Brian popatrzył znacząco na Suzannah. Obóz piechoty morskiej zamknięty, a potem ponownie otwarty. Będą musieli przyjrzeć się temu miejscu.

– Życzycie sobie czegoś jeszcze? Coś do picia, deser?

Zarówno Brian, jak i Suzannah grzecznie odmówili i kilka minut później wyszli z restauracji. Brian wyjął mapę i rozłożył ją na masce samochodu. Zaczął wodzić po niej palcem.

– Tutaj jest Magdalena... na dole biała pustynia... niedaleko Alamo bazy sił powietrznych Holloman, poza tym nie ma tu... chwileczkę! – Brian wziął mapę do ręki i przyjrzał się uważnie jej fragmentowi. – Popatrz tutaj!

Suzannah przysunęła twarz do mapy.

– Co to jest?

– Teren jest zakreskowany, a jeśli się nie mylę, są tu wrysowane budynki. Zamknięty teren wojskowy.

– Gdzie to jest?

Brian podniósł głowę i popatrzył na południe. Wskazał palcem widoczne w oddali zalesione góry.

– Musimy jechać tam.

Wsiedli do samochodu i na skraju Magdaleny skręcili na południe, w kierunku gór San Mateo. Biegła ku nim wąska, lekko wznosząca się droga. Brązowa trawa na poboczu wkrótce ustąpiła miejsca zielonemu pasowi krzewów i niskich drzew. Roślinność robiła się coraz gęstsza. W bok odchodziła

prowadząca w las droga. Na jej skraju stała żółta tablica, kilka metrów za tablicą drogę przegradzał szlaban.

Napis na tablicy informował: DROGA ZAMKNIĘTA – TEREN WOJSKOWY.

- Chyba jesteśmy na miejscu – rzekł Brian i podniósł szlaban.

Bar Salis, Cleveland, Ohio

Leon zamieszał drinka mieszadłem, wyjął je i oblizał, po czym wziął duży łyk.

- Jak długo się znamy? – spytał Porky młodzieńca, któremu jakiś czas temu załatwił pracę w redakcji.

Leon z przyjemnością gryzł wisienkę koktajlową. Plasterek pomarańczy już obgryzł do skórki.

- Wiesz, komu zawdzięczasz pracę – powiedział Porky.

Leon bez słowa skinął głową.

- Teraz twoja kolej oddać mi przysługę. Potrzebuję twojej pomocy, na dodatek proszę o całkowitą dyskrecję.

Porky popatrzył na siedzących w rogu mężczyzn w ciemnych garniturach. Obaj od czasu do czasu niby przypadkiem spoglądali w jego kierunku.

- O co chodzi? – spytał Leon.

Porky spróbował zachować obojętną minę. Uśmiechnął się.

- Musisz w moim imieniu przekazać komuś wiadomość, ale tak, żeby nikt tego nie zauważył i nie zaczął nic podejrzewać. Nie może o tym wiedzieć nawet nikt z redakcji. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, dostaniemy wielką historię. Chcesz na tym skorzystać?

- Komu?

Porky kątem oka obserwował mężczyzn w kącie.

- Nie odwracaj się, ale obok wejścia siedzi dwóch agentów FBI. Depczą mi po piętach, ponieważ uważają, że ukrywam Briana Saint-Claire'a. Słyszałeś, że go szukają?

- Jasne – odparł zdawkowo Leon i opróżnił szklaneczkę.

- Sądzisz, że mógłby kogoś zabić?

Leon pokręcił głową.

- Wiem, że tego nie zrobił. Dlatego nie mogę stąd wyjechać. Gdybym to zrobił, nabraliby podejrzeń. Dlatego ty musisz to zrobić.

- Wyjechać? Dokąd?

– W Denver, w szpitalu Świętego Antoniego leży Cliff Sebastian. Musisz mu dyskretnie przekazać kopertę. Wymyśl coś. On też może znajdować się pod obserwacją. To meteorolog z Boulder. Najlepiej podaj się za krewnego. Nikt nie może się o niczym dowiedzieć, rozumiesz?

– Jeśli mówisz, że coś na tym skorzystam... – Leon podniósł szklaneczkę i barman skinął mu głową. – I tak nie cierpię tych kretyńskich gliniarzy.

3.

Góra Withington, dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

Noc była chłodna, ale oboje dobrze spali. Wejście po wschodnim zboczach góry Withington, jakiego dokonali poprzedniego dnia, było męczące. Brian obawiał się, że Suzannah nie wytrzyma, ale poradziła sobie doskonale. Była wysportowana, miała znakomitą kondycję i Brian musiał się dobrze starać, aby dotrzymać jej kroku. Po stromym odcinku terenu pokrytego skąpą roślinnością dotarli na wysokości trzystu metrów do porośniętego trawami i krzewami płaskowyżu.

– Co zrobimy, jeśli zza krzaków wyjdzie puma? – spytała Suzannah, kiedy przedzierała się przez wysoką srebrzystą trawę.

Brian włożył rękę do kieszeni kamizelki w kamuflujących barwach i wyjął mały czarny pojemnik.

– Mam nadzieję, że gaz pieprzowy uwolni nas od tych stworów. Na psy działa znakomicie.

Doszli do kolejnego wzniesienia porośniętego wysokimi drzewami iglastymi. Im głębiej wchodzili w las, tym gęściej rosły. Teren wznosił się ostro i wkrótce Brianowi pot spływał ciurkiem z czoła. Mimo gęstych chmur temperatura przekraczała dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Szczyt góry Withington wznosił się przed nimi na wysokość trzech tysięcy stu metrów. Tuż przed zachodem słońca dotarli do nagiej i stromej skalnej ściany.

– A teraz co? – spytała Suzannah.

Brian wyjął z plecaka linę i czekan.

– Teraz zaczyna się prawdziwa wyprawa. Wspinając się kiedyś?

Suzannah popatrzyła na skałę.

– Ile, twoim zdaniem, ma wysokości?

– Dobre sto metrów.

– Tego się obawiałam.
– Jeszcze przez dwie godziny będzie widno. Wykorzystajmy ten czas. – Sięgnął ponownie do plecaka i wyjął uprząż wspinaczkową. – Pójdę pierwszy, ty załóż uprząż i sprawdź, czy jest dobrze zamocowana.

– Masz doświadczenie we wspinaczce?

Brian skinął głową. Podeszedł do ściany i zrobił czekaniem dziurę w czerwonej skale. Młotkiem wbił hak zakończony kółkiem, przez które przeciągnął linę. Kiedy opadł całym ciężarem na linie, którą zamocował na uprzęży, uśmiechnął się.

– Trzyma się lepiej, niż sądziłem. Kiedy wejdziesz na górę, przypniesz plecaki, potem przyjdzie kolej na ciebie.

Choć Suzannah czuła w żołądku lekki ucisk, skinęła głową.

□ □ □

Brian ruszył w górę i bez przeszkód dotarł do celu. Pół godziny później Suzannah do niego dołączyła.

– Świetnie sobie poradziłaś, jestem pod wrażeniem – powiedział i padł na trawę, by złapać oddech.

Suzannah w milczeniu obserwowała okolicę. Szczyt góry Withington był cały czas bardzo odległy. Ciemność powoli ogarniała masyw.

– Co ma znaczyć ten płot? – spytała Suzannah, patrząc na metalową konstrukcję zagrządzającą im dalszą drogę.

– Wojskowa strefa ochronna. Jeżeli ktoś stawia taki płot u szczytu takiej ścianki, jaką pokonaliśmy, musi mieć bardzo dobry powód, aby trzymać ciekawskich z daleka.

Suzannah potakująco skinęła głową.

Brian sięgnął do plecaka i wyjął nożyce do cięcia prętów. Popatrzył w niebo.

– Za pół godziny będzie ciemno. Na początek powinno to wystarczyć. Tamto zagłębienie to idealne miejsce na nocleg. Schronimy się tam przed wiatrem i nie będziemy też zbyt widoczni.

Rano ruszymy na szczyt.

Suzannah napiła się łyk wody z manierki.

– Ty jesteś przewodnikiem.

Redakcja „ESO-Terry”, Cleveland, Ohio

Porky czuł pulsowanie w głowie. Wczorajszy wieczór w barze potrwał dłużej,

niż planował. Kiedy Leon sobie poszedł, Porky zamówił kilka drinków i wrócił do domu taksówką. Chłopcy siedzący przy stoliku w rogu zniknęli w którymś momencie wieczoru, ale za jego taksówką aż pod dom jechał samochód. Najwyraźniej czekali na niego w wozie, aż wyjdzie z baru. Co za uparte typy! Zajął się z wściekłości, dzięki czemu zapomniał o bólu głowy. Powoli ci śledzący go krok w krok agenci zaczęli go męczyć.

Porky stał przed kanapą, na której zasnął w ubraniu, i rozglądał się za marynarką. Leżała na podłodze. Wsadził rękę do kieszeni i zaczął szukać wizytówki Coburna.

– Cholera! – Wizytówki nie było w marynarce. Najprawdopodobniej leżała w biurku w redakcji. Telefon stał przy drzwiach sypialni. Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer informacji.

– Proszę połączyć mnie z FBI – poprosił telefonistkę.

Musiał długo czekać na zgłoszenie.

– FBI, oddział Cleveland. Czym mogę służyć? – powiedział kobiecie głos.

– Nazywam się Gerad Pokarev i chciałbym porozmawiać z jednym z państwa agentów. Coburnem.

– Chwileczkę.

Porky niecierpliwie bębnił palcem w udo.

– Powiedział pan: „Coburn”? – odezwała się po minucie ciszy kobieta.

– Zgadza się. Wydaje mi się, że na imię ma Glenn albo jakoś podobnie.

– Przykro mi, ale nie ma u nas nikogo o tym nazwisku.

Porky chwilę się zastanowił. Może Coburn był z innego stanu? Może z Waszyngtonu? W końcu tego meteorologa zamordowano w Arlington.

– Prowadzi dochodzenie w sprawie o morderstwo, którego dokonano kilka dni temu w Arlington. Ofiarą był profesor meteorologii. Wasz agent był w tej sprawie w moim gabinecie w minioną sobotę. Muszę z nim pilnie rozmawiać.

– Może agent Coburn jest zatrudniony w centrali w Waszyngtonie? – powiedziała telefonistka. – U nas nikogo takiego nie ma. Jeśli pan chce, mogę pana przełączyć do Waszyngtonu.

– Poproszę.

Znowu minęło kilka minut, aż ktoś się zgłosił, tym razem mężczyzna. Ale także w Waszyngtonie nie znano agenta Coburna.

– Czy to możliwe, żeby pracował gdzie indziej? – spytał Porky. – Na pewno macie biura w innych miastach.

– Jeśli mówię, że nie pracuje dla nas żaden agent o nazwisku Coburn, to

może mi pan wierzyć – odparł nadąsany urzędnik. – Mam spis wszystkich naszych pracowników – od Miami na południowym wschodzie po Seattle na północnym zachodzie. Porzecz nic nie powiedział. Odłożył słuchawkę.

– Co tu jest grane?

Sięgnął po marynarkę i wstał.

Góra Withington, dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

Noc przebiegła spokojnie. Kiedy las wypełnił się odgłosami nocy, Suzannah mocno wtuliła się w Briana. Pocałował ją delikatnie w policzek i pogładził po włosach. Najchętniej pocałowałby ją tak naprawdę, bał się jednak odtrącenia. Coraz trudniej przychodziło mu znoszenie ich czysto kumplowskiej relacji, na którą się milcząco umówili. Pragnął Suzannah wszystkimi zmysłami i czekał na znak, że ona odczuwa tak samo, wydawało mu się jednak, że ona wciąż jeszcze jest pogrążona w smutku po śmierci matki.

Rano Brian zagotował na maleńkim kocherze wodę i zrobił kawę rozpuszczalną. Smakowała okropnie, ale przywróciła ich do życia. Potem poszli wzdłuż płotu na zachód, aż znaleźli miejsce, gdzie można było sforsować ogrodzenie. Nawet nie próbowali przechodzić górą przez wznoszącą się na minimum trzy metry konstrukcję, na dodatek zwieńczoną drutem kolczastym. Brian postanowił wyciąć dziurę.

– Kiedy ją zauważą, przeszukają teren – stwierdziła Suzannah.

– Musieliby się bardzo dokładnie przyglądać siatce – odparł Brian i przeczołgał się przez niewielki otwór.

Suzannah podała mu przez dziurę plecaki, po czym też się przeczołgała. Na koniec Brian przygiął siatkę na miejsce, przywiązał ją do konstrukcji dwoma opaskami samozaciskowymi i zakamuflował zniszczony fragment gałęziami. Miał nadzieję, że dzięki cieniowi, jaki rzucały drzewa, dziura nie zostanie natychmiast odkryta.

– Dokąd teraz? – spytała Suzannah.

Brian popatrzył na mapę i wskazał w górę zbocza.

– Prawie pięćset metrów różnicy wysokości do grani – powiedział. – Będzie ciężko.

– No to w drogę.

Ruszyli stromo pod górę. Ziemia była miękka i miejscami śliska. Musieli uważać, żeby się nie poślizgnąć i nie spaść. Mniej więcej w połowie wejścia

natknęli się na wyjeżdżoną drogę. W ziemi widać było charakterystyczne ślady pozostawione przez ciężkie opony z terenowym bieżnikiem. Brian zmarł.

– Ta droga nie jest tu zaznaczona – powiedział po uważnym przyjrzeniu się mapie.

– Może powinniśmy nią pójść? Każda droga dokądś prowadzi.

Brian wskazał na ślady.

– Nie zrobiono jej bez powodu. Sądzę, że lepiej będzie iść do grani lasem. Tu na pewno jeżdżą patrole.

Zeszli z drogi i poszli dalej poprzednim kursem. Serce Suzannah waliło jak oszalałe, ale nie rezygnowała. Kiedy się poślizgnęła, Brian był za nią. Upadła na ziemię i sturlała mu się prosto pod nogi. Ukląkł i ją złapał.

Była tak bardzo przerażona, że jej zazwyczaj smagła twarz zbladła.

– Może zrobimy przerwę? – zaproponował Brian.

– Tylko mnie nie traktuj jak słabą panienkę! Straciłam matkę i jestem ściągana jako morderczyni. Teraz wdarłam się z tobą na zamknięty teren wojskowy i grozi mi zastrzelenie. Nie stać nas na przerwę.

Jej zdecydowanie niemal go przerażyło. Suzannah bez słowa wstała i poszła dalej. Pół godziny później byli na grani. Kiedy wyszli z lasu, Brian zauważył w oddali jakiś ruch. Pociągnął Suzannah na ziemię, zasłonił jej usta dłonią i wciągnął pod osłonę krzewu. Przyłożył sobie palec do ust. Powoli puszczał Suzannah.

– Oszalałeś?

Brian wskazał na północ. Na porośniętym trawą płaskowyżu leżały pnie. Poukładane w wysokie sterty. Musiały być ich setki. Mniej więcej pięćset metrów od nich w niebo wznosił się kolosalny maszt wysokiego napięcia. Sześć grubych przewodów biegło z niego w kierunku znajdującego się na północy lasu, na którego skraju stał następny maszt. Słychać było warkot silnika. Wyboistą drogą zbliżała się wojskowa ciężarówka. Suzannah i Brian schowali się głęboko w trawę. Ciężarówka była załadowana pniami, tuż za nią jechał jeep.

Brian dał Suzannah znak. Pod osłoną krzewów wpełzli głębiej w las. Wyprostowali się dopiero wtedy, gdy byli pewni, że drzewa odpowiednio ich chronią.

– Co ci ludzie tu robią? – szepnęła Suzannah, kiedy umilkł odgłos silników. – Zdawało mi się, że to rezerwat przyrody?

– Wycinają las.

– Tam leży przynajmniej tysiąc drzew! Po co to robią?

– Musimy się dowiedzieć.

Suzannah przyłożyła do ust manierkę i wzięła duży łyk.

– Obejdziemy płaskowyż – powiedział Brian i wyjął z plecaka aparat. – Ale najpierw zrobię kilka zdjęć.

Pentagon, Arlington, Wirginia

Agent Coburn siedział w fotelu z nogą założoną na nogę.

– Wylądowali samolotem czarterowym w Caracas i gdzieś się zaszyli – powiedział. – Na pewno spróbują zaczekać, aż sprawa przycichnie.

Lincoln stał przed oknem i wyglądał na Potomac.

– Nie wystarczy mi to. Musimy mieć pewność. Wykorzystaliśmy wszystkie wpływy, jakie tam mamy?

– Nie zobaczymy ich tak szybko – uznał Coburn. – Ten gość ma forsy jak lodu. W każdej chwili może dostać się do swojego konta przez bank w Kanadzie. Kanadyjczycy uważają dowody za niewystarczające i nie wydadzą zgody na nadzór.

Lincoln wałnął dłonią w parapet.

– Musimy uważać, żeby sprawa nie wymknęła się nam całkiem z rąk. Niech pan tego dopilnuje i nie odpuszcza dziennikarzowi. W którymś momencie Kanadyjczyk się z nim skontaktuje. Wtedy dorwiemy obydwu.

Coburn skinął głową.

– Jest pod stałą obserwacją, ale dobieranie się do prasy to delikatna sprawa.

– Musi pan wyrzucić większą presję! – zażądał Lincoln. – Nieważne jak, ale chcę mieć obu! Wyrzuciłem się jasno?

Góra Withington, dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

Stracili pół dnia, ponieważ musieli obejść płaskowyż pod osłoną lasu. Na szczęście teren już się nie wznosił – wręcz przeciwnie: kiedy obeszlą płaskowyż, znaleźli się na lekkim spadku. Późnym popołudniem w oddali przeszły trzy patrole i za każdym razem Suzannah i Brian chowali się głęboko w lesie. Po dalszym marszu natknęli się na kolejny maszt wysokiego napięcia postawiony w środku lasu. Poszli wzdłuż przewodów, wkrótce jednak droga się urwała i stanęli przed kolejnym płotem. Nie tak wysokim jak poprzedni, ale

w głowie Briana zapaliły się ostrzegawcze lampki. Kiedy Suzannah chciała podejść do płotu, Brian ją powstrzymał.

– O co chodzi, przecież masz nożyce?

Brian pokazał jej cienkie przewody biegnące po siatce.

– Tym razem to nie takie proste. Widzisz te druciki? Płot ma zabezpieczenie elektryczne i wystarczy go dotknąć, aby uruchomić alarm. Poza tym wzdłuż płotu wycięty jest pas do obserwacji wzrokowej. Na pewno są tu porozmieszczane posterunki.

Suzannah opadła na ziemię. Po obu stronach płotu faktycznie znajdował się pas ziemi, z którego wycięto drzewa.

– Ale jak można coś takiego robić? Przecież na pewno są tu zwierzęta!

Suzannah miała rację. W okolicy musiały być jelenie i lisy, prawdopodobnie także pумы. Brian z pogardą popatrzył na płot. Cienkie druciki zaczynały się mniej więcej na wysokości klatki piersiowej człowieka i bieły do samego zwieńczenia płotu zrobionego z drutu kolczastego. Brian szedł ostrożnie skrajem lasu. Suzannah nie wstała, jedynie patrzyła za nim.

Suzannah miała rację! Wojsko nie mogło pozbyć się z okolicy wszystkich zwierząt, co oznaczało, że mogły one w każdej chwili uruchomić alarm albo powodować spięcia. Brian rozejrzał się na boki i podszedł do płotu. Nie widział nigdzie punktów obserwacyjnych. Zatrzymał się w miejscu, gdzie krzewy tak gwałtownie się rozrosły, że ich gałęzie wysunęły się przez przecinkę i niemal dotykały płotu. Brian podpełził na czworaka do płotu i zaczął nasłuchiwać. Nad gałęziami słychać było ciche buczenie. Położył się płasko na ziemi i znów się wsłuchał. Zauważył, że przy ziemi buczenie było ledwie słyszalne. Wyciągnął z plecaka narzędzia.

Podeszła Suzannah.

– Co robisz? – szepnęła.

– Drobnny eksperyment. Albo będziemy musieli szybko uciekać, albo dolne druty nie są pod napięciem.

Zamocował nożyce na czubku gałęzi i zaczął je wysuwać w kierunku płotu. Cały był spięty. Tuż przedtem, nim nożyce dotknęły płotu, wstrzymał oddech. Metal nożyc dotknął siatki, ale nic się nie wydarzyło. Suzannah patrzyła na Briana rozszerzonymi ze strachu oczami.

– Tak myślałem. Podłączyli do prądu tylko górę. Dół jest bezpieczny.

– Jak się domyśliłeś?

Brian uśmiechnął się i zaczął ostrożnie wycinać dziurę w płocie.

– Dzięki tobie. Dzięki twojej uwadze na temat zwierząt.

Po tym jak pokonali przeszkodę, poruszali się dość zwawo. Weszli na szczyt góry Withington i zaczęli schodzić po północnej stronie. Nagle musieli się zatrzymać; bo stanęli nad przepaścią. Położyli się na brzuchach i ostrożnie przysunęli do krawędzi.

Na dole urwiska znajdował się nagi płaskowyż. Kiedyś prawdopodobnie rosły tam drzewa, ich miejsce zajęły jednak wysokie na dziesięć metrów maszty anten. Morze anten – smukłych, okrągłych słupów z wystającymi na końcu poprzecznymi i ukośnymi odnogami. Zdaniem Briana było ich z sześćdziesiąt, a odstępy między nimi wynosiły około pięciu metrów. Instalacja tworzyła trójkąt o boku mniej więcej dwustu metrów.

– Co to jest? – spytała Suzannah ze zdziwieniem.

Brian wzruszył ramionami.

– Jakaś instalacja odbiorcza. Może anteny nasłuchowe przechwytyjące komunikację radiową między satelitami? – Z plecaka wyciągnął lornetkę oraz aparat fotograficzny. Suzannah zaczęła obserwować okolicę przez lornetkę, Brian fotografował stalowe maszty. Po jakimś czasie Suzannah stuknęła go palcem w ramię i wskazała na zachód, gdzie w odległości mniej więcej kilometry przewody wysokiego napięcia ginęły w jakimś zagłębieniu.

– A tam zbudowali coś w rodzaju elektrowni – powiedziała.

Brian wziął lornetkę i sam popatrzył.

– Moim zdaniem to coś w rodzaju podstacji. Potrzebują sporo prądu.

– Zdecydowanie to jakaś tajna instalacja, o której nikt nie powinien wiedzieć. Widać, że wycięto tu las. Może te anteny mają jakiś związek ze śmiercią Wayne'a?

Brian popatrzył na Suzannah.

– Co masz na myśli?

– Może odkrył ten ośrodek na zdjęciach satelitarnych?

– Nie sądzę, ale zgadzam się, że to tajny ośrodek. Jeszcze nigdy nie widziałem takich anten.

– Można za pomocą jakiejś energii wpłynąć na pogodę? – spytała po dłuższej chwili Suzannah.

Brian zmarszczył czoło.

– Nie wiem, pewnie tak, bo w końcu wybuchy na Słońcu wpływają na naszą pogodę. O ile wiem, wybuchy na Słońcu powodują promieniowanie. Chodźmy dalej. Ciekaw jestem, co znajduje się za tą stacją przekaźnikową.

Podczołgali się z powrotem w cień drzew. Przepaść biegła na zachód przez kilometr. Kiedy dotarli na wysokość przewodów wysokiego napięcia, zdjęli plecaki i znowu podczołgali się do krawędzi. Stacja przekaźnikowa była dokładnie pod nimi. Przewody rozgałęziały się: jedne schodziły dalej w dół zbocza, inne biegły do budynekczku znajdującego się obok pola anten. Brian pstrykał i pstrykał.

– Tam w dole są domy. – Suzannah wskazała na zachód. Kiedy Brian skierował we wskazanym kierunku lornetkę, ujrzał cztery długie budynki pomalowane na maskujący oliwkowy kolor. – A więc to jest wojskowy obóz, o którym mówiła kobieta w restauracji.

– Chyba tak. Wokół domów stoją wojskowe samochody. Jakoś musimy tam się dostać.

– Jak?

Brian skierował lornetkę na zachód i przeszukiwał wzrokiem teren. Za pionową ścianą zaczynało się łagodne i gęsto porośnięte zbocze. Między drzewami prawdopodobnie można było podejść do obozu wojskowego.

– Zejdziemy tamtędy.

– No to do roboty! Czuję się tu dość nieswojo...

Krótko odpoczęli, zjedli trochę mielonej wołowiny z puszki i napili się wody z manierki. Mieli do wykorzystania jeszcze pięć godzin dnia. Brian był przekonany, że Porky na pewno się dowie, jaki cel ma ta przedziwna instalacja. Najpierw jednak trzeba było wynieść zdjęcia z terenu wojskowego.

Krajowe Centrum Huraganów, Miami, Floryda

Hannah jak po sznurku szła na zachód. Prognozowany kurs zgadzał się niemal w stu procentach z faktycznym. W drodze nad Morzem Karaibskim cyklon stracił sporo ze swej energii i obniżono mu kategorię do pierwszej. Prędkość wiatru w nim wynosiła niecałe sto czterdzieści kilometrów na godzinę i gdyby utrzymał prędkość przemieszczania się oraz kurs, należało się spodziewać, że za dwa dni dotrze do Zatoki Honduraskiej i zetknie się z lądem na wysokości La Caiba. Prawdopodobnie do tego momentu osłabi się do poziomu tropikalnej burzy, ponieważ po drodze nie miał skąd czerpać energii. Woda na powierzchni wyraźnie się ochłodziła.

– Znakomita robota – pochwalił Allan Clark swoich ludzi. – Wreszcie możemy się wykazać prawidłową prognozą. Gdybyśmy się tylko dowiedzieli, co sprawiło, że tak nieobliczalne były Cezar i Fiodor.

– Warunki nad zatoką ponownie się ustabilizowały – powiedział jeden z pracowników. – Na powierzchni i w prądach średniej głębokości warunki są niemal normalne. Chętnie byśmy wszyscy zrezygnowali z wiosennych niespodzianek boga pogody.

– To prawda – odparł Allan Clark. – Gdyby to było jedynie złym snem! Proszę przekazać wyniki jak najszybciej do Boulder i Tegucigalpa. Wziąłem dwa dni wolnego, sprawy poprowadzi Fred.

– Życzymy udanego miniurlopu. Jedzie pan surfować?

– Nie, chcę odwiedzić kogoś w szpitalu. Przyjaciel miał wypadek samochodowy.

– Przykro mi – powiedział pracownik i złożył tablele.

– Dzięki Bogu jego stan się poprawia. Na szczęście nie było tak źle, jak wyglądało na początku.

4.

Góra Withington, dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

Kiedy pokonali prawie połowę zejścia, znaleźli się przy skraju doliny, w której stały budynki obozu. Z odległości mniej więcej kilometra Brian obserwował teren przez lornetkę. Obóz, który poza sześcioma identycznymi budynkami mieszkalnymi pomalowanymi na oliwkowo składał się jeszcze z trzech białych hal, otaczał kolejny wysoki metalowy płot. Największa z nich znajdowała się w zachodniej części i przylegała do pionowej skalnej ściany. Wręcz odnosiło się wrażenie, że wnika ona w skałę. Wejście do tej hali prowadziło przez wielką bramę, przez którą swobodnie mógłby przejechać czołg. Po obu stronach bramy w betonie znajdowały się jedynie dwa małe okienka. W sumie konstrukcja przypominała z wyglądu olbrzymi bunkier. Między budynkami widać było przechodzących żołnierzy, wzdłuż płotu siedł patrol z psem.

– Wygląda na całkiem normalny obóz wojskowy – powiedziała Suzannah po przyjrzeniu się kompleksowi budynków przez lornetkę.

– Poza bunkrem przy skalnej ścianie.

W oddali rozległ się warkot silników, który szybko narastał. Brian popatrzył w niebo. Nad szczytem góry przelatywał helikopter. Wyraźnie kierował się na teren obozu. Pilot zrobił małe kółko i wylądował przed wielkim bunkrem. Brian obserwował wszystko przez lornetkę. Z helikoptera wysiadły trzy osoby. Dwie były ubrane w granatowe wojskowe mundury, niski, krępy i łysy cywil miał na sobie ciemnobrązowy garnitur. Brian szybko zmienił obiektyw w aparacie. Miał nadzieję, że jego zoom wystarczy na tę odległość i zaczął naciskać spust migawki. Zanim trójka przybyszy zniknęła za helikopterem, zrobił przynajmniej dwadzieścia ujęć.

– Może te zdjęcia coś nam wyjaśnią – powiedział i schował aparat do futerału.

Popatrzył na zegarek. Było tuż po siódmej. Jeszcze trzy godziny i zapadną całkowite ciemności.

– Musimy ruszać! – powiedział i spojrzął w niebo.

– Musimy wracać tą samą drogą? – Suzannah wskazała na wschód. – Ta droga wygląda na znacznie łatwiejszą.

Brian przyjrzał się mapie, niestety, miejsce, w którym się znajdowali, zostało tak zakreskowane, że nic nie dało się odczytać. Westchnął.

– Niech będzie. Spróbujemy iść tędy dalej, po czym przebijemy się na wschód. Może da się obejść górę od tej strony.

Godzinę później dowiedzieli się, dlaczego na mapie nie zaznaczono zejścia z góry Withington od północnego wschodu – była tu jedna wielka stroma ściana.

– Cholera, trzeba było jednak wracać tą samą drogą. – Suzannah westchnęła. – Straciliśmy teraz mnóstwo czasu.

Brian pokazał jej mapę i wskazał palcem jedno miejsce.

– Zejdziemy tędy. Z samego rana. Powinniśmy być teraz tutaj. Droga do Magdaleny jest najwyżej pięć kilometrów stąd. W końcu wspinaczka chyba nie sprawia ci problemu. Teraz się prześpimy, powinniśmy tu być bezpieczni.



Wysięk minionego dnia sprawił, że oboje szybko zapadli w głęboki sen, Brian obudził się jednak w chwili, gdy pierwsze promienie słońca zapowiedziały dzień. Wstał i się przeciągnął, po czym zaczął szukać odpowiedniego miejsca do zejścia. Zostało mu już tylko siedem haków, a do pokonania było mniej więcej dwieście metrów. Niedaleko miejsca, gdzie spali, w pionowej ścianie znajdowały się liczne zagłębienia i występy – do zejścia wystarczy im tutaj sama lina. Suzannah była w dobrej formie i nie powinna mieć trudności z tym odcinkiem. Kiedy Brian czynił wstępne przygotowania, Suzannah jeszcze spała. Obudziła się, gdy spuścił plecak na pierwszy skalny występ.

– Tu mamy zejść? – spytała z troską w głosie.

– Zobaczysz, pójdzie łatwiej niż przy wejściu z tamtej strony. Musisz tylko założyć uprząż i mi zaufać.

Brian zaczął zjeżdżać pierwszy. Robił to techniką, w której jako przyrządu zjazdowego wykorzystuje się karabinek wpięty w dolną część uprząży. Gdy znalazł się na dole, dał znak Suzannah. Wpięła linę w karabinek, owinęła ją wokół ciała i powoli popuszczając, zjechała do Briana.

- Masz rację. To łatwiejsze, niż sądziłam.
- Teraz tylko nie rób się zbyt pewna siebie. Reszta zejścia będzie znacznie trudniejsza.

Wypiął podwójnie poprowadzoną linę, pociągnął za koniec i lina zaczęła spadać, aż zatrzymała się w haku. Brian ją wciągnął. Kolejny etap zejścia zapowiadał się znacznie poważniej, ponieważ jakieś trzydzieści metrów niżej znajdował się tylko jeden mały występ. Także i ten etap pokonali jednak bez większych problemów.

Na dole Suzannah odetchnęła z ulgą.

– Przeszłaś to, jakbyś już nieraz wspinała się po górach – powiedział z uznaniem Brian.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się bałam.

– Musimy iść na wschód, pod słońce.

Nagle rozległ się warkot silnika. Szybko złapali plecaki i uciekli do pobliskiego lasu. Po chwili nad ich głowami przeleciał helikopter – też kierował się na wschód.

– Ruszajmy, spróbujmy się stąd jak najszybciej wydostać! – powiedział Brian i zarzucił plecak na ramiona.

Reszta zejścia przebiegła bez najmniejszych problemów. Teren cały czas lekko opadał i około południa dotarli do płotu.

– Za tym płotem znajduje się wolność – rzekł Brian.

Suzannah przyjrzała się trzymetrowej przeszkodzie.

– Też jest pod prądem?

Brian pokręcił głową.

– Jest taki jak pierwszy zewnętrzny płot, który pokonailiśmy. Najprawdopodobniej z powodu tej pionowej ściany nie stawiali od tej strony wewnętrznego ogrodzenia.

– Jak daleko mamy do samochodu?

Brian zaczął czytać mapę.

– Musimy przejść jeszcze cztery kilometry na wschód, ale to tylko trzysta pięćdziesiąt metrów różnicy wysokości. Głównie będziemy schodzić.

– Jak miło...

Brian wyciął dziurę w płocie i przeszli bez problemów. Także tym razem tak zamaskowali otwór, żeby nie dało się go od razu zauważyć. Poszli na wschód, po jakimś czasie odpoczęli i wkrótce pozostawili za sobą skraj lasu. Po porośniętym trawą płaskowyzu szło się szybko. Góra Withington pozostawała coraz bardziej za nimi.

– Doskonale wszystko poszło – stwierdziła Suzannah. – Co zrobimy ze zdjęciami?

– Poroky ma świetne kontakty. Dowiemy się, co kryje się za tą instalacją i zwrócimy się do prasy. Nie mamy innego wyboru.

– Jak udowodnimy, że między tym ośrodkiem a śmiercią Wayne'a Changa istnieje jakiś związek? Sami nie jesteście tego pewni.

– To prawda, nie mamy jeszcze dowodów, ale musimy spowodować, by wszczęto śledztwo. Prawdopodobnie wiadomo już dokładnie, kiedy Wayne zginął. Może mamy na ten czas alibi?

Zaczęło wiać i od wschodu nad górę napływały białe obłoki. Trawa falowała i szumiała. Przeszli przez niewielką dolinę i skręcili na południowy zachód. Zbliżali się do kolejnej skąpo porośniętej przez drzewa płaszczyzny. Chmury na niebie zagęściły się i zmieniły z białych na szare. Wyglądało na to, że wieczorem będzie padać. Oboje myśleli tylko o jednym: aby jak najszybciej dotrzeć do samochodu. Może dlatego osłabła ich czujność. Jeepa, który stał na skraju drogi pod dużym drzewem, zauważyli w ostatniej chwili.

Brian chwilę się zawahał, szybko jednak dostrzegł stojących obok samochodu żołnierzy, którzy obserwowali ich przez lornetkę.

– Co robimy? – spytała Suzannah.

– Idziemy dalej. Pamiętaj: jesteśmy nieszkodliwymi turystami.

Jeden z żołnierzy wyszedł z cienia drzewa i dał Suzannah i Brianowi znak, żeby podeszli. Posłuchali.

– Stać, kontrola! – powiedział czarnoskóry żołnierz. – Znajdujecie się państwo na terenie wojskowym.

Brian uważnie się rozejrzył.

– Teren wojskowy? Nie widzieliśmy żadnej informacji. Przyszliśmy tu z Magdaleny.

– W takim razie minęliście państwo pięć, jeśli nie sześć tablic ostrzegawczych. Skąd państwo przybywacie? Mogę zobaczyć dokumenty?

Brian odstawił plecak i zaczął grzebać w zewnętrznej kieszeni.

– Jesteśmy z żoną na urlopie. Rzeczywiście, na górze trochę pobłądziliśmy, ale nie zamierzaliśmy wchodzić na teren wojskowy. W ogóle nie wiedzieliśmy, że jest tu poligon albo obóz wojskowy.

Brian podał żołnierzowi paszport, to samo zrobiła Suzannah. Żołnierz sprawdził zdjęcia.

– Państwo Jones z Los Angeles?

- Tak jest.
 - Chwileczkę – powiedział żołnierz i wrócił do jeepa.
 - Co robimy? – szepnęła Suzannah.
 - Spokojnie – odparł Brian. – Na pewno jesteśmy na samym obrzeżu ich terenu, więc nasze wykroczenie nie może być zbyt poważne. Przypuszczalnie sprawdzą dokumenty i nas puszczą.
 - Obyś się nie mylił...
- Potrwało kilka minut, zanim żołnierz wrócił. Był z nim kolega z patrolu.
- Niestety, muszę państwa zatrzymać i przekazać miejscowemu szeryfowi
 - oświadczył. – Złamaliście państwo prawo i szeryf zdecyduje, czy zostanie wysunięte jakieś oskarżenie.
 - Proszę pana, jak już mówiłem, zeszliliśmy niechcący z drogi, ale to nie przestępstwo – ponownie spróbował Brian. – Niech pan nam odda dokumenty i już nas nie ma. Nasz samochód stoi kawałek stąd na wschód, na parkingu.
 - Przykro mi, proszę pana, ale mam rozkazy od oficera dyżurnego. Muszę przekazać państwa szeryfowi.
- Suzannah pytająco popatrzyła na Briana. Leciutko skinął głową. Żołnierz kazał im iść do jeepa.
- Przykro mi, ale mam rozkazy – powtórzył żołnierz, zanim uruchomił silnik.
 - Nie ma sprawy, wykonuje pan tylko swoje obowiązki.

Szpital Świętego Antoniego, Denver, Kolorado

Cliff Sebastian myślał o niezwykłym gościu. Kiedy młody dziennikarz pojawił się ni stąd, ni zowąd w jego szpitalnej sali, był wobec niego nieufny i chciał wezwać pielęgniarkę, ale gdy młodzieniec napomknął o tym, że ma ważne dokumenty od Wayne'a Changa, postanowił zaryzykować.

Już dwa razy przeglądał papiery, które dał mu dziennikarz. Materiał zawierał dane z komputerów służb meteorologicznych na całym świecie. Charakter pisma Wayne'a Changa był dość charakterystyczny i Cliff Sebastian ani przez chwilę nie wątpił, że to on był autorem dokumentu. Dane były bardzo interesujące. Ba, wręcz niesamowite! Anomalie promieniowania, niezwykle promieniowanie odbite w zakresie mikrofal, prawdopodobnie pochodzenia sztucznego. Mierzalne w atmosferze anomalie promieniowania wystąpiły tuż przed powstaniem potrójnych huraganów w każdej ze stref, gdzie się pojawiły! Głęboko niepokojące było coś jeszcze: źródło promieniowania znajdowało się nie

poza atmosferą, lecz w niej! Promieniowanie musiało zostać wywołane przez wielkiej mocy magnetron. Co je spowodowało?

Wayne stworzył w tej sprawie teorię. Jego zdaniem źródłem nie były urządzenia nadawcze telefonii komórkowej ani radary, ponieważ tak intensywne promieniowanie mogło powstać jedynie w bardzo wydajnym urządzeniu wytwarzającym plazmę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Cliff Sebastian pospiesznie złożył dokumenty i wsunął je pod poduszkę.

– Proszę wejść! – zawołał i popatrzył nerwowo w kierunku drzwi. Kiedy ujrzał Allana Clarka, szeroko się uśmiechnął.

– Jak się czuje nasz pacjent? – spytał gość. – Nieźle rzeczy wyprawiasz.

– Weź krzesło, musimy porozmawiać.

Allan Clark uważnie popatrzył na przyjaciela. Kiedy przysuwał sobie krzesło, Cliff Sebastian wyciągnął spod poduszki kopertę.

– Jak się czujesz?

– Coraz lepiej.

– Jak to mogło się stać?

– Dotychczas nie miałem pojęcia, ale od wczoraj co nieco się wyjaśniło.

Nawet jeśli brzmi do dziwnie.

Allan zmarszczył czoło.

– Popatrz na to – powiedział Cliff Sebastian. – Będziesz zaskoczony.

Socorro, Nowy Meksyk

Patrol wojskowy odwiózł parę turystów do biura szeryfa. Młody zastępca spisał krótko personalia zatrzymanych i kazał odprowadzić ich do osobnych cel.

– Jeszcze trochę cierpliwości – wyjaśnił zastępca szeryfa Dave Lazard. – Mieliśmy właśnie bójkę w barze i czekamy, aż szeryf wszystko tam załatwi. Będziecie musieli zostać u nas do jego powrotu.

Szeryf wrócił po dwóch godzinach. Lazard czekał na niego z niecierpliwością. Dwain wyglądał na zmęczonego, ale siostrzeniec bez pytania poszedł za nim do gabinetu.

– Zdaniem lekarza Sam nie przeżyje uderzenia nożem – powiedział ze smutkiem Dwain Hamilton. – Musimy przyjąć wersję zabójstwa.

Lazard skinął głową i pomachał formularzem.

– Mamy w celi dwa dziwne ptaszki. Przekazało ich wojsko, gdyż weszli na teren wojskowy wokół góry Withington. Mąż i żona. Twierdzą, że zgubili drogę w trakcie wyprawy turystycznej. Zostali przyłapani i zatrzymani przez patrol wojskowy.

Dwain westchnął.

– To wszystko? Wypuść ich. Co nas obchodzą Bogu ducha winni turyści?

– Sprawa nie jest taka prosta. Mają paszporty i twierdzą, że mieszkają w Los Angeles, ale adres, który podają, jest fałszywy.

– Skąd wiesz?

– W końcu Inglewood w Los Angeles było przez cztery lata moim rewirem. Znam okolicę jak własną kieszeń. Na dodatek podali fałszywy numer telefonu. Coś w tej sprawie śmierdzi. Właśnie sprawdzam ich paszporty.

Lazard rzucił na biurko dwa paszporty.

– Nie mają przy sobie innych dokumentów?

– Mają dwa wielkie plecaki z profesjonalnym wyposażeniem wspinaczkowym, aparat fotograficzny, lornetkę, nożyce do drutu i tak dalej. Przecież mówię, że w tej sprawie coś śmierdzi.

Dwain przekartkował paszport kobiety i wstał.

– Co masz na myśli?

– Szpiegostwo, sabotaż, bo ja wiem?

– Przyprowadź kobietę! Posłuchamy, co ma nam do powiedzenia.

Kiedy Suzannah siadała na krześle w gabinecie szeryfa, była rozdygotana. Olbrzym ją onieśmiał.

– Podobno była dziś pani w górach San Mateo w okolicy Ciboli? – zaczął Dwain Hamilton. Uważnie przyglądał się młodej kobiecie.

Suzannah potwierdziła skinieniem głowy.

– Jak się tam pani dostała?

– Wędrowaliśmy.

– Z Magdaleny czy z zachodu?

– Z Magdaleny.

Dwain zrobił sobie notatkę.

– Zostawiliście gdzieś samochód?

– Proszę pana – spróbowała przejąć inicjatywę Suzannah. – Zgubiliśmy drogę. To nie przestępstwo.

Dwain Hamilton się uśmiechnął. Czuł, że kobieta się boi.

– Posiadanie fałszywych dokumentów i podanie fałszywego adresu to

wykroczenia. Wiemy, że pani paszport jest sfałszowany i wkrótce się dowiemy, kim pani naprawdę jest. Oczywiście może nam pani pomóc, mówiąc prawdę. Kim pani jest, kim jest pani towarzysz i czego szukaliście w górach, w okolicy obozu wojskowego.

Suzannah się przestraszyła. Blef szeryfa nią wstrząsnął. Odwróciła się nerwowo i wyrzała przez okno. Była noc i po ulicy przejeżdżały tylko pojedyncze samochody. Co miała robić?

– Mogę porozmawiać z Brianem?

– Z Brianem? Zdawało mi się, że pani towarzysz nazywa się John. Przy najmniej tak jest w paszporcie.

Suzannah zadrżała. Na moment się zdekoncentrowała, choć prędzej czy później szeryf i tak by się dowiedział prawdy. W końcu wiedział, że ich paszporty są fałszywe. Jak się tego domyślił? Co ich zdradziło? Suzannah gorączkowo rozmyślała, jak wybrnąć z tej sytuacji, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

Dwain chwilę ją obserwował.

– No dobrze – rzekł w końcu. – Dam pani nieco czasu. Lazard, odprowadź panią do celi!

□ □ □

Wkrótce w pokoju przesłuchań siedział Brian.

– Niech pan mnie dobrze posłucha – zaczął Dwain Hamilton. – Wiemy już, że zarówno pański paszport, jak i paszport pana towarzyszkki są doskonale sfałszowane. Zostaliście zatrzymani na zamkniętym terenie wojskowym, mieliście przy sobie wysokiej klasy sprzęt wspinaczkowy i aparat fotograficzny. Proszę więc nie opowiadać mi bajek. Choć możecie nas uważać za ograniczonych wieśniaków, proszę mi wierzyć, że znamy się na swojej robocie. – Dwain Hamilton popatrzył na niego ponuro. Rzucił na biurko kilka zdjęć. Ukazywały obóz wojskowy pod górą Withington.

– Skąd pan je ma? – spytał Brian.

– Film był w aparacie. Pozostałe rolki są w naszym laboratorium. Jestem ciekaw, co znajdziemy na zdjęciach, wątpię jednak, aby były to ujęcia z imienia kuzyna.

Brian wpatrywał się w zdjęcia. Ujęcie z helikopterem w tle wyszło idealnie. Bez trudu dało się rozpoznać starszego cywila i obu żołnierzy.

– Mogę się zobaczyć z Suzannah?

– Suzannah?

- Moją towarzyszką.
- Opowie mi pan wtedy swoją historię?
- Mam inny wybór? Chciałbym jednak rozmawiać z panem w cztery oczy.

Dwain skinął głową Lazardowi, który stał przy drzwiach i dał mu znak. Zastępca wyszedł. Brian zasłonił dłonią mikrofon.

– Chciałbym rozmawiać z panem naprawdę w cztery oczy, to znaczy bez magnetofonu i obserwacji przez szybę.

Dwain się zastanowił. Co prawda jego rozmówca nie był chucherkiem i wyglądał na wysportowanego, ale zdecydowanie był od niego lżejszy przynajmniej o jedną klasę wagową.

– Bez obaw, nie zaatakuję pana – powiedział Brian, wyczuwając niepokój szeryfa. – Nie jestem przestępcą, tylko naukowcem.

- No, no... naukowiec...
- Ściśle mówiąc, psychologiem.

Dwain szeroko się uśmiechnął.

- Naprawiacz dusz...
- Zgadza się. Ktoś z naprawdę podłego gatunku.

Otworzyły się drzwi i zastępczyni szeryfa Moonlight wprowadziła Suzannah.

– Brian! – zawołała Suzannah, ale policjantka ją powstrzymała. Brian wstał, błagalnie popatrzył szeryfowi w oczy.

– Puść ją! – polecił po chwili szeryf Hamilton.

Sarah Moonlight puściła Suzannah, która podbiegła do Briana i padła mu w ramiona. Drżała.

– Co teraz zrobimy? – szepnęła mu do ucha.

Brian pogłaskał ją po plecach.

– Możemy mu zaufać? – odpowiedział także szepsem.

Suzannah odwróciła się i popatrzyła na szeryfa.

– To o nim mówiła Ka-Yanouï?

– Zaraz się przekonamy. A więc, szeryfie, jeśli o mnie chodzi, możemy zaczynać, ale na takich warunkach, jak powiedziałem.

Dwain Hamilton popatrzył na Sarah Moonlight. Westchnął.

– Zostaw nas samych – powiedział i wyłączył mikrofon. – Ostrzegam jednak: jeśli uznam, że to jakaś sztuczka albo będziecie opowiadać same bzdury, natychmiast dzwonię po FBI i przekazuję was im. Moim zdaniem materiał jest wystarczający do oskarżenia o szpiegostwo, a to oznacza dwadzieścia pięć lat w więzieniu federalnym. Rozumiemy się?

Brian popatrzył na Suzannah, która lekko skinęła głową. Przyniósł jej krzesło i usiadła. Szeryf stał oparty o ścianę, ramiona splótł na piersi i czekał.

– Cała prawda – powiedział Brian, zanim zaczął. – Nazywam się Brian Saint-Claire, a moja towarzyszka to doktor Suzannah Shane. Jeszcze trzy tygodnie temu byliśmy uznanymi naukowcami i uczestniczyliśmy w specjalnym programie naukowym prowadzonym przez NASA na przylądku Canaveral. Ma pan rację, nie zgubiliśmy drogi. Pojechaliśmy pod górę Withington po to, aby przyrzeć się temu podejrzanemu obozowi wojskowemu i porobić zdjęcia. Choć jest pilnowany jak Fort Knox, udało nam się podejść bardzo blisko. Jeśli wpisze pan nasze nazwiska do komputera, dowie się pan, że szuka nas FBI. Rzekomo zamordowaliśmy w Arlington naukowca, profesora Wayne'a Changa. To kłamstwo. Nasza historia jest bardziej skomplikowana, bardziej niewiarygodna i bardziej przerażająca niż powieść szpiegowska.

Dwain słuchał z uwagą i choć był napięty jak struna, udawał obojętność. Czyżby wreszcie miał się dowiedzieć czegoś więcej o tajemniczym obozie wojskowym w lesie Cibola i tajemniczych zgonach w jego hrabstwie związanych z obozem? Chłonał każde słowo Briana. Po kilku minutach usiadł za biurkiem.

Brian opowiedział o astronautach z Centrum Lotów Kosmicznych i ich dziwniej chorobie, o zamordowaniu Wayne'a Changa i jego przyjaciółki, o badaniach, jakie Wayne prowadził tuż przed śmiercią. Opowiedział o planowanym spotkaniu z Cliffem Sebastianem, do którego nie doszło z powodu tajemniczego wypadku samochodowego meteorologa, i o ucieczce do Wenezueli. Opowiedział o przedziwnych wizjach szamanki znad Orinoko. Kiedy skończył, świeciło.

Dwain nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Musiał przemyśleć to, co usłyszał. Wiedział, że w lesie Cibola dzieje się coś podejrzanego, ale żeby śmierć meteorologa z Waszyngtonu oraz niszczycielskie huragany u wybrzeży Stanów Zjednoczonych były związane z obozem wojskowym w górach San Mateo – to przerastało jego wyobraźnię.

– Nie wierzy nam pan? – spytała Suzannah, widząc minę szeryfa.

Dwain wzruszył ramionami.

– Nie bardzo wiem, w co mam wierzyć.

– A my nie wiemy, jak udowodnić naszą niewinność – powiedział Brian. – Jeżeli przekaże pan nas i zdjęcia FBI, znikniemy po wsze czasy za kratami, a szaleństwo będzie trwać dalej. Stale będą powstawać nowe huragany.

– Ponieważ tak powiedziała szamanka znad Orinoko?

– Nie, ponieważ taka jest prawda.

Szeryf kazał odprowadzić więźniów do ich cel. Siedział milczący w pokoju przesłuchań. Wszedł Lazard i położył na stole plik zdjęć.

– Moonlight dała mi je dla ciebie. To wszystkie cztery filmy, pozostałe dwa są puste.

Dwain zaczął przeglądać zdjęcia. Widać było na nich pościnane drzewa, wielkie maszty wysokiego napięcia, stację przekaźnikową w środku lasu i morze przedziwnych anten ustawionych na płaskowyżu góry Withington. Ogólne ujęcie obozu wojskowego. Trzy osoby na tle helikoptera marynarki wojennej uchwycone w dużym zbliżeniu: dwóch żołnierzy i jeden cywil w starszym wieku. Dało się nawet dostrzec rysy twarzy.

– Wierzysz im? – spytał Lazard, kiedy Dwain Hamilton streścił mu opowieść Briana.

– Brzmi to awanturniczo. Z jednej strony szamanka z dżungli, wizje i huragany, z drugiej tajemniczy obóz wojskowy pod naszym nosem. Popatrz na to. – Dwain Hamilton przesunął w stronę Lazarda jedno ze zdjęć. Ukazywało widok ogólny obozu.

– Co to ma być?

– Czarny jeep cherokee między budynkami – wyjaśnił Dwain Hamilton. – Popatrz na rejestrację.

– Trzydzieści cztery pięćdziesiąt dwa REI... jeep, którego szukałeś.

– Ano. Ten, którego Crow widział w pobliżu chaty Silverwolfe'a zanim spłonęła.

– Mogę zobaczyć pozostałe zdjęcia?

Dwain podał mu plik. Kiedy Lazard dotarł do ujęcia trójki mężczyzn przed helikopterem, gwizdnął przez zęby.

– Co jest?

– Znam tego w garniturze.

– Tego starego?

Lazard skinął głową.

– To senator Thomas Lee z Waszyngtonu.

Dwain Hamilton wziął do ręki zdjęcie.

– Senator Lee?

– Kiedy kilka lat temu przyjechał do Los Angeles, przydzielono mnie do

sekcji ochrony osób. To bardzo wpływowy człowiek. Ludzie z NSA krążyli wokół niego jak muchy wokół krowiego placka. Za kadencji prezydenta Burka pracował w Waszyngtonie. Miał podobno zostać sekretarzem obrony, ale kiedy Burk przegrał ponowne wybory, Lee zniknął ze sceny. Musisz pamiętać, że był kilka razy na ranczu wuja Joego. Za kadencji Burka.

– Nigdy nie interesowałem się szczególnie polityką, ciekaw tylko jestem, co robi senator w obozie wojskowym na końcu świata?

□ □ □

Dwie godziny później, po telefonie do Los Angeles, Lazard mógł zaprezentować pierwsze wyniki. Brian Saint-Claire i Suzannah Shane faktycznie byli poszukiwani, ale nie tylko z powodu morderstwa. Oskarżenie było znacznie poważniejsze: w liście gończym była także mowa o spisku terrorystycznym na szkodę Stanów Zjednoczonych. Nie ścigało ich FBI, ale NSA.

– Chciałbym wiedzieć, czy rzeczywiście zamordowano niejakiego profesora Wayne'a Changa – powiedział Dwain Hamilton. – Musiało się to zdarzyć ze trzy tygodnie temu w Arlington. Zadzwoń tam i dowiedz się wszystkiego, co koledzy mają w aktach. Ja w tym czasie zajmę się tym meteorologiem, który miał wypadek.

– A kiedy się prześpisz?

– Później. Kiedy się dowiem, co tu jest grane.

5.

Motel Pawnee, Boulder, Kolorado

Allan Clark miał wrażenie, że trzyma w dłoniach bombę, która w każdej chwili może wybuchnąć. Rozłożył na biurku dokumenty, sporządzone przez profesora Changa. Cliff Sebastian dał mu je z prośbą o ponowną analizę, ale już krótkie przyjrzenie się danym potwierdziło teorię Wayne'a Changa. Wyniki były jednoznaczne, a wnioski spójne.

Choć dane nie wskazywały na pojawienie się niecodziennej aktywności słonecznej, w strefie Karaibów wystąpiły niewyjaśnione zjawiska przypominające zorzę polarną. Co mogło spowodować te dziwne zjawiska? Dlaczego nie zarejestrowano aktywności słonecznej? Zawiodła technologia pomiarowa – czyżby stacje magnetometryczne w Kirunie i Sztokholmie źle zarejestrowały dane? Nie, nie mogło być tylu błędów systemowych naraz. Poza tym wyzwalaczem zorzy nie było Słońce, tylko coś wewnątrz atmosfery. Wayne twierdził dodatkowo, że w jonosferze utworzył się rozległy pęcherz termiczny z plazmy, rozciągający się nad całym Nowym Meksykiem i mający powierzchnię kilku kilometrów kwadratowych. W obrębie tej strefy zarejestrowano dodatkowo promieniowanie o maksymalnie długiej fali.

Allan Clark przewrócił kartkę. Wayne Chang obliczył intensywność i załamywanie się promieniowania za pomocą powszechnie stosowanego prawa Snelliusa. Wynikało z tego jednoznacznie, że pola promieniowania, jakie wystąpiły, zostały wywołane sztucznie. Także w przypadku fal długich chodziło o sztucznie wywołaną anomalię promieniowania. Niestety, Wayne'owi nie udało się określić, gdzie znajdowało się ich źródło.

Kiedy Allan Clark czytał ostatnią kartkę notatek, jego oczy robiły się coraz większe i większe. Odbicia mikrofal oddziaływały szczególnie drastycznie w

trzech regionach, dodatkowo rozgrzewając powierzchnię ziemi. Region numer jeden znajdował się między Ziemią Baffina a Grenlandią, numer dwa na Pacyfiku, w pobliżu Wyspy Kokosowej, a numer trzy na zachód od Małych Antyli. Dokładnie w tych miejscach niemal równocześnie powstały potężne huragany, które kosztowały życie nie wiadomo ilu ludzi i spowodowały olbrzymie zniszczenia.

Gdyby odkrycia Changa się potwierdziły, oznaczałoby to, że wczesnowiosenne huragany, zwane już w kręgach meteorologów cyklonami trojczkami, też zostały wywołane sztucznie. Czyżby katastrofy z Nowego Orleanu i Tallahassee były wynikiem manipulacji klimatycznych? Może krył się za tym zamach terrorystyczny? Jakie mocarstwo na ziemi dysponowało technologią pozwalającą wywołać huragan i pchnąć go w stronę lądu? Czyżby wojna z terrorem nabrała nowego wymiaru?

Allan Clark nie mógł w nocy spać. Uznał, że musi przekazać te dane do sprawdzenia innemu specjalście, geofizykowi, z którym pracował przed kilkoma miesiącami, wykładowcy na Uniwersytecie Nowojorskim. Popatrzył na zegarek. W Nowym Jorku był już dzień. Przed przejściem do centrum huraganów Allan Clark pracował przez lata w MIS – wywiadzie wojskowym w Filadelfii, więc wiedział, że tym, co odkrył Wayne Chang, z pewnością zainteresuje się jeszcze jedna osoba. Sięgnął po słuchawkę.

Potrwało dłuższą chwilę, zanim odezwał się zaspany głos.

– Dzień dobry, Bob – powiedział Allan Clark. – Natknąłem się na coś, co brzmi niewiarygodnie, ale sądzę, że powinieneś to obejrzeć.

Socorro, Nowy Meksyk

Lazard natychmiast usiadł za biurkiem i zadzwonił do kolegów z wydziału zabójstw w Arlington. Potwierdzili oni fakt zamordowania na ich terenie profesora Wayne'a Changa, geofizyka i meteorologa. Jednak sprawa została im odebrana i przejęła ją specjalna jednostka FBI. Zdaniem detektywa Hernandeza sprawa jeszcze nie została rozwiązana, było jednak dwoje podejrzanych, którzy wciąż byli poszukiwani. Kobieta i mężczyzna.

Na pytanie, dlaczego odebrano sprawę detektywom z Arlington, Hernandez wyjaśnił, że może tu chodzić o szpiegostwo lub zdradę stanu. Zamordowany profesor pracował ostatnio przy projekcie dla NASA. Więcej kolega z wydziału zabójstw nie wiedział. Osobą odpowiedzialną za sprawę w FBI jest agent Coburn z Waszyngtonu.

Lazard zapisał wszystko w notesie.

Po krótkim zastanowieniu wziął się w garść i zadzwonił do centrali FBI, aby porozmawiać z agentem. Wymyślił sobie historyjkę, którą zamierzał zaserwować Coburnowi, gdyby go z nim połączono, więc był zaskoczony, kiedy telefonista z centrali poinformował go, że w całym FBI – ani w Waszyngtonie, ani w żadnej innej delegaturze w Stanach Zjednoczonych – nie pracuje agent Coburn.

Kiedy Dave Lazard wszedł do gabinetu szeryfa, żeby złożyć raport z tego, czego się dowiedział, Dwain Hamilton leżał na kanapie i spał, głośno chrapiąc. Lazard cicho wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Udał się do biblioteki publicznej, aby poszukać w otchłaniach Internetu informacji o senatorze Lee i jego dawnej działalności w Waszyngtonie.

□ □ □

Ledwie Dwain Hamilton się obudził, zaczął dumać o dziwnych więźniach w celi. Wstał i wyjrzał przez okno. Słońce stało wysoko na niebie, musiało być około południa. W pomieszczeniu było gorąco. Podszedł do biurka i zauważył leżącą tam kartkę. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Krajowego Urzędu do spraw Oceanów i Atmosfery w Boulder w stanie Kolorado. Rozmowa była krótka. Kierownik działu meteorologii, doktor Cliff Sebastian, rzeczywiście leżał od kilku dni w szpitalu w Denver. Miał poważny wypadek samochodowy. Najwyraźniej w tej sprawie Brian Saint-Claire nie kłamał.

Żołądek Dwaina dał znać o sobie. Szeryf wstał i wyszedł z biura. Zastępca szeryfa Martinez siedział w sali głównej przy stole i na staromodnej maszynie do pisania pisał raport. Dwain rozejrzył się wokół.

– Gdzie jest Dave?

– Poszedł do biblioteki – odpowiedział Martinez i stuknął w następny klawisz.

– Nasi goście dobrze się czują?

Martinez podniósł głowę.

– Jak najbardziej. Nic dziwnego przy tej obsłudze, jaką im oferujemy: pół godziny temu podaliśmy posiłek. Potem się przespali.

– Pójdę do Mary coś przekąsić. Jeżeli Dave wróci, niech na mnie zaczeka. Martinez skinął głową i wrócił do pisania raportu.

Dwain wyszedł na rozgrzaną południowym upałem ulicę. Chwilę postał, po

czym wyjął z kieszeni kluczyki i ruszył w kierunku forda.

Zanim wsiadł, zatrzymał się obok niego czarny ford cherokee. Tuż za je-
pem gwałtownie zahamował czarny van. Wsiadł z niego mężczyzna w ciem-
nych okularach przeciwsłonecznych i ciemnym garniturze. Dwain natychmiast
go rozpoznał.

– Witam, szeryfie – przywitał się agent Coburn. – Pamięta mnie pan?

Dwain skinął głową.

– Cóż za niespodzianka... mogę pana jednak uspokoić, że postępowanie
wobec doktora zostało zamknięte. Prokurator okręgowy nie zamierza wnieść
oskarżenia.

Coburn zdjął okulary.

– Nie przyjechałem z tego powodu. Patrol wojskowy przekazał wczoraj w
pana ręce dwoje zatrzymanych. Kobiętę i mężczyznę. Weszli na teren wojsko-
wy.

Dwain wciągnął głęboko powietrze.

– Czego pan od nich chce?

– Sprawdził pan ich personalia. – Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie.

– Dlaczego pan pyta?

– Z pewnością pan wie, że mieli przy sobie fałszywe dokumenty.

Co odpowiedzieć? Dwain myślał gorączkowo, Coburn czekał na odpo-
wiedź.

– To są sprawy wewnętrzne, nic panu do nich. Czego pan chce, Coburn?

– Chcę dostać tę parę!

– Przykro mi.

– Co to ma znaczyć?

– Że nie mogę ich panu przekazać.

– Wiem, że ich pan aresztował. Przekazano mi, że zarządził pan spraw-
dzenie ich tożsamości. Są poszukiwani z powodu przestępstw przeciwko Sta-
nom Zjednoczonym.

Coburn zrobił krok do przodu i podał Hamiltonowi nakaz aresztowania wy-
stawiony przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych. Dwain przebiegł
wzrokiem po dokumencie. Coburn miał rację.

– No to na co czekamy? Proszę przekazać mi aresztantów!

Dwain westchnął.

– Nie mogę. Zwolniłem ich.

Coburnowi wypadła z ust guma do żucia.

– Co pan zrobił?

Dwain postanowił zagrać o dużą stawkę.

– Zapewnili mnie w wiarygodny sposób, że weszli na teren wojskowy przez przypadek. Paszporty wyglądały na prawdziwe, nie byli oficjalnie ściągani. Dałem im mandat za sto dolarów i zapłacili gotówką. Dlaczego miałbym ich trzymać?

Coburn kipiał ze złości. Stuknął palcem w nakaz.

– Ma mi pan natychmiast wydać zatrzymanych! I niech mi pan nie opowiada bzdur. Dlaczego w takim razie zadawał pan pytania centralnemu komputerowi?

– To nie ja, a nadgorliwy zastępca. – Dwain próbował udawać spokojnego.

– Jaja pan sobie ze mnie robi! – wrzasnął Coburn i ruszył do drzwi wejściowych.

– Jeśli dotknie pan klamki, rozwałę panu łeb – spokojnie powiedział Dwain Hamilton. – Tych ludzi już tu nie ma. A teraz niech pan zbiera swoich ludzi i zejdzie mi z oczu!

Coburn stanął jak wryty. Odwrócił się i wbił wzrok w szeryfa.

– Drogo pan za to zapłaci. Zadbam o to, żeby stracił pan ten swój mundur. Może pan już zacząć szukać sobie nowej pracy.

Wsiadł do vana, który ruszył z piskiem opon. Jeep cherokee podążył z tyłu.

– Co ich napadło? – powiedział głos za plecami Dwaina Hamiltona.

Dwain odwrócił się i popatrzył na zaskoczonego Dave'a Lazarda.

– To byli agenci NSA. Chcieli zabrać naszych aresztantów. Pogoniłem ich, ale na pewno wrócą.

– Koniecznie musimy porozmawiać.

Socorro, Nowy Meksyk

– Co zamierzasz? – spytał Dave Lazard.

Dwain wyglądał przez okno. Latarnie rzucały ciepłe żółte światło. W miasteczku nad Rio Grande życie powoli zamierało. Po południu Dwain Hamilton i Dave Lazard ponownie rozmawiali z zatrzymaną parą. Historia układała się w logiczną całość.

Wszystko, co zeznał Brian Saint-Claire, dało się potwierdzić, choć pojawiły się nowe pytania. Dlaczego agent Coburn podał się kolegom z Arlington za agenta FBI, ukrywając, że pracuje dla NSA? NSA jest czymś w rodzaju policji politycznej, ma wiele daleko idących kompetencji i podlega bezpośrednio

Departamentowi Obrony. Nierzadko prowadzi dochodzenia dotyczące bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych.

Morderstwo Wayne'a Changa, wypadek zaprzyjaźnionego z nim meteorologa, tajemniczy obóz wojskowy, dwa dziwaczne zgony w hrabstwie Socorro. Machinacje zasłużonego senatora, który – jak Dave dowiedział się w Internecie – poświęcił życie i aktywność walce z wrogami narodu. Doktor Suzannah Shane, psycholog i specjalistka badań snu z Chicago, kandydatka na stanowisko profesorskie, oraz doktor Brian Saint-Claire, Kanadyjczyk, też psycholog, znany specjalista z zakresu nauk „z pogranicza”, ostatnio pracujący dla ezoterycznego czasopisma. Dochodzenie Dwaina potwierdziło także te dane aresztantów. Był pewien, że ci ludzie nie są mordercami ani terrorystami.

– Zabierzemy ich stąd! – powiedział zdecydowanie Dwain.

– Jeśli to wyjdzie na jaw, nie tylko stracimy pracę, ale powędrujemy na kilka lat za kratki. Wiesz, co grozi za utrudnianie śledztwa i pomoc w ucieczce.

Dwain popatrzył na siostrzeńca.

– Wezmę odpowiedzialność na siebie, ale nie poradzę sobie sam. Potrzebuję twojej pomocy.

– Co mam zrobić?

– Najpierw pošlij Moonlight i Hollowa na patrol. Chcę, żeby biuro było puste. Musimy się liczyć z tym, że Coburn kazał obserwować budynek. Wyprowadzimy więźniów tunelem do budynku sądu. Postaw za sądem samochód, wszystko inne pozostaw mnie.

– Dokąd ich zawieziesz?

– Myślałem o ciotce Gippy. Przynajmniej na jakiś czas.

Lazard skinął głową.

– A Martinez? Wie o więźniach i całej reszcie.

– Jutro z nim porozmawiam. Jest lojalny i będzie trzymał gębę na kłódkę.

Lazard skinął głową.

– No to ruszam.

– Pamiętaj o tym, że ten Coburn jest kuty na cztery nogi. Na pewno kazał swoim ludziom obserwować budynek ze wszystkich stron.

– Nie jestem osłem. – Lazard włożył kurtkę. – Postawię camaro na parkingu za budynkiem sądu – powiedział i rzucił Dwainowi kluczyk. – Wezmę zapasowy. Będę z powrotem za dwadzieścia minut.

Dwain chwilę odczekał, po czym zaryglował wejście i wszedł do korytarza, w którym mieścił się areszt. W ręku niósł plik zdjęć. Suzannah i Brian

siedzieli już w tej samej celi.

– Szybko, musicie stąd zniknąć – powiedział, otwierając drzwi celi. – Być może za kilka minut zaroi się tu od agentów NSA.

Wyjaśnił, jaki ma plan, i pomógł obojgu spakować rzeczy.

□ □ □

Przyjechali w siedmiu. Byli ubrani w ciemne kombinezony, twarze zasłaniały im kominiarki. Każdy miał w rękę broń maszynową. Wyłamali drzwi i wpadli do środka. Dave Lazard stał przed wejściem do korytarza z celami. Kiedy rozległ się trzask wyważanych drzwi i chrzęst szkła, odwrócił się w stronę dźwięku. Szybko wyciągnął broń z kabury.

– Nie ruszać się! Rzucić broń! – wrzasnął jeden z zamaskowanych intruzów i posłał serię w kierunku zastępcy szeryfa. Lazard zanurkował za biurko i oddał dwa strzały, niestety, nie wcelował i pociski wbiły się w ladę recepcji. Znowu do niego strzelono. Lazard rzucił się szczupakiem w kierunku stalowych drzwi korytarza z celami. Padł na podłogę i odpowiedział kolejnymi dwoma strzałami. Drzwi się uchyliły i pojawił się w nich Dwain Hamilton. Lazard pełził ku niemu. Znowu go ostrzelano. Pociski załomotały o drzwi i zrykoszetowały na boki.

– Szybko! – krzyknął Dwain Hamilton i strzelił z magnum w kierunku jednego z zamaskowanych napastników, który celował do Lazarda. Akcja ta zmusiła intruza do schowania się i dała Lazardowi kilka cennych sekund. Szybko wstał. Tylko dwa kroki dzieliły go od stalowych drzwi. Znowu huknęła seria z broni maszynowej, Lazard został pchnięty do przodu i padł Hamiltonowi w ramiona. Szeryf wciągnął siostrzeńca za drzwi.

Brian manipulował przy zamku.

– Szybko, rygiel! – krzyknął do Suzannah, która natychmiast pojęła, co ma robić, i zaryglowała drzwi.

Lazard zwiślał bezwładnie na rękach szeryfa. Oczy miał otwarte, ale była w nich pustka. Dwain położył go na podłodze i przyjrzał się swoim zakrwawionym dłoniom. Podbiegła Suzannah i położyła szeryfowi dłoń na plecach.

Po drugiej stronie o drzwi załomotały pociski, po ich stronie spowodowały jednak tylko lekkie wybrzuszenia.

– Co to za ludzie? – spytał Brian.

Suzannah klęczała przed Lazardem.

– Nie żyje – powiedziała łamiącym się głosem.

Dwain ukląkł obok siostrzeńca i zamknął mu oczy.

– Musimy stąd wiać, drzwi nie wytrzymają zbyt długo. – Podniósł broń zabitego kuzyna. – Nie sądziłem, że posuną się aż tak daleko.

Podał broń Brianowi.

– Umie się pan tym posługiwać?

Brian skinął głową.

Dwain wstał i podszedł do przeciwległej ściany. Otworzył dobrze zamaskowane wpuszczone w mur drzwi.

– Dokąd prowadzi korytarz? – spytał Brian.

– To stare przejście, przez które dostajemy się do budynku sądu. Kiedyś prowadzano nim ciężkich przestępców na rozprawy.

– Prawie jak w Wenecji.

– Słucham?

– Nic, to tylko takie skojarzenie.

6.

Droga międzystanowa numer 25, hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Pobiegli wąskim i wilgotnym tunelem. Wyraźnie słychać było walenie. Prześladowcy musieli już się włamać do korytarza z celami i próbowali dostać się do tunelu.

Wydawało się, że tunel nie ma końca. Walenie i dudnienie za ich plecami nie ustawało ani na sekundę. Wreszcie znaleźli się przy masywnych stalowych drzwiach. Zamkniętych. Dwain Hamilton szukał wśród kluczy odpowiedniego. Drżącymi palcami próbował kolejnych. Już dawno nie szedł tym tunelem do budynku sądu – minęło sporo czasu, odkąd w areszcie w Socorro po raz ostatni siedział ktoś oskarżony o poważne przestępstwo. Wreszcie jeden z kluczy wszedł bez trudu w zamek, dał się obrócić i drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Za mną!

Pobiegli w górę wąskimi kamiennymi schodkami. Suzannah raz za razem uderzała plecakiem w pobieloną wapnem ścianę.

– Cholera, zdjęcia! – zawołała w którymś momencie i zatrzymała się.

– Mam je przy sobie! – krzyknął Dwain Hamilton.

Dotarli do drzwi u szczytu schodków. Tym razem Dwain od razu znalazł odpowiedni klucz. Nie było słychać prześladowców.

Dwain ostrożnie wyjrzał na parking. Nie było na nim żywej duszy.

– Idziemy! – zawołał i wyszedł na zewnątrz.

Suzannah i Brian podążyli za nim.

Przeszli przez znajdujący się za budynkiem sądu parking. Stały na nim dwa samochody: czerwony merkur i żółte camaro. Dwain biegł w kierunku camaro. Suzannah mobilizowała ostatnie siły. Wrzucili plecaki na tylne siedzenie, Suzannah wcisnęła się do tyłu, Brian zajął fotel pasażera.

Dwain uruchomił silnik za pierwszym przekręceniem kluczyka. Mieli pełny bak. Dave pomyślał o wszystkim. Rozglądając się na wszystkie strony, Dwain Hamilton ostrożnie ruszył. Szlaban wyjazdu na Church Street otworzył się automatycznie.

Dwain skręcił na północ i dodał gazu. Ulice były puste. Pogoni ani śladu. Wjechał na międzystanową, w kierunku Albuquerque. Kiedy zostawili za sobą Socorro i minęli Polvadere, Dwain zwolnił. Skręcił przy zjeździe do Narodowego Rezerwatu Dzikiej Zwierzyny Sevilleta. Po kilku kilometrach zjechał w polną drogę i zatrzymał się w miejscu otoczonym gęsto krzewami i drzewami.

Wysiadł bez słowa i podszedł do ściany zieleni. Stanął przez niskim drzewem i jak oszalały zaczął walić pięścią w pień. Walił raz za razem, aż zaczęły mu krwawić kostki dłoni. Brian wyskoczył z samochodu i podbiegł do niego. Zaczął mówić do niego uspokajająco. W końcu Dwain Hamilton osunął się na ziemię i zasłonił twarz dłońmi.

Suzannah też wysiadła. Usiadła obok szeryfa i położyła mu dłoń na ramieniu.

– To był pański siostrzeniec... tak mi przykro.

Dwain ani drgnął. Siedział jak kupka nieszczęścia. Z samochodu doleciało ciche dzwonięcie.

– Co to? – spytała ze zdziwieniem Suzannah. Brian odwrócił się i popędził do samochodu.

– Telefon... Porcky!

Dwain podniósł głowę. W świetle reflektorów dało się zauważyć, że ma mokre oczy.

– To nasza wina – powiedziała Suzannah. – Zginął przez nas.

Dwain pokręcił głową.

– Wiem, kto się kryje za tym tchórzliwym zabójstwem. Dokładnie wiem, kto ma Dave'a na sumieniu, i przysięgam na Boga, że zapłaci mi za to. Nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Będzie przeklinał dzień, w którym zjawił się w moim hrabstwie.

Wrócił Brian. Zamknął telefon i wsunął go do kieszeni spodni.

– Porcky nawiązał kontakt z Cliffem Sebastianem. Wygląda na to, że przekazał dokumentację zaprzyjaźnionemu ekspertowi. Porcky twierdzi, że ten materiał to bomba. Dowodzi, że huragany zostały wywołane sztucznie.

- Jak można wywołać huragan, który niszczy pół kraju? – spytała Suzannah.
- Nie mam zielonego pojęcia, ale jestem pewien, że klucz do rozwiązania tej zagadki znajduje się w bunkrze na górze Withington. Nie mam tylko pojęcia, jak się dowiedzieć, co tam robią.
- Dwain wstał. Wylał chusteczką krew z dłoni i rzucił ją w krzaki.
- Mam pewien pomysł – powiedział. – Ale to niełatwe i niebezpieczne.
- Brian ujął dłoń Suzannah. Była lodowata. Popatrzył swojej ukochanej w oczy.
- Cóż mamy jeszcze do stracenia? W końcu mogą nas zabić tylko raz.

Radio KLA, program „Prawda albo konsekwencje”, Nowy Meksyk

...aresztowano dwoje niebezpiecznych terrorystów łączonych z Al-Kaidą. W nocy posterunek policji w Socorro został zaatakowany przez zamaskowanych oddział. Uwolniono więzionych terrorystów. Z trakcie ataku zginął jeden z zastępców szeryfa, a szeryf Dwain Hamilton został wzięty jako zakładnik i znajduje się obecnie w rękach porywaczy.

Prowadzone są szeroko zakrojone poszukiwania podejrzanych. Jednostki policji stanowej i NSA utworzyły blokadę hrabstwa Socorro i postawiły barykady na drogach. Podejrzewa się, że poszukiwani mogą się znajdować w regionie lasu narodowego Cibola.

W związku z tą sprawą poszukuje się żółtego camaro o numerze rejestracyjnym czterdzieści sześć siedemdziesiąt trzy-NHB, które należało do zamordowanego policjanta.

Poszukiwanymi są mężczyzna i kobieta. Mężczyzna jest w wieku około czterdziestu lat, ma mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, waży około osiemdziesięciu kilogramów, jest szczupły, wysportowany i ma lekko falujące ciemnoblonde włosy. Jego towarzyszka jest także w wieku około czterdziestu lat, ma mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu, jest wysportowana, szczupła, ma ciemne włosy do ramion.

Prosi się mieszkańców, by natychmiast poinformowali najbliższy posterunek policji, jeśli zobaczą poszukiwanych. Należy zachować ostrożność, ponieważ są oni uzbrojeni i niebezpieczni.

Uzyskaliśmy właśnie połączenie z dowódcą akcji ze strony Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

– *Agencje Coburn, czy wiadomo już, co terroryści planowali w hrabstwie Socorro, czy też zostali tam aresztowani przypadkowo?*

– *Z posiadanych przez nas informacji wynika, że podejrzani planowali zamach na znajdujące się w Nowym Meksyku instalacje wojskowe. Zostali zatrzymani, kiedy znajdowali się na zamkniętym terenie wojskowym.*

– *Agencje Coburn, co wiadomo o miejscu pobytu szeryfa?*

– *Przyjeliśmy, że terroryści wzięli go jako zakładnika. Najprawdopodobniej znajduje się cały czas w rękach porywaczy.*

– *Co radzi pan mieszkańcom? Są w niebezpieczeństwie?*

– *Ostrzegamy wyraźnie przed wszelkimi próbami nawiązywania rozmowy z terrorystami albo zatrzymywania ich. Jeśli ktoś ich zauważy, niech natychmiast zawiadomi policję. Uciekinierzy są niebezpieczni i działają ze skrajną brutalnością.*

– *Agencje Coburn, dziękuję panu i życzę szybkiego zatrzymania poszukiwanych.*

Mówiła Melanie Forbess dla Radio KLA.

Dwain Hamilton wyłączył radio.

– A ja wam życzę złamania nogi.

Magdalena, Nowy Meksyk

Spędzili dzień w bezpiecznej kryjówce i po zapadnięciu zmroku pojechali polnymi drogami do Magdaleny. Od kilku godzin parkowali na Chestnut Street na południu miasta. Dom oświetlało słabe światło latarni, w oknach było ciemno.

Dwain przez cały czas wpatrywał się bez słowa w przestrzeń. Śmierć siostrzeńca mocno nim wstrząsnęła. Jego nastrój oscylował między bezgraniczną wściekłością a poczuciem beznadziei. Dave zginął bez sensu. Zamordowali go ludzie dążący do osiągnięcia celu po trupach. Dwain przysięgł sobie, że nie pozwoli, aby uszło im to płazem. Był pewien, że wie, kto odpowiada za śmierć siostrzeńca.

– Późno już. Sądziś, że przyjedzie? – spytał Brian.

– Przyjedzie – odparł Dwain Hamilton. – Czekamy! Brian wyjrzał przez

boczną szybę. Suzannah siedziała milcząca z tyłu.

– A jeśli nie będzie sam? – spytał Brian po jakimś czasie.

– Wtedy coś wymyślimy. Nie czas na pieszczoty. Zamordowali Dave'a z zimną krwią i jeżeli wasza teoria ma ręce i nogi, odpowiadają za śmierć wielu innych ludzi.

Przez ciemność przebiło się światło reflektorów samochodowych. Kelly Boulevard nadjeżdżał samochód. Wszyscy troje skulili się i schowali. Minął ich srebrny buick i skręcił na wjazd do piętrowego białego domu pod numerem dziesiątym. Ulicą nadjechał kolejny samochód i zatrzymał się przed domem. Ciemny Chevrolet.

– Wiedziałem... – mruknął Brian. – Nie jest sam.

– Masz przy sobie broń? – spytał Dwain i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz.

Z buicka wysiadł niski, krępy mężczyzna i ruszył w kierunku domu. Krótco odwrócił się do chevroleta, uniósł dłoń i pomachał pasażerom chevroleta na pożegnanie. Kiedy niski mężczyzna wszedł do środka, Chevrolet odjechał.

– Widzisz? – powiedział Dwain Hamilton. – Niektóre sprawy same się rozwiązują.

Odczekali jeszcze pół godziny, uważnie obserwując ulicę i dom. Ciemny samochód nie wrócił. W końcu Dwain i Brian wysiedli, a Suzannah usiadła za kierownicą.

– Bądź gotowa na wypadek, gdybyśmy musieli szybko stąd zniknąć – powiedział Dwain.

Kiedy obaj mężczyźni podchodzili do domu, czujnik ruchu włączył światło.

Dwain Hamilton zadzwonił. Nic się nie wydarzyło. Ponownie wcisnął dzwonek i ponownie nic się nie wydarzyło. Szeryf przycisnął dzwonek i nie puszczał.

– Już idę, idę! – doleciało zza drzwi. Uchyliły się i w zabezpieczonym przez łańcuch otworze pojawiła się nalana twarz Bruce'a Allistara.

– Szeryf? To pan?

– Doktorze, musimy pilnie porozmawiać – powiedział Dwain Hamilton i wskazał na Briana. – To mój kolega Brown.

Lekarz nie wiedział, co zrobić. Jego wzrok wędrował między Hamiltonem a Brianem.

– Sądziłem, że sprawa tego wypadku jest zamknięta...

Szeryf zrobił współczującą minę.

– Niestety, nie, panie doktorze. Pojawił się nowy materiał dowodowy. Związany z próbką pańskiej krwi, ale nie powinniśmy rozmawiać o tym przez drzwi.

Mimo półmroku dało się zauważyć, że lekarz pobladł. Zaczęła mu drgać powieka.

Allistar głęboko wciągnął powietrze, zdjął łańcuch i otworzył drzwi.

– Nie chciałem tego – powiedział. – Nie wiem, dlaczego pojechałem do miasta. Musi mi pan wierzyć.

Dwain Hamilton podszedł do niego.

– Jest pan sam?

Lekarz niepewnie skinął głową.

– Nie chciałbym, żeby ktokolwiek dowiedział się o tej rozmowie, ponieważ chodzi tu o swego rodzaju układ. Prokurator wyraża na to zgodę. Jeżeli nie będzie pan współpracował, wniesie oskarżenie o zabójstwo drugiego stopnia. Musi pan pojechać z nami, może powinien pan zgłosić w pracy, że pan zachorował. To może zająć cały jutrzejszy dzień.

Lekarz zbaraniał.

– To... choroba... – wydukał. – Przeszedłem terapię. Tego dnia nic się nie udawało.

– W interesie bezpieczeństwa narodowego prokurator jest gotów potraktować sprawę nieoficjalnie. Rozumiemy pana sytuację, ale prokurator nie chce, żeby ktoś się o tej sprawie dowiedział. Nawet pańscy przełożeni.

Allistar skinął głową.

– Dobrze, pojedę z panem. I tak mam do poniedziałku wolne. Chciałem odwiedzić syna w Connecticut. Komendant Leach wie o tym. Wrócę chyba do poniedziałku?

Dwain uśmiechnął się do Briana.

– Doskonale się składa – powiedział szeryf. – Pojedziemy pańskim samochodem.

– W takim razie pójde po marynarkę i dokumentację leczenia – wtrącił lekarz.

– Nie będzie to potrzebne, doktorze – rzekł Dwain. W jego dłoni pojawił się pistolet. – Proszę się łaskawie odwrócić. Muszę pana aresztować. To czysta formalność, ale musi pan zrozumieć, że też mam swoje przepisy.

– Ale sądziłem, że... – chciał zaprotestować Allistar.

- To naprawdę zwykła formalność – uspokoił go szeryf. Doktor Allistar zrobił płaczącą minę.
- Gdybym mógł, usunąłbym tamten dzień z kalendarza – westchnął i odwrócił się. Rozległ się cichy trzask i kajdanki Dwaina Hamiltona zacisnęły się na jego przegubach.

Kopalnia Virgile, hrabstwo Eddy, Nowy Meksyk

Hrabstwo Socorro przypominało twierdzę. Drogi wyjazdowe zostały zablokowane, ale Dwain Hamilton znał rejon jak własną kieszeń. Uciekli z żelaznego uścisku zapyłonymi drogami prowadzącymi przez dzicz. Ukryli się w rozpadającym się budynku gospodarczym opuszczonej kopalni w hrabstwie Eddy, oddalonej o ponad czterysta kilometrów od hrabstwa Socorro. Stojący na odludziu budynek należał do wuja Dwaina i nadawał się idealnie na kryjówkę. W trakcie jazdy doktor Allistar milczał. Zarówno Dwain, jak i Brian zdawali sobie sprawę z tego, że doktor stanowi doskonały argument przetargowy, niestety, doktor jak na razie uparcie milczał.

Jego opór osłabł, kiedy wprowadzili go do rozpadającego się kopalnianego budynku.

- Nie możecie tego zrobić... – jęknął Allistar, kiedy Dwain Hamilton chwycił go nieco mniej łagodnie. Musieli zmusić go do mówienia.

Suzannah skinęła głową.

- Niestety, nie mamy możliwości nadzorowania przebiegu sesji. Jeśli dojdzie do komplikacji, może umrzeć.

Dwain rzucił jej ostre spojrzenie.

- A pozostawia nam wybór? Jest odpowiedzialny za śmierć mnóstwa ludzi.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Jestem lekarzem i pomagam ludziom – powiedział płacząco Allistar. Strach sprawił, że krew odpłynęła mu z twarzy.

Brian położył dłoń na ramieniu Suzannah.

- Szeryf ma rację. Nie ma innego sposobu. On by się nie zawahał wydać nas w ręce policji, niezależnie od wszystkiego. Wie, że stoi po złej stronie, ale milczy.

Suzannah popatrzyła na małą czerwoną torbę.

- Ryzyko istnieje – potwierdził Dwain. – Miał szansę, a Dave Lazard jej nie miał. Jaką szansę macie wy?

- Jest człowiekiem i nie możemy ryzykować jego życia – upierała się Suzannah.
- Jak często stosowałaś te środki? – spytał Brian, ujmując ją za rękę. – Zawsze wszystko się udawało. Będziemy ostrożni. Gdyby pojawiły się jakiegokolwiek komplikacje, to niezależnie od tego, co miałoby się z nami stać, zawieziemy go do najbliższego szpitala.
- Tak? – spytała Suzannah, zwracając się do Dwaina Hamiltona. Szeryf uniósł dłoń i wyprostował dwa palce.
- Przysięgam.
- Bruce Allistar błagalnie patrzył na siedzącą naprzeciwko niego kobietę.
- Opowie nam pan o tym, co się dzieje w obozie? – zapytała.
- Po policzkach Allistara spływały łzy.
- Nie... nie mogę...
- Suzannah sięgnęła do torby i wyjęła z etui strzykawkę z niebieskim oznakowaniem.
- Co... co to jest?! – zapiszczał Allistar.
- Wszystko nam pan opowie – wyjaśnił Brian. – Czy pan chce, czy nie. Odpowie pan na nasze pytania i szczegółowo objaśni wszystko, co nas interesuje.
- Doktor zaczął szarpać kajdanki. Dwain złapał go od tyłu i unieruchomił.
- Nie... jestem... alergikiem! Nie... znoszę zastrzyków!
- Za późno na protesty – rzucił zimno Dwain Hamilton.
- Nie... powiem! Powiem o wszystkim! Powiem, tylko... bez zastrzyków...
- Doktor histeryzował. Suzannah uniosła strzykawkę i popatrzyła pytająco na szeryfa.
- Jeśli spróbuje nas pan oszukać, osobiście wpakuję panu koktajl w żyłę! – ostrzegł Dwain Hamilton.
- Będę mówił! Powiem o wszystkim, tylko... żadnych zastrzyków!
- Zobaczmy. – Szeryf puścił doktora i postawił na stole mały dyktafon. – Jak się pan nazywa?
- Doktor Allistar popatrzył na niego ze zdziwieniem.
- Proszę do celów nagrania podać nazwisko i datę urodzenia.
- Lekarz z wahaniem podał nazwisko i datę urodzenia.
- Mówi pan z własnej woli? Zna pan swoje prawa?
- Allistar chciał wybuchnąć, ale ruch ręki Dwaina Hamiltona w kierunku czerwonej torby wystarczył, aby go uspokoić.
- Tak, znam moje prawa – wychrypiął.

– Chodzi o wypadek samochodowy z pierwszego czerwca w Socorro. Czy był pan kierowcą samochodu osobowego, który zjechał ze swojego pasa i staranował autobus szkolny?

– Tak.

– Proszę głośniej!

– Tak, to ja prowadziłem ten samochód.

– Był pan sam?

– Tak.

– Był pan pijany?

Allistar zawahał się z odpowiedzią.

– Czy był pan pijany?

– Tak.

– Co wypił pan tego dnia?

– Pół butelki bourbona. Nie miałem pojęcia, co robię. Po prostu wsiadłem w samochód i pojechałem. Nie miałem tego dnia służby. To był... to był błąd. Nie wiedziałem, co robię.

– Pracuje pan dla wojska? – wtrącił się Brian.

– Tak.

– Dla jakiej jednostki?

– Dla Ośrodka Badawczego Marynarki Wojennej.

– Gdzie pan stacjonuje?

– W obozie ósmym na górze Withington.

– Co pan tam robi?

Lekarz skrzywił usta.

– Jestem lekarzem. Już to mówiłem.

– Jest pan internistą, okulista, lekarzem medycyny sportowej? Jaka jest pańska specjalność? – spytała Suzannah.

– Jestem neurologiem.

– Co dzieje się w lesie narodowym Cibola? Do czego służy ten obóz wojskowy?

– Znaczą się... tam... to jest... ośrodek badawczy.

– Jakiego rodzaju? – spytał Dwain.

– Jest tajny. Nie wiem.

Szeryf klepnął płaską dłonią w stół i lekarz aż się skulił.

– Proszę nie opowiadać nam bajek. Wiemy, co tam się dzieje. – Dla wywarcia większej presji rzucił na biurko kilka zdjęć zrobionych przez Briana. Były na nich stacja przekaźnikowa, anteny, budynki mieszkalne, trzech mężczyzn – z

senatorem Lee – na tle helikoptera.

Allistar pobieżnie rzucił okiem na fotografie.

– Jakiego rodzaju badania tam prowadzicie? – spytał z naciskiem Dwain Hamilton.

Lekarz wbił wzrok w podłogę. Wziął głęboki wdech.

– Chodzi o nowe formy komunikacji i udoskonalenie techniki lokalizowania obiektów, ale nie znam szczegółów. Powiedziałem, że to tajny ośrodek. Nikomu nie wolno rozmawiać z pracownikami innych działów. Każdy dział pracuje samodzielnie. Komendant Leach i jego ludzie dokładnie tego pilnują. Ja pracuję w dziale medycznym i nie wiem nic o innych sekcjach.

– Co robi neurolog w wojskowym ośrodku badawczym? – spytała Suzannah.

– Byłem odpowiedzialny za opiekę nad osobami o zdolnościach mediumicznych.

Dwain Hamilton nadstawił uszu.

– Opiekę nad osobami o zdolnościach mediumicznych? Ma pan na myśli ludzi z drugim wzrokiem? Opiekował się pan także Allanem Mcnishem?

Oczy lekarza się rozszerzyły.

– Skąd pan zna Allana Mcnisha?

– Został znaleziony niedaleko Magdaleny przez starego Indianina. Był słaby i chory i Indianin się nim zajął. Nie mógł jednak nic dla niego zrobić i Mcnish zmarł w nocy. Aby nie stać się podejrzanym i zapewnić zmarłemu porządną pogrzeb, stary Jack Silverwolfe położył zwłoki na Coward Trail, wąskiej drodze biegnącej przy szosie międzystanowej. Znaleźliśmy zwłoki. Okazało się, że Mcnish zmarł z przedawkowania LSD i pentotalu sodu. Kilka dni później zginął Jack Silverwolfe. Spalił się w swojej chacie, ale przedtem skęccono mu kark.

– Nie ponoszę za to winy, musicie mi w to uwierzyć. Ostrzegałem profesora Stillwella. Allan potrzebował przerwy. Był wycieńczony, ale potrzebne były wyniki. Tylko Allan nadawał się do tego projektu.

– Jakiego projektu?

– Chodziło o... o coś w rodzaju przenoszenia myśli. Mcnish miał szczególne predyspozycje mediumiczne, ale testy stanowiły dla niego ogromne obciążenie. Allan myślał już tylko o ucieczce, był skrajnie wyczerpany, ale wbrew mojej radzie nie chcieli zostawić go w spokoju.

– Jak uciekł z obozu?

Lekarz milczał.

– Jak udało mu się uciec z naszpikowanego zabezpieczeniami obozu? – ponowił pytanie Dwain Hamilton.

Na czole Allistara pojawiły się drobne krople potu. Odpowiedź przychodziła mu z trudnością.

– Niech pan już mówi! Wszystko, co pan wie! – przycisnął Dwain.

– Tyler to diabeł. Nie interesuje go dobro ludzi, którzy dla niego pracują. Chce tylko wyników. Jest krwio pijcą, wysysa wszystkich do ostatniej kropli krwi.

– Pomógł pan Mcnishowi?

Lekarz skinął głową.

– Wziąłem go do bagażnika samochodu. Poza obozem towarzyszą mi agenci, ponieważ z powodu choroby mam pewne przywileje i nie muszę mieszkać w obrębie obozu. Nie wytrzymałbym tam. Agenci weszli ze mną do sklepu i Allan mógł uciec.

Suzannah i Brain wymienili pytające spojrzenia.

– Wspomniał pan nazwisko Stillwell – powiedziała Suzannah. – Chyba nie ma pan na myśli badacza mózgu Simona Stillwella z Newark?

Lekarz znowu kiwnął głową.

– A kim jest Tyler?

– Kierownik techniczny projektu.

– Proszę opowiedzieć o tym projekcie. Czy Tyler jest naukowcem?

Allistar popatrzył na Dwaina Hamiltona, jakby nie rozumiał pytania.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie! Na co pan czeka?

– Pracujemy nad projektem o nazwie Oracle. Chodzi w nim o sterowane falami radiowymi przenoszenie fal mózgowych na duże odległości. Coś w rodzaju przenoszenia myśli za pomocą środków elektronicznych. Gdyby coś takiego się udało, można by do dowolnego punktu świata transmitować wiadomości w stu procentach zabezpieczone przed podsłuchem. Profesor John Samuel Tyler jest jednym z największych specjalistów z zakresu nauki o komunikacji. On i profesor Stillwell są mózgiami tego projektu. Razem z komendantem Leachem, który kieruje obozem ósmym jako oficer marynarki wojennej, są kierownikami projektu o identycznych kompetencjach.

– Ile królików doświadczalnych o zdolnościach mediumicznych znajduje się w tym obozie i dlaczego się tam znalazły?

– Z początku było ich siedmioro, ale nie wszyscy się nadawali. Po pierwszych testach zostało czworo. Rosanna miała szczególne zdolności, więc używano jej zwłaszcza do pierwszej serii testów. Niestety, nie wytrzymała.

- Zniknęła jesienią zeszłego roku – powiedział Dwain Hamilton.
- Skąd pan wie?

Dwain wzruszył ramionami.

- Co skłania tych ludzi do przebywania w ośrodku? Są więźniami?

Lekarz energicznie pokręcił głową.

- Podpisali umowy – odparł z oburzeniem. – Są ochotnikami. Po wykonaniu umowy dostają trzy miliony dolarów i nową tożsamość. To poszukiwacze szczęścia, którzy dzięki swoim szczególnym uzdolnieniom chcą zdobyć majątek.

Dwain zmarszczył czoło.

- Jeśli są ochotnikami, to dlaczego Allan Mcnish po prostu nie odszedł?

Allistar znowu pokręcił głową.

- Podpisał zobowiązanie, nie mógł więc rzucić ręcznika w połowie projektu. Doskonale wiedział, czego się podejmuje. W życiu nie pozwoliliby mu odejść przed spełnieniem obowiązku. Był do celów projektu doskonałym medium.

- Osoby o uzdolnieniach mediumicznych, przenoszenie myśli... to dla mnie zbyt mądre – powiedział Dwain Hamilton. – Brzmi jak bajka.

Suzannah usiadła na ławce.

- Stillwell był znakomitym naukowcem i wykładał na Uniwersytecie Columbia. Specjalizował się w badaniach mózgu. Kilka lat temu nagle zniknął z widoku. Niektórzy twierdzili, że przestało mu się podobać życie, jakie prowadził, rzucił wszystko, co miał, i żyje na ulicy.

- Tak jak Tyler. Też zniknął z widoku, tyle że nigdy nie odwrócił się od społeczeństwa – rzekł Brian. – Od początku kariery uczestniczył w wojskowych badaniach naukowych. Podobno jako młody naukowiec był zafascynowany eksperymentami Townsenda Browna i Nikoli Tesli.

- Brown? Tesla? Co to za ludzie? – spytał Dwain Hamilton.

- Słyszałeś kiedyś o eksperymencie „Filadelfia” albo o urządzeniach badawczych przy Montauk Point? – spytał Brian.

Dwain skinął głową.

- Widziałem film o okręcie, który został teleportowany w przyszłość. Chyba nie twierdzisz, że te wydarzenia rozegrały się w rzeczywistości?

Brian się uśmiechnął.

- Ośrodek Badawczy Marynarki Wojennej istnieje do dziś, a „Elderidge” – okręt, o którym była mowa w filmie – też istniał w rzeczywistości. Nikt nie

wie, co się wtedy dokładnie wydarzyło, ale musiało to być coś strasznego. To samo dotyczy projektu Montauk z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego, przeprowadzonego u wybrzeży Atlantyku.

Dwain chwilę dumał.

– Niezależnie od tego, co powiedział doktor, w dalszym ciągu nie wiemy, co się dzieje za płotem u stóp góry Withington. Wygląda na to, że on też wszystkiego nie wie.

Brian skinął twierdząco głową.

– I dlatego musimy dostać się do środka. A pan doktor nam w tym pomoże... Prawda, panie doktorze?

W oczach lekarza pojawiło przerażenie.

– Chyba że chciałby spędzić resztę życia w więzieniu – ciągnął Brian. – A nie będzie to miłe więzienie wśród zieleni, tylko więzienie federalne, w którym jako osoba niezbyt młoda nie ma się zbyt wielkiej szansy na przeżycie. Więzienie, w którym siedzą najgorsze szumowiny Stanów Zjednoczonych.

– Można to tak ująć – zgodził się Dwain Hamilton.

Cleveland, Ohio

Zadzwoiła komórka. Porcky tak ustawił telefon, że gdy dzwonił ten rozmówca, rozlegał się specyficzny sygnał. Wybrał początek V symfonii Beethovena, zwanej także Symfonią Przeznaczenia, i za każdym razem, kiedy słyszał te dźwięki, dostawał gęsiej skórki.

– Tak? – zgłosił się krótko i anonimowo.

– Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku – powiedział Brian.

– Jezu, co się stało? Słyszałem o sprawie w Socorro. Zarzuca wam się zastrzelenie zastępcy szeryfa. Nie powinniście byli wracać.

– Nikogo nie zastrzeliliśmy. To spisek. Nie FBI nas szuka, ale ktoś całkiem inny.

– Już dawno chciałem ci o tym powiedzieć, ale nie ma z tobą kontaktu. Był u mnie rzekomy agent FBI, który nie istnieje. Nie ma kogoś takiego w całym cholernym kraju.

– Słuchaj, jestem naprawdę pod dużą presją. Potrzebujemy jeszcze raz twojej pomocy. Masz czyste konto e-mailowe?

Porcky szybko się zastanowił. Mógł użyć konta swojej przyjaciółki, z którą

miął luźny romans. Tak więc na pewno jej nie śledzono. Poza tym nie mieszkała w Cleveland, tylko w North Perry.

- Tak, mam.
- Przyślij mi adres SMS-em, niedługo się zgłoszę. Na razie.
- Brian... Brian zaczekaj...

7.

Kopalnia Virgile, hrabstwo Eddy, Nowy Meksyk

– Możecie mi wierzyć, tu jesteście bezpieczni – zapewnił Dwain Hamilton. – Od dziesięciu lat nikt tu nie przychodził. Kiedyś wydobywano tu miedź, ale od dwudziestu lat szyby są nieczynne.

– Skąd znasz to miejsce? – spytała Suzannah.

– Tutejszy teren należy do rancza Cave Pearls, a ono z kolei do mojego wuja. Zanim zostałem szeryfem w Socorro, pracowałem tu jako administrator.

– Mimo wszystko ten pomysł przyprawia mnie o ból żołądka – oznajmił Brian. – W końcu twój wuj jest senatorem i jako taki należy do administracji rządowej. W tej sprawie nie ufam nikomu, kto pobiera dochody z Waszyngtonu.

– Nie znacie starego Josepha Hamiltona – zaproponował Dwain Hamilton. – Jest prawym człowiekiem. Kocha ten kraj, a konstytucja Stanów Zjednoczonych jest dla niego święta. Pomoże nam. Ma kontakty, których potrzebujemy. Jeżeli uda nam się go przekonać, wesprze nas. Tylko z jego pomocą zdołamy wypłatać się cało z tej historii. Co możemy zrobić na własną rękę w obozie?

Brian popatrzył na Suzannah. Lekko skinęła głową.

– W porządku, ale chcę działać w tej sprawie dwutorowo – rzekł Brian. – Musimy zabezpieczyć sobie tyły, bo nie wiemy, jak ta gra się dla nas zakończy. Do tego potrzebujemy natychmiast laptopa i skanera. Gdyby twój wuj się wycofał, przynajmniej będziemy mogli iść z materiałami do prasy. Ci ludzie nie mogą uciszyć wszystkich amerykańskich środków masowego przekazu.

Dwain skinął na zgodę głową.

– Nie mam nic przeciwko temu. Wezmę limuzynę, camaro zostawię tutaj. Wrócę przed wieczorem, a wy pilnujcie doktora, żeby nie zmienił zdania.

Brian się uśmiechnął.

– Nie sądzę. Nagranie przesłuchania i rozpoczęcie go od wypadku było doskonałym posunięciem. Wie, co go czeka, jeżeli nie pójdzie nam na rękę.

– Przywiozę coś porządnego do jedzenia.

Komórka Briana wydała z siebie podwójny pisk. Przyszedł SMS od Porky'ego.

– Porky jest strasznie szybki... – mruknął pod nosem Brian.

Szpital Świętego Antoniego, Denver, Kolorado

– To coś niesamowitego! – zawołał Allan Clark i rzucił teczkę na łóżko, do którego ciągle jeszcze był przykuty Cliff Sebastian – z nogą na wyciągu.

– W jakiś sposób, prawdopodobnie w wyniku eksperymentu, warstwa F jonosfery została tak mocno rozgrzana, że utworzył się pęcherz z plazmy termicznej, który nieustannie wysyłał w kierunku powierzchni Ziemi promieniowanie odbite i w ten sposób wywołał katastrofę. Może do któregoś z huraganów doszłoby także bez tej manipulacji, ale na pewno nie zmutowałyby do postaci tak nieobliczalnych gigantów. Prawdopodobnie żaden z tych tworców atmosferycznych nawet nie stałby się huraganem. Przynajmniej nie o tej porze roku.

Cliff Sebastian wziął teczkę do ręki i zaczął w niej przerzucać kartki.

– Rozgrzanie spowodowało swego rodzaju efekt lustrzany – dodał Allan Clark. – To jednak jeszcze nie wszystko. Obok mikrofal stwierdzono też występowanie silnego promieniowania o bardzo dużej długości fali. Wygląda na to, że pochodzi z tego samego źródła, ale z powodu innej częstotliwości ma inny kąt odbicia.

– Mikrofałe i fale ELF z tego samego źródła?

– Właśnie. Nasz geofizyk jest przekonany, że mikrofałe zostały użyte jako nośnik fal ELF. Wayne przeanalizował częstotliwości tuż przed pojawianiem się Cezara. Oszczędzę ci szczegółów, w każdym razie, krótko mówiąc, odbicia mikrofal trafiły w powierzchnię globu w zachodniej części Karaibów, a fale ELF w ocean, w pobliżu Morza Sargassowego.

Cliff Sebastian przerzucał kartki.

– Twój specjalista na pewno się nie myli?

– Grain jest światowej sławy specjalistą w dziedzinie badania promieniowania. Prowadził kilka projektów badawczych, między innymi badał wpływ

długotrwałego oddziaływania słabych fal gamma na organizmy żywe. Poza tym Wayne był już blisko. Jego analiza była znakomita. Nie umiał co prawda dokładnie wyjaśnić przyczyn obecności fal ELF, ale udowodnił, że promieniowanie pochodziło z powierzchni Ziemi, a nie z kosmosu. Potrzebne jest do tego oczywiście źródło energii o wielkiej mocy.

Cliff Sebastian przeciągnął dłonią po twarzy.

– Dlaczego ktoś rozgrzewa powierzchnię wody i ryzykuje w ten sposób utworzenie się gigantycznego huraganu?

Allan Clark wyjął mu notatki z ręki i spojrzął na jedną z tabel.

– Tutaj są obliczenia dotyczące źródła pochodzenia promieniowania. Jako możliwą lokalizację źródła promieniowania Grain określił południową część naszego kontynentu.

Cliff Sebastian spróbował się wyprostować, lecz tylko jęknął. Bolały go zębra. Allan podparł go i poprawił mu poduszkę.

– Rozumiałbym, gdyby źródłem tego szaleństwa okazał się Bliski Wschód – powiedział Cliff Sebastian. – Ale nie Ameryka. Przecież nie zabijamy się nawzajem. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Grain ma na ten temat teorię. Wyjaśnił mi, że fale maksymalnej długości o tym spektrum, z jakim mamy tutaj do czynienia, doskonale się nadają do wykorzystania w urządzeniach do namierzania. Wnikają głęboko w ziemię oraz w wodę, można więc na duże odległości lokalizować bunkry, okręty, a nawet okręty podwodne. Gdyby udało się stworzyć praktycznie działającą technologię z wykorzystaniem fal ELF, byłaby to radiolokacja dwudziestego pierwszego wieku, która natychmiast zastąpiłaby tradycyjne radary pracujące na falach centymetrowych i milimetrych. Zastanów się, jakie możliwości otworzyłyby się przed naszą armią, gdyby można było w łatwy sposób wykrywać jaskinie albo bunkry Al-Kaidy w Hindukuszu.

Cliff Sebastian uniósł brwi.

– Byłoby to możliwe przy użyciu fal długich?

– Przy użyciu fal ELF, fal maksymalnie długich, o częstotliwości od trzech do trzydziestu herców.

Cliff Sebastian z rezygnacją opadł na poduszkę.

– Wojskowe badania naukowe... To by wyjaśniało mój wypadek i podsłuch w telefonie. Zadzwoni do tego dziennikarza. Natychmiast. To musi dotrzeć do opinii publicznej. Nasza armia z niebывałą arogancją niszczy własny kraj i odpowiada za śmierć tysięcy Amerykanów!

- Nie wyobrażam sobie, żeby doszło do tego rozmyślnie!
- Widziałem w Nowym Orleanie trupy. Nieważne, czy stało się to rozmyślnie, czy się z tym jedynie po cichu pogodzono. Dzwoni do dziennikarza – niech dostarczy ten materiał bezpośrednio do CBS. To draństwo nie może zostać zmiecione pod dywan.
- Ale to, co mamy, nie wystarczy. Prasa na pewno zechce dowodów. Porozmawiam z przyjacielem z MIS. Już zapowiedziałem mu swoją wizytę.

Hrabstwo Socorro, Nowy Meksyk

Na wszystkich przelotowych drogach ustawiono punkty kontrolne. Radiowozy patrolowały ulice, nad szosą międzystanową oraz nad odludnymi regionami, które nadawały się na kryjówkę, w regularnych odstępach przelatywał policyjny helikopter.

Kapitan Howard z policji stanowej stał oparty o radiowóz i dowodził poszukiwaniami jednego z oddziałów, prowadzonymi w lesie na zachód od Magdaleny. W poszukiwaniach udział brały psy i specjaliści z kamerami termowizyjnymi. Howard wyrzaskiwał rozkazy do radiotelefonu, równocześnie cały czas śledząc mapę. Był w swoim żywiole. Nie zawsze miał okazję dowodzić setką ludzi. Zaczęło wiać i na niebie zbierały się ciemne chmury.

Kiedy za jego plecami pojawił się czarny jeep cherokee i zahamował za radiowozem Howarda, kapitan się odwrócił. Z jeepa wyskoczył mężczyzna w czarnym garniturze, który natychmiast ruszył w jego kierunku.

- Pan prowadzi akcję? – warknął ubrany na czarno szczupły przybysz.
- Kto chce to wiedzieć?

Przybysz pomachał przed nosem Howarda legitymacją.

– Agent Coburn, NSA. Dowodzę całą akcją i od dziesięciu minut próbuję się z panem skontaktować. Dlaczego przy pańskim radiu nikt nie siedzi? Wkurza mnie pańska niekompetencja!

Awans, który był po tej akcji niemal na wyciągnięcie ręki, odpływał w siną dal.

- Bo ja... myśmy... – zaczął dukać.
- Niech pan zbiera swoich ludzi – zażądał Coburn. – Przenosimy się.
- Ale sądziłem, że...
- Niech pan pozostawi myślenie koniom, mają większe głowy – przerwał mu Coburn. – Dostaliśmy zgłoszenie. Widziano żółty samochód. Na południe

od gór Datil. Wjechał w pełną drogę. Z opisu wynika, że to samochód zamordowanego zastępcy szeryfa. Niech pan zbiera ludzi i żeby, do jasnej cholery, stale ktoś siedział przy radiu!

Howard bez słowa skinął głową. Twarz mu stężała.

– Tex, do radia! – polecił ostro.

Funkcjonariusz, do którego była skierowana uwaga, wzdrygnął się i obszedł samochód, aby wcisnąć się za kierownicę.

– Za kwadrans macie być gotowi! – rozkazał Coburn i wskazał na mapę. – Przejmujecie południowo-zachodnią część lasu przy górach Datil. Chciałbym, żebyście zajrzeli tam pod każdy kamień! Jasne?

Howard niepewnie popatrzył w niebo.

– Ale zaraz będzie padać.

– Mam to w dupie! Weźcie parasole! Zbierajcie wreszcie swoje rzeczy i przenoście się w nowe miejsce, bo inaczej każę pana zmienić!

Coburn odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem. Kiedy cherokee zniknął mu z pola widzenia, Howard splunął.

– Ci aroganccy idioci! Nie mają o niczym zielonego pojęcia!

Wietrzą tylko garnitury i zachowują się jak ostatnie palanty. Ci terroryści dawno stąd zwiali...

Tex pochylił się przez kierownicę w jego kierunku.

– Czy mam...?

– Zamknij się, Tex. I nie spuszczaaj radia z oczu, bo zaczniesz od poniedziałku myć radiowozy. Wyrażam się jasno?

Tex skrzywił się i szybko wyprostował. Był zachwycony – agent z NSA powiedział jego szefowi to, co Tex sam chętnie by mu powiedział.

Ranczo Cave Pearls, Carlsbad, Nowy Meksyk

– Dwain, na boga, chłopcze! Co się stało? – zawołał senator Joseph Hamilton. – Puścili cię, dzięki Bogu!

Dwain wyszedł z cienia drzewa.

Senator podszedł szybkim krokiem i go objął.

– Tak się o ciebie martwiłem... bałem się już, że nie żyjesz...

– Żyję, wujku, żyję – odparł zdawkowo Dwain i wyrwał się z objęć wuja.

– Opowiem ci historię, która brzmi całkowicie nieprawdopodobnie, ale jest w stu procentach prawdziwa.

Senator mocno zdziwiony popatrzył na swego wyrośniętego siostrzeńca.

Dwain ujął wuja pod rękę i pociągnął go w kierunku stojącej pod drzewem grupy foteli i krzesel.

– Lepiej będzie, jak usiądziesz – powiedział i przysunął wujowi krzesło.

Senator powoli usiadł.

– O co chodzi, chłopcze?

– Znasz senatora Lee z Waszyngtonu? – zaczął Dwain Hamilton.

– Oczywiście, że znam tego starego dziwaka. Opowiadaj, co się stało!

Dwain opowiedział o zatrzymaniu dwójki turystów w lesie Cibola, o strasznym podejrzeniu, które sprawiło, że udali się w pobliże góry Withington, o pojawieniu się agenta NSA i o nocnym ataku na biuro szeryfa hrabstwa Socorro. O ciemnych, zamaskowanych postaciach uzbrojonych w broń maszynową, które nie pytając o nic, zaczęły strzelać do wszystkiego, co się rusza, i z zimną krwią zabiły Dave'a Lazarda. Na koniec pokazał senatorowi zdjęcia. Dla potwierdzenia własnych słów puścił nagranie z przesłuchania doktora Allistara.

– Ten Brian Saint-Claire jest stuprocentowo przekonany, że ludzie z obozu są odpowiedzialni za powstanie huraganu, który zniszczył Nowy Orlean. Uważa, że anteny, które widzisz na tym zdjęciu, służą do manipulacji pogodą.

Joseph Hamilton słuchał w napięciu. Jego oczy coraz bardziej się rozszerzały.

– Ale jaki sens ma niszczenie własnego kraju przez huragany?

Dwain wzruszył ramionami. Na to pytanie nie miał odpowiedzi.

– Wierzysz temu Kanadyjczykowi?

– Wierzę w każde jego słowo.

Senator odchrząknął.

– Wiesz, co o tym sędzę. Wiele razy ostrzegałem cię przed biciem głową w mur. Jaką, twoim zdaniem, dostaniesz odpowiedź, jeżeli opowiesz tę historię komuś innemu niż mnie? Marynarka wojenna sztucznie huragany i niszczy w ten sposób południe własnego kraju. Zastanów się, co ludzie pomyślą o kimś, kto serwuje im tego typu historie?

– Nie mam pojęcia – odparł z wahaniem Dwain. – Może był to wypadek? Może jakiś eksperyment się nie udał?

– Mały, doceniam twój bystry umysł. Jesteś prawdziwym Hamiltonem i traktuję cię jak własnego syna, ale nie mogę dopuścić, żeby opinia publiczna się z ciebie śmiała i zaczęła traktować Hamiltonów jak fantastów i oszołomów. Musimy chronić nasze dobre imię, dlatego zanim cokolwiek dotrze do opinii

publicznej, musimy mieć stuprocentową pewność. Te anteny w lesie mogą być częścią zwykłych instalacji nasłuchowych, a bez dowodów zeznanie lekarza jest niewiele warte. Nie muszę ci chyba tego wyjaśniać – w końcu z nas dwóch to ty jesteś szeryfem.

Dwain wbijał wzrok w podłogę. Słowa senatora kazały mu się zastanowić. W zasadzie wuj Joe miał rację. Bez wystarczających dowodów – a zdjęcia i zeznanie uzależnionego od alkoholu lekarza wojskowego zdecydowanie nimi nie były – nikt im nie uwierzy. Marynarka wojenna zbagatelizuje całą sprawę jako majaki stukniętego łowcy duchów i szalonego szeryfa, który znany był ze skłonności do nadużywania whisky i z którym nawet żona nie wytrzymała.

– Dostaniemy się do obozu i dostarczymy dowodów – powiedział zdecydowanie Dwain Hamilton.

– Od czegoś takiego będziesz się trzymał z daleka, mój chłopcze! Pomogę wam, tylko muszę się zastanowić jak. W każdym razie nie będziesz robił niczego, dopóki nie dostaniesz ode mnie zielonego światła. Obiecasz mi?

– Ale...

– Żadnych protestów, na pewno coś wymyślę. Przecież wiesz, że mam kontakty, muszę tylko działać w tej sprawie bardzo delikatnie. Zostaw mi zdjęcia i zeznanie doktora.

– Potrzebuję jeszcze kilku innych rzeczy, przede wszystkim jedzenia. Zaczynamy już powoli mieć dość puszek.

– Jeśli to wszystko... Betty przygotuje ci, co tylko zechcesz.

– Dziękuję, wuju.

– Gdzie właściwie się chowacie?

– W starej kopalni Virgile.

– Czekać tam na mnie i nie róbcie nic bez mojej zgody!

Wkrótce potem Dwain Hamilton jechał srebrnym buickiem polną drogą prowadzącą do lasu narodowego Lincoln. Miał dobre przecucie. Tym razem senator pociągnie za wszystkie sznurki.

Cleveland, Ohio

Porcky siedział spięty przy komputerze swojej przyjaciółki i niecierpliwie bębnił palcami w blat biurka. Pół godziny temu zadzwonił Brian i zapowiedział przekaz ważnych zdjęć i plików dźwiękowych. Helen już włożyła kurtkę, żeby rzucić się w wir nocnego życia, wyjaśnił jej jednak, że z nią nie pójdzie.

Komputer cicho szumiał. Porky otworzył folder poczty przychodzącej, ale poza kilkoma e-mailami z reklamami niczego nie było. Popatrzył w kierunku okna. Nad jeziorem Erie zapadał zmrok. Ciekawe, gdzie byli teraz Suzannah i Brian?

Znał Briana od ponad dziesięciu lat i jeżeli istniał na tym świecie ktoś, kto zasługiwał na miano przyjaciela, to był nim właśnie Brian Saint-Claire. Porky nie obchodził się z pojęciem „przyjaciel” zbyt rozrzutnie, dlatego od początku było jasne, że niezależnie od tego, ile ryzykuje, musi Brianowi pomóc. Najlepsze w tym wszystkim było to, że nie tylko pomoże kumpłowi, ale dostanie też do ręki materiał na demaskatorski artykuł najwyższej klasy, który otworzy mu drzwi do dużej gazety codziennej. Sygnał dźwiękowy wyrwał Porky'ego z zadumy. Do skrzynki spłynął e-mail. Niemał jeden megabajt. Ściągnięcie trwało i trwało, niebieska beleczka powolutku przesuwiała się w prawo. Porky ledwie mógł powstrzymać niecierpliwość. W końcu beleczka doszła do prawej krawędzi pola i Porky mógł kliknąć na kopertę na pasku.

Cześć Porky!

Dowiedzieliśmy się tego, czego chcieliśmy się dowiedzieć, ale ścigają nas. Sfotografowaliśmy obóz wojskowy. Na niektórych zdjęciach widać anteny. Dziwne maszty – przynajmniej sto. Spróbuj się dowiedzieć, do czego mogą służyć. Najlepiej skontaktuj się z tym meteorologiem, Cliffem Sebastianem. W załączeniu przesyłam nagranie magnetofonowe. Pochodzi z przesłuchania. Zachowaj materiał bardzo starannie. Polegamy na tobie. I nie daj się złapać. Ci ludzie działają z zimną krwią i na własne oczy widzieliśmy, że nie cofają się przed zabójstwem.

Uważaj na siebie.

Pozdrawiam, Brian

Porky otworzył załączniki i szybko przejrzał zdjęcia. Jedno z ujęć pokazywało las anten, o którym wspominał Brian. Porky powiększył zdjęcie. Brian miał rację – na pewno nie były to anteny radiowe. Po przesłuchaniu nagrania na jego twarzy pojawił się uśmiech. Zeznanie wstrząśnie krajem.

Włożył czystą płytę CD do nagrywarki i zrobił kopię. Powtórzył całość trzy

razy. Jedną płytę schował w regale między książkami, których Helen nigdy nie przeczytała i nigdy nie przeczyta. Uznał, że to doskonała kryjówka, po czym skasował e-mail.

Hotel Plaza, Nowy Jork

Bal dobroczynny trwał w najlepsze. Salę balową rozświetlało łagodnie światło kryształowych kandelabrow, panie we wspaniałych kreacjach tańczyły z panami w czarnych smokingach walca granego przez orkiestrę filharmoniczną. W sali balowej i przy uroczystie nakrytych stołach w zachodnim skrzydle zebrało się eleganckie towarzystwo – cała nowojorska „magnateria finansowa”: bankierzy, lekarze, menedżerowie, politycy, aktorzy, producenci filmowi i wysokiej rangi przedstawiciele prasy. Bal zorganizowało Stowarzyszenie Worth. Organizacja ta stawiała sobie za cel rozwój życia kulturalnego i wolnościowego w Stanach Zjednoczonych i oprócz wielu projektów artystycznych wspierała rozwój systemu szkolnictwa w biedniejszych regionach kraju. Prezesem stowarzyszenia był senator Luther Thornton. W tej chwili nie było go na sali. Wymknął się na chwilę, aby w apartamencie na trzecim piętrze spotkać się z senatorami Alisonem Staltonem, Billem Stansfieldem oraz Thomasem C. Lee, który przewodniczył niewielkiemu zgromadzeniu. Przy stole stało jedno puste krzesło.

– Pojawiły się poważne komplikacje – powiedział Lee, kiedy Thornton zajął miejsce.

– Komplikacje? – odezwał się z powagą Thornton.

– Chyba pan nie twierdzi, że grupka naukowców o wątpliwej reputacji może stanowić dla nas zagrożenie? – zapytał senator Stansfield.

Lee zmarszczył czoło.

– Gorzej. Najwyraźniej udało im się wejść na teren zamknięty.

– Zdawało mi się, że Lincoln miał rozwiązać problem – odparł Stalton.

– Czy on nie powinien uczestniczyć w radzie? – spytał Stansfield.

Senator Lee pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, jak im się to udało, ale w jakiś sposób zebrali wystarczającą ilość solidnych poszlak. Może dojść do śledztwa, dlatego należy jak najszybciej opróżnić obóz i zatrzeć ślady. Leach już podjął pierwsze kroki.

– Nie powinniśmy jak najszybciej...

– Jeszcze mamy czas. Wszystko jest pod kontrolą. Lincoln w tej chwili przygotowuje akcję. Dałem mu zielone światło. Nie możemy dłużej czekać.

Stansfield patrzył na Lee rozszerzonymi oczami. Cisnęło mu się na usta pytanie, ale Thornton go uprzedził.

– Co teraz zrobimy?

– Teraz wrócimy na bal – odparł Lee. – A w najbliższym czasie nie powinniśmy się spotykać w takim składzie.

Cleveland, Ohio

Porky jeszcze raz oglądał zdjęcia, które dostał od Briana, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Tak?

– Muszę się koniecznie z panem spotkać. Chodzi o te sensacyjne dokumenty, które przekazał pan jednemu z moich przyjaciół. Czy ta linia jest bezpieczna? Dostałem pana numer od tego właśnie przyjaciela.

– Tak sądzę, ale może najpierw mi pan powie, z kim mam przyjemność...

– Nazywam się Allan Clark i jestem kierownikiem Krajowego Centrum Huraganów w Miami. Jeśli mi pan nie ufa, może pan zebrać informacje na mój temat. Kiedy moglibyśmy się spotkać?

Porky uniósł brew.

– Nie uważam, żeby to był dobry pomysł. Od chwili gdy przejąłem materiał, jestem śledzony. Na dodatek straciłem pracę. Nie mam ochoty skończyć w ciemnym, śmierdzącym zaułku.

– Rozumiem pana, ale wszyscy podejmujemy duże ryzyko. Materiał, który przekazał pan mojemu przyjacielowi, jest sensacyjny. Jest pan przecież dziennikarzem i ma pan szansę zostać autorem czegoś o sile rażenia bomby. Te dokumenty wskazują jednoznacznie, że za powstanie huraganów, które w Tallahassee i Nowym Orleanie pochłonęły tysiące ofiar, odpowiedzialne są manipulacje jonosferą. Niech pan zgadnie, gdzie znajduje się instalacja, z której dokonano manipulacji? Nie w którymś z tak zwanych bandyckich krajów, ale gdzieś na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Jeszcze nie wiemy gdzie dokładnie.

Porky czuł, jak po plecach przebiegają mu fale zimna i gorąca. Powiększył zdjęcie dziwacznych anten.

– Jeśli się nie mylę, właśnie patrzę na instalację do manipulacji jonosferą, której szukacie. Na zdjęciu, które dostałem od informatora, widzę las dziwnych anten z długimi mackami na szczycie. Coś to panu mówi?

– Ma pan zdjęcia?!

– Zdjęcia i coś na kształt zeznania pracownika ośrodka.

– Mamy szansę powstrzymać to szaleństwo, ale musimy się spotkać i rzucić okiem na materiały – odparł Allan Clark. – Daję panu słowo, że ani panu, ani pańskiemu informatorowi nic się nie stanie.

Porcky myślał gorączkowo. Powinien zaryzykować i zgodzić się na spotkanie? Co miał do stracenia? Z pracy go wyrzucono, a jeżeli dzięki materiałowi Wayne'a Changa i nowym informacjom, których dostarczył mu Brian, może napisać wielki artykuł, potrzebował pomocy specjalisty. Sam nic nie rozumiał z analizy Changa.

– Co mi tam... – mruknął pod nosem, po czym przysunął słuchawkę do ust. – No dobrze, spotkajmy się. Kiedy może pan być w okolicy?

– Wsiądę w pierwszy samolot. Dziś wieczorem?

– Umówmy się w North Perry, w Cleveland jest zbyt niebezpiecznie. O ósmej na dworcu autobusowym? Na przystanku linii numer jeden?

– Jak pana poznam?

Porcky rozejrzał się i jego wzrok padł na gazetę.

– Będę miał na sobie czarną kurtkę z czerwonym paskiem i pod prawą pachą będę trzymał „Perry Express”. Proszę jednak zakładać, że nie będę sam. Ktoś mi może deptać po piętach.

– W porządku.

Po skończeniu rozmowy Porcky wziął głęboki wdech. Wstał, wyjął z szuflady kopertę, zaadresował ją do redakcji „Washington Post” i wsunął do środka jedną z płyt CD. Na kartce zapisał swoje nazwisko, zrobił krótką notatkę, dopisał numer skrytki pocztowej w Port Colborne, włożył ją do koperty i zakleił.

Pentagon, podwyział 5E, Arlington, Wirginia

– Ci psychologowie dotarli zadziwiająco blisko prawdy – powiedział Lincoln. – Zawiedliście na całej linii.

Coburn z poczuciem winy opuścił wzrok.

– Muszę przyznać, że nie doceniłem tej parki.

– Parapsycholog i badaczka snów wodzili pana za nos. Dał się pan wymanewrować jak zółtodziób, ale teraz koniec z tym. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze błędy.

Coburn podrapał się po głowie.

– Maszerują niby przypadkiem przez Cibolę i natykają się na obóz. Czy to nie trochę dziwne?

– Co ma pan na myśli?

Coburn się wyprostował.

– Skąd mieli informacje, w jakim regionie szukać? To nie może być przypadek.

Lincoln opadł na oparcie fotela i zapalił cygaro. Z zadumą wydmuchał dym.

– Senator Lee uważa podobnie – powiedział w końcu. – Mamy przeciek i musimy go natychmiast zatkać. Od tej chwili nie możemy się na nic oglądać.

Coburn wyrzwał przez okno. Liście wysokich drzew w Ogrodzie Konstytucji tańczyły na wietrze.

– Ten szeryf, siostrzeniec senatora Hamiltona, sprawił nam poważne kłopoty. Gdyby się nie wtrącił, Saint-Claire i Shane już dawno byłiby w naszych rękach. Wszystko stałoby się takie proste...

– Niech pan nie zwala winy za swoje nieudacznictwo na szeryfa! Stracił pan po prostu kontrolę. Sprawa wymknęła się panu z rąk. Chętnie skierowałbym pana z powrotem do działu szyfrów, ale koniec z tym. Panuje pan nad tym redaktorzyną?

Coburn się skrzywił.

– Jego telefon, e-mail i komórka są pod nadzorem. Jak na razie, nie nawiązał z tamtą dwójką kontaktu.

Lincoln zbył tę odpowiedź machnięciem ręki.

– Nie o to pytałem. Gdzie on w tej chwili jest?

– W North Perry u młodej kobiety. Obserwują go dwa zespoły. Wyjdzie – zaraz pojedą za nim. Tym razem jesteśmy lepiej przygotowani niż w Sandusky. Jak na razie nie wychylił nosa z dziury.

– Dobrze, teraz musimy raz na zawsze zakończyć koszmar. Wiemy, gdzie schował się szeryf z dwójką towarzyszy, a senator Lee uważa, że czas ich wyeliminować. Niech pan weźmie trzy kompletne grupy i poleci do Carlsbadu. Jeszcze dziś w nocy.

Lincoln rzucił na biurko zamkniętą kopertę.

- W środku jest wszystko, co musi pan wiedzieć. Proszę przeczytać uważnie i zniszczyć.
- A co z senatorem Hamiltonem?
Chief Lincoln strząsnął popiół do popielniczki.
- Stoi u szczytu listy. Zrozumiał pan?
Coburn skinął głową.
- Nie narobi to zbyt wiele zamieszania? W końcu to wpływowy człowiek.
- Niech pan zostawi to mnie. Szybko się wycofamy. Od wtorku obóz ósmy nie będzie istniał i jeśli tym razem pan nic nie spaprze i przeprowadzi zadanie profesjonalnie, wkrótce sprawa ucichnie.
- A jeżeli redaktor już zawiadomił media?
- W jakim stopniu zaufałyby pan człowiekowi, który chce ludziom udowodnić, że po świecie krążą duchy i demony?
Coburn się uśmiechnął.
- Nasze obiekty muszą zniknąć całkowicie. Niech pan zrobi piękny wielki ogień i zatrze wszystkie ślady po nich. – Lincoln zduślił cygaro w popielniczce.
- I tym razem żadnych błędów, jasne?

North Perry, Ohio

Małe, zaspane miasteczko leżało przy międzystanowej numer 20, między Cleveland a Geneva, na południowo-wschodnim brzegu jeziora Erie. Główna ulica ciągnęła się przez całą miejscowość jak sznur pereł i dzieliła ją na dwie niemal równe części. Dworzec autobusowy znajdował się na północy, niedaleko Seedrive Inn. Porky zgodnie z umową miał na sobie czarną wiatrówkę i pod pachą trzymał gazetę.

Próbował zachowywać się w taki sposób, aby nie zwracać na siebie uwagi, ale nie potrafił ukryć zdenerwowania. Kiedy wychodził z domu, w którym mieszkała Helen, i kierował się z Fleet Street w stronę dworca, nie mógł się pozbyć wrażenia, że obserwują go niezliczone pary oczu.

Na dworcu podejrzliwie lustrował czekających. Na peronie obok stało dwóch ubranych na ciemno mężczyzn i kobieta. Zdawało mu się, że szepczą między sobą. Nieszkodliwi pasażerowie czy agenci?

Porky zaklął. Powinien znaleźć w Internecie zdjęcie Allana Clarka, ewentualnie poprosić o dokładny opis. Po przeciwnej stronie ulicy parkowały trzy samochody. Niebieski ford, czerwony samochód terenowy i ciemny samochód

dostawczy z jakiejś firmy elektrycznej. Czy w którymś z nich siedział Allan Clark albo osoba kontaktowa?

– Witam, panie Pokarev – zaszeptał za plecami Porky'ego miły głos.

Porky gwałtownie się odwrócił. Uśmiechała się do niego długonoga blondyna w kremowym kostiumie. Podeszła bliżej i objęła go.

– Przysłała mnie Allan Clark – szepnęła mu w ucho po tym, jak pocałowała go lekko w policzek.

– Prawdopodobnie jestem śledzony, ale nie wiem, w którym samochodzie...

– Niech pan się tym nie martwi.

Główną ulicą nadjeżdżała ciemna furgonetka GMC. Nagle skrzyła na parking autobusowy. Zatrzymała się obok Porky'ego z piskiem opon. Odsunęły się boczne drzwi.

Blondynka puściła Porky'ego.

– Niech pan wsiada, panie Pokarev – powiedziała.

– Dzień dobry, panie Pokarev! – powiedział mężczyzna, siedzący w tyle furgonetki. – Jestem Allan Clark, szybko!

– Skąd mam wiedzieć, że nie należy pan do bandy Coburna?

– Już mówiłem – całe życie to ryzyko.

Porky skinął głową i wsiadł. Blondynka wsiadła za nim i zamknęła drzwi. Auto wystrzeliło jak rakieta i pomknęło w kierunku Genewy. Porky'ego wcisnęło w fotel. Kątem oka widział, jak stojący po przeciwnej stronie ulicy ford rusza spod krawężnika i zawraca.

– Jadą za nami.

– Już niedługo. – Allan Clark postukał w szybę kabiny kierowcy i GMC jeszcze przyspieszył. Porky patrzył przez tylną szybę. Obok goniącego ich forda nagle pojawił się żółty samochód sportowy i po chwili ford wpadł w poślizg i uderzył w zaparkowany samochód.

– No to mamy sprawę załatwioną – powiedział zadowolony Allan Clark.

8.

Kopalnia Virgile, hrabstwo Eddy, Nowy Meksyk

Niedziela pożegnała się wspaniałym zachodem słońca. Brian podgrzewał puszkę fasoli z wołowiną, Dwain po raz pierwszy od dłuższego czasu palił cygaretkę. Kiedy wychodził od wuja, ten wsunął mu paczkę do kieszeni.

– Zdawało mi się, że masz dość fasoli – powiedział Dwain Hamilton. – Od steków, które dała mi gospodyni wuja, nie ma lepszych w promieniu wielu kilometrów.

– Mam na zewnątrz rozpalić grilla? – odparł Brian.

Dwain wzruszył ramionami.

– Przepraszam, nie pomyślałem o tym.

– To i tak ostatnia puszka. Chce pan trochę, doktorze?

Allistar pokręcił głową i odszedł w cichy kąt.

Suzannah siedziała na werandzie i obserwowała niebo. Z zachodu nadpływały pojedyncze chmury. Rozmyślała o matce i ostatniej wizycie u niej. Miała wrażenie, że było to wiele lat temu.

Pomyślała o grobie ojca, który już zawsze będzie leżał tam sam. Niemożność zakończenia rozdziału zawsze jest trudna do zniesienia, zwłaszcza jeżeli chodzi o ostatni rozdział w życiu człowieka – pożegnanie i złożenie do grobu. Nigdy nie będzie się mogła naprawdę pożegnać z matką. Ta myśl bardzo bolała.

Wszedł Brian i usiadł obok niej na ławce. Podsunął jej jedzenie, ale pokręciła odmownie głową.

– Nienawidzę fasoli.

– Niestety, nie ma tu w karcie dań nic innego.

– Rozmawiałeś z Dwainem?

– Jest zaślepiony, uważa, że jego wuj wszystko wyprostuje. Chce, abyśmy

czekali, aż senator da mu zielone światło.

– Nie ufasz senatorowi?

Brian przełknął łyżkę fasoli.

– Nikomu nie ufam. Zaszedliśmy daleko i niewiele nas dzieli od celu. Doktor by nam pomógł. Jeżeli nie pojawi się jutro w obozie, zaczną coś podejrzewać i stracimy jedyną szansę.

– A gdybym poszła z tobą do obozu?

– Świetnie sobie radziłaś w górach i nieraz myślałem, że masz więcej odwagi ode mnie, ale tym razem będzie inaczej. Nie pozwolą nam tak sobie wejść i wyjść. Jeśli dojdzie do ostrej wymiany ciosów, będę potrzebował osłony ze strony Dwaina. Wie, jak się posługiwać zarówno bronią, jak i pięściami.

Suzannah popatrzyła Brianowi w oczy i uśmiechnęła się.

– To wyjaśnienie akceptuję. Każdy inny argument kosztowałby cię głowę.

– Pamiętasz wieczór w centrum lotów kosmicznych? Kiedy wściekałaś się na Brandona i o mało wszystkiego nie rzuciłaś?

Suzannah oczekująco skinęła głową.

– Wtedy też cię pohamowałem. Kiedy to wszystko się skończy, chciałbym z tobą zostać. Na zawsze, rozumiesz?

Suzannah popatrzyła Brianowi w oczy.

– To miały być oświadczenia?

– Chcę spędzić z tobą resztę życia, a jeśli ci na tym zależy, to jako mąż.

– Nie wyobrażaj sobie, że uda ci się z tego wykręcić bez umowy. Chcę wziąć ślub w kościele. W pięknej białej sukni i z całą oprawą. Oczywiście, jeżeli wyjdziemy bez szwanku z całej tej historii.

– Wszystko będzie dobrze, przekonasz się. – Brian wziął Suzannah w ramiona i pocałował.

W kieszeni Briana zadzwonił telefon. Zaklął i wyciągnął go z kieszeni.

– Cześć Brian, tu Porky. Chciałby z tobą porozmawiać pewien przyjaciel.

Brian był zaskoczony, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, w słuchawce odezwał się basowy głos.

– Witam, panie Saint-Claire, nazywam się Allan Clark i jestem kierownikiem Krajowego Centrum Huraganów w Miami. Cliff Sebastian poprosił mnie, żebym zajął się sprawą. Muszę się koniecznie z panem spotkać. Oglądałem pański materiał i jestem do gębi wstrząśnięty. Niestety, to za mało, żeby postawić konkretne zarzuty. Możemy o tym porozmawiać?

– Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje?

– Coś się stało? – spytała Briana Suzannah.

– Wyjaśnienie tego za długo by potrwało. Pański przyjaciel, pan Pokarev, siedzi obok mnie i niech to na razie wystarczy na potwierdzenie mojej tożsamości. Zabierzmy się do pracy, dopóki nie będzie za późno. Jeżeli nie zareagujemy natychmiast, nie znajdziemy wiele u stóp góry Withington, a nasze zapotrzebowanie na gigantyczne huragany wywoływane przez jakichś szaleńców jak na razie zostało zaspokojone. Jeżeli nie uda się nam poznać całej prawdy związanej z tą sprawą i zatrzymać ludzi za nią odpowiedzialnych, to okaże się, że pański karkołomny rajd niczemu nie posłużył. Wiem, że jest z panem siostrzeniec senatora Hamiltona. To bardzo ważne, żeby nic mu pan nie powiedział o naszej rozmowie.

Brian przez chwilę patrzył na telefon.

– Oddzwonię – powiedział i się rozłączył.

– Co się stało? – zapytała z podnieceniem Suzannah. – No mów!

Brian streścił rozmowę.

– Jaką mamy inną szansę?

– Porozmawiamy o tym z Dwainem?

– Słyszałaś, co Clark powiedział. Dwain ufa wujowi, a wuj jest senatorem jak Lee. Musimy się zdecydować, czas ucieka.

– To ryzykowne.

– Mam już dość uciekania i chowania się – oznajmił Brian. – Czas zacząć działać.

Wywiad wojskowy, Filadelfia

– Mamy jeszcze dwadzieścia cztery godziny – powiedział mężczyzna, którego Allan Clark przedstawił jako Boba. – Nadzór pracuje. Ustawiliśmy postęrniki w pobliżu wszystkich podejrzanych. Ciekaw jestem, jakie kroki podejmie strona przeciwna.

– Jak w dawnych dobrych czasach – powiedział Allan Clark.

– Główne zadanie jeszcze przed nami – powiedział Bob i pokazał palcem na zdjęcia obozu na górze Withington zrobione niedawno z samolotu obserwacyjnego.

Porky uważnie przyglądał się zdjęciom.

– Jak chcecie dostać się do środka?

– Lekarz musi waszym przyjaciółom pomóc wejść do środka. Uda nam się

całkowicie wyjaśnić ten spiszek tylko wtedy, gdy zdobędziemy dalsze dowody.

– Nie jestem pewien, czy Brian się zgłosi – odparł Porky. – Nikomu już nie ufa, co można w pełni zrozumieć. Przypisano mu morderstwo, do tego ściga go Coburn ze swoimi zbirami. Jak by się pan czuł w jego sytuacji?

– W Wenezueli był bezpieczny, ale wrócił – odparł Allan Clark. – Najpóźniej w chwili ataku na biuro szeryfa musiał zrozumieć, że druga strona nie żartuje i ma szansę tylko wtedy, gdy znajdzie sojuszników.

Do pomieszczenia wszedł oficer w granatowym mundurze i zasalutował.

– Zlokalizowaliśmy źródło rozmów – zameldował. – Hrabstwo Eddy, na zachód od Carlsbadu. Mamy miejsce z dokładnością do trzech kilometrów. Jest tam zamknięta kopalnia.

– No to rzućmy okiem – powiedział Bob i podszedł do mapy.

Ranczo Cave Pearls, Carlsbad, Nowy Meksyk

Ranczo senatora znajdowało się siedem kilometrów na północ od Carlsbadu, nad Rio Pecos. Pośrodku zieleni wznosiły się dwie duże stajnie i stodoła, obok znajdowały się dwa rozległe wybiegi dla koni, a na honorowym miejscu stał dwupiętrowy biały dworek w hiszpańskim dziewiętnastowiecznym stylu kolonialnym. Za wspartym na dwóch kolumnach półkolistym łukiem kryła się duża zacieniona weranda, do portalu wejściowego prowadziły szerokie schody.

Senator Joseph Hamilton zapalił cygaro i wydmuchał dym w ciemne niebo. Cień pod arkadami rozświetlało migotliwe światło kilku lamp naftowych. Gospodyni poszła już spać, na nogach byli jedynie administrator Phil i kilku kowbojów. Silver Lady, klacz rozplodowa, która przed laty uczestniczyła z sukcesami w wyścigach na wschodzie kraju, miała się w nocy ożrebić i z tego powodu na ranczo przyjechał doktor Fargo, weterynarz z Aroki.

Senatora bardzo przygnębiła wieść o ataku na biuro szeryfa w Socorro i śmierci Lazarda. W ostatnich dniach sprawa coraz bardziej wymykała mu się z rąk. Nie mogło tak być dalej. Z Lee nie dało się rozmawiać – udawał, że go nie ma.

Senator Joseph Hamilton długo myślał nad całą sprawą i w końcu podjął decyzję. Ostateczną. Z całej rodziny pozostał mu tylko siostrzeniec i był dla niego najważniejszy. Pod żadnym pozorem nie mogło mu się stać nic złego. Senator zamierzał o to zadbać. Nadszedł czas, aby wyłożyć karty na stół. To szaleństwo musiało się skończyć.

Ciepły wieczór był tak cudowny, że senator chciał spędzić jeszcze trochę czasu na powietrzu i oddać się rozmyślaniom. I tak by nie zasnął. Spokoju nie dawała troska o Dwaina, który był w poważnym niebezpieczeństwie. Cygaro dymiło, kieliszek porto był opróżniony do połowy. Nagle senator nadstawił uszu. W powietrzu słychać było jakiś dziwny hałas. Buczenie szybko zamieniło się w warkot, coraz głośniejszy warkot.



Trzy helikoptery nadleciały nad ranczo Cave Pearls od zachodu. Przeleciały nad budynkami tak nisko, że spłoszyły konie w stajniach. Kiedy migoczące światłami monstra zawróciły szerokim łukiem i zapaliły się ich reflektory, rozświetlając podwórze jaskrawym światłem, senator wstał i zaskoczony popatrzył w niebo. Warkot był tak głośny, że konie senatora zaczęły w panice szaleć w swoich boksach. Co się działo?

Wiszące w powietrzu helikoptery jeszcze bardziej zmniejszyły wysokość, z kadłubów wypadły liny. Po linach zaczęły zjeżdżać ubrane na czarno postacie. Z bronią maszynową.

Senator Joseph Hamilton miał sześćdziesiąt cztery lata, ale umysł i zdolność oceny sytuacji jasne jak młodzieniec. Światło któregoś z reflektorów objęło jednego ze zjeżdżających po linach mężczyzn. Miał na sobie ciemny kombinezon, a na twarzy kominiarkę.

Senator odwrócił się i wbiegł do domu. Kiedy po chwili wrócił na werandę, trzymał w rękach strzelbę. Po schodach biegła ku niemu ciemna postać.

– Przekłęte dranie! Zjeżdżać z mojej ziemi!

Padły strzały. Ciało senatora przeszyła fala bólu. Zanim padł na podłogę i stracił przytomność, zdążył pomyśleć, że Lee zastawił na niego pułapkę.

Kopalnia Virgile, hrabstwo Eddy, Nowy Meksyk

Kiedy jet ranger wylądował na terenie starej kopalni, zbliżał się wschód słońca. Brian i Dwain gwałtownie się obudzili i wyrzeli w półmrok.

Czekali w napięciu, aż łopaty wirnika zwolnią obroty.

– To może być tylko wuj Joe – rzekł Dwain. – Mówiłem, że można na nim polegać.

Pierwszy z helikoptera wysiadł Porky. Rozejrzał się niepewnie wokół. Za

nim wysiadło trzech mężczyzn. Jeden z nich miał na sobie mundur marynarki wojennej z naszywkami oficera wysokiej rangi.

– To Porky – powiedział Brian i opuścił broń. – Teraz się okaże, czy możemy ufać Clarkowi.

– Jakiemu Clarkowi? – spytał zdziwiony Dwain.

– Porky wczoraj do mnie dzwonił – wyjaśnił Brian. – Allan Clark jest kierownikiem Krajowego Centrum Huraganów i zapewnił, że nam pomoże. Jeśli nie podejmiemy natychmiast działań, będzie za późno na wejście do obozu. Najpóźniej jutro, kiedy stwierdzą, że doktor zniknął, domyśla się, co zamierzamy.

Dwain pytająco patrzył na Briana.

– A więc działałeś bez porozumienia ze mną?

– Nie możemy się tu wечно chować, a twój wuj nie zdoła nam pomóc. Potrzebujemy kogoś do ochrony tyłów. Nie ma już odwrotu.

– Nie ufasz mi i mojemu wujowi.

Brian złapał Dwaina za przedramiona i wbił w niego wzrok.

– Oczywiście, że ci ufam. Dokładnie wiem, co dla nas zrobiłeś. Jest mi przykro z powodu śmierci twojego siostrzeńca i uważam, że dość ludzi już zginęło. Trzeba z tym raz na zawsze skończyć. Wiem, że ta sprawa to spisek sięgający najwyższych szczebli rządowych i jest w niego zamieszanych kilku senatorów.

– Sugerujesz, że wuj ma coś z tym wspólnego?

– Nie, ale nie mogę tego wykluczyć. Słyszałeś kiedyś o Stowarzyszeniu Worth?

Dwain chwilę nie odpowiadał. W końcu pokręcił głową.

– Kilka lat temu w Fort Worth paru wysokiej rangi senatorów i członków rządu powołało do życia stowarzyszenie, którego pierwszoplanowym celem miało być wspieranie dostępu do edukacji szkolnej dzieci z biednych rodzin. Jednym z mniej rozgłaszanych zadań, jakiemu poświęcają się członkowie stowarzyszenia, jest zbieranie pieniędzy na wojskowe badania naukowe.

– I jaki ma to związek z moim wujem?

– Senator Joseph Hamilton jest jednym z członków założycieli tego stowarzyszenia.

Dwain opadł na krzesło.

– Chcesz powiedzieć, że...

Mężczyźni z helikoptera doszli do wejścia do kopalni.

– Cześć Brian, cześć Suzannah! – przywitał się Porky. – Miło was znowu widzieć. – Objął Briana i poklepał Suzannah przyjacielsko po plecach. – A pan to szeryf Hamilton, tak?

Dwain potwierdził skinieniem głowy.

– A to jest Bob – powiedział Porky i wskazał na krępego, starszego mężczyznę w brązowym garniturze. – Jest z wywiadu wojskowego i pomoże wam.

– Bob?

– Imię wystarczy. Więcej nie musimy o nim wiedzieć – wyjaśnił Porky. – Jest przyjacielem Allana Clarka.

Brian przyjrzał się uważnie krępemu mężczyźnie.

– Musimy zmienić plan – zaczął Bob. – Kilka godzin temu zaatakowano ranczo senatora Hamiltona. Najwyraźniej szukano was. Ledwie udało nam się zapobiec rzezi.

Dwain skoczył na nogi.

– Co z wujem Joe?

– Senator nie żyje – odparł Bob. – Został zastrzelony.

– Słucham? Jak to...?

– Nadlecieli helikopterami, byli zamaskowani i uzbrojeni w broń maszynową. Pilnowaliśmy rancza, ale zanim zdążyliśmy zareagować, pański wuj już nie żył. Napastnicy uciekli. To byli znakomicie wyszkoleni specjaliści.

– Coburn i jego banda! – zawył Dwain. – Odpowiedzą za to...

– Nie mamy czasu do stracenia – przerwał mu Bob. – To jest Simon Raleigh z FBI, specjalista od urządzeń podsłuchowych, a ten w mundurze to komandor Brooke z naczelnego dowództwa marynarki wojennej. Jest zapoznany ze wszystkim. Wygląda na to, że macie rację co do oceny obozu. Oficjalnie ten ośrodek nie istnieje. Jest tajny – tak tajny, że nie wie o nim nawet dowództwo.

Komandor odchrząknął i rzekł:

– Chciałbym was zapewnić, że ten ośrodek działa bez zgody marynarki. Jest najprawdopodobniej pozostałością z lat dziewięćdziesiątych i z pewnością został powołany do życia jako tajny ośrodek badawczy za kadencji poprzednika obecnego prezydenta. W Pentagonie był wtedy odpowiedzialny za takie rzeczy senator Lee. Projekt nazywa się Oracle i w obecnej chwili nie możemy więcej na ten temat powiedzieć.

– Muszą przecież istnieć jakieś zapisy, dokumenty – powiedział Brian. – Ktoś na pewno wie o istnieniu czegoś takiego.

Komandor uśmiechnął się zażenowany.

– Z naszych dokumentów wynika, że w tym miejscu znajduje się obóz szkoleniowy dla komandosów piechoty morskiej, który jest okresowo wykorzystywany do szkolenia z zakresu walki w warunkach górskich. Nic bliższego nie umiemy powiedzieć. Jeszcze nie.

– Niezależnie od wszystkiego musimy się dowiedzieć, co tam się dzieje – wrócił do głosu Bob. – Jeżeli pojawimy się z kawalerią, wysadzą wszystko w powietrze, zanim zdążymy wylądować. Jak słyszałem, planuje pan wniknąć do obozu z pomocą pracującego tam lekarza. Ten pomysł jest co prawda zuchwały, ale to chyba jedyny sposób. Pan Raleigh wyposaży pana w niezbędny sprzęt, za pomocą którego będziemy śledzili każdy pański krok i słyszeli każde pańskie słowo. Chodzi tu o implanty podskórne. Proszę się nie obawiać, to drobny zabieg. Panowie – zwrócił się do Briana i Dwaina – proszę podwinąć jeden rękaw. Czas nagli. Możliwe, że po nieudanym ataku w nocy użytkownicy ośrodka opróżnią go do końca jutrzejszego dnia i schowają się gdzie indziej. Istnieje wystarczająco dużo zamkniętych baz wojskowych.

– A anteny i budynki? – spytała Suzannah. – Nie da się ich, ot tak, zdematerializować.

– Nie wie pani, co może sprawić kilka ton odpowiednio rozmieszczonego C-cztery – odparł Bob.

Dwain siedział w kącie i wpatrywał się w podłogę. Bob usiadł obok niego i objął go przyjacielsko ramieniem.

– Wiem, że to dla pana trudne. Stracił pan siostrzeńca i wuja, ale jeżeli uda nam się z pana pomocą złapać morderców i skończyć ten koszmar, ich śmierć nie pójdzie na marne.

– Mój wuj kochał ten kraj. Był patriotą sercem i duszą. Nie mogę uwierzyć, że przyłożył rękę do takiego szaleństwa.

– Znałem pańskiego wuja jako lojalnego i sprawiedliwego człowieka. Nie mam pojęcia, co skłoniło go do wstąpienia do Stowarzyszenia Worth. Na pewno miał swoje powody. Wiem jedynie, że w naszym kraju istnieją ludzie, którzy chcieliby, żeby nasz naród rozblęsnął w świecie dawnym blaskiem i z pełną mocą. Nazbyt wolna prasa i gotowość do kompromisów względem innych krajów jest przez te siły uważana za słabość. Pański wuj był człowiekiem starej daty i może myślał w podobny sposób?

Dwain głęboko wciągnął powietrze.

– Nigdy nie poznamy motywów, jakie nim kierowały – ciągnął Bob. – Wiem tylko, że chciał, żeby to szaleństwo się skończyło. I wiem, że kochał pana jak własnego syna.

– Skąd może pan to wiedzieć? To tylko słowa – powiedział z rezygnacją Dwain Hamilton.

– Powiedziała mi o tym Betty, gospodyni pańskiego wuja. Kiedy znaleźliśmy senatora, miał w dłoniach strzelbę. Jestem pewien, że kiedy ujrzał helikoptery, wiedział, kto stoi za atakiem na jego dom. Nie zawahał się jednak – wziął broń i stanął napastnikom czoło. Sądzę, że od pana oczekiwaliśmy tego samego.

Dwain zasłonił oczy dłońmi. Podszedł Brian.

– Dwain, potrzebujemy cię.

Ośrodek Badawczy Marynarki Wojennej, obóz ósmy, góra Withington, Nowy Meksyk

Jazda pełnymi kolein i dziur leśnymi i polnymi drogami prowadzącymi do obozu była trudna do zniesienia. Dwain Hamilton i Brian Saint-Claire leżeli w bagażniku buicka ściśnięci niczym dwie sardynki w za ciasnej puszcze. Na każdej dziurze strasznie nimi trzęsło. Przy pierwszym punkcie kontrolnym doktor Allistar musiał tylko zwolnić – kiedy żołnierz go poznał, dał mu znak, żeby przejeżdżał. Zanim lekarz dotarł wreszcie do obozu, nierówna droga wiła się dalsze półtora kilometra przez las Cibola. Przy wielkiej bramie stało czterech uzbrojonych po zęby strażników. Allistar zahamował i otworzył boczną szybę.

– Dzień dobry, doktorze – powiedział ciemnoskóry strażnik. – Nie ma pana dziś na mojej liście. Ale dobrze, że się pan zjawił, już kilka razy próbowano się z panem kontaktować.

Lekarz nerwowo zamrugał.

– Miałem... miałem kilka dni wolnego. Zapomniałem telefonu i pagera.

– Proszę zaczekać, poinformuję oficera dyżurnego.

Zanim żołnierz wrócił, minęło niemal dziesięć minut.

– Może pan jechać. Proszę się od razu zgłosić do profesora Stillwella. Czeka na pana w swoim gabinecie.

Doktor Allistar kiwnął głową i machnął strażnikowi ręką. Brama otworzyła się automatycznie i buick przejechał.

– Dzięki Bogu – westchnął Brian w ciasnym więzieniu, kiedy samochód zaczął jechać.

– Ciesz się, że nie jeździ porsche – zażartował Dwain.

– Następnym razem dam się zamknąć w bagażniku tylko z kimś, kto będzie znacznie mniejszy od ciebie.

Lekarz jechał asfaltową drogą prowadzącą prosto do bunkra w skalnej ścianie. Był on dodatkowo chroniony przez kolejny dobrze strzeżony i podłączony do prądu płot oddzielający tajne urządzenia badawcze u stóp góry Withington od reszty budynków obozu. Bunkier albo, jak nazwała go Suzannah, „dom w skale”, był dla znajdujących się w obozie komandosów piechoty morskiej strefą zakazaną. Członkowie sił bezpieczeństwa w obrębie strefy chronionej nie byli żołnierzami marynarki wojennej. Nosili czarne kombinezony i podlegali bezpośrednio dowódcy ośrodka.

Kiedy buick nadjeżdżał, podniósł głowę wartownik pilnujący wjazdu z małej wartowni z okienkiem z pancernego szkła. Lekarz zatrzymał się tak, aby jego boczna szyba stanęła na wysokości małej kolumny i uruchomił urządzenie głośnomówiące.

– Identyfikacja! – zadudniło z małego głośniczka.

Doktor Allistar wychylił się z okna i przyłożył dłoń do znajdującego się na górze kolumny prostokątnego pola. Czerwona lampka zgasła i zapaliła się zielona.

– Dzień dobry, doktorze Allistar – powiedział strażnik. – Profesor czeka na pana.

Brama zaczęła się otwierać. Ostatnia przeszkoda została pokonana. Trzy minuty później Allistar parkował tuż przy trzypiętrowym budynku przylegającym do pionowej skalnej ściany.

Kiedy wysiadł, mocno się zdziwił, ponieważ przed wielką przesuwaną bramą we wschodniej ścianie budynku stały trzy wielkie wojskowe ciężarówki. Tuż obok wylądowały dwa helikoptery transportowe. Ludzie w czarnych kombinezonach za pomocą wózka widłowego ładowali skrzynki do ciężarówek.

Allistar obszedł samochód, który ustawił spory kawałek od bramy. Zastukał rytmicznie w pokrywą bagażnika.

– Wygląda, jakby zwijano tu namioty – mruknął pod nosem. – Muszę zniknąć. Stillwell na mnie czeka.

– Niech się pan trzyma naszych ustaleń – doleciał z bagażnika przygłuszony głos Briana. Miał nadzieję, że można polegać na słowie lekarza i obudziło się w nim sumienie. Przez długie godziny spędzone w opuszczonej kopalni miał dość czasu na zastanowienie i wyglądało na to, że dotarło do niego, w czym tak naprawdę uczestniczył. Na znak, że zrozumiał, Allistar stuknął dwa razy w bagażnik, po czym ruszył w stronę budynku i po chwili zniknął za przesuwanymi elektrycznie drzwiami.

Dwain powoli policzył do stu, po czym otworzył spreparowany zamek i odrobinę uniósł pokrywę bagażnika. Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. W jego polu widzenia znajdowała się jedynie naga skalna ściana – Allistarowi udało się znaleźć korzystne dla nich miejsce do parkowania. Brian powoli wyślizgnął się z samochodu, Dwain za nim. Obaj byli ubrani w czarne kombinezony. Krótko się przeciągnęli, po czym zniknęli pod samochodem i zaczęli rozglądać się wokół. Także i ich uwagę od razu zwróciła gorączkowa aktywność ludzi ładujących sprzęt na jedną z ciężarówek.

– Bob miał rację. Naprawdę likwidują ośrodek i szykują się do uciezki – szepnął Dwain.

– Musimy wślizgnąć się do środka – odparł Brian. – Widzisz tamte helikoptery?

Dwain Hamilton wyciągnął szyję i wyjrzał spod samochodu.

– Podejźmy do nich pod osłoną ściany i wmieszymy się między pracujących tam ludzi.

Dwain przytaknął cichym mruknięciem.

Wysoki mniej więcej na dziesięć metrów i szeroki na blisko dwadzieścia metrów betonowy klocek miał od wschodu przybudówkę, która chyba służyła za magazyn. Od ich strony nie miała okien. Na przybudówce znajdowało się duże wyrzucenie, które wyglądało na czaszę radaru. Szew biegnący pośrodku kopuły wskazywał na to, że jej połówki można rozsunąć na boki jak dach obserwatorium astronomicznego.

Na płaskim dachu sąsiedniego budynku znajdowało się lądowisko helikopterów, podczas poprzedniej wizyty Briana w okolicy ośrodka wylądowała tam maszyna, z której wysiadł senator Lee. Po skalnej ścianie biegnęły grube przewody elektryczne i zniknęły w budynku.

– No to ruszamy, ale ostrożnie... – powiedział Dwain Hamilton.

Szkoła podstawowa Hyatt, Plainfield, Nowy Jork

Senator Lee szedł powoli długim korytarzem i z zainteresowaniem słuchał dyrektorki mówiącej o braku finansów. Senator z przyjemnością i szczerze rozdawał w imieniu Stowarzyszenia Worth pieniądze zebrane na koncie organizacji dobroczynnej. Kilka minut wcześniej w błysku fleszy przedstawiciele miejscowej prasy przekazał dyrektorce w holu szkoły czek na dziesięć tysięcy dolarów.

Za niecałe dwie godziny miał następne spotkanie, potem oczekiwano go w szkole marynarki wojennej na Long Island, gdzie miał wysłuchać wykładu na temat taktyki wojny morskiej i sposobów prowadzenia walki przez okręty podwodne. Tę imprezę uważał za istotną, ponieważ w szkole marynarki wojennej znajdował się na swoim terenie. Senator Thomas C. Lee był lubiany, gdyż zawsze i wszędzie wysłuchiwał skarg dotyczących wszystkich problemów, które dręczą ludzi. Poza tym lubił rozdawać drobne prezenty członkom niższych warstw społecznych.

Przeciwnicy polityczni drżeli przed senatorem ze strachu z powodu jego ostrego jak brzytwa umysłu. To właśnie wyostrzony instynkt natychmiast kazał mu wyczuć niebezpieczeństwo, kiedy ujrzał idących w jego kierunku dwóch mężczyzn w szarych garniturach. Senatora natychmiast zasłonili ochroniarze, jednak po krótkiej wymianie słów rozeszli się i zrobili do niego dostęp.

– Dzień dobry, panie senatorze – powiedział jeden z ubranych na szaro ludzi i pokazał legitymację ze złotym orłem. – Nazywam się Walter Forbes i pracuję w biurze prokuratury federalnego. Mam dla pana wezwanie.

Uśmiech zamarł senatorowi na ustach.

– Wezwanie?

– Komisja kontrolna zbiera się dziś o dwunastej – potwierdził mężczyzna, który przedstawił się jako Walter Forbes i podał senatorowi niebieską kopertę.

– Chcielibyśmy prosić o punktualne przybycie.

9.

Ośrodek Badawczy Marynarki Wojennej, obóz ósmy, góra Withing ton, Nowy Meksyk

Niezaczepiani przez nikogo doszli do helikopterów, wmieszali się między ubranych podobnie do nich mężczyzn i zaczęli ładować skrzynki na ciężarówki. Czekali na okazję, aby pójść za kimś, kto będzie wchodził do wschodniego skrzydła budynku.

Brian odszedł kawałek i schował się głęboko w cieniu ściany. Dwain w dalszym ciągu pomagał przy załadunku. Ustalili, że aby nie zwracać na siebie zbyt wielkiej uwagi, spróbują wejść do bunkra osobno. Podjechał wózek widłowy i załadował kolejną skrzynię na pakę ciężarówki.

Brian wykorzystał moment, kiedy wózek widłowy ruszył w kierunku bramy. Oderwał się od ściany i wielkimi krokami zaczął zmierzać do ciemnego wejścia. Poruszał się swobodnie i w sposób niewzbudzający podejrzeń, jakby robił najzwyczajszą rzecz pod słońcem. Wszedł do hali zastawionej skrzyniami i urządzeniami. Grupa mężczyzn była zajęta opuszczaniem podwieszonych na łańcuchach generatora do wielkiej skrzyni. Zadanie wyglądało na dość skomplikowane. Brian minął ich i wspiął się na rampę załadunkową, za którą znajdowały się otwarte drzwi. Wchodziło się przez nie do jasno oświetlonego szerokiego korytarza. Na rampie stał mizerny człowieczek, którego twarz była ukryta w cieniu ciemnej czapki baseballowej. Jego zachowanie wskazywało na to, że nadzoruje to, co się dzieje w hali. U stóp rampy kilku ludzi ładowało sprzęty mniejszych rozmiarów do skrzynek i układało je na przyczepie ciągniętej przez wojskowego jeepa.

Brian zdecydowanym krokiem szedł w kierunku rampy.

– Dwóch ludzi do generatora! – zawołał nadzorca. – Mamy mało czasu! W ciągu godziny wszystko musi być w drodze!

Brian czuł, jak wbija się w niego wzrok nadzorcy. Szybko zawrócił i ruszył w kierunku ludzi przy dźwigu. Wraz ze wszystkimi mocno chwycił generator i po chwili udało się opanować kołysanie wielotonowego urządzenia. Kilka minut później wielka maszyna tkwiła w opakowaniu.

- Idź po ciężarówkę! – krzyknął jeden z mężczyzn do Briana.
- Nie mam klucza.
- Jest w przedsiionku. Szybciej!

Brian popatrzył w kierunku rampy. Chudzielec zniknął. Na taką właśnie okazję czekał. Rozejrzał się i ujrzał Dwaina, który stał przy bramie i owijał folią olbrzymią metalową skrzynię. Dwain podniósł głowę i pytająco popatrzył na Briana.

Brian lekko skinął głową, po czym odwrócił się i wskoczył na rampę. Ruszył zdecydowanie w kierunku drzwi. Dalszej drogi nie zagradzała mu żadna przeszkoda. Skręcił za róg i zniknął w szerokim przejściu.

- Czego tu szukasz? – rozległ się nagle głos chudego nadzorcy.

Brian wzdrygnął się; niemal zderzył się z chudzielcem, który wyszedł z jednego z pokoi z filiżanką w ręku.

- Mam... eee... przynieść klucz do ciężarówki.

Przez chwilę ich wzrok się spotkał. Obaj byli zdziwieni. Zanim chudzielec zdążył sięgnąć do kabury po pistolet, Brian pchnął go z całej siły w klatkę piersiową. Filiżanka upadła na podłogę, chudy się zatoczył, ale utrzymał się na nogach.

- Alarm! Intruz! – zawołał.

Brian pobiegł korytarzem. Mijał kolejne stalowe drzwi. Wszystkie były zamknięte.

- Stój! – zawołał za nim chudzielec. – Nie wydostaniesz się stąd!

Brian zaczął szarpać jedno z drzwi, na których był napis: LABORATORIUM EMM i piktogram ostrzegający przed substancjami promieniotwórczymi. Także i te drzwi były zamknięte. Zawył syrena. Brian odwrócił się i ujrzał biegnącego truchtem w jego stronę chudzielca, który ścisnął w dłoni pistolet. Biegło z nim kilku innych ludzi i nadzorca uśmiechał się pewny sukcesu.

Brian westchnął i podniósł ręce. Także z drugiej strony korytarza nadchodzili uzbrojeni strażnicy.

Chudzielec schował pistolet do kabury.

Kiedy stanął przy Brianie, jego ręka wystrzeliła do przodu i smagneła Briana po twarzy.

– To za Beaumont – syknął chudzielec. – Pamięta pan chyba drobny incydent w parku, panie Saint-Claire?

Brian potarł piekący policzek.

– Świat jest mały.

Chudy dał swoim ludziom znak, a oni otoczyli Briana i przycisnęli go do ściany. Jeden z ochroniarzy przeszukał więźnia, po czym wykręcił mu ręce do tyłu i założył kajdanki.

– Przychodzenie tutaj nie było mądre – stwierdził chudzielec. – Gdzie pana przyjaciółeczka?

– Nie ma jej tutaj. Wiemy, co tu robicie. Ona siedzi w tej chwili w redakcji pewnej gazety i czeka na mój telefon. Gdybym nie wrócił do wieczora, przekaże nasz materiał dyżurnemu redaktorowi. Będzie to oznaczać koniec pana i pańskich przyjaciół.

Chudzielec się uśmiechnął.

– Niewiele wam to da.

– Co tu się dzieje? – zapytał basowy głos.

W kierunku Briana szedł mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Wtargnął do ośrodka – wyjaśnił służbiście chudzielec. – Zatrzymaliśmy go, agencie Coburn.

Coburn skinął głową.

– Widzę. Gdzie jego towarzysze?

– Twierdzi, że kobieta siedzi w jakiejś redakcji.

– Na pewno u tego pismaka z Cleveland – uznał Coburn. – Brakuje jednak też szeryfa. Przeszukajcie cały teren, ogłoście alarm dla posterunków zewnętrznych. Chcę, żeby zajrzano tu w każdą dziurę. I dowiedzcie się, jak udało mu się dostać do środka.

Chudzielec zasalutował.

– A my dwaj, panie Saint-Claire, trochę pogadamy – oznajmił Coburn. – Najpierw jednak szef chce się z panem zobaczyć.

Idziemy!

□ □ □

Długimi korytarzami zaprowadzono Briana w głąb góry. Na koniec posadzono go w pustym pokoiku na prostym stołku, skuto i zarzucono mu na głowę czarny worek.

Po pewnym czasie ktoś zerwał mu dość brutalnie worek z głowy. Oślepiło go jaskrawe światło jarzeniowe i z bólu zmrużył oczy. Przy drzwiach stał wartownik w czarnym kombinezonie, z przewieszonym przez pierś pistoletem maszynowym. Do środka wszedł Coburn, towarzyszyło mu dwóch strażników. Zdjęli Brianowi kajdanki i poprowadzili go pod ścianę. Kazali mu się rozebrać do naga, po czym został dokładnie sprawdzony. Jego rzeczy powędrowały do metalowej skrzynki, którą jeden z mężczyzn wyniósł z pokoju. Następnie Brian dostał spodnie od dresu i żółty T-shirt. Nie dano mu bielizny ani butów.

– Musi nam pan wybaczyć – nieszczerze przeprosił Coburn. – Zazwyczaj nie traktujemy gości tak nieelegancko, ale też nie sprawiają nam tylu kłopotów co pan i pańska przyjaciółka.

Kiedy Brian się przebrał, został ponownie skuty, po czym kazano mu wrócić na stołek.

– Pluskwy albo minikamery, które na pewno miał pan w ubraniu, zostały usunięte. Pański plan został więc raczej zniweczony, słucham zatem, po co tu pan przyszedł i jak dostał się do środka.

Brian odchrząknął.

– Chciałem zobaczyć na własne oczy to, co od dawna podejrzewamy. Wiem o wszystkim. Jest pan odpowiedzialny za śmierć Wayne'a Chang'a.

– Nawet jeśli – odparł Coburn. – Pański przyjaciel wszedł nam w drogę. Tak samo jak profesor Paul. Nie powinien zbierać tej nieszczęsnej grupy naukowców. Igrał z ogniem.

– Dlatego go zabiliście i sfingowaliście wypadek...

Coburn się uśmiechnął.

– Co da panu teraz ta wiedza? Niczego nam pan nie udowodni, Saint-Claire. Za późno na to. Pański czas dobiegł do końca.

– Myli się pan. Kilka ślicznych zdjęć waszych anten na górze leży w redakcji dużej gazety. Są między nimi zdjęcia senatora Lee, który odwiedził ten obóz. Poza tym nie udał się wasz atak na senatora Hamiltona. On żyje i będzie zeznawał.

Coburn lekko drgnął.

– Sporo się pan dowiedział. Więcej, niż podejrzewałem. Najwyraźniej nie wie pan jednak wszystkiego, bo wtedy by tu pana nie było.

Brian też się uśmiechnął.

– Od Arlington powinien pan właściwie wiedzieć, że cały czas byliśmy krok przed panem – odparł ironicznie.

Przez chwilę Coburn sprawiał wrażenie, że stracił panowanie nad sobą, ale wziął się w garść. Otworzyły się drzwi i do salki wszedł oficer marynarki wojennej w mundurze z odznakami komandora.

Wartownicy stanęli na baczność, wyprostował się także Coburn. Oficer podszedł do Briana i popatrzył mu w oczy.

– A więc to pan jest tą osobą, która sprawiła nam tyle kłopotów...

– Nazywam się Brian Saint-Claire i gdyby to ode mnie zależało, od dawna gnąłby pan ze swoimi współnikami w więzieniu, ale chyba nie będę długo na to czekał. Ma pan na sumieniu tysiące ludzi. Może pan spać spokojnie?

– Jestem patriotą – odparł komandor. – Służę mojemu krajowi i jestem gotów ponosić ofiary. Ale co pan z tego, jako Kanadyjczyk, może rozumieć?

– Ponosić ofiary? Ma pan chyba na myśli powodowanie ofiar w ludziach. To nie ofiarność, a szaleństwo. Miejsce zarówno pańskie, jak i całej tej bandy jest w wariatkowie.

Komandor uśmiechnął się ze współczuciem.

– Ma pan ostry język. Gdzie zostawił pan swoją śliczną towarzyszkę?

– Jest w bezpiecznym miejscu i ma przy sobie aktówkę, której zawartość sprawi, że zarówno pan, jak i wszyscy, którzy uczestniczyli w tym szaleństwie, wyładujecie na resztę życia za kratkami.

– Jak on się tu dostał? – spytał komandor Coburna.

– Jak na razie, nie wiemy. Ostatni wjeżdżał doktor Allistar. John jest u niego i się nim zajmuje.

Komandor skinął głową.

– Był sam?

– To też właśnie sprawdzamy.

– W ogóle cokolwiek pan wie? – rzucił rozzłoszczony komandor. – Prosiłem Lincolna o profesjonalistów, a on przysłał mi bandę bezmózgich kretyków!

Brian musiał powstrzymać uśmiech.

– Proszę zadbać o to, żebyśmy do zmroku byli gotowi do odjazdu, i zająć się tym człowiekiem. Wyciągnąć z niego wszystkie informacje.

Na twarzy Coburna pojawiła się hamowana wściekłość.

– Tak jest, komandorze! Już nad tym pracujemy, proszę się niczym nie martwić!

– No to do roboty! Niech zacznie mówić! – rozkazał komandor. Rzucił Brianowi pogardliwe spojrzenie, odwrócił się na pięcie i wyszedł z po mieszczenia.

Trzymał się sztywno, przez co szedł jak robot.

– Szef nie jest panem szczególnie zachwycony – powiedział Brian ze współczuciem w głosie, kiedy drzwi się zatrzasnęły.

Coburn nie wytrzymał. Złapał Briana za kark.

– Chcę wiedzieć, jak się dostałeś do obozu i gdzie są twoi współnicy! Inaczej łeb ci rozwalę...

Za drzwiami rozległo się wycie syreny alarmowej. Uśmiech zamarł Coburnowi na twarzy.

– Dobrze na niego uważajcie! – rzucił wartownikom, po czym wybiegł z pokoiku.

Dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

W cieniu góry South Baldy wylądowały cztery helikoptery transportowe Blackhawk i siedem helikopterów szturmowych Apache, należące do 41. Grupy Sił Powietrznych Korpusu Piechoty Morskiej stacjonującej w Teksasie. Jednostki czekały na wejście do akcji wraz z dwoma bellami, należącymi do MIS, dowodzonymi przez starszego chorążego Roberta U. Carringtona, nazywanego przez wszystkich uczestników operacji Bobem.

Przed dwiema godzinami Bob zniknął w czarnej ciężarówce, razem z komandorem Brookiem z naczelnego dowództwa marynarki wojennej. Antena paraboliczna ustawiona na przyczepie była skierowana na zachód. Gdzieś tam, za łagodnymi wzgórzami, znajdował się tajemniczy obóz wojskowy.

– Mamy go jeszcze? – spytał Bob technika siedzącego ze słuchawkami na uszach w wygodnym fotelu. Tuż obok siedział Simon Raleigh z FBI i kręcił dwoma potencjometrami na tablicy kontrolnej. Wnętrze ciężarówki wypełniał cicho buczący sprzęt elektroniczny.

– Sygnał jest co prawda słaby, ale filtry doskonale się spisują. Nie mamy tylko obrazu, musieli wyczuć sprawę.

– A szeryf?

– Pasma numer dwa pracuje bez zarzutu. Hamilton w dalszym ciągu udaje w hali robotnika.

– Kiedy wreszcie się wtrąćcie? – spytała nerwowo Suzannah, która siedziała obok milczącego Porky'ego i na chwilę zdjęła słuchawki.

Bob uspokajająco się do niej uśmiechnął.

– W odpowiednim czasie. Obiecuję.

Ośrodek Badawczy Marynarki Wojennej, obóz ósmy dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

Syrena alarmowa wyła w hali. Dwain z jeszcze jednym mężczyzną niósł ciężką skrzynię do ciężarówki, kiedy wszyscy przerwali pracę i ruszyli do wejścia.

– Chciałbym wiedzieć, co tu się dziś wyprawia – powiedział żołnierz do Dwaina. – Od miesiący nic tylko idiotyczne warty, a dziś w ciągu godziny dwa razy alarm.

– Na pewno fałszywy.

Obeszli ciężarówkę i zaczęli wnosić skrzynię na pakę ciężarówki.

– Nie sądzę. Odkąd wczoraj wydano rozkaz wyjścia, kotłuje się tu jak w ulu. Rozejrzyj się, nie pamiętam, aby wszystkie trzy grupy pracowały równocześnie. Coś się dzieje, ale nam jak zwykle nic się nie mówi.

– Ano.

– A do której ty właściwie należysz grupy? Walsha czy Bettermanna? Jeszcze nigdy cię tu nie widziałem.

Skrzynia głośno załomotała.

– Walsha – odparł Dwain Hamilton. – Jestem tu od niedawna.

– Jesteś z Teksasu, prawda?

Dwain skinął głową.

– Z Fort Bliss czy Fort Hood?

Dwain wsunął skrzynię głębiej. W rękę trzymał masywny klonowy kij używany do rozpierania plandeki. Mężczyzna w kombinezonie odwrócił się do niego plecami.

– Przykro mi – mruknął Dwain pod nosem i huknął tamtego w kark.

Mężczyzna zacharczał i zaczął się osuwać na ziemię. Dwain szybko złapał go pod pachy i wrzucił na pakę ciężarówki, gdzie stały już liczne skrzynki. Wcisnął go między opakowania i przywiązał mu ręce do oczka do zabezpieczenia ładunku. Zakneblował go chustką do nosa, zeskoczył z ciężarówki i pobiegł w kierunku rampy załadunkowej.

10.

Ośrodek Badawczy Marynarki Wojennej, obóz ósmy dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

Brian niespokojnie wiercił się na stołku. Dwóch wartowników wyszło z pomieszczenia, w środku pozostał już tylko jeden. Też musiał się denerwować, bo rzucał Brianowi niespokojne spojrzenia.

Gwałtownie otwarto drzwi i do środka zajrzał mężczyzna w szarym garniturze, w okrągłych okularach na nosie i z długimi siwymi włosami. Wyglądał jak sobowtór Alberta Einsteina.

– Widział pan komandora Leacha? Co mają znaczyć te ciągłe alarmy? – spytał wartownika.

– Wyszedł kilka minut temu, był jakiś incydent na oddziale medycznym. Stąd alarm, profesorze Tyler.

Mężczyzna skinął głową i zabrał się do wyjścia.

– A więc to pan jest osobą, która ma sumieniu prawie trzysta tysięcy ludzi? – powiedział szybko Brian.

Profesor Tyler zamarł w pół kroku. Popatrzył na Briana, znowu przeszedł przez próg i zamknął za sobą drzwi.

– A pan jest tym parapsychologiem, który cały czas zmuszał nas do działania. Brian skinął głową.

– Jest pan naukowcem, tak jak i ja – powiedział Tyler. – Nie powinien pan więc formułować opinii, dopóki nie pozna pan wszystkich faktów.

– O nie, profesorze. Myli się pan. Nic nas nie łączy. To, czym pan się zajmuje, nie ma nic wspólnego z nauką. To zbrodnia wobec ludzkości.

Tyler skrzywił usta w uśmiešku.

– Nam, naukowcom, nie wolno stawiać sobie jakichkolwiek ograniczeń. To, co dziś znamy i akceptujemy jako nienaruszalne prawa natury, już jutro

może stać się podatne na działanie. Było tak, odkąd świat istnieje. Niech pan pomyśli o Koperniku albo Galileuszu, którzy podążali swoją drogą wbrew oporowi wszechwładnego Kościoła. Też stoimy teraz przed progiem i pracujemy nad tym, aby postawić nogę w nowym, niewyobrażalnym świecie. Wkrótce wejdziemy na nowy poziom – trzeci. Townsend Brown i Nikola Tesla pierwsi poszli tą drogą, my pójdziemy nią do końca. Czy pan chce, czy nie, sprawimy, że rozbrzmia trąby jerychońskie. – Oczy profesora błyszcząły, na czoło wystąpił mu pot.

– Jak może pan trzymać się szaleńczej idei, żeby sterować pogodą? – powiedział Brian, kręcąc głową. – Inni już tego próbowali i im się nie udało. Natura jest zbyt skomplikowana, żeby ludzie mogli nad nią zapanować. – Brian wiedział, że aby wyciągnąć od profesora dalsze szczegóły, musi go sprowokować.

– Znowu się pan myli, Saint-Claire. Ten ośrodek służy do całkiem innego celu. Nie chcemy kontrolować pogody. Huragany były jedynie niezamierzonym efektem ubocznym, godnym pożałowania wypadkiem spowodowanym przez bąbel plazmy w jonosferze. Znaleźliśmy już przyczynę błędu i udoskonaliśmy instalację. Zakładam, że już dawno kazał pan przeanalizować dane zebrane przez tego meteorologa.

Brian potwierdził skinieniem głowy.

– Znam wyniki analizy i wiem także, że Wayne Chang został zamordowany przez pańskich ludzi.

– Wyjaśnię to panu w skrócie. – Tyler mówił do Briana, jakby miał do czynienia z ograniczonym umysłowo uczniem. – Na szczycie góry zamontowaliśmy las anten krzyżowych, tworzących silną jednostkę HAARP*. Nazywamy tę instalację grzejnikiem.

* HAARP (*High-frequency Active Auroral Research Program*) – Program Badania Aktywnej Aureoli Fal Wysokiej Częstotliwości. Oficjalnym celem programu prowadzonego z udziałem sił powietrznych i marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych jest „zrozumienie, symulowanie i kontrola procesów zachodzących w jonosferze, które mogą mieć wpływ na działanie systemów komunikacji i nadzoru elektronicznego”. W 2005 roku naukowcy HAARP opublikowali informację o wytworzeniu sztucznej zorzy polarnej za pomocą silnych, zogniskowanych fal radiowych wysokiej częstotliwości. Projekt ten stanowi popularny temat rozmaitych teorii spiskowych, wedle których HAARP to broń elektromagnetyczna (powodująca np. wyłączenia prądu w Nowym Jorku), broń geofizyczna mogąca powodować trzęsienia ziemi, cyklony i tsunami, urządzenie potrafiące sterować myślami ludzi albo umożliwiające niszczenie satelitów na orbicie i pocisków balistycznych i tak dalej.

Anteny te emitują do jonosfery fale wysokiej częstotliwości, które można modulować, o całkowitej mocy czterdziestu gigawatów. Ostrzeliwujemy warstwę F i rozgrzewamy ją. Elektrycznie naładowane cząstki tej warstwy stapiają się, tworząc plazmę termiczną o wysokiej przewodności, która umożliwia odbicie fal ELF w dolnym spektrum częstotliwości. Przy odpowiedniej modulacji fale te można za pomocą określonych satelitów skierować z bardzo dużą dokładnością na wybrane cele, w szczególności okręty podwodne przeciwnika.

To był konik profesora, który zupełnie nie dostrzegając absurdu sytuacji, w jakiej znajdowali się on i Brian. Z korytarza dolatywały odgłosy gorączkowej krzątaniny, ale Tyler kontynuował monolog.

– Prawie idealna broń, która samodzielnie lokalizuje cel i za pomocą komputera oblicza zgodnie z równaniami Maxwella odpowiedni kąt padania promieni. Fale ELF są niesione do celu za pomocą lasera forsterytowego, pracującego w trybie potrójnego impulsu. Promieniowanie odbite ma częstotliwość siedem i osiemdziesiąt trzy setne herca. Niestety, pojawiły się niepożądane efekty uboczne. W czasie pierwszej serii testowej odbijane były nie tylko fale długie, ale także w zbitej wiązce odbijane było wysokiej częstotliwości promieniowanie mikrofalowe. Skutek pan zna.

– Fale ELF o takiej częstotliwości? Nie są to fale, które pobudzają ludzki mózg?

– Dokładnie tak jak powiedziałem: sprawimy, że rozbrzmiały trąby jerychońskie – powiedział z dumą Tyler. – Na pewno zna pan tę biblijną historię. Dźwięk trąb sprawił, że mury miasta się zawaliły. My nie będziemy powodować zawalania się murów, ale będziemy bez oddania jednego strzału zmuszać do ucieczki całe armie. Pobudzając szczególnie region w mózgu – ciało migdałowe – wywołamy na przykład lęk. Długo trwały przebudowy ośrodek, aby dało się dotrzeć za pomocą naszych fal do praktycznie każdego punktu świata. Ochrony nie stanowi głębina oceanu ani żelbetonowy bunkier. Czy to nie genialne?

– Ciało migdałowe, oczywiście. Ośrodek lęku – mruknął Brian pod nosem. – To w ten sposób doprowadzono astronautów z Discovery do stanu, w jakim wylądowali... Przy podejściu do lądowania musnęła ich fala.

– Widzi pan, panie Saint-Claire, wiele lat temu największe mocarstwa nie prowadziły żadnych rozmów. Konflikt na Bliskim Wschodzie się zaostrzał; niewiele brakowało do wojny z komunistami. Przyszedł do mnie pewien

pełnomocnik rządu i przedstawił mi propozycję.

– Mogę zgadywać? Senator Lee?

– Naprawdę jest pan znakomicie poinformowany. Był wtedy sekretarzem stanu. To, co powiedział, brzmiało rozsądnie. Prawdziwym zagrożeniem nie były rakiety atomowe stacjonujące na terenie ZSRR, ale jednostki podwodne, które mogły sprowadzić wojnę pod same brzegi naszego kraju. Dysponowaliśmy niewystarczającymi możliwościami obrony przeciwko tym systemom broni. Próbował pan kiedyś zlokalizować nowoczesny okręt podwodny z napędem jądrowym z samolotu? – Pytanie zostało zadane poważnie.

Brian pokręcił głową.

– To jak szukanie igły w stogu siana – odpowiedział sam sobie Tyler. – Aby rozwiązać ten problem, powołaliśmy do życia projekt Oracle. Niestety, wkrótce zmieniły się w naszym kraju ramowe warunki polityczne, musieliśmy więc eksploatować instalację potajemnie. Dziś wiemy, że było warto. Słyszał pan o rosyjskim okręcie podwodnym „Tichonow”, który popadł w kłopoty na Morzu Sargassowym, ponieważ jeden z członków załogi wpadł w amok?

Brian z niedowierzaniem spuścił głowę.

– Za pomocą tego szalonego projektu wywołaliście gigantyczne huragany, które kosztowały życie ponad trzysta tysięcy osób, jesteście odpowiedzialni za śmierć dwóch wysokiej rangi naukowców, którzy stali się dla was groźni, a pan mówi o sukcesie?! Co się właściwie głębi w pańskiej głowie? Żyje pan odrwany od tego, co się dzieje na świecie? Najwyraźniej nie dotarło do pana, że z Rosji nie płynie już dla nas żadne zagrożenie. Pańskie miejsce jest nie w laboratorium badawczym, tylko w szpitalu psychiatrycznym!

Tyler głośno się roześmiał.

– O nie, mylisz się, mój chłopcze. Zagrożenie jest większe niż kiedykolwiek. Poza tym opanowaliśmy problem promieniowania odbitego i wkrótce wejdziemy w posiadanie broni doskonałej. Pan i pańska przyjaciółeczka przejdziecie wkrótce do historii. Trzeba było nie stawać na drodze do postępu. A teraz życzę wszystkiego najlepszego... To znaczy szybkiej i bezbolesnej śmierci. Mam dużo pracy.

Tyler odwrócił się, aby wyjść.

– Jeszcze jedno pytanie! – zawołał Brian. – Skąd pochodzą pieniądze na ten projekt?

Tyler się odwrócił.

– Załatwia je senator Lee ze swoimi przyjaciółmi. Nigdy się tym nie interesowałem. Liczy się tylko to, że funduszy jest dość. No cóż, szkoda – chętnie bym pana nieco oprowadził i pokazał nasz ośrodek, ale jak pan widzi, zbieramy się do wyjazdu. Za kilka godzin w tym miejscu będą już tylko dymiące zgłiszczka. Pan, niestety, zostanie pod nimi pogrzebany...

– Oszalał pan, Tyler!

□ □ □

Dwain szedł powoli jasno oświetlonym korytarzem. Syrena alarmowa wyla, nigdzie nie było żywego ducha. Przesuwał się ostrożnie, mijał kolejne zamknięte stalowe drzwi. Dokąd zabrali Briana? Co wywołało drugi alarm? Miał nadzieję, że nie odkryto czipa wklutego w przedramię Briana i nie stracono z nim kontaktu radiowego.

Na końcu korytarza znajdowała się śluza bezpieczeństwa. Szkło odbijało światło. Dwain przycisnął plecy do ściany i skradał się do kolejnych drzwi. Nagle się otworzyły i na korytarz wyszedł niski, przysadzisty mężczyzna w białym kitlu i z łysiną na czole. Niósł stertę segregatorów. Zamarł i wbił wzrok w Dwaina.

– Co się znowu dzieje? Sądziłem, że intruz został złapany.

Dwain obserwował mężczyznę, który miał na piersi identyfikator z napisem: DR STILLWELL.

– Nie mam pojęcia, doktorze.

– Chyba nie uciekł. Zresztą wszystko jedno, w środku daleko nie zajdzie. Masz jakieś konkretne zadanie, żołnierzu?

Dwain Hamilton pokręcił głową.

– Byłem zajęty ładowaniem w hangarze.

– To świetnie, przyda mi się pomoc. W środku jest jeszcze kilka segregatorów, które trzeba zanieść do strefy bezpieczeństwa, zanim wszystko wybuchnie. Łap się za nie, żołnierzu. Oszczędzisz mi kolejnego spaceru.

Stillwell otworzył drzwi i wskazał palcem segregatory, które ułożył w stertę tuż przy drzwiach.

– Jesteś wielkim i silnym mężczyzną. Chyba uda ci się wziąć kilka więcej ode mnie.

Stillwell podał Dwainowi segregatory, które trzymał w rękach, i dołożył jeszcze trzy, pod samą brodę. Sam wziął pozostałe i ruszył w kierunku śluzy, a Dwain za nim.

Zanim doszli do przejścia z masywnego pancernego szkła, zamilkła syrena alarmowa. Stillwell wcisnął przycisk i zahuczał brzęczyk. Drzwi otworzyły się automatycznie. Po obu stronach wejścia stali wartownicy z pistoletami maszynowymi.

– Po co ten drugi alarm? – spytał Stillwell.

Dwain próbował robić obojętną minę. Spuścił głowę.

– Proszę iść korytarzem B, panie doktorze – odpowiedział wartownik. – Doktor Allistar dostał szau. Zastrzelił jednego z ludzi Coburna i zabarykadował się w laboratorium medycznym. Najwyraźniej to on przemycił intruza do środka.

– No, no, Allistar... Podejrzywałem, że coś takiego może się wydarzyć. Od incydentu z Mcnishem nie był sobą. Potem jeszcze ten wypadek z autobusem szkolnym. To było ponad jego siły.

Stillwell wszedł do służby, Dwain za nim. Wartownik złapał szeryfa za ramię.

– A ten?

– Jest ze mną – odparł Stillwell.

Wartownik kiwnął głową i puścił Dwaina. Obładowany segregatorami szeryf minął służę i znalazł się w ściśle strzeżonej strefie obozu ósmego.

Dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

– Musicie zaatakować... – powiedziała błagalnie Suzannah. – Niech pan pośle wreszcie swoich ludzi do akcji. To, co macie na taśmie, przecież już wystarczy.

– Jak długo będziemy jeszcze mieć kontakt? – spytał Bob Raleigha.

Raleigh popatrzył na mały zegar na tablicy kontrolnej.

– Połączenie będzie trwać jeszcze dokładnie dziewięć minut. Dane zostały przekazane do centrali. Mamy zielone światło.

Bob zwrócił się do Brooke'a.

– Też sądzę, że dość usłyszeliśmy. Wyciągnijmy chłopaków.

Brooke skinął głową i wstał.

– Moi ludzie mają wszystkie instrukcje. Mam nadzieję, że uda się uniknąć jatki.

– Zrobimy, co trzeba – odparł Bob. – Pan przejmuje dowodzenie. Proszę pamiętać o zakładniku.

– Oczywiście. – Komandor Brooke sięgnął po czapkę.

– No dobrze, pani Shane – powiedział Bob do Suzannah. – Dajmy teraz

działać specjalistom. Pani i pan Pokarev polecicie ze mną.

Komisja kontrolna w Białym Domu, Waszyngton

– Kierowały mną uczciwe pobudki i miłość do ojczyzny – wyjaśnił senator Lee. – Interes naszego kraju zawsze leżał mi na sercu.

Przewodniczący komisji kontrolnej skinął obojętnie głową i z zacięciem czytał wiadomość, którą właśnie przyniósł mu urzędnik sądowy.

– Wygląda jednak na to, że istnieją nieprawidłowości w księgowości Stowarzyszenia Worth. Komisja jest w posiadaniu protokołu naszego wydziału śledczego, z którego wynika, że od lat znikają bez śladu milionowe sumy. Pan, jako główny udziałowiec, ponosi za to pełną odpowiedzialność. Może pan wyjaśnić, co się działo z tymi pieniędzmi?

Senator Lee opadł na oparcie krzesła i skrzyżował ramiona na piersi.

– Powołuję się na immunitet członka Senatu. Wie pan, że nie muszę odpowiadać na pańskie pytania.

– Mam inne pytanie – powiedział przewodniczący, na którym pokaz Lee nie zrobił żadnego wrażenia. Uniósł otrzymany przed chwilą dokument. – Co pan wie o obozie wojskowym w lesie narodowym Cibola w Nowym Meksyku?

Senator skrzywił się i odwrócił głowę do okna.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Przewodniczący sięgnął do teczki na akta i uniósł zdjęcie. Ukazywało senatora Lee na tle helikoptera stojącego na dachu bunkra w obozie ósmym.

Senator krótko rzucił na nie okiem i wstał.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym wysłuchiwać dalszych oskarżeń. Powołuję się na swoje prawa senatora Stanów Zjednoczonych i konstytucyjne prawo do immunitetu.

– Proszę siadać, senatorze! – zażądał przewodniczący. – Jeszcze nie skończyliśmy. A jeśli chodzi o pańskie prawa, chętnie przekażę panu oświadczenie Białego Domu. Pański immunitet senatorski został zawieszony osobiście przez prezydenta. Proszę więc zająć miejsce i odpowiedzieć na nasze pytania, bo będę zmuszony kazać pana aresztować.

Senator Lee patrzył szeroko otwartymi oczami na dokument, który przewodniczący podał mu przez urzędnika – widniała na nim pieczęć prezydencka.

– Struktury stworzone przez pana za kadencji prezydenta Burka nie były łatwe do przejrzania – powiedział przewodniczący. – Możliwe, że bez pomocy

z zewnątrz nigdy nie wpadlibyśmy na ślad pańskich pokrętnych działań. Fundusze rządowe, machinacje finansowe Stowarzyszenie Worth, pańskie zaangażowanie w działania marynarki wojennej, tajny obóz Ośrodka Badawczego Marynarki Wojennej w Nowym Meksyku, który przerobił pan na samowystarczalny system, działający dalej pod pańskim kierownictwem nawet wiele lat po odejściu pana ze stanowisk rządowych: wszystkie te wywrotowe działania stanowią zdradę tego kraju. Przedłożył pan własny interes ponad interes kraju. To zdrada stanu.

Twarz senatora spurpurowiała. Skoczył na nogi. Zaczął machać ręką, jakby można było zmasać poważne zarzuty przewodniczącego.

– Co pan wie o tym świecie?! – wrzasnął na przewodniczącego. – Pojęcia pan o niczym nie ma! Siedzi pan sobie w ciepłej i wygodnej sali i mówi o zdradzie, a na nasze miasta cały czas skierowane są setki rakiet z głowicami jądrowymi! Ciągłe jeszcze nasi chłopcy giną w podstępny ogień tchórzliwych drani, którzy ponoć prowadzą świętą wojnę i nie mają odwagi stanąć twarzą w twarz w otwartej walce. A Rusczy śmieją się z nas i czekają na swoją szansę. To nie ja zdradziłem Stany Zjednoczone, ale prezydent Cranford i jego liberalny motłoch. O niczym pan nie wie, o niczym! Łowi pan w mętnej wodzie w nadziei, że uda się złapać rybę. Ale nie ze mną takie numery, nie ze mną. Ode mnie nie dowie się pan ani słowa.

Przewodniczący dał znak urzędnikowi sądowemu, który wstał i wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia.

– Sadzę, że wiemy więcej, niż pan sądzi – powiedział przewodniczący.

Kiedy urzędnik wrócił, był z nim senator Luther Thornton.

Thomas Lee otworzył usta.

– Luthe... to ty?

– Przykro mi, Thomasie.

Lee złapał się za klatkę piersiową, oczy wyszły mu z orbit. Opadł na krzesło.

– Lutherze... przez wszystkie te lata... po tobie... akurat po tobie bym się tego nie spodziewał... – wymamrotał senator Lee, jego ciało się wygięło i osunęło bezwładnie na krzesło.

– Szybko, lekarza! – zawołał przewodniczący. – Senator ma atak serca!

Ośrodek Badawczy Marynarki Wojennej, obóz ósmy, góra Withington, Nowy Meksyk

Przeszli przez ostatnią służbę. Doktorowi Stillwellowi wyraźnie się spieszyło. Raz za razem spoglądał nerwowo na zegarek.

- Szybciej, mamy już tylko godzinę! – poganiał swojego tragarza.
- I co wtedy nastąpi?

Stillwell wyjął z kieszeni klucz. Za ostatnią służą korytarz wyraźnie się zwęził. Byli w szybie wykutym w głębi góry. Panował chłód. Dwain rozejrzał się wokół. Po ścianie biegł cienki przewód. Kilka metrów dalej zniknął w ścianie, po kolejnych kilku metrach znowu z niej wychodził.

Stillwell otworzył stalowe drzwi.

– Ważne, żeby nic nie pozostało – powiedział i wszedł do zatęchłej komórki.

Na podłodze piętrzyły się skrzynie i segregatory. Dwain podał mu te, które niósł, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął pistolet.

Kiedy Stillwell się odwrócił, skamieniał.

– Co będzie za godzinę? – spytał lodowato Dwain. Lufa jego pistoletu była skierowana w brzuch doktora.

- Co to... co to ma znaczyć?
- Czy to jest dokumentacja eksperymentów, które prowadziliście w obozie?

Stillwell popatrzył na zgromadzone papiery.

- Kim pan jest?
- Nazywam się Dwain Hamilton. Jestem szeryfem w Socorro i przybyłem, aby przerwać to, co robicie.

W oczach Stillwella pojawił się strach.

- Jak pan tu się dostał?
- Teraz ja zadaję pytania. Dlaczego pozwoliliście umrzeć Allanowi McNishowi? Co wam zrobił?

- Nie mam pojęcia...
- Zabiły go wasze eksperymenty.

Lekarz wbijał wzrok w podłogę.

– Jest pan skończony – powiedział Dwain Hamilton. – Resztę życia spędzi pan w więzieniu, gdzie będzie pan mógł rozmyślać o swoich przestępstwach.

– Myli się pan, szeryfie – rozległ się za plecami Dwaina głos agenta Coburn, który skądś się zjawił przez nikogo niesłyszany.

Dwain Hamilton odwrócił się szybko. Coburn trzymał lugera i celował szeryfowi prosto w głowę.

– Proszę rzucić broń, szeryfie!

– Coburn... miło pana znowu widzieć – powiedział Dwain i wypuścił pistolet z dłoni.

– Doktorze Stillwell, czy dokumenty są kompletne?

Lekarz skinął głową.

– Proszę wziąć jego broń i iść na zewnątrz do helikoptera. Musimy zmienić plan. Za kilka minut będziemy mieli gości.

Doktor kiwnął głową i schylił się po broń. Szybko przesunął się obok szeryfa i z ulgą wybiegł na korytarz.

– No cóż, szeryfie, czas się pożegnać – powiedział Coburn. – Tym razem wujek pana nie ochroni. Proszę się jednak nie bać, to długo nie potrwa. I nie będzie bolało.

– Jesteś załatwiony, Coburn. Napadając na ranczo wuja, posunąłeś się za daleko. Nie uciekniesz!

– Zanim zjawi się wasze wsparcie, laboratorium już przestanie istnieć.

Dwain powoli sięgnął do kieszeni kombinezonu. Coburn wyciągnął broń przed siebie i odciągnął kurek.

– Uważaj... – syknął. – Bo nie zdążysz wysłuchać wielkiego bum!

Dwain Hamilton wyjął rękę z kieszeni. Miał w dłoni długopis. Podał go agentowi NSA. Coburn trwał w bezruchu.

– Jeśli się nie mylę, należy do ciebie – powiedział Hamilton.

Coburn popatrzył na czarny długopis.

– Skąd taki pomysł?

– Znalazłem go nad Rio Salado. W pobliżu stała kiedyś drewniana chata.

Coburn się skrzywił.

– Nie rozumiesz tego, szeryfie. W tej grze jednostki się nie liczą. Chodzi o nasz kraj, nasze ideały. Nie miałem nic do tego starego Indianina, ale wmieszał się w sprawy, które go nie dotyczyły.

– Zamordowałeś z zimną krwią mojego siostrzeńca i wuja. Zapłacisz za to, Coburn.

– Musieli zginąć dla dobra kraju. Nie miałem wyboru.

– Jesteś chory, Coburn.

– Koniec dyskusji, szeryfie. Proszę za mną. – Ruchem pistoletu Coburn dał znak, by Dwain wyszedł z pomieszczenia. – Czas ucieka.

Dwain przeszedł przez próg i odwrócił się.

– Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Twarz Coburna wykrzywiła się w uśmiechu.

– Allistar to pijaczyna. Był słaby, mimo to zastrzelił jednego z moich ludzi. Powiedział mi o tobie, zanim odszedł z tego świata.

11.

Dystrykt leśny Magdalena, Nowy Meksyk

Warkot helikopterów sprawiał, że powietrze drżało. Eskadra okrążała południową stronę góry Withington na niskim pułapie. Suzannah siedziała w jet rangerze obok Boba i wyglądała przez okienko na zielony las. Naprzeciwko niej siedział Porky, który kurczowo wpijał dłońe w pas. Pilot zrobił ostry zwrot w lewo. Nagle w dole pojawiła się polana. Suzannah wskazała palcem na las mierzących w niebo stalowych masztów.

W kierunku bazy u stóp góry Withington leciały cztery blackhawki osłaniane przez szturmowe apache.

– Przylecimy na czas – powiedział Bob do przerażonej Suzannah. Położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu. – Wyciągniemy go, obiecuję to pani.

Suzannah bez słowa kiwnęła głową. Kiedy pilot skręcił na wschód, kabinę wypełniło jasne światło słońca.

Ośrodek Badawczy Marynarki Wojennej, obóz ósmy, góra Withington, Nowy Meksyk

– Także ty zostaniesz pociągnięty do odpowiedzialności – mówił Brian w sugestywny sposób do swojego strażnika, który z każdą chwilą coraz bardziej się denerwował. – Nie ukryjesz się za mundurem. Zginęło trzysta tysięcy ludzi i wszyscy, którzy maczali w tym palce, będą musieli zapłacić.

Wartownik wbijał wzrok w podłogę.

– Wykonuję tylko swoje obowiązki. O niczym nie wiedziałem.

– Lada chwila zjawi się tu oddział Navy Seals. Wszystkie słowa, które tu podają, są przekazywane przez satelitę bezpośrednio do naczelnego dowództwa marynarki wojennej. Nie łudź się, że przyszedłem tu sam. Gra skończona.

Czeka cię sąd wojskowy.

Z każdym słowem Briana wartownik tracił na pewności siebie.

– Rozwiąż mnie i uwolnij, do cholery! Uratujesz w ten sposób własną skórę!

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wpadł komandor Leach.

– Dlaczego on tu jeszcze siedzi? – wrzasnął na zaskoczonego żołnierza. – Za dziesięć minut oczyszczamy teren! Kod alfa, człowieku! Nie słyszałeś ogłoszeń?!

Żołnierz wyprężył się na baczność.

– Nie, komandorze!

Leach pokręcił głową i odwrócił się do Briana.

– Doktor Allistar nie żyje. Ten błazen uznał, że musi udawać bohatera. Zabił jednego z naszych ludzi. Jesteście temu winni we dwóch.

– We dwóch?

– Niech pan nie udaje. Wiemy, że nie był pan sam. Sprawa została już jednak załatwiona. Ten Hamilton został zatrzymany i czeka w ciągu B na wielkie bum! Jest pan sam, Saint-Claire, i wkrótce pan też odejdzie z tego świata.

Gdzie komandosi? – zastanawiał się zdenerwowany Brian. Musiał zyskać na czasie.

– Dlaczego jest pan takim potworem?! – wrzasnął. – Ilu ludzi chce pan jeszcze zabić?! Nie ma pan sumienia? Za tymi murami panuje pokój, Związek Radziecki już nie istnieje. Nie trafiło to jeszcze to tych waszych zakutych łbów?

Komandor Leach podszedł i pochylił się tak nisko nad Brianem, że niemal zetknęli się nosami. Brian czuł jego śmierzący oddech.

– Jeszcze pan nie pojął, o co chodzi, Saint-Claire. Niech pan uważnie przyjrzy się temu światu. Pokój nie istnieje, istnieje jedynie czas między wojnami. I właśnie ten czas musi nasz kraj wykorzystać, aby wypracować przewagę nad przeciwnikiem.

Brian zamknął oczy, odchylił się do tyłu i po sekundzie jego głowa wystrześliła do przodu. Kiedy trafił czołem Leacha w nasadę nosa, rozległ się głośny trzask. Komandor zawył i zasłonił twarz dłońmi. W tym samym momencie Brian podciągnął kolana i uderzył Leacha z całej siły w krocze. Komandor zgiął się w pół i padł na kolana. Brian błyskawicznie wstał i walnął kolaniem w podbródek Leacha. Trysnęła krew. Komandor z charkotem zwałił się na ziemię. Brian kopnął go w brzuch. Strażnik zdążył przez ten czas ściągnąć pistolet

maszynowy z ramienia. Celował w Briana, wpatrując się przy tym w niego szeroko otwartymi oczami. Wahał się.

– Zdecyduj się, człowieku! – wrzasnął Brian. – Jeśli uważasz, że musisz spełnić swój obowiązek, pociągnij za spust, ale jeśli chcesz zachować wolność, pomóż mi wreszcie zakończyć to szaleństwo!

Wzrok wartownika przesłakiwał z nieruchomo leżącego komandora na Briana. W końcu opuścił broń i sięgnął do kieszeni.

– Co to jest kod alfa? – spytał Brian, kiedy żołnierz zdejmował mu kajdanki.

– Za dwadzieścia minut laboratorium wyleci w powietrze. Wszystko jest tu zaminowane.

– Gdzie jest szyb, o którym on mówi?

Żołnierz otworzył drzwi i wskazał kierunek.

– Idziesz ze mną?

Żołnierz pokręcił głową i pochylił się nad Leachem. Wyciągnął mu z kieszeni zieloną plastikową kartę.

– Będziesz tego potrzebował. Pozwala przejść przez każdą śluzę. Idź za czerwonymi znakami. Zaprowadzą cię na pewno do ciągu B.

Brian wyciągnął z kabury Leacha pistolet i sprawdził magazynek. Ruszył biegiem. Nie mógł pozostawić szeryfa własnemu losowi.

□ □ □

Kapitan Melrose wpatrywał się z niedowierzaniem w niebo. Nad obozem imienia generała Willstona unosiło się siedem helikopterów szturmowych typu Apache, należących do korpusu piechoty morskiej. Powietrze wypełniało głośne dudnienie. Ludzie byli gotowi do wymarszu. Jego przydział do ochrony tajnego laboratorium badawczego zakończył się i rozkaz wymarszu przewidywał, że ma się zgłosić do jednostki macierzystej: 11. Regimentu Piechoty Morskiej w Kalifornii. Wraz z prawie czterdziestoma żołnierzami oddziału wartowniczego załadował sprzętem ciężarówkę i oba jeepy i właśnie mieli wyruszać w drogę.

Od wschodu zbliżały z trzy blackhawki. Unosiły się nisko nad budynkami.

– Co robimy? – zawołał do kapitana Melrose'a sierżant.

Część żołnierzy stała przed ciężarówkami, część już zdążyła na nie wsiąść. Jeszcze wczoraj kapitan wiedziałby, co robić, ponieważ miał wyraźne rozkazy: należało wszelkimi środkami zapobiec wtargnięciu osób niemających autoryzacji,

nawet wojskowych bez specjalnej przepustki. O budynku, który wnikał w głąb skalnej ściany, wiedział tylko tyle, że znajduje się w nim tajne laboratorium badawcze marynarki wojennej, którego działalność jest związana z satelitarnie wspomaganiem wywiadem i telekomunikacją. Jego zadaniem była ochrona terenu przed szpiegostwem i sabotażem. Od pół godziny rozkaz jednak nie obowiązywał. Wtedy kapitan Melrose został odkomenderowany przez komandora Leacha do załadunku.

– Co robimy? – ponownie zawołał sierżant.

Melrose wzruszył ramionami. Jego ludzie obserwowali go z oczekiwaniem. Od czasu do czasu spoglądali w niebo. Kilku wzięło do rąk broń, ale nikt nie śmiało się poruszyć. Blackhawki zakreśliły pętlę, po czym wylądowały między budynkami – dwa z lewej, dwa z prawej strony. Z przedziałów ładunkowych wszystkich maszyn zaczęli się wysypywać żołnierze w szarych mundurach i kamizelkach kuloodpornych, w wyposażeniu bojowym i z karabinkami szturmowymi. Natychmiast się kryli. W powietrzu zaczął krążyć kolejny helikopter – cywilny, pomalowany na biało-niebiesko jet ranger, który po chwili także wylądował. Wsiadł z niego mężczyzna w granatowym mundurze.

Sierżant podszedł do Melrose'a i wskazał w kierunku ludzi kryjących się wśród budynków mieszkalnych.

– To jednostki specjalne Navy Seals! Co oni tu robią?

Z kabiny jednej z ciężarówek, która dołączyła do kolumny kapitana Melrose'a, wyskoczył mężczyzna w ciemnym kombinezonie. Z trzymanego w rękach pistoletu maszynowego oddał dwie serie w kierunku komandosów Navy Seals.

Przybysze natychmiast odpowiedzieli ogniem. Apache puściły kilka serii ostrzegawczych z ciężkich karabinów maszynowych. Tuż przy ciężarówkach wystrzeliły fontanny ziemi. Kątem oka Melrose zauważył, że mężczyzna w ciemnym kombinezonie pada na ziemię.

– Wstrzymać ogień! – wrzasnął, ale hałas wirników helikopterów zagłuszył jego słowa.

– Uwaga, uwaga! – zadudniło z głośnika zawieszzonego na jednym ze śmigłowców. – Wstrzymać ogień! To jest akcja dowództwa marynarki wojennej. Odłożyć broń i podnieść ręce!

Sierżant rzucił kapitanowi pytające spojrzenie.

– Co robimy?

Melrose powoli wstał.

– Ustawcie ludzi. Bez broni. Niech ręce trzymają na widoku. I ani strzału

więcej – nie będziemy strzelać do towarzyszy. Jasne?

Sierżant skinął głową.

□ □ □

Coburn celował w pierś Dwaina Hamiltona.

– Czas na podróż w zaświaty – powiedział i zrobił krok w kierunku drzwi.

Dwain czekał na tę chwilę. Mięśnie miał napięte jak postronki. Kiedy Coburn dotknął dłonią drzwi, szeryf wykonał potężny skok w jego stronę. Zanim doskoczył, rozległ się suchy trzask lugera. Dwain Hamilton poczuł uderzenie w pierś i w tym samym momencie z wielkim impetem zderzył się z Coburnem. Huknął kolejny strzał i trafił Dwaina w ramię. Szeryf nie poczuł bólu. Jego dłonie wpiły się w marynarkę Coburna. Spróbował trafić go pięścią w twarz, ale tylko musnął jego podbródek. Drugą ręką trzymał go za nadgarstek ręki z bronią i pchał ją ku podłodze. Trzeci strzał trafił w kafelki i zrykoszetował z wizgiem. Dwain starał się panować nad narastającym bólem w piersiach. Kolejny prawy hak trafił agenta Coburna w usta. Z jego ust wydobył się stłumiony jęk.

Szeryf odwrócił się na pięcie. Coburn próbował ponownie skierować w niego broń, ale Dwain zdecydowanym ruchem odsunął mu ją na bok. Ponownie uderzył Coburna w twarz. Tym razem trafił go z całej siły. Natychmiast poprawił. Zanim Coburn zdążył zebrać siły, szeryf złapał głowę agenta i trzasnął nią o ścianę. Równocześnie podciągnął do góry kolano i wbił mu je w krocze. Coburn stęknął. Z ust i nosa leciała mu krew. Próbował się uwolnić. Cały czas ścisnął w rękę lugera, ale Dwain nie dawał mu najmniejszej szansy. Raz za razem walił głową przeciwnika o ścianę. Agent Coburn zaczął charczeć i ugięły się pod nim kolana.

Resztką sił Coburn podniósł pistolet i strzelił. Pocisk trafił szeryfa w bok i obrócił nim. Dwainowi poczerwiano przed oczami i osunął się na podłogę. Leżał i czekał na koniec. Bolało go potwornie. Oczy zaszyły mu czerwoną mgiełką, która owijała mu głowę niczym jedwabna chustka. Wokół siebie widział jedynie niewyraźne kontury. Rozglądał się za Coburnem, który prawdopodobnie zamierzał go dobić. Resztką sił uniósł się. Coburn siedział pod ścianą, głowa zwisała mu bezwładnie na pierś. Dwain Hamilton spróbował wstać, ale opadł na zimne kafelki. Potem ogarnęła go ciemność.

□ □ □

Góra zadygotała od wybuchu. Brian biegł za czerwonymi strzałkami, które miały go doprowadzić do ciągu B. Czas uciekał, ale nie mógł zostawić szeryfa na pastwę losu. Długie korytarze były puste. Na szczęście karta Leacha otwierała wszystkie śluzy. Do wysadzenia laboratorium pozostawało coraz mniej czasu. Pierwsza eksplozja najprawdopodobniej wysadziła anteny. Pot spływał Brianowi po czole, serce waliło mu jak młot. Kiedy pokonał ostatnią śluzę, ujrzał dwa nieruchome ciała. Czyżby się spóźnił? Podbiegł. Dwain Hamilton leżał wyprostowany pośrodku korytarza. Coburn siedział na podłodze, oparty o ścianę. Oczy miał otwarte, kołnierzyk koszuli zakrwawiony. Brian ukląkł nad szeryfem i spróbował wyczuć na jego szyi puls. Krew sączyła mu się z rany na piersi, ale Dwain żył. Kolejny postrzał miał na boku.

– Teraz... teraz wszyscy pójdziemy... do piekła... – wymamrotał Coburn. Brian przestraszył się i odwrócił w jego kierunku. – Za kilka... minut... będziemy w wieczności... – Coburn się roześmiał.

Zaczął dłonią macać wokół siebie, szukając pistoletu.

Brian szybko wstał i kopnął lugera w bok.

– Pomyłka, Coburn. Diabeł czeka tylko na ciebie.

Odwrócił się do szeryfa i poderwał jego ciężkie ciało.

– To ci się... nigdy nie uda... Saint-Claire... – wycharczał Coburn.

Wyzwalając z siebie nieoczekiwane rezerwy sił, Brian zarzucił sobie szeryfa na ramię. Zataczając się pod jego ciężarem, ruszył w drogę powrotną. Zostawiał za sobą śluzę za śluzą, korytarz za korytarzem. Nie umiał określić, ile to trwało, ale w końcu dotarł do wyjścia. Gdy wytoczył się na zewnątrz, przywitał go łoskot wirnika helikoptera. Kiedy ujrzał Suzannah, Porky'ego i Boba, po twarzy przemknął mu uśmiech. Obaj mężczyźni ruszyli biegiem w jego kierunku.

– Szybko do helikoptera! – wrzasnął Bob, przekrzykując piekielny hałas.

Wzięli szeryfa i wsunęli go do helikoptera, po czym pomogli Brianowi wsiąść. Na koniec sami wskoczyli do środka. Maszyna zaczęła się ostro wznosić, zanim zaniknęły się drzwi. Pilot kierował się na północ. Suzannah objęła Briana i szlochając, przytuliła do siebie. Rozległ się ogłuszający łoskot. Brian uniósł się i wyjrzał przez okienko. Górę Withington otaczała kula ognia.

– Tyler i Stillwell aresztowani! – krzyknął Bob do Briana. – Chcieli uciec helikopterem, ale nasze apache zmusiły ich pilota do lądowania. Brian wskazał na Dwaina.

– Potrzebuje natychmiast lekarza!

- Lecimy do Socorro. Będziemy tam za dziesięć minut. Co z Allistarem?
- Zabili go. Coburn i Leach też nie żyją.

Bob bez słowa skinął głową.

Suzannah położyła Brianowi rękę na udzie i delikatnie pogłaskała. Pochyliła się i wyszeptwała:

- Kocham cię. Nigdy nie przestałam.

Epilog

Potężna eksplozja zamieniła las anten i ośrodek badawczy u stóp góry Withington w stertę gruzu. Trąby jerychońskie umilkły. Czy na zawsze?

Brian nie miał złudzeń. W trakcie zatrzymania obu naukowców zabezpieczono mnóstwo danych, które miały zniknąć w jakimś archiwum Departamentu Obrony. Kiedyś ktoś jednak ponownie otworzy puszkę Pandory i zacznie kontynuować badania od miejsca, w którym przerwali je Tyler i Stillwell.



Oddział wartowniczy obozu ósmego pod dowództwem kapitana Melrose'a został przesłuchany, okazało się jednak, że żaden z żołnierzy, a nawet oficerów nie miał pojęcia, co tak naprawdę działo się w wewnętrznej strefie ośrodka. Tylko nieliczni z zatrzymanych żołnierzy byli kiedykolwiek zatrudniani w strefie bezpieczeństwa. Szybko okazało się także, że prace badawcze wspierali wysoko postawieni oficerowie i mecenas komandora Leacha z marynarki wojennej. Jeden z admirałów z biura naczelnego dowództwa marynarki wojennej został przeniesiony w stan spoczynku, jeden z sekretarzy stanu w Departamencie Obrony został zwolniony ze stanowiska i aresztowany. Opinia publiczna nie dowiedziała się, do czego służył obóz w Nowym Meksyku. Dla wewnętrznego spokoju wojsko postanowiło przemilczeć incydent. Brian, Suzannah, Dwain Hamilton, a przede wszystkim Porky wyrazili w końcu zgodę na takie rozwiązanie.

Siedmiu agentów i oficerów, którymi dowodził Coburn, a którzy przeprowadzili ataki na Jacka Silverwolfe'a, biuro szeryfa Hamiltona i ranczo Cave Pearls senatora Hamiltona, senatorowie Thornton, Stansfield i Stalton oraz doktorzy Tyler i Stillwell zostali skazani przez waszyngtoński sąd wojskowy na dożywotnią karę więzienia. Senator Lee, który w trakcie przesłuchania przez komisję kontrolną dostał ataku serca, nigdy nie powrócił do zdrowia.

Skierowano go do sanatorium w stanie Arkansas, gdzie zmarł siedem miesięcy po wybuchu na górze Withington. Lincoln, dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, zakończył życie z własnej ręki, kiedy dowiedział się o akcji Navy Seals w obozie ósmym.

W ramach dalszego dochodzenia udało się odkryć powiązania między grupą skupioną wokół senatora Lee a NASA. Okazało się, że profesor Paul, kierownik misji promu kosmicznego, też padł ofiarą spisku. Komisja ekspertów dotarła niepokojąco blisko prawdy o tym, co się stało przy lądowaniu Discovery. Donald Ringwood, zastępca profesora, popełnił samobójstwo w więzieniu wojskowym w Fort Sili.

□ □ □

Z osób cywilnych, które były przetrzymywane w wewnętrznej strefie obozu i służyły jako króliki doświadczalne, nie przeżył nikt. Z wypowiedzi niektórych żołnierzy wynikało, że chodziło o pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Ich nazwiska nie pojawiały się w żadnym z zabezpieczonych dokumentów. Tam byli numerami.

□ □ □

Dwain Hamilton przeżył trzygodzinną operację w szpitalu w Socorro. Cztery tygodnie po zwolnieniu ze szpitala wsiadł w pociąg i odwiedził Margo oraz dzieci w Salt Lake City. Wkrótce potem zrezygnował z funkcji szeryfa i wrócił na ranczo, które odziedziczył po wuju. Margo i dzieci sprowadzili się do niego.

□ □ □

Z początku wyglądało na to, że tylko Porky wyszedł z całej tej historii straty. Zobowiązano go do milczenia i wielki artykuł diabli wzięli. Na szczęście nie złamało mu to kariery. Nie minęło wiele czasu, a zaproponowano mu stanowisko redaktora naczelnego dziennika krajowego. Kiedy pewnego dnia Brian zapytał go, czy w dalszym ciągu marzy o Pulitzerze, Porky pokręcił głową, po czym wsiadł do swojego nowego samochodu sportowego i pomknął na ważne spotkanie.

„Rose of Jamaica”, południowo-zachodnie wybrzeże Kuby

– Sądysz, że nas widzi? – spytała Suzannah i wychyliła się przez reling. Statek wycieczkowy „Rose of Jamaica” krążył u wybrzeży Kuby niedaleko miejsca, gdzie zginęła matka Suzannah.

– Jestem o tym przekonany – odparł Brian.

Suzannah wzięła wieniec i wyrzuciła go daleko w morze.

– Więc nadszedł czas się pożegnać. Żegnaj, mamó. Dziękuję ci za wszystko. Kocham cię i nigdy cię nie zapomnę.

Brian objął Suzannah i mocno ją przytulił. Jasnoczerwone słońce zapadało się w morze. Suzannah zrobiło się zimno. Nasunęła sweterek na ramiona. Była jesień i od wschodu wiała świeża bryza.

W lecie wybrzeże Stanów Zjednoczonych zaatakowały kolejne trzy huragany. Spowodowały śmierć dwóch osób i raniły siedem, szkody materialne wyniosły dwa miliardy dolarów, ale w porównaniu z potworem, który zniszczył Nowy Orlean, stanowiły jedynie lekki podmuch. Trąby jerychońskie jak na razie zamilkły, ludzie wrócili do normalnego życia.

Do osiągnięcia trzeciego poziomu pozostała daleka droga...

Podziękowania

Chciałbym podziękować wszystkim, którzy wspierali mnie przy realizacji tego projektu, zwłaszcza Ulli Carlucci i Adelheid Umminger, oraz mojej rodzinie i *last but not least*, Tinie, Christiane i Benno.

Ulrich Hefner, sierpień 2007
www.ulrichhefner.de